

Wojciech Zembaty

# Koniec pieśni



*Powieść dedykuję mojej ukochanej żonie, Hiromi.*

*Często byłaś cierpliwa za nas dwoje...*

## PROLOG

Bedevir postawił amforę na stole i ruszył do drzwi. W połowie drogi usłyszał jęk i zatrzymał się. Król znów mówił sam do siebie, ostatnio zdarzało się to często. I nic sobie nie robił z obecności giermka. Jestem niewidzialny, pomyślał chłopak. Nie widzą mnie ludzie i zjawy, wtapiam się w cienie i szepczę ze szczurami. To ja, człowiek bez imienia. Duch.

W kącie stało kute zwierciadło z brązu. Starł grubą warstwę kurzu i przyjrzał się sobie krytycznie. Był żylasty i grubokościsty, zbudowany jak pracowity wieśniak. Wysoki, ale nie dość rozrośnięty w barach, żeby wyglądać groźnie. Nie wyhodował jak dotąd brody, ciemne, kędzierzawe włosy i smągła twarz zdradzały domieszkę krwi rzymskiej. Poruszał się powoli i często robił wrażenie kogoś, komu właśnie przerwano drzemkę. W oczach miał rezygnację i smutek, dziwne u człowieka młodego i z wysokiego rodu, z karierą i życiem przed sobą.

Ale on wiedział swoje. W Camelot niełatwo być wesołym. Zwłaszcza teraz, gdy wielka hala opustoszała, a rycerze Stołu rozpierzchli się po świecie w poszukiwaniu cudownej czary, Graala. Było to najnowsze z szaleństw Artura. Wysyłał ich już na poszukiwanie olbrzymów i smoków, księżniczek i złych czarowników. Tym razem kłopot był większy, bo mniejszy. Olbrzyma łatwo wypatrzeć, zostawia objedzone wioski. Ślad smoka znaczą pożary. Ale jak odszukać cholerne naczynie? Mimo to jego drużynnicy ruszyli, bo kochali i bali się króla.

Artur Pendragon wpatrywał się w niego nieprzytomnie. Bedevir napelnił puchar bizantyjskim winem i przechylił go do spierzchniętych ust władcy. Trunek pociekł po bladej twarzy, zlepił siwą nastroszoną brodę. Odkąd Ginewra odeszła, Artur nie dopuszczał do siebie balwierzy. Coraz bardziej przypominał pogańskich królów, z którymi wojował w młodości.

- Czy to ty, Myrddinie? - zapytał urwanym szeptem. - Brakowało mi ciebie, przyjacielu. Potrzebuję twojej rady.

Wiedział, co odpowiedzieć. Musi przytaknąć, napełnić pucharek lub dwa i pozwolić, by bezładna przemowa przeszła w kolejną drzemkę.

- Myrddin już idzie. Musisz spać, panie. Przyniosłem ci eliksiry - powiedział. - To ja, Bedevir.

Twój giermek, chciał dodać, ale ugryzł się w język. Dobre sobie, giermek. Na zamku się z niego śmiali. Zwłaszcza ci, którzy pamiętali, jak przed pięcioma laty załomotał w bramę

i wjechał na dziedziniec. Pyszny, beztroski szczeniak, dumny ze swego rodu i zasług ojca. Czuł się dzielny jak Gwalhmai i silny jak sam Longherin. Bedevir niepokonany, pierwszy z królewskich rycerzy. Minęło pięć długich lat, a on nadal był giermkim. Ten, co miał go pasować, zapomniał. Nie pamiętał nawet własnego imienia. A on stał się sir Bedevirem od bukłaków, baronem od lekarstw i kubłów. Nikt nie rywalizował z nim o posadę. Starzy wojownicy, którzy towarzyszyli Arturowi w dwunastu zwycięskich bitwach, nie kwapili się oglądać jego zmierzchu.

Król zamrugał. Oczy miał wyblakłe, jakby długo wpatrywał się w słońce.

- Nie znam cię, chłopcze - wymamrotał. - Sprowadź Myrddina. Albo Kaia. Zbyt długo gniłem w tym chlewie. To wszystko przez nią. Ladacznica, bezpłodna sucz. Zbierałem dla niej lilie, psiakrew. Splatałem promienie księżyca. Ginewra, królowa dziwek. Wciągnęła mnie w swoje bagno...

W końcu monolog ustał i Bedevir z ulgą opuścił komnatę. Udał się do zbrojowni, stary Bors miał przygotować mu hełm. Wszyscy twierdzili, że zanosi się na wojnę. Wprawdzie zanosiło się, odkąd pamiętał, ale teraz sprawy wyglądały inaczej. Królewski bękart, Mordred, uciekł i spiskował przeciw ojcu. Księżę twierdzy Bamburgh, tarczy całej północy, abdykował na rzecz króla Anglów. Zapewne przekonał go sztylet albo zatrute wino. Władcy lennych królestw północy: Rhegedu, Bernicji i Deiry, ślali do Camelot posłańców z rozpaczliwymi prośbami o pomoc.

Na zachodnich rubieżach królestwa, w górzystej krainie, którą Sasi nazwą później Walią, również nie działo się najlepiej. Tam zawsze było zbyt wielu królów. Biedny Kai osiwił już, usiłując przeniknąć sieć ich intryg i spisków. W przypadku nieuchronnej wojny nie można było spodziewać się stamtąd posiłków, prędzej ciosu w plecy.

Ale największe niebezpieczeństwo tradycyjnie groziło Brytanii od morza. Na wschodnim wybrzeżu się kotłowało, szpiedzy mówili o okrętach przybywających z Jutlandii, Fryzji i kraju Dunów. Podobno w każdym saskim porcie kontynentu smołowano statki na rychłą wiosenną wyprawę. Barbarzyńcy rozprawiali przy leśnych ogniskach o bogactwie Brytanii i bezsilności jej króla. Od ostatniego zwycięstwa Artura, pogromu pod górą Badon, minęło dwadzieścia lat. Dość czasu, by dzieci poległych w tamtym dniu Sasów złapały za włócznię i topór.

Przejęty pod ciężarem cynowego nocnika, ruszył po schodach w dół, do tak zwanego głównianego okienka. Nieczystości z całego zamku odprowadzała stara ołowiana rura. Spadały na gigantyczną kupę gnoju, która użyźniała później ukryte w obrębie obwarowań poletka rzepy, kapusty i porów. Tej części swoich obowiązków nienawidził najbardziej.

Kobiety mijaly go, krzywiac nosy albo wachlowaly sie chusteczkami. Te najbardziej uprzejme po prostu przyspieszaly kroku. Mężczyźni spluwali albo kroczyli przed siebie, nie zwracając na niego uwagi. Czasem musiał uskakiwać pod ścianę, balansując cuchnącą cieczą. Kiedyś jeden z kuchcików, Trynwyn, podstawił mu nogę. Jak już odciągnęli Bedevira od zakrwawionego żartownisia, pozostali służący uznali, że na przyszłość ograniczą się do chichotów i wyzwisk.

Wylał królewskie szczyny i poszedł odnieść naczynie. Korytarz był pusty i mroczny, ledwo oświetlony samotną pochodnią. Pan Kai jest straszliwym skąpcem, pomyślał, potykając się na pokruszonych stopniach schodów. Ale on nie targa tutaj chlupoczących naczyń.

Pojawiła się za nim nagle, tak cicho, że wyczuł jej zapach, zanim usłyszał szelest kroków. Kwietna, orzeźwiająca woń. Z niewiadomych powodów zawsze napełniała go melancholią. Perfumy z Syrii albo gór Synaju, pomyślał. Morrigan. Odwrócił się i chyba wyglądał głupio, z nocnikiem wysuniętym do przodu jak puklerz, bo siostrzenica Artura wybuchnęła śmiechem. Zreflektowała się natychmiast i zasłoniła usta, ale jej niesamowite granatowe oczy wciąż błyszczały wesołością. Bedevir zrobił groźną minę. Potem przypomniał sobie o dworskiej hierarchii i skrzywił się w uniżonym grymasie. Nigdy nie wiedział, jak się zachowywać wobec tej kobiety. Morrigan miała opinię wiedźmy. Traktowała rycerzy i dworzan wyniośle, jak odgradzona niewidzialnym murem westalka. Jednocześnie zdarzało mu się wyczuć jej zainteresowanie, ba, nawet sympatię.

Dziewczyna poprawiła czarne, delikatnie kręcące się włosy i z wdziękiem nalała mu puchar wina. Piękna jak ogień i noc, pocałunek śmierci, pomyślał. Jej oczy zrobiły się bardzo poważne.

- Naprawdę nie zasłużyłem - rzekł, niepewnie chwytając kielich.
- Najlepsze, prosto z Hiszpanii. A zasłużysz, wpuszczając mnie do Artura.

Bedevir połknął zawartość pucharu jednym haustem. Niby biegał w tę i z powrotem, objuczony dzbanami trunku, ale gdy wina nalewa ci piękna kobieta, smakuje zupełnie inaczej. Próbował wyszukać w pamięci inne ponętne panny, które zaszczyciły go swoją uwagą, ale szybko zrezygnował. *Możesz być durny i sentymentalny, czemu nie. Możesz zakopywać marzenia. Ale zabraniam ci wspominać z rozrzewnieniem kurwy i karczemne dziewczki...*

- Pan Kai zabronił. Nikogo - powiedział.

Lord Zastępca obawiał się cudzoziemskich dygnitarzy i posłów, szczególnie wizytujących Camelot „zaprzyjaźnionych” Sasów. Trzeba czuwać nad resztkami renomy. Jedno spotkanie z nieprzytomnym królem to tak, jakby z armii zdezerterował tysiąc

doborowej piechoty... Sięgnął za pazuchę, upewniając się, że nie zgubił klucza. Wtedy nie mógłby jej nawet uczciwie odmówić, tylko wyszedłby na niezdarę i durnia. Boże, język mu się płacze. Co było w tym winie...

- Zwykły dworzanin na pewno odprawiłby mnie z kwitkiem. Ale ty... czuję, że jesteś inny - szepnęła.

Bedevir złapał się tego zdania, poprawił nim swoją samoocenę. *Inny. To chyba dobrze, prawda?*

- Zależy ci na Arturze, a nie na przepisach i rozkazach. Pozwól mi go zobaczyć. Proszę. To mój wuj. Kai zawsze mnie odpędza i powtarza kłamstwa o mojej matce - w głosie Morrigan zadźwięczały bezsilność i tłumiony gniew.

Giermek podrapał się po szczęce i złapał żelazny klucz, który nosił zawieszony pod tuniką, choć ocierał skórę i palił chłodem, niczym wrzucony za kołnierz sopeł. Już miał podać go arystokratce, gdy nagle to jego ogarnęła złość. *Ona się tobą bawi. Kpi sobie w najlepsze, a ty dajesz się prowadzić jak ciele.*

- Niby dlaczego mam ci pomagać... pani? - zapytał, akcentując ostatnie słowo tak, że brzmiało wręcz obraźliwie.

- Bo wiem, jak to jest przeżyć lata daleko od domu? Bo nie jesteś cholernym posągiem? Ponieważ ci się podobam?

Bedevir zastanowił się. Wszystkie powody były niezłe, a do tego dochodził czwarty. Król nie może oglądać całymi dniami wyłącznie jego chudego pyska, zapijacznej gęby Kaia i drżącego podbródka medyka. Od tego nie wyzdrowieje. Otworzył przed nią drzwi i patrzył, jak podchodzi do łoża króla. Artur ożywił się, złapał za draperię baldachimu i wsparł się na łokciu. Przez chwilę zdawało się, że ją poznaje. Potem zaczął mówić. Bedevir odwrócił głowę i ruszył do drzwi. Jak na jeden dzień dosyć nasłuchiwał się o Ginewrze...

- Poczekam na korytarzu.

\* \* \*

Mijały dni, życie płynęło swoim rytmem. Bedevir też robił swoje. Przede wszystkim się objął, choć wolał nazywać to inaczej. Doskonalił swój kunszt obserwacji.

Przyglądał się rzemieślnikom z podzamcza: złotnikom, kowalom i snycerzom, którzy w pocie czoła zarabiali na chleb pod osłoną murów. Przysłuchiwał się mowie greckich kupców z Bizancjum i Aleksandrii, podglądał dziewczyny plotkujące przy zamkowej studni.

Obejrzał poczet ciężkozbrojnych jeźdźców, katafraktów z dalekiej Armenii, których cesarz Justynian wysłał morzem „swojemu bratu, chrześcijańskiemu królowi”, by bronili

rzymskich tradycji na północnej wyspie. Widział biskupa i ponurych, rozmodlonych mnichów, a także zakrytych kapturami druidów. Opowiadali o dawnych bogach, których dziwaczne imiona pamiętali już tylko oni sami i może wędrowni pieśniarze. Słudzy Bractwa sprawiali wrażenie nieszkodliwych dziwaków, ale było w nich coś, co kazało mieć się na baczności. A potem wracał do służby w cieniu kamiennych murów baszty, do słuchania królewskich przekleństw, obietnic i gróźb.

Czasami żałował, że prawie nie potrafi pisać - niektórych opowieści Artura ludzie mogliby chętnie wysłuchać. Albo słono zapłacić mu za to, by do wysłuchania nie doszło. Poza noszeniem nocników każdego dnia wynajdował godzinkę lub dwie na ćwiczenia szermierki ze starym Borsem. Nauczyciel był ospowatym weteranem ze starej legionowej rodziny. Jego ojciec i dziad walczyli z Frankami w galijskim korpusie samego Sygariusza. Nosił rzymską poczemianą zbroję, znakomitą tarczę ze sklejki i skórzane nagolenniki, a jego krótki miecz był zawsze naostrzony jak brzytwa. Był wielkim zrzedą i zapiekłym tradycjonalistą. Uważał, że każdy głupi potrafi wpaść w szal i runąć na wroga jak przerażone zwierzę. Wystarczyło wypić dość wina lub bieluniowej nalewki. Każdy dureń potrafi też kulić się za tarczą i dźgać wrogów jesionową włócznią - utrzymanie szyku wymagało przede wszystkim braku wyobraźni. Indywidualna szermierka to inna sprawa.

Bors pogardzał bezładną młócką, praktykowaną wśród barbarzyńców. Im większy bierzesz zamach zza głowy, powtarzał, tym bardziej odsłaniasz pachę. Uczył Bedevira zabijając sztychem, zwodzić przeciwnika fintami i zaskakiwać paradami. Wymagało to zręczności i wytrwałości. Najwięcej kłopotu sprawiało Bedevirovi stawianie właściwych kroków. W końcu złapał się na tym, że taszcząc przepelniony nocnik, balansuje i tańczy, jakby właśnie fechtował z Borsem.

Któregoś wieczoru usłyszał stłumione głosy dobiegające z komnaty sir Peredura. Stała pusta od czasu, gdy jej lokator przepadł w Kaledonii, szukając Graala. Rycerze bywali równie niemądry jak ich pan. Jakby kaledońscy Piktowie mogli mieć jakikolwiek kielich, święty czy nie. Każdy wie, że te dzikusy piją wrzosowe piwo z baranich żołądków i rogów. Dwa głosy, kobieta i mężczyzna. Na szczęście usłyszał ich, nim usłyszeli jego.

- Przyniosę Arturowi jego Graala. Sama go uzdrowię, wykapię w kotle Dagdy. Bogowie ożywią jego ciało i przywrócą wolę. Kto powiedział, że król Brytów potrzebuje chrześcijańskiego naczynia!

Morrigan. Bedevir zadrzał, serce zabiło mu szybciej. Nawet jej głos był cudny. Gdyby węże gruchały, brzmiałoby to właśnie w ten sposób. Słowa jej rozmówcy wibrowały lekkiem.

- Musisz uciekać, pani. Mordred... Twego brata widziano u Angłów. Pan Kai każe cię

aresztować za zdradę.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Głupcze! Tak, Kai mnie nienawidzi. I co z tego! Nie zostawię mu Camelot. Król może umrzeć każdego dnia. A wtedy muszę być blisko.

- Mimo to, nalegam...

- Powiedz mi lepiej, kiedy sporządzisz kocioł.

Mężczyzna kichnął i Bedevir przygryzł sobie język, tłumiąc okrzyk zdziwienia. Cynned! Samozwańczy przywódca druidów wydawał mu się zawsze żalostną imitacją Myrddina. Wiecznie zakatarzony, bał się przeciągów i deszczu. Bedevir miał go za nieszkodliwego nudziarza.

- Nastąpiły nieprzewidziane... yyy... komplikacje.

- Gadaj po ludzku - syknęła Morrigan.

- Magia nie działa, a bogowie milczą. Wydaje mi się, że ten kocioł... to tylko metafora.

Mit.

- Posłuchaj, starcze. Bajdurzyć to sobie mogłeś w klasztorze. Nie po to dałam ci złoto i sprowadziłam uczniów. Twoje Bractwo słono kosztuje, a ja oczekuję rezultatów.

- Moja pani, cały czas prowadzimy badania. Spisujemy legendy, przepytujemy zielarki i znachorów. Wyłuskaliśmy kilka obiecujących talentów...

- Plewy! Jeżeli pociąga cię wiedza, to lepiej wróć do klasztoru.

Cynned zachrzakał coś, urażony. Zapadła cisza, w którą brutalnie wtargnął tupot ciężkich buciorów i dzwonienie koleczug.

- Łapać wiedźmę! - rozkazał tubalny głos.

Nagle zerwał się wiatr, zdmuchując wetknięte w ściany pochodnie. Bedevir wciągnął powietrze. Przed oczami załopotąła mu jakaś tkanina, poczuł ciężki, słodkawy zapach perfum. Przełknął ślinę, na gardle miał zimną stal.

- To ty - syknęła Morrigan. Nie była zachwycona.

Ucisk zelżał, Bedevir zdecydował się szybko.

- Chodź ze mną.

Poprowadził ją ciemnym korytarzem. Na szczęście znajdowali się w wielkiej baszcie, w której rezydował król, wielcy panowie i ich żony. Pozostała część Camelot wciąż była drewnianym grodem. Stare drewno uwielbiało zaskrzypieć i ciężko było się skryć. Tu, w nowomodnej kamiennej wieży, Bedevir był w swoim żywiole.

Dotarli do komnat króla. Pamiętał, że dziś wartę przed drzwiami pełnił Krodus. Ten zawsze umiłował sobie służbę, osuszając dzbanek lub dwa. Cóż, ryba się psuje od głowy.

Minęli chrapiącego strażnika i znaleźli się w sypialni Artura. Powietrze było



przesycone odorem śmierci. Woń zgnilizny i starych bandaży, smrody szczyń, wymiocin i wina. Zapachy jego młodości. Kazał jej stanąć za kotarą i wrócił do drzwi. Niemalże zderzył się z Kaiem. Mleczny brat Artura był gruby i wściekły.

- Morrigan! Widziałeś ją? Musiała tu być.

- Nikt tutaj nie wchodził, panie. Cały czas czuwam przy królu.

Kai spojrzał mu w oczy. Bedevir wytrzymał jego wzrok, licząc zmarszczki i popękane krwawe żyłki na twarzy Lorda Zastępcy. Przy Arturze był okazem zdrowia, ale też złopał za dużo. Zastępca wciągnął powietrze i zzieleniał. Na odchodnym zmiarkował się, przybrał stroskaną minę.

- Jak się dziś czuje? - zapytał.

- Jak zwykle. Śpi.

- Czasem mu zazdroścę - mruknął Kai.

Skrzyknął swoich ludzi i oddalił się, klnąc. Bedevir odetchnął. Nalał sobie wina, rozluźnił napięte mięśnie. Gdyby wpadł, Kai kazałby go zachłostać na śmierć. Coś musnęło mu kark, zakrztusił się trunkiem. Spojrzał w bezdenne, ciemne oczy i zagryzł usta. Była taka piękna. Nie wiedział, jakim czarom zawdzięcza urodę. Szczerze powiedziawszy, miał to gdzieś.

- Nie zapomnę ci tego. Ani tego, że pozwoliłeś mi zobaczyć się z Arturem. Dziękuję - powiedziała.

- Poczekaj, pani. Wyprowadzę cię z zamku.

Pokręciła głową, czarne włosy zafalowały jak welon.

- Znam drogę. Do zobaczenia... Bedevir.

Zostawiła go z sercem przepelnionym radością. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się stary nudziarz, sumienie. Kai nie ścigał jej bez powodu. Jej brat jest zdrajcą, a ona... Jest taka piękna.

Giermek stanął przy wezglowiu Artura i popatrzył na śpiącego. Na jawie był szalony, ale we śnie jego rysy rozpogadzały się. Wyglądał jak człowiek pogrążony w modlitwie, ktoś, kto doświadcza i czuje. Wielu zastanawiało się, o czym śni. Kobiety wierzyły, że o wielkiej miłości, o upadłej, straconej Ginewrze. Mężczyźni spluwali i klęli wiarołomną sukę. O kurwach się nie śni, miłością Pendragona była wojna. Każdy wie, że w marzeniach raz jeszcze przeżywa swe bitwy.

Bedevir słyszał też, że dla niektórych saskich szczepów wszechmocny Artur stał się istotą boską. Zasiada w Walhalli, po prawicy samego Wotana, albo wspiera gigantów z Jottunheimu...

Król otworzył oczy. Wzrok miał jasny i czysty. Bedevira zakłuło coś w brzuchu. Te chwile były najgorsze. Na pozór powracał mu rozum. Zadawał pytania, wymieniał imiona sprzed lat. Śpiewał pieśni, opowiadał historie, żartował. Kiedyś Bedevir próbował mu odpowiadać i uciekł ze ściśniętym sercem. Raz pobiegł po Kaia i innych, po czym prawie się spalił ze wstydu. Artur przeszedł sam siebie, a Bedevir nauczył się, że od bluźnierczych błazeństw bohatera gorszy jest tylko jego szloch. Oczy króla zmętniały, giermek odetchnął z ulgą.

- Czy to ty, Myrddinie? Stary przyjacielu, wróciłeś...

Stara śpiewka. Otworzył usta i zamilkł w pół słowa. Nie mógł, nie potrafił tego ciągnąć.

- Myrddin zaginał, panie. I raczej nie wróci. Twój kraj pograżył się w mroku, a ja jestem tylko giermkim. Możesz nazywać mnie nikiem.

Artur zamrugał jak więzień lochów nagle rażony światłem. Połamane paznokcie wbiły się w skórę dłoni, krew poplamiała posłanie.

- Ile to lat? - zapytał. Jego głos brzmiał inaczej. Chrząścił jak koła młyńskie, od wieków niewprawiane w ruch.

- Zbyt wiele, mój panie. Zbyt wiele.

Głowa króla opadła na poduszki. Odetchnął głęboko, spazmatycznie.

- Moje ogary. Zawsze tu były, gdzie one...

- Zestarzały się. Zdechły.

Zwierzę chowane do łowów zawsze zmarnieje w zamknięciu, oznajmił królewski łowczy. Sam też nie polował zbyt często.

Powoli wracał mu spokój. To nie mogło trwać długo. Zapyta go o Ginewrę, zacznie bełkotać lub płakać. Wybuchnie ochryplym śmiechem. Bedevir rozglądał się już za winem, gdy zza okna, gdzieś od granicznych wzgórz, dobiegła muzyka rogów. Nie bardzo wiedział, co robi. Otworzył zbutwiałe okiennice, rozpruł szybę z polerowanej kości.

Rogi zabrzmiały donośniej, w zaduch izby wtargnęło zimowe powietrze, zapach wichru i chmur. Grały pobudkę na alarm, wezwanie do miecza i wojny. Muzykę, jakiej ten kraj nie słyszał od czasów batalii pod Badon. Dwudziestoletni rozejm się skończył, Sasi w końcu ruszyli. Odwrócił się od okna i zobaczył Artura zapinającego ciężki pas z mieczem. Na ramiona zarzucił niedźwiedzie futro, przeglądał się w starym zwierciadle.

- Do diabła, chłopcze. Najpierw zabiję balwierza. Chociaż nie - śmiech króla zatrzęsł zimnymi murami, obsypał z nich pajęczyny i kurz. - Gdzie tam, każę łajdaka ozłocić. Kiedy Sasi zobaczą mnie w tej postaci, poorają się w portki ze strachu. Wołaj chłopaków, giermku.

Przypomnijmy wrogom, jak śpiewa Ekskalibur!

Bedevir nawet nie spostrzegł, kiedy padł na kolana. Klęczał w kałuży rozlanego wina, wbijając wzrok w skorupy dzbana. Nad głową świsnęła mu stal, zimne ostrze dotknęło jego ramienia. Nieśmiało podniósł głowę. Artur z zadowoleniem patrzył, jak blask pochodni znaczy klingę Ekskalibura czerwienią. Jakby coś sobie przypomniał.

- Wstawaj, panie rycerzu. Bóg jeden wie, że szybko pokażesz, z jakiego zrobili cię kruszcu.

# CZEŚĆ I

## ROZDZIAŁ 1

Finravel miotała pierzaste strzały z prędkością, która wystawiała na próbę prawa fizyki i wytrzymałość cisowego łuku. Kolejny dzikus zważył się na ziemię z przeszytym gardłem, ale horda nie zwolniła. Przynajmniej połowa przedostanie się na polanę. Za plecami usłyszała kwilenie. Wieśniaczka próbowała podsadzić dziecko na drzewo. Rączki maleństwa bezradnie ześlizgiwały się z gałęzi, było za małe, żeby wiedzieć, co ma robić. Za nimi dyszała śmierć. Strzała trafiła w wyłupiaste oko, właściciel padł, wywalając jęzor. Atakujący skupili się na wojownicze, rozsypali się wokół niej w taktyczny półokrąg. O to chodziło. Dziewczyna dobyte przytoczonych do pleców mieczy, jasne ostrza zaśniły jak księżyc. Zakreśliła się w furkoczącym piruecie, rzucając wyjątkowo paskudny czar, zwany Stalowym Wirem.

Efekt był mniej więcej taki, jakby w ciżbę wrogów wpadło koło rozpedzonego rydwana z kosami. Próbowali zastawiać się krzywymi szablami, ale cztery łby i tak potoczyły się w poszycie, pozostawiając tryskające czerwienią truchła. Ostatni trup zrobił pokraczny kroczek i osunął się jak bezgłowy kogut. Finravel przejechała mieczami po obciążonych futrem tarczach, po czym wyprostowała się gwałtownie i wbiła połączone stopy w igliwie.

Grunt był piaszczysty i z łatwością zagłębiła się po pachy. Nie ma to jak sosnowy las na te sztuczki, pomyślała, chlastając krzywe łydki. Tym razem efekt był rozstrzygający, okaleczone dzikusy czołgały się, rozpaczliwie zaciskały ręce na broczących kikutach. Niedobitki cofnęły się przerażone. Finravel wyskoczyła z dołu i oblizała wyschnięte usta. Zerknęła na stłoczonych przy poskręcanej sośnie uciekinierów. Dwóch rosyłych drwali odgradzało gromadę kobiet i dzieci od napastników. Przed nimi walał się rozrąbany dzikus, który charczał i kopał nogami.

Zapadła cisza. Wojownicza nie ruszała się. Zakłęcie wyczerpało ją. Przy życiu zostało może ośmiu kanibali. Wypoczęta załatwiłaby drani z ręką uwiązaną na plecach i z zamkniętymi oczami. Teraz, gdy czarne płatki tańczyły jej przed oczyma, sama mogła stać się posiłkiem. Uciekajcie, kazała im w myślach. No już, przecież widać, że odechciało wam się walki.

Przywódca, większy i lepiej uzbrojony niż pozostali, szczechnął do współplemieńców. Zaszwargotali w odpowiedzi. Finravel zobaczyła czerwoną plamkę, która rozszerzała się na jej udzie, wsiąkając w białą tunikę. Z nosa kapała jej krew. Jeżeli teraz zemdleje...

Skoncentrowała się na odczuciach wyczerpanego ciała. Jeszcze minuta. Wytrzymaj. Skup się. Chrupnęła sucha gałązka, wódz ludożerców wybił się do skoku. I wtedy w lesie rozległ się głos.

- Łukasz, do jasnej cholery! Znowu nie będziesz mógł wstać!

Mężczyzna wzdrygnął się i gorączkowo kliknął myszką. Kurwa! Jak zwykle wystarczył moment. Z wściekłością zerknął na ekran. Wytatuowany wróg wbijał dzidę w plecy jego postaci. Uderzenie krytyczne. Zobaczył jeszcze, jak ludożercy szlachtują wieśniaków i ekran zszarzał, zmieniając się w zakurzony nagrobek. Tu leży Finravel z Dubh, przeżyła sto siedemdziesiąt dwie godziny, szesnaście minut i osiem sekund. Miała wspaniałe cycki, niespotykane w realu, w tym najnudniejszym ze światów. Wczytać ostatnią zapisaną grę? Pewnie. Tylko że on rzadko sejmował, bo to zabija emocje.

Mówi się, że gry nie wymagają wyobraźni. Gówno prawda. W przypadku Łukasza aktywowały ją lepiej niż książki. Najlepiej grało mu się wtedy, kiedy całkowicie utożsamiał się ze swoją postacią.

Ktoś małostkowy mógłby nazwać to kompensacją. Zauważyć sprzężenie zwrotne między jakością całonocnej rozgrywki a jakością życia. Im bardziej nie miał ochoty konfrontować się z rzeczywistością, tym łatwiej wtapiał się w wirtualne bytowanie. Im bardziej się zatapiał, tym więcej sprawiało mu radości. A jak jeszcze zawałił spotkania, terminy... dopiero robił się miodzik. Było w tym coś z gatunkowej przekory *Homo sapiens*. Cenimy kradzione jabłka i cudze żony. Klin wódki po kilku dniach picia jest przyjemniejszy w działaniu od niezobowiązującej pięćdziesiątki na rozruch. Lubimy nałogi, cholernie lubimy się staczać. Ale Łukasz, skądinąd biegły w arkanach duszologii, nie wnikał we własne motywy. Coraz mniej wierzył w psychologię, co raczej nie pomagało mu w pracy.

Karolina przyglądała mu się z pogardą. Po czterech latach uodporniła się na infantylizm Łukasza, który kiedyś uważała za tak zwany chłopięcy urok. Z każdym dniem dostrzegała u niego więcej odpychających szczegółów. Na przykład obsypany popiołem sweter. Albo niechlujną brodę, którą zapuścił chyba tylko po to, żeby robić z nich obojga pośmiewisko. Sposób trzymania widelca. Uśmiech.

Zawsze przypominał jej niedźwiedzia, nieporadne i ociężałe stworzenie. Gdzieś w tym znudzonym cielsku kryła się siła, która kiedyś ją zafascynowała. Z biegiem lat coraz rzadziej wydobywała się na zewnątrz i chyba całkiem zniknęła. Ktoś kiedyś powiedział jej, że Łukasz urodził się w niewłaściwej epoce. Że mógłby być dobrym myśliwym, wielorybnikiem albo rycerzem. Może. W czasach wymagających optymizmu, pracy w zespole i entuzjazmowania się kolejnymimiotami gadżetów jego osobowość po prostu plajtowała.

I pomyśleć, że miała przed nim facetów, którzy lubili się bawić i poznawać ludzi, wiedzieli, jak się ubrać i pokazać. Musiała skończyć akurat z tym pacanem. Właśnie tak, skończyć, to dobre słowo, gdy kobiecie za moment stuknie trzydziestka. Z wściekłością zagryzła wargi. Miała ochotę walnąć czymś ciężkim w niego i jego komp.

Żeby jeszcze coś z tego wynikało, żaglowiec w butelce, klaser bezcennych znaczków, cokolwiek. Łukasz ratował nieistniejące światy. Ciekawe, co robi, pomyślała z nagłym błyskiem złośliwości, kiedy oznajmię, żeby seks też sobie wyobraził. O ile już tego nie robi.

Łukasz zerknął na zegarek. Było mu głupio. Cztery godziny zleciały jak batem strzelił. Kolejny stracony wieczór. Obiecywał jej, że obejrzą razem jakiś film. Pieprzoną romantyczną komedię.

- Przepraszam, kotku.

Podszedł do żony i objął ją, uśmiechając się fałszywie. Pieprzę cię, kotku. I ani mru mru. W maseczce, z zielonkawym mazidłem na twarzy, wyglądała jak goblin. Tylko krzywej szabli brakowało, ale Karolina nie potrzebowała broni, żeby go po kawałku kastrować. Często zastanawiał się, co trzymało ich razem. Założyłby się, że ona też.

Dłonie Karoliny dotknęły jego brzucha. Obiecał jej, między innymi, że weźmie się za siebie i zacznie uprawiać jakiś sport. Karolina dbała o siebie z zaciekłością, która rosła z każdym rokiem. On łatwiej akceptował przemijanie, najchętniej przyspieszyłby cały proces. Odepchnęła go.

- Nie jestem twoją matką, do cholery. Nie musisz mnie przepraszać.

- To co mam robić? - zapytał bezradnie. Miał ochotę ją sprać.

- Po prostu bądź, Łukasz. Po prostu bądź.

\* \* \*

Klientka wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Wybiła trzecia. Łukasz położył nogi na biurku i przechylił do ust szklaneczkę whisky. Był spocony, nieogolony i wymięty. Najbardziej ekstrawagancki *image*, na jaki może sobie pozwolić dorosły, pracujący mężczyzna w poniedziałek o piętnastej. Brakowało tylko wsuniętego na oczy kapelusza.

Dobre wrażenie plus samopoczucie psuł jeden istotny szczegół. Leżąca na biurku wizytówka, na której tłoczone litery obwieszczały bezlitosną prawdę. Łukasz Klimkowski, psycholog. Szkolenia motywacyjne i kołczing, porady i terapia sukcesem. Ostatnie hasło nie było literówką, tylko modnym sloganem. Nie pomagamy ci, żebyś osiągnął sukces. Ty sam uzdrowisz się sukcesem!

Odbiło mu się trunkiem. I pomyśleć, że rano szedł do pracy z przecuciem, że coś

musi się wydarzyć. Marazm i zniechęcenie nie mogą narastać bez końca, w jego życiu nastąpi wiele zmian. Po południu nie był już taki pewien. Z kilku powodów.

Po pierwsze, dopadła go zima. Żeby jeszcze była siarczysta i śnieżna. Takie były, kiedy był mały. Z kuligami, sankami i mrozem. Wraz z przystąpieniem do zjednoczonej Europy w kraju Polan nastąpiły pedalskie niby-zimy. Ciepłe pluchy. Drogi były przejezdne, śniegu człowiek nie uświadczyl, a niebo przez pół roku wisiało tuż nad głową jak ołowiana czapa. W taką pogodę zwyczajnie nie chciało się żyć. Najchętniej zwinąłby się w kłębek pod biurkiem, przysypany słomą i resztkami liści. Dałby sobie rękę uciąć, że w liceum, w którym pracował, każdy o tym marzył. Dzieciaki, nauczyciele, wszyscy. Mimo to uparcie udawali, że żyją. Łukasz zazdrościł niedźwiedziom. Dlaczego nikt nie obwołał polskiej zimy trzymiesięcznym państwowym Świętem Snu?

Drugim powodem była praca. Dokładnie taka sama jak zawsze. Często żałował, że przeniósł się na psychologię. Chciał poznać siebie, dobre sobie. Funkcjonowanie umysłu, nieświadomość, mity. Zamiast tego nauczył się, jak motywować dzieciaki do wyścigu szczurów. Jak ściemniać straceńcom, że wszystko będzie dobrze.

Jakiś czas temu naszło go przykre otrzeźwienie. Zarabiał mało, jego praca nie miała sensu. Nikomu nie pomagał. Potrafił tylko gadać, nauczył się operować słowami typu motywacja, sukces i kompetencje. Zaliczał różne szkoły. Unia dawała kasę, samorządy musiały ją jakoś wydać. Równie dobrze mogłyby wynajmować kłownów, egzorcystów i radzieckich kosmonautów. Instalować Internet na Pustyni Błędowskiej. Liczyły się wypełnione faktury. I wszyscy byli zadowoleni.

A on? Kiedyś napędzało go poczucie misji. Miał coś do zrobienia, coś do odkupienia. Ale karmiczny dług, który popchnął go w stronę psychologii i pomagania, gdzieś się niepostrzeżenie wypalił. Razem z nim wypaliła się cała reszta. W jego uporządkowanym życiu nie było już miejsca na wyprawy w góry, spanie w dziczy, włóczenie się z plecakiem. Przyjaciele byli zajęci, żenili się, rodziły im się dzieci. Dziewczyny gwałtownie tyły. Życie było do dupy, więc nie traktował go poważnie. I kostniał, obrastał w obojętność i mentalne sadło. Ba, żeby tylko mentalne...

Dzisiejszy dzień nie różnił się od innych. Odhaczył agresywnego bandziora, z którym nie nawiązał żadnego kontaktu, a potem cycatą siedemnastolatkę, na najlepszej drodze do zostania kurwą. Panna miała do tego predyspozycje i Łukasz przestraszył się własnych myśli. Starał się nie patrzeć na jej piersi.

Violetta Bączek ze swoją obcisłą bluzką, cyckami i brakiem frekwencji przypomniwała mu fragment z Arystotelesa, który zafrapował go kiedyś na studiach. Podążaj za swym



powołaniem, najsilniejszą cnotą. Czyli, Łukasz rozwijał myśl mędrca, rób cokolwiek, byle dobrze. Jeżeli urodziłeś się złodziejem, to lepiej naucz się biegle kraść, zamiast partaczyć uczciwe rzemiosło. Oczywiście nie powiedział jej tego. Zamiast tego wygłosił pogadankę, jak ważne jest wykształcenie. Dziewczyna żuła gumę, przyglądając się mu spod zmrużonych powiek. Była bardzo seksowna i Łukasz z bólem uświadomił sobie, że jest otyłym, niezamownym facetem, którego młodość skończyła się nie wiadomo kiedy. I nagle ma dwadzieścia siedem lat. Wiek samobójców, ale on nie jest gwiazdą rocka. Zastanawiał się, jak to jest mieć władzę nad pragnieniami kobiet, jak to jest mieć władzę nad czymkolwiek.

Viola wyszła, kołysząc biodrami. Łukasz odprowadził ją współczującym wzrokiem. Współczuł samemu sobie. Kiedyś myślał, że ma dar pomagania, że umie dokopać się do zbolalej duszy. Teraz nie był już taki pewien. Ta robota przypominała wygaszanie hutniczego pieca poprzez nerwowe spluwanie. Ktoś miał psi obowiązek dać tym dzieciakom troskę i nie zrobił tego. I młodzi nie dawali rady. Padali, zamiast włączyć się do gry, stanąć za ladą fast fooda, okienkiem urzędu czy przed komputerem. Zamiast kupować. W końcu łososie dopływały do morza, lemingi skakały ze skał. Dorastały.

Drzwi otworzyły się i Łukasz ocknął się z zadumy. Lemingi. Myślał o pieprzonych lemingach, a przed nim stała kolejna klientka. Nie była lalką, to mógł stwierdzić na pierwszy rzut oka. Nie żeby była brzydka, ale ewidentnie w życiu chodziło jej o coś więcej, niż o prowokowanie męskiego *libido*. Panna miała na sobie spraną parkę i siatkowe rajstopy, do tego ciężkie buciory. Z takich się nie wyrasta, pomyślał Łukasz, ściągając z biurka własne utyłane glany. Nosił je nawet do garnituru, tylko one zostały mu z dawnej tożsamości.

- Dzień dobry. Pewnie chcesz porozmawiać o wyborze kierunku studiów? - zapytał, ukradkiem wsuwając do ust tic taca. Dziewczyna przyglądała mu się uważnie.

- Nie chodzi o mnie, tylko o mojego chłopaka - powiedziała cicho. Miała ładny, dźwięczny głos. Łukasz skonstatował, że Karolina od dawna zwraca się do niego piskliwym, wiecznie poirytowanym jazgotem.

- On ma poważne problemy. Świruje. Wychowawczynie mówi, że albo z panem porozmawia, albo wyleci ze szkoły. Przekonałam go. Proszę, pan musi mu pomóc - kontynuowała dziewczyna. Łukasz uśmiechnął się głupio. Moment, gdy dziewczyny zaczynają ci mówić „pan”, jest początkiem końca.

- Zaraz, zaraz. Jestem szkoleniowcem. Kołczem. Motywacja, asertywność, te rzeczy. W przypadku poważnych zaburzeń należy skontaktować się z fachowcem, najlepiej z psychiatrą klinicznym - odparł z wymuszonym luzem, pod którym budziła się panika. Co tu jest, kurwa, grane? Wybrał akurat to nudne, prywatne liceum, żeby unikać poważnych

problemów! Dziewczyna pokręciła głową.

- Jak na psychologa ma pan fatalną samoocenę. Zresztą wychowawczyni i tak go tu skierowała. Cześć.

Łukasz pacnął szczęką o biurko. Poważne Problemy wszedł do środka i psycholog od razu wiedział, że ma przesrane. Tylko zerknął i zaraz odwrócił wzrok. Już to było dla niego zaskoczeniem. Klimkowski nie bał się ludzi, tylko samego siebie.

Gość wyglądał *pierwotnie*. Jak zwierzę. Skinął Łukaszowi głową, rzucił na biurko papiery, które wyglądały na akta sądowe, i bez pytania rozwalił się na krześle. Włosy opadały mu niechlujnie na oczy, głowę wbił w przygarbione ramiona. Ręce skrzyżował na brzuchu, chowając dłonie pod pachy, jakby ktoś zawinął go w kaftan bezpieczeństwa. Kurtkę ramoneskę nosił rozpiętą. Brakowało tylko koszulki Toola albo Metaliki i obraz byłby typowy. Metalowiec, zagubiony w tanecznej popkulturze romantyk. Ale w tym szczeniaku było coś innego. Coś, czego Łukasz nie pamiętał z czasów, kiedy sam nosił długie pióra. Mózg wysyłał mu sygnały alarmowe, które starał się zignorować. Bał się, po prostu bał się gówniarza, który przed nim siedział.

Chłopak zaciskał pięści, aż zbieleły mu kostki. Prawą pięść miał podrapaną, jakby uderzał nią w jakąś twardą powierzchnię. Łukasz odruchowo rozejrzał się za dzwonkiem, na wypadek gdyby więzień był agresywny. Ale nie byli w więzieniu. Byli w szkole. Westchnął ciężko i odszukał dane delikwenta. Zaczynał kojarzyć. Przed oczami stanęła mu polonistka Basia, roztrzęsiona i przerażona. A więc to ten agent...

- Co my tu mamy... Nazywasz się Radosław Jurkiewicz, chodzisz do ostatniej klasy. Ksywka Igi. Miałeś już sprawę o pobicie. Skierowali cię do terapeutki. Orzekła, że jesteś niedojrzały emocjonalnie. Aha. Zrezygnowała? No dobrze. Poza tym to co zawsze. Komputerowe statystyki, średnia ocen, obecności. Ludzie wierzą w cyferki, jakby coś ważnego mówiły. A potem się okazuje, że gówno wiedzą.

Puścił do niego oko, zaoferował komitywę. Szczyl to olał. Cóż, najwyraźniej spudłował. Dla tego pokolenia komputery były najlepszymi przyjaciółmi. Nie do nich z krytyką Matriksa. Nie nadążasz, brachu. Sfera, którą jeszcze ogarniasz, kurczy się z każdym dniem. Przeszłość nieustannie umiera, wszystkimi porami świata wlewają się rzeczy obce. Wolał o tym nie myśleć. Wyciągnął do chłopaka rękę.

- Łukasz. Dla przyjaciół Klima. Będę ci mówił Radek, dobra?

Zero reakcji. Klima odruchowo skubnął brodę i kontynuował:

- Rozmawiałem z twoją wychowawczynią. Mówi, że pogorszyłeś się w nauce. Opuszczasz zajęcia i przychodzisz do szkoły... w bardzo złym stanie.

Właściwie to wcale nie mówiła. Szlochała. To nie była szczególnie zła szkoła, ale Baśka miała już dość. Była typową polonistką. Nie była przygotowana na tego typu historie. Na studiach nosiła warkocz i beżowy sweter. Czytała wiersze księdza Twardowskiego i unikała seksu. Łukasz spędził ten czas, paląc szlugi, wchłaniając browary i inne środki. Całymi dniami przesiadywał na skwerku między gmachami polonistyki i historii zwanym Kamiennym Kręgiem. Psychologię zrobił zaocznie. Do dzisiejszego dnia wydawało mu się, że jest wystarczająco zdemoralizowany, żeby nawiązać kontakt z młodzieżą.

- Zapytała, co ci dolega, a ty podniosłeś krzesło. A potem rzuciłeś nim o ścianę. Roztrzaskało się obok jej głowy.

Wzruszenie ramion. Jakby to było coś oczywistego.

- Dobra. Załóżmy, że nic się nie stało. Zapomnijmy o krzesłach i skupmy się na problemie. Ale musisz mi powiedzieć, co się dzieje. Nie bój się, zrozumiem. Też miałem siedemnaście lat.

Łukasz pochylił się i spojrzał chłopakowi w oczy. Zza potarganych włosów błyskały ślepie zaszczutego zwierzęcia.

Widział już taki wzrok. Uruchomiło się domino wspomnień, które od razu zatrzymał. Nie chciał w tym grzebać, nie miał czasu na własne koszmary.

- Hej, co z tobą? Co się dzieje?

Chłopak uśmiechnął się i rozłożył ręce. Łukasz zobaczył skórę jego prawej dłoni, na której ktoś zgasił papierosa. Całkiem niedawno, mógłby przysiąc, że w pokoju rozszedł się swąd palonego ciała. Westchnął.

Samookaleczenia były typowym objawem agresji, tyle że skierowanej do wewnątrz. Wystarczająco silni pastwili się nad otoczeniem, słabsi brali się za siebie. Autoagresja bywała też etapem rozwoju na duchowej ścieżce. Czasem.

Wzrok psychologa powędrował w stronę wiszącego nad ścianie krucyfiksu. Ciekawe, czy On też nie znosił rodziców i szkoły, czy wykrzyczał tatusiowi w niebo: „Nie jesteś moim ojcem!”. A może, gdyby nie zajął się Nim Kajfasz, Joshua sam by się przybił do desek.

- Ciąłeś się, hę? Też lubiłem. W liceum robiliśmy sobie braterstwa krwi. Raz po koncercie *Life of Agony*... miałem potem ksywkę Siecioł, czaisz? Zresztą sam zobacz.

Łukasz odsłonił rękaw koszuli i podsunął dzieciakowi pod nos przedramię. Stare dzieje, jabolowe blizny. *Punks not dead*. Ciemne oczy znów błysnęły zza nastroszonej grzywy.

- Nie ma czego demonizować, chłopie. Nie ty jeden hartowałeś se szlugi na rękę.

Dzieciak posłał mu urażone spojrzenie. I zapadł się, zwiesił głowę, splótł dłonie

poniżej kolan. Błąd, do jasnej cholery. Przecież ten biedny szczył rozrabia właśnie po to, żeby ktoś zwrócił na niego uwagę. Zapomniałeś już, jak to jest? Nagle przypomniał mu się obrazek Mleczki, na którym lalunia robi sobie w biurze *manicure*. Nogi trzyma na biurku z napisem „telefon zaufania” i rzuca do słuchawki znudzone „To powiesz się pan”.

Psycholog sapnął i sięgnął po papierosa. Zapalniczka wymknęła mu z otłuszczonych palców i spróbował ją złapać. Oczywiście potracił łokciem kubek z kawą. Zdażył jeszcze zakląć i zamarł w oczekiwaniu na bury bryzg, rozchodzący się po podłodze i ścianie. Nie miał za grosz refleksu. Ale chłopak miał. I dwa metry do pokonania.

- Proszę - powiedział cicho, podając mu naczynie. Pełne.

Łukasz rozdziawił usta. Gdyby przebywał w fokarium, ktoś zdażyłby wrzucić tam kilo szprotek.

- Ukąsił cię radioaktywny pajak? - zapytał.

Chłopak uśmiechnął się. Widać było, że demonstracja zręczności sprawiła mu przyjemność. Łukasz chrząknął. Nie bardzo wiedział, co mu powiedzieć. Przecież ten szajbus może z powodzeniem skoczyć na niego i rozszarpać mu gardło.

- No dobra. Powiesz mi, co się dzieje?

- Mam sny. One... składają się w całość. Kiedy się budzę... to jakbym zasypiał. Jakby to nie było prawdziwe życie.

Być może wcale się nie mylisz, pomyślał Łukasz. Sam też nie był przekonany, że można nazwać ten szajs prawdziwym życiem.

- Ostatnio jest znacznie gorzej - powiedział chłopak. Wbił wzrok w przestrzeń, szukał właściwych słów. - Prześladowuje mnie jakiś stwór. Twarzy nie mogę zobaczyć. A potem... potem rzeczywistość jest dziwna. Inna.

- Możesz opowiedzieć coś konkretnego? Jakiś przykład? - zapytał Łukasz ostrożnie.

- Na przykład słyszę myśli. Kobieta od polskiego niefajnie o mnie pomyślała...

- Yhy... Muszę o to zapytać. Czy ty coś bierzesz?

- Korki z matmy. Od tego się świruje?

Łukasz rozejrzał się bezradnie, jakby biurowe sprzęty mogły udzielić mu pomocy. Miał ochotę posłać gówniarza w cholerę. Zadzwoiła komórka. Karolina. Pytała, czy jest zajęty. Zegar na biurku pokazywał dziesięć po trzeciej. Nie był. Słuchał zażaleń swojej żony, wyłuskiwał jej niepewność i przemilczane pytania. Połowa każdej rozmowy składa się z tego, czego człowiek z jakichś powodów nie mówi. Czasem wyłapywał te ukryte fragmenty, dlatego bywał dobrym psychologiem. Karolina nie miała udanego dnia, to pewne. Zasłonił głośnik i wskazał chłopakowi drzwi.

- Musimy kończyć. Przyjdź jutro. Pomogę ci, rozumiesz?

Chłopak zaśmiał się i ściągnął kurtkę. Mignęła koszulka z trupimi czaszkami, ale Łukasz nawet na nią nie spojrzał. Zobaczył ciekawsze rzeczy. Ramiona dzieciaka były pocięte, zapewne tępym nożem. Albo szkłem z rozbitej butelki. Na lewej ręce miał świeży opatrunek, nasączony krwią. Może chciał podciąć sobie żyły? Ale kto tnie żyły koło łokcia? Jedna z ran, trochę powyżej łokcia, wyglądała jak ślady zębów. Fani metalu często byli popierdoleni, ale czegoś takiego jeszcze nie widział. Dzieciak z powrotem założył kurtkę i skierował się do wyjścia.

- Jutro będzie już za późno. To coś mnie zabije, rozumie pan?

- Jak to? Kto zabije? Igi, czekaj...

Dziwne. Nawet nie trzasnął drzwiami. Boże... Ktoś powinien zawiadomić policję. Ktoś... Ale niekoniecznie on. Nie był przecież policjantem. Miał inne obowiązki. Był terapeutą, i tak dalej, ale odpowiedzialność za innych ma swoje granice.

Zamknął oczy i poczuł w czaszce igielki bólu. Przed oczami zamajaczyło mu ciało nieżyjącego człowieka. Przypomniał sobie, z czym kojarzył mu się wyraz oczu Igiego. Oglądał już taki wzrok. Upił łyk kawy i uświadomił sobie, jak bardzo się zdenerwował. Aż mu zęby szczeły o kubek. Brrrr. Ocalała kawa smakowała, jakby ktoś do niej naszczał. Ktoś bardzo niemiły.

\* \* \*

Alina dogoniła Igiego za winklem. Było to ich ulubione miejsce. Tajna droga do szkoły. Jeżeli jechało się autobusem 308, był to świetny skrót. Zawsze przełaził przez płot i witał się z nią. Potem wypalali papierosa. Nawet jak mieli się spóźnić na lekcje.

- No? I co ci powiedział?

- Nic. Pierdoły. Psychologiczny bełkot.

Dziewczyna odchyliła się i spojrzała mu w twarz. Miała niebieskie oczy i mocno zarysowane kości policzkowe. Była ładna naturalną urodą, której nie podkreślała strojem. Wręcz przeciwnie, zdaniem matki Igiego ubierała się jak abnegatka. Zgniózielona parka, hipisowskie szmatki. Ciemnoblonde włosy nosiła rozpuszczone, choć aż prosiły się, żeby związać je w warkocz. W dawnych czasach takie kobiety zabierały konających wojowników z pola bitwy. Gdzieś o tym czytał.

- Ale to nie są bzdety - powiedziała, najspokojniej jak umiała. - To nie jest film. To się dzieje naprawdę. Sam mówisz, że z każdym dniem jest gorzej. Od tygodnia nie możesz spać. I masz te... te ślady. To musi być jakaś choroba.

- Taaa. Chyba wściekłych krów.

- No co? To może twój stary wrócił i ci to zrobił?

Teraz on się zezłościł.

- Mówiłem ci już. Masz nigdy o nim nie mówić!

Zdmuchnęła kosmyk włosów i spojrzała na niego spod oka. Igi był dziwnym gościem. Całymi dniami gdzieś zniknął, przemykał się po korytarzach jak duch. Myślała nawet, że ćpa, ale to nie było w jego stylu. Ostatnio zmieniła mu się twarz, rysowało w niej coś męskiego. Podobało się jej to coś.

- Chodź do mnie - powiedziała cicho.

Igi przełknął ślinę. Pocałował ją niezdarnie, uderzając zębami o jej zęby.

Na moment zamarli, wymienili zdziwione spojrzenia, ale nie dała mu wybuchnąć śmiechem. Oparł dłonie na jej dzinsach, przyciągnął Alinę do siebie. Gładził jej plecy, ale jakoś machinalnie. Czują, jaki jest spięty.

- Ale fota. Normalnie Romantik.pl - zapiął piskliwy głos, pełen pogardy i okrucieństwa. Wtórowały mu gwizdy i szydery rechot. Siwy, Bracia i dwóch pomagierów.

Siwy i Bracia pasowali do siebie. Wyglądali jak postacie z powieści Cervantesa, które Miguel naszkicował na kacu, po czym zmiął w garści i cisnął do kosza na śmieci. Albo trzy zeskanowane gówna. Prowodyrem był Siwy, to on za nich myślał. Wysoki i żyłasty, miał twarz z gatunku tych, na które pasażerowie nocnych starają się nie zwracać uwagi pilnie wpatrzeni w widok za oknem albo własne buty.

W jego gangu najbardziej wyróżniali się Bracia, reszta robiła za chórek. Bliźniacy toczyli się obok Siwego niczym kamienne kule, wprawione w ruch przez wrednego miotacza. Na ich drodze co rusz zwał się jakiś kręgiel, brocząc z rozbitego nosa, oddając fajki i portfel, odpluwając zębem. A Bracia nie przestawali polować. Ludzkość spisała neandertalczyków na straty. Nie lubili jej.

Igi przestąpił z nogi na nogę.

- No dobra, Siwy. Weź przestań - powiedział pojednawczo.

Odwoływał się do komitywy, której nigdy między nimi nie było.

Od końca gimnazjum prawie go nie widywał. Spiknęli się jakiś czas temu, kiedy Igi pożarł się ze swoją ekipą. Siwy przygarnął go jak bezpańskiego psa. Było fajnie, aż do imprezy, na której Siwemu zginęła wódka. Oczywiście zwalili wszystko na niego. Że niby on podpierdolił. Siwy nałożył mu dług i wyliczył astronomiczne odsetki, a on, kompletny frajer, wziął od niego w komis sto gramów skuna, żeby spłacić.

- Ale świnię wyhaczył! A ja myślałem, że ty pedał jesteś! - Siwy zapiął z zachwytem i

podszedł.

Igi zrobił krok do tyłu.

- Nie peniaj - uspokoił go Siwy. - No nie bój się, kurwa. Kolegów nie poznajesz?

Rozstawili się kręgiem, wietrząc. Igi po raz setny w tym miesiącu przeklął się za to, że wziął od nich skun w komis. To był fatalny pomysł, ale potrzebował pieniędzy. Teraz za to zapłaci. Czuł, jak budzi się w nim gniew, ale nie pozwolił mu zaistnieć. Już widział twarz kuratora. No to się dograłeś, synek... Chciał odepchnąć Siwego, ale sparaliżowało go. Powitał znajome uczucie mdłości, miękkość nóg, wrażenie nierealności. Tchórz. I zrobił rzecz najlepszą z możliwych. Zamknął oczy.

- Nie mam kasy - wyszeptał.

- Chuj z kasą. Twoja suczka robi mi loda. To jak?

- Lepiej sam obciągnie - rzucił któryś.

Zaraz odpuszczają, przecież nic im takiego nie zrobił. Odejdą, oni zawsze odchodzą. Igi rozluźnił mięśnie i otworzył oczy. Zobaczył twarz Aliny, był w niej lęk i coś gorszego. Litość. Aż nim od tej litości zatrzęsło. Nabrał powietrza i zrobił coś, na co absolutnie nie mógł sobie pozwolić. Spojrzał w Siwemu prosto w oczy i odepchnął go z obu rąk.

- Spierdalaj.

Z boku nadleciała w jego stronę pierwsza plomba. Cios był obszerny i niedbały, zadany otwartą ręką, ale doszedł. Zarzuciło nim i obrócił się na pięcie. Kątem oka zarejestrował zszokowaną Alinę i wtedy wsiedli na niego Bracia.

Pierwszy popchnął go z obu rąk, drugi przycupnął za jego plecami. Nogi Igiego powędrowały w powietrze. Niezdarnie zamortyzował upadek, zdzierając dłonie o beton. Ktoś kopnął go w zębra. Odruchowo zwinął się w pozycję embrionalną, modląc się, żeby nie skakali po czaszce.

\* \* \*

Łukasz zamknął drzwi „gabinetu” na klucz i skierował się do szatni. Korytarze były już puste, jego kroki głucho klepały na parkiecie. Łukasz Klimkowski, dobry duch XXV LO. Na dole pozdrowił ciecia, który wyjrzał z kanciapy, będącej niegdyś szkolnym sklepikiem. Podobno był kiedyś ubekiem. Łagodny, z wylupiastymi oczami dziecka, Karasiak stanowił dowód na to, że nie wszyscy ludzie dawnej nomenklatury ustawili się. Tkwił w półmroku podziemi, gdzie mieściła się szatnia, niczym nieszkodliwy upiór. Uczniowie pomiatali nim, bezwzględnie wyczuwając słabość.

Cieciu wychylił się z kantorka, odkładając kolorowe pisemko. Na stoliku parowała

herbata w poplamionej szklance.

- Co się tam dzieje? - zapytał go psycholog.

Przez uchylone okienka dobiegały podniesione głosy. Karasiak wzruszył ramionami w przepraszającym i bezradnym geście.

- Mógłby się pan zainteresować. Jest pan ochroniarzem czy nie?

- Tylko na pół etatu. Formalnie to jestem stróż.

Łukasz wyrzwał przez wąskie okienko. Na betonie migotało sportowe obuwie. Jaskrawo zielone, tak zwane oczojebki. Niedobrze.

- To może sprawdzi pan chociaż, czy są uczniami tej szkoły?

- Żeby mnie zatłukli? Panie, to zwierzęta są. Mi życie nie zbrzydło.

Na dworze krzyczała dziewczyna. Łukasz wybiegł, zostawiając kurtkę w rękach ciecica. Karasiak posłał w ślad za nim złotą myśl, trafiła go w plecy przy drzwiach.

- Łobuz zawsze jest od nas silniejszy!

Stali tuż za winklem, pięciu małych bandytów, o dekadę młodszych od niego. Prowodyr miał jasne, prawie białe włosy, był wysoki i żylasty. Była też ta dziewczyna w parce, bardzo ładna i bardzo przestraszona. Oraz Igi, jego ostatni pacjent, który turlał się po betonie, cudem unikając kopniaków. Łukasz nie myślał o tym, jak komicznie wygląda. Utyty brodaty misiek, który po przebiegnięciu paru metrów traci oddech. Bo zwykle kłusuje objuczony zbroją, w kolorowych światach *Warcrafta*. Nie wiedział nawet, skąd wpadł na pomysł, żeby trzymać przed sobą komórkę, jak kapłan krzyż.

- Zostawcie go! Policja zaraz tu będzie - powiedział najspokojniej jak mógł.

Kątem oka zauważył, że banda rozsypuje się, adidasy plaskały o beton. Dobrze. Liczył na to, że rozpierchną się przed starszym.

Nie przestraszyli się. Ktoś rąbnął go w głowę, Łukasz odruchowo zasłonił się przedramieniem i wierzgnął. Na studiach trenował karate. Obrotowe kopnięcie, zbyt wolne, zamiast trafić przeciwnika w bok poszło niżej, smyrgnęło po udzie. Ale ciężki but zrobił swoje, napastnik zwinął się, poturlał, zaskowyczał z bólu. Drugiego wyrzwał pięścią w żuchwę. Bandzior usunął się na bok, ustępując miejsca następnemu.

Był to ten sam krępy typ, który właśnie gramolił się po betonie, i Łukasz na chwilę zbaraniał. Bliźniak zasypał jego głowę krótkimi ciosami. Bił z bliska, właściwie bez zamachu. Trwało to może kilka sekund, a Klima już osuwał się na ziemię. Coś wbiło mu się w żebra. Po oczach spływała mu krew, przez czerwoną mgłę słyszał granie rogu. Mdłał.

Szlachetny rycerz pokonany przez obozowych ciurów. Zdążył się jeszcze zastanowić, czy w ogóle przeżyje, i wtedy świat zapalił się i rozkaszał. Wrogowie znikli, uderzenia



ustały. Miał gdzieś, że oczy go palą, a oddech kuli się w gardle. Ktoś pomógł mu wstać, ktoś wciskał mu w ręce kurtkę.

- Numerka pan zapomniał - gderał Karasiak, otrzepując mu koszulę.

Przez załzawione oczy Łukaszowi zamajaczył pojemnik z gazem pieprzowym w ręku starego ubeka.

- Taki duży, a głupi. I po co to panu było? To wszystko jedna hołota. Mówiłem, że łobuz jest od nas silniejszy. Pan nie jesteś *fizyczny*. Studenci do nauki, panie.

Łukasz zamrugał i rozejrzał się. Boisko było puste. Nawet mu nie podziękowali.

## ROZDZIAŁ 2

*Nasi królowie pomarli lub ich zabito  
U przeprawy, przez zdradę starą jak świat.  
Nasi bardowie zginęli, przepędzeni z zamków  
Szlachetnych panów cierniem i jeżyną.  
Byliśmy ludem wychowanym na legendach,  
Ogrzewającym swe ręce w czerwonej przeszłości.*

### POEZJA WALIJSKA

Płatki wilgotnego śniegu robiły co mogły, żeby spowić pobojuwisko całunem. Spadały na poszczerbione tarcze i wpatrzone w pustkę oczy, bajora krwi i rozwłoczonych jelit. Łagodziły i skrywały makabrę, ogrzewały ciała, które zdążyły już wystygnać, przewiane wiatrem znad morza. I nieuchronnie przegrywały z temperaturą, zmieniając się w krwawe błoto. Szła pierwsza wiosenna odwilż.

Bedevir klęczał przy ciele króla. Patrzył na jego siwą brodę i pergaminową skórę człowieka wyniszczonego chorobą. Ściągnięta twarz Artura wyrażała zdziwienie, jakby do końca nie wierzył w klęskę.

Bedevir też nie potrafił w nią uwierzyć. Rozejrzał się wokół. Ta ziemia powinna odmienić się, krzyknąć. Przecież umierał Artur, jej król i obrońca. Człowiek, który był Brytanią, a przynajmniej ostatnią nadzieją Brytów. Ale pola Kamlann milczały, wreszcie ciche i opuszczone przez żywych. Raz jeszcze spojrzął na króla i odetchnął z ulgą. To już koniec. Trzeba się zbierać, nim dopadną go wracający Sasi. Nagle drgnął. Artur otworzył oczy. Wpatrywał się w niego z oddali, jakby pokonywał otchłanie czasu. Głos władcy był cichszy niż szept:

- Ekskalibur... Wrzuciłeś mój miecz do morza?

Pokiwał głową, unikał wzroku umierającego. Oczy Artura rozbłysły, głos brzmiał jak chrzęst zamierających żaren.

- Co widziałeś? Wiatr szumiał, leniwie pluskała fala?

Bedevir przytaknął. Czuł się podle. Jakby ktoś wypalił mu na czole znak zdrajcy. Jego twarz, młoda i dziwnie krucha, jakby życie nie nauczyło jej dotąd twardości, dosłownie

rozpadała się w oczach.

- Tak, panie - miał wrażenie, że z zaciśniętego gardła wydobył tchórzliwy pisk.

- Kłamiesz! - zazgrzytały żarna. Potem wzrok króla złagodniał. Znowu był mądrym władcą, kochanym przez rycerzy, damy i maluczkich. - Giermku...

On wciąż nie pamięta mojego imienia, pomyślał Bedevir z chłodnym zdziwieniem. Pięć długich lat warował przy nim jak pies, nosił mu wino i driakwie, strzegłem komnaty i opróżniałem nocniki. Nie spałem z jego żoną, jak Longherin, a on wciąż nie wie, jak się nazywam. Ja, ostatni z królewskich rycerzy. Zachciało mu się śmiać.

- Nie możecie... go zatrzymać...

Wychudła pożółkła dłoń, upstrzona wątrobianymi plamami, wczepiła się w ramię rycerza. Już stygła, przynależała gdzie indziej. Jak szare ptaszysko z zaświatów ciągnęła go za sobą w mrok. Bedevir milczał. Nie patrzył na człowieka, którego okradł. Głowa króla odchyliła się i Artur skonał. Delikatnie zamknął mu powieki. Zastanowił się przez chwilę, wreszcie wziął zwłoki pod ramiona i powłókł polami śmierci.

Leżące pokotem ciała barbarzyńców były porozcinane jak bochny. Deptał po nich z mściwą satysfakcją. Nie rozróżniał ich barw ani plemiennych znaków. Dla niego każdy jasnowłosy, piegowaty dzikus w germańskich portkach był po prostu Sasem. Jednym z Ludzi Miecza, okrutnych i zdradzieckich najeźdźców, którzy od przeszło stu lat podbijali jego kraj.

Tam gdzie bronili się przybocznicy saskiego króla, zwały trupów przypominały palisadę rozsypaną uderzeniem tarana. Sam Gudwulf skonał z uśmiechem na butnej twarzy, przepołowionej wraz z hełmem.

Większą część płowej brody, która wystawała zza osłony na policzki i nos, pokrywał czerwony skrzep. Mimo to śmiał się do końca ufny w swe zbójce szczęście. Jego plemię przywykło zwyciężać.

*Te psy nie boją się razów. Dlatego nigdy ich nie odgonimy.* Przeskoczył biednego Kaia, którego saski oszczep ostatecznie wyleczył z kaca. Pożegnał westchnieniem zrzedliwego Borsa, który leżał zmiażdżony końskim truchłem, z gladiuszem zatopionym po rękojeść w sercu jakiegoś Sasa. Fehmistrz miał zniesmaczoną minę, jakby nie dowierzał, że ktoś może zasłaniać się tak prymitywnym blokiem. Widział zdrajcę Mordreda, którego żałował ze względu na panią Morrigan, jego siostrę. Minał stopy potężnych, zakutych w żelazo huskarłów ze straży przybocznej Gudwulfa, obrzucając ich zabójcę, wielkiego Gwahlmaia, przelotnym spojrzeniem.

„I cięli ich jak zboże, i sami padali pod ciosami mieczy”, pisał setki lat później średniowieczny kronikarz o rycerzach Artura, walczących na polach Kamlann. Ostatniej

bitwie Artura. Klasztorny skryba znał tylko okrawki legend, przekręcał strony i fakty, ale tutaj nie minął się z prawdą. Rzeczywiście, cięli barbarzyńców jak zboże i sami padali pokotem. Tutaj zginęli najlepsi. Cały Okrągły Stół, wszyscy, którzy wrócili. Rozbili saski czworobok, po tym jak Gwallmai, w kronikach zwany Gawainem, przyjął na siebie sześć włóczy i obalił mur z tarcz ciężarem własnego ciała. Po nim przeszli inni, tnąc z góry zaskoczonych najeźdźców.

Zabili króla barbarzyńców, ale na tym skończyło się szczęście Brytów tego dnia. Zostało ich zbyt mało, zbyt wielu jeźdźców przypłaciło życiem desperacki atak. Nie pokonali nieprzyjaciela do końca. Jeden z nieprzyjacielskich wodzów, Cynric, zdołał się przebić i uniósł z pola walki sztandar Białego Konia. Barbarzyńcy przegrupowali się żądni zemsty, wciąż dużo liczniejsi. I zaatakowali Brytów z flanki...

Bedevir zamrugał, odpędził obrazy rzezi. Miał wrażenie, że w uszach wciąż dzwoni mu stał, a jego oddech jest charkotem rannych. Dotarł do brzegu morza, za wydmą kryła się niewielka zatoczka. Kołysała się tam prowizoryczna tratwa ze skór i związanych włóczy. Złożył zwłoki Artura na tratwie i splótł dłonie w modlitwie.

Potem cofnął się i wydobył z juków podłużny pakunek. Promień słońca przedarł się przez stalowe chmury, zawtórował mu błysk długiej klingi, wykutej starożytną metodą Celtów. Rękojeść mieniła się błękitną emalią, ostrze zmatowiało od krwi. Uniósł miecz do czoła i zbliżył się do tratwy. Stapał niepewnie, stopy miał ciężkie, wrastające w ziemię. Przerosła go własna rola. Wtedy rozległ się tętent kopyt. Wojownik szybko zawinął miecz w derkę i zagwizdał, przywołując wierzchowca. Przytroczył Ekskalibur z powrotem do siodła i dobył własnego miecza. Nadjeżdżało ku niemu sześciu zbrojnych na kudłatych koniach.

Przybysze zeskoczyli z koni. Ogromny, rudobrody Sas krzyknął z radości i potrząsnął toporem.

- A więc to prawda. Szezeł! Stary ozłoci nas za królewskie ścierwo!

Bedevir zastąpił mu drogę, unosząc miecz. Sas prychnął z pogardą i zamachnął się toporem. Rycerz zdołał uskoczyć, ale wyczerpane nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Upadł na piasek. Przeciwnik rozstawił nogi i oburącz uniósł topór nad głowę. Broń zaczęła opadać, gdy Bryt zwinął się i desperackim ruchem chlasnął Sasa pod kolaniem, przebijając but. Rana nie była głęboka, ale wróg stracił równowagę i cofnął się, utykając. Bedevir dźwignął się na nogi. Nadchodził kolejny napastnik.

Jak na Sasa był smukły, nosił krótką brodę, a na policzkach miał dwa skośne, rytualne nacięcia. Chroniła go dziwna zbroja z kościanych płytek, obwieszona warkoczykami i kolorowymi wstążkami. To skalpy, uświadomił sobie Bedevir. Cholernie dużo skalpów.

Sas władał wąskim, wyważonym ostrzem cudzoziemskiej roboty, władał nim z niespotykanym mistrzostwem. Parada, finta i wypad nastąpiły tak szybko, że Bryt nawet nie zauważył, jak miecz wyfrunął mu z dłoni. Przez moment patrzył na swego pogromcę z lękiem, ale opanował się i dumnie uniósł głowę. Spokojnie czekał na cios.

Przeciwnik przyglądał mu się z namysłem. Mogli być rówieśnikami. Powoli opuścił ostrze i trącił nogą szczątki Artura.

- Wracaj do swoich i opowiedz im, jaki los czeka każdego brytyjskiego króla.

Bryt nawet nie drgnął. Jego twarz była biała jak śnieg.

- Niezwykłe męstwo jak na niewolnika - zakpił Sas. - I tak nie wpuszczą cię do Walhalli.

Bedevir wpatrywał się w niego z napięciem, jakby utrwał w pamięci jakiś bezcenny obraz. W końcu odwrócił się i niespiesznie podniósł miecz.

Popatrzył na zwłoki króla, pokręcił głową w geście pożegnania, a może przeprosin i ciężko dosiadł konia. Zwierz zastrzygł uszami i powłókł się w mrok ze znudzoną miną.

- A pamiętaj, komu zawdzięczasz życie, chłopcze. Jestem Cynric, syn Credy.

Towarzysze Cynrica odprowadzili Bryta ponurymi spojrzzeniami. Rudzielec splunął i potarł zranioną nogę.

- To nie było rozważne. Ten człowiek będzie szukał twojej śmierci.

- Biadolisz jak stara niewiasta, Hulfie - zaśmiał się Cynric. - Przecież to tylko Bryt.

Hulf zaklął i mocniej ścisnął topór. Coś we wzroku Cynrica sprawiło, że odwrócił się jak skopany kundel. Poczłapał w stronę tratwy, sięgając po myśliwski nóż. Obliznął usta.

- Przesławny Artur. Twój ojciec ucieszy się, jak podaruję mu brodę tego psa. Można nią obić kozuch albo sztandar. Oberżnie się razem z łbem, szybciej pójdzie.

Cynric dogonił go i złapał za ramię.

- To był król, Hulfie, i ja też będę kiedyś królem. Poza tym był dzielnym człowiekiem. Zasługuje na szacunek. Oddamy jego ciało falom.

Jego ludzie zamruczeli niechętnie, ale zepchnęli tratwę w morze, brodząc po pas w zielonoszarej wodzie. Nie było wiatru, ale tratwa oddała się szybko, jakby kierował nią jakiś tajemniczy prąd.

Cynric pochylił miecz w geście salutu i dosiadł konia. Odjechali, popędzając wierzchowce, pokrzykując i hucząc jak drapieżne ptactwo.

Nie zauważyli ukrytego kilka metrów dalej człowieka, który odpelzał jak wąż w załamujących się odcieniach szarości.

Druid owinął się szarym płaszczem i skrył się za kupą kamieni niewidoczny i

doskonale nieruchomy. Nie musiał oddychać, w akademii nauczył się kontrolować oddech i wszelkie procesy życiowe. Jego kamuflaż był tak skuteczny, że zakrawał na czary. I rzeczywiście tak było. Bura szata w kolorze zbutwiałych liści uszyta była z kory pojonego krwią cisu i płótna utkanego przez ociemniałą wiedźmę. Nawet gdyby barbarzyńcy zachowali czujność, zauważyliby tylko cienie. Ale nie mieli do tego głowy.

Druid odprowadził wzrokiem tratwę Artura, mamrocząc jakieś zaklęcia. Przed oczami miał szarą mgiełkę. Nie tak miało być, przyjacielu. Za wcześnie. Nie tak. Spartaczyliśmy robotę, Cynned.

Wiatr przywiał słoną woń morza, zniecierpliwione kruki kołowały mu nad głową. Rhodri zadrzał i osłonił się kapturem. Nad pobojowiskiem zbierała się mgła i cieplejsze powietrze, ale i tak zdążył przemarznąć na kość. Nie wiedział, co robić dalej. W domu zapewne szalał już ogień, po klęsce cały kraj stał otworem przed wrogiem.

Mógł wracać do Cynneda, o ile stary nie czmychnął już dawno przez irlandzkie morze. Mógł też zostać tutaj, wśród swoich, i poczekać, aż jakiś morski rabuś zaaplikuje mu stal na doczesne smutki.

Coś zaszeleściło, przesuwało się chyłkiem po ziemi. Mignęły czerwone łuski. Druid wzdrygnął się i złapał zakrzywiony nóż. Wąż owinał się wokół jego stóp, dotykał kolan rozdwojonym językiem.

Chciał odpędzić poczwagę, ale zamarł w pół gestu. To smok, pomyślał Rhodri i opuścił broń. To czerwony smok. Stworzenie wbiło w niego wzrok, oczy lśniły w jego głowie jak miniaturowe szafiry w rubinowej bryle. Były stare i bardzo mądre, za mądre, by mógł je zrozumieć.

- Czego chcesz? - zapytał druid błagalnie. - Mów tak, żebym mógł cię usłyszeć!

Wąż przesunął się, wpełzł na porzuconą tarczę. Kontur gibkiego ciała rozmył się przez moment na zielonych deszczułkach, dopasował się do zdobiącego je wizerunku. Znowu czerwony smok. Rhodri wytrzeszczył oczy i przyskoczył bliżej. Zobaczył, jak wąż łapie swój ogon w zęby, wiruje zamkniętym kręgiem, powiela się, pojawia i znika. Po chwili rozmył się we mgle. Druid mamrotał, targając obwisłe wąsy. Jest wiele światów. Splatają się w sieć zależności. No i co z tego, przecież każdy to wie! Nagle jego twarz rozpromieniła się. Wymamrotał coś z niedowierzaniem i zaczął iść, przeskakując ciała i kupki oręża. Kulał na jedną nogę, lecz mimo to kuśtykał pewnie i zwinnie.

- Toż to czary, jakich jeszcze nie było. Ej, rycerz, rycerz - mamrotał. - Coś ty, nieboraku, przeskrobał?

Szedł szybko i w końcu potknął się o czyjeś zwłoki. Przez chwilę przyglądał się

znajomej twarzy. Nie pierwsza i nie ostatnia. Wielu z poległych znał od najmłodszych lat.

- Niech inni grzebią umarłych - wyszeptał. - Ja muszę się troszczyć o żywych. Nawet jeśli jeszcze nie żyją.

\* \* \*

Morrigan przeciągnęła się w cynowej wannie. Dobrze było być znowu w domu. Jej kornwalijska rezydencja, Tintagel, była mniejsza niż Camelot, ale zachowała więcej rzymskich wygód. Ciemnobrązowe sutki wynurzyły się z piany, torując drogę piersiom. Pieszczotliwie musnęła je palcami. Żałowała, że nikt nie mógł podziwiać tego widoku. Jej blade jędrne ciało ładnie komponowało się z czerwienią. Dziewczęca krew, suto podłana wonnymi olejkami, pieściła skórę czarodziejki, pomagając jej zachować legendarną gładkość.

Sama wybrała odpowiednią niewolnicę, młodą, witalną i zdrową. Jeszcze lepsza byłaby krew dziewicy, ale wśród uciekinierów północy i wschodu brakowało nietkniętych kobiet. Sasi słynęli z jurności i okrucieństwa. I chętnie łączyli obie przyjemności. Niewiasty, którym po stosunku nie rozpruto brzuchów, mogły mówić o wielkim szczęściu.

Ty też jesteś szczęściarą, powiedziała sobie. Cieszyła się z powrotu do domu. Posiadając jedyną cynową wannę po tej stronie północnego morza, czarodziejka czerpała z tego niekłamaną satysfakcję. Nawet papież w Rzymie nie dysponował lepszą. A już na pewno nie pluskały się w niej takie ślicznotki.

Dla Morrigan codzienna kąpiel była aktem patriotyzmu. Jej rodzinna kraina, Dumnonia, którą Anglosasi mieli później nazwać Kornwalią, od stuleci słynęła z kopalni cyny. Ten poszukiwany surowiec, niezbędny do wytapiania brązu, był źródłem bogactwa jej mieszkańców. Przypływali po niego już Fenicjanie, Mykeńczycy i żeglarze z minojskiej Krety. Nawet teraz, w mrocznej epoce najazdów i upadku zachodniego cesarstwa, nie ustawał handel. Pozwolił im zachować kontakty ze światem, wymieniać towary z dalekim Bizancjum i z Italią. Mimo to Morrigan wiedziała, że więzi handlowe z kontynentem nie powstrzymają barbarzyńców. Sasi stawali się coraz bardziej zachłanni.

Prędzej czy później jakiś król-rzeźnik ze wschodu stwierdzi, że zamiast zadowalać się okupem, prościej będzie zająć kopalnie dla siebie. Zaproponuje jej małżeństwo albo załomocze w bramy toporem. Musiała działać, wykorzystać cały swój czarnoksięski kunszt.

Stała na dywanie i wyzęła długie czarne włosy. Otoczyła ją służba z ręcznikami i przyborami toaletowymi. Dziewczęta starannie wytarły jej ciało, najrzęczniejsza zdrapała ze stóp władczyni zrogowaciały naskórek. Paulinus, aleksandryjski eunuch służący jej od dziesięcioleci, skłonił łysą głowę i wręczył swojej pani zapieczętowaną wiadomość. Morrigan

czytała, a jej doskonale, klasyczne rysy skrzywiły się w drapieżnym uśmiechu. Żegnaj, kochany wuju. Co do Mordreda, jej uczucia były dwuznaczne. Jej brat nigdy nie ukrywał, że nie zamierza dzielić się władzą z siostrą. Teraz też działał na własną rękę, choć jego rebelia bardzo się jej przydała. Być może dobrze się stało.

Człowiek Cynnedo dobrze się spisał. Musiał mieć głowę na karku, skoro wyszedł żywy z tej rzezi i jeszcze rozpoznał wróżbę. Nie ma co ukrywać, barbarzyńcy odnieśli wielkie zwycięstwo. Ale zdaniem Cynnedo nie wszystko było stracone. Znaki, o których powiadał agent, były niejasne, ale Cynnedo nie krył entuzjazmu. Kapłani Brytów nie zamierzali poddać się bez walki. Na razie stracili Artura, który nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań i do końca dochował wierności Chrystusowi. A przecież Najwyższy Król nie tylko odzwierciedlał kondycję swojego królestwa, ale również kształtował jego duchową siłę. Artur mógł uzdrowić Brytanię, ale zamiast tego sprowadził na nią śmiertelną chorobę.

Teraz kapłani uruchomili plan awaryjny. Gdzieś w innym miejscu i czasie druidzki pionek dotrze do krańca planszy. Na szachownicy pojawi się nowy hetman. I ktoś musi nim pokierować.

Morrigan wydeła usta. Gardziła Bractwem Cynnedo, z jego prawami i bezsilnymi bóstwami. Jej magia nie uznawała poddaństwa. Czerpała moc z samych korzeni mroku, bez pośrednictwa i zbędnych ograniczeń. Druidzi grali w przegranej drużynie. Utracili wpływy, kiedy Rzymianie wymordowali ich starszyznę na wyspie Anglesey. Potem usiłowali je odzyskać, wypełnić próżnię po upadku rzymskiej administracji, ale przegrali ze sługami Chrystusa. Dla ludu byli tylko marzycielami, wędrownymi zbieraczami folkloru.

Nawet poparcie Gourthigerna, tego Juliana Apostaty północnego świata, nie pozwoliło im się odrodzić. Pierwszy król odrodzonej Brytanii poniósł klęskę ścigany przez poczty biskupów. Za wcześnie ujawnił się z powrotem do pogaństwa. Kiedy doszło do wojny, druidzi okazali się nieprzydatni, a kler tępił ich bez litości.

Ona nie popełni takiego błędu. Żaden klecha nie skojarzy jej ze śmiercią Artura i nie oskarży o wrogię knowania. Jest królewską siostrzenicą, nieutuloną w żalu. Jego najbliższą krewną. Co złego w tym, że pełni rządy pod nieobecność króla?

Czarodziejka przygryzła koniec gęsiego pióra i szybko napisała dwa listy. Pierwszy zawierał polecenia dla Cynnedo. Jego agent ma zlokalizować wybrańca i przyprowadzić go do Tintagel. Cynnedo nie był pewien, w którym z megalitycznych kręgów pojawi się przybysz. Morrigan też nie wiedziała. Kręgów o wystarczającej mocy było sporo. Najsłynniejszy znajdował się nieopodal Camelot.

W grę wchodził też krąg na walijskiej wysepce Anglesey oraz odległy megalit Wyspy



Snów, hen u wybrzeży Szkocji. Był jeszcze czwarty krąg, zapomniana świątynia słonecznego boga Lugha położona w krainie Kernowów, w samym środku Wyspy. Najrozsądniej będzie wysłać ludzi do każdego z tych miejsc, ze szczególnym uwzględnieniem kręgu Kernowów.

Przeczcucie podpowiadało jej, że to może być właściwy punkt. Ale nie można zaniedbać innych ewentualności. Podejrzewała, że wyprawa na Wyspę Snów przypadnie w udziale nowicjuszowi, który podpadł radzie druidów. Nie chciała być w skórze biedaka, który wpadnie w niewolę Piktów i spędzi życie jako niewolnik wytatuowanych dzikusów.

Czarodziejka uśmiechnęła się i przeciągnęła jak kotka. Najchętniej wróciłaby do wanny. Ale woda zdążyła wystygnąć. Szkoda. Czarodziejka klasnęła w dłonie i wydała dyspozycje Paulusowi.

- Odpraw dziewczki i sprowadź mi jeszcze jedną niewolnicę. No i kogoś do towarzystwa. Ma być młody i silny, z wytrzymałym żołądkiem.

I broń Boże, nie chrześcijanin, jak ostatnio.

## ROZDZIAŁ 3

*Niech strzeże się ten, który nocą  
zabłąka się pośród jarów  
bo śmierć go dosięgnie niechybnie  
szponami czarnego koszmaru*

WYLICZANKA FILIDÓW  
Z WYSPY SNÓW

Igi obudził się zlany potem i długo nasłuchiwał w ciemnościach. Na twarzy wciąż czuł smagające gałęzie i ciernie, powietrze pachniało wilgocią i zbutwiałym drewnem. Kroki prześladowców umilkły. Ten sen był bardziej realny niż wszystkie dotychczasowe koszmary. Przedramię paliło, pod palcami wyczuł sączącą się krew. W porównaniu z tym, co przed chwilą zobaczył, kłopoty na jawie wydały mu się zwykłymi pierdołami. Zapaścił się głęboko w Czarny Las.

Nie umiałby odpowiedzieć, skąd wie, że tak nazywa się to miejsce. Ta wiedza narodziła się w nim wraz z pierwszą bytnością. Wiedział też, że podążające za nim kroki oznaczają śmierć, i zmuszał się do rozpaczliwego biegu. Strażnicy już o nim wiedzieli i rozpoczęli polowanie. Za każdym razem zapuszczał się coraz głębiej i za każdym razem jego prześladowcy pojawiali się szybciej.

Tym razem we śnie pojawił się też przedmiot, krąg wykuty z jasnego złota. Zanim zdołał go dotknąć, w ciemności rozbłysły żółtawe źrenice i po raz pierwszy ukazała mu się złowieszcza postać strażnika. Odrzucił naszyjnik i zaczął uciekać. Wróg dopadł go i rozorał mu ramię, ale Igi ostatkiem sił dał nura do ciemnego jeziora. Wiedział, że strażnik lęka się wody. Sprawdzonego sposobem zanurkował i nie pozwolił sobie na zaczerpnięcie powietrza, pozostając pod wodą tak długo, aż sen rozwiął się w agonalnym przebudzeniu.

Usiadł na łóżku i drżącymi palcami skręcił sobie papierosa. Zmarnował dwie bibułki, zanim niezgrabny skręt zadymił mu w wyschniętych ustach. W domu panowała cisza. Brodate twarze muzyków z blackmetalowych zespołów patrzyły na niego z pogardą, nie dając żadnego oparcia. Ozdobił swoją norę wizerunkami bandy frajerów. Co oni wiedzieli? Umieili tylko łąć na gitarach i garach, charcząc hymny do demonów, których nigdy nie widzieli na

oczy.

Ubrał się i złapał za długopis i kartkę papieru. Po namyśle zrezygnował z pisania listu. To niczego nie zmieni. Zrobi, co musi. Cokolwiek spotka go po tamtej stronie, będzie o niebo lepsze od istot z Czarnego Lasu. Ostrożnie wyjrzał na korytarz. W gabinecie ojczyma paliło się światło. Pewnie czatował z komputerowymi dziwkami. Otworzył okno, ostrożnie opuścił się na drewniany daszek altanki i wyskoczył do ogrodu. Ogrodzone osiedle było jak wymarłe, w oddali wznosiła się ściana drzew. Wiał zimny, porywisty wiatr, wyczerpane drzewa trzeszczały i pomrukiwały z przyganą, kiedy mijał je intruz. Igi brnął przez sypki, nieudeptany śnieg. Zaciśnięte pięści stężały mu w kieszeniach kurtki w obce, nieposłuszne bryły. Gdyby kogoś spotkał, z przyjemnością roztrzaskałby mu czaszkę. Ale to nie była pora na spacer. Księżyc wyłaniał się zza pędzących chmur i obrzucał go chłodnym spojrzeniem. Gdy zniknął, las zapadał się w mroku.

Znał drogę. Kiedyś lubił to miejsce. Las Kabacki miał w sobie tajemnicę. Nie był stary, ale nasiąkł tragedią i krwią. W końcu rozwalił się w nim samolot. Gangsterzy zakopywali tu ludzi, jeśli wierzyć pogłoskom ulicy, pod co drugim drzewem spoczywał skatowany trup. Był jeszcze guziec, a jakże. Dla Igiego i jego ekipy las był ulubionym miejscem spotkań. Na Ursynowie nie było pubów dla takich jak oni. Obszarpanych, długowłosych i ubranych na czarno. Ziomale z ławki w najlepszym razie mówili na nich „smutne skurwiele”, a czasem łapali agresora.

W lesie nikt się ich nie czepiał. W ciepłe noce godzinami grali na bębnach i palili ogniska. Czasem wcinali czarodziejskie grzybki, które pomagały, jeśli spożywało się je od wielkiego dzwonu. Igi czerpał siłę z tych nocnych spotkań. Wiedział, że poza szkołą i domem czeka na niego zgraja podobnych mu popaprańców. Przestał zadawać sobie pytanie, co jest z nim nie tak. Miał swoje plemię. Nieważne, że podsrywali sobie, popisywali się przed pannami i zawsze byli napruci. Dla niego mogliby tylko pochrząkiwać w łunie bijącej od ognia, na krawędzi ciemności, w której nie błyszczały już wilcze ślepia.

Potem wszystko się zmieniło. Na ognisku z okazji osiemnastki Kastora Igi zjadł jakąś dziwną pigułę. To na pewno nie była zwyczajna ekstaza, jego umysł naprawdę daleko zawędrował. Gdy wrócił, nic z tego nie pamiętał. Kręciło mu się w głowie, Kastor i Diabeł nabijali się z niego. Mówili, że jego ojciec jest chlorem i że on też będzie. Kastorowi szybko się znudziło, ale Diabeł nie odpuszczał. Był starszy od Igiego i miał reputację niezłego skurwysyna. Igiego uważano za niegroźnego szajbusa, zamkniętego w sobie milczka. Ktoś widział, jak gada z bezpieczeństwa psami, od tamtej pory wołali na niego „beastmaster” albo „Mowgli”.

Diabeł siedział rozwalony przy ognisku i rozwlekle komentował wygląd Igiego, jego sytuację rodzinną i perspektywy na przyszłość. Gdzieś w tle kryła się zazdrość o Alinę, którą Diabeł bezskutecznie podrywał. Igi przez jakiś czas słuchał go spokojnie. Nagle świat zasnuł się krwawą mgielką, a on dostał nagłego przyśpieszenia.

Kiedy odciągnęli go od Diabła, siedział na nim okrakiem i instynktownie zabierał się za wbicie mu nosa do mózgu. Wszędzie było mnóstwo krwi, przeciwnik już się nie ruszał. W uszach słyszał niemilkący, przytłumiony charkot. Pomyślał, że Diabeł dławi się krwią, ale potem zobaczył, jak znajomi cofają się przed nim z pobladłymi twarzami. To było jego warczenie.

Zostawili go samego. Długo siedział wpatrzony w nieprzytomną ofiarę. Miał silną pokusę skończyć to, co rozpoczął. Czuł też, że nie będzie już odwrotu, że równie dobrze mógłby zedrzyć z siebie ubranie i pobiec między drzewa, pić krew i zabijać dzieci.

Zamiast tego zawlókł Diabła na przystanek, zadzwonił z budki po karetkę i ulotnił się. Nie żeby miał wyrzuty sumienia, nic z tych rzeczy. Świat przez tyle lat dawał mu w dupę, że czuł się usprawiedliwiony. Rozsmakował się we wzbudzonym strachu, ale nabrał też zwierzęcej chytrności. Kiedyś zabije, ale na pewno nie przy świadkach.

Przez wiele dni i tygodni nie opuszczała go nieufność do samego siebie. Coś się w nim poprzestawiało. Złamało się jakieś tabu, poluzowały niezbędne hamulce. Narastała w nim furia skierowana przeciwko ojcu, którego nie widywał od lat, z którym nigdy nie wyrównał rachunków. U boku matki zastąpił go nudny i żaloszny ojczym. Stary odsiadywał wyrok i kto inny egzekwował na nim prawo karmy i sprawiedliwość bożą. Igi musiał wynajdować ofiary zastępcze.

Skatował przypadkowego pijaczka. Na koncercie Vadera złamał łokciem nos chłopakowi, który przepychał się od baru. Dostał nadzór kuratora, który szybko zaczął traktować go z rezerwą. Jakby przestawał wierzyć w wyuczone teorie o wpływie środowiska, trudnym dzieciństwie i sytuacji rodzinnej. Jeszcze jeden wyskok i zamkną go, zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego przez ostatnie kilka miesięcy nie zrobił nic głupiego. Poza Aliną nie miał nikogo. Dawni znajomi udawali, że go nie poznają. Nowi, typy pokroju Siwego, stali się jego wierzycielami i polowali na niego po lekcjach. Do tego dołożyły się nocne koszmary, seanse z Czarnego Lasu. Ewidentnie dostawał świra.

Tylko Alina jakoś z nim wytrzymała. Martwiła się o niego. Wczoraj wysłała go nawet do szkolnego psychologa. Poszedł, bo poszedł, ale niewiele to dało. Koleś był nawet w porządku, jak na zgreďa, ale Igi po prostu nie był w stanie opowiedzieć mu wszystkiego. Bał się, że kiedy zacznie mówić, od razu zamkną go u czubków.

Dostrzegł charakterystycznie zrąbany pień i odbił od ścieżki. Minał zagajnik chuderlawych leszczyn i wbił wzrok w samotne drzewo. Dąb był starszy od sąsiadów, bardziej powykrzywiany. Wyglądało na to, że umiera. Na wysokości trzech metrów zwisała z niego konopna pętla. Była to nierealna, gotycka scena, ale chłopakowi dyndający sznur nie wydawał się dziwny. W końcu sam go wieszał.

Zapalił papierosa i na próbę szarpnął linkę. Powinna wytrzymać. Powiesił ją zeszłej wiosny i dał sobie czas na przemyślenie sprawy. Podskoczył, złapał linkę i podciągnął się, chwytając gałąź. Trzymając się prawą ręką, lewą przerzucił pętlę przez głowę. Pieprzony mańkut, wszystko robił na opak. Ale zdechnie stylowo, nie ma co.

Na razie wciąż trzymał się gałęzi, nogami obejmował pień drzewa. Powinien teraz myśleć - o Alinie, starych, o sobie samym przynajmniej. Zamiast tego czuł pustkę, napiętą jak pękająca membrana. Rysowała się już, prześwitywała. Jedna, pieprzona rzecz, dla której miałbym tego nie zrobić, modlił się. Kurwa jedna.

Nazywał się Radosław Jurkiewicz i był leszczem. Zobaczył swój los, wykrzywiony w szyderczej grze luster. Tylko leszczu kończy ze sobą w taki sposób. Wszystko obliczone na efekt.

Przed oczami pojawiły się obrazy. Nie żeby całe życie przemknęło mu przed oczami. Parę scen. Dzieciństwo, odrzucenie, strach. Zbieranie i spuszczenie manta. Przyjaciele, wreszcie, dlaczego było was tak mało. I Alina. Spokojna, jasna twarz.

Przepraszam, mała, wyszeptał i pod powiekami zebrały mu się łzy. Poczł żal, wyobraził sobie, jak ona będzie po nim płakała. Przynajmniej ktoś. Obraz Aliny wmurował go w ciszę, litościwie zatrzymał czas. Tylko palce wciąż rozluźniały uchwyt.

Zsunęły się, pętla szarpnęła go za szyję. Wierznął w zwierzęcym odruchu i zaczął się dusić. Desperacko kopał w pień, ostatni wysiłek w walce, której nigdy nie zamierzał wygrać. Księżyc błysnął mu w wytrzeszczone oczy. Oburącz chwycił pień i desperacko usiłował się podciągnąć. Nie miał siły. Miał za to agonalne wizje, bo zza drzew wysunął się szary wilk i spojrzał na niego ze smutkiem.

Nagle kora ustąpiła i nacisk na krtań osłabł. But przebił się przez próchno i znalazł oparcie. Mały stopień, specjalnie dla niego. Mógł poluzować linkę. Kiedy był już z powrotem na ziemi, nie bardzo wiedział, czy chce mu się śmiać, czy kłać. Pokręcił obolałą szyją. Grunt, że się nie zesrał. Mandragory też nie zdążył posadzić. Jądra wciąż ścisnął mu strach, ale doszło do niego jakieś zwierzęce upojenie. Żył.

Dziupła znajdowała się jakieś pół metra nad ziemią. Przykucnął na śniegu i przyglądał się jej ciekawie. Wyglądała jak pusty oczodół. Zza chmur wysunął się księżyc, srebrne

światło zgasło na ciemnej korze dębu i odpowiedziało złotem. Igi wytrzeszczył oczy. Z dziupli emanował blask. Jakby oko boga lypało do niego z wyszczerzonej czaszki. Przelknął ślinę i wsadził rękę w otwór.

Wymacał zwitek papierów oraz jakiś zimny, gładki kształt. Okrągły, ledwo mieścił się w dziupli. Papiery wyglądały na stare dokumenty, pisane dziwaczną kaligrafią pełną zawijasów, opatrzone pieczęcią z orłem. Był jeszcze list, podpisany przez kogoś o nazwisku Ksawery Ordyński. Atrament wyblakł i rozmazał się, Igi zdołał przeczytać kilka urwanych zdań. „Tułaczka... Adampol... w polskim legionie w Turcyi... Sadyk Pasza... za Ojczyznę... Powstanie zduszone... Cytadela... zdrajcy... ochrana na moim tropie”. Dwa akapity zachowały się nienaruszone. Z trudem odczytał pismo.

*I tak, gwoli ratowania skrwawionej Ojczyzny, przyszło przysięgę mą złamać i służbę u Sultana porzucić. Pokonawszy trudności zbyt liczne, by można je było wzmiankować, ścigany przez pohzańskich siepaczy i agentów Moskwy, dotarłem do udźczonej Polski.*

*Z Turcyi przywiozłem niewiele. Jedna tylko ozdoba, osobliwie ze złota wykuta, nie daje mi w niczem spokoju. Znalazłem ów precjoz w ruinach ukrytej świątyni. Chram ów był ekstraordynaryjny. W urzędzeniu helleński, w smaku - barbarzyński. Ach, gdybyś kochana Anielu, widziała tamtejsze posągi! Techniczny kunszt sztuki greckiej, ale jakaż najdziksza ekspresja. Jakby wilcy na puszczy hiperborejskiej wyli, ale wilcy znający muzykę. A na ołtarzu tajemniczy bożek. Z czołem jaśniejącym, gładkim, lecz nie Mitra, nie Apollon, i nie Chrystus Pasterz. Jakieś węże, czarty, z gorączki wyległe chimery...*

Co za bełkot! Loooo! Poirytowany Igi zmiął list i cisnął z powrotem do dziupli. Przypomniało mu się, że niedługo ma maturę z polskiego.

Zostawił butwiejące szpargały i wy dobył na światło przedmiot. Wyglądał jak drogocenna złota obręcz, naszyjnik bohatera lub króla. Nie zamykała się, pozostawiając kilka centymetrów przerwy. Zakończenia miały kształt wężowego łba i spiczastego ogona. Naszyjnik. Piękny. Igi uśmiechnął się. To znak, najprawdziwszy znak. Może nie był aż takim leszczem.

Podniósł klejnot, dał mu zamigotać w promieniach księżyca. Ciekawe, jak się to zakłada. Dla zgrywy sprawdził, czy naszyjnik pasowałby na niego. Kruszec zadrżał i zgiął mu się w dłoniach, jakby chciał jak najszybciej znaleźć się na szyi.

Chłopak zamarł i cofnął ręce. Włosy zjeżyły mu się na karku, poczuł skupioną na sobie uwagę, niecierpliwą, wyczekującą. Przeraziłby się jeszcze bardziej, gdyby wiedział, że

Naszyjnik poddaje go wnikliwej ocenie. Zgarbiony, szczupły, z wiecznie przestraszonymi oczyma Igi był klasycznym typem ofiary. Jeżeli gdzieś istniał wzorzec kozła ofiarnego, to Igi plasował się blisko niego. Naszyjnik wyczuwał w nim też domieszkę innych emocji. Zastarzały ból i zapiekłą nienawiść, może pragnienie zemsty. Była to najlepsza z możliwych kombinacji. Jak na kawał wygiętego metalu Naszyjnik był bardzo inteligentny. Przez tysiąclecia nauczył się rozpoznawać potencjał swoich panów. W grze, w której był rozgrywającym i stawką, Nosiciel był kluczem do sukcesu lub klęski.

Naszyjnik był przekutą wolą, zastygłą w metalu potęgą, ale bez Nosiciela stanowił tylko stary, kosztowny złom. Tyle że obdarzony złośliwą inteligencją. Teraz przyglądał się chłopakowi uważnie. Wiedział, że wkrótce założy go na szyję. Kiedyś, w czasach dzikich wodzów i młodych królestw, żaden pastuch, świniopas albo wdowi syn nie oparłby się takiej pokusie.

Nawet jeśli przestrzegały go przed tym złowieszczy chłód metalu, mrowienie i strach. Ten nieszczęśnik zachowywał się inaczej. Czy coś się zmieniło? Czyżby dzisiejsi ludzie nie znali legend i nie mieli w sobie żądzę złota? Przez moment Naszyjnik poczuł niepokój, który ustąpił utrwalonemu poczuciu własnej wartości. Niczym piękna kobieta, nie był przyzwyczajony do porażek. To tylko kwestia czasu, widocznie istoty ludzkie stały się bardziej tchórzliwe. Najwyżej troszeczkę poczeka.

\* \* \*

Na wysepce przy ujściu Tamizy migotały obozowe ogniska. W naturalnej zatoczce chlupotały płaskie łodzie, którymi Saksonowie zapuszczali się w głąb łądu. Początkowo wyspa służyła łupieżcom za port i bazę wypadową. Po kilkudziesięciu latach Sasi zbudowali tutaj osadę, w której zimowali i zbierali siły na kolejne wyprawy. Najbliżej leżało Londinium, którego namiestnik, jeden z ostatnich rzymskich wodzów na wschodzie, wciąż odpierał najazdy.

W przeciwieństwie do niegdysiejszego władcy Kentu, Gourthigerna, który nierozważnie bratał się z Sasami, stary Marcus Gaulinus nigdy nie zaufał przybyszom. Dlatego jego miasto wciąż stało, ostatnia enklawa w tej części Brytanii. Sasi zadowalali się pobieraniem myta, ale na razie nie próbowali oblegać miasta. Czekali na wiadomości z północy, gdzie koalicja germańskich plemion osaczyła hufce Artura, najwyższego króla Brytów. Bo Artura się bali. Gdyby nie on, już dawno dotarliby do irlandzkiego morza.

Po wycofaniu brytyjskich legionów przez Honoriusza, pretendenta do cesarskiego tronu, ziemie Brytów stały się dla Germanów łatwym łupem. Cesarze ignorowali błagania o pomoc, potem zabrakło cesarzy. Na nieszczęście dla siebie, Brytowie żywili isticie celtyckie

umiłowanie niezależności. I nie znosili mieć nad sobą władzy. Każdy posiadacz ziemski, właściciel willi czy naczelnik wioski tytułował się królem. Zazwyczaj jego panowanie było krótkie. Sam królik miał szczęście, jeśli z wylupionymi oczami obracał żarna młyna w którejś z osad na wschodzie. Zdobywca Kentu, Hoffa, mógł dzięki temu chełpić się, że każdy z jego wojów bierze królewską córę i jada królewski chleb. Dopiero Artur zmienił to wszystko i na dwadzieścia lat zatrzymał pochód Angłów, Sasów i Jutów.

Przystani pilnowało dwóch wartowników. Umilali sobie służbę turlaniem kości po szerokiej tarczy. Usłyszeli chlupotanie przybijającej łodzi, ale nie przerwali gry. Brytowie nie mieli floty. Pilnowali statków, żeby nikt nie wypuszczał się na samowolne rajdy. Młodszy Sas odwrócił głowę i spojrzał w kierunku brzegu. Łódź wydawała się pusta.

Strażnik zaklął i dźwignął się z ziemi. Zdążył zrobić tylko krok i poczuł na szyi chłód ostrza, niebezpiecznie uciskającego tętnicę. Jego towarzysz złapał za topór, ale zaraz odłożył go na ziemię.

- Gdyby to był najazd, już byś nie żył - rzekł beznamiętny głos.

Mężczyzna ostrożnie przełknął ślinę.

- Ale kto miałby... To my najeżdżamy - wyszeptał.

- A jeśli Jutowie zerwą pokój? Jak myślisz, co wtedy zrobią? Od dawna ciasno im w Kencie. Ja myślę, że spalą nam statki.

- Tak, panie - szczechnął żołnierz i uznał, że kiwnięcie głową byłoby kiepskim pomysłem.

- Nie zabiję cię, ale wezmę sobie pamiątkę. - powiedział głos.

Ostrze powędrowało do góry i płynnym ruchem odcięło wartownikowi ucho. Zawył i uskoczył, ściskając się za głowę. Oprawca uśmiechnął się.

- Nie słuchałeś. Na przyszłość lepiej je nastawiaj, chłopcze.

Okaleczony odszukał miecz i do połowy wysunął go z pochwy. Przybysz obserwował go kpiąco. Ostrze szczechnęło i zamarło w pół drogi. Tylko głupiec lub samobójca wyciągał miecz przeciw Cynricowi.

Od dalszych ognisk poderwało się kilka postaci. Minał je, kierując się w stronę zabudowań. Odważniejsi klepali go po plecach, inni odsuwali się z respektem. Mimo młodego wieku Cynric syn Credy był znany i otaczał go lęk, chociaż nie wszyscy widzieli w nim królewskiego następcę. Wrogowie powiadali, że Cynric był jednym z tych wodzów, którzy ładnie wypadają w pieśni, ale w prawdziwym życiu sprowadzają na swoich ludzi przedwczesną i bolesną śmierć.

Przed kilku laty ojciec wysłał go do krewnych na kontynencie, czując, że nie opanuje



temperamentu syna. Na wyspie obowiązywał rozejm, a Creda nie czuł się dość silny, żeby otwarcie wystąpić przeciwko potędze Artura. Jego szczerp przybył do Brytanii stosunkowo późno, gdy najlepsze ziemie na wschodnim wybrzeżu były już zajęte. Zajmował niewielkie terytorium, otoczone przez zasiedlone plemiona Kentu i wschodniej Anglii. Sąsiadów z germańskich plemion nie ruszał, bo ich pomoc mogła się jeszcze przydać. Bezpieczniej było pozwolić synalkowi i innym młodzikom wyszumieć się na którejś z niekończących się wojen w ich dawnej ojczyźnie. Cynric uszanował wolę ojca. Potem nieraz przyszło mu żałować, że opuścił wyspę.

Starszyzna naradzała się w sali Lorda. Creda powitał syna, miażdżąc mu żebra w niedźwiedzim uścisku. Książę z przykrością stwierdził, że stary nadal jest większy i silniejszy od niego, a ludzie traktują go jak bohatera. Za to Cynric był dla nich tylko młodzikiem. To, że walczył pod Kamlann, niczego nie zmieniło. Wojownicy z drużyny kochali jego ojca i starszych braci, którzy zginęli podczas sztormu. Cynric uważali za gówniarza, który bawił za morzem, gdy oni wykrawali dla plemienia nowy kraj. Creda nie uczynił go swoim dziedzicem, zresztą o wyborze wodza decydowało zgromadzenie wojowników. Młodszy brat króla, opasły i cuchnący Offa, miał silniejszą pozycję na wiecu. Książę liczył, że jego wuj, który znany był z łapczywości, zdechnie z przejedzenia lub zadławi się piwem. Ale Offa żarł i żłopał, jakby jego wstrętą gęba była gardzielą smoka, i nic nie wskazywało na to, by miał problemy ze zdrowiem.

Przez jakiś czas rozmawiali o bitwie, wychylając toasty za śmierć przeklętego Artura. Potem Creda zapytał syna, jakie ma plany.

- Pojadę na pogranicze ściągnąć haracz od tamtejszych Brytów.

- Pojedziesz - zgodził się król. - Ale jako zastępca Offy. Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Czym innym jest dowodzenie bandą młodzików, która czasem spali samotną zagrodę albo obrabuje wóz kupiecki, a czym innym prawdziwa wyprawa.

Książę stłumił gniew i posłusznie kiwnął głową.

- Jest jeszcze coś, o czym musisz wiedzieć - pokrótce zreferował królowi spotkanie z dziwnym posłańcem, którego spotkał na gościńcu. Ta sprawa nie dawała mu spokoju.

- Musimy ich powstrzymać - powiedział Creda, spluwając w ogień.

Cynric pokręcił głową.

- Tutaj nie wystarczy miecz, ojczu. To czarodziejskie sprawy, na które trzeba odpowiedzieć magią.

Trzeci z mężczyzn, ogromny i tłusty, rozerwał pokaźną kość. Z siorbnięciem wyssał szpik i cisnął wołowy gnac w ogień.

- Nie rozumiem was, bracia. Wojna wygrana, Artur nie żyje. Nasi kochani Anglowie okrutnie przetrzebieni, i bardzo dobrze. Pod Kamlann pokonaliśmy najgorszego wroga rękami wątpliwych przyjaciół, wykrwawiając obu. Stąd do irlandzkiego morza nie mamy się kogo bać. A wy stękacie jak baby z powodu bredni jakiegoś magika.

- Człowiek, którego pojmałem, nie był zwykłym magikiem, Offo - powiedział Cynric spokojnie. - Był druidem, i to znacznym. Spotkałem go, kiedy wracałem z północy. Miał świeżego konia i pierścień, który respektuje każdy władca na wyspie. *Ich* władca. Jechał z Camelot. Przypiekłem go trochę i zdradził, że wiadomość brzmi „zaczęło się”. Brytowie znowu coś knują.

- Mało wiesz, chłopcze, a chcesz, żebym sikał ze strachu. Masz albo wyobraźnię skalda, albo język tchórza - odparł Offa i przyssał się do kolejnego gnata.

Cynric zignorował obelgę i uśmiechnął się łagodnie. Offa nie mógł dostrzec, że pięści zacisnął tak mocno, że rozorał sobie skórę.

- Masz rację, wuju. Opieram się na samych przeczuciach. Ale znam kogoś, kto powie nam więcej. Pod warunkiem że dasz mu mir w swoim domu, królu - zwrócił się do Credy.

- Nawet diabeł jest mi bratem, gdy zabija Brytów. Niech wejdzie - powiedział stary wojownik.

Mężczyzna, który pojawił się w kręgu światła bijącego od otwartego paleniska, był stary. Tak stary, że pamiętał puszcze starego kraju w czasach, gdy Roma trzymała się mocno, a strażnicy wybrzeża gromili floty germańskich piratów. Mówiono, że Werusk był jednym z żeglarzy, których Hoffa sprowadził na rokowania z królem Gouthigernem i jego starszyzną. To on wpadł na pomysł schowania sztyletów w cholewach i zaszlachtowania bezbronnych Brytów. Po tej rzezi nastąpiło bezkrólowie i cała wyspa stała dla wrogów otworem. Żadnemu Celtowi taki pomysł nie przyszedłby do głowy. Na polu bitwy trzymali się naiwnego plemiennego honoru, a rzymskie sztuczki zdążyli zapomnieć. Stąd imię, które nadali najeźdźcom. *Saxe*, czyli nóż. Pasowało do nich, jak ulał.

Król zerwał się i złapał za włócznię.

- Przychodzę tu jako przyjaciel, panie - powiedział starzec.

Creda podniósł broń do ciosu.

- Przyjaciel, dobre sobie! Otrułeś mojego brata!

- Twój brat przejadł się tłustą wieprzowiną, a mnie pomówiono. Zresztą to on był tym starszym, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi. Nie straciłeś na tym. Ale jeżeli nie chcesz mojej pomocy, odejdę.

Cynric położył dłoń na ramieniu króla.

- Potrzebujemy rady, ojcze.
- To diabeł. Sprowadzi na nas demony!

Czarownik wzruszył wątlymi barkami okrytymi wilczą skórą.

- Mylisz się. Sprowadzę je na waszych wrogów. Służę ci od dawna, królu, choć ty nie wiesz o moich wysiłkach. Wojownicy toczą wojny w tym świecie, ale to my, kapłani, tkamy pajęczynę losu.

O świecie udali się do świętego gaju Wotana. Werusk z zapalem zabrał się do roboty. Cynric przyglądał się poczynaniom czarownika i cieszył się, że nie zdążył zjeść śniadania. Zaskoczyła go własna słabość. Myślał, że widział już wszystko, a tymczasem już po kilku chwilach poczuł, że zbiera mu się na torsje. Brzozy zmieniały kolor.

Drzewo było już coraz bliżej, białe i rozpalone jak płomień. Naga ciemnowłosa kobieta biegła wokół niego po kurczącym się okręgu, ponaglana uderzeniami bata i własnym skowytym. Zrobiła ostatni krok i osunęła się, plamiąc brzozę smugami czerwieni. Nie miała już siły wyć. Z niedowierzaniem patrzyła na wstęgę wywleczonych jelit, owiniętą wokół pnia. Jej jelit. Była położną i właśnie zobaczyła ostatnią w życiu pępowninę. Ból przekroczył punkt krytyczny i zmienił się w oślepiającą jasność. Nie mogła już nawet drgnąć. Czarownik pochylił się nad nią z zaciekawieniem.

- Zawsze biegna do końca. Nigdy nie zdołam tego pojąć... A przecież ból smaganego grzbietu jest niczym w porównaniu z wywlekaniem trzewi - powiedział Werusk i pogładził się po brodzie. Sam też odczuwał ból. Ręka, w której trzymał bat, zdrętwiała mu nieznośnie. Nie był już młodzieniaszkiem. - Do końca wierzą, że ból ustanie. A może liczą na litość?

Cynric wypuścił bicz, odwrócił się i zwymiotował. Wiedział już, dlaczego ojciec przegnał czarownika. Brzozowy lasek przesycony był smrodem śmierci, odchodów i strachu. Ta była ostatnia. Werusk zamęczył dwanaścioro jeńców i wciąż nie był pewien, czy to wystarczy. Ale Creda nie miał na stanie więcej niewolników.

Czarownik przechadzał się między zaczerwienionymi brzozami i dotykał konających kosturem. Niektórzy usiłowali go przeklinać, inni patrzyli na niego, gasnąc. Czuł, jak siła życia przepływa przez kostur i zbiera się na rzeźbionej gałce. Werusk wyprostował się, jego krok nabrał dziarskości. Przepelniała go moc. Mógł rznąć bogów i pokrywać wiedźmy. Czuł żal na myśl, że zaraz się jej pozbędzie.

- Z bólu i strachu, przybywaj. W twych uszach wyją głodne psy, w twym sercu wzbiera czarny sen. Imię twoje brak, teraz dom twój płonie. Przybywaj!

W wrytym w darni dole zbierała się ciemność. Głos Weruska wezbrał potęgą, rzadkie włosy uniosły się targane wiatrem, odsłaniając łysą czaszkę. Księżę spojrział na gałązki brzoź,

nie trzepotał w nich żaden listek. Poślinił palec i z zabobonnym lękiem stwierdził, że wicher go nie dotyczy, zupełnie jakby stary mag przechadzał się poza tym światem.

Ciemność stężała i rozrosła się, zmieniając kolor. Mignął w niej inny krajobraz, las ciemnych drzew i krwawego nieba. Cynric zwilżył językiem zaschnięte podniebienie. Od dłuższej chwili modlił się do Wotana, ściskając kościany amulet z kamieniem w kształcie oka. Niech bóg, który pokonał śmierć i posiadał tajemnice runów, ochroni go przed czarną magią. Na szczęście krajobraz znikł, kontury świata uszczelniły się. W kręgu magicznych symboli skuliła się naga postać. Czarownik uśmiechnął się triumfalnie.

- Witaj, strażniku. Przyjemnie znów oblec się w ciało? W Czarnym Lesie polowałeś na cienie głupców. U mnie napijesz się ich krwi. Będziesz miał siłę dwunastu ludzi i serce żadnego. Nie zatrzyma cię wieża ni ból, nie prześcignie cię zwierz ani człek. Nie będziesz znał czasu i granic. Zrobisz, co należy. Złapiesz złodzieja i przywrócisz równowagę.

Głos Weruska osłabł. Chowaniec spojrział na niego z dołu. Młodą twarz zasłaniały włosy. Rysy były płynne i nieuformowane, zaledwie drzenie potencjalnych kształtów. Demon wyszczerzył kły i mag cofnął się.

- Rozszarpałbyś mnie, szelmo? Zachowaj apetyt na później.

Podszedł do najbliższej brzozy i oderżnął od zwłok kawał mięsa.

Cisnął je do dołu i z dumą słuchał odgłosów mlaskania. Najedz się, synku. I sprawuj się dobrze.

Gdy Cynric przemógł grozę i zbliżył się do jamy, była już pusta.

## ROZDZIAŁ 4

Janina Kopik bała się wielu rzeczy. Na poziomie globalnym obawiała się Żydów, których spiski podkopywały Polskę. Na szczeblu lokalnym chuliganów i ślizgawicy. Gdyby ktoś ją popchnął, żeby odebrać jej wózek na sprawunki, poślizgnęłaby się jak amen w pacierzu. Wiedziała, jak goją się kości starych ludzi. Jej koleżanka miała otwarte złamanie biodra. Z zwawej staruszki zmieniła się w bezsilne truchło, na łasce opieki społecznej.

Tego wieczoru śnieg, który dwie godziny temu zaczął się topić, stęzał lodową skorupą. Janina drobila ostrożnymi kroczkami, popychając starą torbę na kółkach, wyładowaną zakupami. Ramzes zatrzymał się i obwąchiwał jakieś siki, popędziła go. Do domu miała raptem kilkanaście metrów, ale przypomniała sobie o śmieciach. W wózku leżała torba plastikowych butelek, które zapomniała wyrzucić. No i mleko. Codziennie zostawiała mleko dla bezdomnych kotów. Sprawiało jej przyjemność, że wciąż potrafi być potrzebna. Kot też stworzenie boże.

Wejście do śmietnika odcinało się na tle śniegu. Zamknięte kratą pomieszczenie zionęło ciemnością. Nie wyglądało zachęcająco. Starsza pani wzdrygnęła się. Nie lubiła zbliżać się do śmietnika po zmroku. Jej Ramzes nie był żadnym obrońcą. Gdyby miała dużego psa, wilczura, sprawy wyglądałyby inaczej. Ale taki pies dużo je i potrafi szarpnąć. Słyszała o staruszce, którą zagryzł jej własny pies. A może to był kot?

Krata jęknęła, gdy Janina odsunęła ją z trudem. Ramzes, który węszył koło stóp Janiny, zjeżył sierść i zawarczał, odsłaniając zęby. Przeżegnała się i postanowiła zawrócić, ale zganiła się za tchórzostwo. Pewnie wywęszył szczura albo piwnicznego kota. Zdarzało się już wcześniej.

Sięgnęła po wózek i wydobyła z niego reklamówkę z butelkami po oleju i karton mleka. Rozglądała się, szukając miski, którą schowała pod śmietnikiem. Z głębi doszedł ją dziwny odgłos. Ktoś kaszłał. Ramzes przestał warczeć i zaskomlał. A potem po prostu czmychnął. Janina została sama.

W mroku zamigotała biała plama. Janina zamrugła z niedowierzaniem, które przyćmiło jej niepokój. Zobaczyła zarys ludzkiego ciała. Młody mężczyzna, prawie chłopiec, błydy i wychudzony. I nagi. Janina nie oglądała rozebranego mężczyzny od czasu śmierci męża. Przedtem też liczył się tylko on. Nie żałowała, lecz czasem zastanawiała się nad

niewykorzystanymi scenariuszami życia. Może to dlatego nie odwróciła wzroku, tylko przyglądała się nieznajomemu. Sparaliżował mnie strach, powiedziała sobie. Dlatego nie uciekam.

Było jeszcze coś. Człowiek ze śmietnika wzbudził w niej litość, większą niż podwórzowe koty. Jesteś taki młody, pomyślała. Mógłbyś być moim synem. Przeżybisz się na tym zimnie.

Oczy nieznajomego były żółtawe, nie odbijały się w nich żadne emocje. Dotknął policzka Janiny, przesunął dłonią po jej starej twarzy, zostawiając na policzku czerwoną smugę. Mięśnie drżały mu od jakiegoś tajemniczego wysiłku i Janina była pewna, że mógłby z łatwością rozszarpać ją na strzępy. Tak jak zakrwawione ciała, które dopiero teraz wychwycił jej wzrok, oswajający się z ciemnością. Między kontenerami leżały jej koty. Martwe, rozprute, z rozwleczonymi wnętrznościami. Tego było dla Janiny za dużo i zrobiła to, co w czasach jej młodości robiły kobiety w sytuacjach podbramkowych. Zemdląła.

\* \* \*

Nie miał imienia i wcale mu to nie przeszkadzało. Składał się z zakodowanego pod czaszką rozkazu i wiedzy wchłoniętych istnień. Ale co to były za istnienia? Kilka wieśniaczek i chłopów, kupiec i ocalały z pożogi mnich. Pojmany fryzyjski najemnik. Ich ból i strach zapewniły mu siłę życiową, gorzej było z wiedzą i umiejętnościami. Znali okolice swojej wioski, garść plemiennych przesądów i legend, zmurszałą dumę z przynależności do obalonego imperium. Do tego świeższej daty wiarę w mitycznego króla oraz przemożną, rozbuchaną nienawiść do najeźdźców zza morza. Po pierwszym kęsie kobiety z wózkiem zatoczył się od natłoku danych. Mgliste lęki i uprzedzenia mieszały się z indywidualną historią, smakowite szczegóły codziennego życia pływały się w sosie emocji, wystygłych tęsknot i pragnień.

Z zaskoczeniem stwierdził, że ten świat również znał okrucieństwo i wojnę. Ach, co to była za wojna! Saski król był bezsilnym bachorem w porównaniu z mocarzami tych czasów. Chowaniec wyszedł ze śmietnika i odetchnął mroźnym powietrzem. Z morza zapachów wyodrębnił właściwą woń. Cel poszukiwań był blisko.

Przemknął wyludnioną uliczką i miękko przeskoczył przez płot strzeżonego osiedla. Przez chwilę trwał, nasłuchując i węsząc, wreszcie podpełzł przez właściwy ogród, kryjąc się w niskich, niedawno zasadzonych krzewach. Siedzieli za stołem w jadalni. Niewielka, pięcioosobowa rodzina. Łysiejący mężczyzna sączył wino wpatrzony w migoczący ekran. Wiedział, że ludzie nazywają ten przedmiot komputerem, ale stara ze śmietnika nie bardzo

rozumiała, do czego służy. Kobieta o napiętej skórze i zatroskanych oczach wodziła wzrokiem po bliskich. Dzieciakom przyjrzał się uważniej, ale nie znalazł tego, którego szukał. Nieważne, był blisko i już nie ucieknie. Wskoczył na taras, odbił się i z rozmachem uderzył w szybę. Nie była kuloodporna. Opadł na podłogę jadalni, zasypując zebranych deszczem szkła.

Po pierwszym uniesieniu przyszło opanowanie. Nie miał czasu na zabawę. Nasycił głód i metodycznie przeszukał dom. Czuł się w nim jak u siebie. Rodzina celu okazała się bardzo bogatym źródłem, dużo bardziej aktualnym niż stara kobieta. Świat, w którym polował, nie wydawał się już tajemniczy. Zdumiała go mnogość przedmiotów. W jego świecie nawet król nie dysponował taką ilością drobiazgów. Aż dziw, że ich użytkownicy w ogóle mieli czas żyć.

Dotarł do pokoju chłopaka i z rozdrażnieniem uświadomił sobie, że spóźnił się o włos. Był tu jeszcze pół godziny temu, gdy on zabawiał się jak szczenię z kocim pomiotem. Zmylił go zadawniony, utrwalony tu zapach ofiary. Usiadł na łóżku chłopaka i rozejrzał się. Każdy detal mógł się przydać. W czynności było coś intymnego, zupełnie jakby studiował samego siebie. W końcu był jego odbiciem, czyż nie?

Przejrzał parę kolorowych pism, pełnych smakowitych kobiet, które nigdy nie zaznały głodu. Zdumiał go doskonały stan ich zębów, w tym świecie znachor nie miał chyba nic do roboty. Jakby nie imał się ich czas. Zlustrował zdobiące ściany wizerunki brodatych, wytatuowanych mężczyzn, którzy przypominali mu wojowników towarzyszących jego panu. Ale ci nie trzymali toporów, tylko lutnie, a może dziwne harfy? Rozrzucił książki i płyty z muzyką, z zainteresowaniem przyjrzał się fotografii jasnowłosej samicy. Alina, z przyjemnością dowie się o niej więcej. Na biurku leżał mały przedmiot, z którym żaden szanujący się dwójnog się nie rozstawał. Szczególnie osobnik młody, kobieta ze śmietnika nie miała go przy sobie. Wczytał się w listę połączeń i uśmiechnął się.

\* \* \*

*Przypierają nas barbarzyńcy do morza, odrzuca nas morze ku barbarzyńcom...*

Z LISTU BRYTÓW DO AECJUSZA, WODZA ARMII RZYMSKIEJ

Bedevir poganiał konia i nie oglądał się za siebie. Ciężka mu wina i miecz, którego nie powinien zabierać. Skrwawione pola Kamlann wołały za nim zawodzeniem setek duchów. Przeżyłeś, łajdaku! Wracaj!

Kierował się na południe. Jego ród mieszkał na pograniczu, w środkowej części wyspy. Miał nadzieję odnaleźć bliskich, zanim zrobią to bandy Sasów. Wędrował przez lasy i wrzosowiska. Mijał jeziora z chatkami na palach, gliniaste lepianki z wikliny i bure wzgórza z brudnymi owcami, które cierpliwie nasiąkały mgłą. Czasami dostrzegał stare, kamienne wieże, pozostałości po rzymskich fortach. Po kilku dniach poczuł w nozdrzach słony zapach. Był blisko irlandzkiego morza. Kończyła mu się żywność i postanowił zanoć w osadzie. Kiedyś uznałby Lynnedfyn za nędzną dziurę, teraz uderzył go panujący tu spokój. Robiący motyką dziadek rzucił narzędzie i przydreptał do niego. Z ciekawością przyjrzał się przybyszowi.

Bedevir miał na sobie połataną drutem kolczugę, *loricę*, którą wygrzebał w rodzinnym kufrze. Miał też włócznię, okrągłą tarczę i długi kawaleryjski miecz *spatha* oraz hełm z osłoną na policzki. Za czasów świetności Imperium jego z trudem skompletowane oprzyrządowanie wzbudziłoby rehot każdego legionisty. W obecnej, złupionej epoce, kiedy rzymskie kuźnie przepadły, a zbroje niemal wyszły z użycia, był to bezcenny rynsztunek.

- Z wojny wracacie, panie? - zagadnął stary.

Bedevir pokiwał głową.

- We wsi jest więcej obcych. Naczelnik prosił, żeby kierować do niego, jak kto przyjedzie. Mieszka tam, na wzgórzu.

Dwór otoczony był ostrokołem, za którym skupiły się stajnie i szopy. Robotnicy odnawiali wały. Przy bramie czuwały straże, które obrzuciły go czujnymi spojrzeniami, ale pozwoliły mu wejść. Uwiązał konia przy wielkim korycie i rozejrzał się.

Na dziedzińcu panował rozgardiasz. Mieszały się głosy ludzkie, meczenie kóz i porykiwania bydła. Wielu uciekinierów było rannych i poparzonych. Bogatsi siedzieli na tobołkach z dobytkiem, rzemieślnicy czuwali nad narzędziami. Inni, pozbawieni wszystkiego poza koszulą na grzbiecie, tępo gapili się w przestrzeń. Klasztorny skryba przeglądał inkrustowaną księgę, jakby dumał, czy da się ją zjeść, jakaś kobieta zawodziła ponuro. Tubylcy przypatrywali się ciekawie. Pierwszy raz widzieli ludzi z miasta.

Na widok Bedevira uchodźcy ożywili się. Miał konia i zbroję, nie był utyłany i zagłodzony na śmierć. Nieszczęśnikom zdawało się chyba, że to królewski posłaniec, który wskaże im drogę na bezpieczne ziemie. Do kraju, gdzie dobry król obdaruje ich domami, miastami i willami w miejsce tych, które spalili Sasi. Głupcy. Nie było już bezpiecznych ziem.

Podkarmił Elpyra garścią owsa, koń zarżał i spojrzał na niego z wyrachowaniem. Podsypał mu jeszcze. Gdy odejdzie, te głodomory wyczyszczą mu sakwę z obrokiem do



czysta.

Młoda kobieta w żałobnej sukni poprawiła włosy i podeszła do niego. Przyciskała do piersi zawiniątko, wyglądało jak dziecięca wyprawka. Powiew wiatru zatargał szmatami i Bedevir zobaczył, że tobolek jest pusty. Dziewczyna spojrzała na niego, jej usta poruszyły się bezgłośnie. W jej oczach było błaganie i zachęta, a także dojmujący głód. Bedevir sięgnął do juków i cisnął dziewczynie zapleśniały bochenek. Potoczył się po śniegu, kobieta dopadła go błyskawicznie. Minał ją, nie patrząc, za to ona odprowadziła go wzrokiem. Na jej ładnej, wynędzniałej twarzy wdzięczność gryzła się z upokorzeniem.

Wódz stał nieopodal dworu, otaczało go kilku wojowników. Włosy nosił nastroszone, spiętrzone na czubku głowy. Na plemienną modłę, która znowu wracała do łask. To byli *Gwryry Gogledd*, ludzie północy. Stąd stare obyczaje nigdy nie odeszły, pomyślał Bedevir. Ci ludzie tolerowali Rzymian, ale nie chcieli stać się tacy jak oni. Dlatego przetrwają, podczas gdy nasze dzieci, znające łacinę i pismo, staną się niewolnikami Sasów...

Wodzowi towarzyszył drobny mężczyzna w burym stroju wędrownego druida, z kapturem okrywającym twarz. Bedevir skłonił się wodzowi i odruchowo zrobił znak krzyża. Nie lubił starych bogów. Naczelnik odwzajemnił ukłon rycerza i przyjrzał mu się uważnie.

- Jestem Cenwallen ap Fanwydd. Od kilku dni ściągają do nas uciekinierzy i donoszą o klęsce. Z pewnością masz ważne wieści.

Bedevir odwrócił głowę. W skupieniu kreślił stopą w błocie jakiś zawijas, jakby nagle dopadł go zapal tworzenia.

- Dobrze się domyślacie, panie. Przybywam wprost z pola bitwy. To była rzeź. Nasz dobry król Artur Pendragon poległ.

Druid pokręcił głową i posłał mu złośliwy uśmiezek.

- Taki bój... A ty niedrażnięty. Musisz być ulubieńcem bogów.

Ludzie zaszemrali, jakiś wojownik splunął. Porzucenie naczelnika w bitwie było największą hańbą, jaką mógł się splamić wojownik.

- Co będziemy tak stać. Opowiesz nam wszystko na uczcie - oznajmił naczelnik z naciskiem. To nie było zaproszenie.

Przy niskich stołach wielkiej hali rozsiadło się kilkadziesiąt osób. Ładne, długowłose dziewczyny wniosły parujące kotły. Atmosfera zgęstniała, Bedevir czuł, że coś się szykuje. Przy dalszym stole, koło drzwi, zaczęła się szamotanina. Jakiś człowiek wyrywał się krewniakom. Naczelnik nie patrzył w jego stronę. Spokojnie wybierał najlepszy kawałek mięsa. Młodszy mężczyzna stanął naprzeciw królewskiego miejsca, tuż za Bedevirem. W ręce miał miecz.

Cenwallen prychnął i przechylił do ust okuty róg. Jego twarz wyrażała nudę. Pretendent obrzucał go wyzwiskami. W połowie zwyczajowej frazy - „ty słaby, bękarci synu suki mego psa”, wódz poderwał się, przewracając stół. Zszedł z linii ciosu, ale nie dobył miecza. Uszedł przed drugim natarciem i napił się, opróżniając naczynie z miodu. A potem nim rzucił. Ciężki róg trafił pretendenta prosto w skroń.

Bedevir wzdrygnął się, otarł z twarzy strzępy białej brei. A jednak te dzikusy miały mózgi. Plemię bacznie spoglądało na Cenwallena, który stał w blasku paleniska, unosząc ciężkie od złota ramiona. Obrócił się kilkakrotnie. Na ciele nie było żadnych śladów. Wódz pozostał nieskazitelny i taka pozostanie ziemia klanu. Wszyscy ryknęli, uderzając mieczami o tarcze. Porządek utrwalił się na nowo, uczta się rozpoczęła.

Bedevir siedział jak na szpilkach. Po części dlatego że bojąc się zostawić Ekskalibura przy koniu, przywiązał owinięty miecz pod nogawką, zasłaniając rękojeść tuniką. Teraz trzymał prawą nogę wyprostowaną, jak inwalida wojenny. Czuł na sobie wrogie spojrzenia tubylców. Wnet zaczną pytać. Słuchajcie ocalonego spod Kamlann! Czy uwierzą, że po prostu miał szczęście? Mogą nie uwierzyć. Jego wzrok przyciągała ponura półka nad tronem. Zdobiły ją głowy wrogów, uwędzone w jałowcowym dymie. Niektóre wyglądały na świeże.

Z osadzonych nad paleniskiem kotłów dolatywała cudowna woń. Przełknął ślinę. Był wygłodzony, od kilku dni żywił się resztkami chleba. Ale służki złośliwie omijały jego misę. To nie był przypadek. *Nie złamałem z nimi chleba i w każdej chwili mogą mnie tutaj zabić...*

- Powiedz, dlaczego przegraliśmy? - wybełkotał nagle wódz, szarpiąc Bedevira za rękaw. - Byłeś tam. I żyjesz, gdy Artur skonał. Opowiadaj, jak zginął!

Drużyna nadstawiła uszu. Poza sąsiadem Bedevira, który odchylił się i wymiotował na słomę, wszyscy gapili się na niego, wietrząc zabawę. Wyszczерzone zęby, pijacka wesołość, śmierć.

- Przybyłem za późno. Zobaczyłem tylko kołujące kruki - oznajmił Bedevir.

- Za to ja widziałem, Cenwallenie - powiedział druid. - Sasi odcięli mu głowę. Padł sam jak palec, jego przybocznicy uciekli. Nawet jego giermek...

- To kłamstwo - zawołał Bedevir.

Druid uśmiechnął się.

- Nie umiesz łąć, chłopcze. Nie nauczysz się teraz.

Bedevir wbił sztylet w stół i złapał druida za włosy. Przyciągnął jego głowę do ostrza. Biesiadnicy zamarli, rycerz opanował się z trudem.

Puścił druida i odchylił się na ławie. Popatrzył po srogich, wąsatych twarzach, tatuażach i nastroszonych czuprynach. Napięcie powoli opadło, bard szarpnął struny harfy i

zaintonował pieśń. Traktowała o wyprawie Cenwallena na sąsiedni klan. Zabrali im wiele krów. Bedevira ogarnął gniew. Przypomniawszy sobie skromny hufiec Artura. Ilu wodzów odpowiedziało na wezwanie? Ilu naczelników?

- Przegraliśmy, bo było nas mało! Bo Sasi wystawili wielką armię, podczas gdy wy kradliście sobie bydło i błyskotki!

Zapadła świdrująca cisza zakłócona jedynie brzdąkaniem barda. Cenwallen wciąż trzymał baranią łopatkę, kłykcie zbieleły mu, przekrwione oczy prawie wystąpiły z orbit. Walnął gnatem w stół, rozbryzgując sadło i sos.

- Odrąbałbym ci łeb i uwędził nad paleniskiem, ale to prawda. Ej, bracia, posłuchajcie mnie. Ten człowiek nie jest tchórzem i zatłukę każdego, co go tknie! Słyszeliście?

Odpowiedziały mu rozczarowane pomruki. Bedevir odetchnął z ulgą i wyrwał półmisek przechodzącemu kuchcikowi. Wgryzł się w tłuste, kruche mięso, popił syconym miodem. Baranina była doskonała, smakowała rozmarynem i szałwią. Ale wódz nie dawał mu spokoju. Perorował, rosząc rękaw rycerza piwem i łzami.

- Zawiedliśmy go. Nasz dobry król, nasz Pendragon, obrońca. Powinni nas potopić jak szczury.

Bedevir czknał. Miał już dość. Skłonił się Cenwallenowi.

- Wybaczcie, panie. Za dużo wypilem.

Naczelnik machnął przyzwalająco. Głowa kiwała mu się smętnie nad dzbanem. Bard nucił pieśń o królewskiej śmierci, biesiadnicy słuchali go z rozrzewnieniem. Przybłęda już ich nie interesował, u Celtów szara codzienność zawsze ustępowała przed sztuką.

*Zamek mego króla jest pogrążony w ciemności tej nocy,*

*Nie ma tam ognia, najędzniejszego łoża.*

*Oplakuję to, a potem zamilknę.*

*Zamek mego króla spoczywa w ciemności tej nocy,*

*Nie ma tam ognia, nie ma świecy*

*Kto prócz Boga uciszy mój żal?*

STARY POEMAT WALIJSKI

Wytoczył się na podwórze, odetchnął nocnym powietrzem. W hali wódza było nadymione jak w wędzarni. Natarł twarz śniegiem, próbował zebrać myśli. I wtedy zobaczył druida.

Czarownik podkasał szatę i w skupieniu opróżnił pęcherz, wysikując na śniegu jakiś plugawy znak Ogama. Sądząc po ilości ornamentów, pęcherz miał jak wieloryb. Bedevir

zaklął. Począł, aż tamten skończy, i popchnął go w zaspę. Chciał skopać drania, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a śnieg przyczepności. Wykopyrtnął się z wdziękiem. Druid, który poderwał się nad podziw zręcznie, wyciągnął do niego rękę. Odtrącił ją z wściekłością.

- Nie wiem, kim jesteś, ale cię nie lubię. Czemu szczułeś na mnie tych dzikich? Żeby mnie zmasakrowali? Mówię do ciebie, pokrako.

Mały druid wysunął język i łapał na niego płatki śniegu. Albo był bardziej pijany niż Bedevir, albo z natury szalony. Zapewne jedno i drugie.

- Rhodri nie ma złych zamiarów, przyjacielu. Rhodri testuje kruszec.

- I niby byłeś pod Kamlann, hę? To jak dotarłeś tu przede mną?

- Może uniósł mnie wiatr? To bardzo łatwe, jeżeli samemu ma się skrzydła - rzekł druid i zaskrzeczał jak myszółów. Jego rysy stwardniały. - Widziałem ciało króla. Czegoś przy nim brakowało.

Rycerz pokręcił głową. Jedzenie na ucztę było przednie, ale nagle zachciało mu się rzygać. To pewnie ten miód.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Druid spojrział na niego z uznaniem. Ciężko było określić jego wiek. Wyglądał na człowieka, który swoje przeszedł, ale miał rozbawione oczy dziecka.

- Zwracam honor. A jednak potrafisz kłamać.

Bedevir splunął i ruszył w noc. Rhodri zawołał w ślad za nim:

- Co tam widziałeś, Bedevir? Morze było spokojne? Wiatr szumiał, leniwie pluskała fala?

Słowa brzmiały mu w uszach jak echo. Ten przeklęty druid wie. Szedł, rozglądając się dziko, gotowy do odparcia napaści. Ale kiedy wychodził z grodu, nikt nie zauważył w jego chodzie niczego dziwnego. Wyglądał na podpitego kuternogę, powłóczącego zranioną nogą. Minął uchodźców skulonych pod daszkami ze słomy, pokonał bramę i skierował się w stronę morza. Na kamienistej plaży czerniały płaskie skórzane czółna. Usiadł za jednym z *curraghów* i wydobyl miecz. Ostrze zaśniło w świetle księżyca. Śnieżny płatek delikatnie opadł na klingę i pomknął dalej przecięty własnym ciężarem. Wojownik zadumał się, ścisnął palcami skronie.

I co ja mam z tobą zrobić? Wrzucić w fale? Wbić cię z powrotem w kamień, żebyś czekał na nowego króla? A co, jeśli król nie nadejdzie, a my przeminiemy jak barwy jesieni? Czerwony smok Brytów zbudził się raz jeszcze. To ty go przebudziłeś i dłoń, która tobą władała. Nasz lud ożył w zapadającej szarości, zamigotał jak owoc jarzębiny. Nie dał się ujarzmić. Ale to była jesień. Nasze lato skończyło się przed wiekami, kiedy pierwszy rzymski

żołnierz postawił sandał na wyspie.

Obrócił bronią i zamachnął się bez przekonania. Wiedział, że nie potrafi tego zrobić. Jeżeli wrzuci Ekskalibur w morze, przypieczętuje śmierć wszystkiego, w co wierzył.

Podeszła do niego niepostrzeżenie. Bedevir uniósł głowę i zobaczył, jak odgarnia wzburzone wiatrem włosy. Dziewczyna, której dał chleb. Usiadła obok niego bez słowa, zarzuciła mu ręce na szyję. Wdychał jej zapach i czuł, jak pierzchają dokuczliwe myśli. Pocałowała go mocno, z desperacją i złapała za dłoń, ściągając ją w stronę piersi. Były pełne i nabrzmiałe, niedawno karmiła. Na prawym sutku dostrzegł odcisk dziecięcych ząbków. Popchnął ją na piasek i zadarł suknię.

- Co się z nim stało? - wyszeptał, kiedy uspokoił się wiatr.

Dziewczyna wtuliła się w niego, szczupłymi plecami wstrząsnął szloch.

- Nie umiałam... straciłam je - wykrztusiła.

- Przykro mi - powiedział, bezskutecznie szukając lepszych, skuteczniejszych słów. Wsparł się na łokciu i powiódł palcem po jasnych krzywiznach jej ciała. Było piękne, nie znaczyły go rany i blizny.

- Kiedy się zaczęło, niosłam wodę ze źródła. Wszyscy biegli, uciekałam. Był we mnie tylko strach. Usłyszałam, jak krzyczy, gdy tamci wdarli się do domu. Zawróciłam i zobaczyłam, co robią. A Llwyn... uderzył mnie i odciągnął w las. Jego też zabili.

- Kim był dla ciebie ten Llwyn?

- Moim bratem - odpowiedziała cicho.

Oboje wiedzieli, że kłamię.

Bedevir pocałował włosy dziewczyny. To była typowa historia. Tak typowa, że trudno było dziś znaleźć kogoś, komu się nie przytrafiła. Mimo to czuł gniew. Jak długo będziemy zwierzyzną tych bestii?

- Dlaczego przyszedł? - zapytał. Jego powodzenie u kobiet było równie marne jak w innych dziedzinach.

- Żebyś mnie stąd zabrał - odparła i wyzywająco spojrzała mu w twarz. Była piękna i wiedziała o tym, nie złamały jej lęk i cierpienie. - Nie chcę tu zostać. Z dzikusami, którzy farbują twarze, a w skórę wcierają sadło. I nie obchodzi mnie, że mówimy tą samą mową. Dla mnie nie różnią się od Sasów. Chcę mieć ogród i miękkie suknie. Nie chcę paść owiec i trząść się z zimna, niewolnica jakiegoś zbir.

- Skąd wiesz, że ja będę lepszy?

- Masz miecz i konia. Służysz królowi, poznałam po rynsztunku. Nie zostawisz mnie, prawda? - Wbiła paznokcie w jego bark i spojrzała na niego uważnie. - Obiecuj!

Wojownik uśmiechnął się. Trudno kłamać, gdy jesteś pijany i wciąż pełen żądz, a nad twoją twarzą kołysze się para ślicznych piersi. Musnął je pieszczotliwie i pokiwał głową. Na usprawiedliwienia przyjdzie czas potem. Dziewczyna wtuliła się w niego uspokojona.

- Razem dotrzemy na południe. Władą tam król. Zamieszkamy u moich krewnych, to możni ludzie, handlują cyną. Jeżeli i tam przyjdą Sasi, znajdziemy jakiś statek...

Nazywała się Mab. Plotła jak w gorączce, ale Bedevir złapał się na tym, że porywa go ta wizja bezpieczeństwa, sytości i szczęścia. Że sam zaczyna majaczyć. W końcu, dlaczego nie? To właśnie powinien zrobić. Zapomnieć o Arturze, jego mieczu i bohaterskich legendach. Ocali kobietę, która kiedyś urodzi mu syna. Ktoś musi zabijać Sasów. Uśmiechnął się w ciemności i przykrył dziewczynę futrzanym płaszczem. Zasnęli w łudzącym cieple.

Zbudziły go krzyki mew. Wstawał dzień. Miejsce Mab było puste, zostało po niej tylko wgłębienie w piasku. I parę zadrapań. Bedevir potarł zarośnięty policzek i jęknął. Miał straszliwego kaca i czuł się gorzej niż po bitwie. Usiadł gwałtownie i zauważył przypatrującego mu się człowieka. Druid przykucnął dwa kroki od wbitego w piach miecza.

- Ładnie go postawiłeś, na sztorc. Piktowie robią tak z oszczepami. Otaczają posłanie małżonków, którzy nie mogą mieć dzieci. I co, pomogło?

- Wynoś się... - wychrypiął Bedevir. Żałował, że nie ma oszczepu.

- Wiedziałem. Od początku wiedziałem. I nie chodzi mi o twoje miłosne podboje, chociaż spojrzeń tej dziewczki nie przegapiłby nawet ślepiec. Nie posłuchałeś Artura. Skradłeś królewski miecz.

- Tak ci się tylko zdaje. Nie rozumiesz prostych motywów, magiku. Ogranicza cię własna przebiegłość.

- No proszę, jacy jesteśmy uczciwi. To skąd u ciebie Ekskalibur?

- Dobrze pytanie. Można postawić jeszcze kilka. Na przykład... Czemu nie odrąbać ci łba?

- Jesteś rycerzem króla. Głupio by było, gdyby ostatni z was tak się spodlił, nieprawdaż? Poza tym dam ci dowód przyjaźni. Przemilczę, co dziś zobaczyłem. No nie patrz tak, okaż odrobinę wdzięczności. Tutejsi zabiliby cię dla miecza. Ale ja nie zamierzam cię wydać.

- A w zamian za to... - Bedevir poczuł się bardzo zmęczony.

- Oczekuję twojej pomocy. Dla mnie i dla Bractwa. Chodzi o los królestwa. To sprawa najwyższej wagi.

- Tym bardziej się nie nadaję. Potrzebny ci Longherin. Albo Gwalhmai.

- Możliwe, ale oni zginęli. A ja nie jestem nekromantą.

- A ja zbirem do wynajęcia. Byle osiłek z bandy Cenwallena posłuży ci lepiej niż ja.

- Możliwe, ale ja - druid zawahał się - mam znaleźć człowieka z mieczem. Tym mieczem. Widzisz, na ogół znaki są niejasne. Ślady ptaków na mokrym piasku, zmywane przez ignorancję. Ale tym razem...

Czarownik wyprostował się, wyszczerzył zęby i nagle fiknął kozła w powietrzu. I wyrecytował wiersz:

*Zaklinam cię na Drzewo,  
I Krew, co w żyłach dudni,  
Na Światło, które błyszczy  
Na dnie najgłębszej studni.  
Znajdź tego, który zawiódł,  
Zapłać mu bólem słono,  
Rycerza, co nie zginął,  
I miecz, co nie utonął.*

- Ładne, ale zapomnij. Nie będę ci służył. Wolałbym zdechnąć.

- Uważaj, przyjacielu. Życzenia się spełniają.

Bedevir przeciągnął się, aż mu zatrzeszczały stawy, i ostentacyjnie ziewnął. Otrzepał z piachu płaszcz.

- Zrobiłem już swoje, magiku. A teraz wracam do domu. Poszukaj innego głupca.

Druid uśmiechnął się. Miał uśmieszek pobłażliwego mędrca, wybitnie denerwujący. Zdawał się mówić: „Ach, ciągle ten stary spektakl. Widziałem to tyle razy, że nic mnie naprawdę nie zdziwi. Poza tym znam zakończenie. Warto mnie wysłuchać”.

- Rozumiem. Orka, krowy, dogłądanie plonów. Urocze. Niestety, jest pewien szkopuł.

- Zamieniam się w słuch.

- Już nie ma bezpiecznych miejsc.

Bedevir zostawił go, klnąc. Szedł wzdłuż brzegu, uskakując przed jęzorami fal. W końcu zobaczył Mab. Nagle pomyślał, że najprościej byłoby minąć ją, jak gdyby nigdy nic. *Hej, to ja. Szedłem do ciebie kilkadziesiąt jardów tylko po to, by udać, że cię nie widzę. To taka dworska gra.*

Podszedł do niej powoli, żując słowa, których nie mógł wykrztusić. Dziewczyna patrzyła w linię horyzontu. Coś w jej spojrzeniu wskazywało, że kocha ten widok, czerpie z niego nadzieję i siłę. Dziwne. Niewielu kochało w tych dniach morze. Wypluwało śmierć. Sam z przyzwyczajenia wyteżył wzrok, wypatrując pirackich żagli.

- Pani - chrząknął.

Odwróciła się gwałtownie i cofnął się przed pytaniem, które wyrażał jej wzrok. Domyśliła się. *Czy wielu pocieszało cię na szlaku, skarbie?* Poczł, że czerwienieje, ze złością kopnął jakiś kamień.

- Muszę zaraz odjechać. Wybacz mi, proszę... - no dalej, wyrzuć to wreszcie. Że kłamałem i *przespalem się z tobą dla hecy*. I że było mi bardzo miło. A co miał zrobić? Już widział miny Hywela i Dylis, gdy pokazuje im uciekinierkę. Zwłaszcza Dylis. Matka obiecywała sobie wiele po jego służbie na dworze. Mariaże i koligacje, te wszystkie bogate arystokratki. Żona powinna być zdrowa, cnotliwa i płodna, a już na pewno posażna. Mab mogła wzbogacić jego ród o złe sny i złamane serce. Uniósł głowę i napotkał spojrzenie dziewczyny, w którym rozpaczliwa duma powstrzymywała zawód i pogardę.

- W moim rodzie jestem młodszym synem. Mam tylko konia, nazwisko i miecz. Wybacz mi, że nie mogę zaoferować ci więcej. Mimo to... Zechciej mi towarzyszyć.



## ROZDZIAŁ 5

Kuchnia była jak naelektryzowana. Karolina żuła sałatkę z tuńczykiem, oczy wbijała w talerz. Łukasz podał żonie sól, uśmiechając się z przymusem. Dolną wargę wciąż miał spuchniętą jak balon, choć sińce zdążyły kilkakrotnie zmienić kolor. Poobijana mimika szwankowała, emocje nie znajdowały wyrazu. Nie dziwota, że małżeństwa bokserów się rozpadają. Miał ochotę zawołać „Adriaaanan!” jak dzielny Rocky Balboa, ale ugryzł się w język. Jego kobieta nie była dziś w nastroju do żartów. Położył dłoń na jej ręce. Zobaczył, że usta Karoliny drżą, a w kącikach zielonych oczu zbierają się łzy. Coraz częściej wracała do domu wypłuta, zebrania i redaktorskie dyżury przeciągały się w tym roku w nieskończoność.

- Zrobię ci kąpiel, chcesz?

- Mógłbyś? Jestem totalnie padnięta - uśmiechnęła się do niego niewyraźnie.

Łukasz poczuł ulgę. Nie był jeszcze całkiem do niczego. Objął ją mocno, przytulił. Oswobodziła się z jego objęć i spojrzała na niego poważnie.

- Musimy porozmawiać, Łukasz. O nas.

Znowu. Wszystko przez to, że nie zamierzał udać się z nią na modne przyjęcie, pełne modnych durniów z ostatniego brukowego rozdania. Niestety, Karolina była urodzoną dziennikarką. Rozpoznawanie znikomości modnych durniów nie leżało w jej naturze. Dzwonek domofonu był jak odroczenie stresującego sprawdzianu. Poderwał się na nogi, ale Karolina była szybsza. Wróciła po chwili i zerknęła na niego z niechętnym podziwem.

- Jakaś dziewczyna do ciebie. Masz tupet, wiesz?

Łukasz wzruszył ramionami. Ostatnia dziewczyna odwiedziła jego kawalerkę w celach towarzyskich, kiedy jeszcze był kawalerem.

Kobiet kolegów nie liczył. Miał zasady, dekalog z filmów Pasikowskiego. Ładniejsze koleżanki Karoliny wypierał ze świadomości. Na szczęście od dawna przestały się nim interesować. Raczej okazywały Karolinie współczucie. Dzwonek zaterkotał ponownie i Łukasz poczłapał do drzwi. Na klatce stała ładna blondynka w parce i ciężkich butach. Dziewczyna Poważnych Problemów. Przypomniał sobie, na boisku pomogła mu wstać.

- Mam kłopoty. To znaczy Igi ma. Wpuści mnie pan?

Karolina splotła dłonie na piersiach i zatarasowała przedpokój.

- Może byś nas sobie przedstawił?

- Nie wiem, jak ma na imię. To dziewczyna mojego pacjenta.

- Poznałeś ją przez internet?

- Hej, mówię do ciebie! W ogóle jej nie poznałem.

- Taak? To co to ma być, randka w ciemno?

Dziewczyna usiłowała się wtrącić.

- Sorki. Może pozabijacie się potem?

Łukasz spojrział na Karolinę błagalnie i zaprowadził dziewczynę do drugiego pokoju.

Żona gniewnie przestawiała naczynia, udając, że ich rozmowa w ogóle jej nie interesuje.

Alina wzruszyła ramionami.

- Chyba jest zła.. Czy ona myśli, że ja i pan... przecież to absurd.

- Dokładnie - przyznał skwapliwie. Zrobiło mu się przykro.

- Przyszłam, bo nie miałam do kogo się zwrócić. Igi zniknął.

- Aha.

- On mi nic nie mówi. Zwłaszcza ostatnio. Pomyślałam, że może pan coś wie... To ja go namówiłam na wizytę.

- Nie dowiedziałem się niczego konkretnego. Tylko tyle, że ma kłopoty - powiedział Łukasz bezradnie.

- Zostawił coś. - Alina sięgnęła do torebki i wydobyła z niej połyskujący przedmiot.

Łukasz zważył cacko w dłoni i zagwizdał. Normalnie złoty hantel. Oglądał coś podobnego w brytyjskim muzeum. Ale wtedy chroniła to kuloodporna szyba z alarmem. Masywny złoty tork, celtycka bransoleta na szyję. Uformowany ze splotów złotego węża, którego paszczę dzieliło od ogona kilka centymetrów powietrza. Takie cacka nosili królowie epoki żelaza, ale nawet oni zakładali je na specjalne okazje. Ozdoba ważyła dobrze ponad kilogram.

- Powiedział coś dziwnego. Że znalazł to w lesie i we śnie.

- Że niby co? Starożytne złoto zakopane na Ursynowie?

Alina nie roześmiała się. Zapaliła papierosa i w zamyśleniu zaciągnęła się dymem. Była blada i wyglądała na zmęczoną.

- Wczoraj Igi spał u mnie, matka w poniedziałki wyjeżdża. W nocy obudził mnie krzyk. Siedział na łóżku, był spocony i wyglądał na chorego. Powiedział, że miał sen. Ktoś go znalazł i zamierza go zabić. Rano już go nie było. Zostawił to.

- Niczego sobie prezent.

- Czuję, że on już nie wróci.

- Coś wymyślimy - powiedział Łukasz i westchnął. Jeżeli Karolina zobaczy, jak

zapłakane łaski znoszą do niego kosztowności, ubzdura sobie interesującą historię.

- Jest jeszcze coś - powiedziała Alina. - Pachniał lasem i mgłą.

Usta dziewczyny zadrżały, po policzkach płynęły pierwsze łzy.

Zdusił histerię w zarodku. Przytulił ją mocno, miał gdzieś, czy Karolina wejdzie do pokoju czy nie.

- On się zabije, prawda?

Pogładził ją po włosach. Przypomniała mu się inna, wiele lat temu, którą w ten sposób pocieszał. Tylko wtedy już było za późno.

- Nikt się nie zabije, rozumiesz? - powiedział twardo. - Znajdę go, przysięgam. Choćbym miał szukać go w piekle.

Jeszcze kilka minut temu miał ochotę zbyć pannę ciepłym słowem i doczłapać się do komputera. Ale teraz pojawił się stary towarzysz. Kochany karmiczny dług. Łukasz przywitał go z ulgą. Na barkach czuł dawny ciężar, ale wreszcie nie dryfował jak korek. I nawet wiedział, co robić. Znał kogoś, kto potrafił wyjaśnić tę historię.

Ernest prowadził sklepik z książkami, mapami i rupieciami. Urządził go w suterenie na Starówce. Na tle innych antykwariatów jego księgarnia nie przedstawiała się zbyt okazale, ale jej właściciel znał się na wszystkim, co stare. Był w stanie wycenić monetę z czasów rzymskich, mapę Warszawy z czasów Zygmunta III, komiksy o kapitanie Żbiku i kamienie szlachetne. Łukasz podejrzewał, że zawartość książek interesuje go bardziej niż ich cena. Lubił Ernesta, ale odwiedzanie go wiązało się z kilkoma niedogodnościami. Był jednym z ostatnich ludzi w Warszawie, którzy nie posługiwali się telefonem komórkowym. Nie handlował na Allegro, komputery też sobie darował.

- A więc chłopak ma sny, w których ktoś pragnie go zamordować. I wynosi z tych snów cenne przedmioty - powiedział Ernest bez cienia zdziwienia.

Siedzieli nad parującą herbatą. Dochodziła dwudziesta, poza nimi w księgarni był tylko jakiś staruszek, który przez lupę studiował galicyjskie kroniki. Starcy lubią rzeczy, przy których czują się młodzi.

- Żeby tylko. Wynosi też obrażenia. No, może czasami warto. W końcu zdobył kilogram złota.

- Chcesz mu pomóc? - zapytał kolega, unosząc brwi. Zupełnie jakby jakikolwiek altruizm w wykonaniu Łukasza był zjawiskiem paranormalnym.

- Powiedzmy, że mnie zaciękał.

Ernest pokiwał głową ze zrozumieniem. Łączyło ich zamiłowanie do historii i spraw całkowicie nieistotnych dla bliźnich.

- I co o tym sądzisz? Jak dla mnie to jakaś bzdura.

- Jeżeli chłopak nie ukradł tego z British Museum, to jego wersja może być prawdziwa. To autentyk.

- Może okradł jakiegoś kolekcjonera?

- Takich rzeczy nie ma w prywatnych kolekcjach. Przynajmniej nie w Polsce - Ernest zważył naszyjnik i odłożył go z szacunkiem na biurko. - Tak zwany tork, tradycyjne insygnium celtyckich królów i bohaterów. Sam kruszec wart jest fortunę, dochodzi wiek znaleziska i jakość wykonania. Można ocenić po ornamentyce. Ta jest archaiczna, jeszcze sprzed czasów rzymskich. Pewnie kultura halsztacka, może coś jeszcze starszego. Stary, wiem jedno. Masz tutaj kumulację w totka.

- Szczeniak twierdzi, że ktoś nawiedza jego sny. Rano budzi się z realnymi ranami. Ale to przecież niemożliwe.

Ernest uśmiechnął się zagadkowo.

- Czytałeś Novalisa? Chciał śnić o błękitnym kwiecie i rankiem zbudzić się z tym kwiatem na poduszce. Podprowadzić skarb Morfeusza. Dla romantyków była to nośna idea. Oznaczała pokonanie ograniczeń życia, sięgnięcie nieosiągalnego...

Łukasz zaczął się wiercić. Nie czytał Novalisa, w ogóle nie przepadał za poezją. Kiedyś miał dziwne sny, ale to już przeszłość. Dziś problem snów kojarzył mu się z nawiedzającymi jego majaki kociakami. One też nie zostawały do rana. Może dlatego że nie był romantykiem?

- Z kolei Chuang-tsy wspominał o powtarzającym się śnie, w którym był motylem fruującym po łące. Ale w interpretacji poszedł krok dalej i odwrócił sytuację. A może to motyl śni, że jest Chuang-tsy? Nie wiadomo, który z nich jest prawdziwy - Ernest upił łyk herbaty i uśmiechnął się jak taoistyczny mędrzec.

- Sugerujesz, że powinienem znaleźć dzieciaka i poczytać mu chińskie bajki? Spoko. Ale Chuang-tsy nie miał koszmarów. Nie budził się poszarpany przez urojoną osę.

- Mówię tylko, że ludzie miewali podobne doświadczenia. Przeczuwali istnienie takich spraw. A co do tego złotego złomu... Myślę, że powinieneś porozmawiać z profesorem.

Mówiąc „profesor” Ernest miał na myśli konkretną osobę. Człowieka, z którym wiązały się najciekawsze wspomnienia Łukasza i który kiedyś cholernie go zawiódł. Odstawił filiżankę i zgarnął ze stołu naszyjnik. Ale się porobiło. Nie sądził, że znajdzie powód, żeby odwiedzić profesora ponownie. Dochodziła dwudziesta pierwsza, Ernest zamknął sklep i spuścił okienną kratę. Wiał przenikliwy wiatr, Łukasz postawił kołnierz kurtki. Uliczki Starówki były opustoszałe i dziwnie złowieszcze. W ciemnej bramie czaiła się jakaś postać.

Pomyślał, że to oprych, i poczuł się nieswojo. Przypomniał sobie, że ma w plecaku kilogram czystego złota. Niezły łup. Zabić człowieka dla pięciu złotych to bestialstwo. Mord za kilogram złota to już sensowna konkwista.

- Dzięki za wszystko, Ernest - powiedział.

- Nie ma za co. Ale myślę, że powinieneś zamówić taksówkę.

\* \* \*

Było już późno, ale Kierczyński, jak sam to określał, prowadził życie wampira. Łatwiej było go zastać o północy niż w południe. Mieszkanie profesora był ciemniejsze i bardziej zagracone, niż Łukasz pamiętał. Pachniało tytoniem fajkowym i brakiem kobiecej ręki. W kącie gabinetu stał szkielet z charakterystycznie wgniecioną czaszką. Pamiątka z sali wykładowej. Profesor zwykł stukać w czerep artretycznymi placami.

Z upodobaniem opowiadał im o popularnej średniowiecznej torturze, polegającej na miażdżeniu czaszki metalowymi obręczami. Wykład nieodmiennie kończył się ulubionym żarcikiem. „A wy myślicie, że od zakuwania głowa pęka”. Buhaha.

Kierczyński otulił się wytartym szlafrokiem i wskazał mu krzesło. Sam siadł za biurkiem. Łukasz odruchowo sięgnął do kieszeni po indeks.

- To co pan aktualnie porabia, panie Klimkowski? Trzepie pan kasę? - starszy pan uśmiechnął się złośliwie.

- Nie, raczej nie. Pracuję jako szkolny psycholog.

- Ciekawe - profesor uniósł krzaczaste brwi. Słowo „ciekawe” zabrzmiało jak czarci chichot. - O ile mnie pamięć nie myli, zamierzał pan pisać pracę magisterską z Junga. Archetyp cienia, złowieszczą część duszy. Ciemna strona księżycy. Odradziłem to panu, nieprawdaż? Był pan za blisko zagadnienia, że tak powiem.

- Obawiam się, że temat wrócił - powiedział Łukasz z wysiłkiem. Bolała go głowa i miał wrażenie, że w pokoju brakuje powietrza.

- Prześladowuje pana Cień? - zapytał Kierczyński z troską, spod której przebijały iskierki rozbawienia.

- Można tak powiedzieć. Ale nie mój.

Profesor strzepnął do fajki szczyptę świeżego tytoniu. Drżały mu palce, kilka liści rozsypało się na blat. Pretekstem do relegowania go z uczelni był wiek i problemy ze zdrowiem. Antropolog specjalizujący się w kształtach czaszek nie powinien za często ich upuszczać. Plotka mówiła co innego. Zdaniem kolegów z wydziału Kierczyński przestał być uczonym. Właśnie za to studenci go uwielbiali. Przeszłość nie była dla niego skryptem do

zakucia, tylko księgą fascynujących tajemnic. Potrafił wyprawić doktoranta do Iranu na poszukiwanie zaginionej Biblii Czcieli Szatana albo zaprosić na wykład egzorcystę. Razem z pacjentem.

Łukasz położył naszyjnik na biurku. Miał wrażenie, że kolor zmętniał i opalizuje czerwienią. Profesor uważnie obejrzał go pod światło. W jego oczach pojawił się blask tęsknoty.

- Piękny. Słyszał pan o substancjach memoaktywnych?

- Pierwsze słyszę - Łukasz pokręcił głową. Dawno wypadł z imprezowego obiegu. Z hasła „*Sex, drugs and rock'n roll*” realizował już tylko aspirynę.

- Stavalon, pamięta pan? Popularny kilka lat temu, potem nagle znikł z rynku. Prowadziłem na ten temat badania. Mój asystent, Jorgensen, przeprowadził dla mnie serię ankiet. Dałem panu kiedyś dwie sztuki... w ramach eksperymentu.

Przytaknął ponuro. Oczywiście że pamiętał. W końcu przez to świństwo nie skończył studiów. Ale nie miał pojęcia, że zabawka, która zdruzgotała mu życie, a kumpla wysłała do piachu, była substancją „memoaktywną”. Dla nich był to tylko drag, piątkowy bilet do piekła. Dzieciak mógł na to trafić. To bardzo prawdopodobne. Jakaś partia towaru mogła znowu pojawić się na rynku. Stavalon nigdy nie był popularnym narkotykiem, wywoływał sensacje nie do przewidzenia. W epoce plastiku ludzie woleli beztroskie ekstazki. Stavalon nie powodował błogostanu i nie nadawał się do tańca. Prędzej do różańca. Przesyłał skondensowaną dawkę informacji wprost do mózgu zażywającego.

Pamiętał. Pigułka zsyłała zmysłowe doświadczenie pobytu w świecie przypominającym wczesne średniowiecze. Nie była to Słowiańszczyzna, raczej północna Anglia albo Szkocja. Wnioskował to po strojach i gatunkach roślin. W końcu w ilu krajach występują wrzosowiska, a ludzie używają rydwanów i tatuują sobie twarze? Być może charakter tego imaginacyjnego uniwersum był po prostu czkawką po pięćdziesięciu latach obfitego spożywania posttolkienowskiego *fantasy*, z jego germańsko-celtyckim klimatem.

Jako miłośnik historii Łukasz często zabawiał się przyporządkowywaniem nacji Śródziemia ich realnym pierwowzorom, jeżeli takie w ogóle istniały. Hobbici to poczciwi Anglicy, tacy anglosascy wieśniacy. Elfowie zdradzali cechy celtyckie, mieli bujną wyobraźnię i lubili pieśni. No i wymierali. Numenor to schyłkowy Rzym, a późniejsze królestwa na wygnaniu zdradzały podobieństwo do państw średniowiecznych, ale bez dokładnych odwzorowań. Upadający pod ciosami Czarnoksiężnika z Angmaru Arnor mógł być Wesseksem z czasów Alfreda, ale takim, który nie przetrwał nawały wrogów. Czarnego Władcę często uznawano za Hitlera - ale Klimkowski miał inną teorię. Sauron i jego Mordor

odzwierciedlali zagrożenie Europy przez Turków, oblężenie Minas Tirith było niczym innym, jak próbą zdobycia Wiednia przez Mustafę Paszę. W takim razie, zastanawiał się czasem Łukasz w chwilach relaksu przy pracy, trwoniąc pieniądze podatników, przełamująca oblężenie szarża Rohirrimów byłaby trawestacją szarży polskiej husarii. Ciekawe, na ile świadoma to inspiracja, w końcu Europejczycy gównem o nas wiedzą. Nikogo nie interesują przebrzmiałe, prowincjonalne imperia.

Łukasz wspominał jazdę po stavalonie jako niezwykle, wręcz mistyczne doświadczenie. Nie żeby pamiętał wiele. Dopiero teraz wspomnienia wypłynęły na powierzchnię świadomości. Powietrze, jakiego dzisiaj nie uświadczysz. Smak chrupiącego chleba, mleko zalatujące oborą. Wszystko obesrane i przasne, a jednak... kurewsko żywe. Jakieś obrazy z wioski, polowania, tańce. Dziwnie znajome, jakby śnił o tym wszystkim wcześniej, tylko nie doniósł obrazów na jawę.

Potem była drzemka w ruinach kościółka bez dachu, z zatartym krzyżem wpisanym w okrąg. Wędrówka przez gęstwinę i ciernie, mroczny czarny las. I głos, który obudził Łukasza w ciemnościach i sprawił, że zatchnął się czernią nieba i natłokiem gwiazd. Masz znaleźć Graala, mówił głos. Znajdź go i przynieś go nam. A potem łuna pożarów, daleki szcęk mieczy i tarcz. Wszystko to było dosyć przerażające. Łukasz wolał gry komputerowe, w których doznania zmysłowe były wprawdzie słabsze, a grafika schematyczna, ale człowiek nie dostawał metafizycznych mdłości. Nie zdecydował się spróbować drugi raz.

Potrząsnął głową jak człowiek zbudzony ze snu. Szkielet w kącie posłał mu współczujący uśmiech. Profesor uśmiechnął się.

- Dlaczego nic nie pamiętałem? - zapytał Łukasz zdławionym głosem. Właśnie uświadomił sobie, że ktoś na całe lata wymazał mu pamięć i ot, dla kaprysu, przywrócił ją na momencik.

- Tak to zostało pomyślane. Tylko jeden człowiek miał zapamiętać wizję. Reszta została z kacem i z bólem głowy. Magia nie jest demokratyczna. Zapomniałeś, bo nie musiałeś pamiętać. Stavalon miał jedno zadanie, wyłonić Nosiciela. Nie chcieliśmy medialnej sensacji w stylu „Madonna porzuca kabałę na rzecz druidyzmu”.

- Nie chcieliśmy? - wyszeptał Łukasz.

- Nie mogę powiedzieć nic więcej.

- To pan mi to dał... przypominam sobie... Dwa razy. Drugą tabletkę oddałem Johnny'emu.

Wzdrygnął się i otrząsnął ze wspomnień. To już było. Nie będzie się teraz rozklejał. Nie przy tym starym oszuście.

- Okej. Wystarczy, że określi pan wiek tego naszyjnika.
- A jeżeli on nie podlega kryteriom czasu?
- To też jakaś odpowiedź. Muszę lecieć.

\* \* \*

Kierczyński nie wyglądał już na kulturalnego staruszka. Wciąż uśmiechał się dobrotliwie, ale w oczach miał groźbę. Palce wbił w blat biurka, jakby chciał zwinąć go w rulon.

- Drogi chłopcze, wplątałeś się w coś dużego. Ta sprawa przerośnie cię, jeśli odrzucisz moją pomoc. Musisz mi zaufać.

- Zaufać? Do kurwy psa, już raz to zrobiłem! Gdzie byłeś, kiedy moje życie rozpadło się na kawałki?

- Widzę, że dobre maniery diabli wzięli. Może przynajmniej wypijemy bruderszaft? - twarzy profesora nie imaly się żadne emocje.

Łukasz opanował się z trudem.

- Wal się. Trenowałeś mnie jak pieprzonego Harry'ego Pottera, a potem dałeś do zrozumienia, że to wszystko bajki!

- Nie miałem wyboru. To nie był odpowiedni czas. Kiedyś zrozumiesz, że próbowałem cię chronić. Byłeś moim uczniem, a to niebezpieczne. Moim jedynym uczniem.

- Nieważne. Cokolwiek kombinowałeś, to i tak spierdoliłeś. Z całym szacunkiem. - Łukasz założył kurtkę.

- Poczekaj! - głos profesora przeszedł w krzyk. - Nic nie dzieje się bez przyczyny. Musisz znaleźć chłopca.

- Wolałbym ładną dziewczynę.

\* \* \*

Alina czekała na Łukasza w centrum. Próbowwała namierzyć Igiego, bezskutecznie. Teraz pastwiła się nad nią podsycona lękiem wyobraźnia. Widziała go już roztrzaskanego na jakimś podwórzu, po krótkim locie na beton, rozjechanego na torach albo dyndającego na drzewie. Klimkowski pocieszał ją, że większość samobójstw dokonuje się w czterech ścianach, ale laska uparła się, że zjrzą do niego do domu. Nikt nie odbierał telefonu, ale podejrzewała, że mógł się tam zaszyć.

Łukasz zaprowadził ją na przystanek koło ronda de Gaulle'a i skonstatował, że żaden z niego detektyw. Był pierdolonym piechurem. Marlowe, Archer, Wallander - wszyscy mieli bryki. W tym fachu to mus. On samochodu nie posiadał. Ba, nie zrobił nawet prawa jazdy.



Zawsze miał coś pilniejszego do roboty, a już na pewno nie miał dość pieniędzy.

- Nie lepiej pojechać samochodem? - zapytała, kuląc się w zacinającym deszczu.

Łukasz uśmiechnął się krzywo.

- Pewnie lepiej, ale nie posiadam.

- Ale ja mam. Matka czasem mi pożycza.

Łukasz owinał się pasami jak baleron i z przyjemnością obserwował, jak dziewczyna prowadzi. Nic w jej pewnych ruchach nie zdradzało, jak bardzo jest rozdygotana. Alina zdmuchnęła kosmyk włosów i odsłoniła profil. Fajnie. Odpowiadała mu ta obecna rola. Łukasz Klimkowski, niedoszły absolwent historii, były psycholog szkolny. Obecnie detektyw z przypadku.

- Nie interesuje mnie człowiek - powiedział nagle, gdy zatrzymali się na światłach.

Dziewczyna uniosła brwi.

- To co pan robi w poradni psychologicznej?

- Dobrze pytanie. Moim zdaniem wykonywanie pracy, do której człowiek w ogóle się nie nadaje, jest oznaką normalności. Większość ludzi żyje w ten sposób. Gdyby wszyscy robili to, co naprawdę lubią, świat byłby zbyt intensywny. I zbyt szczerzy.

Przed maską samochodu przeszło kilku młodych ludzi w dżinsach i białych butach. Łukasz skrzywił się. Wobec ludzi w jasnym sportowym obuwiu odczuwał coś zbliżonego do rasizmu. Tak samo reagował na jasne spodnie, beżowe swetry i tak zwany promienny uśmiech. Oraz programy taneczne. Ci na drodze uśmiechali się bez żenady. Ich dziewczyny nosiły białe kozaczki, tipsy i obcisłe spodnie, przez które prześwitywały tyłeczki. Wyglądali na zdrowych studentów zarządzania.

- Na przykład oni. W średniowieczu byliby chłopami, potem pracowaliby w fabrykach. Za komuny kto mógł, szedł na politechnikę. Dzisiaj wszyscy robią magistra. Ale co z tego, skoro są analfabetami i tak naprawdę nie znoszą wiedzy?

Mają wszystko i nie korzystają z niczego. Są jak gówniany Midas, z czymkolwiek się zetkną, spada do ich poziomu. Papieżowi, Dalajlamie, nikomu nie wolno nauczać. Powinien opowiadać kawały. Swojak. Bo żywiołem targetów jest zabawa. Najchętniej lansują się i tańczą. Co z tego, że nie mają za grosz wyobraźni i smaku. Są kreatywni i na luzie, są sobą. Tak przynajmniej chcą o sobie myśleć.

- Czasem chciałbym zobaczyć prawdziwą twarz typowego Polaka. Wiesz, gdyby zedrzeć z niej maskę szacunku dla JP2, oglądania *M jak miłość*, wartości rodzinnych. Ujrzelibyśmy małpę, mordercę, jakieś pierwotne bydlę.

- No proszę. Psycholog psychopata. Do tego chory z nienawiści. Ale z pana cynik! -

zachichotała dziewczyna.

- A kto powiedział, że zawsze będę psychologiem szkolnym? Etat i kierat to nie dla mnie. Kiedy moja matka mówiła: „Zejdź na ziemię” zawsze odpowiadałem: „Ziemię zostawmy robakom”.

- Założę się, że czyta pan Nietzschego.

Łukasz uśmiechnął się z uznaniem.

- Bingo. Ile ty masz właściwie lat, co?

- Dwadzieścia. Zimowałam jeden rok w gimnazjum.

- Zamierzasz studiować?

- Mam już pracę, jestem barmanką. Czasem dorabiam jako hostessa. To mi na razie wystarczy. Cholera, czy już wszyscy muszą być ambitni?

\* \* \*

Igi mieszkał na strzeżonym osiedlu koło Kabat. Zimna, nowobogacka okolica, wskazująca na kasę i brak korzeni tych, którzy tu mieszkają. Łukasz wołał Saską Kępcę, Mokotów i Żoliborz, nowe dzielnice wciąż wydawały mu się obce. Pierwszy radiowóz zobaczyli jeszcze przy starych blokach, w pobliżu osiedlowych śmietników. Otaczał je tłum zaaferowanych gapiów, kilka starych kobiet w beretach modliło się. Zmęczeni policjanci taszczyli worek na zwłoki, koło którego skamlał mały, przerażony psiak.

Jeden z gliniarzy zwymiotował i oszołomiony kręcił głową, jakby to mogło przegonić horror, który przed chwilą zobaczył.

Łukasz wzdrygnął się. Na nowym osiedlu stały jeszcze trzy radiowozy i karetka. Roilo się od policji. Jakiś mundurowy zamachał na ich widok rękami i kazał im się cofnąć. Ulicę otaczał kordon policjantów, którzy zaklejali dojazd taśmą. Zobaczył bladego sanitariusza, adidas miał ochlapane czerwienią, jakby brodził po kostki we krwi. Tutaj nie było tłumu, ale z oświetlonych okien wyglądały zaciekawione twarze. Łukasz nachylił się do Aliny, która szukała miejsca do parkowania.

- Nie zatrzymuj się. Jedź.

- Ale Igi... - zaprotestowała słabo.

- Cokolwiek się tutaj stało, lepiej nie rzucać się w oczy.

Łukasz nie ufał policji. Za jego czasów hasło HWDP nie było jeszcze w użyciu, dla niego równie dobrze mogło znaczyć Homer - Wergiliusz - Dante - Platon. Ale zbyt często czepiali się go za drobiazgi, żeby chciał dobrowolnie pakować się w sprawę o morderstwo.

- Co teraz zrobimy? - zapytała, nie patrząc na niego.

- Na razie pozostaje nam czekać. I czytać poranną prasę.

\* \* \*

Karolina już spała. Po ciemku zzuł buty i stłumił przekleństwo. Wyrznął w róg ściany małym palcem u nogi, bezsprzecznie najwrażliwszą częścią ludzkiego ciała. Starając się robić jak najmniej hałasu, przekradł się do sypialni. Karolina spała przy zapalanej lampce, na łóżku leżała otwarta książka, ostatnia powieść Mankella. Rozczulało go nakrywanie żony w jej własnym świetle. Człowiek nie jest naprawdę nagi, kiedy się kocha, ale kiedy jest sam w zimowy wieczór, pomyślał. Podciągnął zsunięty koc na jej plecy i zapalił papierosa. Długo gapił się w sufit.

Spał ciężko i niespokojnie, rzucając się z boku na bok. Las był ciemny i gęsty, ciernie raniły go w biegu. Zbudziło go światło.

Zielone, pulsujące, złowrogie. Zamrugał oczami i zobaczył, że wojskowa torba, w której zostawił złotą obręcz, jarzy się na środku sypialni. Odwrócił się twarzą do ściany. Cokolwiek to jest, musi poczekać do jutra.

Rano zbudził się z miłym przeświadczeniem, że wszystko jest najzupełniej zwyczajne. Cieszył go nawet dotyk kołdry i prześcieradła, jakże niepodobny do kolczastych zarośli. Czuł się rześki i skoczył do sklepu po świeże pieczywo, czego nie robił od wieków. Karolina przyglądała mu się podejrzliwie.

- Wyglądasz, jakbyś się nieźle zabawił.

Łukasz zakrztusił się kawą.

- No co, humoru mieć nie można? - zapytał, ocierając usta.

- Można, ale nie jak się spędziło noc z nieletnią - wycodziła Karolina.

- Po pierwsze, nie spędziłem z nią nocy, tylko wieczór. Po drugie, to moja praca. Jeżeli mój pacjent jest zagrożony, pomagam. Po trzecie, ta nieletnia robi w tym roku maturę.

- Znalazł się legalista - kobieta wydeła usta. - Poza tym sam sobie przeczysz.

Łukasz zasłonił się gazetą. Gdyby był weterynarzem, podejrzewałaby go o uwodzenie świnek morskich. Skupił wzrok na nagłówkach i zamarł. Zjedzone przed chwilą jajka stężały w lodowe bryły i podeszły mu do gardła. Pierwsza strona „Gazety Stołecznej” krzyczała tytułem, który nie wymagał dziennikarskich wzmocnień. *Krwawa zbrodnia na Kabatach*. Zamordował rodziców i uciekł. Policja podejrzewa Radosława J., lat osiemnaście, o sześć makabrycznych zbrodni. Świadkowie widzieli sprawcę na miejscu pierwszego zabójstwa. Łukasz zamrugał, litery tańczyły mu przed oczyma. Najdziwniejsze, że jeszcze go nie złapali.

W pracy był półprzytomny i żaden „pacjent” nie miał z niego pożytku. Wyszedł

wcześniej odprowadzany spojrzeniami uczniów. Wieści o starciu „doktorka” z załogą Siwego rozeszły się szybko. Tak samo jak sprawa Igiego. Zastanawiał się, kiedy pojawi się u niego ktoś z policji. Na korytarzu wpadł na Baškę, która posłała mu spojrzenie męczennicy.

- Przeczuwałam... To mógł być każdy z nas. - Polonistka nie kryła satysfakcji. - Jak pomyślę, że tylko czekał... Żeby tu wejść z karabinem, jak ten psychopata w Niemczech. Na samą myśl robi mi się słabo.

Łukasz pomyślał, że chęć mordowania nauczycieli jest najzupełniej normalna, ale zachował to dla siebie. W liceum wielokrotnie rozważał wrzucenie granatu do pokoju nauczycielskiego. Zrobił zaaferowaną minę i wymamrotał, że sam jest w szoku. Nie wiedział, skąd bierze pewność, że chłopak jest niewinny. Może nie lubił demonizowania dzieciaków za to, że ubierają się na czarno? W czasach gdy zwyrodnialcy bawią się w dyskotekach i noszą markowe ciuchy, był to stereotyp. Krzywdzący i znamionujący nieudolność poznawczą.

Aliny nie było w szkole, bezskutecznie do niej wydzwaniał. W końcu dał za wygraną i pojechał do domu. Kiedy wchodził na klatkę, poczuł na plecach czyjś wzrok. Odwrócił się i zobaczył postać w ramonesce. Twarz chłopaka skrywał kaptur. Łukasz obserwował go uważnie. Igi spojrział na niego błagalnie.

- Ja tego nie zrobiłem - powiedział.

- Co innego mówią świadkowie - powiedział Łukasz i cofnął się. Błąd, za plecami miał ścianę.

- Wyglądał zupełnie jak ja - twarz Igiego przypominała rybi brzuch.

Łukasz wzdrygnął się. To samo mówił Kierczyński. Idzie za nim ten drugi. Nagle pożałował, że nie wysłuchał starego.

- Groziłem im czasem. W domu była parę razy policja. Ale nie zrobiłbym czegoś takiego. Wierzy mi pan? - zapytał chłopak błagalnie.

- Wierzę. Ale nie podchodź.

- Najpierw zobaczyłem go we śnie. Biegłem przez las, gałęzie szarpały mi skórę. Uciekłem mu jakimś cudem, ale trochę mnie poszarpał. Każdej kolejnej nocy podchodził bliżej, czułem, że końcu mnie dorwie. A potem pojawił się w realu. Pomoże mi pan?

Łukasz pomodlił się o siłę i poszukał w sobie wewnętrznego skurwysyna. Bezskutecznie. Zamiast tego poczuł słabe, odległe echo gdzieś w głębi własnego serca. Zobaczył martwą twarz Johnny’ego, oblepioną mokrymi włosami. Pomożesz mi? Pewnie. Pamiętaj, to tylko złe sny. Sny nie zrobią ci krzywdy. Teraz jest zima, ale to nic. Przyjdzie wiosna. Ale nie do wszystkich.

- Dobra. Możesz zostać. Dam ci coś do jedzenia. Ale zachowuj się. Jak zobaczysz

moją żonę, siedź cicho. Mów, że jesteś moim pacjentem. Coś wymyślę.

- Dzięki.

- Jeszcze jedno. Dlaczego nie zabrałeś go ze sobą? Na pewno jest wart kupę kasy. Poza tym to diabelnie ładna rzecz.

Igi uśmiechnął się szarym, pobrużdżonym uśmiechem, który postarzał go o dwadzieścia lat.

- Próbowałem go założyć. Odgiąłem metal, podniosłem do światła.

- No i?

- Zacząłem się dusić. Zerwałem to gówno w ostatniej chwili. Gdybym go zatrzymał, zginąłbym.

\* \* \*

Profesor kulił się za biurkiem jak mądra, stara sowa z przetrąconymi skrzydłami. Wpatrywał się w leżący przed nim torok.

- Wiele bym dał, żeby był przeznaczony dla mnie. Ale nie jest. - Delikatnie dotknął obręczy wychudzonymi palcami.

Na widok Igiego, który nieufnie przyglądał się regałom z książkami, oczy profesora załśniły. Jego usta poruszyły się bezgłośnie.

- A więc to ty. Dobrze cię widzieć - powiedział ciepło.

- Niby dlaczego? Nie znam cię - burknął Igi.

- Ale ja znam ciebie. Czekaamy na ciebie od dwóch tysięcy lat. Ja i moi poprzednicy.

- Kim wy jesteście? - zapytał Igi piskliwie. Jego głos niebezpiecznie balansował nad przepaścią hysterii.

- W pewnym sensie jesteśmy magami.

- Jasne. A ja jestem Dunadanem, strażnikiem Królestwa Północy.

- Super. A jednak czytamy książki - profesor uśmiechnął się. Jego wzrok powędrował gdzieś w dał, sieć zmarszczek wokół oczu pogłębiła się, jak gdyby wzywała go przeszłość. - Jesteśmy starym bractwem. Pieczętujemy się znakiem Czerwonego Smoka.

- Dobrze, ale co robicie? I kim naprawdę jesteście?

- Druidami - powiedział Kierczyński skromnie.

Łukasz zaśmiał się. Stary uchodził za masona, gnostyka i sekciarza, ale druid? Tego jeszcze nie było. Chociaż zawsze miał w sobie coś z szemranego guru. Kiedyś profesor zaproponował mu partyjkę tybetańskiej gry planszowej. Gra przypominała chińczyka. Lama musi wyprowadzić swoje pionki z samsary, przemierzając sześć światów buddyjskiego

uniwersum. Zatrzymując się w świecie głodnych duchów, w piekle demonów czy w krainie bogów, lama medytował i rzeczywiście je odwiedzał. Wtedy był zafascynowany. Teraz nie wierzył już w bajki.

- Nie zajmujemy się tylko ścinaniem jemioli. Od dwóch tysięcy lat pracujemy nad tym, żeby ocalić nasz świat. Świat Celtów. Ten, który spalili Cezar i germańscy barbarzyńcy, a dobili Edward Długonogi i Cromwell. Czekaliśmy cierpliwie, wierząc, że fala się odwróci. Jeśli będzie trzeba, poczekamy kolejne tysiąc lat.

- A konkretnie to na co czekacie? - zapytał Łukasz. To było przegięcie. Nawet jak na urojenia zdziwaczałego geniusza.

- Czekamy na Nosiciela. Czekamy, aż rozpocznie się Obrzęd. To ten chłopiec. Rzecz nie podlega kwestii. Tylko dzięki niemu obręcz pojawiła się w naszym świecie.

- Sorry, ale będziemy już lecieć - Łukasz wstał i spojrzał na zegarek.

Igi zbliżył się do biurka.

- I jeszcze to - sięgnął po klejnot. - Miło się rozmawiało.

Łukasz unikał wzroku Igiego. Tyle w temacie pomocy od krynicy wiedzy. Druidzi! Ostatni raz czuł się tak zażenowany w harcerstwie. Jeszcze w latach osiemdziesiątych. Jego zastęp miał odszukać w sąsiedztwie zapomnianych bohaterów wojennych. Odszukali. Domniemany weteran Powstania, którego zaprosił na zbiórkę, załamał się i pokazał dzieciom poźółkłą kartę volksdeutscha. Publiczna ekspiacja pijaczka była spektakularną kompromitacją Łukasza. Nigdy nie awansował w ZHR.

Igi wyszedł bez pożegnania. Kierczyński patrzył, jak Łukasz zapina kurtkę. Na jego wąskich wargach błąkał się zgryźliwy uśmieszek.

- Zawsze byłeś niedowiarkiem. Na nic się nie mogłeś zdecydować, w pracy i w życiu. A miałeś możliwości. Ubzdurałeś sobie, że będziesz pomagać innym, bo nie umiałeś pomóc samemu sobie.

- I po co te teksty? To jakaś zemsta? Bo nie zostałem na uczelni?

- Jesteś częścią tej historii, czy ci się to podoba czy nie. To dopiero początek. Unikanie prawdy nic tutaj nie da.

- Prawdy? To jakieś bzdury. Zaraz usłyszę, że jestem wybrańcem i los świata spoczywa w moich rękach.

- To nie film z Hollywood - powiedział ostro Kierczyński. - I to nie ty jesteś Wybrańcem. Ale z jakiś powodów Wybrańiec przyszedł do ciebie po pomoc.

Głos profesora złagodniał. Wyjął z szuflady mały woreczek przypominający kapciuch na tytoń.

- Weź chociaż to. Lekarstwa i inne rzeczy. Mogą się przydać. Nie mam dla ciebie żadnych porad. W stosownej chwili Wybraniec musi włożyć naszyjnik. Tylko tyle i aż tyle. I pamiętaj - profesor rozkaszał się - że jestem ci bardzo wdzięczny. Dzięki tobie i temu dzieciakowi wiem, że nie zmarnowałem życia. Coś mi się jednak udało.

Łukasz schował zawiniątko do kieszeni. Podświadomie liczył na coś innego. Miecz? Czym prędzej zbiegli po schodach.

- Pamiętajcie o tym drugim! Już tu jest - zawołał za nimi Kierczyński.

Nie słuchali.

Profesor westchnął i sięgnął po paczkę fajkowego tytoniu. Zapas mu się kończył, a w mieście coraz trudniej było o dobry, niearomatyzowany tytoń. W kioskach zalegały perfumowane podróbki, profanacja sztuki fajczarskiej. W poszukiwaniu ulubionej marki, Wolarsena, musiał zapuszczać się aż na Dworzec Centralny. Nienawidził tego miejsca. Drażniły go ćpuny, głodne, potępione duchy.

Czasem zastanawiał się, ilu z napotkanych nieszczęśników zawdzięczało swój upadek jego misternym działaniom. Jego i Bractwa. Ilu głupców straciło rozum i odebrało sobie życie po sesji ze stavalonem, ich czarodziejską tabletką. Na przykład Łukasz. Kilka lat temu podrzucił mu porcję, przedstawiając całą sprawę jako naukowy eksperyment, badanie pola świadomości. Wierzył, że Klimkowski da sobie radę. Był silny, choć sam o tym nie wiedział.

Potem kazał mu spróbować jeszcze raz. Jak pamiętał, Łukasz oddał tę porcję komuś innemu i doszło do tragedii. Na szczęście nikt nie skojarzył tego z sesją. Kierczyński nie wiedział, do ilu osób dotarł stavalon. Dystrybucją zajmowali się inni. Jego rola polegała na odkryciu receptury i na selekcji obiecujących kandydatów. Takich jak Łukasz. Może dobrze, że Klimkowski uznał całą historię za stek bzdur. Wolał być w jego oczach wariatem niż skurwysynem.

Nabił fajkę drżącymi palcami. Nad biurkiem zawisł cień. Mężczyzna w brązowym płaszczu wysunął się z drugiego pokoju i przypatrywał mu się zimnymi, zmrużonymi oczami. Kierczyński odwzajemnił spojrzenie. Jak zawsze zatrzęsł się jak stary, wylęknięty pies i skulił w oczekiwaniu na razy. Ale pan był zadowolony.

- Dobrze się spisałeś - powiedział głucho.

Kierczyński zaciągnął się łapczywie i wydmuchnął kłęb dymu. Chmura zawirowała i ułożyła się w sekwencję zmiennokształtnych form. Ulotne żywioły były szczególne podatne na moc. Drzewo zbiło się w bryłę, góra załopotwała skrzydłami. Smok. Przyglądał się zafascynowany. Nigdy nie wiedział, czy to autentyczne wróżbiarstwo, czy zwykły pokaz iluzji. Dym zastygł w formie wyszczerzonej czaszki i wrócił do normalnego bezhołwia. Jego

mistrz zastanawiał się nad czymś, blada twarz wykrzywiła się w tęsknym grymasie. Obrócił się do Kierczyńskiego i poklepał go plecach.

- Udało się, przyjacielu. Wreszcie się udało.

- Dlaczego nie zabraliśmy naszyjnika? Był tak blisko - ośmielił się zapytać.

Mistrz uśmiechnął się enigmatycznie.

- Na dąb, cis i jemiolę, wiesz dobrze, jak bardzo chciałbym wrócić. Poczuć znów czyste powietrze, odetchnąć nieskażoną magią. Ten świat jest już martwy, wypłukał się z cudów do cna. Ale nie mogę tego zrobić. To przeszłość powróci do mnie.

- Nie rozumiem cię, panie. Czekaleś na to od wieków.

Mężczyzna wzruszył szczupłymi ramionami. Tego dnia powietrze było wilgotne i w kościach émiło go uporczywe łupanie. Przypomniał sobie lochy w niemieckim miasteczku i katowskiego czeladnika, nadgorliwego durnia, który przerabiał na nim techniki tortur z *Malleus maleficarum*. Zaczął już mówić, a oni ciągle dręczyli, łamali i miażdżyli.

Na szczęście dzień później kanonik Luter wystąpił z heretyckimi tezami i stary biskup miał ważniejsze problemy na głowie niż przesłuchiwanie cudzoziemskiego magika. Dał się przekupić i puścił go wolno, ale kości nigdy się dobrze nie zrosły. Cała moc Albionu nie wystarczyła, by je porządnie poskładać. Tępe zniszczenie często triumfuje nad subtelnym kunsztem. Do końca czasu będzie żył z tym bólem. Chyba że...

- Nasza rola jest inna. Katalizujemy, inicjujemy, jesteśmy jak pierwszy poruszyciel. Ruchomy poruszyciel - zachichotał. - Reszta nie należy już do nas. Naszyjnik sam wybierze odpowiedni moment. Naszyjnik i jego pan. Sam wiesz, że nie możemy się wychylać. Nie jesteśmy jedyjni... na świecie są inne siły, które mogłyby wdeptać nas w proch.

- Myślisz, że szczeniak naprawdę jest Wybrańcem?

- Naszyjnik dał mu się odnaleźć. To nie był przypadek. Chłopak ma w sobie tyle nienawiści i gniewu, że starczyłoby na spore miasteczko. To musi być on.

Chyba że się mylicie. Kierczyński zagryzł ustnik fajki i zebrał się na odwagę.

- Wiele lat temu obiecałeś mi coś. Pamiętasz? Jeśli ci pomogę, przekażesz mi swoją wiedzę. Pozwolisz mi ożywić martwe słowo, zrozumieć nieme przekazy. Przyrzekłeś mi wiedzę i moc.

- Ach tak. Nie chciałeś być zwykłym kustoszem, pragnąłeś ożywić kurz. Pytanie, czy nadal chcesz.

Kierczyński zakaszłał. Poczul się stary i bardzo zmęczony. Mistrz spojrzal na niego z troską.

- Marnie wyglądasz, przyjacielu. Twoje życie dobiega kresu i chyba możesz nie



zdążyć. Myślałeś już o wyborze następcy?

- Dzisiaj niełatwo o uczniów - wymamrotał Kierczyński.

- Wielu nie byłoby może od tego, ale gdybyś ich posłuchał... Przytomni ludzie nie garną się do magii. Tylko świry. Tak naprawdę to podszkoliłem zaledwie jednego studenta, podsuwałem mu odpowiednie książki i znaki. Tak żeby o niczym nie wiedział. Widziałeś go, towarzyszył Wybrańcowi.

- A, ten. Obawiam się, że jego musimy skreślić. Kiedy Naszyjnik się uaktywni... raczej nie obejdzie się bez ofiar. Tak już jest. Ktoś musi zginąć, żeby czar zadziałał.

- Nie możemy go jakoś ostrzec? - zapytał Kierczyński nieśmiało.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że zawsze lubił Klimkowskiego.

Wykładał przez dziesiątki lat, ale jeżeli w ogóle zdołał komuś coś przekazać, to właśnie jemu. Nie chciał jego śmierci. Mistrz zastanowił się, wywołał na twarzy współczucie.

- Przykro mi.

## ROZDZIAŁ 6

*Wściekłość swą zatem kieruję  
Ku Saksonowi, co mnie złupił.  
Gruffudd ab yr Ynad Coch*

### STARA POEZJA WALIJSKA

Bedevir odwrócił się i spojrział na zbliżającą się dziewczynę. W siodle nie siedziała za dobrze. Niekiedy zastanawiał się, jakim cudem dotrzymywała mu kroku, zwłaszcza na wyboistym terenie. Albo raczej, *po co* dotrzymywała mu kroku. Jeżeli to poryw serca, to Mab udało się nad nim zapanować. Od czasu nocy w Lydeffyn nie zbliżyła się więcej do niego. Bedevir uszanował jej decyzję. Podróżowali już pięć dni. Wspólna noc sprawiła, że traktował ją z uprzedzającą grzecznością, która być może zahaczała o poczucie winy. Mab była miłą dziewczyną. Twierdziła, że pochodzi z dobrej brytyjskiej rodziny. A on wykorzystał ją jak pierwszy lepszy zbój.

Jednak było w niej coś, co nie pasowało do ogólnego zarysu. Sposób, w jaki zbierała chrust i rozdmuchiwała ogień. Zniecierpliwienie, z jakim wyrwała mu z rąk kupionego od myśliwych królika, i zrzeczność, z jaką go oprawiła.

Na przykład dwa dni temu. Na widnokregu pojawili się zbrojni. Wolał nie sprawdzać, kim są. Zmusili wierzchowce do galopu, kamienny murek wyrósł jak spod ziemi, zamaskowany mchem i opadającym wzniesieniem. Elpyr wyskoczył odruchowo, prawie zrzucając Bedevira z grzbietu. Jakimś cudem utrzymał się w siodle. Mab nie miała tyle szczęścia. Jej kuc, równie wytrzymały co głupi, zarył kopytami i wysadził dziewczynę przez głowę. Upadła miękko i przekoziółkowała. Kiedy znalazł się przy niej, usłyszał, jak klnie.

Tak osłupiał, że zapomniał pomóc jej wstać. Podobne przekleństwo słyszał tylko raz w życiu. Padło z ust pijanego najemnika, którego mowa była równie plugawa jak woń. Dziewczyna zdmuchnęła włosy z twarzy i łypnęła na niego z oburzeniem.

- No co? Nie słyszałeś, jak kobieta przeklina?
- W każdym razie nie tak - wybąkał Bedevir.
- Nazwij to rodzinną tradycją. Moi przodkowie służyli w legionach, za to dostaliśmy ziemię. Ojciec nigdy o tym nie zapomniał.

Nie wracali do tego więcej. Kiedy złamała się pod nią spróchniała kładka i Mab prawie znalazła się w potoku, pisała wdzięcznie i wczepiła się kurczowo w pomocne ramię rycerza. Od tamtego wypadku chętniej zabiegała o jego pomoc, skwapliwie przyjmowała kurtuazyjne gesty. Po kilku dniach podróży przez pustkowia Bedevir zaczął się czuć jak bohater ballady. I było mu z tym dobrze, wiedział, na czym stoi. Mab była damą w opałach, a on jej szlachetnym rycerzem.

Mab ożywiała się wieczorami, kiedy płonął ogień, a przyszłość nabierała cieplejszych barw. Często prosiła go, żeby opowiadał jej o Camelot, zabawach, strojach i gonitwach. Tam, skąd pochodziła, w podupadłej garnizonowej osadzie u podnóża Muru, opowieści o Camelot ogrzewały lepiej niż najlepsza strawa. A Bedevir mówił, w końcu to nic nie kosztuje. Snuł bajki o młodości Artura, o mieczu wyciągniętym z kamienia i pięknej Ginewrze, o zabawach i miłosnych intrygach. O turniejach i gadających ogarach, pojedynkach z olbrzymami i zaklętych pannach.

- Dla ciebie to pewnie chleb powszedni - komentowała z zachwytem.

Bedevir wrzusał ramionami i ponuro drapał się w szczękę. Nie miał serca pozbawiać jej złudzeń. O jakich chwalebnych czynach mógł jej opowiedzieć? O pijatykach w wielkiej sali? O pustoszącym Okrągłym Stole, którego zakurzoną powierzchnię czasem rysował palcem, tkając sceny jak z gobelinów i haftów?

A może o wygłodniałych, warczących psach myśliwskich, które zdziczały, odkąd Artur przestał wychodzić z alkierza, a potem zdechły z tęsknoty? O słuchaniu po raz setny, jak Gwalhmai przechytrzył Zielonego Rycerza i posiadał jego żonę?

Tę popularną opowieść powtarzano w wielu wersjach. Najplugawszą opowiadano nad ranem, gdy wojownicy byli już dokumentnie zalani. Głosiła, że Gwalhmai zawarł pakt z panem zamku, który go ugościł. Każdego dnia gospodarz udawał się na polowanie, a Gwalhmai zostawał sam z jego młodą żoną. Po powrocie pan zamku miał oddawać gościowi wszystko, co ten otrzymał od jego małżonki. W dwójnasób.

W wersji porannej Gwalhmai poprosił gospodynię o odcięcie mu jednego jądra, wybicie oka i przebicie jednego płuca. Począł na powrót jej męża i zaczął egzekwować umowę. Dopiero gdy oślepiony gospodarz stanął w obliczu śmierci, wymógł na nim odwrócenie wszystkiego za pomocą czarów. Ale żonę Gwalhmai sobie zatrzymał.

- Jak wyglądała siedziba króla? Opowiedz mi - poprosiła kiedyś Mab.

Bedevir zamyślił się. Przed oczami stanął mu obraz pajęczyn i butwiejącego drewna. W nozdrzach poczuł smród balsamów i driakwi, odór mokrej psiej sierści i zastarzałej uryny.

Rzymskie zwyczaje, które Artur kultywował w młodości, za czasów Bedevira

przetrwały już tylko w formie własnej karykatury. Rycerze nosili łacińskie tytuły, oznaczające panowanie nad utraconymi ziemiami albo dowodzenie nad armiami, które dawno poszły w rozsypkę. Niewielu opuszczało mury zamku, aby szukać przygód czy gromić niegodziwców. Świat wokół Camelot stawał się coraz mroczniejszy i coraz bardziej zachłanny. Poddanych Artura nie opuszczało wrażenie tymczasowości. Jak babie lato, czekali na pierwszy zimowy podmuch.

Z siedziby króla nadal bił blask, ale coraz słabiej rozpraszał gęstniejącą ciemność, która powoli wypełzała z parowów i lasów Walii, znad północnych wrzosowisk i wschodnich równin. Wszyscy na zamku, od kuchcika po astrologa, zadawali sobie pytanie, o czym myślą Saksonowie. Czemu nie atakują?

Usypiali ten strach opowieściami o dwunastu zwycięskich bitwach i stosach odrąbanych płowowłosych łbów, o płaszczach podbitych brodami piratów, o germańskich naloźnicach z wielkimi zadami, które w łożu były ponure i nieruchawe jak krowy. Odsuwali od siebie odpowiedź, na co czekają Saksoni. Wracala do nich wraz ze smrodem driakwi, zapachem bólu i gnijącego ciała monarchy, z jego rżącym oddechem i twarzą coraz bardziej poranioną przez smutek. I wszyscy zgrzeszyli zwątpieniem. Czekali, aż Artur umrze.

Mab dużo mówiła o tym, jak będzie wyglądało jej życie w zamorskiej Armoryce, którą brytyjscy emigranci nazywali Bretanią. Jej przyjaciółka już się tam osiedliła, miała od niej pomyślne wieści. Snuła opowieści o sadach jabłoni i czereśni, ogrodach i dostatnich wioskach. On myślał o śmiercionośnych toporkach Franków i o fryzyjskich piratach, o zagonach Wizygotów i hordach bezpańskich maruderów. Nie wierzył, żeby na kontynencie było lepiej niż tu. Brytanię oddzielało od barbarzyńców morze. W Galii dzikie ludy przewalały się jak wezbrane rzeki. Wszystko było płynne i tymczasowe, władza królów, granice, istnienie całych narodów. A co dopiero życie samotnej kobiety. Jeżeli Mab ma w ogóle przeżyć w nowej kolonii Brytów, musi niezwłocznie znaleźć sobie męża...

W takich chwilach wszystko momentalnie się psuło, a oni odsuwali się od siebie, jakby nagle wyrosły im kolce. Bedevir przeklinał siebie za brak minimalnej szczerości, a może za zadufanie i pychę, które kazały mu wierzyć, że dziewczyna upatrzyła go sobie na męża. Nie wiedział, o czym rozmyślała Mab, ale sądząc po tym, jak przewracała się z boku na bok i mamrotała przez sen, panna miała niejedno zmartwienie. *Pewnie wspomina tego Llwyny...*

Dziewczyna podjechała bliżej, kasztanowe włosy miała ukryte pod grubym galijskim kapturem. Na ramieniu kołysał się jej kołczan i myśliwski łuk, z którego ustrzeliła im niejedną kolację.

- Koniec z ogniskiem, biwakami i wilgotną ziemią. Dziś w nocy zanocujemy w klasztorze - powiedział.

- Wspaniale. Zamierzasz się wyspowiadać? - zapytała chłodno.

- Nie po to tutaj przyszedłem. Choć jak dobrze pójdzie, zostawię tu spory grzech...

Opactwo kryło się w niewielkiej dolinie. Wokół zabudowań klasztoru rozsypały się siedziby chłopów i rzemieślników. Sam klasztor był masywną, przysadzistą budowlą wzniesioną z kamienia. Kilka niewielkich okienek nie nadawało się do wpuszczania światła, nie wspominając o wstawieniu witraży. Ale do obrony nadawały się świetnie. Atakujący mieliby tutaj nie lada zagwozdkę.

Mieszkańcy ukryli się w chatach, na powitanie wyszło za to kilka zagłodzonych kundli. Bedevir załomotał w bramę. Gniewny głos oznajmił im w chropawej łacinie, że wystawili się na cel jak dojrzałe jabłka i zaraz zarobią strzałę.

- Jestem człowiekiem króla. Otwieraj! - zawołał Bedevir.

Po dłuższej chwili brama uchyliła się. Stał za nią masywny staruch w kusym habicie. Na łydkach i przedramionach bieliły mu się żołnierskie blizny, nieliczące z mnisią tonsurą i ciężkim różańcem, na którym dyndał celtycki krzyż w okręgu.

- Nie mamy jedzenia. Ale służymy chrześcijańską gością - wymamrotał starzec i uśmiechnął się, odsłaniając zaropiałe dziąsła. Żaden medyk od zębów nie miałby z niego pożytku. Chyba że straszylby nim niefrasobliwych pacjentów.

- Prowadź do przeoryszy, mnichu - nakazał rycerz.

- Pani nie przyjmuje. Odprawia modły, panie.

- Dokończy je kiedy indziej. Nuże, nie ma czasu na pogaduszki.

- Kiedy zabroniła. Od dwóch dni nie wychodzi z komnaty.

- W takim razie my pofatygujemy się do niej.

- Tak nie można. Reguła!

- Nie przyszedłem tu nastawać na cnotę siostrzyczek, baranie.

Staruch uśmiechnął się obleśnie. Od dwudziestu lat robił w klasztorze za furtiana, dzwonnika i kowala. I swoje wiedział. Owszem, tęsknił czasem za dawnym życiem na gościńcu, a od wilgotnych murów łupało go w kościach równie dotkliwe jak podczas noclegów w przydrożnych krzakach. Ale tutaj były kobiety, mnóstwo kobiet. Czystsze, zdrowsze i mniej spracowane niż we wioskach. I tylko jeden kogut, łykowaty, ale zawsze. Trzeba tylko podkasać im habity...

Minęli zatopionego w marzeniach furtiana i weszli do refektarza. Siostrzyczki pochowały się, zobaczył tylko jedną, szczelnie zasłoniętą kapturem. Ponaglany odzwierny

poprowadził ich wąskimi schodami i wskazał palcem na dębowe drzwi. Bedevir zastukał w nie dwornie, odczekał i wszedł do środka.

Komnata urządzona była z przepychem. Na ścianie wisiała niedźwiedzia skóra, na półkach spoczywało kilka ksiąg i zwojów. Podłoga wyłożona była wytartym kobiercem. Miłe gniazdko, pomyślał rycerz. W nozdrza uderzył go zapach potu. I wina. I piżmowych perfum.

Na skotłowanym łożu, które nie wskazywało na zamięłowanie właścicielki do ziemskich wyrzeczeń, leżała spleciona w uścisku para.

Kobieta na ich widok poderwała się, ujawniając nieskazitelną figurę, i zakryła się prześcieradłem po brodę.

Mężczyzna chrapał jak smok, pijany i rozwalony na wznak. Był potężnie zbudowany, na szyi miał ślady miłosnych ukąszeń.

- Pani! - krzyknął Bedevir i spłonął rumieńcem.

Mab zerknęła nań ze współczuciem.

- Jak śmiecie? - wrzasnęła Ginewra.

Bedevir zakręcił się w miejscu, jego oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej.

- Longherin! Myślałem, że zginął pod Kamlann.

Śmierć Longherina - w legendach zwanego Lancelotem - była jednym z głośniejszych epizodów bitwy. Mówiono, że rycerz, lubo wygnany przez króla, pospieszył mu z pomocą w godzinie próby i zginął, jak przystało na bohatera. Bedevir tego nie widział. Musiało to nastąpić podczas saskiego kontrataku, kiedy Elpyr uniósł go na bok. Po brytyjskich grodach i wioskach krążyło już kilka pieśni i poematów o śmierci sławnego rycerza. W jednej z wersji padł, zasłaniając Artura własną pierś, według innej zarąbano go w trakcie walki o Czerwonego Smoka, świętą chorągiew Brytów. Żadna z pieśni nie dała mu ujść z życiem.

Królowa zarumieniła się, rycerz rozdziawił usta. Boże, jaka ona była piękna. Ginewra miała jasne włosy, zielone oczy i skórę w kolorze zadymionego wnętrza muszli. W jej urodzie było coś nie z tego świata. Nie wiedział, ile może mieć lat. Wyglądało na to, że doczesne kategorie, takie jak czas, zupełnie się do niej nie odnoszą. Przez moment milczała zmieszana, skubiąc rąbek prześcieradła. Wreszcie dumnie odrzuciła włosy i posłała mu nieprzychylnie spojrzenie.

- Dalej, powiedz to wreszcie. Dobrze wiem, o czym szeptają po kątach. Królowa to dziwka. Jak kotka gzi się z pierwszym z rycerzem swego męża, od kiedy ten zaniemógł.

Bedevir pokręcił głową. Na jego twarzy malował się szok.

- Nigdy tak nie myślałem, pani. Żywiłem do ciebie szacunek.

Ginewra spojrzała na niego wzrokiem, w którym zaskoczenie mieszało się

politowaniem.

- Albo jesteś bardzo szlachetny, albo bardzo głupi. Jak cię zwa?

- Bedevir ap Hywel, pani.

- Nigdy o tobie nie słyszałam.

- Nikt o mnie nie słyszał - wyszeptał rycerz. - Przybyłem do Camelot pięć lat temu.

Król był już chory, nie było turniejów i wypraw. Kiedy rycerze wyruszyli na poszukiwanie Graala, ja zostałem na zamku. Byłem za młody i... nie dość godny.

- Nie pamiętam, żebym cię kiedykolwiek widziała.

Bedevir uśmiechnął się gorzko.

- Nie było okazji. Spędziłem te lata, przemykając w cieniu. Z całej chwały Camelot zostałaś mi tylko ty. A potem odeszłaś do klasztoru.

Ginewra uśmiechnęła się z wdziękiem..

- Teraz się spotkaliśmy. Lepiej będzie, jak poczekać na mnie w refektarzu. Może nie zauważyłeś, rycerzu, ale jestem naga.

Bedevir pochylił głowę. W tym momencie czcigodny Longherin usiadł na łóżku i donośnie czknął.

- Na sto sodomickich diabłów. Głowa mi pęka niby pod obcasem. Muszę się napić albo spać tę cholerną budę.

\* \* \*

Wieczera przebiegała w atmosferze skrepowania. Łagodnie rzecz ujmując. Ginewra skubała pieczonego kapłona i pasztet, unikając wzroku współbiedników. Bedevir ostentacyjnie pił wodę, budząc obrzydzenie w czcigodnym Longherinie. Sławny rycerz oznajmił, że widok człeka chłepczącego wodę niczym żaba jest wstrętny i pogański. I gotów jest się porzygać. Pierwszy z królewskich rycerzy był tego wieczora na wyraz rubaszny, hałaśliwy i bezpośredni. Roześmiał się serdecznie, usłyszawszy historię o swej bohaterskiej śmierci. Owszem, jakiś Sas zdzielił go po łbie, ale hełm wytrzymał.

- Ocknąłem się rankiem, zrzuciłem zbroję i skryłem pod trupami. Sasi plądrowali pobojowisko. Zabrali gdzieś zwłoki Artura, skurwysyny. Jego błogosławiona głowa zawisła pewne w chramie Wotana czy innego bożka. Ale mnie nie znaleźli.

Bedevir słuchał tej historii z twarzą bladą jak napięty pergamin. Longherin nic sobie nie robił ze zmieszania rycerza. Podszczypywał beztrąsko Ginewrę i bezwstydnie uwodził Mab. Ginewra przerwała potok jego elokwencji, prosząc Bedevira, by wyjawiał im cel swojej misji. Rycerz skłonił się sztywno i wy dobył z tobołka miecz. Na widok Ekskalibura królowa

pobladła, a Longherin cmoknął otłuszczonymi wargami.

- Arturowy miecz. Myślałem, że Sasi go zdobyli.

- Ukryłem go i przywiozłem tobie, królowo - powiedział Bedevir, przyklękając na jedno kolano.

- Nie jestem już królową - odparła Ginewra cicho. - Jestem zhańbioną kobietą, przeoryszą w tym domu Bożym. Ja, która nigdy nie wierzyłam w Białego Chrystusa. Nie chcę go.

- Ktoś musi go przyjąć - powiedział Bedevir z uporem. - A ty, Longherinie? Brytownie pamiętają o twoich zwycięstwach. Wielu poszłoby za tobą.

- A dajcie mi święty spokój - zachnął się Longherin. - Mam już potąd tych bajek. Miecze z jeziora, święte Graale i okrągłe stoły. Mało to dupsko obilem sobie w siodle, szukając tego, pozał się Boże, kielicha?

- Mając miecz, możemy ocalić dziedzictwo Artura - powiedział Bedevir.

Oczy zapłonęły mu niezdrowym blaskiem. Longherin położył swą wielką łapę na jego ramieniu.

- Słuchaj, synku. Nic do ciebie nie mam, ale przejadły mi się te historie. Na to był czas dwadzieścia lat temu. Artur był marzycielem, miał wizję. Poszliśmy za nim, bo sprzyjało mu szczęście. Ale pod koniec nie było już szczęścia, nie było łupów, nie było nawet przygody. Gówno było! Gdyby Artur nie zginął, ktoś by mu w tym pomógł.

- Ale zostało po nim królestwo i poddani. Co z nimi będzie?

Longherin z irytacją potarł szczękę.

- Dla mnie ten sen się skończył. Obudziłem się i mam paskudnego kaca. Sasi zagarną resztki, ale mnie to furda. Jakoś się z nimi ułożę. Ponoć oszczędzają możnych. Wolę być panem na ich ziemiach niż władcą martwego królestwa.

- A zatem jesteś zdrajcą! - krzyknął Bedevir, zrywając się na nogi.

Longherin pchnął go lekko, usadzając z powrotem na ławie. W jego głosie zadźwięczała groźba.

- Niewielu nas już zostało. Ale nie zawaham się rozbić ci łba, jeżeli mnie rozzłościś. Ja i Gin dosyć się nacierpieliśmy. Byliśmy dla siebie stworzeni, a los rozdzielał nas przez lata. Pragniemy już tylko spokoju.

- Myślałem, że jesteś kimś innym - wyszeptał Bedevir.

Wpatrywał się w obrzmiałą, przepitą twarz Longherina, w jego złote włosy, w których srebrzyły się pierwsze nitki siwizny, w pijackie żyłki na nosie i policzkach. Zobaczył, że sękatę łapska wojownika drżą, gdy podnosi do ust puchar. Wygląda jak satyr, pomyślał.



Apollo rozpił się i zamienił w Bachusa. Longherin poczuł na sobie ten wzrok, wyprostował się z pijacką dumą. W jego zamglonych oczach zapalił się twardy błysk.

- Spójrz lepiej na siebie, chłopaczkę. Przegapiłeś wesołe czasy i ujadasz na zgliszczach. To nie moja wina, że urodziłeś się zbyt późno.

Mab złapała Bedevira za rękę pod stołem, ścisnęła mocno, jakby chciała obdarzyć go siłą. Z twarzy królowej bił tylko łagodny smutek, rodzaj znużonej akceptacji. Przytuliła się do Longherina, który wyraźnie spochmurniał. Codzienne pijaństwo nieuchronnie wkraczało w fazę rozczulania się nad sobą. Bedevir zaczął mówić szybko, jakby przekrzykiwał się z szumem przyływu.

- Jeszcze nie wszystko stracone. Ten miecz to nadzieja i symbol. To wszystko, co jeszcze mamy...

- Nigdy nie rezygnujesz, prawda?

- Jesteś moją królową, pani. Gdybyś powiedziała jedno słowo, rzuciłbym świat do twoich stóp - wydeklamował Bedevir, nie dbając już o to, czy jest śmieszny, czy tylko żalony.

- Morrigan jest teraz królową. Przyjmie wszystko, co zechcesz jej rzucić. A ja... Chcę udać się na spoczynek. Możecie tu odpocząć, to wszystko.

Klasztorne sienniki okazały się całkiem wygodne, ale Bedevir nie obudził się cały w skowronkach. Rozpogodził się dopiero, gdy klasztor został daleko za nimi. Wieczorem rozsiadali konie i rozpalili ognisko. Było to dobre miejsce. Na szczycie niewielkiego wzniesienia, ale ze skałkami chroniącymi przed wiatrem. Z bijącym obok źródłem, miękką trawą dla koni, z krzakami jałowca i jeżyn. Mab oprawiła ustrzelonego przez siebie królika, a on natarł zwierzaka zeszłorocznymi owocami jałowca, rozmarynem i tymiankiem, a potem upiekł nad ogniskiem.

Do diabła z królowymi, bohaterami i tłustymi kapłanami. Życie wcale nie było takie złe. Bedevir napił się wina i zanucił wesoło. Tego wieczoru zaśpiewał Mab pieśń o śmierci Longherina. Zaśpiewał na przekór ciemności, zaśpiewał i zaczął się śmiać. Oboje zgodzili się, że to przepiękna legenda.

\* \* \*

Po dwóch dniach, gdy wiatr rozwiął poranne mgły, dolina rzeki Gwynn odsłoniła się przed nim w korytarzu światła. Bedevir zamrugał, z ledwością odegnał wzruszenie. Po siedmiu latach był w domu.

Zatrzymał konia nieopodal małego źródła, Elpyr wyraził entuzjastyczną opinię o

świeżej trawie. Rycerz uśmiechnął się szeroko i potarł podbródek dłonią w ciężkiej wojennej rękawicy. Nie szczyrzył się od wieków i zapomniał już, jak układa się szczękę w taki sposób. Świat był naprawdę piękny. Lśnił od słońca i rosy, kusił jak obietnica pocałunku. Ziemię wokół Bukowej Przełęczy cechowały się łagodnym klimatem i wiosna zadomowiła się tutaj na dobre. Pod sobą miał opadający grzbiet wzgórze, zagajnik jarzębin i schodzący w dolinę las. Srebrne buki, ponure kępy cisu, głóg.

Z zamyślenia wyrwał go śmiech dziewczyny. Mab podjechała bliżej. Twarz miała jasną od słońca, kasztanowe włosy burzyły się na wietrze i muskały policzki. Z dumą wskazał jej żyzną dolinę.

- Zatrzymamy się tu. Jedzenia nie zabraknie, a i dobre łóżko powinno się znaleźć. To znaczy łóżka... - poprawił się zakłopotany.

Dziewczyna uśmiechnęła się, na policzkach miała rumieniec, zapewne spowodowany wiatrem. Bedevir chrząknął i potargał kilkuniedniowy zarost.

- Pani, wybacz mi niezręczność. Racz przyjąć me zaproszenie. Dotarliśmy do Bukowej Przełęczy. W czasach plemion moi przodkowie nazywali tę krainę Fynveddyn. Wszystko, co tutaj widzisz, należy do mojej rodziny.

Zjechali w dół zbocza. W oddali zarysowały się kontury dachów, otoczone zielonym dywanem puszczy. Posiadłość zachowała się w niezmiennym kształcie. Chyba.

Raptem między drzewami coś błysnęło. Mógł to być promień słońca odbity w potoku, który wiosną zmieniał się w dziarską rzeczulkę. W potoku albo w metalu. Na przykład ostrzu topora czy wypolerowanym hełmie. Odwrócił się do Mab.

- Zaczekaj tu - powiedział.

Dziewczyna zeskoczyła z siodła. Wręczył jej ostry sztylet.

- Ktoś tam jest. Muszę to sprawdzić. Jakby co, ukryj się w lesie.

Dziewczyna zacisnęła usta. Ciemnozielone oczy błysnęły determinacją i dumą.

- Nie wezmą mnie żywcem.

- Obyś nie musiała sprawdzić swojej odwagi, dziewczyno.

Zostawił ją na wzgórzu i zjechał do lasu. Teoretycznie stanowił doskonały cel dla przyczajonych w listowiu łuczników. Na szczęście Sasi łatwo tracili czujność. Zwykli wypijać zdobyczne trunki na miejscu, z żalu, że nie dadzą rady unieść wszystkiego na grzbietach. Watahy łupieżców stanowiły największe niebezpieczeństwo na początku wyprawy. Triumfy zmiękczały ich szybciej niż Hannibala w Kapui.

Tak jak przypuszczał, banda była nieliczna. Dziesięciu, może dwunastu chłopów. Za wielu, żeby z zaskoczenia splądrować samotną willę. Niektórzy dopiero gramolili się z

barłogów, inni krzżeli się, upychając baryłki i amfory do płaskodennej łodzi. Czólno nie było jeszcze pełne, co wskazywało, że wyprawa zaczęła się niedawno. Czynniki wina można więc było skreślić. Wojownik, którego zauważył pierwszego, stał odwrócony plecami i strząsał z przyrodzenia kropelki moczu. Na głowie miał ozdobny szyszak z kitą, którego blask zdradzał go na milę. Widocznie czuli się pewnie i nie przejmowali się, że ktoś ich może wykryć.

Bedevir zeskoczył z konia i zagłębił się w zbitą leszczynę. Trzymał rękę na pysku Elpyra, modląc się, by koń nie zarżał. Nie zamierzał atakować ich w pojedynkę. Longherin mógłby tak uczynić, podobnie jak Gwahlmai, Wiosenny Jastrząb albo straszliwy Peredur. Ale on był bohaterem pobocznym i dysponował możliwościami jednego człowieka. A taki nie porywa się na tuzin zbrojnych. Nie uśmiechało mu się oddać głowy Sasom tak blisko domu. Nie szarżuj, chłopcze. Nie po to uszedłeś spod Kamlann. Należało wycofać się cichcem i ostrzec domowników. Zawrze się wrota i zapali ogień na wieży strażniczej, skrzyknie do obwarowań służbę, kolonów i klientów ojca. Zbierze się z pół setki ludzi, w większości niewyszkolonych i lichy uzbrojonych, ale stojących w obronie domostw i rodzin. I poczekają, co dalej.

Jeden z tragarzy wykopyrtnął się w blocko i zaklął. Rozsypał naręcze łupów. Były tam misy i puchary oraz inkrustowana kością słoniową szachownica. Bedevir zagryzł wargę, dławiąc krzyk. Po brodzie popłynęła mu strużka krwi. Szachy. W promieniu stu mil tylko trzech ludzi znało rozkosze tej gry. On sam, świętej pamięci ksiądz Lucius i jego ojciec Hywel, który nauczył ich zasad. Szachownica była jego oczkiem w głowie, stary uparciuch nie oddałby jej nawet diabłu. Bedevir przestał myśleć. Wskoczył na grzbiet Elpyra i z impetem wyjechał z zarośli, szybko nabierając rozpędu. Już nie miał do czego wracać. Cwałował pomiędzy bukami, unikając co niższych konarów, pokonując wykroty i zwalone pnie. Szczający Sas dostrzegł poruszenie na twarzach kompanów i odwrócił się niezdarnie. Portki zsunęły mu się do kostek, odsłaniając krzywe, owłosione łydki.

Bedevir skierował lancę prosto w rozdziawioną gębę zbója. Sas w ostatniej chwili zasłonił się podniesioną z ziemi tarczą. Przeżył, ale siła uderzenia dosłownie wyrwała go z butów. Bedevir wypuścił strzaskaną włócznię. Nie zdołał ominąć ogniska, koń zakwiczał, rozsypując węgle. Bandyci umykali na boki. Potężny rudzielec stracił równowagę i runął twarzą w płomień. Zerwał się rozpaczliwie, a jego broda dopiero teraz stała się prawdziwie ognista, roztaczając smród palonego mięsa. Bedevir poderwał Elpyra, który stanął na zadnich nogach i staranował najbliższych wrogów kopytami. Sasi rozbiegli się, ale kilku odwróciło się już, oceniając sytuację. Pierwszy strach minął i synowie Wotana uświadomili sobie, że rozpędził ich jeden człowiek.

Bedevir nienawidził Sasów bardziej niż jakichkolwiek wrogów. Bardziej niż karłowatych Piktów z północnych wrzosowisk. Bardziej niż irlandzkich piratów, którzy nie obciążali się prowiantem, jako że nade wszystko cenili smak ludzkiego mięsa. Była to nienawiść języka i krwi, zabarwiona przecuciem nieuchronnej klęski. Odwieczna nienawiść słabszych. Ale nigdy nie odmawiał im odwagi.

Tym razem również stanęli na wysokości zadania. Wciąż z zaskoczonymi minami, rozsypali się wokół przeciwnika, odcinając mu drogę ucieczki. Bedevir dobył miecza. Sasi zblizali się ostrożnie, kryjąc się za okrągłymi tarczami. Włóczykami celowali w konia. Teoretycznie miał jeszcze szansę. Ale nie zamierzał z niej korzystać. Zsunął się z siodła i poklepał Elpyra po pysku.

- Biegnij do domu, staruszku - wyszeptał. I runął na wrogów.

Najbliższy Sas spokojnie uniósł tarczę. Krzyczał coś w jego stronę w łamanym narzeczu pogranicza. Rozejm, powiedział, że mają rozejm. Bedevir zatrzymał się, ale miecz ożył w jego dłoni. Ciął Sasa z góry, ostrze przecięło obite skórą drewno, jakby to była zetlala tkanina. Sas opadł na kolana, na rozrąbanej twarzy zastygło bezbrzeżne zdziwienie.

Sąsiad zabitego pchnął zębata włóczyką z zadziorami, Bedevir odciął jej ostrze. Jakby opędzal się przed namolnym żebrakiem. Nagle spostrzegł, że coś jest nie tak.

W ręku nie miał swojej starej *spathy*, tylko jaśniejącego w porannym słońcu Ekskalibura. Krew ściekała po biegnącym wzdłuż klingi wyżłobieniu, plamiła inkrustowaną rękojeść. Miecz zdawał się mruzczyć, rozkoszny dreszcz siły i zaspokojenia przeszedł w ramiona rycerza. Napoiłeś mnie, ale ja chciałbym jeszcze. Nie był w stanie zatrzymać ciosów, nie nadażał za wolą broni. Końcem miecza zawadził o brzuch barbarzyńcy z włóczyką, który daremnie łapał przelewające się trzewia. Poślizgnął się na nich trzeci Sas, w chwilę potem jasnowłosa głowa wylądowała w parującym kłębowisku. Bedevir zakręcił nad głową młynka, krople krwi spadały na pobladłe twarze barbarzyńców, jakby machał upiornym kropidłem.

Ulotnił się jego gniew, wyparowały gdzieś wina i żal. Nie widział, że oczy wystąpiły mu orbit, a pulsujące krwią żyły rozsadzają szyję i skronie. Był tylko mord. Ruchy przeciwników zwolniły, ułatwiali mu zadanie. Cios strącił mu hełm, nie zwrócił na to uwagi. Zabijał oszczędnymi ruchami, dodając dwa trupy do zalegającej na polance kolekcji. Karmił Ekskalibura.

Reszta miała już dość. Cofali się z pobladłymi twarzami, szwargocząc głosami zdławionymi grozą. Nie rozumiał ich diabelskiego narzecza, ale wyłapał powtarzające się słowo. „Artur” Potem cisnęli broń i zaczęli uciekać. Nie troszczyli się o obładowane czółno, tylko wplaw płynęli na drugi brzeg rzeczki znośni wartkim nurtem.

Nie ścigał ich. Ekskalibur zaciążył mu w dłoni, wbił go w ziemię i usiadł. Krew dudniła mu w uszach, tłumiała odgłosy lasu. Kolory, przed chwilą tak intensywne, wyblakły i zszarzały, przed oczami tańczyły mu czarne motyle.

Dygotał, żołądek zwinął się w pulsujący mdłościami supeł. Ziemia w promieniu kilku kroków przypominała jatkę opętanego rzeźnika. Wylał ręce o mech. Pot zalewał mu oczy, otarł je kułakiem i zorientował się, że ociera krew. Płynęła z oczu, nosa i uszu, zbierała się w porach skóry. Zaniepokojony Elpyr stanął obok niego i skrobał murawę kopytem. Bedevir zabulgotał. Wszystko w porządku, stary przyjacielu. Tak sobie umieram. Zagapił się na niebo. Sunęły po nim obłoki. Ciężkie, purpurowe.

Zbudził go dotyk chłodnej dłoni Mab. Jakimś cudem odciągnęła go z miejsca walki. Odruchowo sięgnął do pasa, szukając rękojeści miecza. Nie bardzo miał siłę się ruszyć.

- Przyniosłam go - powiedziała cicho.

Jej twarz była blada i ściągnięta znużeniem. Gdy odszukał wzrokiem jej oczy, odwróciła się, zaciskając powieki. Po policzku spłynęła jej łza.

- Zostawiłeś mnie.

- To nie tak - wycharczał. - Coś we mnie wstąpiło. Spóźniłem się. Oni... Oni splądrowali mój dwór.

- Myślałam, że nie żyjesz.

Bedevir zaśmiał się i rozkaszał.

- Powinno tak być. To nie była normalna walka. To było... - urwał, szukając odpowiednich słów - to było jak sen, w którym nie możesz zginąć. Możesz za to wzbić się w niebo, pokonywać góry. Na Boga, dziewczyno. Zawsze zastanawiałem się, jak to jest być bohaterem. Teraz wiem. To cholernie łatwe, tylko nie każdy zna magiczne słowo.

On najwyraźniej nie znał. Dopiero po paru godzinach zdołał wdrapać się na konia. Krwotok ustał, ale nadal kręciło mu się w głowie i Mab musiała przywiązać go do siodła. Coś wyżarło w nim cały mięsz, zostawiając chodzącą i gadającą skorupę. No i stracił wiadro krwi.

Królewski miecz dawał moc, ale pobierał lichwiarski procent. Nic dziwnego, że Artur spędził ostatnią dekadę zatopiony w półmroku własnej komnaty, oddając się ponurym rozmyśleniom i daremnym modłom. Znosił tylko towarzystwo psów i barda, a i to pod warunkiem że muzyk grał cicho i niezbyt nachalnie.

Wiatr przywiał od strony dworu kłęby czarnego dymu i przerwał jego rozmyślenia. Był już pewien, że zastanie zgłiszcza. Sasi lubili grzać się przy ogniu z palonych domostw. Wyjechali z lasu i Bedevir prawie zwałił się z siodła. Willa stała nienaruszona, stara figura

brzuchatego Bachusa z dzbanem powitała go tym samym pijackim uśmiechem, którym żegnała przed laty.

Nieopodal otwartej bramy stało kilku kolonów. Wieśniacy gapili się na niego, osłaniając oczy od słońca. Podjechał bliżej i zeskoczył z konia. Jakiś pędrak, chyba syn kulawego Goutinusa, cofnął się, ściskając widły, ale jego ojciec rozpoznał go i pokłonił się nisko. Bedevir zatoczył się jak pijany. Kłęby czarnego dymu wciąż tańczyły w powietrzu, unosząc się zza domu. Nie było go dziesięć lat, ale teraz wróciła mu pamięć. Hywel zawsze wypalał na wiosnę łąki, mówiąc, że to przegania zgniliznę, tępi komary i odnawia powietrze.

Wybuchnął śmiechem, nie mógł złapać tchu. Parobkowie spoglądali na niego z niepokojem. Przybysz wyglądał jak piekielny upiór, zwiastun nieszczęść i morowego powietrza. Widok męża skapanego we krwi jest wystarczająco niepokojący dla prostych włościan, a jeżeli taki śmieje się jak szalenciec, to lepiej mieć się na baczności. Nawet jeżeli to własny pan, wracający z wojny.

- Wołajcie ojca i matkę - powiedział, kiedy złapał oddech.

Goutinus zafrasował się i pokręcił rozczochraną głową. Przez rosnące przed bramą zbiegowisko przepychała się kobieca postać. Niewiasta miała na sobie czarną suknię, pozbawioną jakichkolwiek ozdób. Tylko na szyi nosiła ozdobny krzyżyk wpisany w okrąg, w nowym stylu rozpowszechnionym na Wyspach. Twarz Dylis była wychudzona od postów i poorana cierpieniem.

- Synku! Twoje włosy. Co ci się stało?

Bedevir zdziwiony zgarnął jeden z kosmyków i zaklął cicho. Ciemne włosy przetykała siwizna. Był to dziwny kolor. Srebrny jak kora buków, przy których zapoznał się z mocą miecza.

- Nie wiem - wyszeptał zakłopotany.

Dylis poczuła jego ból i szybko go objęła. Choć jej głowa sięgała mu zaledwie do piersi, miał wrażenie, że matka kołysze go w ramionach. Z trudem uwolnił się z objęć.

- Myślałem, że was spalili. Rozbiłem dziś bandę Sasów w dole rzeki. Targali nasze kosztowności, naczynia, nawet szachy ojca...

Bedevir wyciągnął z juków odzyskane precjoza. Roześmiane twarze domowników pobladły, Dylis przeżegnała się, a Goutinus jęknął.

- To nie byli rabusie, panie. Ci ludzie ściągali daninę.

Nie zrozumiał, a może po prostu nie chciał. Powiódł po kolonach pytającym wzrokiem, a ręka sama powędrowała mu do miecza.

- Czy ja ogłuchłem? Czy może gadacie w jakimś nowym języku? Od kiedy to

opłacamy się Sasom?

- Będzie ze cztery roki, panie. Król jest daleko, a Sasi za miedzą. Zajęli sporą część pogranicza. Nowe plemię, zwa się zachodnimi Sasami. Mamy z nimi umowę. Co roku płacimy im trybut. A oni podobno nas chronią.

- Czekaj. A gdzie ojciec? Mój brat?

- Sasi żądali rękojmi na czas ściągania opłat. Pan Hywel i panicz Cachir zgłosili się na zakładników. Będzie dwa dni, jak wyruszyli.

Bedevir jęknął. Chciał coś powiedzieć, ale język odmówił mu posłuszeństwa i rycerz zwałił się z nóg. Zanim dotknął ziemi, otwarła się pod nim ciemność.

## ROZDZIAŁ 7

W czwartek zadzwoniła Alina. Igi chciał się z nią spotkać. Łukasz próbował jej to wyperswadować i jak na złość padła mu komórka. Nie wiedział, co robić, zerwanie się z roboty nie wchodziło w grę. Dyrektor osobiście przekazał mu, że uczniowie „potrzebują wsparcia w tym trudnym czasie”. Dotychczas Markowski nie robił mu kłopotów. Dziś po raz pierwszy wyczuł w jego głosie nieufność. Zupełnie jakby to Łukasz ponosił winę za hańbiący liceum skandal.

Kiedy tak siedział bezradnie wpatrzony w ścianę, odwiedziło go dwóch smutnych panów. Mężczyźni pomachali blachami i rozsiedli się w gabinecie. Ich twarze były ściągnięte zmęczeniem i brakiem snu. Inspektor Rosiak, puciołowaty i korpulentny, zapalił papierosa. Jego młodszy kolega stał i rozglądał się po pomieszczeniu. Z widoczną dezaprobatą odczytywał tytuły książek Łukasza, jakby nazwy psychicznych schorzeń stanowiły o jego winie.

- Powtarzam po raz trzeci. Nie widziałem się z nim.
- Nie powinien pan go kryć. To morderca.
- Na razie tylko podejrzany.
- Człowieku, gdybyś tam był, nie gadałbyś bzdur - wybuchnął młodszy gliniarz.

Rosiak uniósł dłoń w pojednawczym geście.

- Pobraliśmy odciski palców. Jurkiewicz był notowany za narkotyki i pobicia. Nie ma cienia wątpliwości. To on.

Łukasz przybrał stosownie zatroskaną minę. Nagle prawie poderwał się na nogi. Karolina miała dziś wrócić wcześniej i kończyć jakiś artykuł. Na myśl, że mogła wpaść na Igiego, zrobiło mu się słabo.

- Przepraszam, ale muszę pędzić. Chyba że jestem zatrzymany?
- Nie. Jeszcze nie - powiedział starszy gliniarz.

Młodszy z trzaskiem wyłamywał palce. Gdyby to od niego zależało, odstrzeliłby typa z miejsca. Profilaktycznie.

\* \* \*

Alina tupiała nogami. Było jej zimno. Czekala już od kwadransa. Wreszcie między drzewami zamajaczyła jakaś postać. Miała na sobie dzinsy i jasną puchówkę poplamioną czymś, co



mogło być krwią. Ale Alina nie wylapywała szczegółów. Spłynęła na nią fala emocji, serce biło, jakby przedawkowała fetę. Szedł do niej, stąpając zygzakami, wilk podchodzący do zwierzę. Poczła ukłucie strachu, ale zignorowała je. Bo to był on, Igi. Dziewczyna pisnęła i zarzuciła mu ręce na szyję. Poczła dziwny gryzący zapach i stężała, jakby ktoś wbił jej w plecy ołowiany pręt. Oczy Igiego były ciężkie i zimne. Równie dobrze mogłaby obejmować trumnę. Niedaleko przeszedł jakiś chłopak z psem, który przyjrzał się im z zainteresowaniem. Pies zaskomlał i przywarł do ziemi.

- Mówisz, że kiedy tutaj będzie?

- Dzwoniłam, nie odbiera. Wysłałam mu esemesa - wyszeptala, ze wszystkich sił starając się zachować spokój.

- Mam już kupca. Zobaczysz, wyjedziemy za tę kasę, gdzie zechcesz. Na pewno przyjdzie?

- Napisałam, że świrujesz. I że ma wziąć naszyjnik.

- Muszę go mieć. To bardzo ważne - powiedział Igi cicho.

Alina pokiwała głową. Coś w jego wyglądzie nie dawało jej spokoju. Miał na sobie eleganckie zamszowe buty. Zupełnie nie w jego stylu, Igi nie uznawał innego obuwia niż glany. Znała te buty, ostatni raz widziała je na nogach jego ojczyma. Cofnęła się o krok.

- Pamiętasz, co mam wytatuowane na biodrze? - zapytała cicho.

- No pewnie - Igi uśmiechnął się. Ostatnio zaczął dbać o zęby.

- Jaki to wzór, Igi?

Zastanowił się przez chwilę. Wnioskując z kolorowych pisemek, wzory na skórze tubylczych samic powtarzały się. To mógł być tak zwany trybał, motylek albo pieprzona różyczka. Nie miał zielonego pojęcia.

- Abstrakcyjny - powiedział, wruszając ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

Dziewczyna uśmiechnęła się, podeszła, zbliżyła usta do jego twarzy.

I wbiła mu kolano w krocze. Zwalił się na ziemię jak worek.

- Żaden, gnoju! Nie lubię tatuaży - wrzasnęła i zaczęła uciekać.

Pozbierał się stanowczo zbyt szybko. Alina wbiegła na przecinającą Kabaty aleję. Z przeciwnej strony nadeszła para spacerowiczów. Na widok biegnących dzieciaków uśmiechnęli się do siebie z czułością. Pewnie wspominają swój miodowy miesiąc, pomyślała z bezradnym osłupieniem. Złapała faceta za ramię.

- Proszę mi pomóc.

Spacerowicz spoważniał, twarz jego partnerki zadygotała z niepokoju. Igi zwolnił i zbliżał się do nich z krzywym uśmieszkiem.

- Ala, przestań się zgrywać. Nie strasz pana!

Facet przełknął ślinę. Nogi miał miękkie jak ciasto. Z wysiłkiem wywołał na twarzy uśmiech, przygarnął towarzyszkę do siebie.

- No, mała. Na przyszłość tak nie żartuj.

Igi złapał Alinę za rękę. Z jego twarzy nie schodził uśmiech. Spacerowicze oddalali się szybko. Facet odwrócił się tylko raz. Zarejestrował rdzawe plamy na puchówce chłopaka i przerażoną twarz dziewczyny. Ale wziął się w garść. Szedł z przeświadczeniem, że chyba jest tchórzem. Ale przynajmniej żywym. Mógłby zadzwonić na policję, ale co powie? Że widział człowieka, który zmroził mu serce?

Chowaniec oblizał wargi. Z trudem hamował podniecenie.

- Dzwon. Może pozwolę ci żyć.

\* \* \*

Siwy i Bracia palili na wiadukcie przy Puławskiej. Ściął mróz i bliźniakom nie dopisywał humor. Woleliby zamelinować się na klatce albo skoczyć w miasto. Nic z tego, był interes do zrobienia. Klient z Piaseczna chciał kupić większą porcję koksu, a Siwy z zasady nie umawiał się na własnym osiedlu. Za dużo kręciło się psiarni. Frajerstwo zhardziało i ciężko było zwalczać donosy. Najgorsze były szpiegujące babcie-konfidentki. Takie, co całymi dnami wystają przy oknie, podglądają i utrudniają życie.

Jeszcze niedawno Siwy miał kupionego psa. Jak babsztyl naprzykrzał się telefonami o małolatach w kapturach, co wystają na klatce i handlują narkotykami, pies kierował sprawę do niego. A Siwy wysyłał do staruszki komando. Bracia dzwoniли do drzwi. Kiedy starucha zerkała przez wizjer, walili w niego siekierą. Centralnie. Przeważnie uderzał Starszy, który lubił sprzęty i chętnie brał je ze sobą na mecze i ustawki. Po czymś takim konfidentka schodziła na zawał albo wpadała w totalny strach. I po sprawie.

Siwy podrapał się po brzuchu i z przyjemnością wymacał za paskiem kłamkę. W przeciwieństwie do Braci, którzy pozostali wierni marce Adidas i sportowym kurtkom, Siwy paradował w dzinsach i bluzie Lonsdale. Czasy się zmieniają i nawet nieśmiertelny dres wyszedł z mody.

Kłamka była nowa, przestrzelana i nienotowana. Od czasu gdy Katani zarobił kulkę podczas transakcji, Siwy nie rozstawał się z bronią. Katani, owszem, dorobił się własnego murala na murze toru wyścigowego na Służewcu. Dumny ziom z uniesioną pięścią trwał niezamalowany tagami i otoczony szacunkiem. Ale Siwy wołał być żywą legendą.

Z zamyślenia wyrwał go widok znajomej gęby. Anton, krótko ostrzyżony typ o

budowie zawodnika MMA, nadchodził od strony lasu. U jego boku dreptał bulterier. Anton poprawił lotniczą kurtkę i stanął przed Siwym na baczność. Jego stary był robotnikiem z Ukrainy. Długoletnie wyzywanie od Rusków zaowocowało u Antona traumą i pchnęło go w stronę narodowych klimatów. Polskich. Tłumaczył coś bliźniakom, wskazując ręką na las.

- Znalazł się - powiedział Starszy z zadowoleniem.

- Kto?

- Ten cwel. Anton wyczał go w lesie.

Twarz naziola poczerwieniała od mrozu i podniecenia. Gestykułując, opowiedział, że widział Igiego w lesie z jakąś laską. Nawet się nie chował. Siwy podjął decyzję.

- Młodszy, weźmiesz Banana i Antona. Możecie mu wjechać, ale ma być przytomny, rozumiesz? Chcę z nim pogadać.

Starszy bliźniak zaprotestował nieśmiało.

- Też pójdę, co? Chujowo tak czekać.

- Chujowo to będzie, jak mnie wkurwisz, lamusie - warknął Siwy. - Na tego leszcza was trzech styknie. Chuj wie, ilu ich przyjedzie z Piaseczna. Trzeba mieć priorytety, kumasz?

Starszy nie kumał, ale niechętnie pokiwał głową. Odprowadził brata spojrzeniem. Byli nierozłączni, jak dwie połówki zepsutego jaja.

Anton prowadził ich pewnie. Widział Igiego przy osiedlu wojskowym. Nawet chciał go złapać, ale skurwiel dał nogę. A Rekin się prawie zesrał ze strachu i nie chciał go gonić.

Po kwadransie dotarli do dębów. Rekin znów zapiszczał. Skulił uszy po sobie i przywarł do ziemi, odmawiając dalszej współpracy. Wyglądał jak przerażona promieniowaniem świnka. Anton szarpał go bezskutecznie.

- Na chuj ci taki pies? - zapytał Banan. - Mój dziadek ma wyżła. Łapie trop i w ogóle. A ten to jakiś pedał.

Anton zacisnął pięści. Młodszy rozdzielił ich z trudem.

- Jest robota. Potem się pobawicie - powiedział.

Między pniami coś mignęło, przyspieszyli kroku. Nawet specjalnie się nie krył. Miał na sobie dzinsy i podartą puchową kurtkę. Podeszli do niego szybko. Usiłował ich wyminąć, jego twarz była spokojna, jakby nie groził mu łomot. Banan, który łąził z nimi od niedawna i potrzebował się wykazać, zachichotał i zahaczył go stopą. Igi stracił równowagę i przetoczył się miękko. W sekundę był z powrotem na nogach i niedbale, prawie bez zamachu, złapał Banana za grdykę. Chlusnęło na śnieg i zbielałe twarze.

Następny w kolejce był Anton. Spróbował złapać napastnika za rękę, założyć mu dźwignię. Igi ugryzł go w ramię, rozległ się trzask gruchotanej kości. Anton zamrugał oczami

i wrzasnął coś po rosyjsku. Wtedy bulterier przełamał stupor i zaatakował, celując w gardło agresora. Potoczyli się po śniegu. Rozległo się ohydne chrupnięcie i stwór odrzucił psiego trupa jak uszkodzoną maskotkę. Jego pan nie czekał i dał drapak.

Cholerny Rusek, pomyślał Młodszy i wydobył spod kurtki siekiere. Nie czuł strachu. Na akcji bliźniacy nie mieli sobie równych. Ich atutem był całkowity brak wyobraźni. W sytuacji gdy normalny człowiek łapał paranoje i wizualizował sobie nieprzyjemne konsekwencje, Bracia pozostawali niewzruszeni. Być może stary zwierzęcy instynkt pchnąłby Młodszego do ucieczki przed dużym drapieżnikiem. Ale w Warszawie to on robił za mięsożercę.

Chowaniec cofnął się. Po raz pierwszy spotkał w tym świecie godnego przeciwnika. Jego pamięć liczyła sobie raptem dwa dni, ale przechował gatunkowe wspomnienia. Ten krępy człowieczek trzymał broń jak wojownik. I to jaką broń! Błysk ostrza znamionował znakomitą stal, za którą każdy saski huskarl oddałby roczny przydział łupów. Młodszy zamachnął się znad prawego ramienia, mierząc w bark przeciwnika. Chowaniec zszedł z linii ciosu i pacnął atakującego w łeb. Młodszy odchylił się, zignorował utratę prawego ucha. Kolejny cios Chowaniec bez trudu zablokowałby go tarczą. Gdyby ją miał.

Ostrze siekiery przebiło żebra stworzenia i posłało je na ziemię. Przeturlał się, przeklinając bezsensowny odruch, który ani chybi zawdzięczał pamięci złożonego w ofierze Juta. Młodszy wyprowadził znad głowy trzeci, ostatni cios. Demon cofnął się, odginając tułów, i rozpostarł ramiona. Żaden człowiek nie wygiąłby się w ten sposób, uniemożliwiła to konstrukcja ludzkiego kręgosłupa. Tym gorzej dla ludzi. Zanim ostrze rozorało mu tors, wykorzystał zasięg ramion i gwałtownie połączył łapy na głowie Młodszego. Ekspłodowała jak zgniłe winogrono, zanim jeszcze na twarzy zdążył zagościć zaskoczony grymas.

Chowaniec z lubością wystawił twarz na spadającą z nieba krew. Obliznął usta i wychłęptał parę łyków wprost z rozerwanej szyi, jakby to było specjalne poidelko. Potem nasycił się podrobami. Pożarł serce Młodszego, płuca i nieco obrzmiałą wątrobę. Kątem oka bacznie lustrował otoczenie i wiedział, że dziewczyna nie ucieka. Zamurowało biedaczkę całkowicie. Jej twarz była tak biała, że śnieg wydawał się przy niej szary. Podszedł do niej, wydeptując w śniegu czerwone ślady. Niemal widział jej trzepoczące w piersi serce, rzucało się o klatkę żeber. Mógłby wyrwać je jednym ruchem i wgrzyźć się w jeszcze pulsujące mięso. Ale chwilowo nie był głodny.

Alina prawie nie oddychała, w jej oczach odbijała się krew. Poliznął ją po policzkach, zionąc smrodem niestrawionego pożywienia. Ze wstrętem odwróciła głowę. Położył ręce na jej szyi, poczuła lepka, parującą krew. Znad ciała Młodszego unosiła się mgiełka.

- Zadzwoń się po niego? - zapytał chrapliwie.

Skwapliwie pokiwała głową. Stwór zaśmiał się, demonstrując zęby. Najgorsze w tym wszystkim było to, że wyglądał tak znajomo. Jak ktoś, kogo naprawdę kochała. Ciekawe, czy u każdego tak jest, pomyślała. Rzeczy w końcu odnajdują swój kształt, pokazują prawdziwe, wykrzywione oblicze. Księżyc obraca się ciemną stroną, najlepszy przyjaciel obmawia cię za plecami, ukochana osoba okazuje się miłością osób trzecich. Może to taka puenta. Ostatni, żalony żart. Umieranie pod postacią kochania.

- I co ja mam z tobą zrobić? - zapytał stwór. Wibrowały mu koniuszki palców. Znał odpowiedź.

\* \* \*

Kilkadziesiąt metrów dalej Igi biegł jak jeszcze nigdy w życiu. Przed chwilą zadzwonił do Klimkowskiego. Facet był roztrzęsiony, pluł się, żeby Igi nie robił sobie żartów. A potem powiedział mu, że Alina czeka w ich ulubionym miejscu. I że to on, Igi, ustawił spotkanie.

Lodowate powietrze kłuło w płucach, atakowało przez skórę. Było bardzo zimno, nie pamiętał takich temperatur. Śnieżne zimy oglądał w dzieciństwie, potem zmieniły się w półroczną szarą porę. W tym roku mróz wrócił. Zupełnie, jakby ktoś sprowadził na nich coś pradawnego i złowrogiego, o czym wszyscy zdążyli zapomnieć.

Zatrzymał się i czekał, aż złapie oddech. Nie miał już sił. Ale był blisko, znał tę okolicę. Często tu przychodzili, jak się mieszka na Kabatach, to nie bardzo jest gdzie chodzić. Chyba że do centrum handlowego. Ale oni woleli las. Między drzewami zamajaczył jakiś kształt, Igi wytrzeszczył oczy. I wtedy zobaczył Alinę.

\* \* \*

Łukasz wlepił twarz w szybę autobusu. 709 włókł się niemiłosiernie Bezglównie sklął ospałego kierowcę, korki i radnych odpowiedzialnych za budowę objazdów. Wyskoczył na Bogatki i skierował się w lewo, na ulicę, która łączyła Las Kabacki z Puławską. W pośpiechu szedł wzdłuż ściany lasu. Trzęsły mu się ręce. Na prawo miał jednostkę wojskową. Na lewo miał znajdować się dębowy zagajnik, w którym Igi czekał na spotkanie. Las był cichy i martwy. Łukasz czuł się podobnie.

Między nim a przyrodą zawsze zachodziła jakaś interakcja. Zima zrywała kontrakt. Po stronie natury wszystko martwiało jak cementarz, a człowiek jakimś cudem wciąż żył. Interakcja ustępowała jednostronnemu wołaniu. Gdzie, do cholery, ukrywasz się, życie.

Szedł przez dębowy zagajnik. Świeciło słońce, niebo było jasnoblękitne jak

emaliowana miska. Śnieg trzeszczał pod stopami. Ziemia była pozamiatana przez wiatr, nocna śnieżycza ukryła wszelkie ślady. Łukasz czuł się dziwnie. Od tak dawna przesiadywał o tej porze w pracy, że nie mógł się odnaleźć w tym dziwnym urlopie. Konary dębów pokrywała biała skorupa. W nocy ściał chyba niezły mróz, dlatego śnieg utrzymał się tak długo. Gałęzie tworzyły siatkę pęknięć na błękitnej misce nieba. Jeżeli wpatrywało się w nie wystarczająco długo, świat wirował, a niebo pękało.

Po prawej stronie ścieżki zobaczył małą studzienkę. Zgodnie z instrukcjami Aliny w tym miejscu zagłębił się w gąszcz. Dęby ustąpiły brzożom. Czuł, że nie może tego tak zostawić. Chłopak wciąż żyje. Pannie też nic nie będzie. Coś wymyślę. Byle szczyłowi nie odbiło do reszty. Przyparty do muru, może zrobić wszystko. Na przykład zabić... W torbie od profesora znalazł pęczki jakiś dziwnych ziół. I karteczkę z napisem „na wszelki wypadek”. Ekstra.

\* \* \*

Igi zaśmiał się z histeryczną ulgą. Zrobiła mu pieprzonego psikusa. Dostrzegął tylko twarz Aliny, dziewczyna zakopała się po szyję w śnieżnym kopcu. Zaczął biec. Po policzkach pociekły mu łzy ulgi. To tylko żart, nic jej nie jest. Zrobiła sobie z niego jaja, buhaha. Jak dzieci bawiące się na plaży. Ale coś się nie zgadza. Kopczyk był raczej niewielki, za niski. Czy w lesie były jakieś rowy, okopy? Zamrugał, zamazał szczegóły. A potem wszystko potoczyło się innym, mechanicznym trybem. Już go nie dotyczyło, jakby oglądał z boku filmik ze swoim udziałem. Główny bohater jest nieźle porąbany. Odrywa, podnosi coś ze śniegu. W rękę trzyma zakrwawioną głowę.

Oczy miała otwarte, przytulił ją do piersi. Była krągła, wilgotna i ciężka. Jeszcze ciepła, podobnie jak zbawienna otulina szoku, którą nagle owinął się świat. Igi nawet nie zauważył, że krzyczy. Po chwili rozluźnił palce, głowa Aliny potoczyła się po śniegu. Kilka metrów dalej stał przed nim ten drugi. Demon broczył z potwornych ran i trzymał się za prawy bok. Wyszczrzył zęby w szyderczym uśmiechu. Krótkim gestem zachęcił go, żeby podszedł bliżej. W Iгим coś pękło. Z furią rzucił się na mordercę, który zamachnął się i odrzucił go, łamiąc mu żebra. Igi przeturlał się po ziemi. Nie mógł wstać, w ustach czuł słony smak krwi.

Wtedy na polanie pojawił się Łukasz. Zobaczył, jak Igi upuszcza ciężki, okrągły kamień i krzyczy z rozpaczą. Widział daremny atak na postać, która była lustrzanym odbiciem Igiego, ale z nutą czegoś nierealnego, co Klimkowski wyczuł odetkanym nagle zmysłem. Czary. Ten stwór generuje iluzje.

A może to wizualizacja wewnętrznej dychotomii? - zapiszczał w nim przerażony naukowiec.

Chowaniec zwrócił się w jego stronę. Wyszczrzył zęby i kłapnął. Z paznokci kapą mu krew. Jedyłą bronią Łukasza była kartka od Kierczyńskiego, której nie był w stanie odczytać. Zapewne tezy o rozwiązywaniu konfliktów, pomyślał. Wróg uderzył, psycholog zasłonił się niezdarnie i runął w tył, obficie plamiąc śnieg krwią z poszarpanego ramienia. Potwór skoczył w ślad za nim, mierząc do gardła.

Rozległ się huk wystrzału. W połowie skoku ruch demona coś zakłóciło, opadł niezdarnie i ciężko. Na jego twarzy rysował się ból. Siwy strzelał, aż opróżnił magazynek. Stwór podparł się na łokciach i z wysiłkiem uniósł głowę. Wtedy doskoczył do niego Starszy i ciachnął w łeb, jakby to była szczapka na rozpałkę. Stwór zaskrzeczał chrapliwie i pękł jak nakłuty balon. Starszy rozkaszał się, w gardle miał gryzący pył. Płakał, nie wiedział, co się z nim dzieje. Zdezorientowany Anton kopnął kupkę popiołu.

- A z tym co robimy? - zapytał, wskazując na Igiego.

Ewidentnie świerzbiły go ręce. Siwy wzruszył ramionami.

- Olej. To już zgon. Spierdałamy.

Znikli między drzewami. Łukasz złapał się za rękę i zaklął z bólu. Na szczęście rana wyglądała na płytką. Ot, zadrapanie lamparta. Podszedł do Igiego, ukląkł przy nim na śniegu. Ledwo oddychał, na ustach zbierały mu się czerwone pęcherzyki. Na wysokości serca rozdarta kurtka nasiąkała krwią, odsłaniając potworną, poszarpaną ranę. Obok leżał duży, okrągły kamień, którym chłopak rzucił, zanim skoczył na potwora.

Łukasz wyjął z plecaka tork, położył go umierającemu na piersiach. Jeżeli ma jakąś moc, to zadziała, do jasnej cholery. Złoto lśniło obojętnie, ze spokojem kalając się krwią.

Położył dłoń na czole Igiego, usiłował się skupić. Zdarzało mu się leczyć ludzi. Czasami coś po prostu działało. A czasami nie, i to było wielkie kurestwo. Miał ochotę zawyć z nienawiści do cudów, ich kaprysów i złudnych obietnic.

Usłyszał kroki. Alina zbliżała się chwiejnie. Jasne włosy plamiła krew, na czole miała imponującego guza. Na widok Igiego zatrzymała się, jej blada twarz ściągnęła się strachem.

- W porządku. To znaczy ni chuja, ale tym razem to naprawdę on. Nie bój się - wychrypiął Łukasz.

Dziewczyna zaczęła płakać. Pocałowała Igiego w usta, uwalala się krwią. Łukasz poczuł, jak bezsilność zamienia się w nim w furję.

- Słuchaj mnie! Byłbyś frajerem, gdybyś teraz umarł. Ona żyje, widzisz? Panna oczy wypłakuje, a ty sobie schodzisz. Co ty, do nekrofilii ją zachęcasz?

Dziewczyna spojrzała na niego błagalnie i uśmiechnęła się. Jakby kroila mu serce. Złapał naszyjnik i poczuł spływającą w jego rękę moc. Budzisz się, cholero. To dobrze. Potrzebuję wszystkiego, co masz, przekłeta kupo złomu. Naszyjnik zamigotał drwiąco. Łukasz przestał myśleć. Zadziałał w nim jakiś odruch. Wyćwiczonym ruchem odgiął metal, który poddał się jak roztopiony wosk. Założył naszyjnik na szyję Igiego, obręcz zacisnęła się i dopasowała.

Twarz Igiego odzyskała normalną barwę. Teraz była po prostu blada. Krew na kurtce zakrzepła, wrócił normalny oddech. Alina krzyknęła i pocałowała Łukasza w policzek. Zachciało mu się śmiać. Oscar za rolę drugoplanową.

- Nie mówiłem, że znajdę cię choćby w piekle? - powiedział z zadowoleniem i zaczął zdejmować tork.

Naszyjnik siedział mocno i za cholerę nie chciał zejść. Wtedy Igi otworzył oczy i uśmiech spelzł Łukaszowi z twarzy. Ujrzał puste, obrócone do wewnątrz źrenice. Przesunął mu ręką przed oczami i zaklął. Jedno było pewne. Te oczy nie widziały już nic.

\* \* \*

Czarownik zaskrzeczał rozpaczliwe i prawie osunął się ze stołka. Cynric podtrzymał go w ostatniej chwili, krzywiąc się we wstrętu. Staruch roztaczał woń strachu, połączoną z wyziewami rozkopanej, dobrze nasłonecznionej mogiły. Zachodnia strona zbocza, słoneczko w zenicie, trupy wzdęte jak wielkie ropuchy. Ujmując rzecz mniej delikatnie, cuchnął jak obesrany cap.

Tego dnia Cynric udał się, jak co dzień, do chaty Weruska. Creda przejął się krakaniem magika i zostawił syna do jego dyspozycji. Od czasu powrotu z północy był niańką starego znachora. Po paru dniach Cynric zaczął się czuć jak postać z jakiejś zafajdanej bajki. Tylko patrzeć, jak śmierdziel każe mu nosić piasek po jednym ziarenku albo nawlekać promienie księżyca na kościaną igłę. Czarownik kiwał się na zydłu w zadymionej izbie. Na widok Cynrica zamrugął przekrwionymi, wyblakłymi oczami.

- Nie przeszkadzaj - zasyczał. - Moje dziecko dogania zwierzynę.

Cynrick przykucnął w kącie i przez pół godziny obserwował, jak dziad kołysze się, mamrocze i spluwa w płomienie. Czasami staruch uśmiechał się, raz podskoczył i zaczął się ślinić. Na jego twarzy pojawił się wyraz triumfalnego uniesienia. Werusk zawył i złapał się za brzuch, jakby ktoś wbił w niego sztylet. Zatkanął sobie uszy i skrzywił się z bólu. Dygotał jeszcze przez moment, potem uspokoił się, zwiotczał. Po jego pomarszczonej twarzy spłynęła samotna krwawa łza.



- Zabili moje dzieciątko - wychrypiał.

Przez następną godzinę stary nie dawał znaku życia. Cynric chciał odejść, ale ciekawość kazała mu zostać. Wreszcie Werusk otworzył oczy i złapał księcia za ramię. Palce starca miały uścisk ptasich szponów i Cynric ze zdumieniem uświadomił sobie, ile siły drzemie w tym wyniszczonym ciele. Czarownik przemówił, rozbryzgując kropelki cuchnącej śliny.

- Zabili dzieciątko. Przestraszyli je hukiem. A było już tak blisko. Widziałem Naszyjnik, Cynricu. Jest piękny, jak sama młodość zaklęta w dziele złotnika. Posłuchaj, raz im się udało. Ale teraz znajdują się bliżej i nie muszę wysyłać za nimi kolejnego dziecka nocy. Wyślę ciebie.

Cynric wyprostował się dumnie.

- Czy ci wrogowie są potężni, starcze?

Głos Weruska rozbrzmiał jak skrzek oszalałego ścierwojada. Wieszczył. Nawet muchy odsunęły się od niego strwożone.

- Pod twoim toporem zwałą się jak zbutwiałe drzewa, chłopcze. Są niczym. Młody głupiec, który stracił rozum, i tłusty tchórz bez odwagi i serca. Ludzie z tamtego świata są słabi niczym dzieci.

- W takim razie wyślij po nich pastucha, a nie królewskiego syna. Ja nie mam czasu. Muszę jechać na pogranicze i ściągać daninę - zachnął się Cynric.

- Nic nie rozumiesz. Są słabi, owszem, ale mają ze sobą przedmiot wielkiej mocy. Brytowie już o nich wiedzą. Na pewno szukają ich po całej wyspie. Ale ja też mam w zanadru parę sztuczek. Zobaczyłem ten klejnot okiem mojego dziecka, zobaczyłem go i zapamiętałem. I wiem, dokąd go zaborą.

- Skąd wiesz o magii naszych wrogów, czarowniku?

- To pamięć krwi. Przodkowie walczyli z druidami. Jeszcze zanim nastała Roma. Przekazali opowieści o Naszyjniku i jego sile. Od niego zależy przetrwanie Sasów na tej ziemi. Musisz go zdobyć, książę. Dla nas, dla całego plemienia.

\* \* \*

Werusk nie miał racji. Dzieciątko owszem, utracił doraźną powłokę, ale daleki był od śmierci. W przypadku upiora zgon wymaga daleko więcej starań niż u istot owłosionych i krwistych. Przybrawszy „przejściowy” kształt, chowaniec przycupnął na gałęzi czarnego cyprysu. Wyglądał wstrętnie, jego obecna forma plasowała go gdzieś pomiędzy kłębem trupich kłaków a sfatygowanym puchaczem. Ale bezkształtny łeb demona naznaczony był szczeliną

uśmiechu. Był tak blisko szczęścia, jak to jest tylko możliwe w przypadku mieszkańców Dołu. Wciąż ożywiały go wspomnienia, na języku czuł smak przelanej krwi.

W jego misjach najbardziej ekscytujące było to, że wracał z nich dopełniony i syty, obrośnięty elementami cudzego „ja”. Dowiedział się, dlaczego Igi obgryza paznokcie i jaki kształt cycków preferuje. Wiedział o nim rzeczy, o których tamten najchętniej by zapomniał. Szczególnie obfity łup stanowiły koszmary i wspomnienia wstydlive, wyparte, złe emocje i destruktywna energia. Ulubione paliwo demonów. Właśnie smakował wspomnienie szczególnie paskudne, rozkoszował się jego cierpkim, nadgniłym aromatem.

Kuba, klasowy kozioł ofiarny, przebaczył wyrządzone mu zło i zaoferował Jurkiewiczowi przyjaźń, a on, w gruncie rzeczy lubiący grubasa, przyjął to z niekłamana radością. Zostali przyjaciółmi i przez prawie tydzień (od poniedziałku do czwartku) włączyli się razem po budowach i wertepach, grali w komputerowe szachy i oglądali kretyńskie filmy karate. Potem klasa przystąpiła do rytualnego dręczenia grubasa i Igi stanął przed trudnym wyborem. Koledzy na niego liczyli. Jego złośliwość i bezustannie kipiący gniew były nieodzownym składnikiem dziecięcych tortur. Zaszczuty, popychany z kąta w kąt grubas wciąż zerkał na niego z nadzieją.

Igi podejmuje decyzję, podchodzi do przyjaciela i zniecka pluje mu w twarz. Plwocina miesza się ze łzami, kozioł wpada w szal, goni ich po boisku, a oni rzucają w niego kulami śniegu i błota. Bezczenne.

Dzieciątko kiwał się, popiskując z radości. Nagromadzone skarby choć na moment zatykały ssącą go w duszy otchłań, ten straszny, zachłanny lej, będący centrum jaźni każdego demona. Towarzyszyło mu kilka równie ohydnych ptaków. Trwały w milczeniu i bezruchu, w przeciwieństwie do harujących po nich pasożytów i larw. Wokół nich drzemały smrodliwe bagniska, a martwe żaby trudziły się, nie mogąc złożyć swego jałowego skrzeku. Tu, w Czarnym Lesie, żaby nie miały w zwyczaju rechotać, lecz ciężko wzdychały.

- Dzieciątko, dobre sobie - zarechotał jeden z upiorów.

- Przynajmniej zdobyłem imię - chowaniec wzruszył skrzydłami.

Trzeci z upiorów, sfatygowany kłębek nicości i odwiecznego głodu, łapczywie rozchylił dziób.

- Piłeś ich krew, bracie? Jak to jest?

- Nie mów, że zapomniałeś - Dzieciątko szyderczo przekrzywił łeb.

Podobał mu się nowy przydomek. Co więcej, mimo iż został pokonany, czuł, że to jeszcze nie koniec. W powietrzu czuć było zmianę, rześki powiew gnijących traw i wiosennej padliny.

- A właśnie że zapomniałem - wychrypiał trzeci z upiorów. - Wszyscy zapomnieliśmy. Nawet ona - dodał ciszej.

Upiory umilkły. O Królowej nie mówiło się głośno. Pamięć o Agronie, Wężowej Bogini, i jej strasznym gniewie była jedynym niegasnącym wspomnieniem tych istot, podobnie jak lęk przed nią był jedyną trwałą emocją. No, może nie licząc odwiecznego głodu.

Na samą myśl o władczyni demony nerwowo zadrżały. A może ich sfatygowane pióra smagnał powiew morowego wiatru? Tu, w Czarnym Lesie, wiało wiele zasłużonych wichrów. Etat w Lesie, pośmiertny i nieśmiertelny, był nagrodą za ich zasługi w służbie rozpadu, nicości i śmierci.

Ten wiejący teraz niósł gryzącą, przyprawową nutę, wspomnienie karawanserajów i oaz, targów Buchary, Samarkandy i Urumczy. Ostatni raz nawiedził nozdrza śmiertelników w XIV wieku, wędrując z ludnych metropolii Khitaju do Europy, która zaludniła się nieświadoma nadciągającej grozy. Czarna Śmierć, wyjątkowy rocznik. Dzieciątko otulił się skrzydłami i ze smakiem schrupał robaka, który toczył ropiejący mózg jego towarzysza. Życie nie było takie złe.

- Mów za siebie, Cerchinnusie. I ty, Fronchobarze.

Upiory zaskrzeczały i spojrzały się na niego z zachwytem. Od tysiącleci nikt nie wymówił przy nich ich śmiertelnych imion, o których same dawno zapomniały. Dzieciątko umościł się wygodniej i odetchnął morowym powietrzem.

- Nadchodzą zmiany. Duże zmiany.

## ROZDZIAŁ 8

*Nie uciekniesz przed losem krwawym  
Przeznaczonym mieszkańcom ziemi,  
Ale milcz! Wielkie to prawo  
Śmierć wybrać sobie samemu.*

MIKOŁAJ GUMIŁOW

Bedevir długo leżał w malignie. Dwie stare zielarki poły go leczniczym naparem i okadzały ziołami, ale gorączka nie ustawała. Kobiety stwierdziły, że jakiś demon pożera rycerza od środka i trzeba wypędzić zeń zimno. Same nie były od tego, żeby ogrzać przyszłego pana na włóściach, ale Mab rozniewała się i rzekła, że ona to zrobi. Wtuliła się w niego nagim ciałem, łagodząc i wchłaniając gorączkę.

Rycerz spał, budził się, znowu spał. Zawsze pytał o ojca i brata. Raz dźwignął się z łóżka, Mab znalazła go na dziedzińcu, jak pełzał przez błoto do stajni. Ale i tak nie byłby w stanie dosiąść konia. Zostały mu tylko modlitwy. Przekonywał samego siebie, że niedobitki bandy na pewno nie wróciły do swoich, bojąc się drwin i hańby. Sasi nie musieli się o niczym dowiedzieć, Hywel i Cachir bezpiecznie zacierają do domu. Ale oni wciąż nie wracali. Nadzieja umierała w nim raz za razem, wyczerpanie dawało pretekst, by schronić się w ciężkich snach.

Któregoś razu, w chwili przebudzenia, ciemność w komnacie przybrała inny kolor. Czerwieniła się, jakby za oknem zachodziło słońce. Słyszał krzyki, szczęk broni i wrzaski. Poderwał się z barłogu, potknął i ruszył do drzwi. Na stole leżała jego broń, rycerz z nienawiścią odsunął od siebie Ekskalibura i złapał za swoją starą *spathę*.

Bukowa Przełęcz płonęła. Domownicy tłoczyli się na dziedzińcu, polewając słomiane dachy i ściany budynków gospodarskich, które w przeciwieństwie do rzymskiego dworu zlepione były z łatwopalnej wikliny, sitowia i błota. Nad uchem świsnęła mu strzała, ognisty pocisk wbił się w strzechę, która zajęła się ogniem. Pobiegł do bramy. Na linii lasu zobaczył sylwetki zbrojnych, łucznicy wypuścili kolejną salwę. Potem szereg rozstał się i przed szyk wysunęło się dwóch jeźdźców. Pierwszy był monstrualnie gruby. Bojowy koń człapał pod jego ciężarem jak ślepa szkapa, która w znoju obraca żarna. Grubas zatrzymał się i obserwował Brytów. Jego towarzysz podjechał bliżej, Bedevir rozpoznał złoty hełm i zbroję z

kościanych płytek.

- Złamaliście warunki rozejmu. Nasi ludzie zginęli zdradziecko pomordowani. Na mocy zawartej z waszym wodzem umowy mam prawo spalić ten chlew - krzyknął jeździec. - Tym bardziej powinniście docenić moją dobroć. Zadowolę się grzywną. Nasze prawo mówi jasno. Za siedmiu Sasów należy się *wergeld* równy cenie czterdziestu dwóch Brytów.

Stojący obok Bedevira Goutinus zaklął i skulił się za plecioną tarczą.

- Niezła wycena, na Dagdę. Sześciu naszych za jednego psa.

Faktycznie, grzywna za zabójstwo była bezczelnie wysoka. Ale twarz rządcy nie była równie buńczuczna jak słowa. Wszędzie Bedevir zobaczył to samo. Bładość, strach, dygoczące łydki. Ludzie z Bukowej Przełęczy nie byli wojownikami. To cud, że trzymali jeszcze włócznie. Bedevir wyprostował się i wyszedł przez bramę. Nie miał tarczy, bose stopy plaskały po błocie.

- Daj nam czas do żniw, Sasie. Zapłacimy grzywnę.

Sas wzruszył ramionami. Wtedy do rozmowy wtrącił się ten gruby, który zaśmiał się dobrodusznie.

- Masz szczęście, że nie ma tu mojego braciszka. Creda nie cackałby się z wami jak ja. Ale znudziło mi się zabijanie żebraków i tchórzy. Weźcie ich sobie i wspomnijcie łaskawość Offy syna Gjorna. Lepszego władcy sobie nie znajdziecie, zapewniam was.

Dał znak i podbiegło doń kilku ludzi. Jeden z nich był popychany przez resztę. Ręce miał skrepowane na plecach, na jego szyi kołysało się coś ciężkiego, jakby okrągły kamień. Jeden z Sasów smagnął go pletnią i mężczyzna pobiegł w stronę zabudowań. Pożar oświetlił jego wynędzniałą twarz, prosty nos, krótko przycięte włosy. Brytowie krzyknęli, Bedevir pobiegł do ojca. Hywel poruszał się ciężko, po chwili potknął się i upadł. Od willi dzielił go dystans sześćdziesięciu metrów. Sasi patrzyli nań jak na pełzającego robaka. Potem Offa zawołał coś do swego towarzysza. Młody Sas sięgnął po krótki, refleksyjny łuk. Bedevir krzyknął, kazał Hywelowi upaść na ziemię. Ale ojciec nie słyszał, wyglądał na oszołomionego.

- Ten człowiek był podobno wielkim panem - oznajmił Sas. Napiął łuk szybkim ruchem. - Był też dzielny i dobrze walczył. Wart jest więc tyle co każdy z naszych. Zostaje wam czterdzieści łbów do zapłaty.

Strzała poszybowała w powietrzu i uderzyła biegnącego w plecy. Upadł na twarz, kilka kroków od Bedevira. Zobaczył, że tunikę na plecach ma rozsiekaną batem, zgniła tkanina zrosła się z ropiejącym ciałem. Musieli go chłostać wiele razy. Wojownik stłumił krzyk i wyrwał strzałę. Ostrożnie obrócił ojca na plecy. Hywel próbował coś powiedzieć, z

ust popłynęła mu krew. W jego oczach nie było już nic ludzkiego. Bedevir zrozumiał, że po tym, co zrobili mu Sasi, śmierć była dlań tylko ulgą. Potem zobaczył, co jego ojciec miał uwiązane na szyi.

Głowa była skurczona i opalona nad ogniem, wyprawiona i obtoczona w smole. Przez uszy przeciągnęli konopny sznur. Ale wciąż dało się rozpoznać rysy, zdecydowaną linię szczęk. Wyciągnięte prawe ucho, które kiedyś naderwał Cachirowi w bójce. Tylko łobuzerski uśmiech gdzieś przepadł, wypełnił się dziegiem. Rycerz ujął ją w obie dłonie i rozplakał się. Odzyskał ojca i brata.

Po czasie, którego nie mógł określić, w jego ból wtargnął jakiś dźwięk. Otworzył oczy i ujrzał grzebiące w ziemi kopyta. Wznoszący się nad nim Sas spoglądał nań z zainteresowaniem.

- Na jaja Thora... Taki widok nie zdarza się co dzień. To był twój ojciec, prawda? Odliczę ci za niego... sam nie wiem. Co powiesz na osiem głów?

Bedevir wpił w niego wzrok. Obliczał odległość, jak dzieliła go od szyi jeźdźca.

- Doceń moją dobroć, niewolniku. Gdybym nie zabił waszego wodza, nie wypłacilibyście się aż do Ragnarök - powiedział Cynric.

Bedevir po raz pierwszy zwrócił uwagę na jego oczy. Widział już taki wzrok. Pełen arogancji i zadufania, ale także głodu, wiecznego nienasycenia. Były to oczy człowieka, który każdego dnia mieczem, brawurą i rozlaną krwią udowadnia sobie, że żyje. Wystarczy jeden skok, nóż miał już w ręku. Drzewce włóczni uderzyło go w skroń, wypuścił nóż. Sas zręcznie zakreślił bronią, ostrze zatrzymało się na jego szyi.

- Nie radzę. Moi chłopcy mogliby się zdenerwować. A przecież ja wcale nie lubię was zabijać. Ktoś musi płacić daniny.

- Cynric - głos rycerza nie przypominał dźwięków, jakie zwykle dobywa ludzka krtać.

Sas zmrużył oczy. Dla niego wszyscy Brytowie wyglądali podobnie, czyli równe dziwacznie. Może dlatego że często golili brody.

- Znasz mnie?

- To on - zawołał jakiś Sas. - Jeden z tych, co dopadli nas nad rzeką.

Sas obrzucił przeciągłym spojrzeniem ubłoconą twarz Bedevira, zerknął na tłoczących się za palisadą wieśniaków. Na ustach miał pogardliwy uśmieszek.

- Zaiste, groźni to mocarze. Jak to Brytowie. Trzeba ich wszystkich zabić, bo jeszcze urosną w siłę...

Na odchodnym obrócił konia, obalając Bedevira w błoto. Znieruchomiał obok ojca i brata, w uszach wciąż dźwięczał mu urągliwy śmiech. Cynric.

\* \* \*

Stos był właściwie gotowy, wystarczyło zebrać na kupę tłące się jeszcze deski. Spalili ich jeszcze tej nocy, ksiądz mówił długo i mądrze. Potem w domu zapadła cisza, zakłócona monotonnym zawodzeniem matki. Bedevir nie mógł się przemóc i podejść do Dylis.

Następnego dnia pojawili się sąsiedzi. Bran z Eldygwyn, człowiek bogaty i odważny za murami, nadjechał z licznym orszakiem zbrojnych i obładowanych wozów. Złożył Bedevirovi wyrazy współczucia i oznajmił, że nigdy nie ufał Sasom. Powiedział, że zostawia posiadłość i jedzie do Camelot albo dalej, aż za Góry Kambryjskie, gdzie nigdy nie dotrze wojna. Zapytał, czy nie chcieliby zabrać się z nimi. Bedevir skorzystał z okazji i wyprawił z nim matkę, nic sobie nie robiąc z jej biadoleń. Za górami, w Powys, mieszkała jej młodsza siostra.

Dylis objęła go mocno, w wyblakłych, zaczerwienionych oczach matki zauważył łzy i cisnące się na usta wyrzuty. Zaczęła mówić i zaraz urwała, znowu zaniósła się płaczem. Nic nie szkodzi, mamó. Wiem, co chcesz mi powiedzieć. Zawsze kierowałeś się impulsami, syneczku. Gdybyś był bardziej rozważny, nie doszłoby do tragedii.

Wreszcie matka odjechała, kołysząc się na osiołku, pod czujnym okiem służby. Odetchnął z ulgą, a potem pograżył się w pustce. Miał wrażenie, że wszyscy traktują go jak zadżumionego. Nie dziwiło go to. Sam czuł, że sprowadził na ten dom przekleństwo. Zresztą ludzi było w Bukowej Przełęczy coraz mniej, każdego dnia znikali kolejni chłopci.

Jakoś nie uwierzyli w zapewnienia Cynrica i nie chcieli być częścią zaległej grzywny. Znikł nawet stary Goutinus, który od czasu śmierci Hywela i Cachira nie odezwał się do Bedevira ani słowem.

Bedevir powoli wracał do sił i przeklinał swoje ozdrowienie. Chciał umrzeć, ale nie bardzo potrafił. Samemu zabijać się nie chciał. Hywel mógłby to zrobić, jego ojciec wyznawał starą rzymską zasadę, że człowiek jest panem swego życia i śmierci. Opowiadał synowi o Senece i Katonie, prawych Rzymianach, którzy nie poddali się przemocy tyranów i sami rzucili się na miecz. Ale jemu bogowie nie dali takiego wyboru.

Leżał więc w zaciemnionej komnacie i patrzył, jak Bukowa Przełęcz pustoszeje. Czasem ważył w dłoni Ekskalibura. Studiował odbłaski na klindze, wsłuchiwał się w świst, z jakim przecinała powietrze. Mógł nie zabierać go spod Kamlann, mógł nie mieć go wtedy w lesie. Sasi wróciliby bezpiecznie do swoich, z szachami i resztą łupów.

Ojciec i brat żyliby i tylko on leżałby gdzieś z odrąbanym łbem, czego nikt by zapewne nie zauważył. Szkoda.

Był już pewien, że w mieczu kryje się dusza, stara, mądra i zła. Co zamierzasz?, pytał. Chcesz mnie ukarać czy może jesteście kwita? Gdyby nie ja, spoczywałbyś na dnie morza, za towarzystwo mając wodorosty i skorupiaki, ryby i smutnych topielców.

Miał czas na rozmyślenia i nikt nie zakłócał mu spokoju. No, może z wyjątkiem Mab, która przynosiła mu jedzenie i pytała, jak się miewa. Kiedy nie chciał jeść, czekała tak długo, aż denerwował się i opróżniał miskę. Dopiero wtedy zostawiała go samego. Kiedyś zapytał ją, czy się nim brzydzi.

- Ludzie mówią, że jestem przeklęty - rzekł, wpatrując się w Ekskalibura.

Dziewczyna łagodnie wyjęła mu broń z palców i otarła jego czoło z potu.

- Nieszczęścia nie czynią nas przeklętymi. Tylko nasze własne myśli - powiedziała.

- Skąd ty możesz to wiedzieć? - sarknął poirytowany. - Jesteś tylko...

- Kobieta? - zaśmiała się cicho. - Tak się składa, że wiem. Znam to. Ludzie, których się znało od zawsze, nagle odwracają od ciebie wzrok. Szepczą za twoimi plecami, a zapytani, udają, że wszystko jest porządku. Uśmiechają się, ale ich oczy pozostają zimne. To boli.

- Ludzie mają rację - odpowiedział Bedevir, macając ręką w poszukiwaniu dzbana z winem.

Syknęła rozdrażniona i odsunęła od niego naczynie. Zamiast wina podała mu kubek wody. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jego matka odjechała, ale proszę. Dorobił się nowej. Mab poczekała, aż skończy pić. Kiedy jego głowa opadała na poduszki, otarła mu czoło z potu. Dłonie miała kojące i chłodne.

- Dlaczego to robisz? - zapytał.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. W rękach miała już miotłę i ścierkę, uwagę skupiła na kurzach i pajęczynach. Utrzymywanie porządku w tej ciemnicy było prawie niemożliwe, ale Bedevir zabronił jej otwierać okiennice. Bał się zobaczyć ogień.

- Ja też kiedyś wmawiałam sobie, że jestem przeklęta. Ale to bzdura. Zrobiłeś to, co uznałeś za słuszne. Oni muszą kogoś obwiniać, a ciebie długo nie było w domu. Nie znają cię już i dlatego się boją.

Mab miała rację. I bez tego ludzie niepokoiłoby się o jutro. Po kraju wędrowali posłańcy, wielmoże zbroili się i odnawiali wały siedzib. Starcy, którzy pamiętali grozę dawnych najazdów, wieszczili kolejną wojnę. Sasi czekają na lato. Pogoda się poprawi, drogi staną się przejezdne po wiosennych roztopach, a na polach wyrosnie zboże. Wtedy barbarzyńcy uderzą.

Dni nadal spędzał jak we śnie. Tylko raz odważył się wyjść ze swojego dobrowolnego



więzienia. Oglądał stare sprzęty, przemierzał wydeptane przed laty ścieżki. Świat z jego wspomnień, które hołubił w ponurych murach Camelot, zmienił się, tak samo jak on. Znajome miejsca zszarzały, skurczyły się i zarosły. Twarze kolonów były starsze i wyrażały uczucia, których nie pamiętał z dzieciństwa. Stare psy pomarły, młode już go nie znały. Brakowało mu odgłosów dłuta i młotka dobiegających z warsztatu Hywela, który w wolnych chwilach parął się snyderką. Brakowało mu wiecznie rozgadane go Cachira, jego brat był uciążliwy, ale cisza po jego tyradach była jeszcze gorsza. Tęsknił za swoim najstarszym bratem, który opuścił Przełęcz sześć lat przed nim. Udał się za morze, do jednego z irlandzkich klasztorów, i ślad po nim zaginął. Brakowało mu nawet gniewnych utyskiwań Dylis, która stale pokrzykiwała na służbę. Właściwie brakowało mu wszystkiego.

Nie uczestniczył w pracach gospodarskich ani w wiecach sąsiadów, którzy domagali się rady pana na Bukowej Przełęczy. Głupcy zaproponowali mu nawet objęcie dowództwa nad miejscowym pospolitym ruszeniem. Najchętniej wylegiwał się w alkierzu, osuszając wino z domowej piwniczki. Z czasem przerzucił się na piwo i miód. Nie wiedział, czy to jad miecza zatrzał mu krew czy świadomość grzechu. Po tygodniu takiego życia nabrał ochoty, żeby zaszyć się w lasach albo powiesić w stodole.

W dniu, w którym przybył druid, Mab poszła do lasu po drewno. Kolonowie bali się chodzić do lasu. Wróciwszy, poszła sprawdzić, czy chory zjadł pozostawione jedzenie. Bedevir spał, a przy jego łóżku siedział drobny człowieczek w burej szacie. Wpatrywał się w śpiącego, na jego twarzy malowała się troska. Potem wstał, rozejrzał się po izbie. Oglądał różne przedmioty, ale ominął przeklęty miecz.

Na widok Mab podskoczył i uśmiechnął się z zakłopotaniem. Zobaczyła, że małe oczka druida lśnią wilgocią. A może tylko przemókł na dworze.

- Nie musisz się mnie bać - powiedział, widząc, że dziewczyna ściska w rękach siekiere.

Zatrzymała się, w dalszym ciągu nieufna. Druid zrzucił z głowy kaptur, przeczesał rudawe włosy. Wąsy miał obwisłe i mokre od deszczu.

- Jak długo to trwa? - zapytał, wskazując na śpiącego.

- Czasem wstaje. Ale jakaś część jego duszy nie budzi się nigdy - odparła, odkładając siekiere. - Możesz go uleczyć?

Druid wzruszył ramionami.

- Ze smutku? Tylko on sam może to zrobić.

Śpiący poruszył się i usiadł na łóżku, pocierając rozczochraną głowę. Na widok gościa jęknął i opadł z powrotem na posłanie.

- Uparty jesteś. Tylko ciebie tu brakowało, kurdupłu.
- Też się stęskniłem - Rhodri wyszczerzył zęby.
- Gadaj, czego chcesz, i wynoś się. Przeszkadzasz mi spać.
- Wpadłem sprawdzić, czy nie zmieniłeś zdania. Wciąż potrzebna mi twoja pomoc.
- Użyj czarów, to powinno wystarczyć.
- Czary już odprawiłem. Według nich potrzeba mi właśnie ciebie. Człowieka od Miecza i Bólu. Kiedy cię spotkałem, miałeś jedynie to pierwsze. Teraz widzę, że jesteś kompletny.

Rycerz zaśmiał się urągliwie.

- Twój plan się powiódł, gratulacje. Szkoda tylko, że mnie nie ostrzegłeś.
- Przepowiednia objawia znaki, a nie zapis wydarzeń. Przykro mi z powodu twoich bliskich.

O dziwo, głos druida brzmiał szczerze. Bedevir spojrzał na jego śmieszoną, pełną zapału twarz i roześmiał się. Rhodri był starszy od niego, ale teraz wydał mu się chłopcem rojącym o wielkich czynach. Pewnie on też tak wyglądał, gdy wsłuchiwał się w opowieści powtarzane przez rycerzy Stołu. Nic dziwnego, że strasznie ich wkurzał. Domagał się makabrycznych szczegółów, a tamci pili, żeby odgonić zarysy, wspomnienia, twarze i krzyki. I proszę, doczekał się własnej legendy. Posłuchajcie o Panu Przeklętym. Witaj, wesoła przygodo.

- A co mam zrobić? Zabić smoka? Odnaleźć Graala?
- Pomożesz mi w pewnej misji. Kiedy będę odprawiał czary, moich pleców musi strzec miecz. I nie może to być niegodny zaufania najemnik. Ani żaden człowiek, który kurczowo trzyma się życia.
- Oczywiście szczegóły tej wielkiej misji pozostaną tajemnicą, której nie objawisz mnie, profanowi. Zgadłem?
- Nie udawaj, że obchodzi cię wiedza. Dam ci coś cenniejszego.
- Mianowicie? - uśmiech rycerza był równie kwaśny jak octowy smak wina w jego ustach.
- Cel - Rhodri był zupełnie poważny.
- Taaa? Cel mam tu, przed sobą. Teraz jest nim Bukowa Przełęcz. Obronę swoją ziemię, i tyle.

Rhodri zaśmiał się cicho.

- Tak jak obroniłeś ojca i brata? Na razie kiepsko ci idzie.

W oczach Bedevira zamigotała wściekłość, ale nie odpowiedział. Rhodri przysunął się

bliżej, jego głos nabral hipnotyzującej barwy. Bedevir wiedział, że to sztuczki, którymi druidzi przekonywali maluczkich.

- Posłuchaj mnie. Wiem, że spotkała cię krzywda. Ale nie jesteś jedynym, na którego spadło nieszczęście. Rozejrzyj się. Różnica nie polega na tym, że cierpisz, tylko na tym, że możesz coś zmienić.

Rycerz wzruszył ramionami. Zaszło mu w gardle.

- Wolisz zarządzać willą, w niedzielę paradować w odświętnych szatach, zajeżdżać do kościoła rydwanem i udawać, że nic się nie zmieniło? Bo uwierzyłeś - bo wszyscy uwierzyliśmy - że Artur zatrzymał czas i odegnał zło? Tego już nie ma, rozumiesz? - druid nabral z paleniska garść wystygłego żaru i rozsypał na stole przed Bedevirem. Jego twarz była równie szara. - Popiół i dym. To wszystko jest martwe. Nawet jeżeli jeszcze łązi, uśmiecha się i oddycha. Ale tego świata już nie ma. Twoich chłopów i kolonów, dziewczyn służebnych, marmurowych kolumn, sadzawek. Twojej pięknej wili z atrium i dormitorium. Czas stawiać chaty na wzgórzach. Z drewna. I otoczyć je mocnym murem.

Zirytowany Bedevir sięgnął po amforę z winem. Naczynie miało piękny kształt, teraz nie robią już takich. Pociągnął kilka łyków, jego myśli nabrały zapachu. Ostrożnie odstawił naczynie.

- W pewnym sensie - filozoficznym znaczy się - to wszyscy jesteśmy martwi - oznajmił. Odbiło mu się, ale godnie. - Świat umiera? A kiedyś nie umierał? Ktoś zawsze brał w skórę. Tak już jest. Akurat padło na Brytów...

Rhodri zachnął się. Wyrwał mu amforę i prasnął nią o ziemię.

- To nie jest zabawne. Wiesz, co planują Sasi?

- Oświeć mnie, wielki hierofancie.

- Creda nie wszczał kolejnej wojny. Jak świat światem, władcy wyruszali w pole po żniwach, kiedy można było wziąć łupy, a bydło się odpasło. Nie tym razem. Nie chodzi mu o to, żeby się wzbogacić. To my mamy zbiednieć. Kampania na północy była tylko przygrywką. Przybędzie tu na przednówku. I wyczyści każdy spichlerz, schowek i oborę. A potem będzie patrzył, jak zremy lebiode i perz. I umieramy. Ten kraj ma należeć tylko do nich. Sasi nie zamierzają się nim dzielić.

- Przesadzasz. Creda chce trybutów, łupów i niewolników. A ziemię ktoś musi uprawiać - powiedział Bedevir niepewnie.

- Tak? To dlaczego rozpoczął wojnę w marcu? Dlaczego jego zbójce w tym momencie najeżdżają osady za rzeką?

Druid pociągnął go do drzwi. W świecie Bedevira od dawna panował półmrok, światło

na zewnątrz oślepiło go. Zadarł brodę, tępo zagapił się w krwawą lunę na błękitnym niebie. Cały horyzont płonął.

- Już się zaczęło. Każ ludziom zebrać zapasy i schować się w lesie. Na bagnach, na groblach, w jaskiniach. Gdy fala się przetoczy, niech uciekają stąd jak najdalej. Ten kraj już straciliśmy. Ale to jeszcze nie koniec. Prawdziwa bitwa rozegra się gdzie indziej.

# CZEŚĆ II

## ROZDZIAŁ 9

Błyski fleszy i koguty radiowozów sprawiły, że las przypominał wesołe miasteczko. Policja zabezpieczyła ślady zbrodni, zebrała łuski, odciski butów, próbki krwi i włosów. Poszarpane ciała powędrowały do schludnych plastikowych worków. Znajdujący się w stadium pośrednim Igi, w dalszym ciągu nieprzytomny, wylądował na noszach.

Gdy funkcjonariusze dotarli na miejsce, długo mierzyli do niego z broni. Długo. Jakby obawiali się, że rzeźnik z Kabat udaje i zaraz poderwie się, skoczy do gardeł i serc. Alina patrzyła na to spode łba, ale idąc za radą Łukasza, milczała. I dobrze. Tylko tego brakowało, żeby powiedzieli policji, że to nie Igi zabijał, i zaczęli bredzić o demonach i *doppelgangerach*. Zamiast w koce owinęliby ich w wygodne kaftany. Zapinane na plecach. Dla Igiego już takie wdzianko szykują. Niech tylko odzyska siły, a społeczeństwo zaraz upomni się o swoje. A jak potwierdzą się pogłoski o kanibalizmie, wyżartych podrobach, ho, ho... W Stanach dostałby jeszcze fajny, ogrzewany elektrycznie fotelik.

Sanitariusze właśnie ładowali go do karetki. Jak to określił ratownik z pogotowia, zapalając służbowego papierosa, jego stan był stabilny. Obok ślaniała się Alina, której stan, przynajmniej psychiczny, do szczególnie stabilnych nie należał. Dziewczyna nie miała już siły. Głos jej się łamał i zawieszał, źrenice miała puste jak New Age. Owinięta w policyjny koc, wyglądała jak dwudziestoletnia staruszka.

Łukasz siorbał parującą herbatę i usiłował nie pomylić się w zeznaniach. Co robił na miejscu zbrodni? Ano, panie władzo, przechodził. Najwięcej podejrzeń wzbudzało w gliniarzach to, że psycholog spotykał się ze swoją pacjentką w lesie. Tutaj Łukasz się pomylił, powinien powiedzieć o zwykłym spacerze. Z drugiej strony, psycholog i licealistka, wieczór, las? Też podejrzane.

Zlustrował prowadzącego przesłuchanie gliniarza i z miejsca wyrobił sobie o nim opinię. Paznokcie obgryzione do mięsa, przetłuszczone włosy, tik. Ewidentne skłonności do paranoi. Podejrzenie erotomanii - spojrzenia, jakie posyłał Alinie, kwalifikowały się do dania w mordę. Sam temat terapii wydawał się kryminalnemu obcy i na sto procent nie miał z czymś takim do czynienia. A szkoda.

- Wyciszenie i obecność przyrody sprzyja procesom terapeutycznym. Nie rozumiem, dlaczego las miałby być dziwnym miejscem do takich spotkań.

- Proszę wybaczyć - odezwał się znajomy głos. - Kolega jest po prostu przeczulony. Może niepokoi go, że dziewczyna poszukiwanego mordercy i jego terapeuta urządzają sobie sesję akurat na miejscu zbrodni? Widzi pan, gliny są tępe. I nie wierzą w przypadki...

- Oskarżacie mnie o coś? - Łukasz podniósł głos - W takim razie chcę się widzieć z moim adwokatem.

- Nie, nic z tych rzeczy. Chcemy panu podziękować za obywatelską postawę. Sami byśmy sobie nie poradzili.

Nowo przybyły uśmiechnął się do Aliny. Miał szczerą, szeroką twarz. Misiaczek. Kiedy Łukasz rozmawiał z Rosiakiem w szkole i wziął od niego wizytówkę, uznał, że to typ zasadniczy i upierdliwy. Zmienił zdanie. To nie był pedant, tylko czystej wody skurwysyn. Pierwszą rzeczą, jaką zastrzegł sobie po zadzwonieniu na policję, była pełna anonimowość. Alina, owinięta w koc i spowita oparami z kubka, jeszcze przed chwilą wyglądała jak okadzana w Delfach Pytia, która zaraz zacznie majaczyć. Teraz oprzytomniała i spojrzała na Łukasza uważnie.

- To pan Klimkowski do nas zadzwonił i powiadomił, że podejrzany zamierza się z nim spotkać. Inaczej mówiąc, wyspał go - policjant urwał na moment i obserwował reakcję Aliny.

Łukasz zaniechał dawania mu rozpaczliwych znaków. Po pucołowatym obliczu gliniarza przemknął zefirek uśmiechu. Z uznaniem klepnął Łukasza w plecy.

- Dobra robota. Szkoda tylko, że zadzwonił pan tak późno, nie zdołaliśmy zapobiec kolejnym mordom. Klasyczny konflikt lojalności, wybór pomiędzy dobrem pacjenta a bezpieczeństwem całego społeczeństwa. Czy nie tak? - inspektor na pozór zwracał się do mundurowych kolegów, ale Łukasz wiedział, że produkują tę scenkę specjalnie na jego użytek. I Aliny.

Dziewczyna wyglądała, jakby chciała cisnąć w Łukasza herbatą. Zmieniła jednak zdanie i zmięła kubek w palcach, gorący płyn pociekł jej po rękę. Odwróciła się i odeszła w stronę karetki, w jej twarzy było tyle emocji co w marmurowej płycie.

- Alina, poczekaj! - Klimkowski ruszył za nią, ale inspektor zastąpił mu drogę, uśmiechając się złośliwie.

- Niech idzie, nie chcemy przecież scen. Wyślemy do niej policyjnego psychologa. Dziewczyna jest w szoku.

- Zawsze pan tak traktuje źródła informacji?

- Nie. Pana po prostu nie lubię...

Miał ochotę wcisnąć mu te słowa z powrotem w wyszczerzony ryj. Zamiast tego

odetchnął głęboko, uspokoił emocje. W końcu był dyplomowanym psychologiem. Jeżeli ktokolwiek na tym świecie powinien panować nad sobą, to właśnie on...

Nagle rozległ się wrzask. Histeria, kliniczny przypadek. Łukasz poczuł się bardzo zmęczony. A jednak pękła. W sumie nic dziwnego. Rosły gliniarz przytrzymał Aline, która bełkotała coś o ślepcach.

Jej głos wznosił się i opadał, niemiłosiernie wysoki. W pewnym momencie wyrwała się i podbiegła do Klimkowskiego. Pomyślał, że skoczy mu do oczu albo napluje w twarz. Spoko. Ale panna minęła go, jakby był manekinem sklepowym. I złapała za rękę Rosiaka.

- Igi... Pomóżcie mu...

Chcieli ją zwinąć, ale inspektor uparł się grać rolę fajnego kolesia. Uspokoił mundurowych, którzy rozstąpili się niechętnie. Ktoś dopytywał się, gdzie się podział ten cholerny psycholog. Jak to, gdzie? Jeden był tutaj. Łukasz Klimkowski, najmniej przydatny człowiek świata. Nie licząc islandzkich leśników. I chińskiego rzecznika praw dziecka...

Kołowrotek zatrzymał się, w głowie Łukasza raptem zabrakło prądu. Igi leżał z błądą, teraz zsiniałą twarzą. Kurczowo łapał powietrze. Sanitariusze kłębili się wokół niego bezradnie. Naszyjnik na szyi chłopaka pulsował ledwo dostrzegalną poświatą, co zdawało się umykać uwadze krzątających się ludzi. Łukasz patrzył na to zafascynowany. Odruchowo dotknął dłoni Igiego i zamarł. Była zimna jak trup Eskimosa.

- Niechże się pan odsunie! - pielęgniarz był tyleż zdenerwowany, co bezradny.

W dodatku nie zdążył wypalić papierosa. Jego kolega, wielkie, spocone chłopisko, sapał jak niedźwiedź. Próbował zrobić Igiemu zastrzyk. Nagle chłopak poderwał się i odtrącił pielęgniarzy jak plastikowe kręgle. Otworzył usta i rozkaszał się, plując strumykami wody. Opadł dopiero po zastrzyku, karetka ruszyła na sygnale.

Łukasz odwrócił się do Aliny, szukając słów otuchy. Ale dziewczyna szła już do radiowozu odprowadzana przez szarmanckiego inspektora. Rosiak zmienił się w uosobienie troskliwości. W przypadku Klimkowskiego najwyraźniej uznali, że trzyma się świetnie i nie potrzeba mu wsparcia. A przecież to ja ich zawiadomiłem, pomyślał z goryczą. Nikt nie lubi konfidentów. HWDP, bracie. Po raz kolejny zastanowił się, dlaczego polskie drechy marzą o penetrowaniu gliniarzy. Czy wszyscy twardziele są pedałami? Nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. W dodatku robiło się coraz zimniej. I co, będzie dymał po nocy do metra? Chrzanić to, zamówi sobie taryfę.

\* \* \*

*Jak woda ze skały*



*Na skaty zrzucani  
Spadamy  
Przez długie lata  
W nieodgadniony  
Dół*

FRIEDRICH HÖLDERLIN

Igi nie pytał, gdzie się podział las z jego krwawym śniegiem i polaną ciał. Nie miał do tego głowy, ześlizgiwał się spiralnym tunelem. Próbował chwycić się ścian, ale ręce zapadły się w coś ohydneho. To coś było śliskie i najprawdopodobniej żywe, mlaskało niczym ogromne jelita. Upadek nie kończył się. Ale zwalniał, Igi mógł przyjrzeć się fakturze tunelu. Szare ściany prześwitywały, dostrzegł w nich zarys łusek, przebijające plamy barw. Czerwień. Jakby patrzył przez powiekę na słońce, oświetlające świat, który nie bardzo chciał poznać.

Nagle zrobiło się zimno i powłoka jamy pokryła się warstwą lodu. Na zewnątrz coś wyło, atakowało tysiącem sopli, szorowało nerwami po szkłe. Ściany trzęsły się i wybrzuszały, przysiągłby, że słyszy łopot skrzydeł i jęklive nawoływania. Potem światło zgasło, a ciemność wypełniła się ohydny smrodem. Igi pomyślał, że zaraz zginie, i pocieszył się, że to może być sen. Może, ale nie musi.

We śnie raczej nie odczuwał bólu, rzadko odbierał zapachy. Teraz głowa bolała go od dziwnego smrodu. Gdy zdążył pogodzić się z wnioskiem, że jednak nie śni, lecz bezpowrotnie stracił rozum, spiralne coś, jelito albo gardziel (wolał gardziel), wypłuło go na twarde kamienie. Nabił sobie niezłego guza, ale powitał go z radością, jak śmierzącego psa ze szczęśliwego dzieciństwa.

Droga prowadziła w dół. Znajdował się na końcu ciasnego korytarza, zbyt niskiego, by mógł się wyprostować. Korytarz wił się i skręcał. Robiło się coraz ciaśniej, miejscami trzeba było się czołgać.

Igi zaczął się dusić. Do długiej, istic nowojorskiej listy swoich lęków powinien dodać klaustrofobię. Znakomicie uzupełnia się z agorafobią, pomyślał. Znał nazwy dolegliwości psychicznych, jako piętnastolatek przestudiował pod tym kątem słownik wyrazów obcych. Okazało się, że omnibus z niego. Miał wszelkie możliwe schizy i zaburzenia. Jedynym odchyleniem, którego u siebie nie wykrył, był nieuzasadniony optymizm.

Ciemność zmieniała natężenie. Nie była już nieprzenikniona, pulsowała czerwienią. Gdzieś w dali płonął ogień, korytarz się rozszerzał. Jak ewoluujący małpolud, zaczął iść na

czworakach, zgiętych nogach, aż wreszcie mógł rozprostować grzbiet. Zasłonił oczy przed bijącą spod przeciwległej ściany luną. Kiedy je odsłonił, od razu tego pożałował. To nie było palenisko, tylko płomiennie-zielony smok.

- Boże - wyszeptał Igi i uszczypnął się w przedramię.

Niestety, pokojowe metody budzenia się z koszmaru rzadko bywały skuteczne. Zazwyczaj budził się dopiero wtedy, gdy strach odbierał mu rozum, wyjąc ile sił w płucach.

Ten koszmar jakoś nie znikał. Leżał zwinięty w kłęb, opatulony błoniastymi skrzydłami. Tułów miał szkarłatny, dwubarwne skrzydła mieniły się także głęboką zielenią. Lawa nad oceanem, pożar w deszczowy dzień. Jedna z powiek uniosła się ociężale i gwałtownie na Igiego lewym okiem. Był naprawdę ogromny. Oko miało średnicę talerza, błyszczało inteligencją, którą zaraz zasnuło znużenie.

Stworzenie - nie miał gwarancji, że ta istota została przez kogokolwiek stworzona, słowo „istota” było lepsze, bo z całą pewnością istniała - istota popatrzyła na niego z bezstronną mądrością eonów. Wzrok smoka był tak przejmujący, że Igi skulił się i zakwilił. Miał wrażenie, że jaszczur zna go tak dobrze jak on swój brudny paznokieć.

Chwila przeciągała się i w oczach istoty zamigotała iskierka ciepła. Bogu dzięki. Najwyraźniej lubiła swoje paznokcie.

- Kim jesteś? - zapytał. Nie musiał udawać szacunku.

Stwór przemówił, odpowiedź zabrzmiała jak spotęgowany dzwon. Świdrowała uszy. Igi nie zrozumiał ani słowa. Nagle smok otworzył paszczę i splunął mu pod nogi. Wyglądało to tak, jakby ktoś chlupał mu pod nogi wiadrem lawy. Odskoczył, ale bryzgi plwociny ochlapały mu ubranie i twarz. Otarł oczy rękawem i spostrzegł, że kurtkę ma uwalaną czerwienią. Smok plunął na niego krwią.

Zakręciło mu się w głowie, w ustach czuł dziwny, gryzący posmak. Na szczęście nie mógł dostrzec wijących się we krwi żyłatek, mikroskopijnych jęczyczków. Wijące się pasma krwi wdarły się do zatok i odszukały drogę do mózgu. W głowie eksplodowała mu czerwień, potem czaszka zrobiła się lekka. I wielka. Miał wrażenie, że ktoś dodał mu ze trzy dodatkowe półkule. Nie wiedział, jaka była ich funkcja. Rany, które zadał mu demon, zasklepiały się w oczach. No tak. Skoro ślina leczy, to dlaczego nie krew? I to jeszcze smocza.

Z korytarza za plecami smoka wyłoniła się jakaś postać. Dziewczyna, i to bardzo ładna. W dodatku naga. Jej skóra miała kolor popiołu. Szara, z siateczką ognia. Sutki przypominały figlarne ogniki, między udami stroszyła się płomienista kępka. Podeszła do smoka i dygnęła z szacunkiem.

- Wzywałś mnie, Pradawny. Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytała.

Mówiła dziwnym językiem, który Igi o dziwo zrozumiał, ale nie tak, jak rozumie się wyuczony język obcy. *Damn it* - rozumiał go lepiej niż kiedykolwiek polszczyznę. Subtelności, odcienie i idiomy, wszystko. Zakręciło mu się w głowie.

- Inra, najlepsza z salamander. Witaj. Możesz podrapać mnie nad prawym skrzydłem. Łapą nie sięgam, a od czochrania drę skrzydła - smok zamruczał jak kocur.

Salamandra jak gdyby nigdy nic wdrapała mu się na grzbiet i zaczęła skrobać łuski sztyletem. Smok zamruczał rozkosznie i wywalił jęzor. Igi poczuł się zażenowany. Kiedy jego kot zachowywał się w ten sposób, zapowiadało to cuchnącą katastrofę. Po kilku minutach smok pokiwał łbem i podziękował. Dziewczyna zeskoczyła na ziemię.

- I to ma być on? Ten przerażony gówniarz? - smok mlasnął językiem.

- Po pierwsze, nie gówniarz, a po drugie.... - Igi zaprotestował i urwał. Co fakt, to fakt. W sumie był przerażony.

- Zaręczam, że to dorosły osobnik. W jego świecie ludzie później dojrzewają i większość wygląda... no wiesz - dopowiedziała Inra i uśmiechnęła się złośliwie.

- No nic - skrzywił się smok. - Bierzmy się do roboty.

Igi zastanawiał się, czym była dla smoka robota. Czy zamierzał go pożreć? Na szczęście nie był dziewicą ani nawet kobietą...

- Nie bój się, człowieku. To nie to, co myślisz. Ale sen to też nie jest, więc przestań się tak szczypać, bo sobie rękę urwiesz.

- Kim ty właściwie jesteś, panie? - zapytał Igi.

- Jestem Pradawnym. Jestem Ojcem. Jestem Opiekunem.

Brzmiało to jak ceremonialna formułka i Igi nie czuł się usatysfakcjonowany.

- Opiekunem kogo?

- Jak to kogo? Moich dzieci, Brytów.

- Brytów? Znaczy się, Anglików? - Igi miał ochotę się roześmiać. Angole nie kojarzyli mu się z magią, tylko sikaniem do fontann, rybą z frytkami i tłumami kiboli. A britpopu w ogóle nie trawił.

- Anglowie to nie Brytowie! To najeżdźcy, zabijają mi dzieci! - ryknął smok.

Igi cofnął się przezornie. Ale stwór uspokoił się. Ponownie splunął, tym razem wrzącą lawą. Trafił w przeciwną ścianę.

- Opluł mnie. Wściekł się, czy to jakieś smocze powitanie? - zapytał szeptem salamandrę.

Spojrzała na niego jak na głupka.

- Najstarszy dał ci swój język. Teraz możesz porozumieć się z każdym człowiekiem na

wyspie. Bez tego nie byłoby z ciebie pożytku.

Z kobietami też? - chciał spytać Igi, ale ugryził się w język. Tymczasem smok uspokoił się. Wyglądał na wyczerpanego. Zmrużył oczy i dyszał, zapadłe boki falowały jak kowalskie miechy. Służka usiłowała wlać mu coś do paszczy. Smok spojrział na nią wymownie, salamandra tupnęła, ale posłusznie odeszła.

I co teraz, zastanowił się Igi. Chyba pora na jakieś instrukcje. Problem w tym, że mocodawca prawie wykitował. Smok otworzył jedno oko i łypnął na niego nieprzychylnie.

- Jesteś chory... panie? - zapytał Igi. Było mu głupio. Jak na czytającego w myślach patriarchę smok był zaskakująco mało wredny.

- A co? Nie widać, że umieram? - parsknął smok. - Kochana Inra, najchętniej zagłaskałaby mnie na śmierć. To dobra dziewczyna, zawsze taka była. Dlatego ją ubóstwiłem. Poza nią nie pamięta o mnie już nikt.

Igiemu zrobiło się żal bestii. Poklepał ją po łapie wielkości dębu.

- Nie martw się. Nawet w mojej epoce ludzie nie zapomnieli. Do dziś umieszczają twój wizerunek na sztandarach - rzucił skwapliwie.

I na kubkach, proporczykach, pocztówkach. Już wiedział, z czym kojarzył mu się smok. Był kiedyś u kumpla, który pracował w Walii. Czerwono-zielony smok Brytów straszyl tam zza każdego rogu. Ale przynajmniej przetrwał. Smok spojrział na niego uważnie. W starych oczach zamigotało coś ciepłego.

- Dziękuję. Może nie jesteś gówniarzem. A teraz słuchaj uważnie. Mogę ci się wydawać potężny, ale jestem tylko plemiennym bóstwem. Jednym z ostatnich, reliktem. Ale służę komuś większemu. Komuś, kto mimo całej swej mocy nie potrafi się bronić. Nigdy nie musiał, bo nie było istot tak szalonych, by mu zagrozić. Mówię o ojcu wszystkich smoków. O Najstarszym, o Smoku Światów.

- Aha... - Igi miał już dość smoków.

- To przez niego podróżowałaś. Świetliste korytarze, pamiętasz? Najstarszy wije się wszędzie. Ma wiele imion. Ludzie Północy nazywają go Midgardsormem. Wężem, którego sploty obejmują kosmos. Obawiają się, że pewnego dnia zmiążdży i zniszczy ich świat - smok przerwał i pokręcił łbem.

- Te ludzkie koncepcje! Popełnili typowy błąd - rozdwoili aspekty. Bali się Węża i czcili swój Święty Jesion, Yggdrasil. Wierzyli, że dobry Jesion podtrzymuje światy, które wyrastają z jego konarów, a zły Wąż tym światom zagraża. Nie pojmowali, że Drzewo i Wąż są jednym i tym samym. Zniszczenie i Tworzenie, Wszystko i Nic.

- Chyba nie do końca rozumiem - odparł Igi ostrożnie.

- On nie rozumie - zaśmiał się smok. - Podziwu godna skromność. Oczywiście że nie rozumiesz. Gdyby było inaczej, nie ruszałbyś się i nie gadał. Wystarczyłoby ci słuchanie szeptów Drzewa w poświęconym gaju. Ale twoja wiedza bądź ignorancja nie ma tu najmniejszego znaczenia. Interesuje mnie to, co zadzierzga się na twej kruchej szyjce.

Igi wzdrygnął się. Odruchowo dotknął Naszyjnika, który zapulsował jak żywe stworzenie. Po palcami wyczuł wyraźną fakturę łusek, przedmiot zdrzął pod dotykiem i zacisnął się.

- To Najstarszego przedstawia ten tork. Ale twórca nie całkiem wiedział, co czyni. W sumie to warunek jakiegokolwiek kreacji, nieprawdaż? - smok zarechotał, spowiły go siarczane kłęby. - Mówią, że twórca Naszyjnika był szalony i zły, ale to znowu są ludzkie oceny. W każdym razie utworzył wizerunek tak doskonały, że zawarł w nim esencję modelu: Najstarszego, czyli całego Wszechświata. Jeżeli coś stanie się Naszyjnikowi, Najstarszy może się zbudzić. Wystarczy, że się przeciągnie. Przewróci na drugi bok. Konsekwencje będą niewyobrażalne.

- To dlaczego go sobie nie weźmiesz? Powinien pasować. Na mnie jest trochę... za duży - Igi pokręcił szyją.

- Niestety, nie mogę. Nie mam nad nim władzy. Nie mogę ingerować. Mogę tylko modlić się o to, żebyś zrobił z niego dobry użytek. Będą próbowali go zabrać. A przy okazji cię zabić.

- Kim oni są?

- Władcy Czarnego Lasu. Upadli, którzy chcą powstać kosztem innych. Są potężni... i bliscy temu, co wy, ludzie, nazywacie złem. Mają wielki współczynnik ignorancji, chęć działania, determinację i pewność osądu. Nie odczuwają empatii, pokory ani niepewności. Nie mają poczucia humoru. Tak, chyba można nazwać to złem... Musisz być czujny. Inaczej zginiesz.

Kilka tygodni temu Igi zamknąłby oczy i poczekał, aż zmora się wypali, a on ocknie się w przeпоconej pościeli, z wrzaskiem zasychającym na ustach. Kilka tygodni temu był spokojniejszym człowiekiem.

- Ale co ja mam do tego? To ty jesteś bogiem, nie? Masz chyba jakichś zwolenników. Może oni mogliby... zakończyć to wszystko.

- To tylko ludzie. Zapomnieli. Widzisz, nigdy nie byłem bogiem, jakby to powiedzieć, masowym. Nie wzbudzałem wystarczających emocji. Nawet u Brytów nie wierzył we mnie nikt poza garstką starców.

- A nie mógłbyś się im pokazać? - Igi nie był mocny z teologii, ale na miejscu boga w

opałach tak właśnie by zrobił. Ludzie oczekują konkretów. Słyszał o kimś, kto wystosował list do papieża w tej sprawie. „W związku z malejącą liczbą wiernych sugeruje się okazanie dowodów”. Ale Jehowa milczał.

- Uciekliby! - smok roześmiał się smutno. - Boją się mnie. Wybrali jednego Boga. Ale On ich nie ocali, On zawsze umywa ręce. Sam też niewiele mogę zrobić, ale przynajmniej się staram. Wszystko zależy od ciebie. Naszyjnik to nie sama groźba, to również wielka nadzieja.

- Zaraz, zaraz. A co ze mną? - Igi nie krzychał, ale dużo mu nie brakowało.

- Będzie dobrze, człowieczku. - Uśmiech smoka był ostry jak brzytwa z Damaszku. - Dałem ci dar języka i dar rozumienia. Wykorzystaj je i nie daj się zwieść. Wspomoże cię moja modlitwa.

- Myślałem, że bogowie się nie modlą.

Uśmiech smoka posmutniał, szare kły wydały się Igiemu kruche i stare.

- Czasami muszą, człowieczku. Czasami po prostu muszą. - Otworzył paszczę i zionął na niego dymem. Ściany jaskini rozmyły się, podobnie jak cała reszta. Z przestrzenią i czasem na czele. Igi uznał to za lekką przesadę. Przestał krzychać dopiero wtedy, gdy do płuc wdarł mu się strumień lodowatej wody.

\* \* \*

Alina nie odpowiadała na jego telefony. Jakby zapadła się pod ziemię. Łukasz próbował kilka razy. Dziewczyna była w szoku, bał się, że coś sobie zrobi. W branży mówiło się na to PSD. *Posttraumatic Stress Disorder*, syndrom pourazowy. W końcu dał sobie spokój. Miał inne sprawy na głowie. Jego szef Kamil Zagórski nie cieszył się z rozgłosu, jaki stał się udziałem Łukasza i całej firmy. Obawiał się, że fundacja „Dobry start w życie” zacznie być kojarzona z Igiem. Funkcjonowali dzięki dotacjom i grantom. Ich zadaniem było wyciąganie młodzieży z patologii. Podopieczni fundacji mieli uczyć się i pracować, na chwałę Unii i kruchego systemu emerytur. A nie dopuszczać się krwawych zbrodni.

Media rzuciły się na sprawę jak Chińczyk na pole roponośne. W programach i analizach wyczuwało się ukryty ton satysfakcji. Polskie zbrodnie to zazwyczaj siekiera i wóda, klimaty *à la* Wojtek Smarzowski. W Stanach czy Niemczech dzieciaki zabijały rodziców i rówieśników w ilościach hurtowych. W Polsce najwyżej działały kogoś nożem. Wielka, perwersyjna masakra z użyciem broni palnej była dla publicystów rarytasem, ba, świadectwem postępu. Polacy nie gęsi.

Masakra kabacka rządziła na Youtubie, młodzież imitowała styl sprawcy. Na razie tylko pod kątem fryzury i stroju. Magazyn „Popcorn” odkrył, że Igi przypomina bohaterów

*Zmierzchu*. Był blady i pogrążony w śpiączce, co wskazywało na trop wampiryczny. Nastolatki szalały, a poważni publicyści rozpisywali się o pokoleniu Kabat - młodych ludziach, zaniedbywanych przez szkołę i zabieganych rodziców. „Wyborcza” ogłosiła, że Igi miał sympatie prawicowe. Według wychowawczynie, chłopak fascynował się historią i ruchami neopogańskimi. Publicznie szydził z Gombrowicza, na lekcji polskiego nazwał go „przyschizowanym pedałkiem” Powiedział też, że Holocaust był jedną z wielu potwornych zbrodni w dziejach, a nie „jakimś totalnym wow”.

„Nasz Dziennik” wierzył, że Igi był maniakiem Internetu i anarchista, zadeklarowanym lewakiem. Satanistą i ateuszem jednocześnie, ofiarą krwawych gier i muzyki blackmetalowej. Tudzież kryzysu wartości. Ujawniono, że czytywał *Harry'ego Pottera* i nie miał bierzmowania. Modna, awangardowa pisarka przygotowała o nim monodram *Cały ten syf*. W obsypanej nagrodami sztuce wrażliwy i delikatny Igi był molestowany przez opresyjną kulturę i katolickich rodziców. Zabił, bo bał się dokonać coming outu. Wystawił to, w jednym z warszawskich miejskich szaletów, sam Janusz Wyżyna. O zbrodni mówili już wszyscy. Nawet do Łukasza zgłaszali się dziennikarze i dziennikarki w okresie godowym. Świat się kręcił, a jego szef miał tego po dziurki w nosie.

Karnie stawiał się na spotkaniu. Zdał Kamilowi relację z terapii Igiego, pomijając wątki paranormalne. Właściwie to lubił swojego pracodawcę. Zagórski był karierowiczem, ale zawsze wspierał kolegów z roku. Łukasz zaliczał się do jego przyjaciół. Chyba dlatego że miał mocną głowę. Na imprezach w akademiku towarzystwo wykruszało się szybko. Kamil, który też umiał wypić, w późniejszych godzinach nie miał innego rozmówcy. Wiedzieli o sobie sporo i mimo odmiennych strategii na życie darzyli się szacunkiem. Strategia Zagórskiego polegała na rozwijaniu firmy, potomstwa i stanu posiadania. Strategii Klimkowskiego nie znał nikt, a już na pewno nie on sam. Kamil zatrudnił go, kiedy Łukasz był w dołku. Właśnie zerwał kontakty z Kierczyńskim. Na szczęście dostał się na psychologię. Kolega kazał mu zacisnąć zęby i skończyć. Już wtedy przeczuwał, że szkolenia i terapie dla młodzieży mogą być niezłym interesem. Polska miała realną szansę dogonić Unię na polu samobójstw i depresji. Później Łukasz doszedł do wniosku, że to afera ze stavalonem pomogła im rozkręcić interes.

To wtedy statystyki w całym kraju gwałtownie się pogorszyły. Jakiś komisarz stwierdził, że prozak i inne antydepresanty nie wystarczą. Rzesze bezrobotnych psychologów nagle dostały pracę.

Szef wysłuchał go, nie przerywając. Łukasz znowu mówił nieskładnie. Marzył o tym, żeby zapalić, bo nerwy miał w strzępach. Ale Kamil, podobnie jak Karolina, był maniakiem

długowieczności i tytoniowym faszystą. W końcu przerwał mu i zrobił zatroskaną minę.

- Za bardzo się w to zaangażowałeś, stary. Lepiej zrób sobie przerwę. Nie, nie zwalniam cię, nic z tych rzeczy. Wiem, że to nie była twoja wina. Ale nie byłoby fajnie, gdyby znowu ci się coś przytrafiło, sam rozumiesz.

- Ale ja potrzebuję kasy...

- Rozwiązałem umowę z twoją szkołą. Zablokowali nam dotacje, muszę złożyć nowy projekt. Na razie i tak nic dla ciebie nie mam.

Przymusowy urlop miał swoje dobre strony. Klimkowski postanowił wrócić do normalności - cokolwiek to mogło oznaczać. Od dziś nie przytrafi mu się nic dziwnego. Żadnych snów, marzeń, uciekania od rzeczywistości. Sam real, staruszkę, sam real. Odstawił nawet gry komputerowe, które znudziły go po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Gotował i robił zakupy, czytał gazety, oglądał telewizję. Wieczorem zamieniał kilka słów z żoną. Karolina była wniebowzięta. Zaczął się interesować polityką, plotkami i efektem cieplarnianym. Jednym słowem, zapuścił mentalnego węża.

Powrotowi do codziennego życia, tej celebracji mieszczańskiego zen, towarzyszyło poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Raz w życiu nie wykazał się biernością. Ba, zrobił coś pożytecznego, umożliwił policji schwytanie groźnego przestępcy. O tym, że to Igi odpowiada za kabackie zbrodnie, Łukasz był teraz absolutnie przekonany.

Żaden umysł nie lubi sytuacji, w których A może być B. Chyba że umysł polityka. I nikt nie lubi czuć się jak ostatni drań. Umysł Łukasza uporządkował sobie problem Igiego i jego domniemanego sobowtóra w sposób następujący. Uległem niebezpiecznym omamom. Przesadziłem z empatią wobec zaburzonego pacjenta. Cudem ocalałem życie, tylko dlatego że koleś zasłabł. Inaczej mógłbym być kolejną ofiarą. A reszta? Profesor zawsze był oszołomem, jego słów nie należało brać serio. Czasami myślał o Alinie i bajkach Kierczyńskiego, ale wiedział, że to rozdział zamknięty. Koniec, kropka, zajmijmy się własnym życiem.

Kiedy w końcu oddzwoniła do niego Alina, długo gapił się na wibrujący telefon. Nie odebrał połączenia. Nie da się wciągnąć z powrotem w bagno. Sorry. Właśnie przeszedł na nowy level, stał się asertywny i zdecydowany. Koniec z byciem igraszką losu. Czuł, że odzyskał kontrolę nad życiem. Jego entuzjazm posunął się tak daleko, że poszedł pobiegać w parku Skaryszewskim. Wracając, przywaczył sympatyczną dziewczynę. Wracała z tenisa. Otaksował ją chciwym spojrzeniem. Była wysportowana i zgrabna, miała opięte dzinsy. Szła szybko, w parku było już ciemno i chyba nie czuła się pewnie. Nagle pomyślał, że fajnie byłoby klepnąć ją w tyłek. Że ma na to sporą ochotę. To straszne, jak one kuszą. Powinno się je zawijać w czadory, jak u muzułmanów. Człowiek miałby przynajmniej spokój.



Dziewczyna musiała poczuć na sobie jego wygłodzony wzrok. Przyśpieszyła, przeszła przez jezdnię. Łukasz zwolnił i zganił się w myślach. Przecież nie jest cholernym zwierzęciem. Laska obejrzała się przez ramię i znikła w osiedlowym sklepiku. I to był kłopot. On też chciał zrobić zakupy. W końcu olał to i wszedł do sklepu. Zajął się wyszukiwaniem produktów, zapomniał o całej sprawie. Kiedy prawie na nią wpadł, uśmiechnął się zakłopotany. Nie patrzyła na niego. Dobrze. Stanął przy innym stoisku i zaczął napełniać koszyk. Gdy z pietyzmem przebierał parówki, usłyszał, że laska rozmawia przez telefon.

- Jakiś facet śledził mnie w parku. Straszny. Wszedł za mną do sklepu. Tato, przyjeżdż szybko.

Odetchnął z ulgą i rozejrzał się. Czyli nie o niego chodziło. Był jeszcze ktoś. I to straszny. Nie no, trzeba pomóc. Nie zostawi przecież damy o opałach. W końcu trenował karate.

Obszedł sklep kilka razy, szukając straszego typu. Poza nim i panienką z parku były tu tylko sprzedawczynie i jedna staruszka. Łotr musiał się gdzieś zaszyć... Już miał zagadnąć dziewczynę i zaoferować pomoc, gdy dostrzegł, że jej twarz jest biała jak kreda. Wyszeptala coś do komórki, a potem dostała hysterii. Sytuacja dotarła do niego, zapłacił niezwłocznie i uciekł. W domu oddał się ponurym rozmyśleniom. Cholera, to aż tak podejrzanie wygląda?

Zdarzenie było deprymujące, ale Łukasz nie poddawał się. Chciał żyć, i to żyć normalnie. Może i trochę zdziwaczał, ale koniec z tym. Zgoli brodę, wyrzuci skórzany płaszcz. Kupi kurtkę w wesołym kolorze, nawet obuwie sportowe...

Następnego ranka rozpoczął swój dzień od serii pompek. Potem wymienił żarówki i zabrał się do sprzątanania. Od dawna planował to zrobić. W jego pokoju, do którego Karolina nie miała wstępu, panowało głębokie średniowiecze albo nawet epoka brązu. Grunt to praca i ruch, powtarzał, zbierając kiepy i paczki po szlugach. Kwik domofonu wtargnął w jego krzątaninę jak intruz. Wzdrygnął się i poczłapał do drzwi.

- Kto tam?

- Łukasz Klimkowski? Proszę otworzyć. Policja.

## ROZDZIAŁ 10

Igi zakrztusił się, przed oczami miał wirującą kipieli. Ta odrobina powietrza, którą utrzymał w płucach, starczyła, żeby podjął walkę. Zamachał rękami i zachłysnął się nagle świadomości własnego położenia. Właśnie topił się w cieczy o konsystencji i temperaturze lodowego szejka.

Teoretycznie powinien umrzeć. I nawet miał na to ochotę. Lodowata woda, po odpowiednim czasie, powoduje obezwładniające ciepło. Ostatnie myśli zamarzającego zazwyczaj są miłe. Dotyczą poczucia bezpieczeństwa, sytości... Jego ciało mościło się na dnach rzeki. Nagle naszyjnik rozbłysnął energią. Niedoszły topielec pomknął w górę z impetem podtopionego bąbla powietrza.

Wynurzył się i wtedy woda runęła nań z góry. Jakimś cudem zaczerpnął powietrza. Nad głową miał spiętrzone kamienie, może ścianę wodospadu, może przełomy rzeki. Niewiele mógł zobaczyć. Wszystko zasnuwała mgielka, wzburzona woda huczała w uszach. Zanurkował i pozwolił, żeby prąd uniósł go dalej, w miejsce nadające się do wynurzenia. Brak tlenu trzeszczał mu w płucach, ciśnienie też dołożyło swoje. Odepchnął się mocno od dna, wyrzucając ramiona nad głowę. I wyrznął w lodową taflę.

Naszyjnik nadal pulsował, ale zdecydowanie słabiej. Jemu też ubywało sił. Nurt znosił go, utrudniał zrobienie zamachu. I wciąż znajdował się pod lodem. Obrócił się na plecy, nad twarzą miał szarą szybę, znad której prześwitywało słońce. Wkurzony, gwałtownie odchylił głowę, rejestrując przykre strzyknięcie w kręgach. I z całych sił walnął czołem w lód. Coś ustąpiło, nie była to jego czaszka. Wydostał na światło obolałą głowę i wczepił się w śliską krawędź przerębli, rozpaczliwie wspierając się łokciami. Wrzeszczał.

Odpowiedziała mu cisza. Wokół niego rozpościerały się szare wzgórza i coś, co wyglądało jak skromniejsza wersja Stonehenge, wzniesiona w dobie recesji. Ktoś palił tam ognisko.

Igi wydarł się ponownie. Jeden z paznokci pękł, zostawiając pokaźny fragment w lodzie. Usłyszał tupot, od ogniska poderwały się trzy postacie. Szybko znalazły się na brzegu. Od przerębli dzieliło ich raptem kilka metrów. Najwyższy z trójki, wojownik w kolczudze i płaszczu, zrobił krok w jego stronę. Wyciągnął do niego długą włócznię, obróconą drzewcem. Lód zatrzeszczał ostrzegawczo, drugi z mężczyzn złapał śmiałka za ramię i odciągnął go. Na

krze pojawiła się kolejna rysa.

Wojownik wzruszył ramionami i rozpostarł ręce. Jego towarzysz, przygarbiony kulawy facet w szacie koloru gówna, rozdarł się.

- Nie rozumiesz?! To on! Musimy go ratować!

- Dwa tygodnie na niego czekamy. I nic! Skąd miałem wiedzieć?

- Lina! Nie mamy przeklętej liny!

Kobieta zbliżyła się do nich bez słowa. Gęste kasztanowe włosy spływały jej na ramiona i plecy, w rękę trzymała nóż. Pewnie odcięła pierwszy kosmyk.

I jeszcze jeden. Podsunęła je pod nos klnącemu kurduplowi. Mężczyźni rozdziawili usta. Kulawy ocknął się pierwszy. Złapał za pukle, pokuśtykał do wody i wyrecytował coś rytmiczne, starannie odmierzając akcenty. Odcięte włosy naprężyły się jak struny i zaplotły w cienki brązowy powróż. Wysoki szybko obwiązał nim włócznię. Odwrócił się do przerebli i zaklął.

Topielec znikł. Tylko smuga krwi na szarym lodzie świadczyła, że kiedykolwiek tu był. Wysoki zaklął głośniejsz i rzuciwszy koniec liny towarzyszom, zapuścił się na lód.

Tafla pękła, kiedy był cztery kroki od brzegu. Wojownik zapadł się po pas, z furją rozbijał wokół siebie lód. Młócił włócznią kipsisz śniegu, zmarzliny i wody. Nagle wydał triumfalny okrzyk i zanurkował. Zdążył. Ledwo ich potem wyciągnęli.

- Mówiłem, że ołtarz znajduje się gdzie indziej - kulawy wyszczerzył się triumfalnie. - Rzeka zmieniła koryto i zalała właściwą świątynię. Czekaliśmy na ciebie w złym miejscu! Nieźle, co?

Wskazał chudą ręką na bezkształtny obelisk, zatarty przez wichry i czas.

- Pozostałe ukryła rzeka. W okolicy znalazłoby się z sześć większych Kręgów i to do nich zwróciliby się głupcy. Ale tylko ten jestznaczony runą Przejścia. Krąg Kernowów jest stary jak noc. Dawniejszy niż Grecja, Egipt i co byś tam chciał. Niektórzy mówią, że dawniejszy niż człowiek.

Dziewczyna położyła sobie palec na ustach i zgromiła gadułę wzrokiem. Posadzili Igiego przy ogniu. Kiedy przestał szczękać zębami na tyle, aby móc przechylić do ust kubek, wlałi w niego coś słodkiego i palącego zarazem. Rozkaszał się i poczuł, że wewnętrzny ziąb znika.

- To saletra - typ w burej szacie uśmiechnął się z dumą.

Miał żywą, bystrą twarz, w szarych oczach nie gasła ciekawość.

Mówił narzeczem ubogim w samogłoski, które Igi jakimś cudem rozumiał, ale które nie przypominało żadnego innego. Brzmiało to mniej więcej tak: Ypryddyn

Haggserddnnoyphagggcennarteggo...

- Korzenie też robią swoje, zwłaszcza imbir, ale najważniejsza jest saletra. W Bizancjum stosują ją do magii bojowej, na statkach, ale sam Galen udowodnił, że nadaje się też na leki. Uważaj, nie wylej do ognia.

Wysoki syknął lekceważąco i wyciągnął rękę po dzban. Pił wielkimi łykami.

- Nasz druid za dużo gada. Powinien zostać bardem - powiedział, ocierając usta.

Igi zobaczył, że chociaż młody, ciemne włosy ma przetykane siwizną. Wyciągnął do niego dłoń w rękawicy ze stalowych kółek.

- Jestem Bedevir ap Hywel. Kiedyś walczyłem dla Artura Pendragona, cześć jego imieniu. Ale króla już nie ma wśród nas. Ten przemądrzały konus to Rhodri, urocza dama zaś nazywa się Mab.

Dziewczyna dygnęła. Miała ładnie wykrojone usta i dziwną pustkę w oczach. Jak gdyby coś tam umarło.

Z nonszalancko postrzępionymi włosami wyglądała swojsko. Taka punkowa, z twarzy trochę jak Sinnead O'Connor. Igi lubił Sinnead O'Connor. Poczul, że w gardle ma kulę tremy.

Panna uśmiechnęła się słodko i wiedział już, że twarz ma czerwoną jak burak. Metal na szyi, jak na złość, nie dawał cholernego znaku życia. Zero energii, zero inspiracji. A czego się spodziewałeś, ciołku? Fanfar?

- Mówią na mnie Igi - powiedział. - Dzięki za uratowanie mi życia.

Chociaż? Kiedy zagrożenie mijało, zawsze zaczynał żałować. Nigdy nie był tak blisko śmierci, w dodatku szybkiej, barwnej i w miarę bezbolesnej. A ci wyskoczyli z czarami i ocalili go. Na pewno mieli w tym jakiś interes.

- Czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego na mnie czekaliście? Smok was tu przysłał? I o co chodzi z tą cholerną obręczą? - Nerwowo szarpnął Naszyjnik.

Spojrzeli po sobie niepewnie. Igi czuł, co nastąpi dalej. Porozumiewawcze spojrzenia. Cisza. Bedevir podrapał się po szczęce.

- Myślałem... jakby ci to... myślałem, że ty nam powiesz.

\* \* \*

Kierczyński ponuro wpatrywał się w siedzącą naprzeciw niego dziewczynę. Fajka zdążyła mu zgasnąć, a nie lubił podpalać tytoniu drugi raz. Nabierał wtedy paskudnego posmaku. Zirytowany, zagryzł cybuch i przypomniał sobie, że jego zęby trzymają się na słowo honoru. Niedługo będzie jadł owsianą papkę i kleiki dla niemowląt.

- O czym to ja mówiłem?
- Właściwie to pan milczał - odpowiedziała Alina.
- Rozumiem, że tym się pani nie zadowoli.

Profesor był zirytowany. Nie lubił gości, a przy młodych ludziach czuł się skrępowany swoim wyglądem, wątrobianymi plamami na rękach i łysawą czaszką. Szczególnie jeżeli były to młode kobiety. Kiedyś lubił towarzystwo studentów, ale to było, zanim zatrąła go gorycz. Zanim pojawił się stavalon.

- Chcę wiedzieć, co się z nim stanie - powtórzyła Alina.

- Co się stanie, co się stanie. A skąd mam wiedzieć? A co stanie się z panią, ze mną? Życie jest nietrwałe. Ja na przykład mogę mieć wylew w każdej chwili.

- Niech pan tyle nie pali. Igi ma dziewiętnaście lat. Wylew mu raczej nie grozi.
- Tak, wylew nie - mruknął Kierczyński ponuro.
- Pan coś wie. Czuję to.

- Jest pani bardzo przenikliwa. Nie wiem, do czego mogę być pani potrzebny.

- Darujmy sobie te gierki - wybuchnęła. - Widziałam, jak go zabierali. Z ust wylewała mu się woda. To nie jest normalne. Nie wierzę, że zapadł w śpiączkę.

- To gdzie on teraz jest?
- Tego niestety nie wiem.

Dziewczyna skuliła się na krześle, włosy opadły jej na twarz. Nie poprawiła ich.

- Ludzie mieli Igiego za śmiecia. Ja wiem, że był inny. Nie zrobił niczego złego. Nie zasłużył na taki koniec. Kochałam go, jeżeli to pana obchodzi.

Mówiła cichym, monotonnym głosem, ten dźwięk wyzwolił w nim echa pamięci. Tak właśnie szmerze Styks. Profesor pamiętał ten szum, metaliczny smak wody umarłych. Kojarzył mu się z narodzinami. Dawno temu skosztował wody umarłych, żeby uwolnić się od pewnych fragmentów pamięci. Z minionego życia zapamiętał tylko czarny, zimny posmak i badawcze spojrzenie człowieka, który wręczył mu onyksową czarę. Otrząsnął się ze wspomnień, po raz kolejny boleśnie odczuł ich brak. Kim był, zanim został sobą? Kim był, zanim spotkał go Mistrz?

- Jeżeli to przez pana eksperymenty spotkało go to wszystko... to musi mieć pan bardzo odporne sumienie.

Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Rozmawiała pani z Klimkowskim?

- Próbowалам. Nie odpowiada na telefony. To on zawiadomił policję, wiedział pan? Szczerze mówiąc, to nie wiem, w czym mógłby mi pomóc. To straszny dupek.

- Łukasz nie jest tym, kim się wydaje.
- Znowu zagadki. Chcę tylko odzyskać mojego chłopaka.

Profesor dźwignął się ciężko i sięgnął po płaszcz Aliny.

- Zobaczę, co da się zrobić. Pani też nie jest tym, kim się wydaje. Myślałem już, że wiem, jacy są młodzi. Impulsywni, goniący za błahostkami. Pani jest inna.

Spojrzała na niego spokojnie.

- Nieprawda. Po prostu mi się pan przyjrzał.

Kiedy dziewczyna wyszła, Kierczyński wystukał popiół i zamyślił się. Dałby wiele, by uznać sprawę Igiego za zakończoną. Podpowiadały mu to rozsądek, doświadczenie i instynkt. Lepiej się nie wychylać. Ale u Kierczyńskiego inna cecha stanowiła główny motor postępowania. Kiedy musiał podjąć jakąś trudną decyzję, z reguły przeważała ciekawość. Czuł, że w wydarzeniach ostatnich dni odegrał rolę ślepego pionka, i wcale mu się to nie podobało.

Nazajutrz profesor ubrał się starannie i wyruszył na miasto. Archiwa znajdowały się w podziemiach jednego z banków. Prezes placówki był wysokiej rangi członkiem Bractwa i udostępnił druidom zespół pilnie strzeżonych sejfów. Być może niektórzy podwładni zastanawiali się czasem, dlaczego z sejfów korzystają ludzie, którzy nie zawsze wyglądają na bogatych i wpływowych. Ale prezes był człowiekiem wzbudzającym posłuch i trzymał swoich ludzi krótko. Był też, z czego nie zdawali sobie sprawy nawet najbardziej zajadli tropiciele spisków, prezesem dożywočním i nieśmiertelnym.

Podał swój numer identyfikacyjny i zszedł do podziemi. Dostępu do archiwów strzegło dwóch zaufanych strażników. Wyglądali niemal identycznie, mieli płaskie, bezbarwne twarze z pękatymi nosami. Majewski przywitał go z radością, na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech.

- Dawno pan do nas nie zaglądał - powiedział.

Grudniewicz ponuro skinął głową. Profesor zawsze podejrzewał, że strażnicy byli kiedyś jedną osobą, którą rozdzielił jakiś ponury czar. Słyszał, że szczerze się nie znoszą i szpiegują nawzajem. Majewski cały czas gadał. Jego kolega przyjrzał się Kierczyńskiemu podejrzliwie. Ale profesor był dobrym kłamcą, lata na uczelni zrobiły swoje. Tonem nieznoszącym sprzeciwu oznajmił, że ma upoważnienie z samej góry. Wtedy otworzyli mu drzwi.

Ruszył wąskim ceglany korytarzem, oświetlonym z rzadka rozwieszonymi żarówkami. Mijał kolejne drzwi. Część z tych pomieszczeń znał, do części obawiał się wejść.

Z Komnaty Nieprzyjaciół zawsze bił chłód. Przedostawał się przez obite złuszczone

skórą drzwi, które coś odkształciło od środka. Czasami w pokoju rozbrzmiewało wycie, czasami dobiegał go śmiech. Nieprzyjemny był także Pokój Zaklęć, z magicznymi formułami mogącymi zabić człowieka albo postarzyć go o dziesięć lat. Każdy z czarów mieścił się w ludzkiej czaszce, zawieszanej nad kościanym pulpitem z wytartym przez lata klęcznikiem. Ale odkąd pamiętał, niewielu podejmowało próbę. Przy pulpicie z czarem Wielkiej Odpowiedzi wciąż kulił się zasuszony szkielet alchemika z Niemiec, który zadał czaszce pytanie i dostał swoją odpowiedź.

Lubił Ciepłarnię, gdzie bracia uprawiali jemiołę, dziesiątki gatunków dębu i wiele innych roślin, które dawno zniknęły z tego świata. Czasami odwiedzał Bestiarium, gdzie w srebrnych klatkach ujadały wampiry, ghule i karłowate smoki. Płaczliwa i sentymentalna driada klóciła się z lubieżnym, bezwstydnym sukubem z sąsiedniej klatki. Był tam smutny jednorożec bez rogu oraz wygaszony w amarantowym akwarium ifrytt, ledwo widoczny w kłębach buchającej pary. A także pomniejsze demony, którym sierpami usunięto języki, by nie mogły miotać uroków i klątw.

Kierczyński minął Sympozjum, w którym dziesiątki głosów o najróżniejszych skalach przekrzykiwały się eposami, przekleństwami i zmurszałymi żartami. W tym miejscu strawił już dosyć czasu. Zatrzymał się przy Pokoju Bez Drzwi, na którym korytarz się kończył. Na pozór był zwykłą ścianą, ale legenda głosiła, że skrywał bezcenne skarby. Nabił już sobie guza na tych murach i nie zamierzał narażać czerepu na więcej.

Odwrócił się w lewo, w kierunku drzwiczek z miedzianej blachy. Komnata Historii była rajem dla moli książkowych i czuł się w niej jak w domu. Może dlatego że przechowywano tu zwyczajne księgi, nieoprawione w ludzką skórę ani smocze łuski, niespisane krwią czy promieniami księżycy. Z lubością odetchnął zatechłą wonią starych zwojów i opasyłych, obitych safianem ksiąg, zdobionych błękitną emalią.

Kierczyński kochał to miejsce, dla niego wstąpił do Bractwa. Kartkował księgi, które zdążyły zapleśnieć, wdychał kurz rozpadających się woluminów, rozwijał metry starożytnych zwojów. Ta biblioteka doprowadziłaby do drgawek Danikena i Dana Browna. Dzięki niej odczytał alfabet z minojskiej Krety, znał pochodzenie Etrusków i ustną wiedzę druidów. Niestety, nie przekładało się to na jego karierę naukową. W ramach cyrografu, który podpisał, żadna z tych informacji nie mogła ujrzeć światła dziennego. Czasami wpędzało go to w depresję. Zapominał się podczas wykładów i mówił coś, o czym nikt dotąd nie słyszał. A nie na tym polega humanistyka. Miał problem z podawaniem przypisów. Za wszystkie „bajki” Kierczyński potem przeproszał - w środowisku naukowców zyskał więc reputację oszołoma i mitomana. Niech będzie. Dla niego słowo „mitoman” było tytułem do chwały.

Szczególnie interesowały go przekazy z najstarszej, mglistej epoki druidów. Czasów Zapomnianego. Bractwo przedstawiało tę epokę jako erę tyranii. Zapomniany był bogiem krwawym i zachłannym, przy którym bóstwa z panteonu Azteków były kółkiem cnotliwych wegan. Karmił się potokami krwi. Mimo to Kierczyński zawsze podejrzewał, że bracia coś przed nim ukrywają. Druidów interesował Naszyjnik, który Zapomniany stworzył i który został mu odebrany. Ale nikt nie wspominał, czym był ten przedmiot i co tak naprawdę potrafił. Jedynym udokumentowanym fragmentem tej historii była wojna, w której pradawny bóg przegrał. I stał się Zapomnianym.

Jeden z braci, ognistowłosa O'Brien, który często przesiadywał w Irish Pubie w okolicach Starówki, napomknął, że echa tych zmagania opisał w *Trylogii* Tolkien. W końcu, dobrze podlany guinnessem, wyznał Kierczyńskiemu, że J.R.R. także należał do Bractwa. To w nim nauczył się starożytnych języków i legend. Parę spraw poprzekręcał i wszędzie powstawał krasnoludów i elfów, ale klimat tamtych dni oddał dobrze.

Jedno zdawało się pewne. Zapomniany był potężny, ale został przechytrzony i pokonany. A jego pogromcy nie zniszczyli Naszyjnika. Zawarta w nim moc, będąca esencją samego bóstwa - a może też innych bogów - dawała im wielką siłę. Z jej pomocą Keltoi, Pierwsi Ludzie - których osiemnastowieczni lingwiści nazwali później Celtami - rozlali się po całej Europie. Wszędzie czcili tych samych bogów i odprawiali te same obrzędy. Niektóre pamiętały czasy Zapomnianego i były równe krwawe. Potem, z niewyjaśnionych powodów, zdobywcy zatrzymali się.

W drugim wieku przed Chrystusem Keltoi stracili impet. Jakby spadła na nich klątwa. Nie mieli już silnych królów, podupadła magia druidów nie była w stanie przeciwstawić się sile Germanów i stali Rzymian. Plemiona zostały podbite, upadły jedno po drugim. Opuszczeni przez rzymskich władców Brytowie byli ostatnim z celtyckich ludów, który miał jakąś dziejową szansę. Przez dwieście lat opierali się inwazjom Germanów, podobno za panowania legendarnego Artura. Potem kroniki urywają się. Trzy wieki później saksoński mnich Beda Czcigodny lakonicznie wspomina o szeregu zwycięstw swoich przodków. Brytowie zostają wyparci i wytepieni, znikają z kart historii. Ich potomkowie pojawiają się czasem na drugim planie historii, jako podbijane, bezsilne narody Walijszczyków i Bretończyków.

Czasem Kierczyński, który zdażył zrozumieć i pokochać tych ludzi - ich wyobraźnię i poezję, ich rozmówanie w abstrakcji - zastanawiał się, jak wyglądałaby Europa, gdyby Celtowie jednak nie przegrali. Zamiast surowości rzymskiego prawa i chrześcijańskiej pobożności nasz świat przesyciłaby magia. Byłby to świat małych wiosek i wojen klanów, wędrujących pieśniarzy i krwawych ofiar.



Bractwo chciało przywrócić ten świat. Zażegnać klęskę, cofnąć grę do ostatniego zapisu, w którym Europa żyła nieprzytłoczona techniką i jałową mądrością, zachłannością i zimnym prawem oraz jeszcze zimniejszą religią. Czasy chaosu po upadku Rzymu były wymarzonego momentem. Jeden świat umarł, drugi jeszcze się nie narodził. Wtedy mogło wydarzyć się wszystko. Do niedawna był to też jego cel. Ale to, co przydarzyło się jego uczniom, okrucieństwo i nieludzkość druidzkich planów, zasiały w nim wątpliwości. Jego bracia nie dbali o życie. W czasach swej chwały hojnie szafowali krwią, składali ofiary z ludzi. *Nie taki świat pragnąłem przywrócić.*

Tym razem nie szukał wiedzy dla niej samej. Zbadał akta dotyczące wykorzystania stavalonu, druidzkiego Zaklęcia Przejścia. Jego imię figurowało w zapiskach z zaszczytnym tytułem wynalazcy. Potem pojawiły się cyfry. Profesor czytał i zgrzytał zębami. Skurwysyny. Powiedzieli mu o garstce kandydatów, których on, Kierczyński, wybierał. Może paru innych, których wyłonią bracia za granicą. Taki człowiek miał jakieś szanse. Ale liczby były bezlitosne. Mówiły o dziesiątkach, setkach przypadkowych ofiar.

Jego bracia wiedzieli, że szanse odnalezienia Naszyjnika praktycznie równają się zeru. Czarny Las miał czujnych strażników, a człowiek wysłany do niego musiał przeżyć na tyle długo, by Naszyjnik nawiązał z nim kontakt i przyzwał go do swojej kryjówki. Wiedzieli, że oni zginą, a mimo to rozrzućili truciznę po świecie. A krew ofiar spływała na niego. Wykorzystali jego wiedzę, głupotę i zapał. Profesor zrozumiał już dość.

Był tak zamyślony, że nie usłyszał kroków za plecami. Kiedy się obejrzał, Mistrz stał przed nim z miną człowieka, który obserwował go przez dłuższą chwilę i chyba nabrał niesmaku.

- Znalazłeś coś ciekawego? - zapytał zdawkowo.

Kierczyński skulił się w oczekiwaniu na razy. Nie zwiódł go ten spokojny ton. Człowiek, którego nazywał Mistrzem, nie był zadowolony.

- Drobiazgi - wybąkał.

- Prosiłeś o pozwolenie? - Mistrz urósł w oczach, spiętrzył się nad nim jak wieża. Jak na czcicieli natury, druidzi byli strasznymi biurokratami.

- Wybacz. Sprawa wydawał się pilna. Szukałem... czegoś o Przejściu. Martwię się o tego chłopaka. - Kierczyński nie patrzył mu oczy. Wiedział, że jego rozmówca czyta z głosów jak z codziennej gazety. Półprawda miała większe szanse niż kłamstwo.

- Doszukałeś się jakichś zaniedbań? Błędów?

- Skądże. Ale znalazłem dane o stavalonie. Kosztorysy. Liczby. Nie wiedziałem, że dopuściliście go do szerokiej dystrybucji.

- Działaliśmy na kilka sposobów. Tak zwana szeroka strategia. Czasem warto wyleźć na moment z pudełka... dziadku - w ustach człowieka, który osobiście pouczał świętego Augustyna, słowo „dziadek” brzmiało wybitnie obraźliwie.

- Ty szukałeś rokujących kandydatów, przeprowadzałeś selekcję. W przypadku Klimkowskiego był to nawet zaawansowany trening, prawda? My postawiliśmy na ilość. Po świecie kica wiele królików.

- To prawda. Szkoda, że wszystkie kończą martwe.

- Czy to oskarżenie? - Mistrz uśmiechnął się okrutnie. Profesor wiedział, że w głowie mężczyzny i kieszeniach jego brązowego płaszcza kryje się nieskończona liczba śmierci. Lepiej uważaj, staruszk.

- Skądże. Ja tylko stwierdzam fakt, którego przedtem nie znałem. Nie wiedziałem, że każdy użytkownik zginie. To wszystko.

- Nie każdy. Jednemu się udało.

- A czy przeżyje? Wróci?

Mistrz spojrzał na niego, iskierki lodu uformowały się w sztylety, rozmyły w zdawkowym uśmiechu.

- Na pewno. Nosiciela przejęli odpowiedni ludzie.

- Właśnie to chciałem usłyszeć - odpowiedział z powagą Kierczyński.

Uklonił się z szacunkiem. Mistrz odwrócił się, utykając. Zatrzymał się w wąskich drzwiach.

- I jeszcze jedno. Uważaj, czego szukasz. Bo jeszcze przypadkiem to znajdziesz.

## ROZDZIAŁ 11

*Każda osada równana jest z ziemią uderzeniami taranów, jej mieszkańcy mordowani pospołu ze służbą kościelną, księżmi i innymi ludźmi tego pokroju, podczas gdy miecze błyszczą z każdej strony, a płomienie strzelają wokół. Jakże straszną jest rzeczą widzieć kopuły wież wyrwane z ich umocnień, kamienie z wysokich ścian, święte ołtarze, okaleczone ciała, wszystko pokryte sinymi plamami krwi, wszystko jakby zostało zgruchotane w tej samej upiornej maszynie do tłoczenia wina. Lecz nie było grobów dla zabitych, chyba że zostali pogrzebani w ruinach swych domów lub w brzuchach żarłocznych zwierząt i ptactwa. Niektórzy z mieszkańców uciekali ku górą, gdzie ich łapano i zabijano, rzucając ciała na stosy, inni zmuszeni głodem wracali i podawali się, by zostać na zawsze niewolnikami wroga, byle tylko zachować życie, i to było najlepsze, co zostało im dane. Jeszcze inni, zawodząc straszliwie, przeprawiali się przez morze.*

GILDAS, *DE EXCIDIO BRITANNIAE*

- Daleko jeszcze? - dopytywał się Igi, przekrzykując ulewę. Przemókł do suchej nitki. Bedevir podarował mu szary płaszcz z kapturem, ale tutejszym wyrobom daleko było do ortalionu.

- Kilka mil. Pod wieczór zatrzymamy się w osadzie - odchrząknął rycerz beztrasko. Deszcz spływał po nim dosłownie i w przenośni.

- Konie muszą odpocząć. Nam też przyda się nocleg pod dachem.

- Nie o to mi chodzi. Jak długo będziemy się tłuc po tych bezdrożach?

- Wkrótce dotrzemy do Camelot. Pokażemy cię druidom, chłopcze. Ci z Bractwa to prawdziwi spryciarze. Będą wiedzieli, co dalej. Wynagrodzą cię i odeślą do domu, zobaczysz.

- Chodzi wam tylko o ten cholerny Naszyjnik - burknął Igi.

Jadący za nimi Rhodri roześmiał się.

- Ma wielką moc, mały. Tak wielką, że w ogóle nie wiem, jak to znosisz. Powinieneś srać siarką i sikać na niebiesko.

Igi spojrział na niego z niechęcią. Kurdupel sięgał mu do ramienia, ale odkąd zorientował się, że Igi nie czyni cudów, przestał tytułować go „Wybrańcem”. Zamiast tego nazywał go „mały”. Może w ichnim narzeczu nie było to obraźliwe, ale i tak go wnerwiało. Był przemoknięty, zmarznięty i bardzo, ale to bardzo rozżalony. Miał dosyć deszczu, błota i

owsianej brei na każdy posiłek. Kim w ogóle byli ci Brytowie? Z jego świata zniknęli bez śladu. Jeżeli wszyscy przypominali jego nowych przyjaciół, to nic dziwnego.

Na przykład taki Bedevir. Na pozór opanowany i niewzruszony. Ideał rycerza, tyle że bez lśniącej zbroi, a w połatanej koleczudze.

Pewnej nocy Igi zobaczył, jak Bryt ukradkiem wyciąga z juków miecz zawinięty w natłuszczone skóry. Godzinami gapił się w ostrze, mamrocząc coś pod nosem. Polerował je, oliwił. Chyba miał jakieś kompleksy.

Mab nic nie mówiła, nigdy. Za to we śnie rzucała się po posłaniu jak węgorz, jęczała i zgrzytała zębami. Ale najbardziej drażnił go ten cholerny druid. Kurdupel zgrywał wielkiego mędrca. Sypał przypowieściami i udawał, że rozmawia z ptakami, nornicami i żabami. Przypominał mu nawiedzonego miłośnika New Age'u z ich amuletami, talizmanami i horoskopami w stylu „to będzie przełomowy dzień twojego życia, przygotuj się na zmiany w pracy i w domu, zmień koszulę...”. Igi lubił horrory i magię, ale hipisów i gadek o harmonii z naturą nie trawił. Jakiej harmonii? Natura to fabryka śmierci.

- A może po prostu dam wam ten cały Naszyjnik i sobie pójdę, co?

Brytowie popatrzyli po sobie. Bedevir pokręcił głową i westchnął, Rhodri uśmiechnął się kpiąco.

- Ależ proszę. Spróbuj.

Igi złapał za obręcz i szarpnął mocno. Głowę przeszył mu tnący ból. Wiznęło go w środku, od kręgosłupa do serca, a rykoszet pojechał po mózgu. Równie dobrze mógłby zdjąć całą głowę albo wyłuskać rdzeń kręgowy. Zagryzł usta, po szczęce pociekła mu krew. Bedevir spojrział na Rhodriego surowo.

- Nie baw się jego kosztem. A ty, chłopcze, weź się w garść. Artur był młodszy od ciebie, kiedy wyciągnął miecz z kamienia - powiedział.

I nie przyniosło mu to szczęścia. Był to czas prawdziwego szału na miecze wyciągane z kamienia. Proroctwo Myrddina głosiło, że ten, kto wyciągnie ostrze z dolmenu, zostanie królem Brytanii. I każdy próbował. Ujawniono szereg konkurencyjnych punktów wydobywczych. Tylko w najbliższym sąsiedztwie, nieopodal domostwa Artura, znaleziono dwa przekonujące dolmeny, z których wydobyto pięć czy sześć mieczy. Trudno się dziwić, że jego opiekun, stary pan Hektor, złożył chłopcu skórę, gdy ten pojawił się z trofeum, chełpiąc się pod niebiosa. Ale to już inna historia.

- Weź się w garść? - Igi zaśmiał się histerycznie. - Jestem w jakimś chorym miejscu, od tygodnia zasypiam na deszczu. Do tego snuję się w towarzystwie oszołoma, który osobiście znał króla Artura. Który to król, a jakże, raczył odwalić kitę! Akurat przed moim

przyjściem. Pierdolę takiego króla!

Wojownik spojrział na niego gniewnie i trzepnął go w twarz, na tyle mocno, że Igi prawie zwałił się z siodła. Utrzymał się jakoś i spojrział na Bedevira z wściekłością. Podjechał bliżej, zaciskając dłoń na rękojeści noża. To też było dla nich typowe. Dali mu broń, żeby pokazać, że uważają go za swego. Ale był to mały, żaloszny nożyk, broń sto razy gorsza od ich włóczni, mieczy i łuków! Wzrok Bedevira złagodniał.

- Wybacz. Nie lubię, jak ktoś obraża człowieka, który był najlepszym monarchą na świecie. Jeżeli chcesz mnie wyzwać, bardzo proszę. Jestem do dyspozycji.

- W porządku - wycedził Igi przez zęby.

Bedevir walnął go w plecy, pojednawczy gest w jego wykonaniu nie różnił się wiele od ciosu.

- Będzie dobrze. Nie zamartwiaj się tak. Magia nie jest na rozum śmiertelników. I wiesz co? Dzisiaj nie będziemy spać w deszczu, tylko w karczmie. Napijemy się dobrego wina.

Igi otarł krew z ust i popatrzył na wyprostowanego jak struna wojownika. Bryt uśmiechał się z wysiłkiem, wokół wąskich ust rysowały się mu bruzdy wżartego zniechęcenia. I żalu. Nie był dużo starszy od niego i nie wyglądał na drania, ale miał w sobie coś zaciętego. Z drugiej strony, jeśli Bedevir przez całe życie zaliczał takie widoki jak Igi przez ostatni tydzień, to szkoda gadać. Nie chodziło nawet o to, że cały czas lało. W jego kraju też padało. Ale tutaj nie było suchych miejsc. Jedyne domostwo z dachem, w którym zdarzyło im się zatrzymać, przypominało wilgotny loch. Zamieszkiwali je ludzie, których skóra nigdy nie zaznała kąpieli. Stłoczeni w lepiance krytej darnią, tulili się do cuchnących owiec i kóz. Ale Igi powoli się przyzwyczajał, tak jak można przyzwyczaić się do wrzodów, cukrzycy i pracy. No bo co w końcu? *Heavy metal*.

Najbardziej uderzającym szczegółem tego kraju był niemal całkowity brak barw. Nie żeby Igi lubił kolory. W swoim świecie - którego nigdy by tak nie nazwał - zdecydowanie ich unikał. Ubierał się na czarno, najchętniej wychodziłby tylko po zmroku. Według ludowej klasyfikacji, był typowym wampirem. Prawda była inna. Wychodził nocą, bo nienawidził dnia. Nie lubił czuć się podłączony. Za dnia ludzie wysysali energię, umysły wszystkich istot zlewały się w kłęb banału. Galeria handlowa. Polityka. Kasa. Kup. Jedz. Pracuj. Jeb. I tak bez końca. Noc była lepsza. Gdy świat zasypiał, myśli szybowały swobodniej.

Wyobrażał sobie, że wyjmuje spod kurtki miotacz ognia i rozwała ten cały syf. Rzucalo się to w oczy. Zwłaszcza jak był na wymianie uczniowskiej w Stanach. Raz wybrał się do pubu z bilardem. Miejsce wyglądało na niezłą spelunkę. Nagle zorientował się, że stali

bywalcy, szemrani Ukraińcy i Kubańczycy, trwożnie ustępują mu z drogi.

Któryś twardziel zapytał go nawet, czy wszystko gra. Igi był jedynym gościem w barze, który się nie uśmiechał. Do tego nosił czarny skórzany płaszcz. *Ergo*, świr. I zaraz wyciągnie gnata, jak w licealnej masakrze.

Tu, w Albionie, nie groził mu nadmiar bodźców. Wszystko było szare, spopielone i martwe. Jakby cały świat nie tak dawno się spalił, a słońce wciąż zasłaniała chmura kurzu. Rhodri wyjaśnił mu, że ta część kraju nosi nazwę Spustoszonych Ziem. Środkowy pas wyspy był polem wielu bitew podczas wojen Artura z Sasami. Zamki i wsie przechodziły z rąk do rąk, rabował tutaj kto chciał. W końcu Sasi cofnęli się na wschodnie wybrzeże, zaś ocalali mieszkańcy mogli odzyskać domy. Ale większości grodów już nie odbudowano. Ogromne połacie wyspy, od Emetu u podnóża Muru po Las Waeld na południowym zachodzie, pozostały opustoszałe i dzikie.

W tym roku wiosna opóźniała się, podobne jak ptaki, zapachy i kwiaty. Druid nie omieszkał stwierdzić, że odkąd Igi się pojawił, słońce wybrało się gdzie indziej. Permanentna, poroniona odwilż straszyla strupami brudnego śniegu i przegniłą trawą. Wzgórza były poczerniałe i mgliste, po nagich zboczach snuły się owce. Bezlistne drzewa dygotały od wszechobecnego chłodu, zmokłe ptaki ciężko ulatywały znad trzcin. Kudłate konie śmierdziały jeszcze gorzej niż wilgotne psy. Na dobrą sprawę jedynym pozytywnym szczegółem było tutejsze powietrze. Jeżeli chłopci nie rzucali na pola gówna, było rzeczywiście wspaniałe. Ten świat nie znał spalin, jedynym źródłem dymu były ogniska i kuźnie.

I zgliszcza. Wieczorem na niebie pojawiły się dym i kołujące ptaki. Kruki albo wrony, nie umiał ich odróżnić. Zapach spalenizny mieszał się z czymś gorszym, słodkawym i mocno rzygliwym. A potem zobaczyli osadę.

Bedevir przygotował włócznię, druid mamrotał zaklęcia. Igi ledwo utrzymał się w siodle. Chciało mu się wymiotować. I płakać. Rozglądali się za ocalałymi, ale wioska była pusta, wyczyszczona z wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Napastnicy spalili chaty, zarżnęli zwierzęta i ludzi. Z popiołu wyrastały zgięte dłonie i odrąbane, brodate głowy. Igi odnalazł więcej zwłok, rozrzuconych po błocie za chlewem. Nagle zatęsknił za galeriami handlowymi. Mężczyźni, wyniszczone kobiety, starcy. Kilkoro małych dzieci. Nie było młodych kobiet, wszystkie dzieci były nieprawdopodobnie chude i miały wzdęte brzuchy. Zakołysał się, wstrząśnięty, do gardła podeszła mu żółć. Zwymiotował w krzaki.

Przed oczami stanęły mu sceny z rodzinnego domu. Fragmenty relacji z miejsca zbrodni, które obejrzał na laptopie Aliny. Oraz upiorny filmik, który jakiś gliniarz-patolog

nakręcił komórką i który wyciekł do sieci, stając się wielkim przebojem. Kultowa *Masakra kabacka*.

Zbryzgane czerwienią ściany. Czółenko białego buta jego matki, pływające w czerwonej kałuży jak jakiś chory okręcik. Otwarte żebra ojczyma, spomiędzy których ktoś wyjadł wnętrzności i mięso. Ale najgorsze było, to czego Igi *nie widział*.

Jasny skalp Krysi, jego młodszej siostrzyczki, zawieszony nad drzwiami do kuchni niczym łowieckie trofeum. Jej przerażona twarzyczka. Martwy, niewidzący wzrok matki. Czego nie nagrała kamera, dopowiedział sobie. Ta wioska wyglądała podobnie. Tyle że tutaj nie grasowały demony. Ludzie poradzili sobie sami.

Nagle po raz pierwszy uderzyła go myśl, że został sam. W świecie, który opuścił, nie czeka na niego nikt... może poza Aliną, która robiła się biała na jego widok. I wydziałem zabójstw.

- Co tu się stało? - zapytał zduszonym głosem.

Druid splunął na ziemię.

- Głodowa gorączka. Długo umierali, a potem wpadli w szal i pozabijali się. Rany zadano kijami, są ślady po uduszeniu. Sasi przybyli tu wcześniej. Spójrz, są tu znaki po ich toporach. Zabrali drewno, bydło i młode kobiety, sprzątnęli żywność z całej okolicy, a ludzi zostawili, by zdechli. Nie mieli dokąd uciec, w innych wioskach jest pewnie to samo. Wszystko zaplanowali.

Bedevir zaklął i kopnął jakiś garnek. Słyszał, że na wschodnim wybrzeżu, w pierwszych latach inwazji działy się straszne rzeczy.

Ale wtedy ludzie po prostu uciekali, a Sasów interesowały łupy, a nie planowy mord. Wielu Brytom przypadł w udziale los *thrallów*, niewolników. Ale przynajmniej ocalili skórę. Rhodri uśmiechnął się z satysfakcją uczonego, którego teoria wreszcie znalazła potwierdzenie.

- A ty nie chciałeś mi wierzyć. Oni nie zamierzają nas podbić, nie tym razem. Chcą, żebyśmy wymarli. Wszyscy. Jak nieudany miot owiec, których nie warto hodować.

- Moje gratulacje - rzucił z przekąsem Bedevir. - Twój bystry umysł, dar przewidywania... Bardzo się przydały. Pomogły, znaczy się.

Nagle od strony kościoła, a może chaty wodza - małej, szerniałej budowli, której kamienne fundamenty przetrwały pożar - dobiegł ich cichy płacz. Igi rzucił się tam, wyciągnął siwowłosą kobietę i dwoje dzieci. Chłopcy, sześć i dwanaście lat. Sasi nie marnowali dziewcząt. Zabierali je ze sobą, a po zabawie sprzedawali handlarzom niewolników.

Ich kończyny wyglądały jak patyczki, brzuchy były wzdęte. Młodszy żuł liście pokrzywy, jego usta miały siny kolor. Somalia. Kobieta miała błędny wzrok i bełkotała coś niezrozumiale. Starszy chłopiec, o poważnym spojrzeniu starca, wyjaśnił, że Sasi wycięli jej język, a potem kazali go zjeść.

- Ocalało nas więcej - powiedział - ale przyszli ludzie z sąsiedniej wsi i porwali większość dzieci. My uciekliśmy. Gadali, że się nami zaopiekują, ale ja im nie wierzyłem.

- Dlaczego? - spytał Igi.

Płaszcz łopotał mu na wietrze, ale to nie od zimna przeszywały go dreszcze. Chłopak wzruszył ramionami, jakby Igi pytał o rzeczy oczywiste.

- Byli głodni - odparł.

Młodszy chłopiec zaczął płakać. Igi poczuł, że coś kłuje go w sercu.

A przecież nie był mięczakiem. Słuchał metalu, Nietzschego też by w końcu przeczytał, lecz nie zdążył. Wierzył, że przetrwają najsilniejsi, że tak jest git, ale to...

Podszedł do druida, którego twarz kryła się w cieniu kaptura.

- Możesz ich uzdrowić? - zapytał cicho.

Śmiech czarownika brzmiał jak szelest węża sunącego po liściach.

- Niby jak? Są zagłodzeni na śmierć. Musiałbym zostać tu tydzień i poić ich rosółkiem.

Z trupów.

- Mamy wędzone mięso.

- Tłusty, nadpsuty boczek? Śmiało.

Igi odwrócił się wściekły. Zobaczył, że Bedevir się niecierpliwi.

- O czym tu gadać? - zapytał rycerz. - Wieśniacy zawsze umierali. Dla tych dzieci jest już za późno. Dobry Bóg weźmie je prosto do nieba, do aniołów.

*A to fiut. Widać, że nie czytałeś Mickiewicza.* Starszy chłopiec uśmiechnął się. Zamiast zębów miał szerniałe pieńki. Igi miał już dość. Czuł, że zaraz się rozplacze, a tego by nie zniósł. Zaczął rozpakowywać sakwy z prowiantem. Trzęsły mu się ręce i mąka sypnęła się w błoto jak szron. Mab podeszła do niego, pomogła.

- Dobry z ciebie dzieciak - powiedziała.

Dziewczyna wyjęła z juków worek mąki. Towarzyszyła im jeszcze z dworu, z Bukowej Przełęczy. W chacie wodza, która była czystsza, niż się spodziewali, znalazła wielki chlebowy piec. Nie mieli zakwasu ani drożdży, ale Rhodri podsypał jakichś alchemicznych proszków. W końcu zdołali ulepić coś w rodzaju placków. Po godzinie z dymiącego pieca doleciał ich zapach świeżego pieczywa. Oczekali jeszcze godzinkę i rzucili się na jedzenie. Tylko starszy chłopiec, Arn, jadł powoli, z rozwagą.



W nocy młodszy zaczął płakać. Stara kobieta zawodziła, trzymając się za brzuch, Arn cierpiał w ponurym milczeniu.

- Chyba umrę. Ale tak, z pełnym brzuchem, lepiej - wyszeptał.

Igi był przerażony, Rhodri wzruszył tylko ramionami. Pomyślał, że jeśli powie: „A nie mówiłem?” rozwali mu łeb.

- Nic nie mówię - rzekł druid kwaśno. Głos mu się podejrzenie łamał.

- Co im jest? - zapytał Igi.

- Skręciło im trzewia. Z przeładowania. Zrozum, oni pewnie nigdy nie jedli chleba z białej mąki. Mielili żołądzie, kasztany, czasem owies. A ty dałeś im najlepsze jedzenie w życiu. Zbyt sycące. Ciężkostrawne. Za dużo.

- Możesz im pomóc?

- Już mówiłem. Potrafię najwyżej uśmierzyć ich ból. Mam trochę nalewki makowej...

Bedevir dźwignął się ciężko i wyciągnął miecz.

- Tym diatkom było pisane umrzeć. A ty to skomplikowałeś. Tak się dzieje, jak ludzie udają bogów - powiedział. - I ktoś musi potem posprzątać.

Igi zaklął i odepchnął go. Zaskoczony wojownik klapnął ciężko, prawie wypuszczając miecz.

- Godzina. Proszę. Dajcie mi godzinę.

Bedevir machnął ręką i zaczął mościć sobie posłanie. Zasypianie w towarzystwie konających nie było dla niego nowością.

Igi złapał za Naszyjnik. Podobno był Wybrańcem. Jeżeli tym złodem interesowali się druidzi, to musi mieć w sobie moc. Małą, ale zawsze. *Zaczął* mamrotać jakąś mantrę bez słów, usiłował się skupić, co nie było łatwe, bo wciąż słyszał zawodzenie. Ale Naszyjnik go olał. Nic się nie działo, w ciemności rozbrzmiewały jęki i ciężkie oddechy chorych.

Zagryzł usta i usiadł na ziemi. Spokój, tylko spokój, powtarzał sobie. Skrzyżował nogi. Podpatrzył kiedyś, jak Rhodri tak medytował. Druid powiedział mu, że naśladuje starożytne bóstwa, które w ten sposób zdobywały mądrość i moc.

Jak dla Igiego, wyglądał raczej jak Budda. Tylko chudy. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Potem zaswędziało go nos. Zupełnie jak na pogrzebie, kiedy za nic nie możesz się podrapać. No, tutaj też był niezły pogrzeb. I szykował się jeszcze większy. Uspokoił oddech, ale swędzenie nie ustawało. Poczuł, że świąd go wykończy, unicestwi, jeżeli się nie podrapie. Wtedy doznania ustąpiły, wymazane w tym samym momencie co myśli. W jego głowie był już tylko głos. Miał nadzieję, że to był głos, z którym warto rozmawiać. Na przykład Bóg.

- A kuku! - przemówił głos.

- I co mi dasz?

- A co mam?

- Siebie.

Ognisko strzeliło w górę. A może to on się unosił? Miał problemy ze skupieniem wzroku. Wszystko, co widział, rozpadło się na wirujące szczegóły. I żyło, zawsze żyło, ale on tego przedtem nie widział. Najad w niebieskich płaszczach. Płanetników w szarych kożuchach, z długimi białobłękitnymi wąsami, które wiły się jak u chińskich smoków. Igiemu przypominały się sine opary, które rankiem, po deszczu, wzbijają się nad górskim lasem. Pewnie tam byli. Zerknął w stronę ogniska i aż zamrugał. Zdawało mu się, że dostrzega Inrę pływającą się w ognistym jacuzzi. Ale młode salamandry pomachały mu tylko i zanurkowały w ogniu.

Miał już dosyć, odwrócił wzrok. Ale duchy były teraz wszędzie. Nawet jeżeli spoglądał w czyste niebo, mieszkańcy powietrza, sylfowie, roili się przed jego oczami. Jak muszki w bezwietrzny dzień, gdy przypadkiem wejdiesz w ich chmurę. Kimkolwiek byli, żywiołami, elfami czy bogami, tylko z początku wydali się Igiemu zabawni. Widziani z bliska, okazywali się inni. Czasem rozbawieni, jakby podpici, czasami pochmurni i dumni. Istoty wołały go, zapraszały. A jego zmysły coraz bardziej szwankowały.

W jednym z przeblysków świadomości miał wrażenie, że tańczy - idiota - pod liściem łopianu, pośród zielonych duchów łąki. Muzyka przypominała Straussa, z domieszką mrocznego etno. Na różnie piekł się skwierczący pasikonik, elfy krzyczały, podając sobie spiczaste tykwy z winem. Jakaś zielonkawa dziewczyna pocałowała go w szyję.

Był pijany, rzygał, oburącz obejmował drzewo, może źdźbło. Chociaż nie, to nie była trzcina, tylko włos. Wyrastał na jego własnej ręce... z porami jak zapadliska, chropowatej, spływającej potem...

Zaczynał go wkurzać ten cyrk. Musi oprzytomnieć, wrócić. Zamrugał i wstrzymał oddech, zaczerpnął z Naszyjnika haust mocy.

I wrócił. Bedevir, Mab i Rhodri poruszali się w zwolnionym tempie. Ich usta drgały bezgłośnie odgradzone ścianą przezroczystej waty. Chorych dostrzegał wyraźnie. Znad skulonych ciał dzieci i starszej kobiety unosił się szary dym, postacie splecione z cieni. Bezkształtne jak rzadkie ciasto, całuny i szare trzewia. Żerowały w skupieniu. A więc tak wygląda choroba, pomyślał. Ciekawe, czy rak ma szczypcę.

Bał się, ale nagle rozbiegana obecność wokół niego odmieniła się. Przestała być taka złośliwa, spoważniała, pochyliła się nad nim z troską. Z Naszyjnika spłynął na niego spokój. A może nie z Naszyjnika?

- Głodne - wyszeptały duchy. - Głodne.
- To tylko dzieci. One też były głodne - odparł.

Duchy zawahały się.

- Jedzcie - powiedział Igi, rozkładając ramiona. - Ja stawiam.

Z Naszyjnika emanował błękitny dym. Szare duchy spijały go łapczywie. Drobinki mocy wirowały, spadały w powietrze i ogień rozchwytywane przez ich mieszkańców jak powstańcze zrzuty. Igi zacisnął zęby, usiłował nie krzyknąć. Na tej uczcie przypadła mu rola dania.

Nagle radosny jarmark zamarł. Miał wrażenie, że z wszystkich widzianych kształtów sypią się trociny. Atomy to tylko trociny, pomyślał. Nic. Rozległ się trzask i niebo nad jego głową rozdarło się jak poszewka płaszcza. Coś dużego przeciskało się przez bramę. Zapanował popłoch, grały miniaturowe rogi. Cienie, które usiłował nasycić, stały się realne i czarne, kontrastowały z wszechobecną mgłą.

Plemiona żywiołów zniknęły, wokół zapadły ciemności. Ktoś wołał go z oddali, ognisko wyglądało jak płomyk zapalniczki na drugim brzegu rzeki, gasnące spojrzenie, śmierć. A potem wypatrzyły go inne oczy, z gałęzi szarego drzewa zerwały się cienie. Poczł wilgoć i zorientował się, że stoi po kolana w zimnej bagiennej wodzie. Czarny Las. Stała przed nim kobieta bez twarzy. Wołała go cichym głosem. Ona i jej cienie.

Usiłował się zbudzić, ale nie było to łatwe. To tylko sen, powtarzał sobie. To tylko sen. Jak mawiał w takich sytuacjach Paul Atryda - *strach to mała śmierć a wielkie unicestwienie. Otworzę oczy swej jaźni na jego drogę i pozwolę mu przejść.*

Wypuścił powietrze i zanurkował głęboko w bagno. Jak najdalej, żeby nie móc wynurzyć się z powrotem. Tam, niżej, moczary były przejrzyste. Leżał na czarnym piasku kołysany chłupotem czarnych wód. Ale za cholere nie mógł umrzeć. Zirytowany, odszukał w kieszeni zapalniczkę i zapalił papierosa. Ekstra. Nie ma to jak wydmuchiwać dym pod wodą. Zaciągnął się głęboko i wstrzymał oddech. Poszło. Przebudzenie otworzyło się jak okienko światła, ale w chwili gdy prześlizgiwał się na zewnątrz, coś szarego dopadło go, owijając mu się wokół kostek.

Obudził się w ruinach wioski. Widział tłący się w ognisku żar, słuchał oddechów śpiących. Ale nie mógł się poruszyć. Przebudzenie okazało się niepełne. Przynajmniej jego czary okazały się skuteczne. Dzieciaki wyglądały na uzdrowione, spały mocno i spokojnie. Jedynie stara kobieta rzucała się przez sen. W sumie nic dziwnego. Tyle śmierci. Zaniepokoił się nie na żarty, gdy jęki przeszły w charkot i stłumione wycie. Igi był potwornie zmęczony, ale udało mu się wstać. Nagle niewiasta otworzyła oczy i posłała mu zimne spojrzenie. W jej

ustach klębiło się coś czarnego.

- Witaj - rzekła. Tak więc brzmi głos kogoś, kto nie ma języka...

- Widziałam cię w Czarnym Lesie. Poznajesz mnie?

Oblizwała wargi. Jej nowy język przypominał tropikalną pijawkę.

Szczerniał i nagle wyskoczył z ust. Owinał się wokół nóg Igiego. Wrzasnął i jakoś odskoczył. Ale stworzenie było silniejsze. I szybsze. Kiedy dobiegł do niego Bedevir, potwór przypominał już sporej wielkości psa, z czwórką chwytliwych kończyn. I stale się zmieniał.

Rycerz ciął demona przez grzbiet, ale ostrze odbiło się jak od sprężynującej wikliny. Również błyskawica, którą posłał Rhodri, nie zrobiła na nim wrażenia. Wpijał się i gryzł, miażdżąc ramię Igiego i nieubłaganie zbliżając się od szyi. Sytuacja wyglądała fatalnie i chyba zabrakło im pomysłów.

Wtedy z legowiska wstał poważny dwunastolatek. Niezatrzymywany, podszedł do śniącej kobiety. Dotknął jej powiek. Miała oczy jak oszalałe konie, niewidzące, pełne bólu i strachu.

- Zawsze miałaś złe sny - powiedział.

I pchnął ją nożem.

Zabulgotała i umarła. W tej samej chwili stwór zaskrzeczał i rozwiął się bez śladu.

\* \* \*

Obudził się, tym razem naprawdę. Czuł ciepło i ból. Zobaczył Rhodriego, który okładał go po policzku.

- Co się stało? - wyszeptał. Nie mógł mówić, w wyschniętej krtani czuł rozżarzony ból.

- Jeszcze nic. Na razie żyjesz - powiedział druid ponuro. - Ale wywędrowałeś daleko. Widziałem *manę* unoszącą się z Naszyjnika... i tych, których nim nakarmiłeś. Nim albo samym sobą.

Bedevir podszedł do niego sztywno. Surowa twarz wojownika miała dziwny wyraz. Przypominał zakłopotanego psa. Wilczur Igiego też tak patrzył, gdy coś zbroił. Czasem pocierał pysk łapą.

- Dobra robota, chłopcze - rzekł rycerz, drapiąc się po szczęce. W jego ciemnych oczach zamigotał szacunek. I iskielki ciepła. - Gdzie tam dobra. Wyśmienita. Możesz mi dać w gębę, bo zasłużyłem. Zabijać umie każdy, w tym się szkolimy i celujemy. Ale ty... Przypomniałeś nam, psiakrew, po co tu w ogóle jesteśmy.

Mab pocałowała go w policzek.

- Za co? - wybełkotał znowu.

- Jak to, za co? Sam zobacz.

Dzieci siedziały przy ogniu. Może nie zdrowe jak rydze, ale na pewno dalekie od śmierci. Dwunastolatek po prostu ścisnął Igiemu dłoń, ale w jego oczach był ciężki ładunek wdzięczności. Bycie bohaterem okazało się uciążliwe. A on był w dodatku bohaterem rannym.

Nocny intruz mógł być pomiotem snu. Ale ślady, które mu zostawił, były wystarczająco realne. Paskudnie wyglądało zwłaszcza rozcięcie szyi, z którego sączyła się podejrzana ciemna ciecz. Gdyby nie Naszyjnik, stwór rozerwałby mu gardło, dzięki metalowej osłonie Igi rozmiął się z kostuchą. O włos. Igi trząsał się, miał wysoką gorączkę. Stracił mnóstwo krwi. Druid zdołał jakoś zatamować krwotok, ale gorączki nie spędził.

- Dziwne - powiedział, w zamyśleniu szarpiąc wąsy. - Robaki snów są wredne i mają ostre zęby. Ale to nie jest zwyczajna rana. Potwór zaraził go magią. Normalnie organizm się przed tym broni, ale teraz... Zupełnie jakby cała zdolność obrony i zapasy energii zostały niedawno zużyte. Musiał zetknąć się z czymś naprawdę paskudnym. Moja wiedza nic tutaj nie wskóra.

- Musicie go zabrać do miasta - powiedział poważny chłopiec. - Słyszałem, że mają tam dobrego medyka. I gospodę.

- A ty? Zostaliście zupełnie sami. Co zrobicie? - spytał Bedevir.

Nie ufał niewolnikom i chłopom, ale tego szczeniaka polubił.

Trzymał się całkiem nieźle jak na kogoś, kto widział zgon wszystkich krewnych.

Dzieciak wzruszył ramionami.

- Nie musisz mi współczuć, panie. To nie była moja matka, tylko niewolnica. Nawet nie wiem, jak się nazywała. Mówienie nie było jej mocną stroną.

- Nie chcecie iść z nami? Przynajmniej do najbliższego grodu? - zapytała Mab.

Arn pokręcił głową.

- Po co? Wszędzie jest tak samo.

Podniósł wygrzebany skądś szpadel i obrzucił zgliszcza przeciągłym spojrzeniem.

- Robi się ciepło. Zaraz je wezdmie i zlecą się muchy. Czeka nas mnóstwo pracy.

Położyli Igiego na prowizorycznych noszach, z mozołem ciągniętych przez konia. Jadąc, wpatrywał się w niebo. Nawet gdy tracił przytomność, w uszach dźwięczały mu chrapliwe nawoływania kruków. Dzieci żegnały ich w milczeniu, ale teraz uśmiechały się. Arn pomachał im łopata. Wkrótce wioska zniknęła we mgle, a oni skierowali się na zachód. Goniły ich chmury nadciągającej burzy.

\* \* \*

W szpitalu miał własny pokój. Leżał podłączony do kroplówek i respiratorów. Maszyny szumiały kojąco, ale on tego nie potrzebował. Jego sen był głęboki jak kryzys i niewzruszony jak upór kretyna. Czuwający przy drzwiach policjant - który miał za zadanie opanować sytuację, gdyby młodociany morderca się zbudził, ewentualnie ustrzec go przed bezprawną zemstą krewnych i przyjaciół ofiar - zdążył stracić zainteresowanie robotą. Całymi dniami grał na komórce. Dobrze i to.

Odpowiedzialne zadanie, po którym spodziewał się dużych emocji, pozwoliło mu stać się mistrzem *Tetrisa*. Pielęgniarki też się nudziły. Nikt już nie wierzył, że chłopak kiedykolwiek się zbudzi, choć jego stan pozostawał stabilny. Mimo że pogoda była podła, często uchylały okno. W salce panował przykry zaduch. Siostra Anna, która niedawno przyjechała z Polesia, przebąkiwała coś o bagiennym smrodzie. Zawsze żegnała się, kiedy musiała tam wejść.

I pomyśleć, że wyprawiała się do miasta, bo dosyć miała bagien, które w jej powiecie były dosłowne wszędzie. Tego dnia też odwlekała wizytę. Starannie opróżniła nocniki, a sparalizowaną panią Basię myła dłużej niż zwykle. W końcu minęła znudzonego gliniarza, który zlustrował jej biodra dosłownie w ostatniej chwili, i ostrożnie weszła do „bagna”. Pokój oświetlała jarzeniówka, ale i tak miała wrażenie półmroku. Smród był coraz mocniejszy, ale chyba tylko ona go czuła. Koleżankom już o nim nie wspominała, i tak dokuczały jej, że jest małą wieśniarą. Podeszła do łóżka pacjenta i prawie dostała zawału. Na szyi chłopaka widniała brocząca krwią rana. Kiedy przestała krzyczeć, zobaczyła na parapecie sowę. Mógł to być puchacz lub puszczyk, ptak był jakby zamazany, nie mogła określić wyraźnie. W ciężkim zaduchu wyczuła odmienną nutę. Sowa pachniała jak jej zmarły dziadek, który nigdy nie rozstawał się z fajką. Zwierzę wbiło w nią niesamowite żółte ślepia i Anna usłyszała w głowie głos. *Uważaj na niego. Dobrze?*

Policjant wpadł do pokoju sekundę później. Wyciągnął przed siebie ręce z kurczowo ściskaną bronią. Już widział tę scenę - morderca dusi albo gryzie dziewczynę, a on, Mirosław Pawelec, pakuje mu kulę w środek czoła. Potem mówi - to nie był twój dobry dzień, gnoju. Pielęgniarka oczywiście jest wdzięczna, Mirek lubił dziewczyny w uniformach. Nawet tych straży miejskiej.

Wypuścił powietrze i zamrugał. Pacjent krwawił z paskudnej rany. Ale pokój był pusty, firanka trzepotała na wietrze. Siostra podbiegła do rannego i zaczęła tamować krwotok bandażami i gazą. Pawelec oderwał wzrok od jej piersi - jędrnych i falujących - i skierował

swój pomysłułek na pracę.

- Kto mu to zrobił, do ciężkiej cholery? Ktoś wlał przez okno? Pielęgniarka zagryzła wargę.

- Może jestem głupia - powiedziała powoli - ale tu chyba był ptak.

- Że co?

- Sowa. Myślę, że go chroniła.

Policjant wyjrzał przez okno. Rzeczywiście, na wysokiej topoli, która sięgała drugiego piętra, dostrzegł jakiś szary kształt.

- Wleciała tu? Zdarza się. Do szwagra wparowała kiedyś kawka. Chrciny były. Latała, kurwa, po stołach, nawet wódkę wylała. Nie szło złapać, musiałem ptaszysko rozwalić - uśmiechnął się z dumą.

Anna pokręciła głową. On naprawdę nie czuje tego smrodu? W tej cholernej Warszawie wszystko było na opak. Nawet ptaki.

- One tego nie robią. Nie latają w dzień.

## ROZDZIAŁ 12

*Wulfhera odwiedziłem i Wyrmhera,  
często tam walka nie ustawała,  
Kiedy Hredów wojsko twardym mieczem  
Obok Gotów Wiślańskich puszczy  
bronić musiało,  
Starej ojczyzny, przed wojami Attyli*

### STAROANGIELSKI POEMAT WIDSITH

- Masz ich odszukać - powiedział Creda głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Cynric ledwo stłumił wściekłość. Kiedy wreszcie doczekał się wojny, wysłał się go na jakieś cholerne łowy. Bo ich przeklęty czarownik coś sobie uroił. Od czasu gdy objechał pogranicze i ściągnął trybuty, nie zdarzyło się nic ciekawego. Warował jak pies, czekając na rozkazy ojca. Bezczyńność doprowadzała go do szału, a bitwy, jak na złość, nie było. Mieszkańcy Londinium przysłali Sasom okup i ojciec zaniechał oblegania miasta. Cynric z nudów zabawiał się rozbijaniem łbów własnych ludzi, gdy tylko przyłapał ich na zaniedbaniu, pijaństwie czy choćby krzywym spojrzeniu. A teraz, gdy zachodni Sasi wreszcie przystąpili do wojny, usłyszał, że ma się udać do Spustoszonych Ziem. Na ważne poszukiwania.

- Obiecałeś, że będę dowodzić wojskiem - odparł.

- Sytuacja się zmieniła. Jeżeli ten przedmiot jest choć w połowie tak potężny, jak twierdzi czarownik, musimy go znaleźć przed nimi.

- Nie musisz posyłać księcia - wybuchnął Cynric.

Offa roześmiał się, spluwając na słomę chrząstką świńskiego ucha, które z upodobaniem przeżuwał.

- Szczęściu marzy się władza. Naucz się wykonywać rozkazy, zanim je będziesz wydawał - zarechotał.

Księżę spojrział na wuja z furią.

- Ty stara, spasiona Świnio. Nie nadajesz się nawet na rzeźnika.

Królewski brat poderwał się ciężko, przewracając ławę. Zamarł, gdy wąski miecz Cynrica dotknął jego tłustego podgardla.



- Nawet krowa jest szybsza od ciebie.

- Dostyc tego. Wynoście się. Wszyscy. Ty zostań... księżę - uprzejmość w głosie króla była gorsza niż furia innych.

Doradcy i pomniejsi wodzowie w pośpiechu opuścili komnatę. Offa wyszedł ostatni, czerwony na twarzy i wściekły. Następnym razem nie zatrzymam ostrza, pomyślał księżę. Odwrócił się i spojrzał na ojca.

Jak na wodza barbarzyńskiego plemienia, Creda był spokojny i opanowany, wręcz cichy. Miał ostre rysy, zakrzywiony nos i uważne jasnoblękitne oczy. Cynric prawie nie znał ojca. Król poświęcił większość uwagi jego starszemu bratu, który wdał się w niego pod względem rozwagi i sprytu. Nim zainteresował się dopiero, gdy Freawine zaginał, a kolejni dwaj bracia utonęli na morzu. Okazało się wtedy, że ojciec i syn nie mają ze sobą wiele wspólnego.

Cynric kochał walkę dla niej samej i kierował się impulsami. Ojciec wkraczał po fakcie i naprawiał szkody. Tak było, gdy Cynric zranił szlachetnego jarla z Kentu i tamtejsi Jutowie zagrozili wojną. Cynric chciał się bić, ale ojciec zapłacił *wergeld* i niezwłocznie wysłał syna za morze. Księżę pojął tam za żonę aiańską brankę Kyrię. Creda milczał, ale Cynric wiedział, że nie jest zadowolony. Nisko urodzona Kyria nie mogła zapewnić im ważnego sojuszu. Ani nawet pożytecznego rozejmu. Po trzech tygodniach pojawił się pretekst. Księżę był za młody na ożenek, oskarżono go więc na wiecu o pogwałcenie tradycji i świętych obyczajów...

- Ludzie nie pójda za tobą - rzucił Creda, karmiąc wilczura baranią kością.

Zwierzę kłapnęło szczękami, prawie odgryzając mu rękę. Król uśmiechnął się. Był dumny ze swoich psów. *Tak głodnych, że czasem zagryzają jakiegoś krzykacza z drużyny.*

- Poznają mnie, to pójda - odburknął Cynric. *Ale pozwól, by mieli okazję.*

- Kierujesz się kapryсами. Narażasz życie swoje i innych. To piękne przymioty, ale w pieśni. Ludzie chętnie śpiewają o dzielnych królach, ale wcale nie pragną za nich ginąć.

- To przy tobie obrośli w sadło i wypocili odwagę.

Creda uśmiechnął się słodko.

- Śmiało powiedziane. Za moich rządów nasze siły się podwoiły. Walczyłem pod górą Badon, synu. Twój dziadek dostał tamtego dnia lanca, gdy odpieraliśmy szarżę Brytów. Na własne oczy ujrzałem, do czego zdolny jest Artur i jego przeklęty miecz. Nie lekceważyłem go do samego końca i słusznie zrobiłem. Pod Kamlann stary smok pokazał, że wciąż ma pazury i ogień. Jutowie, Anglowie i wschodni Sasi wykrwawili się. My straciliśmy tylko garstkę.

Cynric splunął. Ojciec wysłał go na wojnę na czele dwóch setek ludzi. Połowa wróciła. Tym ludziom mógł teraz zaufać, Hulf Olbrzym oddałby za niego życie. Ale równie dobrze mógłby dziś nie żyć. Czasem myślał, że ojciec zrobił to celowo. *On się mnie boi.*

- Masz rację, boję się ciebie - Creda pokiwał głową. Jego rysy stwardniały. - Twojej głupoty. Wysłałem cię po daniny na pogranicze, a ty co zrobiłeś? Zabiłeś wodza z Bukowej Przełęczy, ale oszczędziłeś jego ludzi. Myślisz, że inni Brytowie poddadzą się nam teraz? Dla jednego kaprysu przysporzyłeś nam setki wrogów.

- To byli zdrajcy. Urządzili zasadzkę na moich ludzi. Co miałem zrobić? Chciałem, żeby się nas bali.

- Zabić wszystkich albo wszystkim darować. Ale to już nieważne - Creda machnął ręką i pogłaskał warującego wilczura. - Koniec z daninami. Nie potrzeba mi poddanych ani niewolników. W starym kraju głodują tysiące. I czekają, by zająć te ziemie.

- A nasze sojusze? Nie było łatwo ugłaskać tych wodzów.

- Po Kamlann nasi kochani Brytowie prawie się przebudzili. Nie możemy dać im czasu na zebranie sił. Już wysłałem oddziały na zachód.

- A mnie na jakieś poszukiwania. Jak gończego psa.

- Liczę na ciebie, synu.

Cynric uśmiechnął się gorzko. W trakcie jednej rozmowy usłyszał to słowo więcej razy niż przez całe życie. No, teraz pozostali nie żyli.

- Wiesz chociaż, ilu ich jest? Dokąd się udali?

- Ja nie. Ale on wie.

Czarownik wyłonił się z cienia. Cynric aż sapnął. *Ojciec pozwolił mu słuchać. Ufa mu? Nie sadzę.* Obecność Weruska znaczyła tylko jedno. Creda był zdesperowany. A strach popycha do dziwnych czynów. *Czego się boisz, starcze?*

\* \* \*

Dobrze być znowu w ruchu. Nawet w towarzystwie Weruska. Dziadyga ustawicznie mamrotał jakieś smętne klątwy i budził niepokój w sercach wojowników Cynrica. Prowadził ich jednak pewnie skulony na dziobie łodzi niczym stary ogar.

Kiedy odpływali, za ich plecami czerwieniła się luna pożaru. Creda zdobył Londinium, gdy mieszkańcy miasta odetchnęli i stracili czujność. *Może to był pożegnalny prezent?*

Cynric był skacowany i otepiały od mszalnego wina z kościołów i gwałcenia brytyjskich dziewczek, nawet włosy miał ciężkie od zaschniętej krwi. To była nie lada zabawa.

Teraz, orzeźwiony, stał na dziobie wąskiej łodzi i głęboko wciągał w płuca mroźne,

poranne powietrze. Wschodzące słońce czerwieniło mgły, ptactwo skrzeczało w sitowiu. Płynęli w górę rzeki, stu trzydziestu wojowników w siedmiu płaskodennych łodziach. Z każdym dniem podróży na wschód zwiększała się szansa na bogate łupy. Opuścili nadbrzeżne tereny Sasów, Jutów i Anglów, odgradzone od krain brytyjskich szerokim pasem Spustoszonych Ziem, biegnącym przez środek wyspy. Na pograniczu musieli mieć się na baczności. Nie sięgał tam autorytet jego ojca Credenya ani władza Artura.

Przetrwać mogli jedynie najsilniejsi albo najbardziej zdesperowani. Na pustkowiach grasowali wyrzutkowie z różnych plemion, zarówno Celtowie, jak Germanie. Przeważnie byli to skazani na gardło banicy, którym nie w smak było zapłacenie *wergeldu*. Nie raz i nie dwa na brzegu pojawiali się zbrojni obserwatorzy. Pasterze, myśliwi, a okazjonalnie - piraci. Cynric uśmiechał się tylko złowieszczo, ważąc w dłoni ciężki, misternie zdobiony oszczep. Amatorzy łatwej zdobyczy poprzestawali na odprowadzeniu ich wzrokiem. Ci kupcy handlowali jedynie śmiercią, towarem tanim i łatwo dostępnym. Dotarli już na ziemie Brytów, omijając w bezksiężycową noc mały strażniczy fort. Wzdłuż rzeki pojawiły się zasobne wioski.

Po jego lewej ręce drzemała usypiona osada, mieszkańcy nie zaczęli jeszcze codziennej krzątania. Wystarczyło tylko podkraść się niespostrzeżenie do wałów i człowiek mógł brać co chciał. Zwłaszcza teraz. Sławny król Brytów dał się zabić, a w jego kraju brakowało zbrojnych mężów. Cynric nie zamierzał spowalniać podróży, ale cieszyła go sama możliwość walki. Po raz kolejny poczuł, że kocha ten kraj.

Dla przybysza z kontynentu Brytania była rajem. W starym kraju życie było straszne skomplikowane. Człowiek nie mógł zrobić kroku, nie narażając się na złamanie jakiegoś tabu. Trzeba było zginać kark przed uświęconym obyczajem, z szacunkiem słuchać bełkoczących starych albo decyzji wiecu. Czyli ogółu nierobów i chudopachołków plemienia. Każde zabójstwo pociągało za sobą krwawą pomstę. Sąsiedzi też okazali się silni i nie można było liczyć na łatwy rabunek. Na domiar złego, ze wschodnich stepów wciąż nadciągali nowi wrogowie. Cynric nie cierpiał walczących z siodła nomadów. Ci tchórze szyli do Sasów z łuków, nie podchodząc na odległość miecza.

Wschodnie stopy wypluwały niezliczone hordy koczowników. Stare siedziby Germanów zalała fala nowych najeźdźców. Byli to ludzie niemówiący w żadnym znanym języku. Kiedyś byli niewolnikami u ludów królujących na wschodnich równinach. Służyli u Sarmatów, Hunów i Awarów. Ich panowie pędzili ich batami przez naddnieprzańskie stopy i bagna Prypeci, ale teraz słudzy zbuntowali się i wyrosli na poważną siłę. Jak na ironię, nazywali siebie Słowianami, czyli ludźmi słowa. Dla Cynrica szczekali jak dzikie zwierzęta,

ich mowa składała się głównie z szelestów i trzasków.

Zajęli stare siedziby Gotów, Burgundów i Longobardów, osiedlając się nad Wisłą, Odrą i Łabą. Część ruszyła na południe, zalewając Bałkany i pustosząc Grecję. Z kolei zachód Europy zajęły zasiedziałe już, silne plemiona Wizygotów i Franków. Dlatego Sasi coraz częściej spoglądali na morze i jego gościnne szlaki. Jeżeli gdzieś w tym parszywym świecie warto było żyć, to tylko w Brytanii. Tutaj łupy same ścieliły się człowiekowi do stóp. Zwłaszcza w ostatnich dniach. Podczas łupieżczych rajdów po bitwie pod Kamlann Cynric zabawił się za wszystkie czasy. Posiadał więcej niewiast i wypił więcej piwa niż przez całe życie. Północna część wyspy była już doszczętnie złupiona. Południe i zachód czekały na swoich zdobywców.

Na razie Cynric nie myślał o osiedleniu się. Osadnicy przyjdą później, kiedy zdobywcy ujarzmią kraj. Książę napił się piwa i zerknął za siebie. Werusk chrapał rozciągnięty na wilczej skórze, wiosłarze miarowo pluskali wiosłami. Kilku wojów tęsknie gapilo się na uszpioną osadę, która wkrótce zacznie się budzić się do życia. Myśleli o ciepłych od snu, kasztanowłosych dziewczynach, które właśnie gramoliły się z wyrek. Płynęli teraz blisko brzegu idealnie zasłonięci sitowiem. Niewidoczni i niespodziewani. Zawołał wojownika, który stał obok chrapiącego Hulfa. Kudłaty, rosły mężczyzna obrócił ku niemu płaską twarz, w której błyszcząły niewielkie oczka. Cynric roześmiał się. Ten niewolnik był silny i odważny, ale nad podziw tępy. Książę przywiózł go z łupieskiego rajdu nad Wisłę. Człowiek ten za nic nie był w stanie nauczyć się porządnej saskiej mowy. Jak wszyscy z tych nowych plemion. Dlatego chłopcy przewalili go Niemcem.

Cynric rozprostował zdrewniałe od wilgoci kości i charknął w kilwater. Podszedł do Hulfa i potrząsnął nim.

- Widzisz tę wioskę za nami, w zakolu rzeki?

- No ba!

- Jeżeli uporamy się z nią szybko, czarownik nie powie złego słowa. Przejadły mi się suszone ryby. Mam ochotę na dobrą pieczeń. I miód. I niewiasty.

Hulf wyszczerzył zęby.

- Kiedy przejdzie tędy armia twojego ojca, nie znajdziesz tu nawet kozy do dupczenia, o dziewczkach nie wspominając.

- Dokładnie o to mi chodzi. Aż grzech to wszystko zmarnować. Obudź chłopaków. I jeszcze jedno. W tej wojnie jesteśmy szpicą. Liczy się szybkość i element zaskoczenia.

- No i?

- Nie kłopotz się o jeńców.

\* \* \*

*Naprawdę nie wiemy niczego,  
albowiem prawda jest w otchłani.*

DEMOKRYT Z ABDERY

Miasteczko nie miało już nazwy. Przez ostatnie dwieście lat spustoszyło je tyle najazdów, że garstka ocalałych mieszkańców dała sobie spokój z nazwami. Miejscowy grabarz, znany w całej okolicy dowcipniś, sugerował „Radosny Zakątek”. Po tym jak banda irlandzkich maruderów zjadła go w noc Halloween, a głowę nabiła na ostrokół, z gębą rozoraną nożem w upiornej parodii uśmiechu, pojawił się nowy koncept. Zaczęto mówić o „Radosnym Zakątku Grabarza”. Niestety, nazwa okazała się za długa. „Dziura” pasowała lepiej, ale zdaniem obecnego namiestnika, człowieka pełnego wiary w przyszłość i powagę własnego urzędu, była uwłaczająca.

Dziura powitała ich zaryglowanymi bramami i leciwą balistą na odnowionym murze. Balista była napięta, podobnie jak nerwy obsługujących ją mieszczan. Na moście kłębili się utyskujący podróżni, ich zwierzęta i wozy z dobytkiem. Miasteczko nie wiedziało, jak ich przyjąć. Właściwie było już tylko wsią, narosłą na trupie miasta. Nieliczni „obywatele” uprawiali nędzne poletka, na które składały się zaorane ulice i place. Poza nimi rezydowała tu garstka rzemieślników, chronionych przez miejscowego lorda, który kilka dni temu czmychnął. Była to kiepska wróżba, ale wielu okolicznych chłopów i tak schroniło się za murami. Koczowali na ulicach, roztaczając smród strachu, bydła i gnoju.

Rhodri był tutaj kiedyś. Znalazł właściwą uliczkę i szybko rozlokowali się w oberży. Budynek miał jedną zaletę - stał. Wzniesiono go z cegły i drewna, w najgorszym stylu rzymskich kamienic czynszowych, które zawały się od mocniejszego tupnięcia.

Gospoda „Pod wilczą nóżką” mieściła się na parterze. W zadymionej izbie z glinianą podłogą popijało kilku rzemieślników i kupców. Za niską ladą wciąż zwieszały się wianki czosnku, ale żelazne haki na mięso, kiełbasy i szynki dźwigały już tylko smutny ciężar rdzy.

W oczekiwaniu na medyka ucięli sobie pogawędkę z oberżystą. Był to człowiek stateczny, cierpiący na zaawansowane suchoty. Jego przybytek słynął z miejscowego specjału - świńskich wymion smażonych na słodko. Wymion, nie wymiocin, wyjaśnił z powagą karczmarz, ustosunkowawszy się do złośliwości druida. Podobno to słynne danie, w lepszych dniach podawane z miodem, a nawet z cukrem, pamiętało czasy Rzymian. Na pewno pamiętały ich rozsypujące się i zapchlone sienniki. Po bezowocnej próbie drzemki Bedevir i

Mab udali się na forum, żeby uzupełnić zapasy i wysłuchać plotek.

Główny plac był uroczym miejscem, skąd odganiano świnie, a błoto udało się jakoś udeptać. Sprzedawcy oferowali wymoczkowate pory, brukiew i kwaśne syryjskie wino, którym w Antiochii czy Tarsie szorowano pewnie pokłady galer. Na poobtlukiwanych posągach wisiały stare garnki, schła mokra odzież i garbowane skóry. Wznoszącego piorun Jowisza ktoś ubrał w kapotę stracha na wróble. Miejscowy ksiądz skwapliwie pousuwał cycuszki rzymskich boginek i sterczące prącia satyrów. Złośliwcy twierdzili, że w obydwu przypadkach uczynił to z zawiści. Tylko skromnie odziana Junona, przystrojona kwiatami i podmalowana na błękitno, ocalała nienaruszona. Małżonka Jowisza, najwyższego boga Rzymian, zostawiła za sobą starożytność i z podniesionym czołem wkroczyła w średniowiecze. Przekwalifikowała się i dożywała swoich dni jako Maryja, matka Boga chrześcijan.

Jak wszędzie, rozmawiano głównie o śmierci Pendragona i jej możliwych następstwach. Barbarzyńcy nacierali na całej linii, od Kentu po daleką Deirę. Tylko król południowych Sasów, Creda, stanowił zagadkę i nie przystąpił, oficjalnie, do wojny. Jedni powiadali, że Creda zdobył już Londinium i wymordował tam nawet gołębie i szczury. Inni twierdzili, że zawarł pakt z królową Morrigan. Według optymistycznych prognoz, szerzonych przez miejscowy kler, Creda nawrócił się na chrześcijaństwo i miał rychło uderzyć na swoich barbarzyńskich krewniaków, i zepchnąć ich z powrotem do morza.

Bedevir nie zabierał głosu. Szerzenie paniki było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Wiedział dobrze, że Creda, podobne jak inni wodzowie Sasów, wysłał posiłki pod Kamlann. Młody książę, z którym skrzyżował miecz, był jego synem. Prędzej czy później Sasi uderzą też tu, na południu. A wtedy... Oby tutejsi kmiotkowie celnie strzelali z balisty, pomyślał. Na murach widziało się trochę zbrojnych, ale byli to głównie członkowie milicji, uzbrojeni w oszczepy, łuki i drewniane kusze rzymskiego typu. Obrońcom brakowało konnicy, co wskazywało na to, że posiadacze ziemscy i plemienni wodzowie postanowili bronić się na własną rękę albo czmychnęli na zachód. Nie było też zaciężnej piechoty, co w obliczu rychłej inwazji zakrawało na obłąd.

- Popatrz - zagadnął Mab.

Wskazał jej dawny pałac prefekta, który wysiłki murarzy zmieniły w koślawy, acz obronny kasztel. Nad ostrym łukiem bramy szczyrzyły się brodate, jasnowłose głowy, niektóre nadgryzione przez ptactwo. Namiestnik grodu nawiązywał do celtyckich tradycji, ale zadbał też o „rzymski” gust obywateli. Kilka ciał było wdzięcznie ukrzyżowanych.

- Bandydzi. Pewnie Sasi - skwitował.

- Nie - odparła dziewczyna martwym głosem. - To nie Sasi.

- Skąd wiesz? - zaciekawiał się.

- Słyszałeś, tu jeszcze nie dotarli.

- Święta prawda, młoda damo, święta prawda - wtrącił jowialny obywatel w poplamionej tunice. Sądząc po kwaśnej woni, jaką roztaczał, był handlarzem win. I właśnie przepijał aktywa. - To Fryzowie, nie Sasi. Ale dla niewprawnego oka jeden pies. Boć każdy barbarzyńca to szatańska zaraza, niechaj szeszna w męczarniach, na Chrystusa Miłosiernego. Ci tu przybyli do nas aż z Fryzji. Za opłatą bronili nam grodu.

- A tobie to było nie w smak? - zapytał Bedevir.

- Przyznaję, nie było. Za Artura i tak mieliśmy spokój. Fryzowie gromili pomniejszych rabusiów, ale zadzierali nosa, hardzieli i w ogóle śmierdzieli jak bydło. Baby psuli. W końcu przebrała się miarka. Zatruli nam wodę w studni, najstarszy syn biskupa ciężko zachorował. A potem przesłali tajne pismo do innych barbarzyńców.

- I to stanowiło o zdradzie?

- Pisma nie odczytaliśmy, było w ichniejszych runach. Ale wszystko wskazywało, że knują podstęp. Musieliśmy zareagować.

- Pełen jestem podziwu - zadumał się Bedevir. - Że też wy, zwykli obywatele, pokonaliście takich wiarusów. Zawodowców, bądź co bądź. Ależ to musiał być bój!

- Po prawdzie, to niezupełnie. Jak Odyseusz w walce z dzikimi cyklopami, tak i my zatriumfowaliśmy dzięki sprytowi. Ale wiele ryzykowaliśmy - mężczyzna wypiął pierś i rzucił wymowne spojrzenie Mab, która patrzyła w ziemię. Tylko ręce zacisnęła kurczowo. Twarz dziewczyny zbielała, wyglądała jak oszalała erynia.

- Otruliście ich! - powiedziała głośno. - Tchórze! Otruliście ich jak szczury!

Kupiec spojrział na nią z zaskoczeniem, które przeszło w oburzenie.

- Że co? Dałem im beczkę wina, to się urznęli. A potem po bożemu, pod miecz poszli.

Wokół zbierało się już zbiegowisko. Bedevir złapał dziewczynę za ramię i zaciągnął do karczmy. Był wściekły.

- Co ty najlepszego wyprawiasz? Prowokujesz ten motłoch? Chcesz, żeby nas rozszarpali?

- Zostaw mnie - warknęła.

- Narażasz całą wyprawę. Mów zaraz, o co tutaj chodzi, albo radź sobie sama. Żal ci tych kundli?

Mab zagryzła dolną wargę.

- Chodzi o Llwyną - rzuciła. - To, w jaki sposób zginął... nie potrafię o tym mówić.

- O brata? Braciszka, który zrobił ci dziecko? Byłaś kobietą najemnika? Cuchnącego barbarzyńcy?

Aż się zdziwił, że nagle zadrgało w nim tyle zazdrości. Dopóki tajemniczy Llwyn - kimkolwiek był - krył się we mgle, nie musiał się go obawiać. Był tylko cieniem, pokonanym rywalem. Kiedyś zrobił jej dziecko, ale to już przeszłość. Zresztą i tak mu na niej nie zależało. Był rycerzem bez ziemi, a nie kandydatem na męża. Teraz, kiedy Llwyn ucieleśnił się pod postacią barbarzyńcy z krainy Fryzów, Bedevir znienawidził go z całej duszy.

Myślał, że Mab się wścieknie, przynajmniej wyrżnie go w twarz. Ale dziewczyna pochyliła tylko ramiona, jakby właśnie obdarował ją workiem kamieni. Odwrócił się bez słowa i przysiągł sobie, że więcej nie będzie mieć z nią do czynienia. Podstępny i oszustwa tolerował na polu bitwy, ale w życiu lubił klarowne sytuacje i cele. Dogoniły go jej słowa.

- Kim oni byli? - zawołała łamiącym się głosem.

Bedevir zatrzymał się zdumiony. Zobaczył, że Mab jest na krawędzi łez i poczuł się winny. Jakby to on narozrabiał.

- Jak to? Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Najemnicy, którymi tak wielkopańsko pogardzasz. Te uciążliwe zwierzęta. Kim byli? Powiedz mi! - rozkazała.

- A skąd mam wiedzieć? Nie mam przyjaciół wśród piratów, złodziei i zbójców.

Mab zwykle mówiła twardo. Teraz jej głos stał się kojący i monotony. Jak kołysanka, którą piastunki śpiewają niespokojnym dzieciom.

- W ich kraju było zimno... musieli dużo pracować. Łowili ryby nad szarym morzem, wyplatali sieci i żagle. Suszyli śledzie i dorsze. Czasami zjawiały się foki. Tylko sól była wszędzie, jej nigdy nie brakowało. No i piachu. Zgrzytał w słonawym piwie, w słonawym chlebie i rzepie. Nie było tam granic i gór. I zawsze mogło ich rozgromić inne plemię. Zza Renu, z Jutlandii, zza Łaby. Jeżeli zimą zamarzły rzeki, mężczyźni nie odkładali broni na noc, kładli się w hełmach i w butach. Bo obcy mogli się przedrzeć po lodzie, sforsować kanały i groble. A potem pojawił się ktoś wygadany i bystry. Śmiałek w wyszywanej tunice, z sakiewką rzymskiego złota. Jak ty. I mówił, że są potrzebni. Że zapłaci złotem za to, co oni robią za darmo, jeszcze w dodatku głodując. Za czuwanie. Za walkę.

Dziewczyna urwała i podeszła od jednego z wisielców. Na palcu miał tani, mosiężny sygnet, u pasa nóż z zębą morsa. Przesunęła dłonią po bucie zmarłego.

- Poszli więc. Do garnizonów Galii i Brytanii, do straży Saskiego Wybrzeża i pod północny Mur. Ci, których znałam, poszli akurat na północ. Bronić szlachetnych Brytów przed innymi głodnymi kundlami.



- I co się z nimi stało? - zapytał Bedevir obojętnym tonem.

Mab uśmiechnęła się gorzko, zielone oczy zgasty.

- Legiony odeszły, a oni... Poznali się na sąsiadach.

Rycerz popatrzył na nią uważnie. W zamyśleniu potarł szczękę.

- Muszę porozmawiać z Rhodrim. W zaistniałej sytuacji... - odchrząknął - możesz towarzyszyć nam... do najbliższych rozstajów. Ale nie zabiorę do Camelot kogoś, kto ma przede mną sekrety.

W gospodzie oczekiwał ich zatroskany znachor. Stan Igiego był stabilny, ale chłopak w dalszym ciągu sprawiał wrażenie oszalałego. Często majaczył i zachowywał się jak przerażone dziecko. Za nic nie chciał zasnąć w izbie, w której panowały ciemności. Oraz takiej, w której poza nim spał ktoś inny.

Kazał zamykać się na noc w składziku z zapaloną lampką oliwną, co kosztowało fortunę i wywołało protesty suchotniczego karczmarza. Jego kuzyn, lekarz - wszyscy w Dziurze byli spokrewnieni, co wynikało z faktu, że przez większą część roku miasto było trudno dostępne - nie umiał mu pomóc. Ale zdiagnozował temperament Igiego jako choleryczny i zdążył upuścić mu kwartę krwi za pomocą paru ogromnych pijawek, które traktował z niepokojącą czułością.

Bedevir przepędził medyka kopniakami. Kazał sprowadzić księdza. Na widok poźółkłego starca, który nie chciał przebywać w jednym pomieszczeniu z kobietą, a nawet z kotką płci żeńskiej, zwątpił. Kapłan tańczył po izbie i syczał coś o apokalipsie, która dawno się skończyła, i o tym, że wszyscy jesteśmy potępionymi duszami. Powiedział, że młodzieńca trzeba spalić na stosie i że to nie zaszkodzi, a może i pomoże. Suchotniczy karczmarz przyglądał się temu z dumą przekonany, że ich duchowny jest najlepszy w całej prowincji. Ze świętymi rozmawia bez przerwy. W końcu ksiądz wyklął ich po łacinie i napluł Rhodriemu na buty. Nastroje zrobiły się kiepskie. Mab nie odzywała się do nikogo i przesuwała wszystkie przedmioty, które wpadały jej w ręce. Rycerz nie wiedział, czy życzy sobie, żeby poszła w cholere, czy wolałby paść jej do nóg i błagać o przebaczenie. Tylko za co? Za to, że nie tolerował jej kłamstw?

Rhodri też chodził struty. Mówił, że Naszyjnik wydziela - tak się wyraził - złowrogie fluidy. W dodatku zachodziło niebezpieczeństwo, że jeśli zabawią w Dziurze dłużej, zatrzyma ich wiosenna powódź, której miejscowi wypatrywali z równym stoicyzmem jak pochodu Sasów.

Opuścili miasteczko o świcie. To była burzliwa noc. Niebo za ich plecami czerwieniło się od pożogi wschodzącego słońca, do której dokładały się szalejące pożary. Uchodźcy mieli

już dosyć czekania. Na ulicy chlupotała czerwona ciecz, która nie zawsze była krwią. Ich dobry znajomy, handlarz win, pożegnał ich smutnym spojrzeniem. Oczy miał wytrzeszczone, bo rabusie, którzy w nocy splądrowali jego skład, obwiesili go na wysokim posągu Merkurego. Boga złodziei i kupców.

Bedevir z ulgą odetchnął porannym powietrzem. Byli już blisko. Przed nim rozpościerała się równina Salisbury. Była to żyzna kraina, usiana starymi grodami, wioskami i ruinami starożytnych świątyń. Od zachodu, w dorzeczu rzeki Severn, porastały ją puszcze. Na południowym zachodzie, na lesistych wzgórzach, czekał na nich Camelot. Mab jechała ostatnia. Na ramiona narzuciła szary futrzany płaszcz z jakiegoś nieznanego zwierzęcia.

- To ryś. Wielki kot, polujący w puszczach na kontynencie - wyjaśniła bezbarwnym głosem.

- Zabrałaś futro jednego z Fryzów! - krzyknął Bedevir.

- Marzłam - dziewczyna wzruszyła ramionami.

- To zła wróżba - Rhodri nie krył niepokoju. - Powinnaś je natychmiast spalić.

- Spali się razem ze mną - ucieła.

Dziewczyna wydobyła z juków coś jeszcze. Pasiaste szaro-niebieskie płaszcze z grubej wełny i kosmate, obcisłe portki. Spodnie Brytów miały szerszy krój, a ludzie przywiązani do rzymskich zwyczajów, do których zaliczał się Bedevir, chadzali w tunikach i dalmatykach, na które zarzucali „galijskie” bluzy z kapturem. Te szmaty na milę cuchnęły barbarzyńcą: Frankiem, Gotem... albo Sasem.

- Załóżcie to - powiedziała.

- Zwariowałaś? Mamy paradować w łachmanach, które zdarłaś z trupów naszych wrogów? - wybuchnął Bedevir.

- Wyprałam je. I może ocalą wam życie - rzuciła.

Bedevir splunął z obrzydzeniem, Rhodri wzruszył ramionami. Tylko Igi, który ledwo trzymał się na nogach i kołysał przy każdym powiewie jak wypłowiwały papirus, uśmiechnął się z wdzięcznością. Pierwszy porwał dla siebie parę pasiastych, czarno-czerwonych portek.

- Fajny sznyt, dzięki. U siebie też tak chodzę.

Przebrali się i ruszyli dalej. Według Bedevira wyglądali tak przekonująco, że rozniósłby ich na lancach pierwszy królewski patrol. Tyle że te zakończyły służbę na polach Kamlann, pomyślał.

Po paru godzinach ujrzeli przed sobą czarną ścianę puszczy. Był to stary, otoczony złą sławą Las Weald, który w późniejszych stuleciach miał zwać się Lasem Deana albo Puszcza Arnarn. Wielu podróżnych przepadło tam bez wieści. Knieja rozrosła się w latach wojen,

zajmując pastwiska i opuszczone pola. Rozciągała się od Gór Kambryjskich aż po południową zatokę, gdzie zbiegały się półwyspy Walii i Kornwalii. Można się było nią dostać do samego Camelot - jeżeli znało się szlaki i wiedziało, jak uniknąć zbójców, trzęsawisk i wilków. Bedevir wołał nie ryzykować, w tej sprawie zgodzili się z Rhodrim jak rzadko. Bezpieczniej nadłożyć drogi i trzymać się traktu, który wił się obrzeżami lasu. Poza tym w podmokłym lesie musieliby miejscami iść pieszo, co przy stanie Igiego nie było rozsądnym pomysłem.

Słońce już zachodziło, kiedy z gąszczu poszybowała ku nim strzała. Wbiła się w ziemię tuż obok kopyt Elpyra, który zarżał i zakręcił się nerwowo. Bedevir poskromił zwierzaka i uniósł rękę, osłaniając oczy od słońca. To mógł być ktokolwiek. Najemnicy, rabusie albo zdesperowani chłopci. Ważne, że jeszcze nie próbowali ich zabić.

- Zabijemy was! - zawołał jakiś głos w chrapliwej, żołnierskiej łacinie. Niegdyś posługiwali się nią cudzoziemscy żołnierze i do dziś pozostała w użyciu pośród niektórych band. - Chyba że będziecie grzeczni. Złóżcie na ziemi broń i kosztowności. I niech kobieta zejdzie z konia.

- Spryciarz z ciebie. Chciałbyś wszystko za darmo? - odrzyknął mu Bedevir, rozglądając się bacznie.

Między drzewami błysnęły czyjeś oczy, zatrzeszczała złamana gałązka. I rozległ się świst.

Tym razem ktoś cisnął oszczepem. Lekka broń przypominała bardziej ciężką strzałę niż włócznię do walki w zwarcu. Poruszała się bardzo szybko, szybując w stronę szyi Bedevira, który zauważył ją kątem oka, ale nie zdążył się uchylić.

Mab krzyknęła cicho, kiedy złapany oszczep obrócił się. Igi zgiął rękę, odchylił bark i miotnął broń z powrotem w gąszcz. Ktoś zawył, ktoś inny zaklął z podziwu. Chłopak uśmiechnął się blade.

- Macie szczęście, że Uspak żyje, skurwysyny. Co wy, czarownicy, trolle?

- Wyjdź się przekonać - rzucił Bedevir przez zaciśnięte zęby.

Podał Igiemu lancę. Zobaczył, że Mab napięła łuk. W krzakach coś się poruszyło i po chwili wysunęło się z nich kilkunastu barbarzyńców zasłaniających się okrągłymi tarczami. Niektórzy mieli starą rzymską broń, inni prymitywniejszy rynsztunek z kontynentu. Najgorsze były zębate dzidy z zadziorami, mutacja starej germańskiej *framei*. Raz wbita, nie dawała się wyrwać z rany. Chyba że razem z całym barkiem, nogą albo połową ciała. Sasi używali ich do ściągania wrogów z koni i z murów.

Sas wyglądający na dowódcę miał już swoje lata. Był ranny, jasnowłosą głowę owinał

brudną szmatą. Twarz miał zmęczoną i porytą kanałami zmarszczek.

- Nie zabijam każdego, kto się nawinie. Tylko Brytów - powiedział. - Ale świętym mężem też nie jestem. I mam ściśle rozkazy. Mój pan musi was sobie obejrzeć.

Bedevir spojrział na Rhodriego, druid pokręcił głową. Mógł zdjąć kilku napastników, pewne paskudne czary, zmieniające poszycie w węże, świetnie się sprawdzały w leszczynowych zaroślach. Ale między gęstymi paprociami lasu migotało więcej zbroi. I wystarczy, że choć jedna na pięć framei dojdzie celu. Spomiędzy barbarzyńców wystąpił jakiś człowiek. Był młody, poruszał się sprężysto w zbroi z kości i rogu. Towarzyszył mu ogromny wojownik z toporem. Bedevir odwrócił głowę. Ręka sama sięgała mu po miecz, opanował się z trudem. Tego człowieka pamiętał, a on, prawdopodobnie, zapamiętał jego. Ale wtedy Bedevir nie był opatulony podróżnym płaszczem z kapturem. I nie miał na sobie fryzyjskiego hełmu z nosalem zasłaniającego większą część twarzy. Cynric skłonił się lekko.

- Wybaczcie. Nie szukamy zwady z dzielnym plemieniem Fryzów. Ale musimy was zabrać do obozowiska. Szukamy grupki Brytów i cudzoziemca. Nasz czarownik jest chory... ale i tak przygląda się wszystkim podróżnym. Tylko on może was przepuścić.

Zabrali ich do obozu. W oczy rzucał się szałas z czarnego drewna, sklecony porządniej niż inne. Nad wejściem szczyrzyła kły wilcza czaszka. Igi dźwignął się na łokciach. Od smrodu dzikusów miał ochotę zemdleć, a strach wcale mu nie pomagał. Ale gorszy lęk odczuł na widok szałasu i strzegącego go znaku.

Był znajomy, zapowiadał zaklęcia i śmierć. Spojrział na Bedevira, rycerz wyraźnie się wahał. Wokół gromadziło się coraz więcej zaciekawionych barbarzyńców. Któryś pokrzykiwał jakieś dziwne rymowanki - zapewne plemienne złośliwości i bluździ. Jeżeli zaatakują ich teraz, może zadziałać czynnik zaskoczenia. Ale nie musi. Jak zdemaskuje ich saski zaklinacz, będzie jeszcze gorzej, nie wiadomo, co taki łajdak potrafi...

Cynric szeptał coś z olbrzymem, który podrzucił ogromny topór i złapał go zrećnie. Uśmiechnął się, odsłaniając pokruszone kły.

Mab zdjęła hełm i wysunęła się do przodu. Wiatr rozwiał jej kasztanowe włosy i Bedevir po raz któryś zauważył, ile godności ma w sobie ta dziewczyna. Barbarzyńcy gwizdali i rechotali, obrzuciła ich hardym spojrzeniem. I przemówiła w twardej mowie, brzmiącej jak szcęk stali i krzyki bitwy. Wojownicy zaszwargotali i spojrzeli po sobie. Przywódca zawołał coś, a Mab odpowiedziała mu szybko.

Igi dyskretnie nachylił się Bedevirovi do ucha.

- Może się udać - szepnął. - Mab mówi, że jesteśmy najemnikami. Z Fryzji. A on, że jak na Fryzów dziwacznie pachniemy.

Do diabła, pomyślał rycerz. Zapomnieli, że każdy barbarzyńca naciera włosy masłem. Tylko weź znajdź masło w Spustoszonych Ziemiach. Dowódca w dalszym ciągu oglądał ich podejrzliwie.

Zbliżyło się więcej zbrojnych. Cynric przemówił w narzeczu brzmiącym inaczej niż chropawa mowa Sasów. Wyraźnie oczekiwał odpowiedzi, zrobiło się nieciekawie. Mab spojrzała na wodza hardo, dziarsko splunęła na ziemię. I przemówiła. Mężczyzna słuchał jej uważnie, jego twarz złagodniała. Był wyraźnie zakłopotany.

- Mówi, że księżę obraża jej klan. Wylicza mu swoich przodków - szepnął Igi. - Jest dobra. Nie wiedziałem, że fryzyjski to jej ojczysty język.

- Ja też nie - wyszeptał Bedevir. - Ja też nie.

Cynric zaszwargotał do Mab i klepnął Bedevira w plecy. Rzucił parę rozkazów swoim ludziom i wszedł do namiotu z czaszką. Rycerz złapał Mab za łokieć.

- Co on powiedział?

Dziewczyna spuściła wzrok, na policzkach miała królewską purpurę.

- Nieważne.

- Znowu knujesz za moimi plecami. Chcę wiedzieć.

Mab z chęcią zasłoniłaby oczy grzywką. Zamiast tego schowała twarz w dłoniach. Stojący obok Igi parsknął śmiechem i pokręcił głową.

- To żaden spisek. Pogratulował ci. Powiedział, że jeśli baby w twoim klanie są tak pyskate, to mężczyźni muszą być bohaterami.

- To wszystko?

- I że musi być świetna w łóżku.

Teraz zaczerwienił się Bedevir. Podrapał szczękę i chrząknął, starając się, by było to suche chrząknięcie.

- Wrócimy jeszcze do tego - rzekł.

- No ba - Igi nie przestawał chichotać.

Rycerz zgromił go wzrokiem.

- Wynośmy się stąd.

Starali się nie wzbudzać podejrzeń i przejechali przez obóz jak gdyby nigdy nic. Odjechali może pięćdziesiąt kroków, gdy zagrały za nimi rogi, rozległy się gniewne komendy. Na trakt wysypali się zbrojni, obok saskiego wodza sunął stary człowiek w czapie z wilczego łba. W rękach miał totemiczny kostur, wykrzykiwał zaklęcia i klątwy.

Bedevir zeskoczył z konia i odciął nosze. Przerzucił Igiego przez siodło, ranny jęknął głucho. Rycerz zaklął. Równie dobrze mógł zabić go własnoręcznie. Od galopu otworzyły się

rany, opatrunek na szyi Igiego przesiąkł krwią. No, chłopcze, wytrzymaj. Zobaczył, jak Rhodri rzuca za siebie końskie zgrzebło i mamrocze zaklęcie. Pomyślał, że mały druid do reszty postradał zmysły, ale na drodze w okamgnieniu wyrósł gąszcz ostrokrzewów. Może nie był to las, ale zawsze.

Pierwszy z Sasów wyleciał z siodła, jego koń rzucał się z rozprutym brzuchem, nawijając wnętrzości na ciernie. Inni jakoś sforsowali przeszkodę, ale uciekający zyskali kilka chwil. Szaleńczo smagali konie, nad głowami świszcząły im strzały. Rhodri zrównał się z Bedevirem, wskazując na odbijającą w bok ścieżkę. Zagłębili się w las.

## ROZDZIAŁ 13

*Piramidy, tuki triumfalne i obeliski  
są kolumnami z topniejącego lodu.*

W.G. SEBALD

Sasi długo nie dawali za wygraną. Uciekinierzy słyszeli za sobą ich przekleństwa i ciężkie, zdyszane oddechy. W końcu zapadła noc, a oni wciąż uciekali, przedzierając się przez pogrążoną w mroku puszcze.

O świcie zgubili pogoń, ale Igi zupełnie opadł z sił. Rana na szyi krwawiła i paskudziła się, od gorączki targały nim dreszcze. Na domiar złego zepsuła się pogoda. Po dachu z liści grzechotał uporczywy deszczyk. Nawet gdy ustawał, wiatr strząsał z gałęzi kubły zimnej wody, która zawsze trafiała za kołnierz. Mąka w jukach zmieniła się w ohydną breję, widoczność spadła do kilku metrów. Ciężko było określić kierunki. Las Waeld był dziki i nieprzyjazny, porośnięty obfitym poszyciem. Najeźdźcy bali się tego miejsca, ale i Brytowie nie zapuszczali się tu z własnej woli. Mówiono, że Waeld to puszcza bez przesiek i brodów, w której nie utrzyma się żadna ludzka ścieżka. Podobno użyźniła ją krew. W ciemnościach ujadały wilki, ogromne szare bestie, upasione na ludzkim mięsie. Polowały na uchodźców i samotnych wędrowców. Spróbowały zaatakować ich w grupie, ale Mab zabiła przewodnika watahy celnym strzałem. Dziewczyna zabrała z Bukowej Przełęczy długi czarny łuk Cachira i pokazała, że umie się nim posługiwać. W niczym nie przypominała dobrze ułożonej panny, którą Bedevir zgodził się eskortować w Lyndeffyn. Po tym jak zobaczyła rodaków ogryzanych przez kruki, wyparowała z niej delikatność i troska, którą okazywała mu, gdy chorował w Bukowej Przełęczy. Nowa, wojownicza Mab przydawała im się bardziej, ale rycerz nie był pewien, czy cieszy się z tej zmiany.

Posuwali się wolno. Nie mogli jechać na przełaj z uwagi na trzęsawiska. I tu nieoceniony okazał się Rhodri. Jakimś czarodziejskim sposobem rozpoznawał kierunek, znajdował wodopoje i tropy zwierzyny. Nawet Bedevir przyznał, że druidzi się na coś przydają.

Wieczorem byli już całkowicie wyczerpani. Rozbili się na polanie z powalonym dębem. Splątane korzenie olbrzyma, które przykryli paprocią, posłużyły im za szałas. Bedevir

zostawił Wybrańca pod opieką druida i poszedł się odlać. Rhodri ugotował w kociołku jakieś zioła i poił Igiego naparem. Chłopak wyglądał źle. Szyja spuchła mu w bezkształtny, cuchnący zgnilizną węzeł, zlepione włosy oblepiały ziemistą twarz, która przypominała grudę twarogu. Tylko Naszyjnik migotał żywym kolorem, nie dbając o agonię właściciela. Jak tak dalej pójdzie, dostarczą do Camelot trupa. Albo nikogo, bo druid twierdził, że Naszyjnik zniknie wraz ze śmiercią Nosiciela. Bedevir po raz setny przeklął magię i pogmatwane spiski jej adeptów. Powinien być teraz gdzie indziej. W miejscu gdzie dzielni ludzie borykają się z losem przy użyciu starych, sprawdzonych metod, takich jak ogień i stal...

Mab podeszła do niego bezszelestnie. Nie odwrócił głowy. Czuł zapach dziewczyny, mieszaninę potu, perfum i specyficznego aromatu jej włosów. Lubił tę woń. Zabawne. Rozpoznaję ją w ciemnościach po zapachu, a nie wiem, kim tak naprawdę jest. Od czasu spotkania z Sasami prawie nie rozmawiali.

- Jesteś zły? - zapytała.

Pewnie przygryza teraz dolną wargę, pomyślał. Jej gesty też znał na pamięć.

- Zły? - roześmiał się gorzko. - Raczej rozczarowany. Okłamywałaś mnie od samego początku.

- Tak? A zaopiekowałbyś się mną, gdybym nie kłamała? Gdybym nie była cnotliwą panną z dobrego rodu, tylko kobietą barbarzyńców?

- No, aż tak cnotliwa to nie byłaś - mruknął i zaraz pożałował.

Trzasnęła go w policzek, przy drugim ciosie złapał ją za nadgarstek i wykręcił rękę. Splunęła mu w twarz.

- Poszłam z tobą, bo chciałam, ty przeklęty głupcze.

- A Llwyn? - zapytał, teraz już bardzo zły.

Usłyszał, że płacze, i puścił ją. Sam dławił się z bezsilnej wściekłości. Gdyby obrzuciła go przekleństwami, po prostu by odszedł. Ale to... bogowie nie dali mężczyźnie broni na kobiecie łyzy.

- Był taką samą świnią jak ty. Kiedy nadeszli Sasi i sąsiedzi zwrócili się przeciwko nam, nie kiwnął nawet palcem. Nagle Llwyn przestał być moim mężem! Pozwolił, żeby motłoch zabił naszego synka. Słyszałam, jak się śmieje pijany i oczadziały krwią. Mordercy z jego klanu klepali go po plecach. Znowu był swój, teraz to udowodnił. Bierzcie go sobie, to nie moje. Barbarzyńskie nasienie, powiedział. Bękart i pies, przeklęta, obca krew - dziewczyna urwała i zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń.

Bedevir nie śmiał jej przerywać.

- Mój ojciec, matka, bracia... Mieszkaliśmy tam od trzech pokoleń, rozumiesz? Ale



popelniliśmy błąd. Wciąż byliśmy Fryzami, zachowaliśmy język i obyczaje. I to kłuło ich w oczy. Powiedzieli, że wszyscy jesteście zdrajcami. I że nasza krew przebłąga starych bogów.

Bedevir przełknął ślinę. Plemiona żyjące przy Murze nie należały do łagodnych. Chciał ją objąć, pocieszyć. Nie mógł. Sam słyszał tuzin historii o tym, jak germańscy najemnicy otwierali bramy pobratymcom, mordowali sąsiadów we własnych łózkach, łamali wszystkie przysięgi. Tak stało się w Bernicji i w Deirze. Ludzie się ich bali. Barbarzyńcy nie zasługiwali na litość. Rozumiał tamtych Brytów. Gdyby on tam był...

- Wczoraj uratowałaś nam życie - wykrztusił wreszcie. - I za to ci dziękuję.

Wiedział, że czeka na jego ruch. Po długiej, nieskończonej chwili odwrócił się i odszedł. Coś się w nim kotłowało przy akompaniamencie diabelskiego chichotu. Jestem, kim jestem, pomyślał. Tylko tym. I niech sobie Augustyn i mnisi bajdurzą o wolnej woli.

Mab stała tak jeszcze przez moment. Dłonie spłotła na brzuchu, na jej twarzy pojawił się uśmiech, smutny i wypłukany z nadziei.

Po dniu marszu stare drzewa ustąpiły miejsca młodniakowi, a wśród paproci i leszczyny ukazały się ślady człowieka. Kruszące podmurowania, zasypane studnie i porzucone radła. Mab śmiertelnie przestraszyła się szkieletu, który Bedevir z uśmiechem zidentyfikował jako szczątki pocziwej krasuli. Pod wieczór zobaczyli sypiący się kamienny mur, zza którego wyglądały fragmenty domostw i świątyń. Wokół panowała głucha cisza. Nikt nie posłał im pod nogi ostrzegawczej strzały, nikt nie zadał w rogi. Obchodząc wały, dotarli do miejskiej bramy. Potężne odrzwia wały się w pyle zgruchotane ciosami tarana. Wzdłuż głównej ulicy rozłożyła się kolumnada posągów. Z wielu oblaża już farba, przez co nabrały upiornego białego koloru, który kojarzył się ze śmiercią i opuszczeniem.

Jak większość ludzi tej przejściowej epoki, Bedevir, Rhodri i Mab nie znali dużych miast. Niewiele z nich przetrwało *exodus* rzymskiego wojska i administracji, który zapoczątkował trwający do dziś chaos. A i przedtem dalekie były od rozkwitu. Od dwustu lat w całym Imperium barbarzyńcy plądrowali wille i farmy. Odpieranie ich wymagało coraz liczniejszej armii. Podatki wojskowe zubażały rzemieślników i kupców, którzy i bez tego nie mieli lekko. Odbiorcy ich towarów, gnębieni najazdami chłopów, dobrowolnie oddawali się w niewolę.

Ich pan, lokalny arystokrata, plemienny wódz albo rzymski bogacz, zapewniał takim „kolonom” minimum ochrony. Ale nie płacił w gotówce za ich pracę. Kolonowie nie kupowali w miastach towarów, zrujnowani kupcy uciekali na wygłodzoną prowincję. Ocalały ośrodki, w których rezydowali biskupi i książęta. Zmieniły się w rodzaj obronnych dworów, połączonych z warsztatami. Enklawy rzemiosła i sztuki. W zamian za wino, jedwab i

pachnidła złotnicy i kowale eksportowali swój towar za morza, do wciąż bogatego Konstantynopola, Antiochii i Aleksandrii. Ale handel morski zamierał i mieszkańcy musieli przerzucać się na uprawę roli. Nawet jeżeli wciąż zamieszkiwali w obrębie murów miejskich.

Wegetację grodów kończyły barbarzyńskie szturmy. Czasem, gdy miasto miało szczególnie dogodne położenie albo port, Anglosasi zachowywali zabudowę i osiedlali się w ruinach. Tak było na przykład w Eburacum, które stało się Yorkiem. Zazwyczaj jednak *furor teutonicus* nie poprzestawał na zaszlachtowaniu mieszkańców. Wyżywał się także na marmurach, akweduktach i mozaikach. Tłustobrodzi zdobywcy rozbierali kolumny na podmurówki chlewików i drewni. Zmieniali całe pałace w stajnie, wznosząc na ich dziedzińcach zadymione chaty z okrągłaków i darni. Bedevir był zdumiony. Nie pojmował, jakim cudem tak wielu ludzi mogło tu żyć bez uprawnych pól. Na pewno nie zarabkowali uczciwie. Musieli wzbogacić się na lichwie, pomyślał. Szalały tu pożary. Poznawał to po posągach. Bliżej forum bogowie, nimfy i mężowie w togach byli do cna okopceni dymem. Wyglądali jak dzicy Etiopowie, co ich podwędził Featon, nieudolny woźnica Słońca. Albo piekielne demony. Miejsce nagle wydało się im złowieszcze, uderzyła ich atmosfera porzucenia. Rhodri rozglądał się bacznie.

- Zauważyłeś? - zagadnął Bedevira.

- Niby co?

- Nie ma żadnego kościoła.

Bedevir zagwizdał. To było niespotykane. W każdej brytyjskiej osadzie dostrzegało się działalność wyznawców Chrystusa. Czasem były to niewielkie kościółki, czasem pojedyncze malowidła z rybą lub młodym, bezbrodym pasterzem. Cokolwiek. W tym mieście nie było śladu chrześcijan. Zupełnie jakby czas się zatrzymał.

Rhodri i Igi zostali przy koniach. Bedevir i Mab poszli się rozejrzeć. Wojownik żartował, że oto Mab dotarła wreszcie do swej wymarzonej cywilizacji. A ta nie dawała znaku życia. Żadnego psa, gołębia, nawet much, tak chętnie goszczących w splądrowanych miastach. Żadnych zwłok czy zmasakrowanych szkieletów. Wreszcie dotarli na główny plac. Wznosił się tam pałac namiestnika, nieopodal stały łaźnie miejskie, świątynia kultu imperialnego i całkiem okazały amfiteatr. Okna na poziomie ulicy miał zamurowane i zabite dechami. Zatarta tablica obwieszczała wszem i wobec, że jest to koloseum w mieście Valcester. Zaciekawiona Mab podeszła bliżej.

- Zawsze chciałam pójść do cyrku - zawołała. - Babcia mówiła mi, że to coś pięknego.

Dziewczyna znajdowała się teraz tuż przy uchylonej bramie do amfiteatru. Nie wyważonej, tylko zwyczajnie otwartej. Nagle, może metr przed bramą, ziemia pod jej

stopami zapadła się. Nie zdążyła nawet krzyknąć i znikła w czeluściach ujawnionego tunelu. Albo pułapki, pomyślał Bedevir i szybko wyciągnął broń. Zasłaniając się tarczą, zbliżył się do otworu. Wypuszczona z trybuny strzała zaklekotała o deski.

- Odstap, barbarzyńco! - zawołał głos w archaicznej łacinie. - W przeciwnym razie zabijemy twoją sucz.

- Nie jestem barbarzyńcą. Jestem Bedevir ap Hywel, Bryt. Moi przodkowie byli *homiliores* - odkrzyknął Bedevir, spoglądając w szczelinę. Zobaczył jedynie opustoszałą ciemność.

- Albo wiesz co? I tak ją zabijemy.

\* \* \*

Policjanci zamachali legitymacjami. Łukasz musiał wyglądać dziwnie. Jego znajomy, pucołowaty inspektor Rosiak, przyjrzał mu się podejrzliwie. Pewnie myśli, że uprawiam konopie. Albo kolekcjonuję ludzkie skóry Drugi gliniarz, czterdziestolatek o szarej twarzy znużonego wyżyła, uśmiechnął się uspokajająco.

- Będziemy musieli jeszcze raz pana przesłuchać.

Klimkowski odetchnął z ulgą. Uśmiechnął się nonszalancko.

- Coś się stało?

- Próbkę, które pobraliśmy w domu rodziców Jurkiewicza i w lesie, nie należą do niego. Szczerze mówiąc, to w ogóle nie potrafimy ich zidentyfikować... A to jedyne ślady sprawcy.

Inspektor przerwał mu w pół słowa.

- Dowody zniknęły. Krew, tkanka, odciski palców. Rozwiały się, jak moja ostatnia premia. Wie pan, co to jest domniemanie niewinności? To największa z prawniczych bzdur. Musimy przyjąć, że Jurkiewicz tego nie zrobił. Nie zabił ani swojej rodziny, ani tych gnojków w lesie. Ale ktoś musiał. To czyni pana cennym świadkiem... albo podejrzanym.

- A co z zeznaniami innych świadków?

- Zatrzymaliśmy jego kumpli ze szkoły. Ksywki Siwy i Starszy. Jeszcze nieletni, a kartoteki jak starzy urkowie. Brat Starszego zginął tego dnia w lesie. Najpierw szli w zaparte, ale szybko pękli. Siwy dostał hysterii. Powiedział, że morderców było dwóch. I obaj wyglądali tak samo. Może pan to skomentować?

Łukasz usiadł na kanapie i otworzył sobie poranne piwko. Zapalił papierosa.

- Nie mogę zebrać myśli. Przykro mi.

Rosiak zerknął na zegarek i skrzywił się z obrzydzeniem.

- Proszę nie opuszczać miasta. Stawi się pan na przesłuchanie w wyznaczonym terminie.

Zamknął za nimi drzwi i złapał się za głowę. Igi był niewinny. A jeżeli był niewinny, to on, Klimkowski, był ostatnim chujkiem.

Dla uspokojenia postanowił upichcić coś dobrego. Jak mawiał Emil Cioran, żaden *spleen* nie oprze się godzinie majsterkowania. Łukasz lubił gotować. Nie lubił za to promowanych w mediach potraw śródziemnomorskich, tych wszystkich klusek, sałatek i owoców morza. Były obcym ciałem i kulinarną tandetą. Nijak nie pasowały do nordyckiego klimatu Rzeczypospolitej, jej mętnych zim i wiszących chmur. Jestem człowiekiem Północy, powtarzał, gotując solidny rosół. Uściślając - sztukę mięsa w sosie chrzanowym.

Jeżeli idzie o tak zwany parytet, czyli stosunek czasu przyrządzania potrawy do jej jakości, sztuka mięsa była królową kuchni. Teoretycznie nic prostszego niż ugotować kawał wołowiny z dodatkiem warzyw. Niestety, sztuka mięsa naprawdę była sztuką. Była też za bardzo prawdziwa jak na dzisiejsze czasy. Nie dawało się na niej ściemniać. Dobra sztuka mięsa wymaga wołowiny najwyższej klasy, a takiej nie kupisz w markecie. Dlatego nie serwowali jej restauratorzy, którzy woleli produkty smrodliwe i liche, zamaskowane sosami i dekorowaniem talerza.

I tak sztuka mięsa zniknęła z rynku, podobnie jak brzytwa, cesarstwo Franciszka Józefa czy zacna dziewiętnastowieczna powieść. A przecież było to danie cudowne, wręcz archetypowe. Łączyło tradycje ludów pasterskich, było dziedzictwem Indoeuropejczyków. W epoce wędrówek ludów myśliwy i wojownik często głodował albo jadł mięso zwęglone nad ogniem. Krucha, rozpadająca się na delikatne włókna tusza była prezentem od bogów.

Wołowinę z kotła zajadali Homer i Dariusz perski, który do końca życia przeliczał bogactwa na pogłowie bydła. Żuli ją irlandzki Cuchulainn i germański Zygryd, raczyli się nią Bolesław Chrobry i jego śmiertelny wróg, cesarz Henryk II. Autorzy sag i eposów, druidzi i wielcy zdobywcy. Było to danie herosów. Krojąc miękkie plastry polane chrzanowym sosem, Łukasz miał czasem wrażenie, że cofa się do jakiejś mitycznej Arkadii. Nie bez powodu Hindusi wierzą, że świat został ubity z mleka, a według wikingów ludzi wylizala z lodu krowa...

Łukasz zamieszał w kotle i z rozkoszą wdychał mocny, ciężki zapach. I nagle poczuł się dziwnie. Z początku był to zwykły zawrót głowy i tańczące przed oczami mroczki. To pewnie z przemęczenia, pomyślał i oparł się o blat, zamykając oczy. Odetchnął zapachem mięsa, który już nie wydawał się smakowity. Raczej bagienny i trupi. Otworzył oczy i zamrugał. Czy on coś przypalił? Przysiągłby, że w pomieszczeniu wirują pasemka mgły.

Znów zamknął oczy. Dla wyrównania w uszy uderzyła go muzyka. Jakieś jęklive dudy, ujadanie psów, rogi. No tak. Znowu zaczynał świrować. W niektórych okresach życia jego sny bywały bezczelne. Układały się w całość, przekazywały natarczywe sugestie. Między innymi dlatego rzucił w diabły Kierczyńskiego i jego starożytne bajdurzenia, pokręcone symbole i bzdury. Uznał, że to dziwaczne studia podsycają jego wyobraźnię, kierują jej bieg na chorobliwe tory. Studia psychologiczne wydawały się logicznym rozwiązaniem - dzięki nim spodziewał się skatalogować swój umysł.

Niepewnie ruszył do szafki, w której trzymał coś mocniejszego. Była to flaszka Jacka Danielsa kupiona w strefie wolnocłowej lotniska. Przysiągłby, że stąpa po sitowiu i słomie. Po szorstkich, nieheblowanych deskach, skorupach dzbanów i kościach.

Ktoś mocno trącił go w plecy, coś włochatego u jego stóp warknęło, gdy niechcący na to stąpnął. Bał się otworzyć oczy. I wtedy zadzwonił telefon. Odebrał go z ulgą. Chwała ci, choćbyś nawet był ofertą pościeli, promocją czy przekazem z Marsa.

- Odwiedziła mnie twoja przyjaciółka - powiedział zrzędlawy głos.

Oczywiście. Kierczyński. Jak miło, że pan dzwoni. Bez pana moje życie staje się niepokojąco normalne, profesorze.

- Nie powinniście byli iść sami do tego lasu. Chowaniec mógł was rozszarpać. To cud, że w ogóle żyjecie.

- Czego pan chce?

- Porozmawiać. Musimy się zastanowić, co dalej.

- Ale ja nie chcę z panem rozmawiać. Sprawa jest zamknięta.

Z słuchawki dobiegł go cichy chichot. Pohukiwanie puszczyka.

- Posłuchaj, synu. To, że czegoś nie chcesz, nie sprawi, że to coś zniknie. Widziałem Jurkiewicza w szpitalu. Na jego ciele pojawiły się paskudne rany. Może potrzebować pomocy.

- Po pierwsze, ja też potrzebuję pomocy. Po drugie, jakim cudem pan się tam dostał?

- Mam swoje sposoby. Wiem, że to nie jest zwykła śpiączka.

- To bardzo smutne, ale mnie to wali.

Kierczyński zamilkł. Łukasz słyszał, jak podpala fajkę.

- Akurat ciebie powinno to obchodzić.

- A niby dlaczego?

- Przypomnij sobie Johnny'ego.

Klimkowski cisnął słuchawką tak mocno, że rozwalił telefon. Był wściekły, normalnie berserker. To był cios poniżej pasa. O Johnnym nie miałeś prawa wspominać. Nie ty, stary

draniu. Nie ty. To po śmierci Johnny'ego Łukasz poprzestawiał swoje życie.

Zrezygnował ze studiów i zerwał stare kontakty. Nawet jeśli nie stał się od tego szczęśliwszy ani lepszy, to przynajmniej zachował zmysły. I nikt nie będzie mu tego wywlekał. To nie jego wina, nie jego.

Poczuł, że musi wyjść, przewietrzyć głowę i porozmawiać z kimś. Karolina nie wchodziła w grę, nie zrozumiałaby go. Na temat Johnny'ego mógł gadać tylko z jedną osobą.

Ernest przywitał go i zamknął sklep, co robił zawsze, kiedy nie miał ochoty pracować. Łukasz często zachodził w głowę, jakim cudem jego przyjaciel wychodzi na swoje, postępując w taki sposób. Ernest spał, kiedy chciał, i był mistrzem lenistwa. Co jakiś czas ubijał świetny interes i żył z tego przez długie miesiące. Jego mieszkanie też stanowiło ideał. Przytulne i lekko zagracone, z wysokim sufitem. Niewysoki, dobroduszny właściciel królował w nim jak pogodny hobbit. Zawsze miał pod ręką dobrą książkę i świeżo zaparzoną herbatę. Teraz też czytał, Klimkowski zerknął na greckie litery obwoluty i aż go zatkało z zazdrości. Nigdy nie miał dość czasu, żeby nauczyć się greki.

- Nie wiem, co robić - rzekł. I opowiedział wszystko.

Ernest słuchał w milczeniu. Nic nie mogło wyprowadzić go z równowagi. Sam cierpiał na jakieś dolegliwości, czasami na jego twarzy pojawiał się grymas, który sugerował ból. Ale nigdy się nie uskarżał. Nie był typem człowieka, który słysząc dołującą historię kolegi, odwdzięczał się tuzinem gorszych, które przytrafiły się jemu. Za to zawsze wiedział, kiedy warto p olać czegoś mocniejszego.

- Bourbon? - zapytał Łukasz, wtykając nos w kieliszek.

- Brandy - uśmiechnął się Ernest. - Dwa razy starsze od ciebie.

Antykwariusz wysłuchał całej historii i w zamyśleniu pokiwał głową. Nie odsunął od Łukasza sztućców ani cennych waz.

- Jeżeli pytasz mnie, czy w to wierzę - w demona i resztę spraw - to odpowiem, że tak. Jeżeli pytasz, co powinieneś zrobić, to powiem, żebyś trzymał się od tego z daleka.

- Profesor wspomniał o Johnnym - powiedział Łukasz ze złością.

- To nie była twoja wina - Ernest nalał mu jeszcze. Jego zdanie w tej sprawie liczyło się, i to bardzo. Też był kumplem Johnny'ego. Razem imprezowali i robili głupoty. Tyle że oni wyszli z tego żywi.

- Po pierwsze, to nie ty dałeś mu to świństwo... - zaczął Ernest.

- Niestety, to byłem ja.

- Nawet jeśli. Nie mogłeś przewidzieć, czym to grozi. Eksperyment był pomysłem Kierczyńskiego. Jeżeli ktoś ponosi odpowiedzialność za Johnny'ego, to tylko on.

Łukasz odwrócił się i zaczął oglądać rozstawione na półkach przedmioty. Niektóre drobiazgi Ernesta naprawdę go zadziwiały. Takich cacek nie było w innych sklepach.

- Ernest, ten dzieciak... Nie chcę mieć go na sumieniu.
- Ale co możesz zrobić? Nie jesteś lekarzem. Nie wybudzisz go ze śpiączki.
- Profesor ma jakiś plan. A ja i tak nie mam nic do roboty.

Antykwarium zbliżył się i ostrożnie wyjął z rąk Łukasza puzderko na biżuterię. Pstryknął ukryty przycisk, z pudełka wysunęło się mikroskopijne ostrze.

- Pułapka na złodziei. Jak drań szukał konkretnego klejnotu i otworzył to coś nieostrożnie, ostrze żądliło go. Zmyłem truciznę, ale nigdy nic nie wiadomo. Trzeba uważać, w co się wtyka paluchy. Przecież ten stwór w lesie o mało cię nie zabił.

- Sam mówiłeś, że to może być prawda. Jak z Chuang-tsy.

- To była tylko teoria, nic więcej - uśmiech Ernesta nagle wydał się Klimkowskiemu zimny i skryty.

- Dla ciebie wszystko jest teorią. Siedzisz wśród rupieci i nie przejmujesz się światem. Kiedy ja zajmowałem się archeologią, przeszłość wsysała mnie jak lej. Jak czytałem o rytuałach i magii, wszędzie widziałem czary. Też miałem dziwne sny, zupełnie jak ten biedny szczyl. I też były cholernie prawdziwe.

- No i? - spokój Ernesta pozostawał niezmacony.

- Usiłowałem się przed tym schować i sam widzisz, co mi z tego przyszło. Może czas się przekonać, co to wszystko znaczyło. Przestać uciekać i zacząć gonić, czaisz?

Ernest podniósł pudełeczko pod światło, na ostrzu zamigotała odrobina jadowitej zieleni. Oczy antykwarium też zabłyszczały, Łukasz przysięgłby, że po raz pierwszy widzi przyjaciela wkurzonego.

- Zrobisz, jak uważasz. Ale pamiętaj, że cię ostrzegałem.

\* \* \*

Profesor był pijany, rozżalony i zły. Naprawdę zamierzał coś zrobić. Rzecz w tym, że nigdy nie nauczył się magii. Z natury miał umysł teoretyka i nawet w kontaktach z druidami zachował swoisty sceptycyzm. Oczywiście był to sceptycyzm skrojony na jego miarę. Taki, jaki można zachować, gdy gada się z jednorożcem.

Stworzenie słuchało cierpliwie, a Kierczyński zwierzał mu się bez skrępowania. Mityczny stwór miał mądre spojrzenie i nigdy nie zabierał głosu. Czyniło to z niego idealnego partnera do rozmów, zwłaszcza dla kogoś o temperamencie naukowca.

- Próbowałem - oznajmił profesor cicho, głosem złamanym żalem i nadmiarem trunku.

- I nic. Albo Las jest zamknięty, albo mnie czegoś brakuje. Nie przepuścił mnie, choć to ja go stworzyłem. Cholerny stavalon...

Driada z sąsiedniej klatki zakaszła i posłała mu współczujące spojrzenie. Liście w jej włosach zwiędły, a oczy straciły blask. Czasami żałowała, że jest nieśmiertelna. Sukub oczywiście zaskrzeczał i w obsceniczny sposób zmałpował jej gesty. Kierczyński wolał nie patrzeć. Sukuby lubiły się przyśnić, a w jego wieku takie sny nie były wskazane.

Opuścił Bestiarium i powłókł się w stronę wyjścia. Nie dbał o to, czy spotka któregoś z braci. Od kilku dni usiłował się z nimi rozmówić i wszędzie napotykał mur. Nie byli nieuprzejmi, co to, to nie. Ale kwestia życia lub śmierci Radosława Jurkiewicza nie obchodziła ich w najmniejszym stopniu. Wszystkie odpowiedzi, gdyby oczyścić je z przepowiedni, zagadek, westchnień i mistycznych frazesów, sprowadzały się do prostego komunikatu, którego nie powstydziałaby się wielka korporacja. „Tylko wydaje ci się, że spadasz. Wszystko idzie zgodnie z planem”. *Jeżeli zawsze byli takimi sukinsynami, to zaczynam rozumieć Cezara...*

Mógł wejść do Pokoju Zaklęć, ale przy jego zdolnościach równało się to samobójstwu. Co najwyżej byłby w stanie wybrać sobie rodzaj śmierci - przez usmażenie, zwęglenie piorunem czy może zeszklenie proste. Nauczenie się któregoś z czarów wymagało pokonania mocy strzegącej go czaszki. W ten sposób druidzi dbali o to, by moc nie trafiła w ręce głupców. No, aż tak głupi to nie był. Jak każdy adept Bractwa, władał magią zmiany kształtu i na tym kończył się jego kunszt. Miał to szczęście, że przypisanym mu duchem opiekuńczym, którego kształt potrafił od biedy przybierać, była całkiem funkcjonalna sowa. Znał druidów, którym trafiły się bobry albo łosie.

Nieoczekiwanie zatrzymał się przy Pokoju Bez Drzwi. Nie wiedział, jak się tam znalazł, po prostu nagle potknął się i zatoczył na zamknięte wrota. Nastawił się już na nieprzyjemne łupnięcie, kiedy ściana przepuściła go z poirytowanym mlaśnięciem. *Hej, zaraz. Ja wcale nie chciałem tu wejść!*

Potem rozejrzał się i zapomniał, że kiedyś mógł czegoś nie chcieć. Rzucił się na zgromadzone w pokoju eksponaty. Nie było ich tak znowu wiele, ale były starsze i potężniejsze niż jakakolwiek rzecz, którą Kierczyński oglądał wcześniej w tym gmachu.

W końcu dokopał się do najstarszych źródeł. Było ich kilka. Wypolerowany kawałek rogu z symbolem koła. Okrągły kamyk wypolerowany dłonią małego dziecka. Podobno pradawny król ludzi urodził się, trzymając go w piąstce. Skamieniała deszczułka z szeregiem ukośnych nacięć. Totemiczny kamienny nóż. Uniósł pod światło wygładzony kamień i mocno ścisnął go w dłoniach. Nie mamy czasu, szepnął. Daj mi zobaczyć.



Gadające kamienie były pierwszym nośnikiem informacji, który poznał człowiek. Dla koczowników, którzy nie spisywali ksiąg, a swoje święte miejsca i rytuły na dolmenach inskrypcje porzucali, migrując na nowe tereny, kamyki przodków były sposobem na przekazywanie spraw tajnych. Kapłani i szamani kultywowali rytuały dostępne dla całego plemienia, ale przechowywali też wiedzę tajemną. Jeżeli człowiek chciał, żeby o czymś dowiedział się tylko jego syn, modlił się do mówiącego kamienia.

Były to przedmioty tak stare, że nawet długowieczny Kierczyński, który uczęszczał na wykłady Schopenhauera i osobiście spierał się z Heglem - zresztą straszny palantem - dotykał ich z szacunkiem. Pamiętały czasy początku, kiedy bóg, który miał zostać zapomniany, przechadzał się wśród głązów i drzew.

Raz jeszcze obejrzał mówiący kamień. Miał ochotę cisnąć nim o ścianę. Mówiący, dobre sobie. Do niego jakoś nie mówił. Cały czas ścisnął go w dłoń. Znów dopadło go zniechęcenie, jakaś bezwładna pustka. Nie musisz gadać, pomyślał. Wtedy w jego głowie pojawiła się myśl, która przeszła w rozbawiony głos dziecka.

- Co chciałbyś wiedzieć? - zapytał głos.

Profesor jęknął. Domyślał się już, jakie tu obowiązują zasady. Albo raczej jakie nie obowiązują.

- W sumie to nic - odpowiedział w myśli.

- To bardzo dobrze - odpowiedział głos. - Odpowiem na jedno pytanie. Może.

Kierczyński oddychał miarowo. Pierwsza prośba, jaką sformułuje, zadecyduje o reszcie rozmowy. Było tak wiele pytań, tak wiele możliwości. Kim był Zapomniany i jaki jest sekret Naszyjnika, co powinien zrobić on, Kierczyński, żalony szperacz, poszukiwacz cieni? Każda z odpowiedzi wywoła kolejne pytania. Taki był gorzki paradoks wiedzy - każda z odpowiedzi to trzy wątpliwości. Odetchnął spokojnie, pozwolił, by jego umysł opustoszał. Dobrze.

- Kim jesteś?

- Kiedyś nazywałem się Fronnubar. Byłem synem Brennusa, wielkiego króla Keltoi. Ostatniego z Nosicieli Naszyjnika. Panował przez dwieście lat. Zdobył Rzym i splądrował Grecję. Pod świątynią Apollina w Delfach ugodziła go strzałą eolskiego górala. Ci pasterze bili się dzielnie w obronie swojego boga, lepiej, niż można by przypuszczać - kamień zachichotał i Kierczyński poczuł, że dłoń, w której go ścisną, wilgotnieje.

- Co stało się z Naszyjnikiem?

- Kapłani prosili, bym go niezwłocznie założył. Stos ojca był jeszcze ciepły, ale oni chcieli nowego króla. Poprosiłem o czas do namysłu i zamknąłem się w namiocie. A potem

podjąłem decyzję. Mój brat był kowalem. Przetopił zdobyte na Grekach puchary, dary składane ich bogu i wykuł mi imitację. Doskonałą kopię. Stałem przed zgromadzeniem, wojownicy unieśli mnie na tarczy. Druidzi nie przejrżeli podstęp. Nie mieściło im się w głowie, dlaczego ktoś mógłby odrzucić taką moc.

- Była zła? Szkodliwa? - zapytał Kierczyński powoli.

- Naszyjnik zsyłał wojownikom odwagę, a mieczom nadawał ostrość. Przerazał wrogów, pozwalał wysługiwać się pomniejszym bogami i korzystać z ich mocy. Mój ojciec potrafił nie spać tygodniami. Był zawsze o krok przed wrogami, wynajdywał szlaki, których nikt nie dostrzegał. Ale były też inne rzeczy. Nasz lud przetoczył się po świecie jak krwawy lodowiec. Zostawialiśmy tylko zgliszcza... i wrogów. Matka i inne kobiety wiele razy prosiły, żebyśmy gdzieś osiedli i zakończyli wojnę. Brennus słuchał i coraz bardziej posepniał. W końcu zrozumiałem, że nie mógł tego zrobić. Musiał ciągnąć ten krwawy pochód, czy tego chciał czy nie. Stał się sługą własnego narzędzia.

Profesor uśmiechnął się pod nosem. To był w stanie zrozumieć.

- Jego moc była ponad wyobrażenie. Wziąłem go w ręce i od razu poczułem uwagę. Zachłanną i pochlebczą, wibrującą tysiącem pokus. A gdzieś w tle kielkujące szaleństwo, stłumioną pasję, gniew. Okrucieństwo pozbawione przyczyn. Wtedy zrozumiałem, że jest przeklęty. I ślubowałem, że uchronię przed nim mój lud. Po koronacji powiodłem ludzi na wschód. Nie mogliśmy wrócić na północ, nasz szlak był zbyt krwawy, zbyt wielu mieliśmy wrogów. Antygon Gonates z Macedonii przysiągł, że nas wytępi. I prawie mu się udało, bez Naszyjnika po raz pierwszy od wieków przegraliśmy wielką bitwę. Ale przeżyliśmy. Przeszliśmy przez Macedonię i Trację, a potem kupiliśmy statki. Przekroczyliśmy Bosfor i w Azji Mniejszej założyliśmy nowe królestwo. Galację.

- Turcja. Tam też nie zajmowaliście się samym rolnictwem - zaproponował Kierczyński i zaraz zganił się za belferskie nawyki.

- Nawyki nie zmieniają się od razu. To kwestia pokoleń. Przyznaję, że moi rodacy dawali się we znaki sąsiadom. Ci, którzy chcieli żyć po staremu, rozeszli się po świecie i walczyli jako najemnicy u Ptolemeusz i Seleucydów.

- A potem wasze królestwo upadło.

- Tak. - Głos kamienia był, a jakże, doskonale obojętny. - Pod koniec mojego panowania zaczęły dobiegać nas niepokojące wieści. Wszędzie, gdzie osiedlili się Pierwsi Ludzie, ich królestwa kurczyły się jak topniejący lód. W końcu zrozumiałem, że moja decyzja przyniosła zmierzch Pierwszym Ludzi. Pojąłem prawdę tego świata. To, co nie wzrasta, słabnie. Ci, którzy nie zabijają, giną. Ale i tak nie cofnąłbym czasu. Kiedy upomniała się o

mnie śmierć, udałem się do sanktuarium w Dunbarton. W miejsce gdzie ukryłem Naszyjnik. Zapieczętowałem wejście, żeby mieć pewność, że nikt go nie odnajdzie. Swoje życie zakląłem w kamieniu, żeby moje dzieci poznały inną prawdę niż ta, którą głoszą kapłani.

- Oni znaleźli Naszyjnik. I wysłali go poprzez czas, w epokę, gdy druidzi wciąż dysponują mocą. Mówią, że tam go przebudzą.

- To obłąd. Za moich czasów nawet druidzi nie odważyli się badać granic jego mocy. Czerpali zeń, ale dali mu spać. Czy Naszyjnik ma Nosiciela?

- Tak. To zwykły dzieciak. Nie jest przygotowany.

- Nikt nie jest przygotowany! - głos kamienia zadudnił jak skalna lawina. - Mój ojciec był świętym królem, wtajemniczonym w misteria druidów i hartowanym na władcę. Pod dotykiem obręczy jego serce stopiło się i szerniało jak smoła.

- Ten... Nosiciel... on nazywa się Igi. Nie mogę do niego dotrzeć. Czy on umrze?

- Umrze, tak. I nie tylko on. Umrze wszystko, gdy on się rozpadnie, a Dzieci Lasu pochwyć Naszyjnik. Dzieci głupie, mogły zapomnieć i nie wiedzieć. Nie można chwycić Naszyjnika. Wy teraz jechać na koń i nie móc zatrzymać. A koń głuchy, ślepy i bardzo szalony. - Głos kamienia brzmiał teraz dużo słabiej.

Jego słowa miały tak archaiczny akcent, że nawet Kierczyński, który jako jedna z sześciu osób na ziemi biegle władał starożytnym galijskim, miał kłopot ze zrozumieniem słów.

- Wiesz, jak go ocalić?

- Ty tego nie zrobisz. Las teraz zamknięty, potrzebny specjalny dar - odpowiedział kamień. A potem powiedział mu imię.

- Jak mam go przekonać? - zapytał Kierczyński.

- Musisz uwierzyć. Musisz być prawdziwy. Dałem ci odpowiedzi. Nie zmarnuj ich, człowieku nowych dni.

Kierczyński odłożył kamień z ulgą. Sposób, w jaki głos kamienia przemawiał wprost we wnętrzu jego czaszki, przyprawił go o ból głowy. Potem udał się do Komnaty Zaklęć.

## ROZDZIAŁ 14

Bedevir nie wskoczył za Mab do tunelu. Zatrzymał się w bramie i uważnie zlustrował wnętrze amfiteatru. Łucznicy kryli się na trybunach dla widzów. Mogli stamtąd ostrzeliwać ulice i

rynek. Czuł, że z ukrycia obserwują go liczne oczy. Część galeryjek była zadaszona, a z zakratowanych piwnic dla dzikich zwierząt dolatywała smuzka dymu. Ktoś właśnie przypalał zupę z soczewicy. Gdy wszedł na dziedziniec, brama zawarła się za nim z chrzęstem. Na środku znajdowały się studnia i mały kramik, spora część areny porośnięta była sadzonkami. Sądząc po wysokich tyczkach, uprawiali tu groch. Z honorowej, dygnitarskiej loży patrzył na niego wysoki, starannie wygolony mężczyzna w purpurowej tunice. Bedevir poczuł się jak oczekujący na werdykt gladiator. *Morituri te salutant*. Wiedział, że łucznicy wciąż do niego celują. Z tej odległości nie mogli spudłować.

- Chociaż... Może obejdzie się bez przemocy - zastanowił się mężczyzna. Ugryzł coś, co wyglądało jak zdziczała gruszka, słodki sok spłynął mu po rozlazłych policzkach. - Odzyskasz swoją kobietę, jeżeli pomożesz nam kogoś znaleźć. Chodzi o jednego dzieciaka. Małą dziewczynkę, może z osiem lat. To złodziejka i czarownica. Przeprowadź ją tutaj.

- Nie rozumiem... Jak dziecko w tym wieku może być czarownicą?

- Nie musisz rozumieć. Ważne, że ja, Markus Fabrycjusz, wiem, o czym mówię. I w żadnym razie nie kłamię. Bądź co bądź, jestem senatorem i namiestnikiem rzymskim.

Bedevir pokiwał głową. Wszystko było już jasne. To wariat. Na wyspie od ponad stu lat nie pojawiali się rzymscy urzędnicy. Biskupi i ludzie Kościoła, owszem. Tępiciele herezji i ich czarne owieczki. Awanturnicy. Ale nie urzędnicy. Nawet w Italii senatorowie kryli się w zrujnowanym Rzymie i byli zakładnikami Gotów lub Bizantyjczyków, zależnie od kolei pustoszącej półwysp wojny. Insignia zachodniego cesarstwa, odesłane przez uzurpatora Odoakra, od pół wieku spoczywały w Konstantynopolu. Od tamtej pory senat Wiecznego Miasta nie prowadził polityki zagranicznej, ograniczając się do naprawiania akweduktów i murów miejskich. Nawet gdyby jakiś rzymski senator zabłąkał się na wyspę, nie ukrywałby się w ruinach jak szczur.

- Wierzę ci, panie - powiedział, najuprzejmiej jak umiał.

Mężczyzna na trybunie uśmiechnął się i klasnął w pulchne dłonie.

- Obywatele, nie chowajcie się! Nic wam nie grozi.

Z zadaszonych galerii i piwnic wychynęło kilka nędznie odzianych kobiet z dziećmi, pojawili się również łucznicy z galerii. Bedevir zorientował się, że trybuna Fabrycjusza pełni funkcję królewskiego pałacu. Arena stała się placem targowym, a życie toczyło się na obrzeżach. Wyglądało to tak, jakby ocalali mieszkańcy Valcester przenieśli tu resztki swojej egzystencji skurczone w odpowiedniej proporcji. Dla tej garstki niedobitków ufortyfikowany cyrk stał się całym światem. Takim, którego wciąż mogli bronić, w przeciwieństwie do rozległych murów miejskich.

Otakował wzrokiem tubylców i skrzywił się lekko. Może i byli obłąkani, ale broń mieli jak najbardziej prawdziwą, z wojskowych magazynów i wyposażenia areny. Ochroniarz Fabrycjusza obnosił kuriozalną kombinację kilku gladiatorских kompletów. Tracki hełm, samnicki pancerz, do tego sfatygowany trójząb. Wyglądał cudacznie, lecz poza żelastwem skompletował też zestaw blizn i wyglądał na kogoś, kto potrafi tym sprzętem wywijać. Niektórzy mieli zbroje legionistów, pocernione węglem dla ochrony przed wilgocią. Do tego okrągłe tarcze i krótkie gladiusy. Potężny, jasnowłosy mężczyzna, ani chybi potomek osadników wojskowych, ścisnął masywny topór.

Otwarty atak nie wchodził w grę. Tubylcy gapili się na Bedevira z czujną wrogością i jakimś tępym oczekiwaniem, wymieniając uwagi w bełkotliwej, niezrozumiałej łacinie.

Fabrycjusz skrzyżował tłuste ramiona i wyduł wargi. Wyglądał, jakby zaraz miał dać znak rozpoczęcia igrzysk. Dokładnie tacy dranie doprowadzili cesarstwo do upadku, pomyślał wojownik z odrazą.

Nawet dziś spotykało się ludzi z inklinacjami do biurokracji i skubania cudzych sakiewek. A co dopiero w latach *prosperity*. Ci dranie wysysali z prowincji każdy grosz i obracali wolnych chłopów w niewolę. Cholerne cesarskie wszy. A potem dziwili się, że zdesperowani mieszkańcy prowincji przechodzą na stronę barbarzyńców.

- Polowanie na dzieci to nie w moim stylu - powiedział Bedevir.

- Cieszę mnie twoje skrupuły, przyjacielu. W dzisiejszych czasach to rzadkość. Ale nie ma powodów do obaw. Sumienie będziesz miał czyste. Mała to czarownica, dopuściła się wielu zbrodni. Otruła naszych obywateli i rozpuszczała kłamliwe plotki. Poza tym ukradła nam coś bezcennego - tłumaczył Fabrycjusz cierpliwie.

- Jak rozpoznam ten przedmiot? - Rycerz nadstawił uszu.

Fabrycjusz pomacał się po tłustym karku. Wydobył spod tuniki ciężki klucz, który nosił na złotym łańcuchu. Podsunął go pod światło, żeby wojownik mógł się przyjrzeć, i wskazał na wrota areny. Po bokach odrzwi stały ciężkie wozy wypełnione drewnem. Barykadowali nimi bramę.

- To klucz do bram miasta. Wykradła nam drugi egzemplarz. Dzięki temu ma dostęp do naszych piwnic i składów. I w każdej chwili zagraża nam zdradą - wyjaśnił dostojnik.

Bedevir pokiwał głową. Los imperium spoczywał na włosku.

- Gdzie powinienem jej szukać?

- Zaszyła się w ruinach. - Mężczyzna wskazał ręką poza mur areny. - Zna te rumowiska jak szczur. Za nic nie da się podejść.

Bedevir pożegnał tych pokurczonych „Rzymian” i odszedł z wyraźną ulgą. Miał

nadzieję, że szybko odnajdzie złodziejkę i Mab nie stanie się nic złego. Resztę dnia on i Rhodri spędzili na przeczesywaniu ruin. Nigdzie nie spotkali mieszkańców. Najwyraźniej nie opuszczali areny. Na obrzeżach trafili za to na ludzkie szczątki i ślady walki. Miasto musiało ulec najazdowi podczas jednej z pierwszych inwazji. Sto lat temu, może jeszcze wcześniej. Kiedyś mieszkało tu pewnie kilka tysięcy ludzi.

W końcu zapadła noc. Po ciemku były drobiazgi, takie jak pogruchotane szkielety i splądrowane domostwa, wydają się naprawdę złowieszcze. Można też wpaść do piwnicy i skrócić kark. Schronili się na dziedzińcu jakiegoś domu i z ulgą rozpalili ogień. Nad ich głowami ścigały się nietoperze, powietrze pachniało zdziczałym bzem.

\* \* \*

Ceinwen obserwowała ich z ciemności. Potem znudziła się i wróciła do domu. Wiedziała, że są obcy. Rozpoznawała głos każdego z mieszkańców areny. Domyślała się też, co ich tutaj sprowadza.

- Szukają mnie - powiedziała, krztusząc się kaszą jęczmienną.
- Nonsens - skwitowała matka. - I nie gadaj z pełnymi ustami.

I tak było zawsze. Cała Betsi. Każdego popołudnia znajdowała w Ceinwen jakiś szczegół, który pozwalał ją skarcić. Nigdy nie była w pełni zadowolona. A przecież to ona, Ceinwen, szukała wody, mąki, owoców i drewna na opał. To ona odkryła przejście do składu wina starego Stykusa. To ona znalazła klucz. Rodzice nigdy nie wychodzili. Matka krzątała się w domu, a ojciec gapił w ścianę. I nigdy nic nie mówił.

Oni się nie otrząsną, uświadomiła sobie nagle. Nie będzie tak jak dawniej. Już nigdy. Po prostu zdarzyło zbyt wiele złych rzeczy. Siedziała w milczeniu przy stole, brodę podparła piąstkami. Gorąca kasza wydymała jej policzki i parzyła podniebienie. Nie była w stanie jej przełknąć. Z upokorzeniem powitała pierwszą łzę, która spłynęła po jej brudnym nosie i spadła do miski.

- Skarbie, dlaczego płaczesz? - Betsi położyła jej na ramionach spracowane dłonie.
- Boję się. Tego miejsca i ludzi z areny. Wszystkiego.
- Wyjedziemy stąd. Obiecuję.
- Stale to powtarzasz. Najpierw mieliśmy przeczekać zimę. Później czekaliśmy, aż Ithelowi minie kaszel. Potem miały minąć wiosenne roztopy, żeby trakty zrobiły się przejezdne. A teraz? Pewnie będziesz chciała przeczekać sierpniowe upały!

Matka pogłaskała ją po włosach. Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Następnego dnia Ceinwen zrobiła swoją codzienną trasę. Przemknęła główną aleją, minęła warsztaty, w

których czasem buszowali Dziwni. Potem ukryła się w rosnących przy murze łopianach. Cieszyła się na samą myśl o tym, że zaraz zobaczy las. W porównaniu z ruinami był taki żywy i młody. Wzrastał, podczas gdy Valcester się rozpadało. Ceinwen nie знаła innych miast ani nawet wiosek. Przybyła tu z rodzicami rok temu. Przedtem mieszkali nad morzem, ale któregoś ranka przyplłynęli źli ludzie i nie można było tam zostać. Na drogach też było mnóstwo złych ludzi i w końcu zrobiło się tak, że przez miesiąc prawie nie wychodzili z puszczy. Było lato, więc znajdowali dość owoców, a Thiel, jej ojciec, był niezłym myśliwym. Jesienią dotarli do ruin Valcester.

Dziewczynka wyslizgnęła się przez bramę miejską i zobaczyła obcego. Był niewysoki, stał odwrócony tyłem i rozmawiał z czymś, co kryło się wśród krzewów. Zamarła jak spłoszone zwierzątko gotowa w każdej chwili czmychnąć i rozplynać się w trawie. Ale mężczyzna nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów. W ogóle na nią nie patrzył. Karmił jakieś stworzenie. Jakieś! Był to najładniejszy jelonek, jakiego widziała w życiu.

- Nie jesteś stąd, prawda? - spytała poirytowana, że nie zwraca na nią uwagi.

- Nie jestem - przyznał się człowiek. Mimo że bury kaptur opadał mu na oczy, sprawiał wrażenie dobrodusznego.

- Oni nigdy nie wychodzą za dnia - powiedziała Ceinwen. - Ci z areny. Są dziwni. Wychodzą nocą i zawsze się czegoś boją.

Mężczyzna pokiwał głową. Wyjął z kieszeni kawałek owczego sera i zaczął żuć. Miał też chleb, prawdziwy biały chleb bez otrąb i kawałków kory. Zaburczało jej w brzuchu. Ale za nic nie poprosiłaby go o kawałek. Mama zabroniła jej rozmawiać z obcymi.

- Jestem Rhodri - powiedział. Miał pogodny uśmiech. - Co powiesz na małe śniadanko?

Chwilę potem maszerowali już przez zasypaną gruzem uliczkę Valcester. Ceinwen uparła się, że zaprosi go na prawdziwe śniadanie. Takie, jakie robiła tylko jej mama. Opowiedziała mu o racuchach z jagodami, jarzębiną i miodem oraz najlepszym na świecie placku ze śliwkami. Pewnie, że teraz nie ma śliwek. Na jarzębinę też trzeba poczekać do jesieni. Nie była przecież głuptasem. To on był, bo nie wiedział, że Betsi robi najlepsze konfitury na świecie. Rhodri dreptał za nią i z podziwem obserwował, jak wynajduje odpowiednie przejścia i ścieżki. Poruszała się zwinnie jak fretka. Przeszli przez zamaskowaną dziurę w murze i wspięli się po ukrytej drabince. Jeszcze schodki do piwnicy, korytarz i...

- Betsi? Przyprowadziłam ci gościa!

Rhodri zajął się śladem za nią, uprzejmie uchylając kaptur. W pomieszczeniu było ciemno, unosił się odór stęchlizny. Druid zapalił ogarek i upuścił go z głośnym krzykiem.

\* \* \*

Glutus przegrywał walkę z dokuczliwym świadem. Wszystko przez ten kamuflaż. Jego twarz pokrywała gruba warstwa tynku. Kiedy siedział we wnęce siedziby cechu rybnego - swego czasu w Valcester były znakomite stawy - nie odróżniał się niczym od towarzyszących mu gargulców. Ostatni przewodniczący cechu miał osobliwy gust i, jak na kupca, nader wybujałą fantazję. Albo wyuzdaną. Na jego polecenie syryjski rzeźbiarz z Palmiry przystroił cechowy gmach rzeźbami tak szalonymi, że pasowałyby bardziej do burdelu lub siedziby występnej sekty niż do uczciwej placówki handlowej.

Na szczęście Glutus był z natury odrażający i pokrecony. Wyróżniał się nawet na tle zredukowanej estetycznie populacji Valcester, w której odsetek odchyień był zatrważająco wysoki. Przy gargulcach wyglądał po prostu zwyczajnie i właśnie dlatego lubił tę robotę. Jeżeli ktoś zbliżał się do bramy, Glutus strącał kamyk, który spadał w blaszaną rynnę. Specjalny system rur i zapadni przenosił pogłos aż na arenę, nie powiadamiając intruzów, że ich wtargnięcie zostało zauważone.

Nie żeby intruzów było ostatnimi czasy wielu. Przybywali tu może dwa, trzy razy do roku. I zawsze spotykali się z gościnnością. Teraz jednak Fabrycjusz obawiał się, że ostatni przybysze mogli być częścią jakiejś większej grupy. Dlatego Glutus wrócił na stanowisko obok maszkar i wysmarował sobie gębę tynkiem. Jak się okazało, samozwańczy senator po raz kolejny miał nosa.

O wilku mowa. Pomyślał, że jeżeli zaraz nie kichnie, umrze. Pokraczny mężczyzna ostrożnie złapał się za nos. Oczy wypełniły mu się łzami. Dwa metry pod nim barbarzyński piechur rozglądał się czujnie.

- Nikogo tu nie ma. To wymarłe miasto - zawołał.

Cynric roześmiał się pogardliwie.

- Trop prowadzi aż tutaj. Wyraźny. Tropiłem Hunów na stepie. Nie zgubię brytyjskich baranów - warknął.

Wojownik zgodził się z nim pospiesznie. Na pewno ukryli się w kanałach, to rozległy teren. Miasto prawie jak Londinium, powiedział.

Cynric machinalnie kiwał głową. Nagle rozległ się ohydny, mlaszczący dźwięk. Ostatnia aria rozdeptanej purchawki. Sas wyrzucił rękę w górę i złapał jeden ze szpecących kamienice posągów. Towarzyszący Cynricowi wojownik spojrzał na niego szeroko rozwartymi oczami. A posąg wrzasnął.

Krzyk doleciał do uszu Bedevira, który czuwał na dziedzińcu pobliskiej willi, niegdyś



okazałej. Ostrożnie wyjrzał zza węgła. Zobaczył charakterystyczne, przysadziste postacie barbarzyńców. Dobrze ponad setka ludzi, kierowali się w stronę amfiteatru. Do nozdrzy rycerza doleciała odrażająca woń zjełczałego masła, którym Germanie smarowali sobie włosy, brody i całą resztę. Przekłète dzikusy. Już lepsza była oliwa, ale Bedevir, jak każdy szanujący się Celt, do pielęgnacji ciała używał wyłącznie wieprzowego smalcu.

Nie spodziewał się saskiego pościgu i była to najgorsza rzecz, jaka mogła mu się przytrafić.. Gorsze było chyba tylko to, że tubylcy, jedyni potencjalni sprzymierzeńcy, sprawiali wrażenie szaleńców.

- Fatalna sytuacja, stary - powiedział do Elpyra, który prychnął i obojętnie zanurzył łeb w worku z obrokiem.

Wylupiaste oczy konia nie kryły w sobie nawet odrobiny współczucia. Jeśli już, to łypały na niego z szyderstwem. Czasem przychodziło mu do głowy, że w jego bezczelnym rumaku zamieszkała tak naprawdę dusza kota. Aczkolwiek posiadał kopyta, Eplyr był wprost stworzony do włóczęgi po płotach i piwnicach, samowoli, bezwzględności i próżniaczego egoizmu. Nie miał w sobie nawet krztyny oddania właściwego zwierzętom stadnym.

Kamień obsunął się z chrzęstem i na dziedzińcu wylądował jego rozkoszny przyjaciel, druid. Kolejny kot. Tyle że ten zamienił się na duszę z człowiekiem. Czy na świecie nie było już ludzi obowiązkowych?

- Niech zgadnę, nie znalazłeś dziewczynki. Klucza też nie znalazłeś. Nie mamy jak wyciągnąć stąd Mab. Ale to nic. Do miasta zawitali nasi starzy znajomi, Sasi. Przebijesz te rewelacje? - zapytał rycerz.

Druid pokręcił głową. Cały dygotał, jego twarz miała odcień jadowitej zieleni. Rozejrzał się i zwymiotował na grządkę zdziczałych róż.

- Znalazłeś piwniczkę z winem? - zainteresował się rycerz.

Druid otarł usta i posłał mu piorunujące spojrzenie.

- Poczekaj, aż sam to zobaczysz.

Zaprowadził go do niżej położonej części miasta. Kiedyś znajdowały się tu dzielnice biedoty. To tutaj spływały rynsztokami nieczystości z okolic willowych. Sporo budynków zachowało się. Niszczycielski najazd, który położył kres miastu, oszczędził domy, w których nie było nic do łupienia. Rhodri rozgarnął kępę łopianów i wskazał Bedevirovi zamaskowany korytarz. Rycerz spojrział na niego pytająco.

- Nie mogę - powiedział druid. - Za dużo tu magii. Dzikiej... nieprzetworzonej.

Znowu dopadły go torsje. Bedevir splunął z politowaniem i wlażł do korytarza, ostrożnie trzymając pochodnię. Druid jęknął i powłókł się za nim. Korytarz zaprowadził ich

do rozległej piwnicy. Pod ścianami piętrzyły się beczki, zatechłe powietrze mocno woniało winem. Jakimś cudem niszczyciele miasta, Piktowie albo Szkoci, przegapili ten składzik. Z pomieszczenia obok dobiegały ich spierające się głosy. Bedevir nadstawił uszu. Nie mógł określić, czy słyszy kłótnię dwóch osób czy monolog jednej. Dziecięcy głosik wyrzucał coś jakiejś Betsi, która strofowała dzieciaka. Podkraść się do drzwi.

Przy suto zastawionym stole siedziała mała, złotowłosa dziewczynka w zgrzebnej sukience, która kiedyś była workiem na zboże. Na szyi dyndał jej masywny żelazny klucz. Dziewczynka gadała i gestykulowała zawzięcie, ale jej niebieskie oczy były martwe, jakby wypalone od wewnątrz. Poza nią pokój był pusty. Jeżeli nie liczyć ciał. Wysuszonych na rzemień zwłok mężczyzny i kobiety, rozpostartych na ławach, z głowami opartymi o ściany. Bedevir dotknął nadgarstka kobiety. Był suchy, ale przedtem zniekształciło go gorąco. I wilgoć. Przypomniawszy mu się warsztat garbarski, w którym kolonowie ojca wyrabiali kaftany i rzemień. Skóra zmarłej miała nietypową fakturę. Wyglądała, jakby ktoś ugotował ją żywcem.

## ROZDZIAŁ 15

Ludzie z Valcester traktowali ją dobrze, ale Mab nie opuszczały złe przecucia. Mieszkańcy miasta skrywali jakiś sekret, czuła to w ich spojrzeniach i niewypowiedzianych słowach. Bedevir jeszcze nie wrócił i dziewczyna modliła się, żeby jego poszukiwania trwały jak najdłużej. Tak długo, jak długo szuka, są im do czegoś potrzebni. Ale najbardziej niepokoił ją Igi. Zdołała uzyskać tyle, że pokraczny senator, Fabrycjusz pozwolił jej czuwać nad rannym.

Chłopak gorączkował i majaczył, rana na spuchniętej szyi jątrzyła się i ropiała. Nawet gdyby zrujnowane miasto było puste, i tak nie byłoby w stanie jechać dalej. Nie umarł ostatniej nocy, lecz niewiele brakowało. W dodatku druid gdzieś znikł, a tylko on mógł coś w tej sytuacji poradzić.

Pałacu strzegli strażnicy, ale w jego obrębie pozwolono jej chodzić swobodnie. Okazało się, że był tutaj ogromny kompleks łaźni i wanien.

O takich miejscach słyszała od starców. W jej rodzinnej osadzie, garnizonowym miasteczku u stóp Muru, weterani snuli w zimowe wieczory długie opowieści, jakie to cuda istniały „za Cesarza”. Schowana za marmurową kolumną, wpatrywała się w baseny i wanny z brązu, a także ołowiane rury, którymi czarodziejską sztuką płynęła gorąca woda. Wszędzie stały posągi, lustra i dziwne urządzenia, których zastosowania nie знаła. Mieszkańcy utrzymywali łaźnie w nienagannym porządku i opowiadali o nich z dumą. Kazali Mab wykąpać się w jednej z wanien i wtedy zrozumiała, jak ludzie żyli „za cesarza”. Było to życie tak przyjemne, że doszła do wniosku, że w tamtych czasach bogacze musieli tylko pić wino i pławić się w gorącej wodzie. Ona nie robiłaby na ich miejscu niczego innego.

Z rozmyślań wyrwał ją hałas. W pałacu rozległ się rumor i gniewne okrzyki. Mab przycupnęła za kolumną, wyszeptała modlitwę do bogów. I wtedy usłyszała głos.

- Jak to mamy ściągnąć futra?! We łbie ci się pomieszało? Od tego się można zaziębić!

Markus Fabrycjusz, ten sam uczynny człowiek, który zaproponował jej dziś rano skorzystanie z miejskich łaźni, zginał się cały w ukłonach. Za nim do pomieszczenia wmaszerowała grupka sześciu ogromnych Sasów. Dwóch wlokło pod ramiona Igiego. Był ledwo żywy, nie musieli go nawet wiązać. Mab skuliła się. Jeżeli te psy go uprowadzą, z pewnością nie przeżyje podróży.

Wódz barbarzyńców, ten młody, w dziwnej zbroi, rozglądał się zaciekawiony. Kiedy

znalazł się przed wielkim zwierciadłem, podskoczył i dobył miecza, potem zaśmiał się i zastukał w szkło. Na ramieniu Sasa siedział ptak. Był to stary sęp z kostropatą szyją. Ptaszysko zaskrzeczało gniewnie sfatygowane jak długoletni gruzlik. Mokre od pary pióra lepiły mu się do kości, nadając mu godny pożałowania wygląd. Wojownik nakarmił ptaka skrawkiem surowego mięsa i rozłożył ręce w przeproszającym geście.

- Przykro mi, Werusku. Naprawdę, bardzo nam pomogłeś. Nikt temu nie zaprzecza, nikt nie neguje twoich zasług. Bez ciebie nigdy byśmy ich nie znaleźli. Ale sam mówiłeś, że zamiana kształtu bywa trudna do odczynienia.

Ptak sfrunął z ramienia Sasa i gniewnie bijąc skrzydłami, podleciał do Igiego. Wyglądał, jakby chciał dziobnąć go w szyję. Igi powstrzymał się z trudem i nie ukręcił ptaszysku łba. Zamiast tego odetchnął głęboko i położył mu rękę na głowie. Zwierzę zakotłowało się i przeszło w obłok migotliwego dymu, z którego wyłonił się sponiewierany starzec. Rzucił im gniewne spojrzenie, zaskrzeczał i zesrał się na kafelki. A potem usiadł, z brodą na podwiniętych kolanach i dłońmi splecionymi na łydkach. I zasnął.

Cynric odetchnął z ulgą. Zrzucił z siebie większą część przyodziewku i wrócił do pertraktacji z Fabrycjuszem.

- Słuchaj no, Rzymianinie. To miło z twojej strony, że chcecie nas ugościć. Dobrze jest się obmyć, wymoczyć po marszu i znojach. Sądzisz pewnie, że was nie zabijemy w zamian za tę uczynność. I owszem, przemknęło mi to przez głowę. Ale to była bardzo ulotna chwila. Nie myślisz chyba, że pozwolę się obrażać.

- O czym ty mówisz, panie? - wyjąkał Fabrycjusz.

Z jego gestów ulotniła się dawna buta. Przypominał teraz zestresowanego balwierza, który właśnie odciął ucho bardzo niebezpiecznemu klientowi. I nie zdążył poderżnąć mu gardła.

- O towarzystwie. O kobietach, na młot Thora i kutasa Freja. Nie będziemy się moczyć we własnym towarzystwie, jak jacyś obmierzli Greczyni. Może być nawet twoja rodzona córka, nie jesteśmy wybredni.

- Kiedy u nas nie ma ładnych dziewczek - Fabrycjusz nie zazgrzytał zębami tylko dlatego, że za bardzo szczękały.

- Nic dziwnego. Musiałyby być ślepe. No to chyba nici z gościny - Cynric obrócił w dłoniach oszczep.

Fabrycjusz uśmiechnął się przeproszająco i szepnął coś słudze, pokracznemu człowieczkowi z twarzą wymalowaną na białą.

- Coś się jednak znajdzie.

Mab odwróciła się i zaczęła oddalać się na palcach. Nagle miękka, wilgotna dłoń zakryła jej usta, poczuła ciężką woń perfum.

- Chcesz żyć? - syknął Fabrycjusz.

Pokiwała głową.

- To staraj się być miła. I piękna.

Służące starannie rozczesały jej włosy, a potem namaściły je ciemnymi olejkami. Masażyści wtarli w jej skórę perfumy, natarli jej nawet włosy na dole. Nie wiedziała, czy bardziej pragnie zabić ich za zuchwalstwo, czy wybuchnąć śmiechem. Ale dotyk wyćwiczonych placów był zręczny i bardziej miły, niż byłaby skłonna przyznać.

Gdy służby Fabrycjusza skończyli i podstawili jej okrągłe zwierciadło, nie mogła powstrzymać zadowolonego uśmiechu.

Gdyby Bedevir mógł ją teraz zobaczyć, pomyślałby, że jest prawdziwą księżniczką. Brytyjską księżniczką, pomyślała i zagryzła wargi. Kogo ty chcesz oszukać, dziewczyno. Dla niego jesteś tylko ładnym rozczarowaniem. A potem służby narzucili na nią kosztowną jedwabną szatę i poprowadzili do łaźni. Powitały ją gwizdy i ryki, twarze barbarzyńców poczerwieniały z zapachu. Dostrzegła, że Fabrycjusz odetchnął z ulgą.

Mab nie zawitała do basenu jak cypryjska Wenus. Strząsnęła z siebie ręce ludzi Fabrycjusza i rozejrzała się gniewnie, prychając niczym kotka. Twarz dziewczyny była ściągnięta, smukłe, proporcjonalnie zbudowane ciało stężało z gniewu. Z pogardą zmarszczyła nos, dając do zrozumienia, jak bardzo drażni ją smród barbarzyńców. Jej fryzyjscy współplemieńcy również mieli dziwne zwyczaje, ale od pokoleń mieszkali w nowym kraju i trochę się ucywilizowali. Ludzie Cynrica cuchnęli naprawdę potwornie. Niektórzy, szczególnie przywiązani do tradycji, nie zmywali z siebie masła przywiezionego aż z Szlezwiku, Hedeby czy innych saskich wiosek. Obnosili swój smród jak amulet, wspomnienie dzieciństwa, domu. W końcu jechali w nieznaną i nie wiedzieli, czy wyspiarskie smarowidła dadzą radę zastąpić ojczyste.

Dziewczyna rozglądała się, mrużąc pogardliwie oczy. Zatrzymały się na najmłodszym, nazywanym przez towarzyszy Cynricem. Wyłuskały jego żądzę, podziw i zachwyty.

Skupiona twarz Mab zadrgała, lawina sprzecznych uczuć poruszyła skorupę śniegu. Przygryzła wargi, zwalczyła formujący się na nich uśmiech. Cynric zdębiał. Stał przed nią w samych gaciach, wciąż ściskając w ręku niedźwiedzią szubę. Starsi Sasi patrzyli na dziewczynę obojętnie, ot, dorodny kawał mięsa. Co innego młokos. Wpatrywał się w nią w nabożnym oszołomieniu. Tak jakby z każdą sekundą zaciągał się berberyjskim haszyszem. Wreszcie otworzył usta, wybełkotał coś pod nosem o „niepowtarzalnym pięknie” i zamarł,

całkiem straciwszy rezon. Jego kompani nie posiadali się z radości.

- Nie tak się to robi, Cynric! - zawołał rudzielec z bliznami.

- Najpierw ruchasz, potem gadasz. Inaczej ci wejdzie na głowę.

- Gówno tam! Najpierw ciachasz, potem ruchasz, a potem nie gadasz! - zarechotał inny, zezwierzęcony zbir z cofniętym czołem debila.

Mab całkowicie ich zignorowała. Jej ruchy nabrały jakiejś pieszczotliwej miękkości, skupionej na sobie kokieterii. Oparła ciężar ciała na prawej nodze, wysuwając do przodu biodro. Lewa stopa wspierała się po smukłej kostce. Za plecami miała wielobarwne mozaiki, przedstawiające pogańskie bachanalia. Sama czuła się jak nimfa otoczona przez bandę cuchnących kozłów. Ich spojrzenia paliły, ale nie były niemiłe. Składali jej hołd. Szczególne ten młody, który patrzył na nią jak nikt przedtem. Powoli zsunęła tunikę z prawego ramienia, odsłaniając obojczyk i krągłą pierś. Tkanina zdażyła już nasiąknąć parą i oblepiała jej ciało jak lubieżna mgiełka.

Cynric przełknął ślinę. Usta miał suche, jakby żuł rozpalony żwir. Kutasem mógłby przebić skałę. To musiały być czary. Ta kobieta zachwyciła go, gdy pierwszy raz ją zobaczył. Najpierw swoją urodą, potem hardością i butą, godną królowej z sag. Nie spotkał nigdy podobnej dziewczyny. Miał ją za kogoś podobnego do siebie, północną piękność, twardą jak zima i stal. Kobieta, która nie zawahałby się poderżnąć mu gardła w łozu, gdyby obraził ją skromnym darem albo za bardzo posiniaczył.

Teraz dostrzegł w niej coś zupełnie innego. Już wiedział, że dał się nabrać. Nie miał pojęcia, kim była, ale na pewno nie Fryzijką ani Saksonką, choć znała narzecze wolnych ludzi. Jej włosy były ciemne i upięte. Miała w sobie wdzięk, którym mogła go zabić. Wszystko, co otaczało dziewczynę - mozaiki, kadzielnice, posążki, wszystkie frywolne i nagie - zlewało się w jego duszy z jej urokiem. A potem, jak na złość, wrócił do siebie. Jakby go ktoś wtłoczył do ciasnej skrzyni i zawarł jej wieko kamieniem. Przed oczami przemknęły mu obrazy z dzieciństwa spędzonego nad północnym morzem. Szare i bezbarwne, poskładane z suszących się w bladym słońcu sieci i beczek sztokfisz, śnieżycy, deszczu i sztormów.

Ujrzał dorastanie i młodość, wschodnią puszcę i odległe stepy.

I kobiety, wszystkie, jakie w życiu posiadał. Ciężkie, jasnowłose dziewczuchy z wioski, zawsze zalatujące rybami. Skośnookie branki Awarów i Hunów, z ciałami poznaczonymi rytualnymi bliznami, z wydłużonymi czaszkami i spiłowanymi zębami. W tej ciemnowłosej Brytyjce zawierało się wszystko, co on, barbarzyńca, pragnął w tym kraju zagarnąć. Wszystko, co przegapił, wszystko, do czego się spóźnił. Co z tego, że podbije tę mglistą wyspę, zagarnie stada wołów i owiec, spali parę wsi albo zadymionych grodów na

wzgórzach? Jego lud przybył tu zwabiony blaskiem. I zgasił, zdeptał światełko. To, czego pragnął on i jego wygłodniali bracia; Swebowie, Wizygoci, Herule, to wszystko rozpadło się w proch.

Kiedyś można było przynajmniej marzyć. Liczyć na lepsze życie. Hen, na południu, w pogardzanym Rzymie. Dziś cały świat stał się biedny, nieokrzesany i głodny. Dotknięty, wbijał drzazgi.

Została mu tylko ona. Smukła, kremowoskóra dziewczyna, która właśnie zsuwała z siebie płachtę jedwabiu. Obrócona do niego pośladkami w kształcie jabłek, zbliżyła się do krawędzi basenu.

Nagle obróciła się na pięcie, mignęła ślicznymi piersiami. Cynric zakrztusił się, a ona dała nurka do basenu. Wynurzyła się tuż przed nim z włosami przylegającymi do czaszki. Z bliska jej uszy wydały się lekko spiczaste, kropelki iskrzyły się na piersiach jak rozsypana rtęć. Prychnęła na niego wodą. Spróbował złapać ją za rękę, a ona wymierzyła mu policzek, uśmiechając się przy tym bezczelnie. Cynric odwrócił się do swojej rozochoconej świty.

- Won - wybelkotał, kiedy już złapał powietrze. - Wypierdalać stąd wszyscy, ale już!

\* \* \*

Bedevir drżącymi rękoma mocował się z kratą w piwnicy domu Ceinwen. Dziewczynka wierciła się obok niego, w rękach miała dzbanek.

- Może napijecie się jabłecznika? Betsi mówi, że na pewno będzie wam smakować.

- Może innym razem - wystękał rycerz. - Trochę się spieszymy.

Ceinwen prześlizgnęła się między nim a Rhodrim i złapała za rygle. Bez wysiłku otworzyła zamek.

- To dobry klucz - powiedziała z dumą. - Należał do pierwszego szczurołapa z tego miasta. Zaraz po wielkich najazdach i pladze dżumy szczurów namnożyło się co niemiara. Ale potem, w latach głodu i długich zim, mieszkańcy wyłapali je do cna. Lasy były już wtedy nieprzejezdne, a wilków złaziło się tyle, że nie szło uprawiać pól. Nie przyjeżdżali goście i nie było co jeść. Fabrycjusz nakazał ukryć klucz do kanałów, żeby nikt go nie znalazł. Chciał, żeby szczury znów się namnożyły. Ale ja i tak go znalazłam.

- Dzięki, mała. Ale jak dotrzemy do lochów areny?

- Musicie dotykać ścian. Im bliżej centrum, tym będą cieplejsze. Są tutaj gorące źródła. Dlatego wciąż używają łaźni. Jeżeli wasza przyjaciółka wciąż żyje, to pewnie tam ją zabrali. Szukajcie gorąca, pary i pluskającej wody. I uważajcie, w tych łaźniach czai się śmierć.

Rycerz otworzył usta, żeby jej podziękować, ale dziewczynka znikła. Ruszył w

ciemność, popychając osłabionego druida. Rhodri milczał, ignorując pytania Bedevira. Zastanawiał się, co dostrzegający ukryte rzeczy druid zobaczył w piwnicy Ceinwen. Chociażby, co oni jedli. Na samą myśl o małej po jego plecach przeszedł dreszcz. Dziewczynka bardzo im pomogła, ale ciężko było wyczuć, czy wciąż była człowiekiem.

Przynajmniej nie łągała. Po jakimś czasie ściany stały się cieplejsze. Jeszcze kilkakrotnie forsowali ogromne, masywne kraty, z którymi świetnie radził sobie klucz szczurołapa. W pewnym momencie korytarz rozwidlił się. Za radą dziewczynki poszli w prawo. Ten fragment kanału wydzieliał słodkawy smród krwi, Rhodri poczuł, że robi mu się niedobrze. Jak na druida przystało, nie jadał mięsa, fasoli i grochu, unikając wszelkich pokarmów, w których mogły się odrodzić dusze ludzkie. A wiadomo było, że strączki nasion w rodzaju soczewicy czy bobu ściągały duszyczki jak magnes. Na mięso nawet nie patrzył. Jedynym wyjątkiem mogłoby być dlań święto koronacji, wraz z wodzem plemienia mógł napić się tłustego rosolu z obrzędowej klaczy. Ale współcześni wodzowie zaniedbywali te pradawne, nader kosztowne zwyczaje. Rhodri od przeszło dekady był przykładnym jaroszem i nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz najadł się do syta.

Kolejna krata. Korytarz szedł w górę, pod ścianami wyżłobione były rowki, którymi odprowadzano krew z areny. Ostrożnie wsunęli się do ponurej komnaty, pełnej grzechoczących łańcuchów, kozłów na broń i narzędzi tortur. Pod ścianami walały się sterty słomy, cuchnącej uryną i kałem. W kupie gałganów i trocin drzemał jakiś starzec.

Bedevir podkradł się doń bezszelestnie i przyłożył mu sztylet do gardła, zatkawszy przedtem usta.

Dziadyga szarpnął się i próbował kąsać, ale zaraz znieruchomiał uspokojony chłodnym dotykiem stali na drgającym jabłku Adama.

- Gdzie jest dziewczyna? - zapytał Bedevir spokojnie.

Zaropiałe oczka łypały na niego tępo. Powtórzył pytanie w barbarzyńskiej łacinie i w ślepiach starca błysnęło coś na kształt zrozumienia.

- W łaźni. W *caldarium* - stęknął. Przez jego kostropatą twarz przemknął niepewny grymas, może żal. - Szkoda jej. Ładna była.

Bedevir chciał zakończyć przesłuchanie sztychem, ale Rhodri wyręczył go, kładąc staruszkowi dłoń na czole. Mężczyzna zadygotał, zaseplenił i zwiotczał, po chwili z jego gardła wydobył się regularny charkot snu. Rycerz uśmiechnął się i z uznaniem pokiwał głową. Rhodri chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu odgłos kroków.

Niewzłocznie cofnęli się do kanałów, tym razem skierowali się w cieplejszą odnogę. Wraz z temperaturą rósł także smród, ta część kanałów musiała wciąż służyć ostatnim



mieszkańcom Valcester. Wreszcie dotarli do pomieszczenia, którego mrok rozświetlało słabe światło, bijące z zakratowanego otworu w stropie. Na szczęście metal okazał się skorodowany i po chwili znaleźli się w niewielkim, cuchnącym stęchlizną pomieszczeniu. W pokoju obok półnaczy mężczyźni pracowali przy kłębowisku rur i zaworów, które wyglądało jak ogromne laboratorium alchemika. Co ciekawe, nigdzie nie widzieli pieców.

- Czerpią z gorących źródeł - szepnął Rhodri.

Nagle do komnaty wpadł Fabrycusz w asyście dwóch zbrojnych. Łaziebni zgięli się w ukłonach. Tłumaczył im coś, gestykulując nerwowo. Na jego znak odkręcili specjalny zawór przy jednej z rur.

Dostojnik sapnął i zaczął sypać do niej białawy proszek z niewielkiego worka. Dorzucił też coś z drugiego woreczka.

Bedevir zrobił niepewną minę, wyrażającą sens zapytania „ki diabeł?”. Rhodri wzruszył ramionami. Nie miał zielonego pojęcia.

Fabrycusz opuścił pomieszczenie, łaziebni wrócili do swojej pracy. Bedevir z Rhodrim wyslizgnęli się w ślad za dostojnikiem. Kryjąc się za kolumnami, minęli pogrążoną w półmroku salę bez dachu, która wypełniała wielki pusty basen. Potem była mniejsza komnata z wannami z brązu i kolejna sala. Rozgrywała się w niej scena tak groteskowa, że rycerz musiał ugryźć się w policzek, by nie wybuchnąć śmiechem.

W wielkim, parującym basenie taplało się kilkunastu barbarzyńców. Wyglądali jak tłuste, żółtobrode foki. Sasi prykali w najlepsze, ale nie tracili czujności, a broń położyli w zasięgu ręki.

W cieniu posągu Artemidy siedział stary czarownik i kołysał się bezmyślnie na piętach. Na posadzce obok basenu leżał blady, czarnowłosy chłopak w złotym naszyjniku, skrepowany jak prosię na targ. Igi, ich ostatnia nadzieja. Pilnował go znudzony strażnik. Dalej majaczyło przejście do następnej komnaty, z której również dobiegały rozbawione śmiechy.

Nagle Bedevir drgnął. Przysięgłby, że właśnie usłyszał głos Mab. Odruchowo rzucił się do przodu i Rhodri musiał szarpnąć go z całej siły. Z tubylców w komnacie obecny był Fabrycusz i trzech posługaczy. Żaden nie miał przy sobie broni. Dwaj słudzy zginali się usłużnie, serwując gościom dzbany z winem i oliwą. Trzeci trwał nieruchomo, w rękach miał piszczałkę. Fabrycusz konsekwentnie przemieszczał się w stronę wyjścia. Był tak blisko, że mogliby chwycić go za tłuste łapska. Nagle dał znak swojemu słudze, który zagwizdał przenikliwie.

W powietrzu rozszedł się smród i Bedevir rzucił się naprzód. Znał ten zapach. Tak pachniał ług, którym ludzie jego ojca wyprawiali skóry dzików i saren. Było to sproszkowane

wapno z dodatkiem amoniaku odparowywanego z końskiego moczu. Zmieszane z wodą, ogrzewało się i pienilo, uruchamiając wokół siebie piekło. W kontakcie z gaszonym wapnem naskórek człowieka odchodził od ciała jak skórka z nadgniętej gruszki.

Wojownik pobiegł wzdłuż krawędzi basenu, z którego gramoliło się kilku zdeorientowanych Sasów. Zaskoczony strażnik Igiego próbował go zatrzymać. Krzyczał coś do pozostałych, ale jego wołanie zagłuszył głośniejszy wrzask.

Z otworów w ścianach basenu popłynęła żrąca, sycząca piana oraz jakaś niebieskawa ciecz, kłębiąca się w przezroczystej wodzie jak piekielny inkaust.

Był to zabójczy melanz i Sasi wyli jak katowane zwierzęta. Wapno wypalało zmiękczonej abluacją skórę, amoniak zaś sprowadzał omdlenie, z którego natychmiast budził ból. Ludzie konali po kilka razy, ich ciała eksplodowały purpurową pianą. Daremnie wczepiali się w ścianki basenu, zostawiając na ciemnym brązie fragmenty skóry i tkanki. Wapno wytrawiało, a basen przeistoczył się w wielki, parujący kocioł. Scena przypominała jakieś upiorne obrzędy, podczas których kapłani wróżyli z ofiarnej krwi. W takim garze bogini Bronwen warzyła wody z zaświatów, był to kocioł bolesnej obfitości.

Bedevir kopnął człowieka, który za nic nie chciał puścić jego buta, nagradzając jego oddanie zgruchotaniem mu kości jarzmowej. Wpadł do drugiej komnaty, targając za sobą oszołomionego Igiego. Ranny otworzył oczy, ale natychmiast je zamknął. Bedevir dobrze go rozumiał. To nic przyjemnego nagle obudzić się w piekle.

W bogato urządzonej komnacie znajdował się mniejszy basen, w którym również się kotłowało. Ale z innych powodów. Naga Mab wiała się w ramionach wysokiego, jasnowłosego Sasa. Tego samego, który upokorzył Bedevira pod Kamlann, a potem wygzekwował *wergeld* w Bukowej Przełęczy. Dziewczyna jęczała z bólu. Bedevir ruszył w jej stronę z wściekłością i nagle zatrzymał się. Na wszystkie kurwy Gomory. To niekoniecznie był ból.

Spojrzeni na niego oboje. Mab z przykrym zaskoczeniem i czymś w rodzaju zakłopotania, na pewno nie wstydu. Sas z czujnym wyrachowaniem, obliczaniem szans. I wtedy dziewczyna ugryzła swojego kochanka w rękę i odskoczyła od klnącego mężczyzny. Spojrzała na Bedevira dziko.

- Nie spieszyłeś się, do diabła!

Sas złapał się krawędzi basenu i podciągnął się. Rycerz kopnął go z całej siły. Cios zepsuł dumny kształt nosa rywala, który zakrzuszył się i poszedł na dno. Mab zawahała się i podtrzymała głowę tonącego.

- Może to tylko Sas, ale widziałam gorszych. Gdyby nie on, mieliby mnie wszyscy.

Nie zostawię go tak.

- Nikt ci nie każe. Zamierzam go zabić.

Mab zwinnie wydostała się z wody. Stała mu na drodze, w jej ręce zabłysnął nóż. Barbarzyńca uśmiechnął się zakrwawionymi ustami. Tego się nie spodziewał. *Cynric ocalony kutasem*. Bedevir spojrział na bezbronego wroga i splunął. Nie o takiej zemście marzył. I nie po trupie kobiety. Powiedzmy, że jesteście kwita. Ale tylko za Kamlann.

Zajrzeli do drugiej sali. Na widok rozszalałego tam piekła Mab zbladła i osunęła się miękko. Bedevir trzymał się jakoś, ale żołądek ścisnął mu się w gruzłowaty kłęb. Ludzie Fabrycjusza wpychali Sasów do wody długimi żerdziami. Inni zbierali broń i kosztowności.

- Pozostali szturmują bramę! - zameldował Rzymianinowi jakiś goniec.

Fabrycjusz machnął lekceważąco ręką.

- Przechodzimy do amfiteatru. Mogą nas tam oblegać choćby rok. Ważne, że pozbyliśmy się ich wodza i starszyny. Jak ujebiesz wężowi łeb, to reszta gówna może. I sprawdźcie, co z ciałem tego psa.

Obładowani Rzymianie pobiegli w stronę kanałów. Bedevir nie próbował im przeszkodzić. Zarzucił sobie Igiego na plecy i ruszył, zginając się pod ciężarem.

Wybraniec ważył teraz o połowę mniej, ale i tak było to o połowę za dużo. Na szczęście pomógł mu Rhodri. Druid zsunął się po jednej z kolumn, na której zwieńczeniu przycupnął. Twarz miał szarą jak gęsi smalec.

- Znalazłem Igiego i Mab. Zabierajmy się stąd - warknął Bedevir.

Mab szarpnęła go za ramię.

- Na ulicach jest pełno Sasów. Zabiją nas.

Jakby dla poparcia jej słów do łaźni wbiegło kilkunastu brodatych wojowników z ogromnym Hulfem na czele. Na widok Brytów unieśli topory i włócznie.

- Stać - zawołał ktoś władczym głosem, którego majestat osłabiała seplenienie.

Cynric słał się nogach. Był nagi, zakrwawiony i trzymał się za opuchnięty, złamany nos. Ale zachował dosyć autorytetu, by posłuchali go jak zatrwożone szczenięta.

- Ci Brytowie ocalili mi życie. Ależ się porobiło.

Obrzucił obojętnym spojrzeniem rozpuszczające się w basenach ciała i wzruszył ramionami.

- Chcę mieć łeb Fabrycjusza i jego psów. Co do jednego.

Bedevir ostrożnie opuścił miecz. Pokazał mu klucz.

- W kanałach jest przejście do ich kryjówki. Zaprowadzę was.

Cynric nie zastanawiał się. Zagłębili się w podziemiach. Zatrzymali się przed

masywną kratą strzegącą drogi do amfiteatru. Bedevir podał Sasowi klucz. Szczęknięty otwarte wrota, Cynric uśmiechnął się mściwie i odwrócił w stronę Brytów.

- Jesteście wolni. Ale nim to nastąpi, musicie się jeszcze wykupić - wymamrotał Cynric. Wzrok Sasa odszukał Naszyjnik, a potem prześlizgnął się po Mab, dziwnym trafem zarumienionej. Dziewczyna zbliżyła się do niego, rozchylając usta. Na twarz barbarzyńcy wychynał triumfalny uśmiech.

- Naprawdę, nie musisz...

Mab spojrzała mu w oczy, w jej źrenicach zamigotały psotliwe iskierki.

Nagle w jej dłoni również coś błysnęło. Coś, co do złudzenia przypominało sztylet.

- Rzućcie broń!

Ludzie Cynrica zrobili, co kazała.

- A teraz dacie nam spokojnie odejść. On będzie naszą gwarancją. Nie lękajcie się, włos mu z brody nie spadnie. Macie naszą przysięgę.

Cynric spiorunował swój oddział wzrokiem i jego ludzie cofnęli się, gorliwie kiwając głowami. Mab popchnęła Cynrica i wyjęła mu z palców klucz. Bedevir zarygłował potężną kratę.

- Nie macie teraz odwrotu, chłopcy - powiedział.

- Musicie ich wszystkich zabić. Zwycięstwo albo śmierć.

\* \* \*

Bedevir uparł się, że zabiorą małą Ceinwen ze sobą, ale Rhodri miał inne zdanie. W ogóle zachowywał się dziwnie. Przez dobre pół godziny siedział w otoczeniu wyprawionych trupów, gadając do siebie i mrużąc pod nosem. A potem kazał zostawić dziewczynkę w Valcester.

- Na ma tu wcale tak najgorzej - powiedział.

Z niechęcią, bo z niechęcią, ale Bedevir zgodził się. W kwestii duchów druid miał większe rozeznanie. A potem Rhodri opowiedział im o historii Valcester. Jak się wyraził, duchy rodziców małej były szalenie rozmowne i przekazały mu wiele interesujących szczegółów.

Valcester było kiedyś kwitnącym uzdrowiskiem, słynącym z gorących źródeł. Najpierw był najazd kaledońskich Piktów, który sto lat temu obrócił dumne miasto w perzynę. Pola zmieniły się w ugory, zarosły młodym lasem i miasto wyparowało z map. Zresztą wszędzie było wtedy podobnie, wydawało się, że barbarzyńcy rozszarpiały nieszczęsną Brytanię na strzępy. Ocalali nauczyli się żyć w ruinach, zmieniając miejski amfiteatr w

prowizoryczną warownię.

Życie toczyło się nadal, rodziły się dzieci, a dzuma i krwawe najazdy omijały ruiny Valcester. Wydawało się, że miasto odżyje. Zaczęli odwiedzać je kupcy i zabłąkani myśliwi, podróżnicy i poszukiwacze skarbów. Któregoś dnia zawitała tu banda łupieżców, zbieranina różnych ludów i plemion. Młody Markus Fabrycjusz zebrał obywateli w amfiteatrze. Patrzyli, jak ich zdziczali rodacy zarzynają krowy i świnie, których nie zdążyli ukryć. Fabrycjusz był wściekły. I wpadł na szatański pomysł. Wylał kanałami na powierzchnię i poszedł pogadać z wodzem rabusiów. Oznajmił, że mieszkańcy Valcester życzliwie witają wszystkich przybyszów, czy to Brytów, czy cudzoziemców. I zaproponował im leczniczą kąpiel. A wódz, wychowany na legendach o imperialnych luksusach, przystał na to z ochotą.

Przodkowie Fabrycjusza nie byli dostojnikami. Byli łaźiebny, ale w mieście takim jak Valcester czy Bath łaźiebny to zaszczytna funkcja. Fabrycjusz znał więc stary sposób oczyszczania basenów. Wpuszczano do nich mieszanę amoniaku i ługu z gaszonego wapna, identyczną jak ta stosowana przez grabarzy. Ten jad trawił każdy tłuszcz i nieczystości.

Z łatwością radził sobie ze zmięczonymi od ukropu ciałami pijanych gości. Oczywiście nie wszyscy korzystali z kąpeli w tym samym czasie. Kiedy zbóje wbiegli do środka i zobaczyli swoją starszyzną martwą, Rzymianie byli już zabarykadowani w amfiteatrze. Zdążyli skraść broń i kosztowności, zanim wymknęli się tajnym tunelem. Resztę intruzów, bezradną jak mrówki bez królowej, wytępilli w puszczy. Od tamtej pory mieszkańcy Valcester zmienili swój stosunek do obcych. Można powiedzieć, że gościnność stała się ich pasją.

\* \* \*

Po wyjściu z miasta rozwiązali Cynrica i dali mu odejść. Rhodri chciał pchnąć go nożem, ale Bedevir mu to wyperswadował. Postanowił dotrzymać umowy, choć chętnie zabiłby Sasa. Nie zapomniał o ojcu i bracie. Nie podobał mu się sposób, w jaki barbarzyńca patrzył na Mab. A jeszcze bardziej to, jak ona patrzyła na niego.

Ocaleli z piekielnej kąpeli, ale nie rozwiązało to ich problemów. Valcester mogło być uzdrowiskiem, ale Igiemu sił nie przywróciło. Był zbyt słaby, by móc jechać dalej. W końcu Rhodri poszedł na stronę i ostatkiem mocy przeobraził się w myszołowa. Przez resztę wieczora skrzeczał i prychał piórkami, ale było warto. Z lotu ptaka sytuacja wyglądała ciut lepiej. Znajdowali się blisko południowej ściany lasu. Dzień drogi stąd zamieszkiwał dawny mag Pendragona, sławny Myrddin Wylt. On jeden mógł uratować chłopaka.

Na odchodnym Rhodri obrócił się w stronę Ceinwen. Stała na kopczyku z gruzu. Obok

niej stały dwie rozświetlone postacie. Betsi i Ithel, nad wyraz sympatyczne upiory. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że mama Ceinwen ewidentnie była w ciąży. Rhodri zapytał ją, czy umarli mogą mieć dzieci, a ona odcięła się paradoksem w bardzo druidzkim stylu.

- Czy martwi mogą mieć dzieci? A ty z pewnością wiesz, czym jest życie, a czym jest śmierć. To pokaż mi, proszę, różnicę.

Nie bardzo to potrafił. Zwłaszcza po tym jak pani-upiór pocałowała go w policzek, zostawiając na nim wspomnienie ciepłych, wilgotnych ust. Są różne rodzaje życia i różne rodzaje śmierci, pomyślał. Miał nadzieję, że Ithel nie będzie zazdrosny.

Następnego dnia Ceinwen wreszcie poczuła, że przyszła wiosna. Powietrze zmieniło zapach, wszędzie unosiła się świeża woń spalenizny. Na ulicach pełno było zdeorientowanych barbarzyńców. Skończyli już wyrzynać miejscowych i teraz snuli się w poszukiwaniu trunków.

Ceinwen prychnęła z pogardą. Poznawała ten charakterystyczny odór. Stare, zjełczałe masło. Tacy sami brodacze wylądowali na plaży koło jej wioski rok temu. Wtedy bardzo się bała, ale dziś nauczyła się troszczyć o własną skórę. Wiedziała, że żaden Sas jej nie zauważy, o schwytaniu nie wspominając. Przeszła przez zamaskowaną dziurę w murze i wspięła się po ukrytej drabinie. Jeszcze schodki do piwnicy, korytarz i... złapały ją silne dłonie. Ceinwen krzyknęła zaskoczona. Ithel nigdy się nie ruszał. Trwał w swojej komórce jak zapomniany i bardzo nieciekawym gargulec.

- Martwiliśmy się o ciebie - rzekł ojciec. Jego głos miał szorstkie, chrapliwe brzmienie, jakby uczył się mówić po długiej przerwie.

- Przepraszam. W mieście był pożar - powiedziała.

- Może i był. Ale to jeszcze nie powód, żeby siadać do stołu z brudnymi rękoma - wtrąciła Betsi. Taka już była. Żadne rewelacje nie robiły na niej wrażenia. Ceinwen łypnęła na nią znad miski z owsianką. Niedobrze, matka miała zaczerwienione oczy.

Ithel stanął za plecami Betsi i objął ją mocno, splatając dłonie na jej brzuchu. Ustami musnął jej warkocz, a ona przytuliła się do niego, pieszczotliwie odginając głowę.

- Mamy dla ciebie dobrą wiadomość, córeczko - powiedział. - Możemy stąd odejść. Wreszcie.

- Ale dokąd?

- Daleko, daleko stąd. Gdzie wszystko będzie inaczej.

Zamarła z rozdziawionymi ustami.

- Dlaczego akurat teraz? Stało się coś?

Ithel uśmiechnął się dziwnie i skubnął zaczerwienioną skórę dłoni. Blizny po poparzeniach nigdy się tak naprawdę nie zagoiły. Ale teraz bolały go znacznie mniej. Może kiedyś... Zobaczy się. Zobaczy się, dobre sobie, kiedy straciło się oczy. Zadrżał pod naporem wspomnień i odrzucił to, puścił, zapomniał. Ciii. Puste oczy mężczyzny złagodniały, wpatrzyły się w odległą, jaśniejącą przestrzeń.

- Myślę, że nas pomściłaś, Ceinwen.

## ROZDZIAŁ 16

Kierczyński nie dzwonił więcej i Łukasz odetchnął z ulgą. Potem sprawa Igiego i tak zesłała na dalszy plan. Odezwał się jego szef. Zagórski potrzebował go na ważnym spotkaniu. Fundacja ubiegała się o cykl intratnych szkoleń. Kamil wytypował Łukasza na głównego prowadzącego. Nie ukrywał, że to dla niego szansa na odzyskanie nadszarpniętej pozycji. Być może ostatnia. Oferta pojawiła się w samą porę, w domu robiło się nieciekawie. Karolina miała już dosyć jego bezczynności i braku jakichkolwiek dochodów.

Urzednicy decydujący o rozdysponowaniu unijnych środków chcieli poznać go osobiście. Spotkali się w pięć osób. Kamil, Łukasz, dwoje urzędników i Paulina Makowik, psycholog, która kiedyś była jego superwizorem. Inaczej mówiąc, zdecydowała, że on, Łukasz Klimkowski, nadaje się do wykonywania zawodu. Łukasz czuł przed tą kobietą duży respekt. Sam nie był przekonany, czy rzeczywiście się nadaje.

Spotkanie upłynęło w miłej atmosferze. Nie zrobił z siebie durnia, nie powiedział niczego dziwnego. Z łatwością dobierał słowa. Przedstawił konkretny, nowoczesny program, urzednicy byli zachwyceni. Psycholożka początkowo przyglądała mu się z troską, ale też dała się przekonać. Kiedy goście wychodzili z gabinetu, szef dyskretnie uniósł kciuk i puścił do niego oko. Wykorzystał swoją szansę.

Później doszedł do wniosku, że jego życie potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby tego dnia nie musiał zrobić przelewu w banku. W innych okolicznościach zostałby w firmie, tak wyszedł razem z gośćmi. Kontynuowali niezobowiązującą rozmowę, idąc w stronę parkingu. Łukasz już miał ich pożegnać i odbić do metra, kiedy zobaczył, że pani urzędniczka, elegancka i opanowana kobieta, otwiera usta i wypuszcza na chodnik aktówkę.

Czekali na niego za bramą. Stary, siwobrody mężczyzna w burej szacie, oparty na zawiniętym, rzeźbionym w spiralne wzory kijku, czymś między biskupim pastorałem a kosturem pogańskiego znachora. I dziewczyna w przykrótkiej sukience, z błyszczącym sztyletem za pasem. Balladyna.

- No nie - Klimkowski zapalił pierwszego tego dnia papierosa. Po prawdzie, to z chęcią łyknąłby coś mocniejszego.

- Sprawy wymknęły się spod kontroli. Potrzebujemy cię, synu - powiedział Kierczyński z namaszczeniem. Odkąd zapuścił brodę, wyglądał jeszcze poważniej. Jeszcze



poważniejszy przypadek.

Urzędnicy gapili się na to bez słowa, psycholożka posłała Łukaszowi kuse spojrzenie.

- To pana znajomi? - zapytała.

Pacjenci, powiedz, że to pacjenci. Klimkowski zacisnął pięści. Zobaczył, że Alina ma zaczerwienione oczy, a Kierczyński postarzał się o dwadzieścia lat. Czyli wygląda na sto dwadzieścia. Zupełnie nie wiedział, co robić. Ze stróżówki parkingu szedł w ich stronę zaniepokojony ochroniarz, gość miał wprawę w przeganianiu bezdomnych. Przyspieszył kroku. Zniecierpliwiony Kierczyński klasnął w dłonie. Gęsta mgła zasnęła niebo, wiatr porwał z chodnika jakieś śmieci. Facet zatrzymał się zdezorientowany. Z ust ciekła mu strużka śliny.

- Igi umiera - powiedziała Alina.

Jakimś cudem nikt nie zaarrestował jej za snucie się z nożem u pasa. Cóż, chodzenie boso i z rozwianym włosom nie było w tym kraju przestępstwem. Łukasz uświadomił sobie, że sytuacja zaczyna go bawić. Jeszcze bardziej bawiły go osłupiałe miny trójki dygnitarzy, którym podlizywał się pracownicy cały ranek. Od Aliny i profesora bił jakiś przerażający entuzjazm.

- Naprawdę musieliście się przebrać jak na konwent miłośników RPG, żeby mi o tym powiedzieć?

Alina pokręciła głową. Do twarzy jej było w tym średniowiecznym kostiumie.

- Musieliśmy uwierzyć.

- Przepraszam państwa - powiedział Klimkowski do wielkiej trójki. - Mam coś do załatwienia.

Na odchodnym Kierczyński uklonił się pani psycholog.

- *À propos* pani pytania. Dla nas pan Klimkowski jest kimś więcej niż tylko znajomym. To nasza ostatnia nadzieja.

Pojechali do Kierczyńskiego. Dla Łukasza była to jedna z bardziej wstydlivych tras przez miasto. Bardziej obserwowany czuł się tylko raz, gdy taszczył ulicami wypchanego zielono-białego kundla, który był teatralnym eksponatem. Ale wtedy był dokumentnie nawalony, a cała wyprawa była dobrowolnym zakładem.

- No dobra, co tu jest grane?

- Sam zobacz.

Igi leżał na kanapie. Był blady jak skacowany zombie. Na szyi miał przesiąkniętą krwią bandaż, rana cuchnęła rozkładem. W gabinecie panował bagienny zaduch. Brakowało tylko komarów. I ropuch.

- Czyście zgłupieli? Tak po prostu go sobie zabraliście?

Kierczyński parsknął niecierpliwie.

- Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, to zamieniłem się w sowę i wleciałem na salę szpitalną. Jego zmieniłem w mysz. Nie chcesz wiedzieć, tak myślałem. Darujmy sobie detale, tu chodzi o życie.

- No i?

- Dzieje się coś niedobrego. Nie potrafię mu stąd dopomóc.

- Zaraz, zaraz. Chyba nie sugerujesz...

- Można mu pomóc z innego miejsca. Stamtąd, gdzie się znalazł. Wierz mi, chłopak ma duże kłopoty. Śmiertelna rana nie jest największym z nich.

Łukasz nie roześmiał się szyderczo tylko dlatego, że odebrało mu dech. Poza tym nie podobała mu się zdesperowana mina Aliny. Dziewczyna usadowiła się na krawędzi i cokolwiek mogło zepchnąć ją w przepaść. Zapalił więc papierosa i przemówił spokojnym tonem - swoim głosem terapeutycznym.

- I co? Pstrykniesz placami, a potem pofruniesz nie wiadomo gdzie i znajdziesz zabłąkaną duszyczkę? Dobrze.

- Pstryknięcie może nie wystarczyć i na pewno nie zrobimy tego tutaj. Poza tym to ty pofruniesz.

- Założmy, że ci wierzę albo bawi mnie to na tyle, że jeszcze tu jestem. Dlaczego miałbym to zrobić?

Profesor wydmuchnął kłęb dymu. Łukasz nienawidził tej sztuczki. Pierdziel chował się w tych oparach jak egipski kapłan. Nawet jak człowiek przejrzał przez sine kłęby, stary miał w zanadru brodę i mądrą minę. Żałosny palant.

- To proste. Bo to ty spartaczyłeś robotę.

Łukasz pokręcił głową. To było przegięcie.

- Zrobiłem co w mojej mocy. Rozmawiałem z Igit i pomogłem mu, jak tylko umiałem. Alina dobrze o tym wie.

- Bła, bła, bła. Nie mówię o nim, tylko o twoim koleźce Johnnym. Pamiętasz. Wiem, że tak. Dałeś mu coś, co nie było przeznaczone dla niego. Niby dlaczego powtarzałem ci tyle razy, że stavalon masz wziąć osobiście? W odpowiednich warunkach, sam i na trzeźwo. Że to poważny eksperyment? - Profesor zacisnął gruzłowate palce na poręczy fotela i wysunął wychudzoną szyję. Jego oczy strzelały iskierkami gniewu. - Nadawałeś się. Mogłeś to zrobić. Tylko ty, nikt inny. Dlatego dałem ci go drugi raz. A ty nawaliłeś się jak szpadel i dałeś tabletkę kumpłowi. Przypadek? Nie sądzę.

Łukasz opadł na krzesło i schował twarz w dłoniach. Nie, to nie był przypadek. Po prostu się bał. Zwłaszcza po pierwszej próbie. Bał się tej przeklętej tabletki i bał się Kierczyńskiego. Bał się układanki swoich mrocznych snów i Bóg wie czego jeszcze. Podpowiadał mu to instynkt, jakieś uporczywe przecucie. W tej tabletkce była śmierć.

Zamiast do domu poszedł na szaloną imprezę. Pamiętał, że schował się w kiblu. Miał już spuścić pigułę do ścieków, kiedy do klopa wtoczyła się rozbawiona para. Chciał schować to gównem z powrotem, ale zdążyła zauważyć, że coś chowa. A Johnny, zawsze tak cholernie beztroski, wyśmiał go bezlitośnie. Podważył dumę Łukasza, jego reputację kozaka i ostrego zawodnika. A potem powiedział, że on nie boi się jazdy. I założył się z nim, przy Karolinie, że sam wypróbuje to świństwo.

Tej nocy Klima dostał małego rozumu - potępieńczej, destruktywnej głupawki. Wrzucał wszystko. Ignorował szalone bicie serca, mrowienie kończyn, trudności ze złapaniem oddechu. Jechał. W pewnym momencie zorientował się, że Johnny go szuka. Facet sunął po pokoju jak duch. Chyba prosił o pomoc, ale nikt nie był w stanie z nim rozmawiać. Łukasz niewiele słyszał, rozumiał jeszcze mniej. Nic nie zrobił i skulił się w kącie zasłonięty Karoliną i jeszcze jedną panną. W zamglonej pamięci przechował tylko wyraz twarzy Johnny'ego. Jakby wokół niego nie było powietrza, jakby tonął na oczach wszystkich. Ale obraz zatrzymał się na poziomie zmysłów i nie dotarł do świadomości, bo chwilowo Łukasz nią nie dysponował.

Potem poczuł się lepiej i tym bardziej niewiele pamiętał. Resztę nocy spędził z Karoliną, która w tamtych czasach nie była jeszcze oschłą, wręcz przeciwnie. Rano, kiedy impreza dogorywała, Łukasz wszedł do pokoju, w którym spał Johnny.. Wmawiał sobie, że Johnny dobrze się bawił, chociaż po przebudzeniu dopadł go głuchy strach. Przecucie, że zrobił coś złego.

Ten widok towarzyszył mu potem często. Johnny leżał nieruchomo, włosy miał mokre od potu. W pokoju unosiła się woń błota i butwiejących roślin. Sekcja wykazała uduszenie. Rockandrollowa śmierć, zadławienie we śnie. Tak samo uwiął się Jimi Hendrix. Ale Johnny nie zdążył pograć. Nie spalił amerykańskiej flagi, w ogóle nie było go na Woodstock. Nie nagrał *Purple Haze*, nie zaliczył tabunów lasek. Nic, kurwa, nie zdążył zrobić. Poza tym Hendrix udławił się bełtem, a nie jakimś ohydny szlamem. Śledczy stwierdzili przedawkowanie alkoholu i innych środków. Nawet nie zdziwiły ich ślady błota i pnączy w przełyku i żołądku denata. Najwyraźniej uznali, że dzieciaki pokroju Johnny'ego lubią taplać się w błocie. Łukaszowi zostało po nim jedno, niemiłkające pytanie. Co zrobiłby w życiu Johnny, kim miał możliwość się stać?

W jego twarzy musiało być coś szczególnego, bo Kierczyński złagodniał. Poklepał Łukasza po ręce.

- Wiem, że to było okropne. Ale to nie tylko twoja wina. Ja też spartaczyłem. Nie przewidziałem konsekwencji.

Kierczyński urwał, opróżnił z popiołu fajkę.

- Potrzebowali mnie, bo znałem się na nauce. Również na chemii i fizyce. Byłem, jakby to powiedzieć - profesor uśmiechnął się gorzko - człowiekiem renesansu. Druidzi, zwłaszcza ci starsi, nie przepadali za fizyką i chemią. Dysponowali wiedzą, ale nie potrafili jej wykorzystać. Odcyfrowałem ich stare receptury. Zsyntetyzowałem rośliny, które umarły przed wiekami. I magia znowu zaczęła działać.

- Jaka tam magia. Sam pan mówił, że stavalon to coś w rodzaju syntetycznego yage. I że chce pan sprawdzić, jak europejski mózg zareaguje na taki specyfik - zaprotestował Klimkowski.

- Stavalon był Przejściem. Prowadził do miejsca, gdzie wciąż trwała esencja Naszyjnika. I mogła wskazać jego położenie w tym świecie. Moi mistrzowie... oni wiedzieli, co grozi przestępującym przez drzwi. Nie mówili mi wszystkiego, ale ja i tak usiłowałem uważać. Chciałem dać to komuś, kto miał szansę. A potem rozpowszechnili stavalon. I wszyscy, którzy go skosztowali, zginęli. Ostatnim pechowcem był Igi. Zrozum, jego nie powinno tam być. Sprawa powinna skończyć się na tobie. Tylko ty masz szansę. Tylko ty.

- Ale dlaczego ja?

- Masz dar, wrodzoną odporność. Twoje sny, dziwne wspomnienia - one nie wzięły się znikąd. Jesteś jedną ze starych dusz i żyją w tobie strzępy poprzednich żywotów. Istoty z Czarnego Lasu nie mogą ci zaszkodzić.

Łukasz cofnął się odruchowo. Czuł się żalony i śmieszny. Może masz rację, ale i tak się ich boję. Cholera, boję się prawie wszystkiego.

Profesor złapał go za ramiona i potrząsnął, oczy pod krzaczastymi brwiami świdrowały go, jakby chciały wydrążyć mu serce.

- Myślisz, że jestem aż tak głupi i nieodpowiedzialny? Dałem ci stavalon, bo byłeś w stanie to przeżyć. Ty tak, Johnny już nie. Ani Igi. A ja nie mam dość sił, żeby mu pomóc.

Łukasz zerknął na bezwładne ciało i odwrócił wzrok. Jego pacjent był trupioblady, leżał w oparach bagiennego smrodu. Krew sączyła się przez bandażę, a z nią uciekało życie.

- Zabierzmy go z powrotem do szpitala.

- Pamiętasz tego demona? Sobowtóra? Tam jest ich znacznie więcej. I nadal na niego polują. Ran, które mu zadali, nie ulecą normalne leki. On umrze. Chyba że ty im

przeszkodzisz.

Klimkowski przelknął ślinę. Naprawdę na niego liczyli. Wierzyli, że może coś zrobić. To zakrawało na kpinę, choć z drugiej strony...

Przez całe życie mówili mu, czym jest prawda. W domu, w szkole, w robocie. Kazali mu zejść na ziemię, wydorosnąć, zmądrzeć. Znaleźć pracę i spłacać raty. Spełnić oczekiwania, pokochać cudze fikcje. Cudze, ale wspólne.

Instynkt pchał go gdzie indziej. Te wszystkie stowarzyszenia rycerskie, włóczęgi po lasach i górach, tony połykanych książek... To, co dla innych było mrzonką, bujną czy dzieciennym hobby, dla niego było esencją. Nawet jego studia. Zawsze uciekał, zawsze wysysała go przeszłość. Tyle że kiedyś była to przygoda i pasja. Potem się sparzył, przestraszył i wydorosłał. I zaczął grać na komputerze.

- Dobra. To jaki jest plan?

Kierczyński rozpromienił się i ścisnął go, obsypując przy tym popiołem. Alina nie powiedziała nic, ale pocałowała go w policzek. Łukasz wypiął pierś. Jak to było z tym Chuang-tsy? Zobaczmy, o czym śnił motyl.

- Znalazłem już miejsce na Przejście. Przygotujcie się dobrze. Śpiwory, ciepłe ubrania. Będziemy nocować na dworze - zakomenderował Kierczyński.

Kiedy opuszczali mieszkanie profesora, Łukasz czuł się oczyszczony i lekki. Miał ochotę tańczyć z księżycem, ale noc była pochmurna i mroczna. Szli szybko i nie zauważyli rudowłosego mężczyzny, który stał w bramie naprzeciwko, obserwując kamienicę. Szybko odwrócił się do nich plecami, przybrawszy typową pozę oddającego mocz żula. Noc była ciemna, ale nigdy nic nie wiadomo. Po namyśle mężczyzna rzeczywiście rozpiął rozporek i opróżnił pęcherz. Był wiekowy i odlewał się z trudem, kiedy skończył, wyprostował się z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Zawsze odlewał się przed pracą, nawet jeżeli chodziło o drobną fuchę. Robota, którą miał teraz, zapowiadała się naprawdę paskudnie.

\* \* \*

- Do diabła z tobą, magiku! Żeby ci noga na pentagram stanęła, a demon ucapił za jaja! Pokaż się, jeżeli jesteś mężczyzną!

Mężczyzna machał kowalskim młotem. Obok zawodziła piegowata dziewczyna w zaawansowanej ciąży. W końcu ochrypl i rozejrzał się bezradnie. Chata była zabita na głucho, w zaroślach panowała obojętna cisza.

- Ja, Igram Głazopalcu, klnę się, że nie ujdiesz żywy! A ciebie, dziwko, oddam świniopasom! Bóg mi świadkiem i ludzie.

Były to słowa pochopne, gdyż kowal bynajmniej nie życzył sobie świadków rodzinnej hańby. Całe szczęście, że chata bezimiennego magika leżała daleko od wsi. W oknach często błyskało żółcią i purpurą, dobiegały z nich zawodzące głosy i diabelskie smrody.

Nikt nie wchodził jej właścicielowi w drogę. Bo kto zaczepiałby maga? Nie wiadomo, jakie przekleństwo sprowadzi. Przyrodzenie skurczy albo babom czyraki pomnoży, pyski do reszty sparszywi. I bez tego żony mieli szpetne. Czarownik, bo czarownik, ale nikomu nie wadził. Nie podejrzewali, psiakrew, że czaruje, ale nadobne dziewczęta. Igram nie mógł tego tak zostawić. Na szacunek pracował całe życie. Za młodu popisywał się krzepą, dźwigając na jarmarkach kamienie młyńskie i co chudsze szkapy. W późniejszych latach imponował trafnością sądów i przekleństw. Zakrzyknął retorycznie, bo był człowiekiem popędliwym. Jak to zwykle bywa, nierozważna prośba została wysłuchana.

Na ścieżce pojawili się jacyś ludzie. Na szarym koniu, któremu źle z oczu patrzyło, jechał poważny, zadumany wojownik w połatanej zbroi. Na białej klaczy siedziała ładna, ciemnowłosa dziewczyna w męskim stroju, z kołczanem i łukiem na plecach. Za czystą na markietankę i za harda z wejrzenia na żonę. Za nimi, na chudym mule, kołysał się zakapturzony człowieczek w burych szatach druida. Był jeszcze czwarty przybysz, najwyraźniej chory. Spoczywał, owinięty w futra, na noszach z brzozowych gałęzi, przywiązanych do jucznego konia. Nietypowa kompania, pomyślał kowal, ale przynajmniej nie stąd.

Córka skorzystała z okazji i odskoczyła od ojca.

- Ludzie, pomóżcie! Rozum mu odebrało!

Igram sapnął i dał jej klapsa, po którym dziewczyna prawie runęła na ziemię. Poderwał ją wściekle za warkocz.

- Na jagody poszła i wianek zgubiła! Ty kurwo! To po to cię chowałem? A wy nie wtrącajcie się! - pogroził przybyszom młotem.

- To nie nasza sprawa. Szukamy wielkiego maga Myrddina Wylta, który znalazł ukojenie w tych lasach - powiedział rycerz, którego Igram z miejsca ocenił jako ciężkiego półgłówka.

Dziewczyna z łukiem spojrzała na ciężarną i uśmiechnęła się od niej ze współczuciem.

- Jeżeli mowa o tym, którego ja szukam, to nie ukojenie tu znalazł, jeno rozpasanie! Córkę mi zepsuł i czmychnął!

Dziewczyna zachlipała żałością.

- Powiedział, że jestem jego panią z jeziora. Jego turkaweczką z oczami jak turkus...

Ojciec potargał węża i uśmiechnął się złowieszczo.

- A to kutas, turkus? Poczekaj tylko...

Igram znikł w niewielkiej szopie i wrócił z naręczem siana. Zaczął krzesać iskry. Suche drewno zajęło się szybko. Z lasu dobiegł go błagalny okrzyk:

- Nie ulegaj emocjom, sąsiedzie. To nie tak, jak myślisz.

Człowiek, który wyłonił się zza drzew, nie odpowiadał legendom o najpotężniejszym czarowniku Brytanii. Był tłusty i czarnobrody, z wysokim czołem i trefionymi włosami, rejterującymi przed zaborczą łysiną. Nerwowo mrugał oczami. Kowal zdeptał pełzające płomyki i oparł się na potężnym młocie.

- Ha! Szczur wylał ze swojej nory. Masz mi coś do powiedzenia?

- To kłamliwe pomówienia. Nie ponoszę odpowiedzialności za stan twojej córki, kumie.

Jak na mężczyznę o tak wielkiej tuszy, Igram poruszał się prędko. Ucałował magika za brodę. Czarownik zatrzepotał rękami i wrzasnął coś w języku, który nieodparcie kojarzył się z zapleśniałymi księgami, puszczykiem na rozstajnych drogach i eliksirami niejasnego przeznaczenia. Kowal cofnął się o krok i złapał się za ogromny brzuch. Opadł na kolana przyciągany tajemniczym ciężarem.

- Hara hare, brzuch jak kamień - zaskrzeczał mag. - Wszystko, co dzisiaj zżarłeś, uległo petryfikacji. Nie chciałbym być w twojej skórze, kiedy doczłapiesz się do wychodka. Rozerwie cię, nie przymierzając, na strzępy.

- Powinni was wszystkich wydusić - wystękał Igram z wysiłkiem.

Mag odgarnął rzadkie włosy za uszy. Na jego czole zbierał się pot. Z troską spojrzął na płaczącą dziewczuszkę.

- No, Eilyn, co się właściwie stało? Nie widziałem cię od paru miesięcy.

- Od dziewięciu, kanalio - wystękał Igram.

Czarownik wzruszył ramionami.

- Nie wiem, o czym mowa. Owszem, zaprosiłem Eilyn do siebie, gdy doskwierała mi samotność. Ale nie tknąłem jej palcem. Pogadaliśmy, a potem usnąłem.

- Ty tak, panie. Ale nie twój sługa - wyszeptła dziewczyna cichutko.

Myrddin złapał się za głowę.

- Belizal? A to łajdak.

Kowal puścił wzdęte brzuszysko i uniósł oczy ku niebu.

- Boże! Patrzysz na to i nie grzmisz?

Wtedy nastąpił cud. Ucisk w trzewiach ustąpił gwałtownie. Rozległo się potężne pierdnięcie, od którego ptaki zerwały się z drzew, a jaskółki wyfrunęły spod okapu chaty,

nisko szybując nad ziemią. Kowal złapał Myrddina za gardło.

- Ślub albo skręcę ci kark.

Bedevir położył mu rękę na ramieniu.

- Zostaw go, panie kowalu. Mamy z nim do pogadania.

- Najpierw go uduszę, a potem będziesz z nim gadał - pogroził Igram, ale po chwili odpuścił.

Czarownik pomasował obolały kark. Z westchnieniem rozpruł skórzany pas i wydobył zeń złotą monetę.

- To dla ciebie, Igramie. Za straty moralne.

Człowieczek w szacie druida skłonił się czarownikowi z szacunkiem.

- Mistrz Myrddin Wylt? Jestem Rhodri, uczeń z Akademii Anglesey. Ten tu wojownik to Bedevir ap Hywel, rycerz samego Pendragona. Szukamy twojej pomocy i rady.

Myrddin potrząsnął głową i spojrzał na Rhodriego nieufnie.

- Od dawna nikt mnie tak nie tytułował. Przez ostatnie lata... nie byłem w pełni sobą. A o twojej akademii nie słyszałem nigdy.

- Szkołę założono po twoim odejściu. Mieści się w ruinach świątyni, którą niegdyś zniszczyli Rzymianie. Hierofantem jest czcigodny Cynned.

- Tego akurat pamiętam. Ambitny. Jak na mój gust, za bardzo.

Kowal chrząknął, dając do zrozumienia, że wciąż tutaj jest.

Właśnie skończył gryźć złotą monetę. Twarz mu pojaśniała, próba kruszcu wypadła pomyślnie. Spojrzał na Myrddina przychylniej.

- To uczciwy posag, magiku. Ale nie wyjaśniłeś mi kwestii ojcostwa.

- Sprawa jest kłopotliwa, sąsiedzie. Obiecaj mi, że nie ulegniesz namiętnościom. Otóż ojcem jest niejaki Belizal, złośliwy duch związany ze mną w charakterze sługi. Zapewniam cię, nie nakłonisz Belizala do małżeństwa. Po pierwsze, przeważnie nie ma on ciała. Po drugie, trudno go do czegokolwiek przymusić. Ja sam z trudnością powstrzymuję go od rozszarpania mnie na sztuki. Po trzecie, jest odrażającym duchem najgorszej konduity.

- Nieprawda! Nie był żadnym duchem. Był piękny, wysoki i czuły - zakwiliła Eilyn.

Myrddin spojrzał na nią ze współczuciem.

- Nie wiem, co z tego wyniknie. Potomstwo duchów otchłani i śmiertelnych niewiast to wielka niewiadoma. Wszystko zależy od koniunkcji sfer. I to nie na naszym niebie, ale tam, w dole.

- Zaczy się, nie wiesz, kim będzie mój wnuk? - zachnął się Igram.

- Na pewno będzie sobie dobrze radzić w kuchni. Ojciec jest bardzo, jakby to



powiedzieć, ognisty. Powierzchność dziecka jest, yhim... trudniejsza do przewidzenia. Uściślając, zależna jest od czasu poczęcia. Być może będzie miało różki, wystarczy spłować. Z pewnością masz stosowne narzędzia. Córeczka będzie skończoną pięknnością... z temperamentem. Jeżeli urodzi się chłopiec, to powinien być silny ponad miarę, wredny i okrutny. I diabelsko podstępny.

Igram rozpromienił się.

- Silny? Wredny? Ze smykalką do kuźni i kuty na cztery nogi? Magiku, niech cię uściskam!

- Niemniej jednak, istnieją pewne...

- U nas we wsi są same niedojdy. No, może poza mną i starym Iago Cawalderem. Ale młodzi? Banda zniewieściałych, kazirodczych pętaków. Żaden się na męża nie nadawał. Kiedyś każdy tu brał żonę z innego klanu, ale dziś to niełatwa sprawa. Wszystko przez te lasy i bagna, mało komu chce się wędrować do nas przez Waeld czy góry. Już się modliłem, żeby ją jakiś przejezdny w stogu wyobracał. Coby dzieci przynajmniej zdrowe były. Teraz będzie komu interes przekazać. Zaproszę cię, kumie, na chrzciny.

- To może nie być łatwe - zawołał za nim Myrddin. Ale kowal oddalał się już, ciągnąc córkę. Idąc, klepał ją pieszczotliwie po pośladku.

- W kościołach raczej nie bywam. A już na pewno nie w dniu, gdy święcona woda pokropi jednego z synów Dołu - Myrddin pokręcił głową. - No, ale dość was przetrzymałem na progu. Zapraszam do środka.

W środku chata Myrddina była przestronniejsza, niż wydawała się z zewnątrz. Bedevir rozglądał się ciekawie. Czarownik opuścił Camelot w niejasnych okolicznościach, na długo przedtem zanim on przybył tam jako giermek. Myrddin Wylt zdążył stać się postacią legendarną i rycerz zawsze pragnął go spotkać. Sam dom trochę go rozczarował. Nie było w nim szkieletów, słoików z homunkulusami ani wypchanych straszyleł.

Przed paleniskiem, nad którym zwieszał się mosiężny kocioł, stał stary bujany fotel. Płózy mebla zrobiono z kół bojowego rydwanu. Była też szafka na zwoje, ale pusta. Myrddin dmuchnął w ogień i wrzucił do kociołka garść ziół.

- Podgrzeję potrawkę z borsuka. Źle się gada przy pustym żołądku.

Bedevir stanął pod ścianą i patrzył na czarownika, jakby nie mógł się zdecydować, co powiedzieć. Mab trzymała się blisko rycerza, Igiego położyli na sienniku. Miał wysoką gorączkę i prawie nie oddychał. Gospodarz popatrzył nań, kiwając z zatroskaniem głową, a na widok opuchniętej szyi, która pokryła się szarym, gnijącym nalotem, trzykrotnie splunął w ogień.

- Na pewno przybył z daleka. I już zdążył nadebrać komuś na odcisk. Bez dwóch zdań. Ciekawi mnie, co nabroił.

Rhodri bez słowa odwinął płaszcz Igiego, Naszyjnik zamigotał krwawo. Myrddin wypuścił z ręki chochlę i ochlapał się sosem.

- Aeri Gaeri Hor! - zawołał, unosząc ręce.

- Czy on czaruje? - szepnął Bedevir do Rhodriego, który bacznie obserwował maga.

- Nie, to tylko przekleństwo. Imiona trzech córek Dołu, popularnych wśród demonologów. Nie przeszkadzaj - syknął druid.

Czarownik mamrotał chwilę pod nosem i sięgnął po pękaty dzban z winem. Przechylił go do ust, rozlewając trunek na brodę. Otarł usta dłonią i beknął żałościwie.

- Chciałbym wam pomóc, naprawdę. Tylko że...

- Mam złoto, jeżeli o to ci chodzi - powiedział Rhodri z pogardą.

- Nie w tym rzecz. Tak się składa, że ja nie jestem Myrddinem. Nazywam się Sylwio. Sylwio Munk.

Mały druid poderwał się błyskawicznie i przyłożył grubasowi sztylet do gardła. Bedevir miał już w ręku miecz. Mab założyła strzałę na cięciwę.

- Zabiłeś go, prawda? Gadaj przynajmniej, gdzie są jego księgi.

Mężczyzna chciał coś powiedzieć, ale naciskający krtań sztylet nie ułatwiał mu zadania. Zamachał tylko rozpaczliwie rękami.

- Podobno krew maga sama potrafi być niezłym lekarstwem - powiedział Rhodri złowieszczo. Na ostrzu zebrała się już kropla krwi.

- Magiem też nie jestem, czcigodni panowie. Byłem tylko uczniem Myrddina, a i to niedługo.

- Gdzie go pochowałeś? - zapytał Bedevir.

- Nigdzie. Oszczędzicie mnie, jak was do niego zaprowadzę?

W końcu wymusił na nich przysięgę. Rhodri klął się na starych bogów, Bedevir w imię Chrystusa. Mab oznajmiła, że w dupie ma wszystkie bóstwa, nowe czy stare, z północy, zachodu i wschodu. Fałszywy mag odetchnął z ulgą. Odsunął fotel, zwałisko rupieci i spłówały dywan. Właz w podłódze prowadził do naturalnej jaskini. Nie pachniał siarką ani żadną demoniczną siłą. Bedevir został przy Igim, a druid i Mab zeszli za Sylwim po kamiennych schodkach.

Jaskinię oświetlała kula z szarego kamienia, która unosiła się w powietrzu nad głową siedzącego człowieka. Białe włosy i broda opadły na niego jak zamarznięty wodospad. Siedział ze skrzyżowanymi nogami. Jakiś pająk utkał pajęczynę rozpostartą od jego prawego

barku aż do sufitu. Skóra maga była szara od gówna myszy i nietoperzy, powieki miał tak nieruchome, że można było pomyśleć, że dawno wrosły w ciało. Zapadniętą piersią nie poruszał żaden oddech. Przy całej martwocie była od niego moc, która nie pozwalała wziąć go za trupa.

Zatrzymali się niezdecydowani i popatrzyli po sobie. Uczeń Myrddina oblizał usta i nagle złapał się za uszy.

- Czasami ze mną rozmawia - powiedział. - W myślach. Raz na miesiąc poję go wodą z ziołami. Pozwala mi korzystać ze swojej magii... na tyle, bym temperował prostaczków.

- Powiedział ci, kiedy się zbudzi?

- Nie ma takiego zamiaru. Rozkazał mi utrzymywać się przy życiu, a sam... nawet nie wiem, gdzie błąka się jego umysł. Raz szepnął mi o tysiącletnich wspomnieli.

- Zapytaj, czy nam pomoże.

- Mówi, że strząsnął już kajdany tego świata - rzekł Sylwio z zakłopotaniem.

- A co, jeżeli wpakuję mu strzałę w gardło? - Mab od niechcienia napięła łuk.

- Mówi, że to świat jest bolesnym grotem. Nie krępuj się, pani.

Rhodri zaczynał tracić cierpliwość. Zbliżył się do Sylwia, bawiąc się wąskim sztyltem.

- Nie jesteś przesadnie pomocny. Ale to nic. Nieważne, że szliśmy tu przez nawiedzoną puszcę i przeklęte ruiny ścigani przez barbarzyńców, wilki i co tam chcesz. Nieważne, że nasz przyjaciel umrze i pogrzebie z sobą nadzieję. Co innego mnie martwi.

- Co takiego? - głos ucznia Myrddina zdradzał, że wcale nie pragnie wiedzieć.

- Ty, Sylwio. Wiesz, że my, druidzi, nie możemy zabić żadnego stworzenia?

- Słyszałem o tym - wykrztusił Sylwio.

- I co? Nie wstyd ci?

- Nie bardzo pojmuję...

- Zamierzam złamać przez ciebie śluby. Niestety. Rozpruję cię jak wieprzka, od mostka aż po jajca. A potem owinę twoje flaki wokół szyi tego dziada jak pieprzoną girlandę. I nie będzie miał mu kto usługiwać.

Z oczu Sylwia popłynęły łzy. Przynajmniej nie miały zapachu, w przeciwieństwie do innych płynów, jakie w tej chwili uronił.

- Wstrzymaj się, panie. Jest jeden sposób. Myrddin sam rzucił na siebie zaklęcie. To Klątwa Spokoju Pirrona. Podobno Pirron przywiózł to zaklęcie z Indii. Rzadki czar, ale w gruncie rzeczy subtelniejsza wersja zwykłej magii petryfikującej. Czar spowolnił w nim oddech, starzenie, ograniczył pragnienie i głód. Ale gdyby go zdjąć... Mój mistrz nie był aż

tak zdeterminowany i święty.

- Zaczynasz mnie ciekawić.

- Wiem, jak złamać zaklęcie. Ale musicie mnie potem obronić. Myrddin nie będzie zachwycony.

- Masz moje słowo. Jakich składników potrzebujesz?

Sylwio znów złapał się za głowę i jęknął. Obrócił się w stronę maga i zamierzył się na niego pięścią.

- Pocałuj mnie w otchłań, ramolu!

Wrócił do Rhodriego, w dalszym ciągu boleśnie skrzywiony.

- Czar Pirrona daje człowiekowi siłę świętego męża, a Myrddinowi, jak już wspominałem, jeszcze troszeczkę brakuje. Zdjąć go można trzema zwykłymi rzeczami. Potrzebna jest wilgoć dziewicy, orzech skradziony wiewiórcie albo oddech ciężarnej kobiety.

- Założę się, że tutejsi już zjedli wszystkie orzechy - rzekł Rhodri.

- Tak, panie. Wiewiórki zresztą też.

- W takim razie... - druid z namysłem przyglądał się Mab.

Dziewczyna zaśmiała się złośliwie, obciągając kaftan z jeleniej skóry, który opinał jej piersi. Człowiek, do którego ten strój należał wcześniej, pierś miał raczej wąską. Czego nie można było powiedzieć o Mab.

- Czy ja wyglądam na dziewicę? - spytała.

- Nie, pani. To znaczy tak. - Sylwio lubieżnie oblizał wargi.

- Macie szczęście - powiedziała cicho.

Podeszła do Myrddina i ukucnęła przy nim, powoli dmuchając mu w twarz. Przez chwilę nic się nie działo, a potem ciszą groty wstrząsnęło głośne kichnięcie, po którym diabli wzięli pająka, pajęczynę i nietoperze bobki. Znad czarownika wzbijała się chmura kurzu. Rhodri przysiągłby, że jego powieki uniosły się z chrzęstem zamkowej kraty. Myrddin Wylt wbił w nich pałające, jasnoblękitne spojrzenie, w którym ból, gniew i radość następowały po sobie jak rozpedzone charty. Wreszcie uśmiechnął się i przełknął ślinę. Szara kula łagodnie opadła i spoczęła na jego podolku.

- Wiecie, co zrozumiałem przez te dwanaście lat? - zapytał skrzypliwym głosem.

Nie doczekał się odpowiedzi. Sylwio był zbyt przerażony, Mab zbyt zakłopotana, a Rhodri z natury nieufny.

- Pojąłem, jak głęboki sens kryje się w pewnym kolokwialnym zwrocie. Święty spokój naprawdę jest święty.

Mab parsknęła śmiechem. Usiłowała się opanować, ale nie dała rady.

- Wegetowałeś tak przez dekadę tylko po to, by przekonać się, że miło jest wegetować? I po to ci była magia? - zapytała z niedowierzaniem.

Myrddin Wylt wzruszył ramionami.

- Cóż. O zaletach pełnej bezczynności niewielu się mogło przekonać. Przyjmij moje gratulacje, piękna pani. I pogratuluj mężowi. Coś mi mówi, że to będzie chłopczyk.

Mab zaczerwieniła się. Przez chwilę wyglądała łagodnie i krucho, nawet nieśmiało. Potem naciągnęła łuk i spojrzała na Rhodriego i Sylwia.

- Bedevir nie ma prawa o tym wiedzieć. Chyba że chcecie zarobić po strzale.

## ROZDZIAŁ 17

Prawdziwy Myrddin szybko wrócił do siebie. Narzekał wprawdzie, że tkaniny są szorstkie, dźwięki głośne, a światło jaskrawe, ale od razu wziął się do roboty. Na widok Igiego zagwizdał. Obejrzał Naszyjnik ze wszystkich stron, mamrocząc zawzięcie pod nosem.

- To Naszyjnik Zapomnianego. Czuć od niego magią Czarnego Lasu. To wiele wyjaśnia, przynajmniej w kwestii ran. Dzieci Lasu nie lubią, jak ktoś przywłaszcza sobie ich własność. Myślę, że uwięzili duszę tego chłopca i teraz ją... drażą - oznajmił.

Rhodri skulił się, jakby ktoś złożył mu na ramionach ciężar.

- On musi żyć. Jest Nosicielem. Cynned mówi, że to bogowie zesłali nam Naszyjnik. Jego moc przegoni Sasów. Musimy ją tylko przebudzić.

- Cynned podnieca się rzeczami, o których nie ma zielonego pojęcia. Wyrwałbyś niedźwiedzia z zimowego snu? - warknął Myrddin. Mag spacerował po izbie, gestykułując jak antyczny wykładowca. - Nie znam historii tego klejnotu... dalej. Ale wiem, że to jeden z potężnych przedmiotów, dzięki którym dawni bogowie toczyli swe wojny, przedstawiając śmiertelników jak pionki. W artefaktach zawarta była cała ich moc, były skarbcami magii.

- I co się z nimi stało? - zapytał Bedevir.

- Bogowie postanowili je zniszczyć. Może miały zły wpływ na wyznawców, któż to wie? Na mocy porozumienia wszystkie artefakty zostały zniszczone. Poza tym jednym. Jego twórca nie poddał się nakazowi i wszczął wojnę. Został pokonany przez resztę bóstw. Od tamtej pory nie można było wymawiać jego imienia w żadnym ludzkim języku. Większość spraw z tamtej ery zatarła się w ludzkiej pamięci. Tylko pokonany bóg-kowal, o ironio losu, do dziś jest pamiętany przez magów. Właśnie jako Zapomniany Bóg.

- Herostrates pradawnego świata - wyszeptał Bedevir.

Nagle targnął nim dreszcz. Mimo że był chrześcijaninem w trzecim pokoleniu, poruszały go stare legendy. Budziły w nim jakieś smutne, zakneblowane echo. Poczuł się jak dziecko, które choć mądre i duże, znów zerknęło na teatr cieni, swą ulubioną zabawę. I cień ukąsił go w palec.

Myrddin uśmiechnął się z uznaniem.

- Dobrze, że w Brytanii trafiają się jeszcze wykształceni młodzi ludzie. Myślałem, że wszystkich retorów uwędzili wszeteczni Saksoni. Tak, można tak powiedzieć. Tyle że nasz

Herostrates nie poprzestał na spaleniu jednej świątyni. Jego ambicje były bardziej... niezmiernie.

- Czy Zapomniany Bóg zginął? - zapytał Rhodri.

- Nie mogli go zabić. Całą moc przelał w Naszyjnik. Niektórzy twierdzą, że schronił się we własnym świecie, który wykroił z Zaświatów. W krainie zwanej Czarnym Lasem.

- To dlaczego Naszyjnik nie został zniszczony? - zapytał Bedevir.

- Dobre pytanie. Bogowie wyszli z tej wojny mocno poharatani. Myśleli zresztą, że wygrali ostatecznie. Sam tork zaginął setki lat temu. Z tego, co wiem, ostatnim jego posiadaczem był Brennus, wielki władca, wojownik i zdobywca. Dwa wieki przed narodzinami Chrystusa Brennus wyruszył na podój Grecji. Chciał złupić świątynię Apollina w Delfach. Poniósł klęskę z rąk eolskich górąli, a po jego śmierci Naszyjnik zaginął. Może uniósł go jeden z potomków Brennusa, którzy rozlali się po świecie, wciąż przepełnieni furją Zapomnianego Boga.

- Właśnie tego nam dzisiaj trzeba! - krzyknął Rhodri. - Nasi przodkowie mieli w sobie moc. Ty nazywasz ją furją boga, ja błogosławieństwem. Podbili pół świata, a potem zatrzymali się, zamarli, zmarnieli. Dali się podbić Rzymianom i germańskim psom. Teraz bogowie przywrócili nam Naszyjnik i część prastarej mocy. Jak myślisz, po co? Żebyśmy zbudzili śpiącego olbrzyma. To odpowiedni moment. Rzym skonał, świat jest wielkim kłębowiskiem ludów. Nie widzisz tej szansy, Myrddinie?

- Widzę zagrożenie, młodzieńcze. Nie ufam bogom, nawet gdy przynoszą dary. Tego nauczyło mnie życie. My jesteśmy ulepieni z prochu, oni odlani z brązu. Lepiej się z nimi nie zderzać - Myrddin przymknął oczy, jakby zatonał w odległych wspomnieniach.

- No nie, jeszcze jeden. Zamknięty w skrupałach jak Artur, pokorny i przewidujący. Przez takich jak ty Brytania wpadnie w ręce Sasów!

- To przynajmniej ludzie. Nie przeszkadza mi, że mówią innym językiem.

- A ty, Bedevir? Chciałeś walczyć o dziedzictwo Artura. Tylko mi nie mów, że też odwrócisz się od szansy.

- Im więcej się dowiaduję o tym Naszyjniku, tym mniej mi się podoba - odparł rycerz.

- No tak. Bedevir woli własną pamiętkę. Szlachetną i nieprzydatną. Pokaż swój miecz Myrddinowi, bohaterze. W końcu to też jego zabawka. Z czasów gdy angażował się jeszcze w sprawy tego świata.

Rycerz wystąpił na środek. Wydawał się zakłopotany. Wyjął królewski miecz z lichej skórzanej pochwy. Myrddin wybałuszzył oczy.

- Przecież to Ekskalibur! Czy to znaczy...

- Artur nie żyje, panie. Mnie przypadła hańba nie skonać wraz z nim.

Myrddin ukrył twarz w dłoniach i przez dłuższą chwilę trwał w bezruchu. Kiedy przemówił, jego głos trząsł się jak u wiekowego starca.

- Zbyt wiele nowin jak na jeden dzień. I wszystkie złowieszcze. Myślę, że wszyscy potrzebujemy teraz odpoczynku...

Przerwał mu głuchy łomot. Igi zwałił się z ławy i zatrząsł w niekontrolowanym dygocie. Mab momentalnie pojawiła się przy nim. Zręcznie wyjęła mu z gardła język i wepchnęła w usta trzonek rogowej łyżki. Myrddin, który znalazł się przy chorym sekundę później, z uznaniem poklepał ją po ramieniu.

- Dobra robota, młoda damo. Uczyłaś się sztuki lekarskiej?

Dziewczyna posłała mu niewidzące spojrzenie.

- Mój synek... chorował. Niektórzy mówili, że przez złe duchy. Mądry człowiek powiedział, że to zwyczajna choroba.

- Święta prawda. Nigdy nie słuchaj ignorantów. A jak się teraz miewa twój... - Mab pobladła jak śnieg i starzec urwał zakłopotany. - Głupiec ze mnie. Wybacz.

- To nie twoja wina - wyszeptła dziewczyna.

Bedevir stanął obok niej. Nie wiedział, co począć z rękami. Powinien ją objąć, ale to by znaczyło, że bierze na siebie odpowiedzialność. Zagryzł wargi i odwrócił się do ściany. Nigdy nie umiał leczyć, zabijanie przychodziło mu łatwiej. Igi przestał charczeć i chyba już nie oddychał. Przestał też krwawić. Mab codziennie zmieniała mu opatrunki, ale krwotok nie ustawał. Aż do teraz.

- Na Mannanana, władcę mórz! Nie mamy czasu - sapnął czarownik.

- Czy on umrze? - zapytał Rhodri.

Czarownik spojrzał na niego przenikliwie.

- Wiem, o czym myślisz. Zastanawiasz się, co się stanie z Naszyjnikiem. Zapewne już próbowałaś go zdjąć. Rozważałaś, czy nie dałoby się tego zrobić, odrąbując dzieciakowi głowę. Albo rzucając odpowiednie czary. Muszę cię zawieść. Naszyjnik przebył długą drogę. Ani ty, ani ja, ani sam Cynned czy sławna Morrigan nie mamy dość siły i umiejętności, żeby go tutaj zatrzymać. Przestań marzyć.

- Co zamierzasz? - zapytał Rhodri cicho. Jego twarz pozostała niewzruszona i tylko krwisty rumieniec na policzkach zdradzał, że słowa Myrddina go obeszyły.

- W mojej pracowni powinno być trochę błękitnego powoju. Przynieś go, z łaski swojej.

Myrddin sięgnął po niewielki flakonik i wlał w usta Igiego kilka kropel bezbarwnej



cieczy.

- To go nie obudzi, ale przynajmniej uśmierzy lęk. Ci z Lasu się nim karmią, przyciąga ich, tak jak muchy gó... albo miód pszczoły. Słuchajcie, Naszyjnik posłuży mi za bramę. Za chwilę powietrze w izbie zrobi się nieco trujące. Druid idzie ze mną. Rycerzu, zabierzesz Mab i poczekacie na zewnątrz. Weźcie koce, noce nadal są chłodne. Rano możecie wejść. Ale zachowajcie czujność. Jeżeli coś w zachowaniu moim czy druida wzbudzi wasz niepokój, od razu nas zabijcie.

- Jesteś wielkim czarownikiem, Myrddinie. Potrzebujemy twych rad bardziej niż kiedykolwiek. A to jest tylko cudzoziemiec. Czy to naprawdę konieczne... - Sylwio skrzywił się płacząco.

- Narazić życie dla jakiegoś przybłądy? - Myrddin uśmiechnął się ponuro. Poruszył barkami i szyją jak zapaśnik przed ciężką walką. - Pomijając to, że nie mam w zwyczaju beczynnie obserwować czyjejś śmierci, nie mam innego wyboru. Jeżeli Naszyjnik nie zostanie przy cudzoziemcu, wpadnie w ręce kogoś innego. A wtedy, bogowie, miejcie nas w swojej opiece.

Rhodri wbiegł do izby, taszcząc naręczę ziół. Był podekscytowany jak białogłowa, która trafiła na kram syryjskiego handlarza perfum. Myrddin bez słowa wybrał odpowiednie utensylia i odmierzywszy proporcje, miarowo ciskał je w ogień. Pokój wypełnił gryzący dym.

- No, przyjaciele, czas na was. A ty, druidzie, przypomnij sobie wszystko, co wiesz. Będzie ci to potrzebne.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał Rhodri niepewnie. Z jego twarzy dawno wyparował entuzjazm.

- Żeby przeżyć, musisz się mocno postarać.

\* \* \*

Gryzący dym poszarzał i zwilgotniał. Rhodri zatrząsł się z zimna i zakasłał. Stał po kolana w mętnej bagiennej wodzie. Białe światło wylaniało z siennej mgły kontury drzew i traw. Gdzieś w oddali chrapliwie zakrzyczał ptak. Taką miał przynajmniej nadzieję.

Każdy druid wie, że prędzej czy później przyjdzie mu opuścić ramy znanej rzeczywistości i dać nura w zaświatowy mrok. Wie także, że światów nie dzieli nieprzekraczalna bariera. Współistnieją i czerpią z siebie. Niektórzy przedostali się do zaświatów morzem, inni wpływali w nie rzeką w mglistą jesienną noc. W krainach pod innym słońcem kryły się rajskie drzewa rodzące jagody życia. A także wykarmione nimi pstrągi natchnienia, zsyłające niezmierną wiedzę.

Cynned często opowiadał mu o kamiennych podziemnych grobowcach, w których przed wiekami ukryli się starożytni bogowie, nazywani przez niego „Żyjącymi”. Ponoć w Irlandii się od nich roilo. Od śmiertelników, którzy przed wiekami odebrali im ziemię, różnili się pięknem i siłą. W odpowiednich okolicznościach przygotowany człowiek mógł znaleźć przejście wiodące do ich królestwa. Cynned świadomie nie określał owych okoliczności sprzyjającymi, bo wyprawy do krainy Żyjących rzadko kończyły się dobrze. A co dopiero wyprawy do miejsc odległych od światła, takich jak Czarny Las.

Tutaj wszystko cuchnęło rozkładem. Czarny Las był podwójnie martwy, był martwy, jeszcze zanim Żyjący opuścili podświetloną ziemię. Rhodri miał wrażenie, że powietrze wypełnia niewidoczna pajęczyna, że wszystko, czego się dotknie, rozsypie się w zbutwiały pył. Ostrożnie stawiał kroki, starając się nie zostawać w tyle za Myrddinem. Szli wąską piaszczystą groblą. Czarownik prowadził go pewnie. Niekiedy zatrzymywał się, wężąc, i czynił znaki mające odegnać urok.

W pewnym momencie zatrzymał go gestem dłoni i wskazał na niewielkie jezioro o regularnym, owalnym kształcie. Pół metra pod powierzchnią wody majaczyły jakieś kształty. Rhodri wyteżył wzrok i zachłysnął się.

Wokół niego panował półmrok, ale scena pod powierzchnią wody rozświetlona była zielonkawym światłem. Dostrzegał ludzkie sylwetki zastygłe w skłębionym ruchu, jak owady w przejrzystym bursztynie. Wojownicy byli masywni jak dęby, ich ciała znaczyły rytualne blizny. Wielu walczyło nago, z nastroszonymi czuprynymi, wyszczerzonymi zębami, ustami rozdartymi w niesłyszalnym wrzasku. W rękach mieli podłużne, prostokątne tarcze i długie miecze z żelaza. Atakowali uzbrojonych po zęby żołnierzy w kolczugach, stłoczonych nad brzegiem niewielkiej rzeczki. Nad ich głowami wznosił się znak legionowego orła.

Rhodri ze świstem wypuścił powietrze. W głowie eksplodował mu szczęk mieczy i krzyki ginących. Musiał zatkać uszy. Celtowie spychali przeciwników do wody, ciężkie broje Rzymian stawały się dla nich przekleństwem. W panice nie zdołali utrzymać szyku, rozsypali mur prostokątnych tarcz. Zaczęła się jatka. W indywidualnych pojedynkach liczyły się siła i masa ciała. Wpojona batogiem dyscyplina pozwalała, co najwyżej, karnie i bez jęku umierać. Długie miecze Celtów z łatwością zbijały krótkie gladiusy Rzymian, zmiatały ich tarcze, odcinały kończyny i głowy. Jakiś wojownik przywiązywał głowę wroga do pasa i kłął, że przekłete cudaki strzygą kudły przy samej skórze. Cóż za niespotykany brak taktu.

Zobaczył wodza nacierającej hordy, górującego nad polem bitwy z wysokości bojowego rydwanu. Twarz wojownika zdobiły pasy z czerwonego barwnika. Na głowie nosił złoty hełm w kształcie łba dzika, szable zachodziły mu na policzki i wysuwały się na

wysokości szczęki, nadając mu wygląd szarżującego odyńca. Skierował rydwan w sam środek nieprzyjacielskiej armii, w miejsce gdzie szyk Rzymian jeszcze się nie rozsypał. Ktoś cisnął w niego oszczepem, wódz pochwycił go w locie i złamał jak trzcinkę. Wrogowie uskakiwali w bok przed szarżującym pojazdem, szkolone rumaki gryzły, tratowały twarze. Wystające z osi kół kosy chłastały golenie i łydki, zostawiając na swojej drodze krwawe rżysko z odciętych, obutych w sandały stóp.

Dotknięcie w ramię wyrwało go z transu, łapczywie zaczerpnął powietrza. Myrddin wskazywał coś jeszcze. Jakies dziesięć stóp od nich przycupnęła obdarta staruszka, zapatrzona w zatopioną scenę. Odwróciła się od nich, odgarnęła włosy w geście urażonej kokieterii. Siwe pasmo zostało jej w palcach, odsłaniając pooraną liszajami czaszkę. Kobieta załkała i schowała twarz w dłoniach. Spomiędzy starczych, gruzłowatych palców błysnęło chytre, zaropiałe oczko.

- Kropelka, jedna kropelka i opowiem wam wszystko, co chcecie.

Myrddin skinął głową. Naciął serdeczny palec i podsunął go kobiecie. Oblizwała go, mlaszcząc lubieżnie. Zwiędłe usta wypełniły się czerwienią, błysnęły garniturem pereł. Uśmiechnęła się do nich zalotnie. Wisząca przedtem szata kusząco opięła jej kształty. Była tak piękna, że Rhodri odruchowo się cofnął. Jeżeli kropla krwi dała jej tak wiele, to dlaczego nie miałyby rozplatać mu gardła i nachleptać się wreszcie do syta?

Myrddin zastąpił jej drogę.

- On nie jest dla ciebie, Agrono. Idź pasać się razem z krukami.

Bogini Rzezi zmierzyła go gniewnym spojrzeniem, ale jej głos zrobił się jeszcze słodszy.

- Nie chciałam zrobić mu krzywdy. Jak wiesz, zsyłam nie tylko żądzę krwi. Potrafię też dawać rozkosz. A twój hojny dar... niezwykle mnie rozpałił.

- Myślałem, że wolisz wojowników.

Agrona przeciągnęła się leniwie.

- To prawda, wolę. Ale o prawdziwych mężów dziś trudno. Przyzywają mnie poeci i inne truchła. Nie będę już miała takiego kochanka jak on.

Dłoń bogini musnęła taflę jeziora. Posłała wojownikowi w rydwanie tęskny pocałunek.

- Brennusie, piękny Brennusie. Usypałeś mi kopiec z odrąbanych głów, a ja bawiłam się nimi jak dziecko, gdy owoc obrodzi jesienią. Nigdy nie miałam dość, a ty zawsze starałeś się mnie zadowolić. Wiedziałeś, jak traktować boginię.

- A więc to on - wyszeptał Myrddin.

- Pogromca Rzymian i zwycięzca spod Alili, łupieżca Wiecznego Miasta. Do czasu

wielkiego Alaryka, króla Gotów, nikt nie upokorzył tych pragmatycznych pyszałków choć w połowie tak mocno. Bardzo za nim tęsknię - powiedział Agrona, ocierając łzę. - Nikt już nie da mi tyle rozkoszy. Jego potomkowie kryją się przed wrogami w starych fortach i biadolą jak szlachtowane świnie, wzywając imienia Chrystusa.

- Brennus nosił Naszyjnik. Co się z nim stało? - zapytał Rhodri.

- Ja nic nie wiem. Nie wolno mi mówić - zacięła usta bogini.

- Myślałem, że bogowie nie trzymają z Zapomnianym. Przecież sami uwięziliście go w tym Lesie - powiedział Myrddin.

Agrona spojrzała na niego smutno.

- Miałam własne zaświaty, śmiertelniku. Tak piękne, że postradałbyś zmysły od patrzenia. Przyjmowałam jedynie walecznych. Brodziłam po kolana we krwi, ukojona krzykiem, pod szkarłatnym niebem. Ale one rozmyły, się zgasły. Został mi tylko ten Las.

- Czyli żebrzesz na dworze wroga? - zapytał Myrddin zgorzony.

- Lepszy chleb żebraczy niż ohydna nicość - powiedziała bogini.

- Widziałś może człowieka, śmiertelnika, który błąkał się tutaj ostatnio? Żywy, nie jeden z cieni?

- Widziałam go... może. Ale nie był już tak żywy, jak ci się wydaje. Tak naprawdę to właśnie umierał - Agrona zaśmiała się cicho.

- Wiesz, jak go odnaleźć?

- Dlaczego mam ci pomagać?

Myrddin zawahał się. Rozwagał, którym z sekretów mógłby skusić podupadłą boginię, i z upokorzeniem stwierdził, że Agrona znała je wszystkie. *Moje tajemnice są równie podupadłe jak ona.* Agrona nawinęła na palec kosmyk syczących włosów. Wyglądała jak skromna, drocząca się z zalotnikiem panna. Wrażenie psuły odsłonięte piersi, między którymi szczyrzyła się czaszka. Chociaż słowo „psuły” nie było odpowiednim określeniem, uznał Rhodri i głośno przełknął ślinę.

- Co powiesz na pocałunek? - zapytał.

Bogini zadygotała i posłała mu uwodzicielskie spojrzenie.

- Wiesz, o czym mówisz, malutki? Mogę się nie opanować. Mogę dać ci rozkosz, która rozgotuje twój szpik i rozwłóczy trzewia.

Myrddin stanowczo odsunął Rhodriego na bok.

- Ja to zrobię, Agrono. Zawsze chciałem poznać cię bliżej.

Prychnęła rozczarowana, ale jej oczy pozostały głodne.

- Skoro tak mówisz... nie guzdraj się zatem, staruszku.

- Przysięgasz powiedzieć mi prawdę?
- Owszem. Nawet jakby cię miała zadławić.

Myrddin podszedł do niej ostrożnie. Pachniała kwiatami i deszczem. Zarzuciła mu ręce na szyję i łapczywie wessała się w usta. Przez moment trwali objęci, obserwujący to Rhodri poczuł bezsensowną zazdrość. Obawiał się, że nie zobaczy już więcej Myrddina.

Pytanie, kogo zobaczę, pomyślał i spróbował przypomnieć sobie odpowiednie nauki Cynneda. Niestety, jego mentor był raczej teoretykiem sztuki i nie obcował z głodnymi bóstwami.

Nagle Agrona odepchnęła czarownika. Zatoczył się na ścieżkę. Bogini splunęła z obrzydzeniem, pełne wargi zadrżały, jakby miała wybuchnąć płaczem. Na przekór zdobiącym ją czaszkom i innym makabrycznym ozdobom, wyglądała jak skrzywdzona dziewczynka.

- Nędzny psie. Wcale nie jesteś mężczyzną! - zawyła.
- To dyskusyjne, moja droga. Czcigodny Orygenes nie zgodziłby się z tobą - odparł Myrddin, flegmatycznie ocierając twarz z plwocin.
- Eunuch. Przeklęty, bezużyteczny rzezaniec - zawodziło bóstwo.

- Mój mały defekt... to pamiątka z Syrii. W sanktuariach Kybele istnieje obyczaj kastrowania neofitów. Cóż, byłem młody i żądny wiedzy, a męskość była dla mnie źródłem rozkoszy, ale też upokarzającego wstydu. To nic przyjemnego przez całe życie łączyć z wyciągniętym jęzorem. Zwłaszcza gdy nie jesteś bogaty ani specjalnie przystojny.

- Oszukałeś mnie!
- Owszem. A teraz gadaj, gdzie Naszyjnik i jego Nosiciel.

Bogini spojrzała się na niego z nienawiścią. Nagle w powietrzu rozległ się przeraźliwy krzyk. Agrona roześmiała się triumfalnie.

- Obiecałam pokazać ci drogę. Ale nie powiedziałam, że zdążysz. Podążaj za krzykiem. I pozdrów ode mnie trupa.

## ROZDZIAŁ 18

- Morderca z Kabat powrócił - powiedział Łukasz ponuro. Już widział te krzyczące nagłówki.  
- Ej, śpiąca królowno! Do ciebie mówię.

Igi oczywiście milczał. Łukasz zapalił papierosa. Wiedział, że nie mają czasu, ale ręce trzęsły mu się jak w delirce. Było kwestią minut, kiedy ktoś tutaj zajrzy. Drzwi mieszkania wywalono na oścież i jednocześnie spalono - jakby wysadził je z kopa rozeżlony ifryt. Korytarz był czarny i osmalony, za to pokój zyskał nową, szkarłatną barwę.

Kierczyński zatrzymał intruza wyjątkowo paskudnym czarem.

W slangu magów nazywano go Podszewką. Z grubsza rzecz biorąc, polegał na wywróceniu ofiary środkiem na zewnątrz - jakby była rękawiczką czy skarpetką. Widziane z tej perspektywy ciało ludzkie przypominało obraz Bacona. Ramiona i nogi były siatką arterii, żył i stężyłych mięśni. Korpus stał się pulsującym kłębowiskiem organów, żołądek opadł na bok jak zdeptana kobza. Tylko głowy czar nie naruszył. W drgających szczątkach wciąż dało się rozpoznać rude włosy Fergususa O'Briena. I to było w Podszewce najgorsze. Obiekt czaru żył, i to całkiem długo. U patrzącego na to Łukasza odezwał się instynkt pracownika oświaty. Można by z tego gościa zrobić pomoc naukową dla szkół. I nazwać to biologią na żywo.

- To mój współbrat. Dowiedzieli się i chcą nam przeszkodzić - głos Kierczyńskiego był ledwo słyszalny. - Musimy uciekać.

Profesor postradał w wybuchu fajkę, a także włosy, brodę i brwi. Twarz miał osmaloną, ale uniknął poważniejszych poparzeń. *Nie będę już chyba palił.* Czuł się bardzo, ale to bardzo zmęczony. Okazało się jednak, że może chodzić. Trudniejsze było przetransportowanie Igiego. Łukasz zasugerował, żeby go gdzieś ukryć, ale Alina nie zgodziła się.

- Wytropią go - powiedziała.

W końcu położyli go na kocu i z trudem znieśli na dół. Przed domem czekała na nich dostawcza furgonetka. Alina zamarła na widok Ernesta, profesor pokiwał głową.

- Pospolite ruszenie? Czemu nie.

\* \* \*

Kręgi Gotów w kaszubskich Węsiarach były popularnym miejscem. Przyjeżdżali tam studenci etnografii i miłośnicy New Age'u. Kierczyński uważał, że obok góry Ślęzy było to

najpotężniejsze miejsce mocy w kraju. Był jeszcze wawelski czakram, ale zamek królów Polski nie był najlepszym miejscem na tajne okultystyczne ceremonie. Kręgi też nie były, jak się szybko okazało. W pobliżu czekała kolejka wycieczek złaknionych kontaktu z magią. Łukasz pomyślał, że zwialiby gdzie pieprz rośnie, gdyby wiedzieli, że obok drzemie słynny morderca z Kabat. Chociaż niektórym mogło się to nawet spodobać.

Dziś była tu liczna grupa miłośników medycyny naturalnej i kilku zestresowanych satanistów. Studenci etnografii nie dopisali. Pojawiali się tylko latem, to żadna przyjemność prowadzić badania terenowe w zimie. Chyba że bada się problem alkoholizmu na wsi. New Age'owcom nie przeszkadzały niskie temperatury. Właśnie uformowali kółeczko w największym z kręgów i wzięli się za ręce, intonując świętą sylabę om.

Przywódca sekty, chudy, natchniony wąsacz, który przedstawił się jako czciciel Dionizosa oraz globtroter Warmii i Mazur, hipnotyzował wyznawców wahadełkiem. W innych okolicznościach Łukasz tarzałby się ze śmiechu. Teraz nie chciało mu się na to patrzeć. Wolał oglądać jezioro, na którym ładnie układała się topniejąca kra. W ogóle było tu ładnie. Jezioro, pagórki, łagodnie szumiące sosny. *Mam nadzieję, że stary wie, co robi.*

New Age'owcy skończyli wczesnym wieczorem. Starsze panie przytupywały dla rozgrzewki, posilając się kanapkami z kielbasą i gorącą herbatą z termosów. Ich mężowie sprawiali wrażenie zakłopotanych. Synowie, krępi, mrukliwi dresiarze, byli autentycznie wkurzeni. Łukasz nie dziwił im się. Nawiedzone matki targały ich do Lichenia i na koncerty Rubika, co było wystarczająco upokarzające. Teraz zmusiły ich do kontaktu z pogańskimi mocami. Zawsze go frapowało, dlaczego kolesie, którzy w wolnych chwilach kroili bliźnich albo organizowali plemienne ustawki, dawali się terroryzować swoim grubym matkom. *To chyba te osławione rodzinne wartości.*

Sataniści byli zdenerwowani. Ich przywódcą był gruby, pryszczaty koleś z przetłuszczonymi włosami, w dżinsowej kamizelce z naszywkami Behemota narzuconej na skórzaną kurtkę. Powiedział, że w zeszłym roku miejscowi spuścili im łomot, bo przyłapali ich na paleniu Biblii. Faktycznie, przykre. Z tego, co Łukasz wiedział, Szatan cenił raczej silnych, a nie ich ofiary.

- Możemy was przepuścić. Poczekamy, aż będzie zupełnie ciemno - oznajmił Łukaszowi czciciel Szatana.

- Jasne.

Kierczyński zrobił na satanistach wrażenie, podobnie jak Alina. Na widok dziewczyny zaświeciły im się oczy. *Pewnie woleliby zaszlachtować ją niż kota.* Ernest trzymał się z boku. Łukasz był mu wdzięczny. Gdy poprosił przyjaciela o pomoc, antykwariusz spojrział na niego

przeciągle, ale od razu się zgodził. Nic nie mów, powiedział. Od tego są przyjaciele.

Nie dość, że przywiózł ich tutaj, to jeszcze porozmawiał w jego imieniu z Karoliną. Łukasz nigdy nie umiał kłamać swojej żonie, a Ernest sprzedał jej historyjkę o konferencji naukowej, na którą Łukasza zaproszono w charakterze eksperta. Zebrani proszeni są o uwagę. Z pierwszym referatem wystąpi magister Klimkowski. Temat jego prelekcji to „Rytuály przejścia w teorii i praktyce” Dajesz.

Kierczyński rozpałił ogień i sypał do ogniska zioła, pokruszone grzyby i inne ezoteryczne paskudztwa. Alina schowała się do samochodu.

Ernest obserwował ogień, pociągając z piersiówki. Łukasz po prostu czekał z przykrą świadomością, że zarówno porażka, jak i sukces profesora sprawia, że będzie miał przerąbane. Jeżeli nie otworzy Przejścia, to Igi zapewne nie wróci. Jeżeli to zrobi, będzie musiał tam wleźć. Super. Uśmiechnął się z trudem i pożałował, że nie ma go gdzie indziej. Profesor otrzepał ręce i zawołał go. Nadpalona czaszka oblażyła mu ze skóry. Wyglądał jak popsute niemowlę. Potem uśmiech spelzył z twarzy Łukasza jak zawstydzony wąż. Stary wyciągnął rękę, na pomarszczonej, pokrytej plamami dłoni jarzyła się biała tabletka. Stavalon.

- To ostatni etap - powiedział.

- Nie, sorry, tego nie było w planach. Mówiliśmy przecież o magii.

- Musisz to zjeść. Bez stavalonu nie otworzysz Przejścia.

W końcu Łukasz przemógł się i połknął to świństwo. Przez jakiś czas nic się nie działo. Potem zorientował się, że korzenie sosen jarzą się pod warstewką śniegu, a na jeziorze jest więcej zmarszczek. Gwiazdy też stały się bardziej wyraźne, a od sunących po niebie chmur nie mógł oderwać wzroku. Pięknie. Dopóki się nie rozkręcił, stavalon swoim działaniem przypominał mu grzyby. Ale po nich raczej nikt nie umierał.

Najbardziej zmienił się krąg. Głazy urosły, wznosiły się na tle ciemniejszego nieba jak łopaty albo szerniałe kły. Klimkowski wpatrywał się w nie w skupieniu. Kamienie rozbłysły światłem. Odcinały się od ciemności jak błyszczące lustra, ale niczego nie odbijały. Ujrzał, jak z jednego z prostokątów światła wychyla się twarz. Długa i nieludzka, z wężącymi, wzdętymi nozdrzami. Wtedy pojał. Kamienie kręgu to drzwi.

- Widzisz je? - głos Kierczyńskiego drzał z podekscytowania.

- Tak. I jest ich tu kilkanaście. Wiesz może, po czym rozpoznać właściwe?

Nigdy nie szkodzi zapytać. Łukasz zajrzał w kilka świecących wrót i nie podobało mu się to, co zobaczył. Świat obdartych ze skóry węży był zdecydowanie zbyt okrutny. Nie sądził, że duch Igiego wywędrawał właśnie tam - nie przeżyłby w tym wymiarze kilku



sekund. Poza tym nie chciał wpaść na to, co oskórowało nieszczęsne zwierzątka. Świat pajaków mu się nie podobał, wymiar płomiennych duchów także. Świat fioletowego morza był kuszący, a pluskające w nim syreny miały śliczne piersi. Ale Łukasz nie pływał za dobrze. Świat głów-uli był pełen hałasu, bzyczenia miliardów os. I tak dalej, i tak dalej.

Ten właściwy rozpoznał węchem. Podobny trupi zapach unosił się znad Igiego. Bagniska, zbutwiałe drewno, torf. Przegniła skóra i trawa. Potem zobaczył kolory, a raczej ich brak, i zaczął pełznąć w kierunku świetlistej bramy. *Przez światło wślizgnę się w ciemność.*

\* \* \*

*Poza światem ludzi, światem bogów i światem bytu  
muszą być inne miejsca.*

DŌGEN KIGEN

Igi leżał w korycie płytkiej rzeki obmywany przez leniwy prąd. Ciemna woda była zimna jak śmierć, ale on nie czuł już bólu. Niewidzące oczy wpatrywały się w strzępy obrazów. Dziewczyna o jasnej twarzy.

Podziemne korytarze, w których stalowe czerwie uwoziły zmęczonych podróżnych. Jego pokój, rodzina, zaniepokojona twarz matki.

Ma czternaście lat, pijany wrócił do domu. Nie może zasnąć. Ale wtedy wirował pokój. Solowa z Małym Jankiem, krzyk kolegów na szkolnym boisku, przerażenie - jest lepszy! Wolne tańce pod koniec podstawówki, ból pleców, objęcia ładnej, ale niziutkiej dziewczyny. Ciężko utrzymać ręce na jej pośladkach i biodrach. Tańczą przy niekończącej się hardrockowej balladzie. Prezent, którego nie dostał na Pierwszą Komunię.

Z każdą minutą rzeka wypłukiwała z niego jedno wspomnienie. Opuszczały go razem z krwią sączącą się z rany na szyi. W tej części Czarnego Lasu spoczywało wielu umarłych. Niektórzy mieli na sobie ozdobne szaty w kolorach czerwieni i złota, inni proste tuniki z szorstkiej wełny albo niewyprawione skóry. Bliscy złożyli ich starym zwyczajem w strumieniu lub małej rzeczce, czekając, aż nurt przeniesie duszę na drugą stronę. Wszystkie spotykały się tutaj.

Nad Igit nie płakała żona ani krewni. Był tutaj obcy, ale jego śmierć obserwowały baczne oczy. Dzieci Lasu przysiadły w korzeniach cyprysów, topoli i wierzb, kulili się w wiklinie i trzinach. Niektóre, jak upiór zwany Dzieciątkiem, przypominały kosmate cienie, bezkształtne kłęby materii. Inne zachowały echa boskich atrybutów, resztki rysów twarzy,

zatarte kontury ciał. Czuwały, wypatrując chwili, gdy droga Nosiciela się dopełni, a ich władcy zagarną Naszyjnik.

Dzieciątko niecierpliwił się. Miał ochotę wychłęptać krew tego stworzenia, rozerwać mu żyły i skrócić oczekiwanie. Ale pani Lasu Agrona od Węzy dała im jasne rozkazy. Nosiciel był poza ich zasięgiem. Z chwilą gdy zapadł w sen, który poprzedza agonię, nie można mu było przeszkadzać. Nawet Dzieci Lasu przestrzegają praw życia i śmierci. Musieli czekać.

Jedynie, co mogły zrobić, to skupić uwagę na jego ranach i dopilnować, by nie zaczęły się goić. Dzieciątko dwa razy zdrapywał mu strupy z szyi i za każdym razem chłęptał trochę krwi. Wkrótce wyrwie pożywniejsze kęsy. Wiedział, że to kwestia sekund. Rana krwawiła coraz słabiej. Nosiciel będzie ich, gdy rzeka wypłucze z niego pamięć.

Nagle w ciszy i mroku rozległo się głośne przekleństwo. Demony zaszargotały, nadstawiając uszu. Przez bagna przedzierał się człowiek. Jego obecność stanowiła tak jaskrawe naruszenie obowiązujących w zaświatach zasad, że odebrało im mowę.

Wędrowiec miał jasne włosy i brodę, był gruby, niezdarny i pokąsany przez komary. Ale przed wszystkim był żywy. Opadły go szeleszczącą chmarą, szczerząc ociekające jadem kły.

\* \* \*

Podobno do wszystkiego można się przyzwyczaić. Czarny Las udowadniał, że nie. Było gorzej niż za pierwszym razem. Wtedy nie bardzo wiedział, czego się spodziewać, i aż do końca - przerażonego, krzyczącego przebudzenia - pocieszał się, że to tylko sen. Wyszedł z tego bez szwanku, poza tym że zlał się do łóżka i musiał ukryć przed Karoliną mokre prześcieradło. Teraz Łukasz szedł przez Czarny Las, krainę mroku i zbutwiałych woni, z całą świadomością, że nie śni.

Nie było tu punktów orientacyjnych, żadnych wzniesień, skał ani znaków. Tylko bezkresna, umarła równina. Nie było nawet jazgoczących istot, które spotkał za pierwszym razem i które napęłniły go taką grozą. Szybko stracił nadzieję na odnalezienie Igiego. Nie wiedział, jak długo stawał będzie działał ani jak wróci do domu. W końcu zrezygnowany klapnął na zwałonym pniu.

I pomyśleć, że mógłby teraz śnić erotyczne fantazje, dajmy na to, sen rozpustnego sułtana. Tępo zagapił się w wodę i nagle dostrzegł odrobinę koloru. Liść był zbutwiał, ale zachował żywy żółtawy odcień. Unosił się z prądem. Ruszył w ślad za nim i w końcu dotarł w miejsce, gdzie woda nie była nieruchomym bajorem, tylko formowała się w nurt. Wkrótce

szedł już korytem płytkiej, leniwej rzeki. A potem zobaczył ciała.

Były ich dziesiątki i setki. Mężczyźni, kobiety i dzieci, z ozdobami i bronią, w łachmanach i odświętnych strojach, nadzy i naznaczeni ranami. Igiego rozpoznał po błysku. Naszyjnik jarzył się złotym blaskiem. Pobiegł w jego stronę i nagle potknął się o ukryty korzeń. Zdążył zakląć i złapać się za stopę, potem dopadły go duchy.

Dzieciatko uderzył pierwszy. Znał tego intruza, jakaś część jego upiornej jaźni pamiętała zimowy las i przerażonego grubasa, który stanął między nim a łupem. Skoczył mu prosto do gardła. Kły zacisnęły się i w lesie rozległ się straszny dźwięk - skowyt zawiedzionego demona.

Odskoczyły od niego i odfrunęły z wyciem. Przez chwilę stał osłupiały, potem roześmiał się z ulgą. Kimkolwiek były, nie mogły go zranić. Kierczyński wspominał, że niektórzy rodzą się odporni na ataki magicznych istot. Kimś takim mógł być człowiek, który z natury roztacza woń czosnku i odstrasza od siebie wampiry. Albo Orfeusz, który bez szwanku zagłębiał się w czeluść piekieł. Łukasz przeżył prawie trzydzieści lat, nie mając o tym pojęcia. Ten dar, pierwszy, jaki u siebie odkrył, nie był przydatny w naszym świecie.

Podbiegł do Igiego i jęknął. Chłopak nie reagował na słowa, ale udało mu się wyciągnąć go z wody. Wymamrotał zaklęcie uzdrawiające, które przekazał mu Kierczyński - brzmiało jak pieprzona mantra. Igi zamrugał i rozkaszał się czarną wodą. W mętnych oczach zabłysła isierka uwagi, chłopak spojrzał na niego przytomnie.

- Znam to miejsce. Czy to znowu sen? - zapytał.

- Gorzej. To pieprzony koszmar - Łukasz roześmiał się nerwowo.

Jak to szło? Kierczyński przekazał mu inwokację, która mogła im pomóc w powrocie, ale on, oczywiście, zapomniał.

- Wracajmy do domu.

Igi uśmiechnął się ponuro i dotknął Naszyjnika ubłoconymi palcami.

- Z tym? Z demonami, które na mnie polują? To się tak łatwo nie skończy, Klima. Ale dzięki, że po mnie przyszedłeś.

- Zaraz, zaraz. To czego ty chcesz?

- Wrócić. Ale tam. Doprowadzić sprawy do końca.

- Stary, nie rób mi tego. Alina na ciebie czeka.

- Tam też czekają. Potrzebują mnie.

Wyglądał teraz poważniej. Kilka dni w tamtym świecie dodało mu wiele lat. W niczym nie przypominał przerażonego dzieciaka, który trafił do jego gabinetu w tamto zimowe popołudnie. Klimkowski uśmiechnął się ponuro. *Wreszcie nastąpił przełom. Jako*

*terapeuta zmuszony jestem przyznać, że pokonałeś ważny próg.*

- Niby kto? Druidzi? Mało o nich wiem, ale coś mi mówi, że to straszne kutasy.

- Chrzanić druidów. Ludzie.

Łukasz sapnął bezradnie. Już widział minę Aliny. Tylko się spojrzy, jej oczy powiedzą mu wszystko. Nagle ogarnął go gniew. Stary! Nadstawiam dla ciebie karku!

Igi uśmiechnął się i odetchnął głęboko.

- Powietrze jest inne. Czujesz?

Łukasz czuł głównie wściekłość i zniechęcenie, ale młody miał rację.

W Czarnym Lesie coś się zmieniło. Jakby skupiona, mroczna wola rozstała się, uwalniając przestrzeń. Zobaczył, że opłukująca zmarłych woda stała się znacznie czystsza. Płynęły w niej liście i kwiaty.

Nagle chłopak schylił się i wyłowił coś. Jesienna jarzębina, z owocami jak krople krwi.

- Ciekawe, gdzie rośnie drzewo - powiedział.

Zbliżali się do nich ludzie. Człowieczek w burej szacie i siwobrody starzec wsparty na długim kosturze. Niższy zamachał rękami, przyspieszyli kroku.

- To moi przyjaciele - powiedział Igi. Poklepał Łukasza po plecach i podał mu czerwoną gałązkę. - Dla Aliny. Powiedz, że o niej myślę.

- Nie ma mowy. Zabieram cię z powrotem - Łukasz był nieźle wkurzony.

Do diabła, jak to szło? Siwobrody zatrzymał się i nakreślił w powietrzu jakiś symbol. Z ciemności wykroili się drzwi. Chłopak zaczął biec. Odwrócił się i pomachał mu, a potem znikli w migoczącym portalu. Łukasz obrócił w palcach jarzębinę i zaklął. Właśnie przypomniał sobie zaklęcie powrotne.

\* \* \*

Wrażenie było naprawdę paskudne. Przypominało sensacje, jakich doznawał, latając samolotem. Wtedy też czuł się wypluty i wydrążony. Jakby jego dusza nie nadażała za nowoczesną techniką i na piechotę goniła odrzutowiec. Po tym jak wypadł ze świetlistego kamienia, czuł się sto razy gorzej. *Przynajmniej nie wlażem do świata obdartych węży.*

Alina otarła mu czoło, czekała, aż zacznie mówić. Łukasz zamrugał. *Po co ta troska? To nie na mnie czekałaś, malutka...*

- Znalazłeś go? - spytała.

- W pewnym sensie. Ale postanowił zostać - powiedział.

- Wyrecytowałaś zaklęcie? - upewnił się Kierczyński.

Łukasz stłumił irytację. Cholera, ktoś mógłby spytać, jak on się czuje.

Powoli dźwignął się na nogi i wskazał na ciało Igiego.

- Wygląda znacznie lepiej, no nie?

Twarz Igiego odzyskała normalny, czyli tylko lekko niezdrowy, wygląd. Nadal był blady, ale nie nic nie zapowiadało agonii. Oddychał miarowo. Znikł też bagienny odór, który ostatnio roztaczał. Łukasz odetchnął z ulgą i uśmiechnął się do Aliny. Ernest poklepał przyjaciela po plecach.

- Udało ci się, stary. Uzdrowiłeś go.

Profesor nie był przekonany. Z irytacją złapał się za brodę i uświadomił sobie, że już jej nie ma. To nie poprawiło mu samopoczucia.

- Bzdura. A Naszyjnik? Nie może tam zostać.

Ernest pokręcił głową. W jego oczach pojawił się smutek.

- Mylisz się, profesorze. Naprawdę się mylisz.

\* \* \*

Kryspin nie lubił wielu rzeczy. Nie lubił swojego imienia, które zdaniem wielu, w tym i samego Kryspina, brzmiało potwornie pedalsko. Nie lubił muzyki pop, jasnych spodni, Jezusa Chrystusa i swojej matki. Na liście jego antypatii wysoko uplasowała się szkoła, a także konieczność zarabkowania. Lista rzeczy, które lubił, była dużo skromniejsza. Poza kilkom zespołami, z Dimmu Borgir na czele, lubił profanowanie miejsc kultu i cmentarzy, seks i kebaby. W cienkim cieście. No i swojego idola, Pawła Smutkę. Jeżeli Paweł mówił, że mają czekać, Kryspin nie ruszał się z miejsca. Mimo to na widok błysków ognia i jeszcze dziwniejszych świateł, które były od głazów kręgu, po plecach przeszły mu ciarki.

- Kurwa, co oni robią? - zapytał Pawła po raz setny.

Smutka stłumił irytację i postanowił milczeć. Przywódca nie obnosi się z niewiedzą, jeżeli nie chce utracić szacunku grupy. Paweł dobrze o tym wiedział, dlatego od kilku minut ignorował zapytania Kryspina. Nie patrzył na Marcina, który obgryzał długie, zapuszczone pazury. Gorzej że Marta też zaczynała wymiękać. Szarpała go za rękaw, tak blada, że było to widać pod jej gotycką tapetą.

- Myślisz, że przywołują jego? - zapytała z przejęciem.

W ich grupie nie wymawiało się imienia Lucyfera. Byli poważnymi satanistami i traktowali swego władcę z szacunkiem.

- Nieee. Od razu widać, że to amatorzy. Ściemniają.

Paweł starał się, żeby jego głos brzmiał lekceważąco. Nie miał pojęcia, co

przywoływali tamci. Jedno było pewne. Byli nieźli. Choćby jego ludzie zaszlachtowali dzisiaj sto kotów, a nie jednego, jak mieli to w planie, nie uzyskają tak imponujących rezultatów.

Ten gruby, z jasną brodą, kiwał się jak w transie. Dziewczyna i nieprzytomny czekali w samochodzie. Potem gość z jasną brodą podszedł do jednego z głazów i zniknął, rozplynął się w powietrzu. Normalnie skoczył w pulsujące światło.

Z innego głazu przed chwilą wypęzło coś, co przypominało obdartego ze skóry węża. Albo bezpańską pepowinę. Takie stworzenie nie miało prawa istnieć i rzeczywiście, po chwili zdechło. Gorszy był pulchny zielony pająk wielkości świni. Dziad bez włosów ledwo przed nim uskoczył. Pająka załatwił ten niewysoki, ubrany jak przedwojenna ciota. Jak na ciotę nieźle sobie radził. Trafił pająka kamieniem, a ten eksplodował gejzerem czarnego szlamu. Część doleciała aż do nich. Paweł wiedział, że jeżeli ma zachować resztki autorytetu, musi coś zrobić. Kazać im uciekać, pomóc tamtym, cokolwiek. Jeżeli będą tak stać, ta noc nie skończy się dobrze.

Powinni się ulotnić, ale Smutkę zżerała ciekawość. Odczekał kilka minut. Widział, jak kamień wypluł tego grubego z powrotem. Rozmawiał z pozostałymi. Niby nic się nie działo, ale w zaroślach rozległ się szelest. Ktoś się zbliżał i Paweł wołał tego kogoś nie spotkać. Potem niewysoki koleżka zagwizdał i Paweł stwierdził, że na tę noc starczy.

Odwrócił się od kręgu i ognia, żeby wydać polecenia załodze. Ale głos uwiązł mu w gardle. Marcin stał oparty o sosnę, w jego gardle zionęły czerwone, uszmkowane usta. Płynęła z nich krew. Paweł szturchnął go lekko i Marcin usiadł. Głowa i reszta osobno. Paweł zaczął wrzeszczeć. I zobaczył tamtych.

Było ich dwóch, w rękach mieli zakrzywione sierpy. Jeden skoczył w kierunku Kryspina, który klapnął na śnieg. Spod jego siedzenia uniosła się para, przód spodni miał cuchnący i mokry. Drugi zaatakował Martę, która wrzasnęła i ukryła się za swoim przywódcą. Paweł przełknąłby ślinę, ale gardło miał suche jak Kair.

Intruz nosił szary workowaty strój, coś jak wytarty szlafrok. Albo ubranie Ku-Klux-Klanu. W rękę miał zakrzywiony sierp, który migotał w świetle księżyca. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Zbliżył się tak szybko, że Smutka nie zdążył odskoczyć. Ale zdążył zrobić coś innego. Płynnym ruchem podniósł worek, który przed chwilą rozplątał, i cisnął napastnikowi w twarz kłęb jazgoczących szponów.

Kocur nie był tej nocy w nastroju do żartów. Dranie, którzy schwytali go w katowickiej piwnicy, nie karmili go od kilkunastu godzin. Pić też nie dawali, jeśli nie liczyć tego, że raz położyli worek w błotnistej kałuży. Kot nie zdawał sobie sprawy, że dzieciaki chcą go złożyć w ofierze. Miał to w dupie. Ale miał pazury. Z czterech łap dwie rozorały

szyję i policzki druida. Trzecia sięgnęła oczu. Drugi z atakujących zatrzymał się na moment i to pozwoliło Kryspinowi odzyskać ducha walki. Od dołu kopnął go w kolano. Kiedy typ padał, trójka satanistów cwałowała już przez sosnowy las. Paweł nie wiedział nawet, czy mieli pecha czy szczęście. I czy śmierć Marcina liczy się jako ludzka ofiara...

\* \* \*

W sumie było ich czterech. Dwóch wpadło na satanistów, pozostali dotarli na polanę, ale bez elementu zaskoczenia.

Kierczyński wyeliminował pierwszego prostym czarem, który nazywał się Zadziór. Mężczyzna eksplodował i runął, chrzęszcząc połamanymi zębami. Wyprostowały się w nim, tak że wyglądał jak krwawy jeź albo upiorna choinka. Drugi odpowiedział zaklęciem. Profesor zdołał je osłabić, ale i tak siła czaru, zwanego Muśnięciem Gehenny, cisnęła nim o śnieg, poważnie uszkadzając kręgosłup. Dla pewności napastnik dorzucił jeszcze Krwawe Łzy. Kierczyński mrugał bezradnie. Chciał otrzeć tę czerwień z twarzy, ale nie był w stanie się ruszyć. Człowiek, którego kiedyś nazywał Mistrzem, z pogardą kopnął go w żebra.

- Mówiłem, żebyś uważał.

Z ciemności wyłonił się kolejny druid. Kuśtykał na zwichniętej nodze.

- Zabezpiecz Nosiciela - rozkazał Mistrz.

Sam podszedł do Łukasza, który nadal pełził w kierunku Drzwi. Pochylił się nad nim z sierpem, odciągnął głowę za włosy. Krzemienne ostrze przejechało po szyi i rozprysło się mrowiem iskier. Mistrz cofnął się, klnąc. Przysunął skaleczoną rękę do ust i znów kopnął Kierczyńskiego.

- Chronisz go, starcze? Życie z ciebie wycieka, a ty chronisz jakiegoś śmiertelnika? Nie poznaję cię.

Profesor uśmiechnął się, zabulgotał krwią.

- Nie muszę go chronić. Twoja magia nic mu nie zrobi.

Z auta dobiegł kolejny krzyk. Mistrz skrzywił się wściekle. Głupcy. Tak długo gnili w tym upadłym świecie, że zapomnieli, jak się zabija.

Odwrócił się w stronę zagrożenia i wybuchnął śmiechem.

Dziewczyna ścisnęła zakrwawiony kuchenny nóż. Człowiek, którego zabiła, umykał łowcom czarownic i inkwizytorom, a kiedyś przechytrył samego Heinricha Kramera. To było naprawdę zabawne.

Wtedy Kierczyński rzucił swój ostatni czar. Na starożytnych deszczułkach zapisane były cztery zaklęcia. Trzy z nich wyrecytował prawidłowo. W ostatnim przeszkodziły mu

powybijane zęby.

Czar znany jako Połówka powinien rozerwać ofiarę na dwie części, z których każda kontynuowała życie. Zazwyczaj połówki wszczynały walkę, choć istniały przypadki współistnienia. Z powodu rozbitej szczęki czar naderwał Mistrza... połowicznie. Druid opadł na kolana, na jego twarzy drgały tabuny emocji. Jedną ręką złapał się za gardło, drugą uderzał w śnieg. Każda część ciała próbowała robić co innego. Tylko umysł zachował jasność. Niestety.

- Sporo się nauczyłeś - syknął, krzywiąc się z bólu.

- Za mało i zbyt późno, obawiam się - Kierczyński mówił i oddychał z trudem. Oczy zachodziły mu mgłą. - Tu nie chodzi tylko o jednego dzieciaka. Uciekaj - ponaglił Łukasza.

Klimkowski pokiwał głową i z trudem podźwignął się na łokciu.

- Zatrzymam ich - wyszeptał profesor.

- To nie jest takie pewne - zauważył ktoś.

A potem czułym gestem wbił wąski sztylet w zetknięcie jego szyi i barków. Ciało starca zadrgało i zaraz zwiotczało. Morderca zbliżył się do Łukasza, który jęknął.

- Ernest. Ale dlaczego?

- Dla przyjemności bycia ostatnim z druidów, jak sądzę - odparł antykwariusz, uśmiechając się chłodno.

Pogroził palcem Alinie i wyszeptał jakiś czar. Dziewczyna zbladła i upuściła nóż.

- To nic osobistego, Łukasz. Gdy Kierczyński zaczął cię przygotowywać, kazali mi mieć cię na oku. Nadawałem się, bo stary mnie nie znał. W końcu nawet cię polubiłem, serio. Ale nie mogłem pozwolić, żebyście wszystko zepsuli.

- Chcieliśmy go tylko ocalić.

- I sprowadzić Nosiciela z powrotem? Zanim wypełni zadanie? Przyjaciołom nie robi się takich rzeczy. Mówiłem ci, żebyś się nie wtrącał. Ostrzegałem. Bracia chcieli was od razu załatwić, ale ja powiedziałem - powoli. Dajcie Łukaszowi zadziałać. Niech uzdrowi chłopaka, skoro potrafi przedostać się do Lasu. Mogło się udać, naprawdę mogło się udać. Ale stary za bardzo się uparł...

Przez moment Ernest wyglądał na autentycznie zasmuconego. Potem wyszczerzył zęby.

- No, ale nie ma tego złego. Dzięki wam pozbyłem się konkurencji. W antykach robiło nas stanowczo zbyt wielu. Nie bój się.

Nie zrobię nic twojej przyjaciółce... ani szczeniakowi. W końcu jest Nosicielem. Ale ty mi zawadzasz. Wybacz.



Łukasz liczył, że Ernest posłuży się magią. Próbował wstać, ale rozebrała go magia Przejścia. Kopnięcie spadło na niego z góry, zgruchotało kręgi karku obcasem. Ale go nie zabiło. *Zawsze miałeś twarde kark.* Zawył i znieruchomiał, przygwożdżony robak.

- Byłbym zapomniał. Przekazać coś twojej żonie?

Łukasz zmilczał. Widział, jak antykwariusz zamierza się do kolejnego ciosu. Ostatnim obrazem, jaki zarejestrowały jego mętniejące zmysły, był słaby blask wciąż bijący od kamienia Kręgu. Przypomniało mu się zdanie, które kiedyś wyczytał w *Bar-do Thos-grol, Tybetańskiej Księżce Umarłych*. Podążaj za białym światłem. Ale on nie miał już sił.

# CZEŚĆ III

## ROZDZIAŁ 19

Po dwóch dniach Igi odzyskał siły i mógł wsiąść na konia bez narażania życia. Teraz musieli zdecydować, co dalej. Rhodri uważał, że muszą jak najszybciej znaleźć się w Camelot. Ścigający ich oddział Cynrica może być częścią większej armii. Jeżeli Sasi dotrą do zamku przed nimi, nie będzie komu przekazać Naszyjnika.

Właśnie kończyli przypaloną owsiankę. Sylwio Munk znalazł się na gotowaniu tak samo jak na czarach. Igi, który skrobał swoją miskę z zapalem godnym lepszej sprawy, nadstawił uszu. Nie zapominajcie o mnie. Miał już serdecznie dosyć gadania o Naszyjniku i pomijania jego osoby. Zupełnie jakby go w ogóle nie było - ot, głupi wieszak, na którym ktoś zawiesił ich cenną zabawkę. Mab zobaczyła jego pochmurną minę i poklepała go po ręce. Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. Z całej bandy miała chyba najwięcej ludzkich cech. Może dlatego że życie zabrało jej prawie wszystko.

Po chwili ziewnął i skierował uwagę na miskę. Kleiły mu się oczy. Ci ludzie mieli paskudny zwyczaj wstawania bladym świtem, kiedy powietrze jest zimne i wilgotne. Igi nie znosił poranków. Miał ciężką głowę i coś w rodzaju kaca, ale rana na szyi zaczęła się goić. Wszyscy się o niego troszczyli, pytali o zdrowie i w ogóle. A on czuł tylko mętny, nieruchomy spokój, który coś podważało do środka.

Bedevir chrząknął i podrapał się po brodzie. Igi miał wrażenie, że w czasie jego choroby rycerz jeszcze bardziej zmizerniał i sposepniał. Ubranie wisiało na nim jak łachman. Niedługo można będzie postawić go w jabłkowym sadzie, by grzechotał żelastwem. Bedevir, strach na Sasów.

- Dużo ostatnio myślałem i doszedłem do wniosku, że ściągnęliśmy na siebie gniew Pana. Wcale nie jestem pewien, czy powinniśmy oddać naszyjnik Bractwu. Może lepiej oddać go Myrddinowi? - powiedział rycerz.

- Musimy przebudzić bogów. To nasza ostatnia nadzieja - powtórzył druid z uporem.

W nim też pojawiło się wahanie, ale nie zamierzał dzielić się wątpliwościami. Sam podjął się tego zadania i wykona je, nawet jeżeli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi.

- Twoi bogowie chyba nie życzą nam dobrze. To jak gmeranie kijem w gnieździe os... które nie są tak senne, jak sądzicie - rzekł Bedevir.

Rhodri zmrużył oczy i wolno pokręcił głową.

- Obiecałeś doprowadzić nas do Camelot, pamiętasz? Tej obietnicy też nie dotrzymasz?

- To nie na ciebie polują demony, druidzie - głos rycerza brzmiał spokojnie i zdecydowanie. - Obiecałem ci pomóc, ale nie narażę dzieciaka na pewną śmierć.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Ciężką ciszę przerwała Mab.

- Nie sądzicie, że to Igi powinien zdecydować?

Nosiciel skulił się pod ciężarem spojrzeń.

- Muszę się zastanowić - powiedział wreszcie.

Naszyjnik ciążył mu jak kamień na szyi topielca. Sam postanowił zostać, ale z drugiej strony... Bał się jak jasna cholera.

W milczeniu skończyli posiłek. Myrddin odstawił talerz i poprosił Igiego na słówko. Rozsiedli się na ławie za domem, popijając piwo z dzbana. Igi stwierdził, że w ogóle nie tęskni za kawą. *Wczesne wstawanie mężczy, ale picie piwa od rana... wspinały zwyczaj.* Napój był mętny i gorzki, ale na pewno nie był pasteryzowany. Tu wszystko jest ekologiczne.

- Słońce już mamy wiosenne. Lubię, jak grzeje, przypomina mi się Aleksandria. Mógłbym tak siedzieć cały dzień. Wyganiać z gnatów ciężar lat. - Czarownik uśmiechnął się błogo.

- Pewnie przeżyłeś ich wiele - bąknął Igi, częstując się piwem.

- Więcej, niżbym chciał. Ale nie przyszedłeś tu, żeby gawędzić ze starcem o wieku i pogodzie. Mów lepiej, co ci leży na sercu.

- Nie wiem, co robić. Ten Naszyjnik - czuję w nim moc, która skrobie mi serce. I prosi, żebym ją wpuścił.

- A ty się jej boisz?

Igi poczuł gniew.

- A co, nie powinienem?

- Tego nie powiedziałem. Ale jak wsiadasz na oszalałego konia, to co jest lepsze? Zeskoczyć z niego w galopie czy dać mu się ponieść, ale w końcu nauczyć się jeździć?

- Nie znam się na koniach. - Nosiciel upił kolejny łyk. - Ale wyczuwam twoją intencję.

- Wiem, co czujesz, chłopcze. Moc potrafi człowieka przestraszyć. Sam porzuciłem Camelot z jej powodu. Nie chciałem używać wiedzy w służbie śmierci, nawet dla dobra królestwa.

- To dlatego opuściłeś Artura? Bedevir mówi, że usidliła cię czarodziejka Morrigan.

Czarownik uśmiechnął się smutno.

- Nie, to nie tak. Powiedzmy, że gdybym został, to coś usidliłoby mnie na pewno. Tak

wtedy myślałem.

- Mówisz zagadkami.

- Kiedy dysponujesz mocą, wydaje ci się, że jej używasz. Ale pewnego dnia, oczywiście jeśli masz dość rozumu i szczęścia, uświadamiasz sobie, że jest dokładnie na odwrót. Że to moc posługuje się tobą. W moim przypadku było to po bitwie pod Starą Skałą. Jedenasta bitwa Artura. Dwunastej już nie oglądałem.

- Czemu?

- Widziałeś, co zostaje z pułku piechoty, kiedy przejdzie po nim porządna emanacja Ognia? Śwąd palonego mięsa drapie w gardło, a nad stosami trupów unosi się słona mgiełka. Tak parują oczy. Stałem i patrzyłem na swoje dzieło, a Artur podjechał i poklepał mnie po ramieniu. Powiedział, że po takiej lekcji Sasi pójda na każdy układ, że cofną się na wschód, a Brytania odetchnie. Jeżeli w ogóle damy im spokój. I że wystarczy jedna bitwa więcej, a najeźdźcy wsiąda do swoich łodzi i odpłyną gdzie oczy poniosą. Do ciemnych lasów Germanii, w dupę samego Wodana. Oczywiście, jeżeli przedtem nie podpalę im statków. Artur gadał, upajał się zwycięstwem, a ja widziałem tylko ich dusze. Przepelnione gniewem, czepiały się zwęglonych ciał.

Wiesz, co było najgorsze? Dusze barbarzyńców nie różnią się od naszych. Mogą sobie wierzyć, że śmierć z mieczem w dłoni jest chlubna, że Walkirie uniosą ich do Walhalli, by w nieskończoność żłopał miód Wotana, czekając na Ostatnią Bitwę. I co z tego? My wierzymy w nasze zaświaty, w Wyspy Szczęśliwe albo w niebiosa Jedyne Boga. Ornamenty. Sny. Tamtego dnia widziałem wszędzie ten sam strach, niezależnie od tego, w co dusza wierzyła za życia. I cały ten ból wlał mi się do gardła, wypełnił oczy, uszy i serce.

Myrddin urwał i otarł czoło z potu.

- Tego dnia pożegnałem Artura. Wiedziałem, że i tak wygra swoją bitwę. Poszedłem przed siebie, zaszyłem się lasach i przez dziesięć lat nie rzuciłem czarui, nie zamieniłem z nikim słowa i nie spałem... no, ze spaniem i tak by nie wyszło. W każdym razie odszedłem. Zupełnie, jakby człowiek musiał się we mnie odrodzić na nowo. Najpierw musiałem znowu stać się dzieckiem. Mówiłem sobie, że może kiedyś wrócę do Camelot, zobaczą, jak miewa się Artur. Ale każdego roku odkładałem podróż. A teraz nie mam już po co jechać.

- Ale zrozumiałeś, że magia jest pokusą. Iluzją.

- Tak, ale właśnie po tym zrozumieniu powinienem nauczyć się jej na nowo. A nie odrzucić ją. To zbyt proste. W myśl takiej logiki każdy powinien zostać pustelnikiem. Bo wszystko jest swego rodzaju iluzją. Moje pragnienie odkupienia sprowadziło na królestwo nieszczęście.

- Mówisz więc... że powinienem robić swoje? - Igi nie był pewien, czy do końca rozumie.

Mag zaśmiał się i przeciągnął, aż chrupnęły mu kości.

- Mówię, żebyś się nie bał. Dosiądź konia, ale nie stawaj się przez to centaurem. Naszyjnik to frapująca zagadka - ale nikt nie powiedział, że jest zła. A ty możesz ją rozwikłać. Magia! To wielka sposobność. Wielu oddałoby za nią oko i rękę. Albo nawet - czarownik puścił do niego oko - inne części ciała!

Igi przetrwał te słowa, popijając je łykiem piwa. Smak miały całkiem znośny.

\* \* \*

Leśna ścieżka wyprowadziła ich z obrzeży Waeld do rzymskiego traktu. Wędrowali nim cały ranek. Potem drogę zablokowali uchodźcy, którzy także zmierzali do Camelot. Jeszcze nigdy nie spotkali ich tylu. Widzieli mieszkańców zdobytych miast, wieśniaków z kambryjskiego pogórza i Spustoszonych Ziemi. Towarzyszyły im zwierzęta, równie wychudzone jak oni. Niektórzy dotarli tu z bardzo daleka.

- Trzynaście statków, trzynaście kruków, trzynaście spalił miast. Creda, syn wilka, kochaś śmierci, zbroczony jego szlak!

Śpiewak nie był nawet bardem, tylko nauczycielem muzyki. Willę jego pana spalono. Ktoś rozpuścił plotkę, że na wieść o nadchodzących rabusiach ziemianin kazał domownikom połknąć rodzinne klejnoty. Część skończyła z rozprutymi brzuchami, innym Sasi kazali zjadać kamienie i żwir. Nauczyciel postradał zmysły. Był tak uciążliwy, że Bedevir zmuszony był przepędzić go kopniakami, ale biedak i tak nie milkł. Jego ponure piosnki towarzyszyły im co dnia, układając się w kronikę podboju.

Posuwali się bardzo powoli. Teoretycznie mogli zjechać z traktu, ale wszędzie rozpościerał się zdradliwy, podmokły las. Przy wiosennych roztopach groziło im utopienie się w bagnie. Stracili resztki humoru. Bedevir pocieszał się, że jeżeli dopadnie ich pościg, Cynric będzie musiał wyrąbać sobie do nich drogę przez ludzką rzekę. Rhodri usiłował leczyć niektórych chorych, ale było ich stanowczo zbyt wielu. Igi wychudł i spoważniał po przebytej chorobie. Pomagał druidowi w milczeniu albo trwał w bezruchu, ze zmarszczonym czołem i chmurną twarzą. Czasem dotykał lewą ręką Naszyjnika. Po dwóch dniach stali się częścią tego ludzkiego węża, jednym z jego niezliczonych splotów. Nie miał początku i końca. Rhodri pomyślał, że tak oto spełnia się wizja, którą zobaczył pod Kamlann. Czerwony smok Brytów był teraz pochodem rannych i obrabowanych, chorych i wypędzonych. I wił się zbroczony krwią.

Wieczorem dotarli do Wołowego Brodu, przeprawy przez rzekę Thames. Kiedyś był tu drewniany most, ale zagon łupieżców puścił go z dymem na samym początku wojny. Ludzie, którzy tu dotarli, musieli przeprować się tratwami obsługiwanymi przez rodzinę przewoźników.

Ci zbijali majątek na uchodźcach, łupiąc ich bezlitośnie, ale bez nich pochód znalazłby tutaj swój kres. W ostatnich dniach rzeka wezbrała tak bardzo, że bród stał się dla uciekinierów pułapką. Przewoźnicy zwinęli interes, a komendant fortu po drugiej stronie rzeki zarekwirował wszystkie łodzie. Podobno bał się, że tłum uciekinierów zdemoralizuje załogę twierdzy. Zgromadzeni przy brodzie ludzie znaleźli się w potrzasku. Większość była głodna, wycieńczona lub ranna. Nie byli w stanie iść dalej na północ, w górę Thames i obejść jej źródła na wzgórzach. W południowym biegu rzeki grasowali już Sasi. Ich główne siły były coraz bliżej. I nie brały niewolników.

Bedevir zdecydował, że poczeka tutaj do rana. Wieczór był zimny. Ich sąsiedzi rozpalili ognisko. Za opał posłużył im drewniany wóz. Ciągące go woły padły z wyczerpania i posłużyły za kolację. Bedevir odkupił od nich trochę pieczeni. Mięso było łykowate i chude, ale przynajmniej napełniło żołądki. Wiele wskazywało na to, że mógł to być ich ostatni posiłek. Na wschodzie płonęły ognie, słyszeli łomotanie bębnow. Wilki były już blisko. Jutro rozegra się bitwa, której wynik był z góry przesądzony.

\* \* \*

Wołowy Bród był północną bramą Dumnonii, krainy u zbiegu dwóch wielkich zachodnich półwyspów, Kornwalii i Walii. Dumnonia stanowiła serce królestwa Artura i jego gospodarcze zaplecze, od dawna nietknięte przez wojnę. Była bogata, cywilizowana i jak się okazało, bezbronna.

Część najeźdźców, pod dowództwem samego Credy, zaatakowała ją od strony południowego wybrzeża, gdzie skupiły się główne siły obrońców. Kiedy oddziały Brytów zostały związane walką w Devon, do akcji włączył się Offa. Wdarł się na ziemie Brytów od północy, płynąc łodziami w górę rzeki Thames. Jego armia wyszła na ląd dzień drogi od Wołowego Brodu i kierowała się na południe, pędząc przed sobą uciekających Brytów. Sasi posuwali się na zachód bez przeszkód, plądrując i paląc osady. Ich mieszkańcy uciekali w góry i na pustkowia. Większość pogorzalców parła jednak w kierunku Camelot, oazy bezpieczeństwa i ładu. I właśnie oni znaleźli się teraz w pułapce u Wołowego Brodu.

O świcie Bedevir zaprowadził swoją drużynę na wzgórze. Spojrzał w dół na budzące się obozowisko i westchnął ponuro.

- Nie mają szans. Nawet jak wyłonią wodza - a nie wyłonią - i tak ich zmasakrują. Skorzystajmy z tego, że tak wielki tłum nie zginie w jednej chwili, i uciekajmy przez wzgórze. Obejdziemy rzekę u źródeł.

- Wreszcie mówisz rozsądnie, rycerzu - przytaknął mu druid.

Igi wzruszył ramionami. Nie rozumiał ich. Odkąd obudził się z czarnego snu, kipiała w nim determinacja. I moc.

- I co, zawsze będziemy uciekać? To nie ma sensu. I tak nas dopadną.

- W Camelot przekazemy Naszyjnik kapłanom. Stanie się naszą tarczą - wyrecytował Rhodri.

- Jeżeli w ogóle ma moc, wykorzystajmy ją teraz. Bedevir, składałeś chyba przysięgi. Bronienie niewinnych, te sprawy?

Rycerz potarł szczękę.

- Odwaga to jedno. Ty mówisz o samobójstwie.

- Przy brodzie jest mnóstwo ludzi. Tysiące. Połowa z nich to mężczyźni. Chyba potrafią walczyć?

- Potrafią. Ale i tak przegrywają.

Igi poczuł, że budzi się w nim furia.

- Będą bronić swoich rodzin. To chyba się za coś liczy, prawda?

- Staną do walki, a jakże. Ale krótkiej. Motłoch zawsze idzie w rozsypkę, widziałem to setki razy.

- A jeśli damy im wodza?

- W obozowisku są wodzowie z dziesiątków klanów. Żaden nie zgodzi się słuchać innych.

Igi dotknął Naszyjnika i z przyjemnością zerknął na ich nagle zdziwione gęby.

- Myślę, że mogą się zgodzić.

\* \* \*

Atmosfera w obozie okazała się lepsza, niż Bedevir sądził. Wyczuwał ponure skupienie. Mężczyźni ostrzyli miecze i szykowali strzały, splatali z jelit cięciwy i opalali nad ogniem oszczepy. Niektórzy, których wojenna zawierucha przygnała z pogórza Gór Kambryjskich, malowali twarze, zawodząc gardłowe pieśni. Nawet kobiety uzbroiły się w noże i włócznie. Nikt nie patrzył w stronę wzburzonej rzeki, której nurt wytyczył granicę między ich życiem i śmiercią.

- Offa jest głupcem. Przeciągnął strunę. Dopuścił się tylu okrucieństw, że pozbawił ich



możliwości wyboru. Teraz owce zmieniły się w wilki - rzekł Igi.

Bedevir spojrział na niego ze zdziwieniem. Dotychczas nie pokładał w Nosicielu specjalnych nadziei. Cała wyprawa była dlań tylko darowanym czasem, sposobem na wypełnienie końca pieśni czymś lepszym niż jałowy lament. Teraz nie był już taki pewien. *Szczeniak gada jak wódz.*

Przywódcy zebrali się przy wielkim ognisku. Byli tam pasterze ze wzgórz i obdarci chłopcy o zaciętych twarzach, przeorowie ze złupionych klasztorów i mieszczanie w rzymskich tunikach. A także dumni, zrozpaczeni Brytowie z wolnych plemion, w czerwonych i żółtych płaszczach i kraciastych spodniach. Ci mieli przynajmniej przyzwoity rynsztunek: staromodne, długie miecze, okrągłe tarcze i włócznie. Na uboczu rozlokowała się malownicza, woniejąca sadłem grupa w futrach i pstrokatych strojach, której przygrywał bard. Bedevir poczuł, że serce bije mu szybciej. Gwŷr y Gogledd, ludzie północy, byli straszliwymi przeciwnikami - jeżeli ktoś nad nimi panował. Podobno nawet Piktowie i Irlandczycy omijali ich ziemie szerokim łukiem. Może nie wszystko było jeszcze stracone? Od ogniska zerwał się jakiś człowiek, błyskający złotem bransolet. Pokazywał na Bedevira ogryzionym gnatem, rycząc do kompanów.

- Rycerzyk! Królewski rycerzyk! Myślałem, że schowałeś się pod matczyną pierzynę!

- Też cię pozdrawiam, Cenwallenie. Co porabiasz tak daleko od domu? - Bedevir skłonił się lekko.

- Szkoda gadać. Powiedzmy, że dałeś mi do myślenia. Od naszej rozmowy... życie przestało mnie bawić. Wyprawy po bydło, waśnie. A idzie mi piąty krzyżyk. Pomyślałem, że przed śmiercią dokonam czegoś, co warto uwiecznić w pieśni - stary wódz roześmiał się chrapliwie.

Bedevir zauważył, że on i jego towarzysze mają na twarzach czerwony barwnik - kolor szlachetnej śmierci. *Oni przyszli tu zginąć.* To już nie była dobra wróżba.

- Rycerz i druid, zaiste dobrana z was para. Dwa filary królestwa, można rzec - mężczyzna w nadpalonej tunice lustrował ich nieprzyjaźnie.

- To przez wszetecznych druidów spadł na nas gniew Pana - warknął wychudły mnich, którego tonsura zarosła już twardą szczecinią. W ręku trzymał maczugę, która kiedyś musiała być częścią rzeźbionego krucyfiksu.

- Znam takich jak wy. I nie chcę waszej rady - człowiek w tunice splunął czerwoną od wina śliną prosto pod nogi Bedevira.

Rycerz uniósł brwi.

- Wybacz. Chyba nie miałem przyjemności.

- Kasjusz Arnelik, namiestnik miasta Dorchester. Nasz przeklęty lord, rycerz, uciekł pierwszy. Druidzi czmychnęli razem z nim.

- Wstrzymaj się z obelgami, człowieku. On nie jest z tych malowanych - Cenwallen położył ciężką łapę na barku Kasjusza.

- Wysłuchajmy, czego tu chce.

- To proste. Przyprowadziłem wam wodza.

Gdyby legiony wróciły i pojawiły się na wzgórzach uformowane w *testudo*, nie wprowadziłyby to ludzi z północy w większe osłupienie. Pierwszy roześmiał się Cenwallen i ryczał tak, że resztki jedzenia wylatywały mu z paszczy jak głązy miotane z katapult. Pozostali tylko wybałuszili ślepią. Igi spokojnie stanął przed starszyzną i zdarł z szyi szmatę, którą osłaniał tork. Kasjusz nie zareagował, mnich przeżegnał się i splunął do ognia. Za to Cenwallen pobladł i prawie zatchnął się pieczystym. Towarzysze zaczęli okładać go pięściami po plecach, wojownik strącił ich z siebie jak szczury. Jego bard z szacunkiem pokłonił się przed Igi i zaintonował monotony śpiew, od którego ciarki przeszły zebranych po plecach.

- Ki diabeł? - zapytał Kasjusz.

- Widzi mi się, że najgorszy z możliwych - wymamrotał przeor.

Bard przestał śpiewać i uklonił się nisko.

- My pamiętamy - oznajmił ze czcią.

Kasjusz i przeor usiłowali oponować, ale Cenwallen i ludzie z klanów od razu ich zagłuszyli. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Pojawiła się wielka, okrągła tarcza, na której Igi powędrował w górę. Wojownicy krzyczeli i bili mieczami o tarcze. Bedevir przysięgłby, że ich twarze, przedtem ściągnięte zmęczeniem i pozbawione nadziei, rozpromieniły się, jakby ktoś odszpuentował w obozie sto beczek.

Narada odbyła się w namiocie Cenwallena, wielkiej, cuchnącej konstrukcji z niedźwiedzich i wilczych skór. Wodzowie stłoczyli się wokół czystej pergaminowej stronicy, którą z żalem wysupłał przeor. Chudy, zgarbiony kopista wyrysował na niej mapę terenu.

Atmosfera była tak napięta, że powietrze zdawało się trzaskać. Przeor, przedstawiający się jako Hergid Spalony, nie ukrywał, że nie w smak mu decyzja większości. Nachmurzeni byli również ludzie z miast. Od czasu odejścia Rzymian namiestnicy grodów i wodzowie klanów rywalizowali ze sobą o władzę, co tylko zwiększało panujący na wyspie chaos. Teraz stare podziały rozkwitły jak chwasty po deszczu. Wszystko w twoich rękach, chłopcze, pomyślał rycerz. Oby twój plan był dobry.

- Zajmiemy pozycje na wzgórzach. Sasi nadejdą w zbitym szyku chronieni przez

tarcze. Po pierwsze, trzeba sprawić, żeby się rozsypali.

- Mogę wyprawić łuczników - powiedział Iago, smagły wódz z kambryjskiego pogórza.

- Wtedy po prostu się cofną. Musimy podzielić nasze siły.

- Brednie. I tak jest nas zbyt mało - sarknął Kasjusz Arnelik.

- Niech szturmują wzgórze. Moje katapulty nieźle ich przetrzebią.

- A potem i tak nas zmasakrują - wtrącił Bedevir.

Przez cały schyłek Imperium taktyka rzymska polegała na ostrzale z dystansu. W sprzyjających okolicznościach, jeśli barbarzyńcy poruszali się opieszale, wspomagana przez łuczników artyleria potrafiła zdziesiątkować wrogów. Piechota służyła tylko do hamowania wroga. Była kordonem, a nie elementem natarcia. Taktyka bywała skuteczna, cesarz Julian rozgromił w ten sposób Germanów pod Argentorate. Ale nawet on przegrałby bitwę, gdyby nie legion rzymskich weteranów, którzy murem ciał powstrzymali barbarzyńców przed zdobyciem machin. Później brakowało już weteranów, a germańscy najemnicy niechętnie umierali za przybraną ojczyznę...

- Nie rozdzielimy się naprawdę. Sasi nacierają w szyku. W tym jest ich siła. Zaczniemy bitwę o zmierzchu i rozproszymy ich. Do tego posłużą nam iluzja i fałszywy alarm. Potrzebujemy mgły - powiedział Igi.

- Niech każda kobieta i dziecko zaopatrzy się w wiązki suchego i wilgotnego drewna, do tego w kilka pochodni. Nie zaszkodzi przywiązać paru do bydła. Dym sprawi, że Sasi stracą widoczność.

- W kwestii mgły mogę się przydać. Nauczyło się kilku zaklęć - powiedział milczący dotąd Rhodri.

- Fałszywe oddziały obejdą wrogów od flanki, wymachując łuczywami. Kiedy tamci ruszą w pościg, damy im gonić za bydłem. Nasze siły zatrzymają pozostałych. Kawaleria dokona reszty.

- Nie mamy dość koni. Moi mają kilka rydwanów, ale to za mało - Cenwallen po raz pierwszy zmarkotniał.

Igi napił się miodu i roześmiał się.

- My może nie mamy, ale oni tak. Komendant twierdzy za rzeką.

Kiedy wodzowie opuścili namiot, Bedevir udał się z Igi nad rzekę. Nie podobał mu się zapach dzieciaka. Może i gada jak wódz, ale...

- Wiesz, co robisz? Te wszystkie plany brzmią dobrze, ale...

- Nie mam prawa ich mieć? - Igi z politowaniem pokręcił głową.

- Nigdy nie dowodziłeś w bitwie.

- Ja może i nie, ale on - Igi dotknął Naszyjnika - pamięta. Zatrzymali się nad kamienistym brzegiem. Wzburzona woda unosiła kawały drewna i kępy trawy. Bedevir nie wskoczyłby do niej za wszystkie skarby Italii. *No, akurat tych nie zostało już chyba zbyt wiele.*

Po drugiej stronie widzieli ognie płonące na murach twierdzy. Gdzieś tam czekali ich potencjalni sojusznicy.

- Nie znajdziesz nikogo, kto wejdzie do tej wody - rzekł rycerz.

- I nie szukam. Sam to zrobię. Nie mówiłem ci, że w moim świecie byłem niezłym pływakiem?

- A kto będzie dowodził tutaj?

- Ty, Bedevirze. Ostatni z królewskich rycerzy.

- To jakieś szaleństwo.

- Może. Ale nic lepszego nie mamy.

## ROZDZIAŁ 20

Cynric nigdy nie denerwował się przed bitwą. Znał ludzi, którzy pili w takich chwilach na umór, modlili się albo bili o niewolnice. Inni dostawali sraczki. On odczuwał tylko wzmożony apetyt, jakby żołądek czuł, że to może ostatnia okazja. Tym razem było inaczej. Cynrica drażniło wszystko, a najbardziej ten gruby knur, Offa. Ktoś musiał opowiedzieć mu, jak Cynric wypuścił z rąk Brytów i ich Naszyjnik. Może był to Werusk, który od niepowodzenia w Valcester traktował go jak zepsute powietrze.

Offa zaznaczył, że król jemu i tylko jemu przekazał dowództwo. Odebrał mu nawet komendę nad niedobitkami. Z całego oddziału pozostał mu tylko Hulf. Na szczęście wielki dziesiętnik nie tylko jadał za trzech. Jakby tego było mało, księżę nie mógł przestać myśleć o dziewczynie z łaźni. Od czasu gdy rada plemienia skazała na śmierć Kyrię, żadna kobieta nie zaprzętała tak jego uwagi. Tak jakby w Brytanii nie było ich na pęczki. Musiał zadurzyć się akurat w tej, która nie dała się złapać. Jesteś głupcem, powtarzał sobie Cynric. Naiwnym durniem.

Bitwę oglądał od strony szańców. Offa postanowił zabezpieczyć się na ewentualność ataków jazdy i zapędził jeńców do kopania umocnień i wilczych dołów. Kawaleria Brytów była jedyną rzeczą, jakiej obawiali się Sasi, i tu, na otwartej równinie, mogła im zrobić paskudną niespodziankę. Zwłaszcza gdyby Brytowie doczekali się posiłków.

Ze swego stanowiska mógł przyjrzeć się pozycjom wrogów. Widział, że ich piechota rozlokowała się na niskich wzgórzach w górze rzeki. Na logikę, Brytowie powinni tam pozostać. Ale właśnie logika często przysparzała im klęsk.

Uzbrojeni w zakrzywione oszczepy z zadziorami harcownicy Sasów z łatwością ściągali obrońców z szańców, kryjąc się za szerokimi tarczami. Przy szturmie, w gęstym szyku toporów i tarcz, drobniejsi i słabsi Brytowie padali jak muchy. Bywało, że jeden berserker Sasów zabijał ich dziesiątkami.

Na równinie coś się poruszyło, stojący obok niego niewolnicy pokazywali sobie coś, pokrzykując. Ciekawe. Sądził, że Brytowie poczekają z walką do jutra, zbierało się już na wieczór. Ale ich piechota opuściła fortyfikacje i rozwinęła szyk na równinie u stóp wzgórz. Nad szeregami łopotał sztandar z czerwonym smokiem. Najwyraźniej obrońcy postanowili zatrzymać najeźdźców w polu.

Sasi nadszali w tradycyjnym szyku, gęsto zbijając tarcze, tak że tworzyły nieprzeniknioną ścianę. Kurz wzbijał się pod ich ciężkimi krokami. Nosili skóry, kolczugi i futra, a także kościane zbroje zdobyte na plemionach ze stepów. Na nogach mieli buty z foczej skóry, nad ich głowami unosił się sztandar Białego Konia na błękitnym tle. Gdziekolwiek widać też było sztandary ze skór i ludzkich czaszek, których przerażającą konstrukcję przejęli jeszcze w starym kraju od znieawidzonych Hunów.

Znacznie gorzej prezentowała się piechota Brytów. W dużej mierze składali się na nią obywatele miast, górnicy i źle przeszkoleni chłopci. Nie widział leśnych łuczniców i lekkozbrojnej piechoty, rekrutowanej z plemion. Ich oddziały nie słuchały komend i łatwo szły w rozsypkę, ale zachowały furję pierwszego ataku i nadal zbierały głowy pokonanych wrogów. Tylko one mogły, chociaż przez jakiś czas, stawić czoło nacierającym Sasom. Za hufcami pieszych rozstawiły się zabójcze, ociężałe balisty, których konstrukcja pamiętała czasy Rzymian.

Cynric otarł z czoła pot. Kwietniowe słońce prażyło całkiem mocno i inni Sasi również wierzili się, chciwie wyglądając cienia.

Męczyli się nawet bardziej niż on, gdyż nawet w spiekocie nie zdjęli z siebie zawszonych kozuchów i wilczych futer. Na szczęście dla barbarzyńców słońce kryło się za linią wzgórz. Zapadał zmierzch.

Pierwsze hufce Sasów podeszły już na odległość strzału. Cynric wstrzymał oddech. Katapulty plunęły głazami, część pocisków eksplodowała ogniem. Zawtórowały im skorpiony, wielkie kusze miotające strzały. Zorientował się, że było ich mało. Kilka machin nie mogło powstrzymać natarcia, ale atakujący cofnęli się, zostawiając kilkanaście ciał. Na pierwszej linii znaleźli się łucznicy, którzy posłali na wzgórze chmurę strzał.

Nagle ściana Brytów rozstała się i przed szereg wysunął się liczny, na oko ponad tysięczny, oddział. Wojownicy mieli na sobie bure albo szare szaty, w rękach trzymali jakieś dziwne toporki. Nagle znów zaświeciło słońce i łyse głowy zamigotały jak natłuszczone boki świni. Stojący obok niewolnik przeżegnał się odruchowo. Cynric zarechotał. Co za głupiec posyła na pierwszy rzut bezbronnych mnichów?

Zakonnicy postępowali naprzód ufni w opiekę swego Boga, unosząc w dłoniach brzozyne krucyfiksy. Nad równiną wzbijał się ich potężny, przepiękny wiarą zaśpiew. Sasi zamarli w konsternacji. Mieli wprawę w paleniu klasztorów, ale nigdy nie spotkali się z takim ładunkiem chrześcijańskiej nienawiści. Pierwsze szeregi zaczęły się cofać i wydawało się, że barbarzyńcy zaraz pójdą w rozsypkę.

Nagle przed szeregami Sasów przegalopował jeździec. Rosły koń uginał się pod jego

ciężarem, księżę rozpoznał monstrualną sylwetkę wuja.

- To czary! - zawołał Offa. - A skoro te psy czarują i wzywają na nas demony, wyślijmy ich do ich Boga. Prosto do piekła!

Barbarzyńcy załomotali w tarcze i runęli na rozmodlonych mnichów. Pierwsze szeregi zginęły, nie widząc, co się dzieje, kolejne podniosły przeraźliwy wrzask. Nie wszyscy byli gotowi na męczeński zgon. Zapanował chaos. Nieszczęsny dowódca Brytów rozkazał katapultom i balistom strzelać. Było już jednak za późno.

Większość Sasów zdążyła zewrzeć się z wrogiem, uciekający wpadali na dalsze oddziały. Rzeź mnichów była tak przerażająca, że pierwsze szeregi brytyjskich wojów zaczęły pierzchać. Ścigający ich Sasi zaczęli wspinać się na zbocze. Byli już blisko katapult, kiedy wpadła na nich zgraja pstrokatych demonów z czerwonymi twarzami. Za nimi sadzili wydziedziczeni Brytowie i horda wojowników plemiennych. Cynric zobaczył, że Sasi cofają się, a potem wzgórze zasnuł gęsty dym, ukrywając walczących. Cynric wyteżył wzrok. Przez chwilę nic się nie działo, a potem zobaczył, jak na lewo od wzgórz migocą dziesiątki pochodni. Brytowie rozdzielili się i zaraz okrążą Offę. W pierwszej chwili pomyślał, że czemu by nie. Wieprz zginie, a on i tak wygra bitwę. Ale jego wuj poprowadził tam tysiąc ludzi. Ich najlepszą piechotę. Księżę zagryzł węża i zawołał pozostałych dowódców.

- Ale panie, Offa rozkazał nam czekać - zaproponował piegowaty wojownik w kozuchu.  
- I to mnie przekazał dowództwo.

Cynric odwinął się i uderzył go pod brodę ręką miecza. Mężczyzna runął na szaniec. Za plecami księcia wyrósł Hulf i zakołysał ogromnym toporem. Pozostali cofnęli się z respektem.

- Nie pójdziecie tam dla mnie, tylko dla waszych braci. Naprzód!

\* \* \*

Bedevir klął tak, że nie był już w stanie wykrzykiwać dalszych rozkazów.

Z początku wszystko szło doskonale, ale Kasjusz i Hergid nie zamierzali słuchać poleceń. Najpierw Kasjusz sprowadził w dół miejską milicję - żeby sprowokować Sasów do walki. Bedevir zgodził się na to i teraz przeklinał swoją głupotę. Przeklęty Hergid wysunął się przed szyki milicji, pragnąc zaskarbić całą chwałę sobie i Bogu. Sprowadził na nich klęskę.

Mijali go uciekający żołnierze. Wokół balist pozostali już tylko chłopcy z widłami i siekierami. Nadawali się do przyjęcia natarcia jak słomiany kapelusz na tarczę. Był jeszcze Cenwallen, ale jego ludzi planował trzymać w odwodach. Plany taktyczne są wspaniałe, dopóki nie rozpocznie się bitwa, pomyślał i dobył miecza. Zawołał Mab, która słała w Sasów

strzałę za strzałą.

- Już czas! - wrzasnął, przekrzykując zgiełk.

Fryzyjka spojrzała na niego pytająco. Zawsze patrzyła na niego tak, jakby na coś czekała. Skaranie boskie z tą dziewczyną.

- Zapalcie gałęzie.

Ukryte między drzewami kobiety podpaliły ogniska. Rhodri chyba też nie próżnował, bo dym był gęsty jak kwaśna śmietana. I cuchnął magią. Zobaczył jeszcze, jak kobiety i obdarte dzieci zaczynają biec, machając pochodniami. Niektóre pędziły przed sobą wychudłe krowy i kozy. Bedevir odprowadził wzrokiem Mab, która zniknęła we mgle. Widać już było nadchodzących Sasów. Szaleńcy Cenwallena zawyli jak wilki, bijąc mieczami o tarcze. Bedevir wymówił imię Chrystusa i zapytał samego siebie, co zrobiłby w takiej sytuacji Aecjusz, ostatni Rzymianin. Nagle zrzucił z siebie resztki rzymskiej powściągliwości i zawtórował swoim ludziom, czując wypełniający go ogień. No chodźcie! Runęli na ścianę saskich tarcz i impet zderzenia wyrwał mu powietrze z płuc.

\* \* \*

Mniej więcej w połowie rzeki Igi zrozumiał, że tonie. W normalnych warunkach położyłby się na grzbiecie i odzyskał oddech, ale te warunki nie były normalne. Woda była zbyt zimna i zbyt porywista. Mimo że wziął poprawkę na prąd i szedł w górę rzeki, jak pozwalały na to wzgórza i nabrzeżne skały, już teraz zniosło go daleko poza twierdzę. W każdej chwili mógł nadzieć się na jakiś kamień albo spływającą kłodę. Dwa metry od niego unosił się jakiś kształt. Drewno, na tyle lekkie, że raczej go nie ogłuszy, na tyle duże, że mógł chwycić je i odpocząć. Złapał za szary konar. Jego palce zagłębiły się w coś miękkiego, obrzmiałe rozkładem ciało. To nie był konar, tylko zdeformowany trup. Wrzasnął z odrazą, płuca wypełniła mu woda. Poczul, że opada na dno, i wtedy jakaś siła porwała go w górę. W jego sercu rozlało się ciepło, a w głowie pojawił się głos. *Nie możesz umrzeć. Jesteś mój.*

Z nowymi siłami zerwał się do walki. Młócił wodę gwałtownymi ruchami, zbliżając się do zbawczego brzegu. Jeszcze kilka metrów. Na szczęście zbawczy brzeg nie był usiany skałami, otwierał się w niewielką zatoczkę. Kiedy wypełził na nadbrzeżny żwir, ramiona i nogi miał jak odlane z ołowiu. Leżał na plecach, chwytając powietrze i promienie zachodzącego słońca. I znów Naszyjnik zapulsował ciepłem. Igi wstał, jakby ktoś dał mu zastrzyk z adrenaliny. Wykrztusił z płuc resztkę wody, zwymiotował żółcią. Dalej.

Kiedy dotarł do twierdzy, ubranie wisiało na nim w strzępach. Wzgórza porastały jeżyny, pokrzywy i chaszczce, zostawił im sporo skóry. Najgorszy był brak butów, w końcu



przestał zatrzymywać się i wyjmować ciernie. Załomotał w bramę fortu i wpadł na zdziwionych strażników. Dziesiątnik wziął go za pustelnika i przeżegnał się kilkakrotnie. Kiedy Igi zażądał widzenia z dowódcą, wybuchnął serdecznym śmiechem. Przestał się śmiać, gdy Igi powiedział mu, że na drugim brzegu trwa bitwa.

Czekając, rozejrzał się po dziedzińcu. Zauważył, że konie są okulbaczone i gotowe do jazdy, a żołnierze przechadzają się w pełnym rynsztunku. Część stanowili wojownicy okolicznych wodzów, ale był też oddział katafraktów, ciężkich jeźdźców uzbrojonych w lance, kawaleryjskie miecze i refleksyjne łuki. Była to elitarna formacja. Po klęskach ciężkozbrojnej piechoty, poniesionych z rąk Gotów i innych konnych najeźdźców, katafrakci przejęli funkcję legionów jako głównej siły uderzeniowej cesarstwa. Rzym wprawdzie upadł, ale dziś katafrakci odzyskiwali prowincje dla wschodniego cesarza Justyniana i rozbijali barbarzyńców, od Italii po Afrykę. Bizantyjscy instruktorzy wojskowi przeszkolili też paru Brytów, z tego, co słyszał, problemem było wykucie specjalnych łuskowych pancerzy, które chroniły konie. W sumie stu jeźdźców, nie więcej. I tylu musi wystarczyć.

Dowódca garnizonu był niewysokim, ciemnowłosym człowiekiem w kolczudze. Wyglądał na zawodowego żołnierza. Z początku słuchał go ze zniecierpliwieniem, potem z coraz większą uwagą.

- Wydaliście im bitwę? - zapytał z niedowierzaniem.
- To chyba lepsze, niż dać się zabić? - odpowiedział pytaniem Igi.
- Nie mogę wam pomóc. Prawie nie mamy łodzi, zresztą prąd jest zbyt silny.
- Nie oskarżam cię, panie. Chcę, żebyś objął komendę. Poprowadzisz swoich jeźdźców do szarży.

Dowódca spojrzał na niego z troską.

- Lepiej odpocznij, chłopcze. Na kogo mamy szarżować?
- Prawe skrzydło Sasów powinno być teraz blisko rzeki. Zaatakujemy ich z flanki.
- Obejście źródeł zajmie nam dwa dni. Myślisz, że twoi utrzymają się tak długo? - żołnierz nie ukrywał rozbawienia.
- Nie muszą. Nie będziemy niczego okrążyć.

\* \* \*

Dym i magiczna mgła miały jedną zaletę. Nie mogli policzyć wrogów. Mur saskich tarcz odrzucał ich raz za razem, a oni wciąż nacierali. Na trudnym terenie Bedevir mógł przynajmniej zrobić użytek z zasięgu miecza. Jego spatha była dłuższa od broni Sasów i tylko dlatego nie dał się jeszcze zabić. Choć to tylko kwestia czasu, pomyślał, uwalniając ostrze z

brzucha człowieka w szarym futrze. Które nie było już szare. Sas spojrział na niego z wyrzutem i wypuścił topór. Próbował jeszcze złapać za klingę przebijającego go miecza, wreszcie nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Za nim wspinał się już kolejny. I jeszcze jeden.

W końcu Cenwallen, zalany krwią z odciętego ucha, z wyszczerbionym mieczem i pogruchotaną tarczą, kazał im cofnąć się wyżej. Bedevir wspinał się za wodzem z Lyndeffyn, nie myśląc o utracie autorytetu. Jego dowodzenie w tej bitwie od początku było fikcją.

Również teraz kambryjscy górale słuchali Cenwallena. Wódz krzyczał coś, machając tarczą. Na żelaznym, spiczastym umbo, wzmacniającym drewniany prostokąt tarczy, stroszył się krwawy skalp. Tarcze ludzi z północy miały w środku ostry stalowy szpic, którym można było rozłupać czaszkę. Ludzie Cenwallena bili się jak piekielne bestie i Bedevir czuł się przy nich jak dzieciak. Po bitwie odszczeka wszystko, co mówił i myślał o ich głupocie. Sam zdołał zabić jednego Sasa i zranić kilku innych, ale przeciwnicy okazali się diabelnie dobrzy. Może walcząc z siodła, mógłby się z nimi mierzyć. Stojąc na tej samej wysokości, schowani za okrągłymi tarczami Sasi byli niezwykle trudni do trafienia. *Szczerze mówiąc, dają nam nieźle w dupę.*

Szyk Sasów rozsypał się wreszcie. Padało ich teraz więcej, ale nie miało to większego znaczenia, bo i tak wygrywali. Bedevir obrócił się i zobaczył niewielką balistę. Obsługujący maszynę czeladnik dygotał ze strachu, ściskając rzeźnicki nóż. *Oto moje rezerwy. Za plecami miał chłopów i mieszczan. Ich strach był gęstszy niż wszechobecny dym. Gdyby nie fakt, że oni i ich rodziny nie mieli już dokąd uciec, już dawno rzuciliby się do ucieczki. Bedevir spojrział na Cenwallena i uniósł miecz. Żaden krzepiący okrzyk nie przyszedł mu do głowy.*

\* \* \*

Mab prowadziła swój dziwny oddział, czując się jak w dzieciństwie, kiedy pilnowała owiec i kóz na wrzosowiskach u stóp Muru. Ale wtedy jej trzody nie płonęły. Ogień wymknął im się spod kontroli i zwierzęta rozbiegły się na wszystkie strony. Płonęły już drzewa nad rzeką, cały brzeg oświetlała krwawa luna. Przez chwilę nic się nie działo, potem ziemia zadrżała pod ciężarem kroków. Mab uświadomiła sobie, że plan bitwy miał jeden feler. Igi nie powiedział jej, co mają zrobić, kiedy wrogowie wejdą w pułapkę. *A może chciał, żeby bestia pożarła przynętę? Zawsze zyskają na czasie...*

Widziała już pierwszych Sasów, ich jasne brody, szare kaftany i futrzane kubraki. Niebieskie oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, które szybko przeszło we wściekłość. Jeden z wrogów, przysadzisty zbir w okrągłym frankońskim hełmie, wybuchnął pogardliwym śmiechem. Inny chciwie oblizał usta.

- Biegnijcie w dół rzeki! Szybko! - rozkazała otaczającej ją garstce.

Były to młode dziewczyny i mali chłopcy. Wszyscy na tyle szybcy, zdrowi i odważni, by chcieli na coś się przydać, a zbyt słabi, by walczyć na wzgórzach. Właśnie takich ludzi Sasi zwykli oszczędzać i sprzedawać w niewolę. Teraz łup sam pchał się im w ręce, i to w asyście pieczonego bydła...

Nagle Sasi zatrzymali się. Niektórzy rzucali broń, inni cofali się w panice. Mab obróciła się do rzeki i wytrzeszczyła oczy. Wzburzony nurt, jeszcze przed chwilą spieniony i rwący, zamarł ścięty skorupą lodu. Dotknęła go i poczuła, że jest pofałdowany i szorstki jak gęsto ubity żwir. I drga pod jej palcami. Tętent narastał, potem z mgły wyłonili się konni.

Krwawy blask pożaru odbijał się w kolczugach kawalerzystów i łuskowych zbrojach katafraktów, chroniących jeźdźca i całego rumaka. Mab zaczęła biec w przeciwnym kierunku, prosto na oniemiałych Sasów. Na szczęście jej „żołnierze” jakoś zdążyli się rozbiec.

W ostatniej chwili dostrzegła drzewko, które cudem uniknęło płomieni. Był to karłowaty dąb z koroną w kształcie główki kapusty. Podciągnęła się i wdrapała na najniższy z konarów. Pod nią przetoczyła się szarża.

Pierwszy rząd Sasów rozsypał się jak gliniane figurki. Słyszała trzask pękających tarcz i łamanych włóczni, bojowe okrzyki mieszały się z kwikiem koni i charkotem agonii. Przez moment myślała, że to już koniec. Potem spostrzegła, że ciężkozbrojnych było ledwo ponad setkę. Dość, żeby przeważyć szalę bitwy, ale nie dość, żeby zagwarantować zwycięstwo. Legendarna drużyna Artura, jego niezawodna pięść, wykruszyła się podczas ostatniej kampanii. Nigdy zresztą nie była zbyt liczna, pod koniec panowania Pendragona wielu rycerzy figurowało w spisie zbrojnych, nigdy nie pojawiając się na służbie.

Szyk Sasów wygiął się, ale wytrzymał. Pancerny klin zmienił się w gromadę nieruchawych żuków, oblezioną przez mrówki. Kolejni kawalerzyści spadali z siodła ściągani zadziarami włóczni. Sasi chronili się pod tarczami, ich noże rozpruwały końskie brzuchy. Przed klęską ocaliła Brytów dyscyplina i odwaga ciężkozbrojnych jeźdźców. Dowódca machnął mieczem i klin odbił w bok, przebijając się w stronę wzgórz. Przez rzekę cwałowały dalsze posiłki, plemienna jazda Brytów.

Mab zorientowała się, że jej dąb również zajął się ogniem. Pod sobą widziała trupy i ludzi, i koni. Zeskoczyła na ziemię i zamarła jak przerażone zwierzę. Spostrzegło ją kilku Sasów, w ich oczach zamigotała okrutna radość. Dziewczyna chwyciła za nóż. Wolała szybką śmierć z własnej ręki niż niekończący się gwałt. Nie przypuszczała, że ostatnia myśl w jej życiu będzie równie płaczliwa co głupia. *Bedevir, ty głupi draniu. Obiecałeś, że mnie nie zostawisz.*

\* \* \*

Obszar między miejscem przeprawy a stanowiskiem piechoty Brytów porastał niewielki las. Kiedyś. Po rajdzie zwiadowców Mab szalał tam pożar. Igi zobaczył, że jego ludzie ściągają wodze i zwalniają.

Czym innym jest szarża po lodzie, nawet szorstkim i mało śliskim, a czym innym galop przez płonący las. Igi obrócił się w siodle i sięgnął po swój ostatni atut. Miecz błysnął jasno, widoczny nawet w dymie i mgłę. Katafrakci zakrzyczeli z radości. Poczł, jak Ekskalibur i Naszyjnik obwąchują się, a dwie fale mocy zderzają się w nim... gdzieś na wysokości łokcia. Po raz pierwszy dostrzegł, że mają niemal identyczny odcień, odległą nutę przydymionych gwiazd. Potem energie zwały się i przegryzły, a Igi zrozumiał, że oba przedmioty pochodzą z tego samego źródła. To dobrze, pomyślał. *Obawiałem się jakiejś eksplozji.* Dał znak swoim ludziom i poprowadził ich w ogień.

Jadący za Igiem zmuszeni byli zdać się na jego wzrok. Płonący bladym blaskiem miecz wskazywał im drogę przez dymy, pożar i mgłę. Zbroje koni i ludzi były już osmalone i pogięte, ich wódz wyglądał jak upiór. Ale Igi nie czuł bólu. Moc, która poddała się jego woli, gdy przemówił do rzeki i skuł ją lodem, wypełniła arterie ciała i przyspieszyła bicie serca. Miał wrażenie, że w jego żyłach nie płynie już krew, tylko spieniony ogień. I czuł je, każdą arterię z osobna, jak dziwną wewnętrzną mapę. Moc nie ograniczała się tylko do jego ciała. Przechodziła na miecz, którym wymachiwał jak bambusowym kijkiem, razila jego wrogów. Zabijała.

Kawalerzyści, choć zdziesiątkowani i wycieńczeni, zdążyli. Stalowy klin przemknął niespostrzeżenie i uderzył na tyły saskiej piechoty, która szturmowała wzgórze. Niektóre konie płonęły jak pochodnie i sam ich widok wystarczył, by Sasi rzucili broń. Innych przekonały ostrza.

Piechota może odeprzeć szarżę kawalerii, jeżeli nastawi piki, zbije razem tarcze i wzniesie zasieki. Szarża na tyły i flanki jest już właściwie egzekucją. Kopyta wdeptują w ziemię, skupiony na lancach i mieczach ciężar rumaka, jeźdźca i zbroi zadaje śmiertelne rany. Sasi próbowali chronić się na wzgórzach, ale tam odpierali ich ludzie Bedevira. Do walki włączyli się czekający z rodzinami uchodźcy, którzy nabrali otuchy i zalali Sasów samą liczebną przewagą.

Moment, w którym Bedevir ujrzał płonący na polu bitwy Ekskalibur, był jedną z lepszych chwil jego życia. A jeszcze lepiej się poczuł, gdy spostrzegł, że Nosiciel jest w stanie nim władać. Wystarczył mu rzut oka, by zorientować się, że chłopak jest cały i zdrow.

Miecz nie zabijał go, nie pobierał daniny. Naszyjnik na szyi Igiego płonął tym samym blaskiem. Przez chwilę przypomniał mu się Artur, jego sterana, wyniszczona twarz. To mógł być twój Graal, mój panie, pomyślał ze smutkiem. Umarł król i niech żyje król.

Offa dał w róg i przyzywał posiłki, ale połowa jego wojsk została odcięta nad rzeką i umykała przed szalejącym pożarem. Bedevir wypatrywał go, gdy wódz Sasów kluczył między głazami, w czym nie pomagały mu tusza, zmęczenie i strach. Brat Credy porzucił tarczę i broń, wspinając się gorączkowo. Tłusty knur udaje kozicę, pomyślał Bedevir, gdy Offa skrył się za skałą. Usłyszał wściekły, ohydny ryk i przyspieszył kroku.

Kiedy rycerz wpadł za skałę, Offy nie było już widać. Dopadły go kobiety, starcy i najciężej chorzy. Dziesiątki ludzi, którym podpalił domy, zarznął zwierzęta i wymordował bliskich. Grubas opędzał się od nich i runął na plecy, przebierając kończynami jak krab. Znikł w ludzkim mrowiu, w którym wychudłe ręce wyrywały sobie skromne trofea. Kłak brody, ucho, rozmazane na palcach oczy. Zajęci swoją zemstą, nie zwrócili uwagi na Bedevira, który nawet nie próbował się dopchać. Żałował tylko, że jego ojciec i brat nie mogą tego zobaczyć.  
*Sam nie zrobiłbym tego lepiej.*

## ROZDZIAŁ 21

Lodowy most utrzymał się na tyle długo, że przeszli nim wszyscy uchodźcy. Kasjusz Arnelik, który w przeciwieństwie do przeora Hergida odnalazł się cały i zdrowy, sarkał, że równie dobrze mogli przejść po nim *przed bitwą*. Ale pozycja Igiego, którego ludzie tytułowali już Pendragonem, była tak silna, że Kasjusz nie drażył tematu. Po pokonaniu rzeki Igi zszedł z konia i ukląkł przy swoim moście. Po chwili lód zatrzęszczał jak grzbiet kamiennego węża i rozsypał się w dryfującą krę. Nosiciel wskoczył na konia i skłonił się wiwatującej armii. Bedevir poczuł ukłucie niepokoju. Dzieciak szybko przyzwyczajają się do hołdów.

Rycerz miał mętlik w głowie, co tylko po części spowodowane było otrzymanymi ranami. Cieszył się ze zwycięstwa i z tego, że Naszyjnik nie okazał się jeszcze jedną druidzką sztuczką. Cieszył się też z tego, że kradzież Ekskalibura na coś się jednak przydała. Wyszło na to, że przechował go dla króla. Mimo to coś w zachowaniu Igiego nie dawało mu spokoju. Sam dobrze pamiętał, jak wielkiej daniny zażądał od niego Ekskalibur, kiedy odważył się po niego sięgnąć. Nosiciel dysponował dwukrotnie większą mocą i zdawał się czerpać z niej bez żadnych następstw. Ba, wręcz rozkwitał. Choć te rumieńce i błyszczący wzrok mogły być równie dobrze gorączką.

Próbował rozmawiać o tym z druidem, ale Rhodri zamknął się w sobie. Druid obwinał się z powodu Mab. Stracił ją z oczu, kiedy rozszalał się pożar, a ich fałszywy oddział dotarł nad rzekę. Milczał uparcie, czasem tylko wbijał w rycerza wzrok, jakby chciał coś powiedzieć. Bedevir też czuł się podle z powodu zniknięcia dziewczyny, choć z drugiej strony... Od ich miłosnej nocy miał wrażenie, że jest jej coś winien. A nie miał głowy do małżeństwa i rodzinnego życia, zwłaszcza od czasu, gdy wróg najechał Bukową Przełęcz.

Nawet jeśli by zaczął o tym myśleć, to za żadne skarby nie związałby się z kobietą barbarzyńców. Nie wiedział nawet, czy Mab jest jej prawdziwym imieniem. Czuł zazdrość, gdy przypominał sobie dziewczynę w objęciach saskiego księcia, ale była to zazdrość kogoś, kto nie chce oddać niepotrzebnej zabawki. Może dobrze się stało? *Jej śmierć ocaliła twój honor.*

Igi spędzał dni w stanie miłego oszołomienia. Miał wrażenie, że po raz pierwszy w tym pokreconym życiu odnalazł w nim swoje miejsce. Ludzie patrzyli na niego z podziwem, a Cenwallen i Anwyr Hoark, komendant garnizonu przy Wołowym Brodzie, traktowali go jak

swojego króla. Wódz z Lyndeffyn oddał mu swój cuchnący namiot, w którym Igi czuł się jak w niedźwiedziej gawrze. Ale szybko się przyzwyczał.

Coraz rzadziej myślał o swoim poprzednim życiu, w którym nikt już na niego nie czekał. Pamiętał ekrany z obrazkami i czarnymi znaczkami, w które wpatrywały się miliony smutnych, szarych ludzików. I tak bez przerwy. Kiedy ucztował z Cenwallenem i rozrywał kawały pieczonego jelenia albo wyłapywał roziskrzone spojrzenia dziewcząt - fakt, że przydałaby się im kąpiel - poprzedni świat wydawał się trudnym do zrozumienia koszmarem. Tu wszystko było prostsze i dużo bardziej realne. Naszyjnik milczał, ale każdej nocy zsyłał Nosicielowi wielobarwne sny. Kiedyś pomyślałby, że artefakt buduje jego nową tożsamość, ale to było zbyt skomplikowane pojęcie. Sny zastępowały wspomnienia nowymi, wypalały je i zmieniały. Nowe, podsuwane melodie nie chciały zabrzmieć pełnią tonów, ale już brzęczały. Jednocześnie budziły w nim odczucie, że wszystko, co pamięta z poprzedniego życia, jest zupełnie obce. Powodowało to w jego głowie niesłabnący zamęt.

Nawet jego imię, które co i rusz słyszał z ust Bedevira i reszty. Pamiętał młodą kobietę, która karmiła go zsiadłym mlekiem i szeptała do niego czule, pieszcząc go i całując. Nazywała go jakoś inaczej. Była też inna kobieta. Przynosił jej upolowaną zwierzynę, a ona witała go na progu chaty. I jeszcze jedna, w dziwnej zielonej kurtce. Alina.

Myśl pociągnęła za sobą następną i obrazy posypały się jak dziecięca układanka z drewniaków. Jakieś rozświetlone, migotliwe podziemia, w których sunęły potężne stalowe czerwie. Wypluwały z paszczy tłuny bajecznie przystrojonych ludzi. On sam jechał wewnątrz takiego smoka, z twarzą wtuloną w jego szklane oko. W rękach miał płaską torbę i jakąś dziwną płachtę, pokrytą zawilim, nieczytelnym pismem. Nie żeby Igi umiał czytać. Był przecież porządnym człowiekiem, a nie żadnym magiem.

Kształty z metalu poruszały się z zawrotną prędkością, budynki wznosiły się wyżej niż kościelne wieże. Wszędzie panował zgiełk. Przechodniów było więcej niż na świątecznym jarmarku. A on przemierzał ulice i był syty, zawsze syty. Na ustach poczuł smak tłuszczu. Bogowie, ile on wpychał w siebie jadła. Ale skoro było tam tyle jedzenia, dlaczego zawsze był smutny?

W tych snach na jawie najbardziej szokowały go kolory, niespotykane w Brytanii i innych krainach, które pokazywał mu Naszyjnik. Nie umiał ich nawet nazwać. Świat, który znał teraz, był zielony i szary, a niebo, czasami oślepiająco piękne, zazwyczaj skrywały chmury. Czerwona była tylko krew. Tryskająca z ciał zwierząt i ludzi, odcinająca się od śniegu i zieleni, ona jedna ożywiała jego świat. I oczy, obsydianowe źrenice kobiety, która splotała ramiona na jego karku i dyszała miłosne wyznania. Naszyjnik ukazał mu ją wyraźnie.

Nazywała się Morrigan.

\* \* \*

Cel ich podróży raczej go rozczarował. Igi nie wiedział, czego się właściwie spodziewał, ale na pewno nie tego. Camelot nie był strzelistym zamkiem, opiewanym w średniowiecznych legendach. Był to stary plemienny gród, leżący na rozległym, sztucznie rozbudowanym wzgórzu. Wzniesienie obwarowane było drewnianymi palisadami, wieżami i platformami dla łuczników. Tylko wewnętrzna, wielka wieża zbudowana była z wielkich głazów.

Podczas rzymskiego podboju twierdza spłonęła i opustoszała. Rzymianie zakazali Celtom zasiedlać forty i chronione grody. W burzliwych latach po odejściu legionów ufortyfikowane wzgórza wróciły do łask. Konfederacja plemion z południowego zachodu, Dumnonów, Deutrigów i Kernów, wybrała Camelot na swoją stolicę. Rezydował tu pierwszy władca wolnej Brytanii, poganin Gourthigern, który zwykł objeżdżać włości swoich klientów i nie miał stałej siedziby. Później Riothamus rozbudował twierdzę, by strzec szlaków handlowych między Kornwalią i Walią właściwą.

Fortyfikacje długości kilku mil chroniły ogromny obszar, wewnątrz którego znajdowały się pastwiska, źródła i pola uprawne. Camelot nie mógł być wzięty głodem, ale obrona tak dużej twierdzy wymagała utrzymywania licznej załogi. Nie mniej niż tysiąca zbrojnych. A tytu, jak Bedevir się zorientował, nie było. Strażnicy prowadzili ich wprost do głównego kasztelu, ale wojownik zdążył zlustrować dziedziniec, platformy strzelców i rycerskie stajnie. Kiedyś wszędzie krzątałiby się czujni zbrojni. Dziś panowały tu bezład i trwoga. Roilo się od pogorzalców i uciekinierów, wieśniaków z narzędziami gospodarskimi, kupieckich wozów i objuczonych rzemieślników. Ludzi pod bronią było jak na lekarstwo, większość lokalnych możnowładców biła się teraz na pograniczu i nigdy nie miała powrócić.

Główny kasztel górował nad okolicą, usadowiwszy się na najwyższym wzniesieniu. Za czasów Artura drewnianą salę wodza podwyższono i otoczono fosą, która jeżyła się zaostrozonymi palami. Wzmocniono też konstrukcję kamieniami i cegłą z okolicznych willi. W czasach gdy sztuka kamieniarstwa zanikła i nawet biskupi wznosili swe rezydencje z plecionej darni i błota, była to nie lada budowla. W przeciwieństwie do całego grodu, mogła ją obronić nawet garstka ludzi.

Przy bramie zatrzymali ich wartownicy uzbrojeni w topory i Bedevir ze zdumieniem posłyszał, że mężczyźni rozmawiają ze sobą po frankijsku. Od stu lat żaden brytyjski władca nie zatrudniał germańskich najemników, była to najprostsza droga do utraty władzy. Frankowie nosili na tarczach znak srebrnej wieży na błękitnym tle. Barwy Morrigan z



Tintagel. Po chwili rozwarli przed nimi bramę i powiedli ich do Sali Tronowej. Bedevir z trudnością rozpoznawał wnętrza. Zmieniła się aura i zapach, powietrze przesycone było wonią dusznych kadzideł, kosztowne tkaniny i kobierce zastąpiły wypłowiałe gobeliny, które oglądał jako młodych giermek.

Za czasów Artura Camelot stroił się w błady błękit i poszarzałą zieleń. Teraz dominowały bizantyjskie purpury i syryjskie arabeski. Surowa stara panna zmieniła się w wyzywającą kokotę. W swym przepychu zamek przypominał siedzibę wschodniego despoty. I to raczej z Persji niż Konstantynopola. Nie dostrzegł ani jednego krucyfiks, a drzwi do zamkowej kaplicy zdawały się zakurzone i martwe. Stara twierdza przeistoczyła się w pałac. Przypominała ponurego, kościstego starca, który ubrany w ekscentryczny kubrak, przywołuje wspomnienia młodości. Bedevir czuł się w tym rozgardiaszu zakłopotany. Za jego czasów zamek był zupełnie inny. Dziesięć lat temu budynek śnił w majestatycznym półmroku jak ponury, zatechły grzyb. I to tamten Camelot ukształtował jego duszę.

W przedsionku Sali Tronowej powitał ich łysy, monstualne otyły mężczyzna. Rzezaniec. Dworzanin giął się w ukłonach, ale w jego piskliwym głosie dźwięczała bezczelna nuta. Przeciągał sylaby jak Grek. Bedevir w roztargnieniu wysłuchiwał skomplikowanych instrukcji eunucha. W obecności królowej należy spoglądać w ziemię, broń musi pozostać tutaj. Rozumiecie, ceremoniał... Pamiętajcie o niskim ukłonie.

Kobieta, która zasiadła na tronie, była młoda i piękna. Artur nigdy nie przepadał za swą siostrzenicą i z rzadka zapraszał ją do Camelot. Ale Bedevirowi zapadła w serce każda z tych wizyt. Zapamiętał jej nerwowe gesty i skryty uśmiech.. Teraz sprawiała wrażenie osoby, która urodziła się na tronie. Na głowie nie miała korony, tylko iskrzący się klejnotami orientalny diadem.

Przy poręczach tronu stało dwóch roślých Franków w krótkich kolczugach. Wysoko upięte kudły barbarzyńców cuchnęły zjełczalym masłem. Dalej, pod ścianą, trwało sześciu mężczyzn w borych szatach do kostek, ich twarze kryły się w obszernych kapturach. W dłoniach trzymali długie, misternie rzeźbione różdżki. Była to zarazem ich broń i oznaka najwyższego wtajemniczenia w misteria. Podobno szanujący się druid sam wybiera drzewo, z którego rzeźbi swój kostur. Zanim je zetnie, sący w roślinę odpowiednie zaklęcia, wpływa na soki ziemi, powietrze i deszcz.

Tego dnia Morrigan miała na sobie modną bizantyjską suknię w kolorze krwi. Połyskliwa tkanina oblepiała jej ciało jak mgielka, obnażone ramiona iskrzyły się od kosztowności. Szatę uszyto z drogocennego jedwabiu z dalekiego Khitaju. W takiej kreacji mogłaby śmiało plotkować na dworze samego Justyniana. Na prawym ramieniu spinała ją

finezyjna celtycka brosza - ukłon wobec rodzimego gustu jej wasali, klientów i sojuszników.

Patrzyli na nią z zachwytem. Bedevir pomyślał, że jej uroda jeszcze bardziej rozkwitła. Rhodri, którego druidzki trening uodpornił na presję piękna, chłonał bijący od kobiety majestat.

Morrigan wyglądała tego dnia wyjątkowo powabnie. Włosy nosiła ufryzowane i upięte orientalnym diademem, tylko przy uszach wymykały się zalotne kosmyki. Te włosy były ciemne i gęste, nie kasztanowe jak u Mab, tylko smoliście czarne, z nutkami czerwieni i fioletu. Mógł przysiąc, że czuje ich zapach, duszny i upajający, lekko słodkawy. Królowa miała klasyczne rysy. Prosty nos i delikatny podbródek, oczy lekko zmrużone. Wydatne, znużone usta, zmęczone raczej namiętnością niż codziennymi troskami.

Trudno było określić jej wiek. Figura, karnacja i spojrzenie sugerowały młodą kobietę, którą jeszcze niedawno nazywano dziewczyną. Ale otaczająca ją aura nie miała nic wspólnego z naiwnością. Rhodriemu skojarzyła się raczej ze spokojną, rozmyślną zachłannością węża. Podniosła powieki i druid napotkał spojrzenie jej oczu. Skwitował je pierwszym z brzegu oksymoronem. Czarny blask.

Teraz cała jej uwaga skupiła się na Nosicielu. Morrigan uśmiechnęła się do niego i Igi poczuł łaskotanie w żołądku i charakterystyczną słabość nóg. Spuścił skromnie wzrok i starał się zatrzymać spojrzenie na jej stopach, obutych w wytworne safianowe sandaalki. Chyba rozdziawił usta.

Bedevir skłonił się nisko, reszta zrobiła to samo. Królowa zaszczyliła go życzliwym skinięciem, ale jej głos był chłodny jak kaledońska zima.

- Dobrze cię widzieć, panie. Rycerz mojego wuja zawsze będzie moim rycerzem. A ty zasłużyłeś już na moją dozgonną wdzięczność - powiedziała.

Bedevir przyglądał się jej uważnie, wypatrując drwiny. W ciemnych, mieniących się oczach Morrigan tańczyły przekora i radosna, nieznająca skrupułów siła. Ale nie było w nich szyderstwa. Wyprostował się z ulgą i raz jeszcze pochylił głowę.

- Pozdrawiam cię jako moją królową, pani.

Morrigan roześmiała się i klasnęła w dłonie.

- Nareszcie jakiś dworny młodzieniec. Zapomniałam już, czym jest etykieta. Cóż, ciężko oczekiwać dobrych manier od druidów i barbarzyńców.

Kapłani nie zareagowali na jej słowa, ale jeden z Franków skrzywił się i wyglądał, jakby zmagał się z pokusą soczystego splunięcia. Morrigan odwróciła się do niego i wyduła ładnie wykrojone usta.

- Chcesz coś powiedzieć, Grimbold?

- Nie, pani - szczechnął Frank i dyskretnie przybladł.

- To dobrze. Za często zmieniam gwardzistów. No, dosyć żartów. Przedstawisz mi swoich przyjaciół?

- Stoją przed tobą Rhodri, adept akademii, i Cenwallen, wódz kraju Lyndeffyn. Nasz towarzysz to... - Bedevir urwał i podrapał się po głowie.

- Przybysz z daleka, królowo - powiedział Igi.

Naszyjnik zamigotał w płomieniach z otwartego paleniska, barwiąc jego twarz szkarłatnym odbłaskiem.

Najstarszy z druidów zapomniał o etykiecie i podszedł do niego, nerwowo stukając łaską. Szponiasta dłoń skierowała się do szyi Nosiciela, który nerwowo przełknął ślinę. Mężczyzna zrzucił kaptur i wpatrzył się w Igiego szeroko rozwartymi oczami.

- Naszyjnik się przebudził - wymamrotał.

Morrigan klasnęła w dłonie, urywając przemowę druida.

- Witam cię w Camelot, panie. To zaszczyt gościć tu Nosiciela. Ostatni z was bawił na wyspie, gdy ludzie wznosili pierwsze Kręgi. Nawet Cynned nie pamięta tych czasów - zaśmiała się perliście.

- Jestem na twoje rozkazy, pani. - Igi uklonił się dwornie.

- Słyszeliśmy o waszym zwycięstwie. Nadeszło w samą porę.

A ty wcale się z niego nie cieszysz, uświadomił sobie Bedevir.

Nagle atmosfera w sali wydała mu się duszna i przesycona trucizną. Wpatrują się w tego dzieciaka jak wygłodniałe kruki. A on wciąż żyje.

- To zasługa Pendragona, królowo! - ryknął stojący za nimi Cenwallen.

Wódz z Lyndeffyn, choć ranny i z prawą ręką unieruchomioną na temblaku, nie odstępował Igiego na krok.

Bedevir jęknął w duchu i spojrzał na Morrigan. Tytułu Pendragona, czyli Obrońcy i Najwyższego Króla, nie otrzymywało się z racji urodzenia, tylko zasług. Jeżeli lud tak sądził, to Morrigan miała poważny problem. Z legitymizacją władzy.

- W tym chłopcu odrodził się Artur! Prawem miecza i przelanej krwi! - oznajmił Cenwallen i powiódł po sali przekrwionymi oczami w poszukiwaniu sprzeciwu.

Ale dworacy wbijali wzrok w posadzkę.

- Oczywiście - przytaknęła Morrigan, uroczym marszcząc nosek. Jej oczy już się nie śmiały. - W takim razie jesteśmy rodziną - dodała, patrząc Igiemu w oczy. - Na pewno jesteście głodni. Poznamy się bliżej na uczcie.

\* \* \*

Biesiada u Morrigan przypominała swą gospodynię. Była dzika, nieprzewidywalna i frywolna, z wyczuwalną nutą zepsucia i dekadencji. Przepych potraw zadowoliliby nawet Lukullusa. Odpowiadał za to Lepidus, ślepy kuchmistrz ze starej rodziny kucharzy-niewolników.

Od dziesięcioleci urzędował w podziemiach kuchennych zamku Morrigan, Tintagel, a teraz służył jej w Camelot. Był to osobnik mały, zmysłowy i pulchny. Pięć zmysłów właściwych istotom ludzkim zastępował mu jeden, wybujały ponad wszelkie wyobrażenie. Smak.

Lepidus właściwie nie gotował. Jego rola polegała na dostarczaniu idei i zatwierdzaniu aromatów. Niesiony w miniaturowej lektyce, przemierzał swoje zaparowane królestwo, mlaskając wilgotnymi wargami, zawsze wysuniętymi w kształt trąbki. Smakował wszystko, jak targany obsesją jamochłon. Złośliwi mawiali, że nawet swoje dzieci, przyjaciół i kochanki rozpoznawał językiem.

Sposób ucztowania był tutaj eklektyczny i nieco pokraczny, jak wszystkie formy tej przejściowej epoki. Określał przynależność do grupy, klasy i plemienia. Królowa i jej dworzanie kultywowali obyczaj rzymski. Ucztowali na szezlongach i sofach, na wpół leżąc, wpół siedząc, wino rozcieńczali wodą. Podparci na łokciach, wkładali do ust winogrona i figi, smażone w smalcu szyszki i pieczone podroby dzików. Delektowali się smażonymi wymionami krów i macior oraz najbardziej poszukiwanym przysmakiem, genitaliami młodych świń. Ogryzali chrupkie jarzabki, pulardy, kuropatwy i drozdy, serwowane na małych roznach. Mięsiwa tonęły w aromatycznym, zalatującym zgnilizną sosie rybnym. Rzymski specjał miał smak potężny i bezkompromisowy, przy którym jego kulinarny potomek, pasta z sardeli, zwana sosem Worcester, jest ekstraktem mdłym i pozbawionym właściwości.

Bedevir, zaszczycony wraz z towarzyszami miejscami półleżącymi, w skupieniu ogryzał karmelizowanego jeża nadziewanego kasztanami i miodem. Kolce zwierzaka sprawiały mu wiele kłopotu. Jakaś tłusta kobieta musnęła swoje podniebienie piórkiem i zwymiotowała z wdziękiem do wazy podsuniętej przez niewolnika.

Frankowie ucztowali przy dębowych stołach, ten sposób biesiadowania miał później przyjąć się na średniowiecznych dworach Europy. Inaczej bawili się przedstawiciele celtyckich plemion. Ci zasiadali wprost na ziemi wymoszczonej sitowiem i skórami.

Usługiwały im młode dziewczyny i chłopcy, podsuwający wojownikom wielkie

mosiężne kotły z mięsem, rosołem i rzepą. Mężczyźni przekrzykiwali się i parskali tłuszczem, siorbali piwo przez skudłone wąsy, maczali bochny chleba w sosie spod pieczeni i ogryzali gnaty tak ciężkie, że trzymali je oburącz. Wśród dzikich plemion miarę bogactwa wciąż stanowili, jak w czasach pradawnych Ariów, niewolnicy i bydło. Trzy krowy warte były tyle co jedna młoda kobieta. Morrigan zdawała sobie sprawę z siły tradycji. Dać takim pieczonego wołu i od razu zaskarbi się ich wdzięczność. Dlatego serwowała sprzymierzeńcom zarówno krowy, jak i kobiety. I wszyscy byli zadowoleni.

W miarę jak uczta przeciągała się, z wielu miejsc zaczęło dobiegać pijackie pochrapywanie. Co bardziej cywilizowani goście patrzyli na to z politowaniem. Zwłaszcza gdy szwendające się psy oblizywały lśniące od tłuszczu gęby wojów.

Mimo wystawności dań i niepodważalnej pomysłowości kucharzy królewska uczta w Camelot nie należała do najlepszych biesiad w życiu Bedevira. Czuł się jak tuczony na święta prosiak, którego przy okazji podejmują uprzejmą konwersacją. Melancholijnie ogryzał kruchą kuropatwę, nie mogąc uwolnić się od wrażenia, że wołał poprzedni Camelot. Mniej było w nim zabaw. Szalony karnawał Morrigan wydał mu się niestosowny w obliczu wojny i zniszczeń. Zatapiając usta w krwistym rostbefie, miał przed oczami szlachtowanych obywateli miast, nalewając do kielicha trapezunckie wino, widział płynącą po bruku krew.

Królowa skupiła całą uwagę na Igrim. Patrzyła na Nosiciela, jakby był przynajmniej faszerowanym prosięciem. Bedevir zauważył, że piją z jednego pucharu, co przystoi małżonkom lub narzeczonym. Nosiciel opowiadał Morrigan o bitwie. Z tego, co rycerz słyszał, królową najbardziej interesował sposób, w jaki ujarzmił rzekę.

Zauważył, że nawet gdy wpatrywała się w niego zalotnie, wzrok władczyni błdził po Naszyjniku. Potem zaczęli przepijać do niego biesiadnicy i rycerz, chcąc nie chcąc, wdał się w dyskusję z sąsiadami.

Po jego lewej ręce siedział ogolony człowiek o sprytnych oczach i manierach równie gładkich jak twarz. Przedstawił się jako Emilianus, poseł jego ekscelencji Justyniana, cesarza rzymskiego. Przybył tu okrętem wyładowanym jedwabiem i winem, by podpisać kontrakt na dostawę kornwalijskiej cyny. Bedevir podejrzewał, że cesarz szuka w Brytanii sojuszników przeciwko Frankom, którzy zagrażali bizantyjskiej supremacji w Italii. Justynian słał dyplomatów wszędzie tam, gdzie mógł znaleźć sojuszników lub ocalałych rzymskich kuzynów.

Bizantyjczyk pasjonował się wyścigami. Sam należał do cesarskiego stronnictwa Niebieskich i opowiadał o niedawnych zamieszkach w Konstantynopolu, kiedy to pijany tłum zebrał się na stadionie i usiłował zdetronizować cesarza. Na szczęście Justynian nie ugiął się

przed żądaniem kibiców i najzwyczajniej w świecie wytepił zgromadzoną na trybunach hołotę...

- Powinno się robić to częściej - rzekł poseł, rozglądając się po sali.

Frankowie i ludzie z klanów byli już bardzo pijani. Dwóch ludzi Cenwallena siłowało się na rękę, inni bili pięściami o ziemię, dopingując siłaczy.

- Z poddanych trzeba czasem upuścić trochę krwi. To jak przystawianie pijawek. Nie wyobrażasz sobie, jak spokojne były potem ulice. Przez pół roku można było przejść nocą od Hagia Sophia do Fanar i nie stracić trzosu ani życia.

Rozmowę przerwał im dowódca frankijskich najemników Grimbald. Odziany w skórzany pancerz mężczyzna potwornie cuchnął piwem, potem i zjełczałym masłem. Koniecznie chciał zmierzyć się z nimi w rzucaniu *franceską*, słynnym frankijskim toporkiem. Emilianus skrzywił się i przeszedł na grekę, którą Bedevir jako tako rozumiał. Podstawy mowy Homera wbił mu do głowy domowy nauczyciel. Bizantyjczyk narzekał na ludzi, zwyczaje i czas. Dziś wszędzie trzeba znosić podłe towarzystwo. Nawet w armii Justyniana roiło się od Hunów, którzy chadzali w koszulach z ludzkiej skóry. Ucztowanie z takimi w klimacie Syrii czy Mauretanii było nie do zniesienia.

Siwy Frank nie czuł się zignorowany. Stracił już zainteresowanie toporkami i przeszedł na tematy religijne. Pół śpiewając, pół rycząc, wyjaśnił im, że Morrigan jest prawdziwą królową, gdyż nie zgina karku przez zabitym bogiem. Chrześcijaństwo budziło w starym barbarzyńcy niesmak i niedowierzenie. Zwłaszcza odkąd jego król Chlodwig, który sam był potomkiem Meroweusza, boga mórz, i krewniakiem starego Wotana, przeszedł na rzymską wiarę.

- Chrześcijanie to chorzy ludzie!!! - ryczał Frank.

Kilku brytyjskich arystokratów, najwyraźniej ochrzczonych, zerknęło na niego spod łąba.

Grimbald napił się i perorował w najlepsze:

- W dupie mam miłość bliźniego. Pewien biskup powiedział nam na wiecu, żeby nadstawiać policzek. To pytam się uprzejmie, ile ma być tych policzków. Bo ja obdarłem z bliźniego tylko jeden. I komu mam go konkretnie nadstawić? Biskup wszczął raban, że morderstwo, że grzywna, że kapłana obdarłem ze skóry. Kapłana! Prawdziwy kapłan usmażyłby mnie piorunem, a nie dawał się szlachtować jak baran...

\* \* \*

Rhodri rozkoszował się ciepłem, jedzeniem i piwem. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie.

Ale druid, choć nie przypatrywał się ani nie przysłuchiwał zebranym, miał uwagę napiętą do ostatnich granic. Chłonał zogniskowaną w Camelot moc i wyczuwał jej wokół tyle co na potężnym uroczysku. Część zbierała się na wewnętrznym dziedzińcu zamku, ale najwięcej biło od Nosiciela i Morrigan. W porównaniu z królową jego bracia zdawali się bandą wiejskich znachorów. Proporcje wskazywały, kto będzie rozdawał karty. Nie podobało mu się to, podobnie jak wszystko, co słyszał o przyrodniej siostrzenicy Artura.

Uniósł głowę i napotkał wzrok zasiadającego na drugim końcu stołu Cynned. Hierofant niedostrzegalnie skinął głową, powiedział coś do Morrigan i oddalił się. Rhodri odczekał kilka chwil. Jakiś pijany Frank prawił władczyni komplementy, nazywając ją Brunhildą, królowa przysłuchiwała mu się ze słodkim uśmiechem. Mały druid bezszelestnie odsunął się od stołu i zniknął w korytarzu. Cynned czekał na niego w cieniu masywnej kolumny. Poprowadził go wąskim korytarzem i odsunął jakiś gobelin, ujawniając przesyczone zatechłym odorem schodki. Zagłębili się w czeluście zamczyska.

- Tu było kiedyś laboratorium Myrddina - powiedział Cynned. - Nikt nas tu nie podsłucha.

Rhodri rozglądał się z ciekawością. W komnacie znajdowało się wszystko to, czego zabrakło mu w leśnej chacie starego czarownika. Pod sufitem zwieszał się wyprawiony wąż morski, na oko młody okaz, ale i tak dość duży, by napędzić stracha rybackim czółnom.

Na stole pyszniły się alembiki i retorty, regały zastawione były zwojami papirusu i drogocennymi księgami z pergaminu. Niektóre tomy oprawiono w ludzką skórę, kaledońską, sądząc po niebieskawych liniach tatuażu. W przezroczystym naczyniu z pęcherza jakiejś głębinowej poczwary czerniło się truchło niewielkiego stworzenia o złośliwie skrzywionej twarzy.

- Homunkulus. Zdechł z braku pokarmu - powiedział Cynned i uściskał Rhodriego serdecznie.

- Nie chciałem z tobą mówić przy Morrigan - rzekł.

- Nie ufasz jej?

- Nie ufam nawet samemu sobie. Zajmują mnie sprawy zbyt ważne, bym dał je zepsuć niewieście. Nawet jeżeli mniema, że również para się Sztuką. A teraz opowiadaj.

Rhodri zdał mu relację z eskortowania Nosiciela. Kiedy doszedł do wyprawy do Czarnego Lasu, Cynned złapał go za ramię.

- Dotarłeś do Matecznika Bogów. A zatem naprawdę istnieją!

Rhodri oswoił się i spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Przecież sam opowiadałeś nam o spotkaniach z bóstwami, przekazywałeś ich słowa!

Mówiłeś, że miałaś wizje...

Cynned zakasłał nerwowo.

- Owszem, odwiedzali mnie w moich snach. Agrona, Matka Bitwy. Dagda, wielki kowal, Crom Skrwawiona Głowa i Mananan, władca mórz. Słyszałem ich szept, widziałem niejasne obrazy. Ale nigdy nie dotarłem do ich siedziby.

- Ja dotarłem - Rhodri wzdrygnął się na samo wspomnienie.

W nozdrza uderzyła woń spalenizny i szlamu. Przed oczami miał czarne, oleiste źrenice Agrony, czuł jej głód, pragnienie i chuć. *Oni są starzy. Starzy, szaleni i martwi.*

- Ci bogowie... Widziałem, jak czekali na śmierć Nosiciela. Jakby bali się tego, co ludzie mogą zrobić z Naszyjnikiem.

- Nie przejmuj się, wszystko mamy pod kontrolą. Naszym zadaniem jest sprawić, żeby ta ziemia ożyła. - W głosie Cynneda zadźwięczał zapach, jego oczy rozmarzyły się.

- Bogowie znów będą przechadzać się pośród nas, legendy nabiorą kształtu. Magia zmieni oblicze rzeczy!

*Mój mistrz jest poetą*, uświadomił sobie Rhodri. *W dodatku kiepskim.* Zaciśnął pięści, w jego głosie dźwięczała rozpacz.

- A co, jeżeli twoi bogowie od wieków są martwi? A Bractwo wysługuje się szalonym upiorom?

Cynned uśmiechnął się gorzko.

- Widzę, że jesteś zmęczony. Spełniłeś swoje zadanie, ale teraz... musisz przekazać je dalej.

- Sam nie wiem - Rhodri poczuł, że nie może być szczerzy ze swym dawnym mistrzem.

To bolało, podobne jak fakt, że Cynned okazał się głupcem. Głupi czy nie, stary wciąż był całkiem spostrzegawczy.

- Rhodri, mój synu... Po co ci to? Przez lata terminowałeś i przemierzałeś pustkowia. Ludzie ciskali w ciebie kamieniami, w najlepszym razie traktowali jak nieszkodliwego wariata. Teraz możesz pokazać im, jak bardzo się mylili.

- Przeczuwam, co pokaże im Morrigan. I nie chcę brać w tym udziału - odparł Rhodri.

- Wychodzisz, kiedy ucztą dopiero się rozkręca.

- Widziałeś tych, którzy przyjdą po niej? Dusze mają spalone jak najdalszy mrok. Nie takich bogów szukałem.

Cynned uśmiechnął się ponuro.

- Nie zawsze wiesz, co odnajdziesz. Czy przez to nie powinno się szukać?

Mały druid uśmiechnął się z wysiłkiem.



- Wybacz, mistrzu. Przebyłem długą drogę i jestem bardzo zmęczony. Z pewnością ty, Hierofant, wiesz, jak odczytać wolę bogów.

Cynned spojrział na niego podejrzliwie, ale nie dostrzegł na twarzy ucznia drwiny. Objął go i uściskał na pożegnanie.

Rhodri odszedł, kłaniając się z szacunkiem. Za drzwiami rozejrzał się ostrożnie. Pusto. Zważył w dłoniach swoją różdżkę i zgiął ją w palcach.

- Obyś się nie przeliczył, Cynned.

## ROZDZIAŁ 22

Nadszedł czas ceremonii przyznawania nagród. Bedevir zobaczył, że Rhodri spiął szatę zieloną broszą w kształcie dębowego liścia, dystynkcją starszeństwa w Bractwie. Ale druid nie wyglądał na uszczęśliwionego. Bedevir nie zdążył z nim porozmawiać, bo eunuch wezwał go na audiencję. Królowa powitała go uprzejmie i zaprowadziła do opuszczonej Sali Rycerskiej. Okrągły Stół pokrywała gruba warstwa kurzu i Morrigan kichnęła, zabawnie marszcząc nosek.

- Szkoda, żeby się marnował. To piękny symbol - powiedziała.

- Zasiądziesz przy nim dla mnie, Bedevir? - zapytała, obdarzając go olśniewającym uśmiechem.

Pokręcił głową, ogarniało go coraz większe zakłopotanie. Kiedy wreszcie zdołał wykrztusić z siebie słowa, był już czerwony jak burak.

- Kiedy ja... Król pasował mnie wprawdzie na krótko przed śmiercią, ale nigdy nie posadził przy Stole - powiedział.

Morrigan spojrzała na niego współczująco.

- To smutne, że Artur nie docenił tego, który służył mu najwierniej. W końcu to ty przyniosłeś do domu jego miecz.

I tak Morrigan wskrzesiła Okrągły Stół. Tego samego dnia Bedevir powołał ośmiu nowych rycerzy. Byli wśród nich Cenwallen, dwóch Brytów, młody Galo-Rzymianin, a także szlachetnie urodzony Frank. Trafił się nawet przybysz z kraju Piktów, który woniał i wyglądał jak wypruty bebecz owcy. Wymalowany od stóp do głów Pikt był odrażający, ale Bedevir musiał przyznać, że w szaleństwie Morrigan jest metoda. Dziki przyprowadził ze sobą trzydziestu procarzy. I sforę kudłatych ogarów. Sam odpowiadał za aprowizację swoich ludzi, którzy od kilku tygodni pożywiali się owsianą mąką rozrobioną z wodą. Lepszy wikt czekał na nich na wschodzie, w saksońskich spichlerzach.

Takich drużyn było na dworze więcej. Ich wodzowie wychowali się na legendzie Artura. Morrigan wychodziła ich oczekiwaniom naprzeciw. Ustrojona w żałobną suknię, opowiadała o tym, jak ciało władcy popłynęło na Wyspy Zachodnie albo jak jego cnotliwa małżonka Ginewra odebrała sobie życie z tęsknoty za mężem. Jako szlachetnie zarąbany trup Artur przynosił więcej pożytku niż jako żywy półtrup z ostatnich dni życia. Nie był

obląkańczo po nocach i nie wpadał na człowieka z upiornym chichotem. Bedevir musiał to wreszcie przyznać. Dobrze, że Artur nie żył.

Publiczne uhonorowanie Igiego Morrigan zostawiła na koniec. Ale wśród jego popleczników, z Cenwallenem na czele, wyczuwało się niecierpliwe oczekiwane. Dla nich był zwycięskim wodzem, którego nazywali Igg. Nosił naszyjnik bogów i miecz Pendragona. Dla prostych ludzi były to niepodważalne insygnia. Królowa musiała coś z tym zrobić.

Podczas kolejnej uczyty Bedevir złapał się na tym, że z niepokojem przygląda się Igiemu. Z niepokojem czy może zazdrością?

Cudzoziemiec wyglądał jak pączek w maśle. Pił za trzech i jadał obficie, korzystając z hojności królowej. Ale rycerzowi nie podobały się detale. Szklisty błysk oczu chłopaka, jego pusta, nieprzytomna twarz i spocone czoło. *Jeżeli to nie są czary, to ja jestem Sas.* Czasami na twarzy Igiego pojawiał się błysk oprzytomnienia, może strachu. Ale zaraz spłukiwał przykre wrażenie kolejnym kielichem. Morrigan nie ukrywała, że uważa Nosiciela za równego sobie. Sadzała go nawet na królewskim krześle. Podarowała mu elegancką, wyszywaną szatę. Zawsze trzymała go blisko siebie, zawsze pozostawała blisko Naszyjnika. Bywało, że po prostu patrzyła nań nieruchomym wzrokiem, jak kot, który przysiadł na piersi śpiącego i wysysa zeń oddech.

\* \* \*

To był paskudny sen. Znajdował się nad leśnym jeziorem. Leżał na wznak, w górze szumiały sosny. Otaczał go krąg czarnych, nieregularnych kamieni. Moc płynęła pod skórą ziemi, napinała korzenie i wzdymała głazy, stroszyła zieloną sierść mchu. Nagle krąg zapłonął białym światłem, oślepiło go, ale nie mógł zasklepić powiek. Oczy widziały ogień, uszy słyszały krzyk. Język smakował cierpienie. Wokół niego umierali ludzie. Stary człowiek leżał w kałuży krwi, głowę miał odgiętą pod nienaturalnym kątem. Masywny, jasnowłosy mężczyzna czołgał się w stronę światła, znacząc swój szlak śluzem bólu i krwi. Morderca wdeptał go w ziemię.

Była jeszcze dziewczyna w zielonej kurtce, to jej krzyk dzwonił mu w czaszce. W dawnych czasach takie kobiety zabierały konających wojowników z pola bitwy. Gdzieś o tym czytał. Morderca szedł do niej szybkim krokiem, na twarzy miał okrutny, sycący się grozą uśmiech. Igi napiął wszystkie mięśnie i nagle wynurzył się, łapiąc oddech.

Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. W komnacie panował półmrok, płomyk świecy migotał w nierównym rytmie, poszarpanym jak łomot serca. Widział drewniane ściany i wijące się po nich rośliny. Pachniało ziołami i mchem, gdzieś obok kapąła woda. Leżał na

posłaniu z plecionej trawy, nad głową miał dziwny baldachim przypominający omszały kapelusz grzyba. W głowie czuł opar wina, gardło przypominało pustynną jamę. Najbardziej spustoszona była pamięć. Poczul ukłucie paniki. Odruchowo złapał się za szyję i poczul kojący chłód. Przynajmniej Naszyjnik był na swoim miejscu, na niego zawsze mógł liczyć.

Potem zorientował się, że nie jest w komnacie sam. I nie ma na sobie ubrania. Kobieta w rdzawoczerwonej sukni stała przy oknie, wpatrując się w wiszący nad zamkiem księżyc. Morrigan.

Gładkim, posuwistym ruchem obróciła się w jego stronę, ciemne włosy okalały jej twarz jak skrzydła pięknego sukuba.

- Gdzie ja jestem? - zapytał ochryple, nie wiedząc, czego chce się dowiedzieć. Albo czego nie chce.

- To mój... sekretny azyl. Chciałam, żebyś go zobaczył. Zapraszam tu tylko przyjaciół i dawno nikt tu nie bywał. - Królowa uśmiechnęła się smutno. W tym miejscu, z rozpuszczonymi włosami i w prostej sukni, nie wyglądała na dumną, despotyczną władczynię. - Druidzi powiadają, że kiedy bogowie stworzyli ludzi, dla niektórych zabrakło im dusz. Dodali więc inne... domieszki. Mnie przypadło chyba coś z lasu. Nie czuję się dobrze wśród murów.

- Jak się tutaj znalazłem?

- Za dużo wypileś. Służba wyniosła cię z uczty.

- Czego chcesz... pani? - Nie miał głowy do konwenansów.

- Porozmawiać. I podziękować ci. Twoi towarzysze otrzymali już ode mnie nagrody. To było łatwe. Ale zupełnie nie wiem, jak wynagrodzić cię.

Igi zastanowił się. Kilka tygodni temu - Jezu, nawet nie wiedział, ile to było dni - prosiłby ją tylko o odesłanie do domu. Do pustego domu w zimnym mieście, z którego opadły już policyjne taśmy i plamy zaschniętej krwi. Musiało być tam teraz przytulnie. *Naprawdę chcesz wrócić?* Znowu złapał się za Naszyjnik, poszukał oparcia w metalu. Zawsze gdy wykonywał ten gest, trafiał na poszarpaną bliznę.

Znalazła się tuż obok niego, jej włosy musnęły mu kark. Chłodne palce przesuwały się wokół blizn. Chowaniec z Czarnego Lasu. Robak Snów, kilka saskich draśnień. Szybko skompletował kolekcję.

- Boisz się. - To nie było pytanie. - Boisz się i cierpisz. Przy mnie nie musisz się wstydzić. Ja też musiałam szybko dorosnąć. Moja matka była sławną czarownicą, wiesz? Nazywała się Morgana i była siostrą Artura. Chciała, bym kontynuowała jej dzieło. I miała dla mnie tyle ciepłych uczuć co głodne demony Dołu.

- Moja marzyła tylko o tym, żebym wreszcie zniknął - warknął Igi.

Nie lubił, gdy ktoś przypominał mu przeszłość. Nie lubił, jak ktoś go dotykał. Jak był mały, matce zdarzało się go głaskać, ale była, jak to się mówi, nerwową kobietą. I nerwowo biła, nie patrząc, gdzie spadają ciosy. Oczywiście robiła to z miłości. Przed oczami zamajaczył mu pusty, ochlapany krwią dom, w sercu czuł zimne dreszcze. Tam zawsze była pustka i krew. Do kurwy psa. Jego przeszłość została zabita na długo przed przybyciem chowańca.

- Zbyt długo byłeś sam - szeptała, sunąc palcami po jego barku.

Wzdrygnął się, ale dłoń czarodziejki była kojąca i chłodna. Przez chwilę poddawał się pieśszczocie, potem zjeżył się i strząsnął jej rękę. Dawny Igi łąsił się i zabiegał o każde dobre słowo. Nigdy nie miał ich dość, był pieprzonym odkurzaczem, wsysającym okruszki ciepła, pajęczynę uwagi i zakurzone uśmiechy. Śmieci. Ale teraz stał się kimś innym. Dowodził w bitwie i przelewał krew. Na pewno nie był już słaby.

Morrigan spojrzała na niego uważnie i zsunęła suknię z ramion. Tkanina zatrzymała się na wysokości kształtnych, wzniesionych piersi. Zerwał ją gwałtownym szarpnięciem i przyciągnął czarodziejkę do siebie. Jej skóra była gładka i chłodna, odcinała się od ciemnej pościeli. Łapczywie zagarnął jej piersi i rozchylił nogi. Pachniała nocą, kwiatami i miodem. Przez chwilę poddawała się, potem jej ciało stężało.

Przysunął usta do jej szyi i podmuchał lekko. Nie spiesząc się, smakując chwilę. Jego palce odnajdywały na skórze czarodziejki jakiś wzór, nowy i bardzo stary. Potem ona przyciągnęła go do siebie, zaplotła mu nogi na plecach. Słyszał jej urwany, jakby syczący oddech. Wtuliła twarz w jego szyję, Igi odchylił głowę i spojrzał w niesamowite czarnogranatowe oczy. Wpatrywały się w Naszyjnik, migotały tym samym blaskiem. Jej twarz krzywiła się w zmiennych, następujących po sobie grymasach rozkoszy i bólu, łapała powietrze jak ryba.

Kiedy skończył, miał wrażenie, że ciało Morrigan unosi się nad pościelą. Naszyjnik wibrował, wydawał się znacznie lżejszy. Igi uśmiechnął się do niej wyczerpany. Z jego serca wyparowały wątpliwości i strach, zostawiając tylko gładką, nasyconą rozkosz. Blizny na jego ciele wciąż tam były, ale w środku poczuł się uzdrowiony i pełny.

- To była moja nagroda?

Spojrzała na niego z uśmiechem, okrutnym i bardzo czułym.

- To dopiero początek... Pendragonie. Ale musisz coś dla mnie zrobić. Otwórz się dla mnie. Daj mi rozpocząć Obrzęd.

- Oddam ci Naszyjnik. I tak nie potrafię go używać. No, prawie.

- Nie mogę go przyjąć. To ty utrzymujesz Naszyjnik w naszym świecie. Ale jeśli otworzysz przede mną serce, jego moc zostanie uwolniona. - Twarz czarodziejki pokryły rumieńce, w jej oczach był zachwyt i głód. - Jego władca jest stary i bezsilny. Nie uczestniczy w sprawach tego świata. Moc Zapominanego gnije i umiera razem z nim. To straszne marnotrawstwo, Pendragonie.

- Wszyscy tak na mnie mówią... a ja nawet nie wiem, co to znaczy.

- Pendragon to bohater. Najwyższy król i obrońca plemion. Musi być silniejszy niż zwykli ludzie, bo jego dusza odzwierciedla stan całego królestwa. I odwrotnie.

- Kimś takim był dla was Artur?

- Tak. Ale jego moc wyczerpała się... - Czarodziejka urwała na moment. - Ekskalibur nie był wystarczająco potężny i król zachorował. Twój Naszyjnik jest znacznie silniejszy.

- Rhodri mówi, że Naszyjnik sprowadzi tu bogów - rzekł Igi niepewnie. Zadrżał, poczuł echo błotnistej woni. Z tego, co wiedział o bogach, nie zawsze należało ich zapraszać.

- Nie dbam o bogów. To oni stworzyli nas słabych. Druidzi pragną władzy, hierarchii i kultu. Ja chcę odmienić ten świat. Uczynić go tak pięknym, jak może, jak powinien być. Czekałam na to przez całe życie. Aż wreszcie spotkałam ciebie - zamruczała i ugryzła go w szyję.

\* \* \*

*Jestem kupką popiołu*

*I czekam*

*Na wiatr*

#### Z BEZIMIENNEGO NAGROBKA

Następnego wieczoru Morrigan oficjalnie nadała Igiemu tytuł Pendragona. Ogłoszono datę zaślubin, które miały się odbyć w dniu letniego przesilenia, po czym Nosiciel zasiadł obok Morrigan na wielkim tronie Artura. Po prawym boku miał Bedevira, dowódcę Rycerzy Stołu, po lewej Rhodriego, który został pierwszym doradcą Pendragona, ku oburzeniu co starszych druidów. Podwyższenia strzegli Rycerze Stołu. Niektórzy wyglądali imponująco, jak wielki Cenwallen. Inni, jak Kasujusz Arnelik, stanowczo potrzebowali czasu.

Zasiedli już do wieczornej uczyty, gdy na sali pojawił się Cynned. Zazwyczaj unikał uczt. Śluby zabraniały druidom spożywania wina, obżeranie się też nie było dobrze widziane. Cynned drżał z podniecenia. Pokłonił się i zbliżył do szezlongu Morrigan, wyszeptał coś do

jej ucha. Królowa klasnęła, uciszając zgiełk. Hierofant chrząknął i kichnął, otarł rękawem nos. Głos miał piskliwy i chyba przerażony.

- Gwiazdy ustawiły się odpowiednio. Pani Wojny, Władca Mórz i Czerwony Smok. Możemy rozpocząć Obrzęd.

- Naprawdę nie musimy się spieszyć - głos królowej był słodki jak syrop.

Hierofant skłonił się i zbliżył do tronu.

- Pamiętaj o naszej umowie, królowo - wyszeptał.

Morrigan skrzywiła się i przyzwalająco skinęła głową. Ona już czerpała z Naszyjnika i czuła, jak jej moc wzrasta. Nie dbała o gusła druidów, ale prości ludzie potrzebowali nadziei. Jeżeli silny kult miał skonsolidować królestwo, nie zamierzała im przeszkadzać.

Przynajmniej nie zdążyłem się dzisiaj upić, pomyślał Bedevir, gdy zebrani gramolili się z miejsc. Wcale nie wiedział, czy to powód do ulgi. Wewnętrzny dziedziniec był miejscem obrosłym w legendy. Podobno kiedyś znajdował się tam święty gaj, ukryte sanktuarium. Nikt nie miał tam wstępu, od czasu gdy pogański król Gourthigern został obalony przez wojska biskupów. Podobno właśnie przelana tam krew spowodowała rozłam w królestwie.

Za panowania Artura sanktuarium było zamknięte. Nawet odradzające się Bractwo nie odprawiało tam rytuałów. Arcybiskup Arabrozjusz zagroził królowi ekskomuniką. Podobno powiedział też, że jeżeli w Camelot odprawi się choć jedno pogańskie gusła, pamięć o Arturze i jego królestwie zostanie wymazana z kronik. Król ugiął kark. Wprawdzie popierał druidów, którzy budzili w ludziach dawnego ducha walki, ale zależało mu też na pomocy Kościoła i potężnego cesarza Justyniana, który słynął z żarliwej wiary i braku litości dla innowierców.

Gdy brama otworzyła się z jękiem, Bedevir uświadomił sobie, że dziedziniec musiał powstać za sprawą czarów. Była to rozległa, otoczona murami polana, która nie miała prawa zmieścić się w obrębie zabudowań zamku. Ba, nie zmieściłaby się w całym Camelot.

Pośrodku rosły trzy potężne dęby. Były stare, tak stare, że pamiętały zimne noce nad Tybrem, gdy wilczyca nadstawiała sutki bliźniakom, trzęsącym się w nędznej norze. Jakimś cudem ominęły je prześladowania i ogień. W ich dziuplach odbywały się ryty przejścia. Adepti, odurzeni magicznym wywarem z grzybów, powojów i kłaczy, śnili w drzewiastych łonach. Gałęzie i korzenie układały się w litery magicznego alfabetu. Dla Rhodriego, który spoglądał na drzewa ze wzruszeniem i czcią, stare dęby były jak Mekka dla sług Mahometa, a wzgórze Golgoty dla wyznawców Chrystusa. Pierwszy raz w życiu patrzył na święty gaj, żywą świątynię druidów.

Bedevir również wpatrywał się w drzewa z uwagą. W przeciwieństwie do Rhodriego, trzewi nie ścisnęło mu wzruszenie, tylko wstręt. Skupił się na innych szczegółach. Kora

dębów pokryta była starą, zaschniętą krwią i rzeźbami, które w normalnych okolicznościach postawiłyby Bedevirovi włosy na sztorc. Teraz powitał je z ulgą. Przynajmniej były to rzeźby, a nie żyjące, głodne deformacje. Obok każdego z dębów wznosiła się dziwna konstrukcja. Podeszedł do środkowej. W pierwszej chwili pomyślał, że to klatka z wikliny, potem zorientował się, że budowla oddycha i żyje. Kształtem przypominała ogromnego człowieka, brzuchatego i rozłożystego jak dąb. Do brzucha stwora prowadziła drabina, wewnątrz klatki wymoszczone było sianem i pakułami. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Odwrócił się do Rhodriego.

- Wiklinowy Człowiek. Od czasów szalonego Gourthigerna nikt nie odważył się go stworzyć. Stary Ambrozjusz właśnie za to go ekskomunikował. - wyjaśnił druid.

Cynned wpatrywał się w klatkę rozognionymi oczami.

- Dzięki niemu Rzymianie mieli pretekst, żeby nas prześladować i dręczyć. Cywilizować, psiakrew! Tak jakby ich własne zwyczaje, murowanie westalek w lochach i mordy na arenach, były w czymkolwiek lepsze.

Igi rozejrzał się niespokojnie. Miał złe przeczucia.

- Do czego on służy? - spytał.

- W dawnych dniach druidzi składali w nich w ofierze przestępców i świętokradców - odparł Rhodri. - Ściśle mówiąc, palili ich żywcem.

- Rozumiem. Ale wśród nas nie ma ani jednych, ani drugich, prawda?

Morrigan uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

- Pokaż mu, Cynned.

Po drugiej stronie sanktuarium strażnicy otworzyli ukrytą bramę. Ściany wokół gaju nie miały okien, wznosiły się jak jednolity kocioł. Ale były też drugie drzwi, wiodące prosto do zamkowych lochów. Więźniowie wyszli z nich, dzwoniąc kajdanami. Wyglądali na Sasów lub Fryzów. Morrigan zbliżyła usta do szyi Nosiciela i delikatnie pocałowała Naszyjnik.

- Prawdziwą moc przebudzić może tylko krew - szepnęła. Potem uniosła ramiona i krzyknęła czystym, donośnym głosem: - Brytowie! Tej nocy oddam wam bogów.

Bedevir poruszył się niespokojnie. Wiedział, że Naszyjnik posłuży jakimś magicznym obrzędem, ale tego się nie spodziewał. Od czasu gdy Artur pozwolił na odrodzenie się Bractwa, druidzi odcięli się od części swoich mrocznych tradycji. Składali w ofierze kozy i owce, rzadziej konie, ale trzymali się z dala od ludzkiej krwi. Rozejrzał się wokół. Frankowie sprawiali wrażenie znudzonych. Druidzi, a jakże, wyglądali niczym pustynni wędrowcy, przed którymi zmaterializowała się zielona oaza. Ale radość dostrzegł też na twarzach innych Brytów.



Zwłaszcza wynędzniałe oblicza uchodźców rozjaśniała teraz duma i niecierpliwa, wyczekująca nadzieja. Czemu się dziwić? Ci ludzie stracili już wszystko, a najbardziej zawiedli się na Bogu, którzy zsyłał na nich klęski i wywyższał pogan. Nie widział Emilianusa i przypomniał sobie, że poseł źle się dziś poczuł. A może ktoś o to zadbał? Na zamku nie było już księży, większość uciekła razem z biskupem Ambrozjuszem do Rzymu albo zasyła się w irlandzkich klasztorach.

Rhodri miał nieprzeniknioną twarz, choć Bedevirovi zdawało się, że dostrzega stłumiony grymas wstydu, jakieś wewnętrzne zbrzydzenie. Z kolei Nosiciel patrzył tylko na Morrigan, jego twarz była obrzmiała i pusta.

*On nie widzi. Nie widzi już nic poza swoją panią*, uświadomił sobie Bedevir i poczuł lęk. Nie było tutaj nikogo, kto mógłby powstrzymać ten obłąd.

Na znak Cynneda dwaj druidzi złapali pierwszego z więźniów za ramiona. Nieszczęśnik szarpnął się, ale bez przekonania. Hierofant zaintonował ponurą, monotonną pieśń, Frankowie mamrotali ochronne zaklęcia. Rhodri przysięgłby, że niebo nagle ściemniało. Poczul na sobie rozpaczliwe, zwierzęce spojrzenie jeńca i odwrócił głowę. Bedevir stał obok niego. Twarz miał czerwoną ze wstydu, dłonie zacisnął w pięści, aż zbieleły mu kłykcie.

Druidzi ogolili jeńcom głowy. Jakaś młoda kobieta, z długimi, pięknymi warkoczami w kolorze skórki pszennego chleba, których nie zdążyły oszpecić brud ani wszy, krzyczała rozpaczliwie. Morrigan zbliżyła twarz do jej ucha i polizła ofiarę po szyi. Lubiła słonawy smak strachu.

Po chwili wszyscy znaleźli się w dwóch bocznych klatkach. Środkowa wciąż stała pusta. Bedevir poruszył się niespokojnie. Morrigan nigdy nie wyglądała tak potężnie i władczo jak dziś. Była teraz jego królową. Kto dał mu prawo namysłu, kwestionowania poleceń? Sam je sobie przyznał. A był żołnierzem, na krew i demony!

Alternatywę znał dobrze. Widział ją w spustoszonych wioskach, opuszczonych miastach i strzaskanych wieżach. Popioły i kurz, i zimny wiatr, który przewiewa pyły na zgliszczach. Bezsilność i podzielenie. Wtedy w głowie zazgrzytały mu żarna, usłyszał głos Artura, w chwili gdy król podnosił go z ziemi. „Bóg jeden wie, że szybko pokażesz, z jakiego wykuto cię kruszcem”.

Powoli, jak źle nakręcona zabawka, podszedł do swojej królowej. Przemówił w zapadłej ciszy i zdumiał go dźwięk własnego głosu. Tak oto mówił głupiec.

- Jestem rycerzem, chrześcijaninem i człowiekiem. Ślubowałem przed królem bronić niewinnych i słabych. Musi być jakiś inny sposób, królowo. Nawet Sasi nie zasłużyli na taką

śmierć - powiedział.

Tłum zaszemrał, Morrigan uśmiechnęła się kpiąco.

- Słuchajcie go, ludzie. Słuchajcie ocalałego spod Kamlann, bohatera, co porzucił Artura. Opowie nam o odwadze, służbie i obowiązku.

Usłyszał pierwsze stłumione śmiechy i zagryzł usta. Oni wiedzieli, jego imię było już sławne w królestwie. Chciał zapaść korzenie i okryć się liśćmi, na zawsze usunąć się z oczu. Zamiast tego wyprostował się dumnie, wysunął z jaszczura spatę.

- Cokolwiek w ten sposób zyskacie, mówię wam jedno. Nie warto. Pomyślcie, że patrzy na was Artur.

Ludzie zawahali się. Zobaczył, że Cenwallen i inni dowódcy zerkają na Pendragona. Twarz Nosiciela nie wyrażała żadnych uczuć. W nagłej ciszy odezwał się jego głos, młody i bardzo złośliwy.

- Znam dobrze tego człowieka. Pod Kamlann okradł swojego króla i przywłaszczył sobie Ekskalibur. Podczas bitwy przy Wołowym Brodzie ukrył się na tyłach, razem z kobietami i dziećmi. To zdrajca, krzywoprzysięzca i tchórz.

Pierwszy pocisk uderzył Bedevira w tył głowy. Ktoś cisnął w niego pigułę z błota. Rycerz drgnął, czuł krew i paznokcie wbijające się w zaciśnięte dłonie. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał rzucić się na druidów z mieczem, ale narastający w tłumie śmiech odebrał mu siły. Zatonął się bezradnie, załóżnie. Śmiesznie. Jego wzrok napotkał jeszcze spojrzenie Rhodriego; mały druid pokręcił głową i spojrzał na niego błagalnie. Nie rób tego. Bedevir dopiero teraz poczuł furię. Sukinsynie, o wszystkim wiedziałeś. Sprowadziłeś mnie tu jako kata.

Potem któryś z Franków podciął mu nogi. Upadł na twarz, w rozmokłe błoto i darń. Strażnicy Morrigan pobiegli do niego z toporami, ale królowa zatrzymała ich krótkim gestem.

- Krew tchórza i zdrajcy nie będzie smakować bogom. Zwiążcie go i zakneblujcie, ale pozwólcie patrzeć. Może uleczy go moc...

Morrigan przytknęła do konstrukcji pochodnię i zatoczyła się jak smagnięta batem. Na jej twarzy nie było jednak bólu, tylko upojenie i rozkosz. Buchnęły szmaragdowe płomienie. Ten sam ogień przez moment migotał na szyi Nosiciela, który nie zareagował. Zachwiał się tylko, ale królowa podtrzymała go. Jej oczy błyszczały zielenią, wyglądała na wyższą i młodszą. Powiedziała coś do Igiego, ale wszystko zagłuszył skowyt.

Śmierć w Wiklinowym Człowieku nie należała do łatwych. Więźniowie stali ciasno stłoczeni i nie mogli upaść. Płomienie najpierw obejmowały ich stopy i powoli przedostawały się wyżej. Nie spieszyły się. Teoretycznie człowiek żył do momentu, w którym ogień strawił

żywotne organy, nerki, płuca i serce. Czasami trwało to wiele godzin. Po jakimś czasie, który upłynął przy niemilknącym wyciu ofiar, w powietrzu rozszedł się zapach skwierczącego tłuszczu. Płomienie wspięły się w górę, lizały już uda skazańców.

Bedevir oddychał chrapliwie. Usiłował nie patrzeć, ale pilnujący go Frank trzymał go mocno za głowę. Morrigan przeżyła się na tle ognia jak smukły, wyodrębniony płomień. Rycerz nie znał się na magii, ale widział, jak zielone smugi unoszą się z klatki do Naszyjnika, a potem owijają królową. Pośredniczyły, magia skapywała na nią po sznurze z cierpienia i strachu. Wiklinowy Człowiek słańiał się i poddawał płomieniom. Emitował jakąś dziwną, niepokojącą muzykę. Zupełnie jakby część z wiklinowych gałęzi była wydrążona i działała jak dudy, fujary i miechy. A może po prostu był żywy i nucił sobie pod nosem, czekając na uroczysty posiłek? Rhodri dawał mu jakieś znaki, jego twarz była czerwona, wykrzywił ją dziwny grymas. Wstyd?

Królowa wyprężyła się. Nadchodził czas. Zamknęła oczy i zaczęła rytmiczne oddychać, koncentrując świadomość w przeponie.

Igi patrzył się na nią z zachwytem. Morrigan kwitła w oczach, smakowała płynącą w niej moc. Ciemna wiosna. Jej wzrok ożywiał leżące w ciemności nasiona. Sięgała w otchłań, dalej niż po kres. Bogowie, w tym celu warto było poświęcić kilku głupców. Czuł, że Naszyjnik jest zadowolony. Metal był coraz lżejszy, miejscami prześwitywał. Moc opuszczała go, ale Igi wiedział, że przedmiot nigdy nie chciał zatrzymać jej dla siebie. Bogactwem trzeba się dzielić, obdarowywać nim szary, wynędzniały świat. Z niego też był zadowolony, Igi nigdy nie czuł się tak spokojnie i pewnie. Na zawsze pożegna się ze słabością i strachem.

Nagle poczuł nowy, odmienny zapach, silniejszy od smrodu tłuszczu i palonego mięsa. Spozregł, że czarodziejka stoi po kolana w bagiennej wodzie, a wkoło zawodzą na wietrze cyprysy z Czarnego Lasu. Wokół niej gromadzili się mieszkańcy najrozmaitszych światów. Wszyscy, których zwabiła ożywiona energia Naszyjnika.

Niektórych pamiętał z Lasu. Strażnicy z niedokończonymi twarzami, ożywione cienie. Zwłoki, które po stuleciach zalegania w błotnych jamach same upodobniły się do szlamu. Wyznawcy Naszyjnika, Celtowie z dawnych wieków. Sam Brennus nadszedł na rydwanie z brązu i cisnął do stóp czarodziejki zbroczone krwią głowy wrogów. Potem nadeszli bogowie. Wyglądali jak trędowaci zebracy, czereda kosmicznych pariasów. Pod pieścotliwym spojrzeniem Morrigan ich ciała wypełniały się i młodziły. Brodaty Dagda postawił przed nią swój kocioł i ofiarował jej nektar z inkrustowanej szmaragdami chochli.

- Wykarmisz nim największą nawet armię, królowo - powiedział grzmiącym głosem.

Włosy boga-kowala sterczały jak naelektryzowane, zmarszczka na czole przypominała

zastygła błyskawicę. Po nim pojawiła się młoda dziewczyna przystrojona w szpony i ozdoby z czaszek. Agrona, Pani Rzezi, czczona także pod postacią Kali i Hekate. Pocałowała Morrigan w policzek i zachichotała.

- Na pewno będziemy przyjaciółkami - rzekła.

Igi przyglądał się temu w zachwycie. Chciał zlizywać brud z jej butów, filtrować dla niej światło i deszcz. Nie spuszczał wzroku z Morrigan.

Tam, na polanie, ludzie cofnęli się o krok. Nawet Hierofant Cynned mamrotał coś pod nosem i zerkał na królową nieufnie. A wokół tężały cienie. Nie było żadnego pęknięcia niebios, powietrznych tuneli ani samoczynnie ujawniających się grot. Morrigan po prostu wróciła z zaświatów. Tyle że nie sama. Popołudniowy cień wiedźmy, widoczny na tle płomieni, zgęstniał i uformował się w kształt ludzki. Po nim zgęstniał kolejny. I jeszcze jeden. Nagle zgromadzeni na dziedzińcu znaleźli się w tłumie duchów. Nabierały konturów, szturchały ich i trącały. Zaczęli cofać się w stronę obrzeży polany. Morrigan nikła im z oczu otoczona mrocznym, migoczącym powietrzem.

Błady Cynned wbił wzrok w jeden z cieni i uśmiechnął się wąskimi wargami. Agrona, wyszeptał. Przyszłaś. Upadł na kolana, po nim zrobili to inni druidzi. Frankowie również zatopili się w modłach. Najwyraźniej rozpoznali w przybyszach swoich germańskich bogów. Może zwidział im się Merowiusz, pół ryba, pół człowiek, w hełmie z morskiej konchy, z szylkretową tarczą na zielonym barku.

Nastrój był bardzo podniosły, ale nic nie trwa wiecznie. Zwłaszcza gdy mocno się pali. Stojące po bokach konstrukcje zawaliły się i osunęły na ziemię, krzesząc morze iskier. Zebrani odskoczyli, kilku ludzi zawyło poparzonych. O świcie ludzie zaczęli się rozchodzić. Tylko środkowy Człowiek wciąż płonął, jakby pokarmem płomieni nie była wiklina, lecz ludzki strach.

## ROZDZIAŁ 23

Mab nie zdążyła odebrać sobie życia. Pamiętała nagły tętent kopyt i jeźdźca, który spiął konia, odganiając od niej Sasów. Nie zobaczyła jego twarzy, nieznajomy po prostu przerzucił ją przez siodło i wyniósł z pola bitwy. Kiedy wreszcie postawił ją na ziemi, nie wiedziała, czy powinna czuć ulgę czy jeszcze większy strach.

Cynric traktował ją dobrze, inni Sasi zaakceptowali fakt, że Mab jest pod jego opieką. Gdy niedobitki armii zgromadziły się wreszcie w jednym miejscu, okazało się, że Offa i inni wodzowie nie żyją. Ze starszyzny ocalał tylko Werusk, który zapadł w jakiś ponury trans, sycząc urwane przekleństwa czy klątwy. Na widok Mab oczy maga rozbliły złośliwie i dziewczyna była pewna, że pamięta ją z Valcester.

Książę objął dowodzenie, a ludzie, których wyprowadził z płonącego lasu, poddali się jego rozkazom bez szemrania. Ruszyli w dół rzeki i przeprawili się przez nią łodziami, daleko od Wołowego Brodu. Potem, idąc szybkim marszem, dogonili armię Credy, która płądrowała Devon i południowe wybrzeże. Camelot leżał tylko kilka dni drogi na zachód, ale wciąż pozostawał potężną twierdzą, a ich armia była teraz poważnie uszczuplona. Liczyła niespełna cztery tysiące wojowników, różniących się od siebie strojami, narzeczem i bronią. Między szczepami wybuchały sprzeczki i bijatyki, ale zwyczajowy sposób rozwiązywania sporów, wieczorny pojedynek, nie pozwalał na pielęgnowanie urazy. Co rano zostawiali za sobą kilka trupów, lecz nieustępliwie szli na zachód.

Trzeciego dnia odbyła się ceremonia wróżebna, która Mab wydała się wędrownką na samo dno piekieł. Werusk nie czytał ksiąg ani zwojów, nie wróżył z kroku koni i lotu ptaków. Źródłem proroczego natchnienia byli dla niego ludzie. W tym sensie był prawdziwym humanistą.

Grupę trzynastu jeńców, mężczyzn, kobiet i dzieci, zapędzono nad brzeg niewielkiego jeziora. Uzbrojony w kamienny nóż Werusk z namaszczeniem rozprawał brzuchy jeńców, których strażnicy wpychali następnie do wody. Sadržawka szybko zmieniła kolor na purpurowy, ogrzana od krwi woda dodatkowo przedłużała mękę jeńców. Podtrzymywała ich agonię, niczym okrutne wody płodowe. Skazańcy wyli, dławiąc się krwią, zaplątani we własnych wnętrznościach, które wyslizgiwały im się z palców jak purpurowe węgorze. Czarownik niestrudzenie obchodził sadzawkę. Od świtu aż do południa odczytywał omeny z

układu wijących się ciał.

Mab z trudem powstrzymywała nudności. Pomyślała o dziecku, które z każdym dniem rosło w jej brzuchu, i zamknęła oczy. Cynric i inni arystokraci stali w pierwszym rzędzie, smród odchodów i rozprutych żołądków był nie do zniesienia. W pewnej chwili krew ochlapała jej twarz. Zatrzęsa się i zobaczyła, że czarownik mrugnął do niej, wyciągając z czerwonej zupy jakiś wijący się organ. Poczuela, że zaraz zemdleje, gdy ktoś delikatnie ujął ją pod ramiona. Odwróciła głowę, Cynric uśmiechnął się do niej uspokajająco. Zganiła się za idiotyczną myśl - czy ładnie dzisiaj wygląda? Ale chyba nie było tak źle, książę pożerał ją wzrokiem. Przytuliła się do niego mocniej, pachniał koniem, skórą i potem.

Oddalili się od sadzawki. Cynric utorował im drogę przez tłum, którego hałas i smród uderzył w Mab jak kopnięcie muła. Potknęła się i przymknęła oczy. Otaczali ją głodni, oszołomieni mężczyźni, którzy od tygodni nie widywali swoich żon. Jedyne kobiety, które spotykali, w końcu pod nimi konały, zaspokajając żądze podjudzone bitewnym szałem. W ich oczach widziała tylko głód, brodate twarze wpatrywały się w nią z morderczą obojętnością, jak pyski jakichś cudaczknych zwierząt.

Gdyby nie Cynric, rozdarliby ją jak kawałek mięsa i nasycili się, nie czując nawet smaku potrawy. Ale tak długo, jak długo książę obejmował ją ramieniem, nawet berserkerzy z północnego Nordlandu niechętnie schodzili im z drogi.

Tłum zdążył się przeredzić, gdy Werusk zakończył wróżbę. Czarownik wypełził z sadzawki. Z szyi zwieszały mu się girlandy jelit, w prawej ręce trzymał pulsującą wątrobę.

- Bogowie się gniewają! - zaskowyczał. - Żądają krwi każdego Bryta w tym obozie. Może to zdoła ugasić ich gniew...

Oczy Weruska płonęły, jego niegdyś biała broda była purpurowa od krwi, jak oddarte skrzydło mewy. Patrzył prosto na księcia, odnalazł jego wzrok nad głowami tłumu. Cynric wyprostował się dumnie, przyjął wyzwanie kapłana. Mab zadrzała, w tej grze ambicji była tylko przedmiotem, kością do ogryzienia, stawką.

Później Cynric zaprowadził ją do namiotu z niewyprawionych skór. Wskazał jej posłanie, a sam przysiadł na niewielkim pieńku. Potrząsnął głową jak otrząsające się z wody psisko i odezwał się do niej w łamanej łacinie.

- Może i nie jesteśmy cywilizowani, ale to już przesada. Stary dokumentnie zwariował.

Mab spojrzała na niego spod grzywy wzburzonych włosów. Na jej twarzy nie było współczucia.

- W takim razie wszyscy jesteście szaleni. Od dwustu lat mordujecie bezbronych.

- W boju. W zabawie, kiedy w głowie szumi od miodu i piwa. Kułakiem, ciśniętym

zydlem i ogryzioną kością. To jeszcze potrafię zrozumieć. Ale dziś... Jak dla mnie to za dużo.

- Zawsze tyle gadasz, zanim zgwałcisz kobietę? - uśmiechnęła się kpiąco.

Cynric wybałuszył na nią oczy.

- A kto mówi o gwałceniu? Po prostu próbuję być miły.

Śmiech Mab osiągnął wysoką, histeryczną nutę. Cynric skrzywił się i uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Nie za mocno, ale na tyle silnie, że z dolnej wargi pociekła jej odrobina krwi.

- Choć czasem to bardzo trudne - dodał Sas i podał dziewczynie skrawek jakiejś poplamionej tkaniny.

Wytarła nos, powstrzymując pytanie, do kogo należała chusta. Barbarzyńca zdawał się czytać w jej myślach jak w otwartej księdze.

- To nie z rabunku. Należała do kobiety, która kiedyś...

Spojrzała na niego z ciekawością silniejszą niż strach.

- Miałeś żonę?

- Prawie. Pochodziła z plemienia Alanów. Trafiła do naszego obozu, jeszcze w starym kraju, jako zakładniczka.

- I co się z nią stało?

- Nie miałem prawa z nią być. Byłem nieopierzonym szczeniakiem, dopiero czekałem na przyjęcie do grona wojowników. Żyłem w lesie z innymi szczeniakami, żywiłem się tym, co upolowałem. Jadłem zające i myszy, bez soli, często surowe. Spałem pod gołym niebem. Nie powinienem zakochać się w Kyrii. Według prawa byłem za młody, żeby się żenić. Dopiero wojownik, który zabił w walce wroga i przyniósł do wioski jego głowę i broń, zyskuje prawa męża i może wziąć sobie kobietę. Kiedy starsi dowiedzieli się, że przerwałem rytuał, postanowili ukarać nas dla przykładu. Okazało się, że plemię Kyrii złamało warunki rozejmu - to była idealna okazja. Długo myślałem, że mój ociec o niczym nie wiedział... ale było inaczej. Starszyzna powiadomiła go o wszystkim. Drań miał znakomity pretekst do udaremnienia tego małżeństwa.

- Przykro mi - szepnęła, dotykając jego dłoni.

Cynric mówił gardłowym głosem, mocno zaciskając pięści.

- Potem oskarżyli ją o czary. Że niby sprowadziła mnie na złą drogę. Usiłowałem jej bronić, więc najpierw wychłostali mnie łozinowymi prętami. Biegałem w tę i z powrotem, i każdy, mężczyzna, kobieta i dziecko, uderzył mnie chociaż raz. Taki saksoński zwyczaj. Potem musiałem patrzeć... oglądać jej długą śmierć. W starym kraju ziemia jest inna niż tutaj. Uboga i płaska. Poza borem nie sposób się ukryć, wzrok sięga daleko. Zawsze. Zamęczyli ją

w środku obozowiska. Dokądkolwiek bym poszedł, widziałem jej pal. Rzucił długi cień, a ona długo konała na słońcu. Nawet nie mogłem podać jej odrobiny wody.

Twarz dziewczyny zmieniła się. W jej oczach zamigotała litość.

- To dlatego nie chciałeś patrzeć? Bo wiesz, jak to jest...

- Gównu tam wiem! My nie puszczamy zniewag płazem, nie jesteśmy stadem pokornych baranów jak wy. Nie minął tydzień, jak wyprułem flaki tego starucha, wodza, który ją skazał. Wróciłem ze starego kraju bez grosza przy duszy ścigany przez prawo plemienia. Mój ojciec o niczym nie wie, ale kiedyś na pewno się dowie.

Cynric podparł głowę dłońmi i zasepił się. Wymacał w futrach zapieczętowany gąsior z winem i napił się łapczywie.

- Dobrze, klasztorne. Dziwni z was ludzie. Najlepsze rzeczy zostawiacie mnichom.

Podał jej naczynie, Mab ostrożnie upiła kilka łyków. Nie rozumiała go. Najchętniej pchnęłaby go nożem pod żebra, a on dzielił się z nią własną słabością. Kobięcy instynkt podpowiadał jej, że dzieje się coś ważnego. Ten człowiek ocalił mnie, pomyślała. Odnalazł mnie i ocalił. Cynric otarł brodę i spojrzał na nią dziko.

- Miałem już wiele Brytyjek, ale wszystkie siłą. Chciałem choć raz spróbować po dobroci.

- Zapominasz się. Ja nie jestem Brytyjką. Kobiety z mojego ludu zrywają małżeństwa sztyletem - odparła Mab po fryzyjsku. - Zresztą już za późno. Jutro weźmie mnie kapłan, a ty będziesz rwał włosy z brody. A może zadowolisz się sam?

Książę zaklął i uniósł rękę, ale nie uderzył jej. Przez chwilę zmagali się wzrokiem, ciemne oczy Mab krzesały iskry.

Cynric poczuł, jak burzy się nim krew. Popchnął dziewczynę na futra i rozerwał jej suknię. Jej skóra miała odcień marmuru, czysta i blada, rzęsy tańczyły jak bezradne motyle.

- Nie dam cię skrzywdzić. Będiesz moją królową - wydusił, wpatrując się w jej hipnotyzujące źrenice.

Zapadał się w tych ciemnych jeziorkach, nurkował na dno czegoś, czego nigdy nie zaznał. Wpił się w usta dziewczyny, która stężała, ale oddała pocałunek. Jej oddech rwał się, palce zsuwały mu spodnie. Lewą ręką podwinął jej suknię, prawą uwolnił piersi. Znalazł kobiecość i otulił ją dłonią jak rozwijający się kwiat. Pragnie mnie, poczuł z szalonym zachwytem. Pragnie.

\* \* \*

Cynric obudził się późnym rankiem, zadowolony i zdeterminowany. Tym razem nie odbiorą



mu szczęścia, tym razem nie. Pocałował w kark wtuloną w niego Mab i wyszedł z namiotu.

Porozmawiał z Hulfem, który czekał już z końmi gotowymi do jazdy. Dziesiętnik miał za zadanie bronić dziewczyny. Gdyby księżę nie wyszedł z namiotu króla, Hulf miał zabrać dziewczynę na wschód.

Cynric wiedział, że Werusk może przeciwstawić się jego decyzji. Powie mu, że dziewczka należy do bogów, chociażby po to żeby go upokorzyć. I ugrać coś z jego ojcem. Werusk wykorzystywał jego lęk i grał w swoją grę. Istotnym jej elementem było osłabienie pozycji Cynrica, którego uważał za lekkoducha i bezbożnika. Księżę sprawdził, czy sarmacka szabla dobrze wysuwa się z pochwy, i poprawił pas. Jeżeli Werusk otwarcie go sprowokuje, może dojść do rozlewu krwi.

Zanosilo się na ciekawy dzień. Cynric zaśmiał się. Podrzucił oszczep i złapał go zręcznie. Jakby co, pierwszego zabije maga. Mijani ludzie nie sprawiali jednak wrażenia szczęśliwych.

Największy tłum zgromadził się przed ozdobionym wilczą czaszką namiotem Weruska. Księżę przepchał się do wejścia, którego strzegło dwóch ponurych huskarłów wspartych na dwuręcznych toporach.

- Król już tam jest, księżę. Pragnie cię widzieć - oznajmił gwardzista.

Już na progu zorientował się, że nie jest dobrze. Namiot przesycala woń śmierci i bagiennej zgnilizny. Creda siedział z brodą opartą na splecionych dłoniach. Cynric zauważył, że ojciec ubrany jest w prostą, połataną tunikę. Jego skromność była wręcz ostentacyjna. *Plemię musi się burzyć.* Po przegranych bitwach Sasi mieli w zwyczaju obracać gniew przeciwko swym możnowładcom. Lepiej było wtedy nie kłuć ich w oczy klejnotami, zapinkami i złotem. Od króla oczekiwano, by dobrowolnie wstąpił na ofiarny stos. Ale Creda nie dowodził pod Wołowym Brodem. Ani Cynric. Wodzem był wtedy Offa i bogowie już się o niego upomnieli.

Cynric miał już rozpocząć przemowę, ale ojciec uciszył go władcym skinieniem. Król patrzył na czarownika. Werusk oddychał chrapliwie, bez wilczej szuby i czapy wyglądał niepozornie i krucho. Dostrzegł oburzenie Cenrica i uśmiechnął się słabo.

- To obcy świat. Obca ziemia i obce powietrze. W drzewach i strumieniach mieszkają dziwne duchy. Popełniłem błąd. Ujawniłem się, a oni okazali się zbyt silni.

- Kto? - Cynric znał się na panteonie Brytów równie słabo jak na ich języku i zwyczajach.

Jak każdy Sas uważał ich tylko za *welsh* - niewolników i robactwo, które należało wytepić. A już na pewno nie przejmował się ich bogami, którzy okazali się tak samo słabi i

bezsilni jak ich wyznawcy. Do niedawna.

Werusk uśmiechnął się słabo i pokręcił głową.

- Nie są już słabi, książę. W Camelot budzi się moc, potężna, jak ta z dni stworzenia. Może to Ragnarök, sam nie wiem... Ale wiem, że nie możemy przypatrywać się temu beczynnemu.

Cynric splunął i spojrzał na ojca. Creda miał poważną, zatroskaną twarz. *On wierzy, zrozumiał książę. Wierzy i boi się tego.*

- Nasza ostatnia bitwa... to nie była wina Offy, ani twoja, książę. Na polu walki kłębiła się magia, widziałem jej barwne szlaki. Lodowy most, po którym jechali ich konni, miecz, który zabił tak wielu. Nie mogłem nic zrobić. Dlatego wczoraj pytałem się wyroczni, a w nocy zwróciłem się do naszych bogów. Ale oni byli daleko - powiedział Werusk.

- Nie odezwali się? - spytał Cynric.

- W końcu na krańcach północy odnalazłem starego Odyna. Jego kruki dostrzegły mnie na szarej równinie. Na miód Walhalli, przysięgam, że mówię prawdę. Jednooki się bał. On jeden wychylił głowę z kryjówki, ale czułem jego lęk. Nie ma nic gorszego niż przerażony bóg. Powiedział mi, że Brytowie przebudzą siły, nad którymi nie sposób panować. Jeżeli przywłaszczą sobie moc Naszyjnika, cały świat czeka zguba. To Ragnarök, przyjaciele. Ragnarök.

- A zatem będziemy walczyć. - Książę wzruszył ramionami. - Ale zanim ruszymy... ojciec mam wielką prośbę. Chcę się ożenić z moją branką. Dziewczyna nazywa się Mab.

Król skinął głową.

- Chuda w biodrach. Sucha. Ale ty jesteś młody i jeszcze nie marzniesz w jesiennej nocy. Cóż, najwyżej weźmiesz sobie potem inną. Albo też tłustą kochankę.

Ojciec i syn popatrzeli na czarownika. Werusk uśmiechnął się blado, na wąskich wargach pękł mu krwawy pęcherzyk śliny.

- Nie będę ci przeszkadzał, książę. Ale jeżeli Brytowie zrealizują swój plan, ten świat nie będzie dobrym miejscem do ożenku i wychowywania dzieci. Dlatego musimy dotrzeć do Camelot i odebrać im ten przedmiot. Zatrzyma nas armia demonów i ziemia kipiąca od magii. Ale musimy spróbować.

- Czy Odyn udzielił ci jakiegóż wskazówki albo rady? - zapytał Cynric z szacunkiem.

Werusk roześmiał się i wybuchnął krwawym, kłującym wnętrzości kaszlem.

- Mało wiesz o bogach, chłopcze. Znikły, a mnie dopędziły cienie.

## ROZDZIAŁ 24

- Przykro mi z powodu twojego przyjaciela - powiedziała Morrigan.

Igi wzruszył ramionami. Naszyjnik okalał jego szyję jak oswojona żmija. Był teraz cienki i prawie niematerialny, nitka babiego lata. Wraz z tym ciężarem opuściły go wszystkie inne. A Bedevir? Był upartym durniem.

I musiał ponieść konsekwencje. Ludzie królowej przywiązali go do ogromnej włóczni, która trzymała go prosto. Na razie był tylko zakneblowany, ale mówiło się, że przyjdzie mu stracić język. Przyglądał się im teraz tym swoim żalonym, oskarżycielskim wzrokiem. Morrigan sądziła, że upadek rycerza będzie pouczającą lekcją dla jej dworzan. Igi nie był tego taki pewny. Miał wrażenie, że Cenwallen i kilku innych zerkają na Bedevira ze współczuciem, a nawet wstydem. W końcu walczyli ramię w ramię u Wołowego Brodu. Temperament królowej zaczynał go niepokoić. Ponury nastrój Igiego potęgował unoszący się znad świętego gaju dym. Wiklinowy Człowiek wciąż płonął, jakby zabawa z bogami dopiero się zaczynała...

Nagle w korytarzu rozległ się tupot i w drzwiach stanął zdyszany posłaniec.

- Pani. Pod zamkiem zgromadziła się armia. Mają ze sobą rydwany. I chyba... chyba nie są żywi.

Igi wyjrzał przez okno i zagwizdał. Przybysze rozlokowali się na równinie. Widział sylwetkę potężnego wojownika na wozie bojowym. Naszyjnik powiedział mu, że to sam Brennus, starożytny zdobywca i heros. Naszyjnik znał go dobrze, w końcu pradawny król nosił go na szyi przez kilkaset lat.

- To sojusznicy - Morrigan wydawała się zupełnie spokojna.

Ale spojrzenia, jakie wymienili druidzi, mówiły co innego. Trzymający się w cieniu Rhodri wylapał stłumiony uśmiezek na spoconym obliczu Cynneda. Ty wiesz, czyi to sojusznicy, pomyślał. Nikt nie mógł ocenić, ilu wojowników zabrał ze sobą Brennus, ale liczba szła w setki. Maszerowali w milczeniu, na ich nagich ciałach wiły się błękitne i czarne tatuaże.

Oczy tych upiornych Celtów były puste, z rzadka ożywiane krótkimi, udreńczonymi błyskami. Ich gardłowa mowa bardziej przypominała wycie wilków niż słowa wypowiedane przez ludzi.

Brytowie z ulgą przyjęli fakt, że przybysze nie wchodzą do Camelot, tylko obozują na skraju puszczy. Okoliczni chłopci widzieli, jak obcy biegają po lesie, wpatrują się w księżyc albo po prostu słuchają wiatru. Ich twarze były dzikie i surowe, ale w oczach kryła się niewysłowiona tęsknota. I nikt nie wiedział, czego naprawdę chcą.

- Co teraz robią? - zapytała Morrigan następnego wieczoru, bawiąc się puklem włosów.

- Czekają na koronację - przemówił skrzeczący głos.

Morrigan odwróciła się i ujrzała starą, pokurczoną kobietę w sukni koloru rybiej łuski. Zjawiała się na sali jak duch. Stara podeszła do czarodziejki i z podziwem musnęła rąbek jej sukni.

- Jaka ładna. I to naprawdę. Nie że zaczarowana.

- Czego chcesz?

- Nie powinnaś pić z Naszyjnika do dna, królowo. Może ci zaszkodzić...

- Nie pouczaj mnie, kobieto.

- Ty jesteś kobietą. Ja jestem boginią - głos staruchy zadrgał mocą. Zrzuciła kaptur, jej ciało wyprostowało się nagle.

- Jak śmiesz? - zasyczała Morrigan.

- Miałyśmy umowę...

- Każę cię rozwłóczyć koźmi.

Starucha zaśmiała się. Po jej pomarszczonej twarzy pełzały płomyki ognia, stojący obok niej żołnierze cofnęli się przed gorącym. Zaczęła na poły mówić, na poły śpiewać niskim, gardłowym głosem. Jej głos dobiegał z oddali, z innego miejsca i czasu.

- Rozkazywać możesz ludziom, królowo, lecz nie Agronie i jej rodzeństwu. Wracają wygnańcy, na łodziach i w podziemnych robakach, na grzbietach smoków, w trzewiach Lewiatana. Wracają po zimie do domu. Nie czujesz, że wiatr się odmienił? Kruk przyleciał z Orkadów, w dziobie miał krwawy kamień. Siadł w Canterbury na kościelnym dachu. I kościół zawalił się. Hej! W Walii dzik upolował rycerza, w Kaledonii spadł z nieba krwawy śnieg. Dolmeny, kolumny i kręgi, każdy z głazów Brytanii zerwał się do tańca. Zaczyna się tan. Wszędzie, gdzie żyją dzieci bogów. Spalą ołtarze i księgi, wyciągną połamane harfy. Pić będą miód księżycowy, krew gwiazd, rozświetloną rosę. A drzewa ludźmi w piecach palić będą. Mówiłam, że powietrze się zmienia?

Morrigan oprzytomniała. Poprawiła złoty diadem.

- Wynocha. Wszyscy wynocha!

Strażnicy i dworki pospieszne opuścili komnatę. Agrona miała w sobie coś, co

przyprawiało o ciarki. Bardziej realna i żywa niż zwykle istoty, człowiek czuł się przy niej jak wyśnione zwierzę. Bezduszny i nierealny. Na jej widok miało się ochotę pełzać, ujadać i wyć.

Druidzi zostali na swoich miejscach, ale niejeden żałował teraz, że bogowie nie zesłali mu innego powołania. Lepiej być nędznym klasztornym skrybą i pisać bajdy o dawnych bogach, niż czuć na twarzy ich ognisty oddech, pomyślał po raz setny Rhodri. Szokowała go niewyobrażalna obcość bóstw, które przez tyle lat daremnie przyzywał. Były jak trzęsienie ziemi, które usiłujesz uspokoić kołysanką. Albo płonący las, na który wylewasz naparstek wody. Spójrz teraz na siebie. Awansowałeś w Bractwie, otacza się szacunek i lęk. A na widok tych piekielnych stworów masz ochotę zawyc i upaść na twarz.

Rhodri zatęsknił za swoim starym klasztorem. Na wyspie łąna kwitły teraz wrzosey. Mnisi zbierali miód i łowili łososia, plaże roily się od tłustych krabów. To nie było złe życie. Zobaczył siebie przed wielu laty, młodego mnicha przesiadującego w sali kopistów. Gdy inni nowicjusze z ulgą rozprostowywali grzbiety i wychodzili na słońce, zgarbiony, niski wyrostek bez końca chłonał legendy i zapisywał na kawałku foczej skóry fragmenty magicznych zaklęć. Ten człowiek był głupcem. Po prostu młodym głupcem. A teraz był starym głupcem. Za parę lat stuknie mu trzydziestka.

Bogini wydobyla z sukni małe zawiniątko. Odsłoniła skurczoną lalkę... Kukielka miała brodę, koronę i płaszcz, w ręku trzymała miecz. Uformowano ją z korzenia mandragory.

- I bardzo słusznie. Lalka ze zwykłej gliny nie usidliłaby duszy króla - wyszeptał bezgłośnie Rhodri.

Przypomniął sobie dzień, gdy Artur po raz pierwszy nie został do końca biesiady, tylko obrzucił ich tym swoim błędnym, udręczonym wzrokiem. Tym, który mieli oglądać coraz częściej. Następnego ranka w jego złotej brodzie pojawiły się nitki siwizny. A potem zaczął gnić.

- Moczyłam ją w wodzie z bagien. Tyle lat. W mule Czarnego Lasu. Nie wbijałam w nią igieł. Tylko raz, na końcu, w bitwie. Żeby ochrypnął i nie mógł wydać rozkazów. Przedtem zsyłałam zapomnienie i smutek. Zimno i gorąco. Król umarł, a ja przychodzę po zapłatę. Co mi dasz za śmierć swego wuja?

- Dam ci życie. Ofiary, krew.

- To miłe, lecz krew sama zdobędę. I to więcej, niż zdołam wypić. Chcę Naszyjnik!

- Nie teraz. Jutro.

- Nie powinnaś go używać, kochanie. Nie teraz, kiedy się przebudził.

- Zostaw mnie, przyjdź jutro!

Morrigan trzęsła się jak w gorąco, szczękała białymi zębami. Bogini obrzuciła ją

kpiącym spojrzeniem. Podeszła do okna.

- Czemu tak na mnie patrzycie? Jakbyście zobaczyli demona. Sam obcinałeś włosy króla, staruszku. - Wskazała na Cynneda szponiastym palcem.

Hierofant odwrócił głowę.

- Wszyscy pomagali. Ginewra zgromadziła nasienie i ślinę, Longherin zebrał krew, którą król broczył na polowaniu. Stary Myrddin zgodził się oddać paznokcie Artura i postawił właściwy horoskop. Szkoda, że potem oszalał. I bardzo dobrze, ulepić kukiełkę duszy, wyrodzić ją z żywego korzenia, to nie jest błahostka. Trzeba sięgnąć korzeni rzeczy. Wszyscy ci pomagali, Morrigan. Nawet ten niezłomny rycerz wpuszczał cię do komnaty króla, byś podawała mu magiczne wywary - Agrona wskazała placem Bedevira, który słuchał z szeroko otwartymi oczyma. - Ciekawe, czy ludzie słuchali cię dlatego, że jesteś tak piękna, czy dlatego, żeś mądra? A może przeczuwali, co się święci? Aż trudno uwierzyć, jak bardzo nienawidziliście swego wspaniałego króla!

Morrigan wrzasnęła wściekle i pociągnęła za jedwabny sznur. Druidzi nie ruszyli się z miejsca, ale do komnaty wpadli Frankowie z toporami. Rzucili się na staruchę. Agrona wychyliła się przez wąski parapet, łuskowa suknia zamigotała w ciemności. Igi podskoczył za nią do okna, wychylił się przez wąski otwór. Po dziedzińcu przechadzali się wartownicy, panowała cisza, zakłócana jedynie pijackimi wrzaskami z podgrodzia. Żadnego ciała roztrzaskanego na kamiennym bruku.

Odwrócił się i spojrzał na Morrigan. A zatem służył zdrajczynie i morderczyni. Nie czuł gniewu, raczej chłodną, okrutną ciekawość. Brytania widziała wielu tyranów. Spali z siostrami, zabijali swych ojców i synów. Ale zabić własnego króla podczas rozstrzygającej bitwy z wrogami ojczyzny - to była klasa sama w sobie.

Morrigan zaśmiała się piskliwie. Podczas wizyty Agrony schudła, jej oczy zrobiły się jeszcze większe. Subtelna, węzowa aluzja w jej ruchach stawała się ewidentnym piętnem. Wiła się na tronie jak kobra.

- Zostawcie mnie - rozkazała.

Frankowie wyprowadzili z Sali Tronowej Bedevira, który wrywał się, wściekle targając sznury. Druidzi oddalili się z ulgą, podtrzymując swojego Hierofanta.

Stary Cynned wyglądał jak półtora nieszczęścia. Igi chciał odejść razem z innymi, ale Morrigan zatrzymała go rozkazującym skinieniem.

- Jesteś Pendragonem, pamiętasz? - zamruczała. - Zostaniesz i będziesz mnie bronił.

Podszedł do niej z niechęcią. Miał wrażenie, że energia wymiata spod tronu piach i drobinki kurzu. Masywny mebel z kutego żelaza otaczał upiorny krąg martwych owadów i

myszy. Nawet oswojony słowik Morrigan zdążył zmienić się w kupkę rozkładu. Pociągnęła go do siebie i odgięła się, odsłaniając szyję.

- Pocałuj mnie - wyszeptała. - Nie w usta. Tu.

Miał chęć ją udusić, ale gdy tylko położył na niej dłonie, okazało się, że jego ręce mają inne plany. Przywarł do Morrigan z jakąś zachłanną rozpaczą. Była piękna niczym noc i nie była to naturalna uroda. Igi widział kiedyś księżyc w skalistej zatoczce na Krymie. Morze czarne jak tusz, srebrna tarcza opromienia je srebrem. Nie była to już przyroda, tylko zapisana w naturze melancholia stwórcy. Morrigan wyglądała podobnie.

Zdarł suknię i wpił się w jej ciało. Rozorała mu plecy i śmiała się przy jego uchu, a on spijał z jej piersi odrętwienie zmieszane z rozkoszą. Kiedy skończył, pogładziła go po włosach.

- Rozkosz - zamruczała. - Rozkosz płynie w moich żyłach.

- A co z obcymi? - zapytał. Miał wrażenie, że w jego żyłach nie została się ani jedna kropla krwi.

- To tylko wilki. Pozwólmy im wyć - wyszeptała Morrigan.

\* \* \*

Cynric syn Credy z niepokojem wpatrywał się z bladą twarzą ojca. Creda wychudł jak aleksandryjski mnich, włosy wylaziły z czaszki garściami. Złapał Cynrica za rękaw i przyciągnął jego ucho do swoich ust. Zatargały nim konwulsje i suchy, szarpący wnętrzości kaszel.

- Nie możemy się cofać... - wycharczał.

Cynric pokiwał głową. Uspokajająco poklepał ojca po dłoni i z przerażeniem uświadomił sobie, że może zamknąć jego przegub między palcem wskazującym i kciukiem. Pamiętał tę dłoń ciskającą oszczepa z zadziorem, zapierającą włócznię, by powstrzymać szarżującego odyńca. Albo wznoszącą się nad nim, żeby go zdzielić powrozem. Mocarną i niewzruszoną, pewną.

Teraz miał wrażenie, że niańczy własne bezsilne potomstwo, z jakichś upiornych powodów pokurczone, zniszczone i stare. Stał w drzwiach namiotu i odetchnął nocnym powietrzem. Pachniało przyprawami i żarem. Tu, na mglistej północy. Bogowie oszaleli. I robią wszystko, żeby pociągnąć nas ze sobą. Niebo było purpurowe, rozświetlały je bezgłośnie błyskawice.

Namiot Cynrica przypominał raczej jurte z kawałków skóry i gałęzi niż namioty cywilizowanych ludów. Był to kolejny pożyteczny wynalazek stepowych sąsiadów.

Najprzydatniejszy, zaraz obok syconego miodu i kiszonych ogórków, pomyślał Cynric i pociągnął z pękatej flaszki. Ziemia wokół była rozkopana i odarta z roślin. Osobiście dał rozkaz karczunku. W promieniu dwudziestu kroków od namiotów nie mało prawa czaić się nic żywego. Wczoraj strefa bezpieczeństwa wynosiła dziesięć kroków. I jedno z drzew dopadło wartownika, rozrywając go konarami na strzępy.

Dzisiaj jakiegoś Algobarda wciągnęły do leja korzenie. Jak cholerny mrówkolew. Ten kraj atakował ich bez użycia ludzi. Zabijał zwierzętami, roślinnością i powietrzem. I zatrutą wodą.

- Kolejnych pięciu nie żyje - zawiadomił go Hulf, niedbale stając na baczność.

Cynric zignorował tę rodzącą się niesubordynację. Miał ważniejsze rzeczy na głowie.

- Na grom Donara, pili przecież dobrą wodę. To nie były zatęchłe szczyny z bagien, tylko woda z pieprzonego źródła - nie mógł zrozumieć Hulf.

- Źródła też można zatruć, durniu.

- Nie było śladów. To ten cholerny matecznik!

- Najwyraźniej mateczniki nas nie lubią.

*Każą ludziom pić tylko piwo i miód. Lepsza armia żywych pijaczyn niż trzeźwych truposzy.* Cynric usiadł na posłaniu i ogarnął spocone włosy z czoła ojca. Creda też pił źródlaną wodę. Był już prawie pewien, że stary wódz nie dożyje świtu. Dwie godziny później nastąpił frontalny atak. Zainaugurowało go wycie, po którym nocne niebo rozetliły ogniste smugi. Płonące strzały trafiały w namioty, jurty i szałas Sasów, straszyły konie i potęgowały zamieszanie. Na szczęście wodzowie poszczególnych plemion szybko skrzyknęli wokół siebie wojów. Armia zgrupowała się w karne czworoboki, każdy z oddziałów miał bronić swojej części obozu.

Pierwsze runęły na nich rydwany. Sasi spotykali się już z nimi na wyspie, ale ci napastnicy dysponowali większymi końmi. Pół biedy, jeżeli woźnica uderzał od frontu. Mur tarcz wyginał się i wchłaniał zaprzęg jak kropla wody patyczek. W gęstwinie ciał kaleczyli pęciny koni, ściągali załogę z wozu i podrzynali gardła łucznikom. Znacznie gorsza była szarża bokiem. Wtedy woźnica mógł wykorzystać długie na metr kosy, wystające z osi kół. Stojąc na odsłoniętej polanie, piechurzy sascy byli idealnym celem takich manewrów.

Cynric widział, jak dosłownie w ciągu kilku sekund cała kompania poszła w rozsypkę, a z pierwszego szeregu został tylko rząd odciętych, zakrwawionych stóp w futrzanych cizmach. Krwawe rżysko. Tylko nieliczni dysponowali długimi do ziemi kolczugami, ale nawet one nie dawały pełnej ochrony. Jakimś wyjściem było mocne wbicie tarcz w ziemię. Pierwszy szereg chronił w ten sposób łydki, a stojący dalej wojownicy atakowali wrogów



toporami i włóczniami. Ale tamci szybko znaleźli odpowiedź na tę taktykę. Uderzali z dystansu, miotając w Sasów włócznie i strzały. Bitwa trwała dopiero dwa kwadransy, a Cynric stracił już przeszło czterystu ludzi. Z kilkunastu rydwanów wroga zniszczyli siedem, ale nie był pewien, czy kolejne wozy nie czekają w puszczy.

Stojący obok niego wojownik zwał się ze strzałą sterczącą z oczodołu. Cynric zaklął. Może nadejdzie taki dzień, gdy sascy mężowie stracą królestwo, stojąc jak barany pod deszczem strzał, ale nie stanie się to za jego dowództwa. Zadał w wielki bawoli róg, który jego przodkowie zdobyli na hordzie czarnomorskich Gotów, i dał sygnał do ataku.

Wojownicy spojrzeli na niego niepewnie. Był młody i nie dowodził jeszcze wielką armią. Cynric zaklął i nagle poczuł na ramieniu dotyk zimnych palców. Podtrzymywany przez dwóch zbrojnych Creda zakaszłał i uśmiechnął się doń bezzębными ustami.

- To dobry dzień, żeby umrzeć. Spodziewałem się bandy przerażonych mieszczuchów i chłopów... a tu widzę godnych przeciwników.

- Aż zbyt godnych - burknął Cynric.

- Wydałeś dobre rozkazy, synu. Zrobiłbym dokładnie to samo. A teraz... wynośmy się stąd.

Stary wódz wyrwał się przybocznym i ruszył do ataku. Bili się w ścisku tak wielkim, że zabici nie upadali podtrzymywani stłoczonym szeregiem. Creda dodawał im otuchy niewzruszonym spokojem. Dopiero gdy rozpędzili wrogów, książę zorientował się, że jego ojciec jest martwy.

\* \* \*

Kiedy Igi się zbudził, słońce stało już wysoko na niebie. Komnata sypialna Morrigan mieściła się w zachodniej wieży, by nie budziły jej poranne promienie. Królowa lubiła pospać. Teraz wpadające przez wysokie okno promienie raziły go w oczy. Na łożu walały się jedwabne poduchy, ale mimo to coś uwierało go w bok. Wciąż zaspany, wtulił twarz w gęste włosy Morrigan, pachnące piżmem i kwiatowymi perfumami z Synaju. Rozgarnął je, żeby podmuchać jej w kark i wrzasnął.

Włosy zawirowały w powietrzu. Nie bardzo trzymały się czaszki. Igi rozpaczliwie strząsnął oplatający go szkielet. Kręgi szyjne kochanki rozsypały się pod tą ostatnią pieśczęcią. Nosiciel wyskoczył z łoża, zwymiotował winem i zachwiał się na trzęsących nogach. Morrigan posłała mu ostatni, wyszczerzony uśmiech. Jej ciało zmieniło się w stertę kości, lekko osmalonych, jakby strawił je wewnętrzny żar. Z niedowierzaniem obmacał się po żebrach. Nic, ani śladu oparzeń. Rozejrzał się po komnacie, z trudem zrekonstruował fakty.

Magia Morrigan rozwiała się razem z czarodziejką. Wszystkie rośliny zwiędły, światło zgasło, a barwy wyblakły. Igi z trudem przełknął ślinę. To nie było przebudzenie, tylko potworny kac. Był jak człowiek, który budzi się z długiego, pięknego snu i widzi, że przespał ważny egzamin. Albo pogrzeb.

Usłyszał chichot i dostrzegł, jak zamierający w wielkim kominku ogień ożywia się, rośnie i wstaje. Istota, która wyłoniła się z ognia, miała naturę salamandry, ale żaden alchemik nie pomyliłby jej z tym demonem żywiołu, w gruncie rzeczy sympatycznym. Salamandry były czyste i na swój sposób niewinne, tak jak niewinny jest pożar ogarniający wysuszony las. Cokolwiek powiedzieliby rolnicy i sadownicy, w suchym lesie pożoga jest na swoim miejscu. Przynosi harmonię.

Istota, przed którą się cofał, nie reprezentowała równowagi. Chyba że równowagę martwoty i śmierci. Wszystko było w tym stworzeniu niezgodą i bezbrzeżną pretensją. Wskazało na spopielone łoże i zaniosło się urwanym śmiechem.

- Rozpaliłeś ją.

Splunął mu w twarz, plwocina zasyczała w pełzającym po skórze żarze i wyparowała tak szybko jak jego odwaga. Przełknąłby ślinę, ale już jej nie miał.

- Naszyjnik. Może pozwolę ci żyć.

Coś kazało mu uznać, że oni zawsze tak mówią. I chyba nie można ich zranić. A już na pewno nie zwyczajnym mieczem. Chyba że...

Wyciągnął z jaszczura Ekskalibura, dziękując w duchu Morrigan, że pozwoliła mu zatrzymać miecz. Ostrze zaśniło gwiazdami i srebrem, Naszyjnik zrobił się lekki jak piórko. Agrona cofnęła się zaskoczona, strach w jej ognistych ślepiach nagle zrobił się całkiem konkretny. Szybko, właściwie bez zamachu, ciął jej wężową głowę, odcięty ognisty warkocz zasyczał na płytach posadzki.

Krzyknęła z wściekłości i bólu, rzucając się w stronę komina. Nie zdążył jej trafić. Pełzający po podłodze kosmyk nie podążył w ślad za nią, tylko spadł na spłowiały gobelin. Camelot stanął w płomieniach.

Zbiegł po krętych schodkach i wypadł na korytarz. Cały główny kasztel wydawał się opustoszały. Wszędzie kłębił się dym, w niektórych izbach pełzały płomienie. Służba uganiała się z wiadrami. Na dziedzińcu panował chaos. Ludzie biegali jak kury pozbawione głów. Nawet trzeźwi wyglądali na chorych z przerażenia. A rzeźnik był tuż-tuż i właśnie wznosił topór do kolejnego ciosu.

\* \* \*

Bedevir nie ucieszył się na jego widok, ale nie robił mu także wyrzutów. Igi pozdrowił go i wbił wzrok w ziemię. Zupełnie nie wiedział, jak zacząć.

- Wtedy, na dziedzińcu... przepraszam. Nie byłem sobą, Morrigan owinęła mnie sobie wokół palca. To musiały być czary - wykrztusił.

Rycerz wzruszył ramionami i klepnął go w plecy.

- W porządku. Wszyscy daliśmy się oszukać.

- Prawda. A sama Morrigan najbardziej.

Potem rycerz w milczeniu masował zdrętwiałe, obolałe kończyny i przygotowywał rysz tunek, posilając się zimną pieczenią i winem. Na murach czekali już Cenwallen, Grimbold z zamkowej straży oraz inni dowódcy. Nie rozpaczali po śmierci królowej, a niektórzy powitali ją z ulgą.

- Nasi sprzymierzeńcy właśnie wypowiedzieli umowę - powiedział Igi, wychylając się za palisadę.

Bedevir też wyrżał i przeżegnał się.

Na równinie u stóp Camelot rozstawiła się najdziwniejsza armia, jaką kiedykolwiek oglądał. Wojownicy wyli jak zwierzęta. Byli nadzy, z włosami nastroszonymi gliną. Niektórzy gryźli tarcze, inni kęsalili własne ramiona albo szarpali stojących obok towarzyszy. Część podchodziła pod twierdzę, szyjąc w palisadę płonącymi strzałami. Inni czekali przy świeżo przygotowanych taranach. Za rozstawionymi pułkami, na niewielkim kurhanie stało siedem postaci, wśród których rozpoznał wysoką kobietę o wężowych włosach. Agrona. W porównaniu z tą dziką hordą, stojącą po drugiej stronie równiny armia Sasów wydawała się karnym legionem z czasów wielkiego Augusta.

- Sasi przysłali posła - powiedział Cenwallen i pchnął ku nim wycieńczonego wojownika w obcisłej, wyszywanej tunice i pasie ze srebrnych pierścieni. Sas skłonił się lekko i Igi spostrzegł, że ten człowiek jest na krawędzi obłądu. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, ale w jego jasnej brodzie srebrzyły się nitki siwizny.

- Księżę Cynric kazał powiedzieć, że przybywa tu jako sprzymierzeniec - oznajmił posłaniec.

Brytowie spojrzeli po sobie. Nikt się nie zaśmiał i już to było dyplomatycznym sukcesem.

- Powiedz swojemu panu - głos Bedevira był uprzejmy i zimny jak szron - że zapomnimy o dzielącej nas krwi. Przyjmujemy jego pomoc i wyrażamy wdzięczność.

Igi popatrzył zdziwiony. Bedevir wzruszył ramionami.

- Cynric zabił mojego ojca i brata. W stosownym czasie wypruję mu za to flaki. Ale

teraz... teraz ludzie powinni trzymać się razem.

- Co zamierzasz?

- Muszę znaleźć Rhodriego. Mury są teraz twoje.

Igi zeskoczył z muru i ruszył w stronę wewnętrznego dziedzińca. Bedevir rozejrzył się wokół zmęczonym wzrokiem. Kogo próbował oszukać. Dowodził bandą skacowanych obwiesi. Nie byliby w stanie obronić tego zamku, nawet gdyby nie stał w płomieniach. Uratować mogło ich tylko zaskoczenie albo zupełne szaleństwo.

Za murami zaczęła się bitwa. Najpierw starli się pierwsi harcownicy. Sasi milczeli, nie uderzali o tarcze. Nawet widziane z tej odległości ich twarze były białe jak wapienne skały. I mieli powody do grozy. Bo jak nie bać się wrogów, których nie sposób zabić?

Przekonał się o tym młody Sas, który sparował tarczą cios żelaznego miecza swego wroga i wraził mu włócznię w brzuch. Dzikus złamał ją niedbałym klepieniem i kontynuował atak, choć własne flaki płątały się mu wokół łydek. Wszędzie, gdzie oddziały się starły, ludzie Cynrica cofali się wolno, lecz nieubłaganie. Niedługo zaczną uciekać.

- To demony. Gdy skończą z Sasami, przyjdą po nas. Wszyscy zginiemy - szepnął jakiś wojownik.

- Tego nie wiesz - powiedział Bedevir spokojnie.

Wojownik otworzył usta, chcąc zaoponować. Trafiła w nie płonąca strzała.

Bedevir zostawił mur pieczy Cenwellena i ruszył do stajni. Koniuszy przyprowadził mu konia, Elpyr stapał niepewnie obleczonej w okrywającą cały tułów bizantyjską koleczugię. Kiedy zakuty w zbroję katafrakta rycerz znalazł się na jego grzbiecie, koń zarżał z pretensją.

Bedevir zaśmiał się i dobył miecza, który zamigotał na tle ognia.

- Demony myślą, że straciliśmy ducha. Dalej, pokażmy Sasom, że Brytowie też mają jaja!

Odparł mu ryk z setek gardzieli. Bedevir przeżegnał się i kazał otwierać bramy. Wybiegli na zewnątrz, starając się nic nie słyszeć i na nic nie patrzeć. Z równiny, z charkotu, śmierci i śliskiej krwi zawyło do nich rozkiełznane piekło. Odpowiedzieli tym samym.

\* \* \*

Od czasu rozpoczęcia Obrzędu druidzi trzymali wartę na wewnętrznym dziedzińcu. Igi przebiegł przez bramę, której nie strzegli już frankijscy strażnicy, i zatrzymał się.

Dwie boczne klatki, w których wczoraj spłonęli jeńcy, dawno zmieniły się w kupki popiołu i kości. Środkowa konstrukcja wciąż tliła się, jakby trawiący ją żar był tylko duchem realnego ognia. Zielonkawe języki pełzały po drewnie, które zbieleło i przypominało teraz

kremową kość olbrzymiego słonia. Albo olbrzyma. Wyjątkowo wrednego olbrzyma. Centralną komorę wypełniał ogień, ale jej środek był pusty.

- Obrzęd wciąż trwa. Nie możesz przejść - powiedział mu czarnobrody druid oparty na sękatym kosturze z dębiny.

Otaczali płonąca klatkę półkolem. Było ich siedmiu, licząc Cynned, który stał dalej, oparty plecami o środkowy dąb.

- Najwyższy czas go zakończyć. Królowa nie żyje, a wy dopuściliście się zdrady.

- Nie wiem, o czym mówisz, chłopcze - pisnął Cynned.

Oczy miał zaczerwienione, porośnięty rzadką brodą podbródek drżał, wybijając rytm słowom. Hierofant był przerażony, ale pozostali bracia wyglądali na zdeterminowanych.

- Naszą panią jest teraz Agrona od Węży - oznajmił czarnobrody. Jego oczy lśniły niezdrowym blaskiem. - Zaś twój czas właśnie dobiegł końca.

- Niezupełnie - wtrącił niewysoki człowiek z burym płaszczu, zrzucając kaptur. - Ogień jeszcze nie wygasł.

Igi spojrział na Rhodriego badawczo. Twarz małego druida była tak samo nieprzenikniona jak zawsze.

- To po to była środkowa klatka? Żeby wypalić w niej moc Naszyjnika?

- Była przeznaczona dla ciebie - przytaknął Rhodri ponuro. - Przysięgam, że o niczym nie wiedziałem.

Igi dotknął Naszyjnika, który był już ledwo wyczuwalną nicią.

- Kłamiesz. Od początku wiedziałeś, jak to się skończy. Wykorzystaliście Morrigan, żeby dała wam pieniądze i ochronę. Sprzedaliście wasz lud w niewolę gorszą niż saska.

Cynned odezwał się spod drzewa. Jego głos był płaczliwy i drżący.

- To nie tak... W moich wizjach wszystko wyglądało inaczej. Bogini nosiła wieniec z jabłoni, pod jej stopami zakwitały kwiaty.

- Zamilknij - przerwał mu czarnobrody. - Dostyc mam twojego skamlenia.

Zza murów doleciało ich chrapliwe wycie, od którego Igiemu zjeżyły się włosy na karku. *Sforsowali bramę. Ale jeżeli tak im się spieszy, to nie wszystko jest jeszcze stracone.* Cynned skulił się, zgarbił się w ramionach. Zdawało się, że starzec zaraz upadnie, ale nagle wyprostował się, urósł.

- Dostyc tego. Popelniliśmy wielki błąd, ale można to jeszcze odwrócić. Jako wasz Hierofant nakazuję wam przepuścić Nosiciela.

Druidzi spojrzeli po sobie, oczy czarnobrodego stwardniały. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Dwóch braci skoczyło do Cynneda, jeden z nich wyrwał mu łaskę.

Czarnobrody zamachnął się sierpem. Zanim ostrze sięgnęło celu, dłonie Hierofanta eksplodowały ogniem, odrzuciły trzymających go braci. Potem zakrzywiona klinga przejechała po jego chudej szyi i upadł, chwytając się za krwawiące gardło. Pozostali ruszyli na Igiego, kostur pierwszego śmignął ku jego twarzy, sycząc wężową głową. Ekskalibur wyszedł wężowi na spotkanie, odcięty łeb potoczył się po trawie, obok upadła głowa czarownika.

Drugi napastnik wycelował sztyletem, ale atak przerwało mu głuchoe gruchnięcie. Kostur Rhodriego trafił go w plecy na wysokości krzyża, łamiąc kręgosłup jak trzcinę. Czarnobrody zasyczał i zamierzył się sierpem, Igi sparował uderzenie i pchnął z obu rąk, wbijając miecz w klatkę piersiową wroga. Ostrze weszło w niego jak w masło, tak że rękojeść dotknęła rozłożystej brody druida, unosząc go nad ziemię. Pozostali cofnęli się i rzucili broń.

Igi wysunął klingę i zatrzymał się przed Rhodrim, który opuścił kostur. Mały druid oddychał ciężko.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale lepiej się pospiesz. Ta bitwa nie rozstrzygnie się tutaj. Środkowa klatka jest Przejściem.

Igi pokiwał głową, jego wzrok powędrował do klatki. Przeczynał, co kryje się po drugiej stronie, i bardzo nie chciał tego zobaczyć. Czuł też, jak zielony ogień wysysa z niego energię i krew. Rozpędził się i wbiegł na płonące szczyble Wiklinowego Człowieka, skacząc w zielony żar.

\* \* \*

Las powitał go zgnilizną i mgłą, chłód śmierci przenikał jego ciało aż do szpiku kości. To, co wziął za zbutwiałe liście, okazało się rojem robactwa. Ruchliwa fala muskała jego kolana, ale nie podchodziła wyżej. Tak długo, jak długo miał na sobie Naszyjnik, nic nie mogło go zranić. Widział kościste dłonie wysuwające się z czarnego mrowia, palce szkieletów zaciskały się kurczowo.

- Jesteście martwi. I tak powinno pozostać.

Zagłębił się w las, dostrzegając jego prawdziwą naturę ukrytą pod skorupą błota. Drzewa były powykrzywianymi w ud ręce ludźmi, krwawy deszcz kapał z ich niewidzących oczu. Jęczeli, a ich włosy rozwiewał zimny wiatr. Igi mijał ich, wchodząc w labirynt kanałów i grobli. Dziś nie krył się, nie uciekał, nie błędził. Znał drogę, przyzywał go jakiś potężny zew.

Zapomniany spoczywał na płaskim kamieniu w kręgu rdzawych głazów. Obdarte ze skóry ciało poruszał słaby oddech, krew boga spadała na głazy purpurowym deszczem. Bóg

dyszał i łapał powietrze ustami, z których wylewała się rzeka krwi. Wokół trwała posepna biesiada. Czarne włosy bóstwa były mrowiem pracowitych kruków, raczących się smakowitym mózgiem. To, co Igi wziął za napięte żyły, okazało się setkami sinych żmij, oplatających i kąsających. Wyrastały wprost z ziemi, jak zbuntowane korzenie.

Nosiciel podszedł bliżej i skłonił się z szacunkiem. Zapomniany otworzył jedno oko. Drugie było już tylko zionącą raną. Czarna źrenica otwierała się dalej i dalej, nie znając granic i czasu.

Igi zbliżył się do oka i wtopił się w płynny menisk jak owad pochłonięty przez kroplę żywicy. Kategorie wielkości i czasu przestały go obowiązywać. Był teraz skrzydlatym wężem, układał się w koło i ścigał własny ogon. Był błyskawicą i cierniem, był płonąca spiralą. Droga powiodła go w dół.

Nie było tam najgorzej. Siedział na zielonej polanie, w ręku miał skibkę chrupiącego chleba. Powietrze orzeźwiało, było w sam raz. Idealna majowa pogoda. Oparł się wygodnie o pień ciężkiej od owoców jabłunki, odetchnął błękitem nieba. Naprzeciw niego spoczywał chłopiec w tunice. Chudy, piegowaty rudzielec. Miał wystające, poobijane kolana i niemożliwie brudne stopy. Żuł jabłko, przypatrując mu się uważnie.

- Dasz wiarę, że tak się mnie boją? - zagadnął, spluwając pestką.

- Gdzie tam. Dlaczego mieliby się bać? - zaśmiał się Igi.

Nadstawił policzek pod słońce, przebijające się między gałązkami promienistą strugą. Przed oczami przefrunął mu roziskrzony koliber. Sama koncepcja strachu wydała mu się wymysłem, urojeniem szalonych poetów.

- Myślę, że jestem Szatanem - powiedział chłopaczek i uśmiechnął się ze złośliwą dumą.

Igi zakrztusił się chlebem.

- Z całym szacunkiem. Nie masz rogów, płomieni i całej reszty. Niemożliwe.

- W piekle przebywam na co dzień. To miejsce tutaj to mój ostatni azyl. Czasem udaje mi się tu przemknąć. Bez tego już bym zwariował.

- Dlaczego tak cię dręczą?

- To długa historia. Zarządził to wszystko najpotężniejszy z bogów. Nie lubię tych biblijnych imion, brzmią strasznie poddańczo i pompatycznie. Adonai, Jaldabaoth... Dla mnie był po prostu Jedynym. To Bóg Stwórca. Wierzy w silną wolę, próby i dokonania. Tak zwane podejście zadaniowe. Uznał, że skoro już stworzy świat, to niech będzie niczym tor z przeszkodami. Wulkany, huragany, trzęsienia ziemi. Choroby, walka i głód. Takie tam. Ja bym wolał coś bardziej... sam nie wiem, doskonałego. Potem stworzył ludzi. I hodował was

sobie jak owce, nie bardzo wiedząc, co dalej. Zresztą zawsze nudziły mu się światy, które stworzył. Zostawiał w nich namiestników. Takich jak Agrona... czy ja. W każdym razie Jedyny zajął się innymi przedsięwzięciami. Przez kilka tysięcy lat inspirowały go purpurowe meduzy z Saturna. Zaprojektował je tak, że po kilku dniach życia eksplodowały, a potem składały się do kupy. Albo i nie. Wykształciły unikatową, wielce uduchowioną kulturę. Ich życie było pełne napięcia i niepewności. Obfitowało w ból, ale również w zdarzenia cudowne. Meduzy nie przywiązywały się do niczego poza niezbadanymi wyrokami Pana. Nie muszę dodawać, że były niezwykle pobożne i sprawiły mu wiele radości. Zawsze uwielbiał pochlebców.

- Rozumiem. - Igi pokiwał głową. Nie wiedzieć czemu, przypomniła mu się koncepcja wolnej woli, której nigdy do końca nie kumał.

- Kiedy Jedyny bawił się meduzami, na ziemi rządili jego namiestnicy. Zasłużeni aniołowie, wierni słudzy. Trony i Potęgi. Przez wieki obrastali w ziemską atmosferę, zyskiwali kolejne atrybuty i cechy. Złożone osobowości. Stary nie kontaktował się z nimi, a oni uwierzyli, że są samodzielnymi bogami. Robili straszne rzeczy. I jeszcze zrobią. Na przykład z biednymi Aztekami.

- Wyobrażam sobie.

- I wtedy, uważasz, na scenie pojawia się ja. Postanowiłem pomóc ludziom. Nigdy nie zaakceptowałem idei uszlachetniającego cierpienia, zbierania płodów w pocie czoła, chleba powszedniego i tak dalej. Zupełnie nie wierzyłem w grzech. No bo dlaczego każde stworzenie miałoby cierpieć? Moja zbrodnia polegała na tym, że chciałem, żeby byli szczęśliwi. - Zapomniany uśmiechnął się smutno. - Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to śmiertelny grzech. Wybrałem sobie plemię, takich wędrownych pasterzy. I podarowałem im Naszyjnik. Artefakt, który odwzorowywał świat, pozwalał go kształtować i zmieniać, ale bez konieczności obracania wszystkiego w ruinę. Naszyjnik dał moim dzieciom szczęście. Nie chorowali, nie toczyli wojen. Nie rozmnażali się za bardzo, więc starczało im miejsca, poza tym mieli inne sprawy na głowie. Zajmowali się sztuką, muzyką i pieśniami, ale bez przesady. Usiłowali być po prostu szczęśliwi. Moje dzieci nie znały bólu. Można powiedzieć, że wróciły do raju.

- Domyślam się, że to nie trwało długo - powiedział Igi uprzejmie.

- Skąd takie przypuszczenie? Jasne, że nie. Moje działania były obrazą dla Agrony i reszty. Wygadali wszystko Ojcu, a on polecił im mnie ukarać. Wybuchła wojna. Nie żebym miał wielką armię, broniłem się tylko. Część namiestników stanęła po mojej stronie, ale i tak przegrałem. W rezultacie trafiłem tutaj, za naruszenie boskiego porządku.



- Wybacz, ale jak możesz mówić o tym tak lekko? W końcu to twoja życiowa porażka, nie?

Zapomniany skrzywił się i cisnął ogryzkiem do strumienia. Pogłaskał sunącego obok drzewa węża i zerwał kolejny owoc.

- Nie wierz propagandzie. Szatan nigdy nie był przesadnie ambitny. Mój defekt polegał chyba na czymś innym. Sądziłem braci według własnej miary. Myślałem, że inni namiestnicy będą mnie naśladować, że zrozumieją swój błąd. I przegrałem. Moją żonę Danu i moich sprzymierzeńców - których Celtowie nazywali Tuatha Danu, ludem bogini Danu - Agrona uwięziła pod ziemią. Pozostało po nas kilka przedmiotów - na przykład twój piękny miecz. Większość nie przyniosła swoim właścicielom szczęścia. Najpotężniejszym z nich był Naszyjnik, moje dzieci długo nie dały go sobie odebrać. Tułali się z nim jeszcze przez długie lata, ale jak się pewnie domyślasz, pobyt w Czarnym Lesie mi nie służył i kiepsko wpływał na sam Naszyjnik. On zawsze był moim odbiciem - moim i nanizanych nań światów. Mój obłęd i ból wywierały nań swój wpływ, a jeszcze większy na moich wyznawców. W tamtych dniach Celtowie robili okropne rzeczy. Inni bogowie tylko się z tego cieszyli - zawsze radował ich ogrom cierpienia i strachu. W końcu to w chwilach trwogi ludzie szukają oparcia w religii - Zapomniany zachichotał i splunął pestką. - W końcu syn Brennusa przejrzał na oczy i zdecydował się ukryć Naszyjnik w jakiejś tureckiej świątyni. Ale bez Naszyjnika Celtowie stali się zupełnie bezbronni. Tych z Galacji podbił bodajże Ptolemeusz Soter, resztę wytepił Rzymianie.

- A inne z twoich dzieci?

- To samo. Indianie Prerii, Tybetańczycy, Etruskowie. Jeżeli gdziekolwiek ludzie usiłowali żyć w sposób godny, rozsądny i zabawny, zawsze źle na tym wychodzili. Bo sąsiedzi gromadzili w tym czasie moc i w końcu zsyłali na nich ogień. To zemsta Jedynego. Wieczny, nieunikniony rozwój. On uważał, że życie to próba i test. Zawsze wierzył w wysiłek i ból. - Zapomniany skrzywił się, jakby łyknął octu.

- Dobrze, ale co ja mam robić? Naszyjnik niedługo zniknie, a ja nadal nie wiem, czego ode mnie żadasz. - Igi poczuł, że powietrze robi się chłodne, a niebo ciemnieje. Nawet trawa zaczęła żółknąć.

Chłopaczek zerknął na tani elektroniczny zegarek i ze wstrętem odrzucił jabłko. Roilo się od larw.

- Błąd! Ja nigdy niczego nie żądam. To nie w moim stylu. Ja tylko uprzejmie proszę, żeby Naszyjnik nie trafił do rąk Agrony i reszty. Jeżeli go zniszczą, ten świat rozpruje się jak stara poszewka.

Wielobarwny koliber wylądował na głowie chłopca i wylupał mu prawe oko. Zapomniany otarł śluz z umorusanego policzka. Z drugiego oka popłynęła łza.

- Zabij mnie. Po prostu mnie zabij.

Igi zamrugał i wizja rozwiała się. Znowu stał po kolana w moczarach. Ciało boga krwawiło na wyciągnięcie ręki. Bez przekonania podniósł miecz do ciosu i wtedy usłyszał śmiech. Agrona od Węży wyłoniła się z mroku, otoczona przez rodzeństwo i dzieci. Odgarnęła z twarzy syczące węże i posłała mu rozbawiony uśmieszek.

- Głupcze. Zapomnianego mógłby uwolnić tylko anioł... gdyby któryś z nich rzeczywiście był dobry. I ośmielił się sprzeciwić woli Pana. Lepiej odłóż ten mieczyk, chłopcze. Walka skończona. Za chwilę odeślę cię do Camelot, a moi słudzy rozszarpią ci gardło. Przegrałeś.

## ROZDZIAŁ 25

Podziemia banku zatrzęsły się gwałtownie. Alina podniosła głowę. W jej oczach była już tylko apatia. Druidzi szybko zorientowali się, że nie jest cennym więźniem. Prawda była taka, że nie miała o niczym pojęcia i trzymali ją tu tylko dlatego, że nie chcieli jej wypuścić. Ani zabić. W rzadkich momentach klarownego myślenia Alina dochodziła do wniosku, że trzymają ją tu ze względu na Igiego. Nie wiedzą, jak to się skończy, i wolą mieć pod ręką zakładnika...

Jej pokój był pusty. Ot, mała więzienna cela z dziurą w podłodze i brudnym materacem. Co tydzień przynosili jej wiadro wody, w której mogła się umyć. Jeżeli odwiedzał ją Ernest, posiłkowi towarzyszył deser pod postacią drwiny lub wyrafinowanego okrucieństwa. Czasami słyszała dziwne, nieludzkie chichoty i wrzaski. A także znacznie gorsze, znajome. Klimkowski wciąż żył, ale sądząc z częstotliwości tortur, nie miało to potrwać długo.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Alina skuliła się w kącie. Ale człowiek w drzwiach nie miał brązowej szaty i nie skrywał twarzy kapturem. Był półnagi i wychudzony, blada skóra zwisała z jego ciała groteskowymi fałdami. W jasnej, skudlonej brodzie prześwitywały już nitki siwizny, oczy miały udreżony wyraz. Jego głowa była nienaturalnie odgięta, co chwila masował kark, krzywiąc się niepewnie. Ponaglił ją niecierpliwie.

- Wszystko się wali. Spadamy stąd. Szybko!
- A tamci? - Jej nadzieja wciąż była słabsza niż strach.
- Zamroczeni, nie wiedzą, co się dzieje. Musimy wiać.

Usłyszeli nowy, łomotliwy odgłos i wyjrzeni na korytarz. Korytarzem biegł jednorożec. Popychał przed sobą mężczyznę, którego przebił na wylot. Zwierz zatrzymał się i z upodobaniem szlifował róg o mur. Gdzieś dalej ktoś krzyczał i wył, jakby właśnie zjadano go żywcem.

Pobiegli, starając się nie rozglądać na boki. W podziemiach roiło się od dziwnych stworów i ruchliwych roślin, ale istoty nie atakowały ich. Niektóre znikwały same, inne pędziły w odwrotnym kierunku, jakby ktoś przewijał je na taśmie filmowej. Przy drzwiach prowadzących na zewnątrz natknęli się na Ernesta, który szedł, zataczając się od ściany do ściany. Antykwariusz miał szeroko otwarte usta, z których lała się bulgocząca krew. Nie miał

też oczu, uszu i palców, a na szacie zaraz pod pępkiem rozlewała mu się krwawa plama. Jego kark obejmowała smukła, zmiennobarwna istota, która czasem wyglądała jak najpiękniejsza kobieta świata, a czasem jak przodownica koszmarów. Splunęła na ziemię czymś sporym, na korytarzu zatrzepotał odgryziony język. Potem ujęła kochanka pod brodę i napiła się krwi z jego ust jak z ludzkiego poidła. Ostro zakończone sutki demona ocierały się o plecy Ernesta, kreśląc na nich skomplikowany wzór. Antykwariusz zajęczał i zabulgotał z rozkoszy, objęci, zniknęli w jednym z pomieszczeń.

- Wyspa doktora Moreau - mruknął Łukasz, przepuszczając sadzące susami coś, najeżone tysiędem zębów i szponów. - Za dużo zgromadzili tu anomalii i cudów. Zbieractwo to jednostka chorobowa. Wiem, co mówię, jestem dyplomowanym psychologiem.

Schody w górę wyprowadziły ich do sektora sejfów. Za kontuarem recepcji zastali dwa splecione ciała, tężejące w pośmiertnym stuporze. Walka musiała być wyrównana. Obaj strażnicy byli do siebie niezwykle podobni i nawet udusili się w tym samym momencie.

Alina liczyła na to, że świat na zewnątrz zachował pozory normalności i ładu. Nic bardziej błędnego. Główny hol banku był nadpalony i pusty. Oglupiali klienci brodzili po kolana w banknotach. Niektórzy jęczeli, trzymając się za głowy. Jakaś kobieta krzyknęła i zasłoniła swą nagość, gdy jej dzinsy gwałtowne zniknęły.

Ruszyli pustymi ulicami, które zatarasował karambol opuszczonych aut. Koło Łazienek, na wysokości ambasady Zjednoczonego Królestwa, usłyszeli strzały. To pewnie terroryści, pomyślał Klimkowski.

Zobaczył, jak flaga przed ambasadą znika i wraca w nowych, zielono-czerwonych kolorach. Tabliczka przed wejściem głosiła, że mieści się tu ambasada Zjednoczonego Królestwa Walii, Bretanii i Terytoriów Angielskich. Reklamowy folder w nieznanym Łukaszowi języku zapraszał do odwiedzenia Królestwa. Niżej małe ogłoszenie po polsku ostrzegało przed działalnością separatystów z ARA, którzy znów przeprowadzili zamachy bombowe w Londynie. Anglojęzyczna mniejszość ze wschodu wyspy domagała się uznania angielskiego za drugi język państwowy, a Angielska Armia Republikańska wciąż stosowała terror. Zdaniem brytyjskich ekspertów, angielski był dziś „zagrożonym dialektem”, a próby jego...

Łukasz wybuchnął śmiechem.

- Udało mu się. Sukinsyn odwrócił czas.

Dziewczyna spojrzała na niego z szeroko otwartymi oczami. Chciał wytłumaczyć jej wszystko, ale nie nadażał za rzeczywistością. *Ktoś rozbił bank, jak w automacie do gry, a rzeczywistość nie może się zdecydować. Wypluwa warianty zdarzeń, testuje wszystkie*

*dostępne opcje, ale nadmiar danych sprawia, że co rusz się zawiesza. Niczym stara maszyna licząca. Pozostaje nam siedzieć i patrzeć.*

W niektórych scenariuszach nie mieli nawet chodnika pod tyłkiem. Nie było też samochodów, zastąpionych przez terkoczące powozy i jeźdźców. Wszędzie było mnóstwo zieleni, a pałacyk ambasady zmienił się w kurną chatę. Powietrze w pierwszej chwili wydało się Łukaszowi orzeźwiające, ale potem wypełnił je smród palonego mięsa, nieprzyjemnie słodkawy i... ludzki.

Nostalgia napełniła go wersja sarmacka - z jakichś niewyjaśnionych powodów pierwsza Rzeczpospolita wciąż trwała, a ulicami (raczej wąskimi, acz brukowanymi) przechadzali się podgoleni, czubaci wąsacze z szablami. Polscy samurajowie. W innej odsłonie, wyjątkowo paskudnej, mijał ich karny tłum mówiący po niemiecku. Flaga na budynku przedstawiała drakkar, a tabliczka głosiła, że to ambasada Zjednoczonych Republiki Nordyckich. Większość przechodniów była blada, wycieńczona i przerażona. Te ludzkie cienie nosiły na ramionach szydercze oznakowanie, żalosne białe orzełki. Niewolnicy, pomyślał Łukasz i zadrżał. *Niewiele brakowało. Nie ma Anglii i nikt nie założył Stanów Zjednoczonych. Rasa panów hula po Europie, jak chce.*

W innej wersji wszyscy mówili po hiszpańsku, w jeszcze innej po rosyjsku. Powietrze pachniało wódką, a sowiecki strażnik przed ambasadą (tym razem była to Republika Cymru) miał czerwoną, przepiłą facjatę i uszankę na łbie. Kolejne opcje pojawiały się z dygotem i kaszlem, zupełnie jakby rzeczywistość dostała torsji. Łukasz odskoczył przed pędzącym traktem jeźdźcem, który dla zabawy cisnął w niego oszczepem, i przytulił przerażoną Alinę. Czuł, że to już długo nie potrwa. *Nie może się zdecydować. A jakoś to musi rozstrzygnąć.*

\* \* \*

Wypad załogi Camelot był dla wojowników Agrony zaskoczeniem. Ci najbliżej bramy zginęli, nie wiedząc, co się dzieje, dalsze szeregi rozpięchły się w rozsypce. W końcu podjęli bój, ale długo nie mogli uformować szyku. Przez chwilę zdawało się, że wzięta w dwa ognie armia ciśnie oręż i pierzchnie. Ale jedno trzeba było przyznać dzikusom. Nie byli przesadnie lękliwi. Z początku Bedevira dziwiła ich niezdarność. Szeregi obracały się powoli, przez ładnych parę chwil jego ludzie szlachtowali ich prawie bezkarnie. Zagadka wyjaśniła się, kiedy uderzył na nich świeży pułk wroga, do tej pory trzymany w odwodzie. Pierwsza linia napastników była skuta łańcuchami. Nawet gdy połowa padła, utrudniając ruchy sąsiadom, reszta nadal trzymała szereg. Była to taktyka nieoceniona w przypadku dzikich wojowników nastawionych na indywidualne pojedynki i niezdolnych do utrzymania

dyscypliny.

Jednakże z chwilą gdy taki skrepowany szereg rzucał się do ucieczki, ponosił ogromne straty. W dodatku zaraz po brytyjskiej szarży rozstały się chmury. Wojownicy Agrony musieli utrzymać pole oślepieni jaskrawym światłem. Raziło ich szczególnie dotkliwie, gdy usiłowali blokować spadające na nich z góry uderzenia kawalerzystów.

Bedevir wraz grupką konnych zapuścił się daleko w stronę lasu. Ramię zdrewniało mu od uderzeń. Opuścił miecz na głowę kolejnego wroga, czaszka ustąpiła z ohydny chrupnięciem. Napastnicy nie mieli hełmów ani zbroi. Walczyli odziani w przepaski biodrowe albo nago. Zdumiewała go ich furia. Ci, którzy stracili miecze, rzucali się na jeźdźców z gołymi rękami, szarpali ich i kęsałi jak zwierzęta. Archaiczne miecze wrogów łatwo się wyginały i tępiły, Bedevir widział wojowników, którzy mając chwilę oddechu, prostowali je naprędce do kolejnych starć. Jednak teraz raczej nie mieli na to czasu.

Dotarli już blisko pozycji saskich i Bedevir zobaczył, jak jego ludzie wahają się skonsternowani. Sasi bronili się rozpaczliwie otoczeni morzem nieprzyjaciół. Teraz spora ich część pierzchła i Sasi dostrzegli nacierających Brytów. Spoglądali na starych wrogów z mieszaniną zdumienia i niepokoju. W centrum saskiego hufca, gdzie stali huskarlowie ze straży przybocznej, toczył się szczególnie zaciekły bój. Huskarlowie chronieni byli przez dobre, sięgające kostek kolczugi i hełmy z osłonami na policzki i nos, władali wielkimi toporami. Sądząc po ilości martwych nieprzyjaciół, wojownicy Agrony długo nie mogli się z nimi uporać.

Nagle przez szcęk mieczy, jęki i wrzaski przebił się nowy odgłos. Tętent i miarowe turkotanie. Ziemia zadrżała i Sasi zobaczyli pędzące na nich rydwany. Włócznicy zwarli tarcze, huskarlowie mocniej ścisnęli topory. Rozległo się rzenie koni i wizg chlastających kos. Najeżony żelazem hufiec pękł jak rozbite jajko, eksplodując posoką i trwożą. Włócznicy z plemiennej biedoty rozbiegli się, ratując skórę, przyboczni poszli w rozsypkę. Mur tarcz rozpadł się na niewielkie grupki, między którymi uwijały się ciężkie rydwany.

Bedevir patrzył zafascynowany na pokaz starożytnego kunsztu, który znał tylko z pieśni i legend. Jego lud używał takich wozów setki lat temu, gdy Brytowie odpierali Rzymian na plażach Kentu. Obecnie stały się zabawkami arystokracji, używanymi raczej do polowań i zadawania szyku, w trakcie wypadów na ucztę czy mszę. Dziwni wrogowie dysponowali dziesiątkami okutych brązem, uzbrojonych w kosy wozów. To one stanowiły ich najgroźniejszą broń.

Cynric bił się w jednej z grupek otoczony garstką wiernych żołnierzy. Rydwan przejechał tuż obok i księżę z prerażeniem ujrzał, jak broniący jego pleców huskarl pada na

ziemię z odrąbaną nogą.

Na miejscu zabitego stanął Hulf i rycząc niczym niedźwiedź, ciął z obu rąk, sięgając woźnicy pojazdu. Rydwan gwałtownie skręcił i utknął w stercie trupów. Główny pasażer rydwanu, ogromny, półnagi wojownik w zbroi ze złotej łuski i hełmie na kształt głowy dzika, krzyknął z wściekłością i cisnął oszczepem w Cynrica, chcąc rozstrzygnąć bitwę jednym celnym rzutem. Książę zauważył ten ruch, widział, jak pocisk przecina błękitne niebo i szybuje w kierunku jego serca, niosąc pocałunek śmierci. Nie miał siły zrobić nawet kroku, był zbyt znudzony. Nagle niebo przysłonił ogromny cień i coś cisnęło nim o ziemię. Cynric zamrugał oczami i zobaczył tuż obok siebie brodate oblicze Hulfa. Wielki wojownik, którego przez tyle lat oskarżał o lenistwo i opieszałość, uśmiechnął się z zadowoleniem. Z ust popłynęła mu bulgocząca krew.

- Kurwa, ale Ragnarök - sapnął, plując czerwonymi bąbelkami. - Już po mnie... Wilka Fenrira musisz zabić sam...

Cynric zawył i stracił z siebie ciało przyjaciela, z oszczepem sterczącym z poplątanej brody. Złapał za topór Hulfa i rzucił się w stronę rydwanu.

Zabójca, król całej hordy, czekał na niego ze spokojem. Lekko zeskoczył z wozu i Cynric uświadomił sobie, że wróg przewyższa go o głowę. Lewy bok zasłaniał rzeźbioną, prostokątną tarczą. Z łatwością zablokował nią uderzenie Cynrica i uderzył długim mieczem.

Po kilku złożeniach książę zrozumiał, że popełnił błąd, łapiąc za topór. To dobra broń, jeżeli jesteś wielki i bardzo silny i jeśli przeciwnik jest mniejszy od ciebie. W walce z olbrzymem był równie poręczny co wiosło do dłubania w zębach. Usiłował cofnąć się do miejsca, gdzie zostawił miecz, ale wróg cały czas atakował, celując w szyję. U pasa miał już kilka jasnowłosych głów, a przy burtach rydwanu wsiadło ich kilkanaście, wszystkie przywiązane za skrwawione włosy. Do celów zdobniczych Sasi nadawali się znacznie lepiej niż ścinający krótko włosy Rzymianie...

W końcu zdesperowany Sas cisnął toporem w przeciwnika i rzucił się w stronę porzuconego miecza. Przekoziołkował lekko i złapał za rękojęść. W tym momencie coś uderzyło go w twarz. Upadł na plecy i zobaczył, jak wielka stopa przydeptyje jego broń. Wrogi król zawisł nad nim jak ponura wieża. Cynric zdołał jeszcze dźwignąć się na kolano, nie wypuszczając przy tym miecza. Tnij, skurwysynie. Straszliwie chciało mu się pić i pomyślał, że dobrze by mu zrobił łyk piwa. Ale czy w Walhalli na pewno warzą dobry chmiel? Skaldowie nic o tym nie wspominali, w ich pieśniach było tylko o syconym miodzie. Cholera, wołałby piwo.

Cień nad jego głową przesunął się nagle, w powietrzu rozległo się rzenie konia.

Zdumiony Cynric dostrzegł łopoczący na tle nieba sztandar ze szkarłatnym smokiem Brytów. Nigdy nie przypuszczał, że ucieszy się, widząc ten proporzec nie podeptany w błocie, tylko pyszniący się nad jego głową...

Brennus musiał teraz bronić się przeciwko konnemu przeciwnikowi. Nie żeby wydawał się przez to mniejszy, to raczej Elpyr, nawet w masywnej karacenie, wyglądał przy wodzu Celtów jak opancerzony psiak. Starożytny wojownik zrobił rzecz najprostszą z możliwych, przynajmniej dla kogoś o jego posturze i sile. Nie cofnął się przed szarżą i z impetem wyrzucił konia tarczą w łeb. Elpyr zatrzymał się gwałtownie, ugięły się pod nim nogi. Bedevir przeokoziółkował nad jego głową i runął w krwawe błocko. Brennusowi wystarczył jeden krok, żeby zbliżyć się do oszołomionego wroga. Uniósł tarczę, chcąc odrąbać mu nią głowę. Bedevir przeturlał się w ostatniej chwili. Ciężka pawęż wbiła się w ziemię i utknęła w czymś, co mogło być skórzaną zbroją albo ludzkim kręgosłupem. Brennus szarpnął nią poirytowany i odgiął się nieco w tył. Tarcza zaklinowała się na dobre. W oczach prastarego króla zamigotało coś na kształt rozbawionej irytacji. W tym momencie na jego wyprostowane ramię spadła *spatha* Bedevira i odrąbała je. Brennus ryknął i zatoczył się oszalony z bólu, ale uwolniony z potrzasku.

Koniec jego miecza zawadził o żebra Bedevira, rozrąbując je niczym wiklinowy koszyk. Rycerz charknął i osunął się na ziemię. Nie czuł bólu, ale nagle zrobiło mu się bardzo zimno. Brennus zrobił jeszcze dwa zamroczone kroki i uniósł broń do ciosu. Nagle potknął się uderzony w głowę. Za jego plecami wyrósł metaliczny, rozwścieczony kształt, wierzgający kopytami. Wódz Celtów miękko plasnął o ziemię, mózg sączył mu się uszami z roztrzaskanej czaszki. Jego pogromca zarżał i pochylił nad Bedevirem zaniepokojony łeb, trącając go nosem.

Elpyr, przyjacielu, wyszeptał rycerz, przeganiając tężejącą przed oczami ciemność. *A ja myślałem, że ty nic nie umiesz.*

\* \* \*

Ustawili się w rozwalonej bramie. Wszyscy, którzy mogli utrzymać tarcze. Nie było ich wielu. Cenwallen usłyszał wycie od strony lasu i poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Sasi cofali się w stronę lasu, kawalerzyści Bedevira poszli w rozsypkę. Tarany waliły już w bramę. Tym razem nie pomoże im zaskoczenie ani słońce. Bogowie, miejcie nas w swojej opiece. Ale nie wy, piekielne skurwysyny.

Gawr miał szesnaście lat i bał się jak nigdy przedtem. Chciało mu się rzygać i płakać. I wiać gdzie pieprz rośnie. Całe szczęście, że przed bramą wały się takie sterty trupów, iż



dzicy mieli problem z dostaniem się na dziedziniec. Nie było dobrze. Szpic krótkiego miecza stepił mu się tak, że mógłby używać go co najwyżej jako noża do krojenia masła. A do cięć był za krótki, jak wszystkie rzymskie miecze starego typu. Odetchnął głęboko i skupił się na dygocie własnych łydek. Inni też dygotali, ciasny szereg trząsł się jak osika. Wrogowie podeszli już na tyle blisko, że mógł spojrzeć w ich oszalałe, wykrzywione z nienawiści twarze. Te istoty wyglądały gorzej niż nieszczęśnicy, którym jego wujek, kowal, wrywał zęby. I nie dostawały piwa na znieczulenie.

W normalnych okolicznościach poczułby może coś na kształt współczucia, ale oni go nie wzbudzali. Widział rosłe, węzlaste ciała pokryte rytualnymi bliznami. Kąsali tarcze albo własne ramiona, zagrzewając się do ataku. Ale poza tym nie wydawali żadnych dźwięków, co było jeszcze gorsze. Plemienni wojownicy najczęściej atakowali pijani. Walna bitwa była dla nich rozrywką, teatrem i popisem próżności. Wysyłali rytualnych harcowników - tancerzy, ryczeli wojenne pieśni, przechwalali się i grozili. Ta horda czekała w milczeniu. Jedynym dźwiękiem, jaki była w stanie z siebie wydobyć, był rozlegający się tu i ówdzie potępieńczy skowyt.

- *Pater noster in caelis* - stojący obok niego grubasek ze świeżo zarosłą tonsurą modlił się żarliwie.

Nie wierzył w to, co widział, bo było to niepojęte. Nie pisał o czymś takim żaden z Ojców Kościoła. W porównaniu z tymi stworami, Sasi wydawali się dobrodusznymi, może ciut niesfornymi sąsiadami. Żaden z Brytów nie przypuszczał, że spogląda na odległych przodków. Większość poczułaby się taką koligacją mocno urażona.

Kiedy wrogowie przełamali ich szyk i wdarli się do Camelot, Gawr rzucił tarczę i pobiegł ile sił w nogach do głównego kasztelu. Nawet nie zauważył, jak umazany krwią demon znalazł się za jego plecami i odgiął mu w tył głowę, sięgając do gardła zakrzywionym nożem. Skonał z rozdziawionymi ustami i z taką miną na oderżniętej głowie zadyndał u pasa mordercy. Napastnicy ruszyli na wewnętrzny dziedziniec popychani nieustępliwą wolą swojej pani. Jej rozkaz był prosty - zabić Nosiciela i przynieść Agronie jego głowę.

\* \* \*

Bagienne powietrze oblepiało mu płuca, czarna woda lepiała się do kostek jak smoła. Agrona zbliżyła się do niego, tańcząc jak biały płomień. Igi przełknął ślinę. Na piersiach bogini perliły się nanizane na jelita czaszki oraz nieumarłe, skowyczące główki. Agrona kochała dzieci, wszyscy byli jej dziećmi. Ale dziś zasłużyli na karę.

- Naszyjnik. Oddaj mi go - przemówiła metalicznym, dzwoniącym jazgotem, który

ranił, korodował czaszkę.

Chciał splunąć, ale nie bardzo miał czym. Potrząsnął tylko głową, ciesząc się, że nie odpada od szyi. Agrona zaśmiała się, obnażając białe, spiłowane zęby.

- W zamku Artura jest wiele żywotów, a moje dzieci są głodne. Masz wybór. Na razie należą do ciebie. Mogą należeć do mnie. Naszyjnik.

- Jeżeli dam ci Naszyjnik, zginę.

- Mojej mocy starczy na nagrodzenie tysiąca takich jak ty. Przenieś cię z powrotem do domu, obdarzę szczęściem i siłą. Twoja rodzina nie zginie. Jeżeli bardzo chcesz, oddam ci wszystko, co kiedykolwiek straciłeś.

Igi zawahał się. W jego głowie odezwał się głos, który kiedyś słyszał w gorejącej grocie. *Spójrz na nią. Spiesz się i czegoś się boi. Nie wszystko jest jeszcze stracone.*

Odwrócił się od bogini i zerknął na Zapomnianego. Jego ciało było teraz mniejsze, pochłaniane fragmenty przestały się odradzać. Z niezliczonych ran sączyły się strumienie ropy. Wpatrywał się w niego ciężkim wzrokiem, przymglonym niewyobrażalnym cierpieniem.

Igi roześmiał się nagle i machnął w powietrzu Ekskaliburem. Ostrze zaślnię błękitem, taki sam blask pojawił się w Naszyjniku.

- A może jednak spróbuję? W końcu, co mam do stracenia.

- Tylko człowiek całkowicie oczyszczony ze zła miałby szansę to zrobić. Ty nie wyglądasz mi na świętego. Ale nie krępuj się. Uderz - zasyczała Agrona.

Czy na tym polegał jej plan? Znaleźć człowieka pełnego gniewu i bólu, dopuścić go blisko celu i pozwolić mu zawieść? Igi wyczerzył wzrok. Wciąż nie był pewien, ale wśród kłębiących się za Agroną cieni rozpoznał znajomą postać. Dzieciątko wyłonił się z tłumu przyzywany łączącym ich czarem. Jego rysy uformowały się na podobieństwo Igiego. Chowaniec popatrzył na niego z nienawiścią.

- Pamiętam - powiedział chrapliwie. - Twoja matka... malutka siostrzyczka. Nie musiałem ich zabijać, wiesz? To stało się samo. Nienawiść, którą czuleś, kierowała moimi krokami.

- Masz rację, demonie. Bardzo mi pomogłeś. Wypiłeś cały mój mrok.

Maska Agrony rozpadła się, jej strach otwarcie wypełzał z porów skóry, palił się w oczach, zgrzytał w jej ruchach i głosie.

- Wytlumacz się, natychmiast - wrzasnęła.

Chowaniec, zwany Dzieciątkiem, skulił się i przypadł do ziemi.

- Przywołał mnie jeden czarownik. Werusk miał na imię. Ja nie wiedziałem.

Naprawdę. Myślałem, że to zwykły śmiertelnik.

Agrona nie słuchała go już. Jej węże frunęły do Nosiciela. Były szybkie, ale jednak nie dość. Igi odwrócił się i uderzył. Miętko, bez gniewu i żalu, wbił Ekskalibura w ciało boga, w miejsce gdzie powinno być serce.

Przez moment nic się nie działo. Potem płynąca z Zapomnianego wartkimi strumieniami krew zaczęła krzepnąć, a rany zablizniły się. Ulotnił się zapach zgnilizny, zamglony szaleństwem wzrok stał się czysty, czoło rozpogodziło się. Zapomniany zaświergotał, na jego wielkiej twarzy pojawiła się ulga. Z rany na sercu popłynęła krew. Tym razem nie była czarna, tylko jasna i czysta. Krwawa mgiełka zasłoniła Agronę i jej upiory, które rozwiały się jak mgła we wschodzącym słońcu.

Igi poczuł, że Naszyjnik na jego szyi rozluźnia się i uwalnia. Zdawało mu się, że on sam staje się nim, skrzydlatym, wirującym węzem. Spirala wiodąca w pustkę, rozjaśnioną, przejrzystą i żywną. Był węzem i ścigał własny ogon, tańczył odwieczny tan. Wirując, złapał go wreszcie. Między zębami miał rzucające się żądło, jadowity kolec przebił mu język i podniebienie. Wąż skonał i czas się dopełnił. Gdzieś po drodze czekało białe światło, ale przeraził się jego blasku. Zew „ja” wołał go gdzie indziej. Opadał jak meteor, który się nie spala, lecz przeciwnie, z każdą sekundą lotu nabiera ciężaru i kształtu. Toczył się przez życiodajną, stwarzającą pustkę, porastając złudzeniami jak śniegowa kula. Wokół niego rozpadał się Czarny Las, w płucach nie miał już nawet odrobiny powietrza.

Na szarym niebie pojawiła się pikująca kometa. Widzieliście kiedyś salamandrę porykującą w eterze podczas polowania na powietrzne sylfidy? Albo dzina, który walczy z roarkiem na rozpalonych piaskach Kara-kum? Nawet jeśli, to i tak nie przygotowałoby to was na lot Czerwonego Smoka, zaklęty w szkarłatnych łuskach ogień. Najstarszy wylądował ciężko, ryjąc pazurami darń.

- Złap się mnie mocno, śmiertelniku. Latałeś już kiedyś przez nicość?

\* \* \*

Śnieg był miękki i ciepły, ale Igi zbudził się wreszcie. Był ranek. Zobaczył opartą o pień Alinę. Siedziała z kolanami podwiniętymi pod brodą. Śnieg zdążył przysypać ją kołdrą. W sam raz na minus dwadzieścia. Zerwał się i potrząsnął nią. Dziewczyna otworzyła oczy. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Igi, twoje rany... zagoiły się. Zostały ci straszne blizny.

- Długo tak leżałem?

- Nie wiem. Czekałam na pogotowie, a potem Klimkowski zniknął. Chyba się

zdrzemnęłam.

Chłopak rozejrzał się i pomasaował zeszywniały kark.

- Nie słyhać syren. Myślałem, że zaraz mnie zgarną.

- W ogóle nic nie słyhać. To znaczy słyhać, jak jest cicho... - powiedziała Alina niepewnie.

Objęli się mocniej i spojrzeli na siebie.

- To naprawdę ty?

- Naprawdę.

- Wiem. Teraz wiem.

Pocałował ją mocno, zaplątał palce w chłodne, wilgotne włosy. Mógłby tak zostać na zawsze. Pachniała stopionym śniegiem.

- Miałem potworne sny. Nawet nie wiesz, jak bardzo - wyszeptał.

Ruszyli w stronę Puławskiej, wypatrując śladów masakry. Ale śnieg zdążył przysypać wszystko. Napadało go tyle, że miejscami zapadali się w zasy. Dopiero po jakimś czasie Igi uświadomił sobie, że coś jest nie tak. Rażąco i bezczelnie nie tak. Cisza rosła, dzwoniła im w uszach. A z tego miejsca powinno być słyhać Puławską, w końcu to prawie autostrada. Co jest, żałoba narodowa?

Ścieżkę przeciął kasztanowy kształt, po nim jeszcze jeden. Jelenie nie bały się ich ani trochę. Spojrzeli na siebie w milczeniu, bojąc się wszelkich słów. Przyspieszyli. Las skończył się nagle, zamarli na linii drzew. Igi odetchnął głucho, z czymś pomiędzy przerażeniem a ulgą.

Puławskiej po prostu nie było. Nie było samochodów i domów, linii wysokiego napięcia ani zniżających się w stronę Okęcia samolotów. Nie było nic, poza bezkresną równiną.

- Miasta nie ma - powiedział wreszcie, przytulając Alinę.

Spojrzała na niego dziwnie, z czymś, co powinno być lękiem, ale bardziej wyglądało na kpinę.

- No to pięknie. Matury w tym roku nie zrobię - parsknęła.

- Masz jakiś pomysł? - wyszeptał, gapiąc się na ciemne zbliżające się punkty.

Stado zwierząt, wielkich i futrzanych. No przecież, polskie karibu. Igi wyprostował się. W kieszeni miał niezły nóż, z krótkim ostrzem, ale stal to stal. Zapalniczkę i ciepłą kurtkę. Śnieg nie będzie padał wiecznie, powietrze było lekko wilgotne, zalatywało wiosną i pluchą. Drzewo niedaleko to chyba cis. A obok jodły, dobre gałęzie na szałas.

Raz jeszcze dotknął miejsca, gdzie jego szyję znaczył naszyjnik blizn. Nie miał już

swojej zabawki i prawie za nią zatęsknił.

- Dziękuję, stary. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

## EPILOG

- Daleko jeszcze? - dopytywał się mały, może sześciolatek, dępczący za przygarbionym mężczyzną w zielonej szacie wędrownego barda.

Mężczyzna zatrzymał się i ściągnął z pleców tobolek ze zwojami i harfą, owiniętą w natłuszczone skóry.

- Daleko.

- A dokąd właściwie idziemy?

- Tam gdzie wujek zarobi na miskę zupy, ogień i dach nad głową. - Bard zzuł sandały z obolałych stóp.

Mały był nad wiek rozgarnięty, ale nie wszystko potrafił zrozumieć. No bo jak wytłumaczyć mu, że tylko w Walii, Irlandii i Szkocji, krainach najdalszego zachodu, ostali się jeszcze władcy szanujący wiedzę i pieśń, gotowi zapłacić uczonym za pradawne Słowo? Tam ściągali ci, którzy kiedyś byli druidami, a dziś, wraz z rozprzestrzenianiem się chrześcijaństwa, stali się bardami i filidami. Wędrownymi kronikarzami i artystami, lekarzami i uczonymi szukającymi chleba na obczyźnie. Bo tu, w Anglii, Celtowie sromotnie przegrali.

Opieka nad malcem z początku była dla niego ciężkim brzemieniem. Potem przyzwyczał się. Po bitwie pod Camelot Rhodri zaszył się w Lesie Waeld i pobierał nauki od Myrddina Wylta. Niby myślał o wskrzeszeniu Bractwa, ale przepelniały go gorycz i żal. Dla Brytów z królestwa Artura wojna skończyła się klęską. Większość szlachty poległa podczas najazdu Sasów i w bitwie pod Camelot. Zamek spłonął, a uchodźcy zginęli bądź rozpieczęli się. Cynric po prostu zajął wyludnioną Dumnonię i ogłosił się panem nowego królestwa, Wesseksu. Państwa zachodnich Sasów. Inne królestwa barbarzyńców wyrastały jak grzyby po deszczu. Na północy, w Bernicji i Deirze, zjednoczone pod mianem Northumbrii. W środkowej Anglii, w Mercji i kraju Hwików. Świat się zmieniał, a on, Rhodri ap Hywel, nie mógł nic na to poradzić.

Mab odnalazła go sześć lat temu. Usiedli na ganku chaty Myrddina i wspominali pewnego wyjątkowo upartego rycerza. Nie zdziwiła się, słysząc, że Bedevir był jego młodszym bratem.

- Jesteś tak samo uparty jak on - stwierdziła. - Dlaczego mu nie powiedziałaś?

Rhodri zamyślił się, żując koniczynkę. Czterolistną.

- Cóż, to przez niego kuleję. Naderwał mi nogę w zabawie. Smarkacz miał wtedy z osiem lat, ale już był silny. To przez to przestałem rosnać. Wódz nie może mieć żadnej cielesnej skazy. Dlatego Hywel oddał mnie do klasztoru, który potem został złupiony. Wszyscy myśleli, że nie żyję. Wolałem nie rozgrzebywać starego popiołu.

Mab opowiedziała mu o swoich planach. Była teraz oficjalną narzeczoną młodego króla Sasów i właśnie dlatego uciekła. Jej brzuch wkrótce stanie się trudny do ukrycia, nawet pod luźną suknią i futrem. Nie chciała wystawiać człowieczeństwa Cynrica na tak ciężką próbę.

- Bardzo się zmienił. Ale nie aż tak bardzo - powiedziała.

Została w Waeld aż do rozwiązania. Kiedy odzyskała siły, pocałowała Rhodriego w policzek i poprosiła, by opiekował się chłopcem.

- Cynric nie może się o nim dowiedzieć. A ty będziesz dobrym opiekunem, czuję to - kobieta spojrzała na niego w zamyśleniu. - W końcu jesteś jego wujkiem.

I tak Rhodri został przybrany ojcem małego Nanwydda syna Bedevira ap Hywel. Wędrowali po wioskach i klasztorach, zajmując się leczeniem, muzykowaniem i magią. Kraj dochodził do siebie po wojnach, a pamięć o Agronie i jej straszliwym potomstwie zacierała się, podobnie jak pamięć o panowaniu Artura. W obydwu wypadkach odradzający się Kościół postawił sprawę jasno - w kronikach nie ma miejsc na relacje pogańskie i nieobyčajne. Rhodri był świadkiem, jak jego własna historia staje się wymazaną legendą...

Pogłaskał syna Bedevira po włosach. Wokół drogi zgromadził się spory tłumek. Ciemnowłosi autochtoni mieszały się z jasnowłosymi osadnikami ze wschodu. Ci ostatni darli się co sił w płucach, wiwatując na cześć królewskiego orszaku. Radość Brytów była cokolwiek wymuszona, ale i tak przeczuwali, że mogło być gorzej.

Cynric syn Credy, władca królestwa Wesseksu, nowego państwa zachodnich Sasów, pozwolił im zachować ziemię i domy. W jego państwie nowe harmonijnie współżyło ze starym. Skończyły się wieki masakr. A nawet jeśli nie do końca, to ogień i miecz znajdowały zajęcie na kresach.

W Walii i na krańcach Kornwalii, na stale przesuwanym się celtyckim pograniczu...

Rhodri uśmiechnął się gorzko. Na ironię zakrawał fakt, że pierwszy król saksońskiego królestwa Wesseksu ustanowił swoją siedzibę w ruinach Camelot. Tak jakby tubylcy, jego nowi poddani, mogli nie zauważyć różnicy.

Królewski orszak zbliżał się poprzedzany odziałem kilkunastu jeźdźców. Za nimi maszerowali huskarlowie w długich kolczugach i plecionych butach, ściskając wielkie

dwuręczne topory. Kurz osiadł na płowych brodach Sasów, odbierał blask nosalom ich hełmów, zachodzących na policzki i kark. Sam król wraz z garstką dworzan podróżował wygodną kolasą, czterokołowym wozem zaprzężonym w woły, wymoszczonym futrami i słomą. Rhodri wyciągnął szyję.

Cynric roztył się i lekko postarzał, a może po prostu znużyły go troski, nieuchronnie towarzyszące koronie. Czujny podczaszy nalewał mu właśnie piwa z niewielkiej beczułki. Jego królowa, bujna, kasztanowłosa piękność, rozkwitła jak czerwcową różą. Zielone oczy lśniły jak dwa szmaragdy, na gładkim czole nie odciskały się żadne zmartwienia.

Mab nosiła we włosach wianek z białych stokrotek, błękitna suknia błyszczała od złota i kamieni. Nie patrzyła w ich stronę, zaśmiewała się z żartów gestykującego trefnisia.

- Jaka piękna - wyszeptał chłopiec, rozmarzony i nagle poważny.

Rhodri potargał mu włosy, przygarnął go z szorstką czułością.

Może kiedyś, pomyślał. Może kiedyś poznasz swoją matkę, może ją jeszcze zobaczysz. Ale ojca, biedaku, nie zobaczysz nigdy. Chyba że tam, za gwiazdami, gdzie polują Żywi.

- Kim będę, jak dorosnę? - spytał malec, komicznie marszcząc nos.

- To już sam musisz wybrać. A co byś chciał?

- Bo ja wiem? Chciałbym mieć konia i sokoła. No i miecz. Być wielkim panem, jak tamci.

- Panem się trzeba urodzić. A potem króla słuchać i na wojnę chodzić. To niewdzięczny los. Ale jest jeszcze inna ścieżka, kręta i bardziej cudowna. Ścieżka wiedzy. Pomogę ci na nią wstąpić.

- Eeee tam. Nudy. Wolałbym miecz.

Rhodri uśmiechnął się i zagwizdał przenikliwie. Kołujący nad polem jastrzęb zaskrzeczał w odpowiedzi i zbliżył się do nich jak pierzasta strzała. Usiadł na ramieniu filida i zaczął czyścić pióra. Chłopiec rozdziawił usta.

- Zastaniesz czarownikiem, synu. A po tobie twój syn i jego syn po nim. Przynależymy do Bractwa. Świat się zmienia, ale my przetrwamy.

- A co będziemy robić?

- Zobaczysz.

- A czy tatko też należał do Bractwa?

Rhodri nie odpowiadał. Przed oczami zamajaczyła mu postać wychudłego rycerza i jego śmieszne, uparte i smutne spojrzenie znękanego psa.

- Cierpliwości. Kiedyś ci o nim opowiem.



Ruszyli w las, oddalając się od traktu i wiwatującej czeredy. Rhodri chciał poszukać ziół i przygotować trochę eliksirów na doroczny jarmark w Lyndeffyn. Cenwallen zrobił się teraz ważną figurą na północy i chętnie częstował przyjaciół wołowiną i miodem. Na stare lata znów wrócił do beztroskich hulanek i wypraw po bydło.

Idący za nimi czeladnik rozglądał się po lesie, z gębą rozdziawioną jak niedojda albo dziecko wybrane przez bogów. Wyraz wiecznego zachwytu potęgowała jego szyja, wygięta pod nienaturalnym kątem. Rhodri przyglądał mu się z nieodmiennym zdumieniem. Mężczyzna miał jasną brodę i kiedyś musiał być bardzo gruby, o czym świadczyły zbyteczne fałdy skóry. Druid pokręcił głową. Skaranie boskie z takim uczniem - już Nanwydd, mimo że sześciolatek, był poważniejszy od niego. Ale bogowie - prawdziwi bogowie, którzy nareszcie wrócili - zesłali mu we śnie rozkaz, by zajął się tym dziwakiem. Na szczęście, cudzoziemiec okazał się wielki, bardzo silny i nawet uzdolniony magicznie. Był odporny na magię, a jego dotyk znosił działanie większości zaklęć, co bardzo pomagało Rhodriemu w pracy. Zwłaszcza gdy mylił imiona przywoływanych duchów.

Nieznajomy słabo znał język Brytów, a jego imię brzmiało dziwacznie i obco. Najbliższym odpowiednikiem było iryjskie imię Lugh, należące do słonecznego boga. I właśnie tak Rhodri nazwał dziwnego przybłędę. Imię jak ulał pasowało do jego jasnej brody i promiennego, niezbyt mądrego uśmiechu.

Rhodri spojrzał na czeladnika i westchnął. Kiedy Zapomniani odszedł, na ziemię wróciły jego dzieci - plemię Tuatha Danu. Nie mieszały się do spraw śmiertelników, aczkolwiek skuteczność druidzkich rytuałów i zaklęć znacząco wzrosła. I każdy z ocalałych obrońców Naszyjnika otrzymał od Żywych nagrodę. Jemu zesłali wiedzę i wiarę, w starannie odmierzonych proporcjach. Mab znalazła miłość i poczucie bezpieczeństwa - jej mążnek był najpotężniejszym człowiekiem na wyspie i rzeczywiście kochał ją do szaleństwa.

Rhodri wiedział, że dziwny przybysz też był częścią ich sprawy. Zobaczył go raz, w Czarnym Lesie, gdy odganiał żerujące demony od tonącego Igiego. W wielu sprawach przypominał Nosiciela - na przykład miał wszystkie zęby i odznaczał się osobliwym upodobaniem do kąpieli. W innych zupełnie się różnili.

Lugh miał wrodzoną smykałkę do magii, ale najbardziej uwielbiał fechtunek. Niejeden raz ocalił im skórę przed zbójami i maruderami. Fascynowały go zwykłe czynności - polowanie i kowalstwo, biwakowanie w puszczy i oprawianie zwierzyny. Niebezpieczeństwa traktował jak miłe urozmaicenie. Zupełnie jakby życie w tych mrocznych czasach było jakąś zabawą. Grą. Dwadzieścia lat temu, w heroicznej epoce Artura, mógłby być świetnym rycerzem.

Bogowie także musieli go jakoś nagrodzić, ale doprawdy, dziwną wybrali sobie drogę. Rhodri wciąż nie był pewien, czy jego uczeń był idiotą czy mędrce, ich ofiarą czy też ulubieńcem. Jasnowłosa czeladnik właśnie łapał w dłonie promyk słońca, który przedarł się przez gałęzie dębów i myszkował po płatach mchu. Spojrzał na druida i uśmiechnął się równie promiennie. Boże, ale tu było pięknie. Kochał to powietrze i światło. W tej grze już nie musiał sekwować.

## PODZIĘKOWANIA

Kiedyś nie bardzo rozumiałem, za co ci pisarze tak dziękują. Teraz wiem. Przede wszystkim dziękuję Darkowi, Joannie i Paulinie - za otuchę, pomoc i wskazówki. Chciałbym też podziękować Tomaszowi, Frydrychowi i Irenie: ofiarnym betatesterom powieści, którzy w porę - mam nadzieję - pokazali mi jej mielizny i rafy, a także zarysy Kanaanu. Marzenie za kurs motywacji. Panu Arturowi za to, że się wciągnął. Marcinowi. Aż dwóm życzliwym Michałom. Oraz wnikliwej redakcji..

*Koniec pieśni* nie powstałby bez wiedzy o tak zwanych mrocznych wiekach. Szczególną inspiracją była dla mnie znakomita książka Wojciecha Lipońskiego *Narodziny cywilizacji Wysp Brytyjskich*. Znalazłem tam między innymi perełki walijskiej poezji tudzież ciekawe spojrzenie na mit arturiański. Przy okazji chciałbym też podziękować wszystkim profesorom, którzy zaszczepili mi zamiłowanie do książek. Szczególnie Pawłowi S., który pokazał mi kiedyś w liceum, że wbrew pozorom mam mózg.

Na koniec chciałbym też wyrazić wdzięczność - i dług - Bomberowi i całej ekipie. Wiecie, za co.

## ŹRÓDŁA CYTATÓW

s. 38, „Nasi królowie...” Wojciech Lipoński, *Narodziny cywilizacji Wysp Brytyjskich*, Poznań 2001, s. 213.

s. 68, „Przypierają nas barbarzyńcy...”, tamże, s. 174.

s. 73, „Zamek mego króla jest pogrążony...”, tamże, s. 206.

s. 102, „Wściekłość swą zatem kieruję...” tamże, s. 222.

s. 136, „Nie uciekniesz przed losem krwawym...”, Mikołaj Gumilow, *Wiersze*, wybór i tłumaczenie Adama Pomorskiego, Warszawa 1990, s. 35.

s. 153, „Jak woda ze skały...”, fragment wiersza Friedricha Hölderlina *Hyperiona pieśń Losu* w tłumaczeniu Wojciecha Zembatego z oryginału za dwujęzycznym wydaniem: Friedrich Hölderlin, *Co się ostaje, ustanawiają poeci. Wiersze wybrane w przekładzie Antoniego Libery*, Kraków 2003.

s. 177, „Każda osada równana jest z ziemią...” Gildas, fragment *De Exidio Britanniae*, cyt. za: Wojciech Lipoński, *Narodziny cywilizacji Wysp Brytyjskich*, dz. cyt., s. 175.

s. 194, „Wulfhera odwiedziłem i Wyrmhera...”, fragment poematu *Widsith* w tłumaczeniu Jacka Fisiaka cyt. za: Wojciech Lipoński, *Narodziny cywilizacji Wysp Brytyjskich*, dz. cyt., s. 238.

s. 201, „Naprawdę nie wiemy niczego...”, Demokryt z Abdery, cyt. za: Adam Krokiewicz, *Zarys filozofii greckiej*, Warszawa 2000, s. 205.

s. 214, „Piramidy, łuki tryumfalne i obeliski...”, Winfried Georg Sebald, *Pierścienie Saturna*, tłum. Małgorzata Łukaszewicz, Warszawa 2009.

s. 293, „Poza światem ludzi, światem bogów i światem bytu...” Dögen Kigen, *Oko i Skarbiec Prawdziwego Prawa*, tłum. Maciej Kanert, Kraków 2005, s. 155.

Autorem pozostałych wierszy w tekście jest Wojciech Zembaty.